ADAM RONIKIER

Pamiętniki 1939–1945

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Adam Ronikier

Pamiętniki 1939–1945

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Jerzy Ronikier

Moje wspomnienie

Czas panowania systemu komunistycznego w Polsce pozostawił w świadomości historycznej społeczeństwa wiele białych plam. Jedną z nich są dzieje Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), polskiej instytucji charytatywnej oficjalnie działającej pod okupacją niemiecką w czasie II wojny światowej. *Pamiętniki* mojego dziadka, Adama Ronikiera, w znacznym stopniu zapisują tę białą plamę. Działalność RGO przedstawiona tu została z punktu widzenia jej organizatora i pierwszego prezesa. Jest to relacja osobista, a więc siłą rzeczy subiektywna i polemiczna w stosunku do wszystkich krytyków działalności RGO i jej Prezesa.

Autor, Adam Feliks hr. Ronikier (1881–1952), urodził się w Warszawie, był synem Wiktora Kazimierza i Wandy z Węcławowiczów. Rodzeństwem Adama byli Henryk (1882–1948), Kazimierz (1886–1973), żonaty z Ireną Niezabitowską, i Antonina (1897–1938). Ukończył z odznaczeniem Szkołę Realną im. Wojciecha Górskiego, a następnie studiował w Rydze na wydziale architektury tamtejszej politechniki. Tam też został aktywnym członkiem polskiej korporacji studenckiej Arkonia, gdzie zawarł bliską znajomość z wieloma prominentnymi postaciami II Rzeczypospolitej, między innymi Władysławem Sikorskim i Władysławem Andersem. Od dzieciństwa stykał się z pracą społeczną, której poświęcał się jego ojciec, organizując m.in. pracownie dla młodzieży rzemieślniczej i biedoty warszawskiej, fundując domy opieki, kaplicę w Ignacewie. 19 IX 1908 r. Adam poślubił Jadwigę Plater-Zyberk (1882–1954), córkę Jana Kazimierza i Weroniki z Czapskich herbu Leliwa. Ślub odbył się na Łotwie, w majątku Liksna. Po powrocie do Warszawy zamieszkał wraz z żoną w odziedziczonych po rodzicach Ząbkach. W małżeństwie tym miał synów: Jana (1910–1976), inżyniera hutnika, Witolda (1913–1950), oficera zawodowego KOP, Stefana (1917–1987), oficera WP,

rolnika, Henryka (1919–1994), bankowca, Edwarda (1921–1961), ekonomistę, i córkę Anielę (1912–1984), żonę Konstantego Szułdrzyńskiego.

Jak wspominają współcześni (np. Kazimierz Okulicz), Adam Ronikier był świetnym mówcą, zamiłowanym społecznikiem i poliglotą. W swojej działalności politycznej związał się początkowo z obozem Narodowej Demokracji. W czasie I wojny światowej należał do ugrupowania aktywistów warszawskich, upatrujących szansę odbudowy państwa polskiego w porozumieniu z Niemcami. Ta podstawowa różnica zapatrywań doprowadziła do rozłamu w łonie Narodowej Demokracji i oskarżenia Romana Dmowskiego o serwilizm w stosunku do Rosji. Po wkroczeniu Niemców do Warszawy Adam Ronikier wraz z Wojciechem Rostworowskim i Marianem Zborowskim przekształcił tę grupę w konserwatywne Stronnictwo Narodowe. W 1915 r., jako przywódca SN, wszedł do utworzonego w tym czasie Międzypartyjnego Koła Politycznego, a następnie do Rady Narodowej (reprezentacja wszystkich partii i ugrupowań politycznych Królestwa) i został członkiem delegacji do rozmów z Naczelnym Komitetem Narodowym (NKN). Z ramienia Rady Regencyjnej sprawował funkcję posła w Berlinie. W imieniu Rady negocjował i podpisał umowę (30 VI 1918) gwarantującą niepodległość Litwy. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę początkowo, dzięki bliskiej znajomości z Kazimierzem Sosnkowskim, zbliżył się do Piłsudskiego, jednak zrażony metodami stosowanymi przez „obóz pułkowników", wycofał się na dłuższy czas z działalności publicznej i poświęcił się całkowicie realizacji projektu przekształcenia swoich podwarszawskich Ząbek w miasto-ogród. Parcelował majątek, wytyczał i obsadzał aleje sprowadzanymi w tym celu rzadkimi okazami drzew i krzewów, kanalizował miasteczko, budował elektrownię i basen pływacki. Jednak na skutek postawy miejscowej ludności wysiłki te nie dały większego efektu, stały się natomiast przyczyną trudności finansowych. Poza pracą nad „miastem-ogrodem Ząbki" podejmował się różnych misji zagranicznych, m.in. w 1936 r. jako wysłannik kardynała Augusta Hlonda i gen. Kazimierza Sosnkowskiego odwiedził Ignacego Paderewskiego w celu nawiązania współpracy z opozycyjnym Frontem Morges. Podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. uczestniczył w spotkaniach polityków opozycyjnych, a po kapitulacji stolicy włączył się w prace Stołecznego Komitetu Samopomocy Społecznej (SKSS).

Osobną kartą życiorysu Adama Ronikiera była jego działalność społeczna. Kiedy w 1915 r. władze niemieckie wyraziły zgodę na utworzenie Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), objął w niej funkcję prezesa Zarządu Głównego i w praktyce w jego rękach spoczywała całość prac związanych z pomocą, opieką społeczną i ewidencją strat wojennych. Równocześnie osobiście kierował Wydziałem Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą RGO, w ramach którego zorganizował wielką kwestę pod hasłem „Ratujcie dzieci". Po wznowieniu w 1916 r. działalności Polskiej Macierzy Szkolnej w okupowanej przez Niemców części Królestwa, wraz z prof. J. Wieruszem-Kowalskim został wybrany na wiceprezesa Zarządu Głównego tej organizacji. W pamiętniku często odwołuje się do swoich doświadczeń związanych z organizowaniem i działalnością RGO w czasie I wojny światowej. Doświadczenie to posłużyło do stworzenia podobnej organizacji w czasie II wojny i okupacji niemieckiej w Polsce. Dzięki energii Prezesa (funkcję tę pełnił w latach 1940–1943) i działającej z nim grupy ludzi stworzona została organizacja, która w tych trudnych czasach niosła wielostronną pomoc polskiemu społeczeństwu. Fundamentem działalności opiekuńczej RGO była ścisła współpraca z episkopatem Kościoła katolickiego, a zwłaszcza z metropolitą krakowskim ks. Adamem Stefanem Sapiehą. Odmowa oficjalnego uczestnictwa w uroczystościach dożynkowych na Wawelu spowodowała usunięcie go z funkcji prezesa RGO (25 X 1943), a następnie aresztowanie przez gestapo (26 I 1944). Po wielokrotnych przesłuchaniach Ronikier został zwolniony 31 III 1944 r. Kiedy w 1945 r. w radiostacji zbliżającej się Armii Czerwonej ogłoszono go jednym z głównych wrogów ZSRR i zaocznie skazano na śmierć, wyruszył na emigrację. Początkowo udał się do Rzymu, do armii gen. Władysława Andersa, gdzie wznowił działalność RGO jako instytucji mającej organizować pomoc uchodźcom polskim na całym świecie i uzyskał dla tego celu poparcie Hoovera, jednak ewakuacja 2 Korpusu do Anglii przerwała te prace. W Londynie nie znalazł poparcia dla tego rodzaju działalności i wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie, jak wspomina Kazimierz Okulicz: „był bliski urzeczywistnienia swoich planów, ale waśnie wśród Polonii amerykańskiej i niechęć niektórych działaczy do wyzbycia się monopolu w dziedzinie akcji opiekuńczej na rzecz nowej, szerszej instytucji, rozbiły dobrze zapowiadające się dzieło. Niezrażony, zajął się następnie działalnością polityczną, ale brak środków zniweczył wszystkie jego plany. Wszczął jeszcze kilka innych inicjatyw, lecz słabnące siły i wielki niedostatek nie pozwoliły mu w warunkach amerykańskich znaleźć dla nich poparcia"*. Osiadł w Orchard Lake nad jeziorem Michigan, gdzie zmarł 4 IX 1952 r.

Sylwetka Adama Ronikiera wymyka się stereotypowym kryteriom oceny. Najlepiej charakteryzuje ją opinia cytowanego wyżej Okulicza: „Była to indywidualność wybitna i uzdolniona, ale niedostatecznie homogeniczna. W tej dość skomplikowanej naturze ścierały się różne pierwiastki i różne, często dość krótkotrwałe, impulsy. Różność składników tej bogatej natury cementowały jednak dwie jej zasadnicze cechy: gorąca religijność i żarliwy pa-

* *Księga pamiątkowa stulecia Arkonii 1879–1979*, Ryga–Warszawa–Londyn 1979, s. 253.

triotyzm". Do tej zwięzłej charakterystyki należy dodać jeszcze dwie cechy. Po pierwsze — wyniesioną z czasów studiów w Rydze fascynację kulturą niemiecką, co niemal automatycznie generowało niechęć do Rosji, a zwłaszcza do Związku Radzieckiego, w którym upatrywał głównego wroga Polski i narodu polskiego. Drugą cechą, istotną zwłaszcza w okresie okupacji hitlerowskiej, był całkowity brak poczucia strachu i głęboka wiara, że nic złego nie może mu się przytrafić. Cecha ta w połączeniu ze znakomitą znajomością języka niemieckiego pozwalała mu na swobodne zachowanie w kontaktach z nawet najbardziej osławionymi swoją brutalnością przedstawicielami władz hitlerowskich.

Pamiętnik, a właściwie rodzaj dziennika, gdyż pisany był na bieżąco, zredagowany został ostatecznie w 1945 r., więc niemal nazajutrz po opisywanych wydarzeniach, kiedy silne były jeszcze emocje związane z minioną okupacją niemiecką i przeżyciami autora. Brak perspektywy czasowej, która siłą rzeczy wpływa na obiektywizację opinii, jest szczególną wartością *Pamiętników*, pozwala bowiem poznać rzeczywiste poglądy autora na wiele aktualnych i ważnych dla niego spraw i problemów. Widać to szczególnie wyraźnie w ostatnich partiach, kiedy opisywane wydarzenia zbliżają się do czasu powstania pamiętnika.

RGO powstało na wzór podobnej organizacji pomocowej działającej w okresie I wojny światowej. Asumpt do jej powołania dała wizyta przedstawicieli amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Oni też wzięli na siebie zadanie zabiegania o legalizację tej instytucji przez władze w Berlinie. Podstawowym zadaniem Rady miało być rozdzielanie przesyłanej ze Stanów Zjednoczonych wielomilionowej pomocy charytatywnej (medykamenty, ubrania, żywność). Szybko jednak rozszerzyła ona swoje działanie na wiele innych dziedzin życia społecznego. Tworzenie nowej instytucji natrafiło na znaczne trudności ze strony władz okupacyjnych, które przez dłuższy czas ociągały się z zatwierdzeniem jej statutu i składu osobowego. Na kartach *Pamiętników* znajdziemy informacje dotyczące wszystkich ważniejszych problemów trapiących społeczeństwo pod okupacją niemiecką, m.in. sprawy wywozu Polaków na roboty przymusowe do Niemiec. Próba rozwiązania tego problemu wywołała pierwszą większą kontrowersję pomiędzy RGO i jej Prezesem a innymi, zwłaszcza warszawskimi, środowiskami polityczno-społecznymi. Sprawy aresztowania profesorów UJ, pomocy Żydom, przesiedleń ludności polskiej, masowych aresztowań, odpowiedzialności zbiorowej czy mordów na ludności polskiej w Galicji, wszystkie one były przedmiotem interwencji ze strony RGO.

W tych warunkach sytuacja Rady, jako jednej z niewielu instytucji oficjalnie działających na terenie GG, była niezwykle trudna. Stąd wiele miejsca poświęca autor sporom i konfliktom, jakie powstawały pomiędzy

Krakowem, gdzie mieściła się siedziba Rady, a Warszawą. Źródłem występujących tu różnic były z jednej strony poglądy polityczne samego Prezesa i jego otoczenia, z drugiej jednak także fakt, że RGO skupiała głównie środowiska ziemiańskie i konserwatywne. Podstawowym problemem politycznym, jaki przewija się przez treść całych *Pamiętników*, jest stosunek do dwóch „odwiecznych" wrogów Polski, tj. Niemiec i Rosji. Adam Ronikier, wywodzący się ze środowiska aktywistów warszawskich, zgodnie z zasadą, że Niemcy zagrażają jedynie egzystencji fizycznej Polaków, natomiast Rosja zabija ich dusze, właśnie w bolszewikach upatrywał śmiertelne zagrożenie dla narodu polskiego. W miarę zbliżania się Armii Czerwonej do granic Polski problem ten stawał się coraz bardziej wyrazisty i zdaniem autora wymagał wypracowania jasnej koncepcji politycznej, uwzględniającej przewidywany rozwój wydarzeń. Sam opowiadał się za koncepcją odmowy współpracy z bolszewikami i ratowania „substancji narodowej", stąd bardzo krytyczny stosunek do decyzji ujawniania się oddziałów AK i do powstania warszawskiego. Mimo krytycznego stosunku Adam Ronikier użył wszystkich swoich wpływów dla uzyskania najlepszych warunków kapitulacji i starał się zapewnić opiekę wysiedlanym warszawiakom.

W tym miejscu warto wspomnieć o problemie zasadniczym, jakim były wzajemne stosunki Rady z AK i Delegaturą Rządu. Był to problem dość skomplikowany i nie zawsze jednoznaczny. Bogdan Kroll, nie żyjący już dzisiaj autor jedynej obszernej monografii Rady Głównej Opiekuńczej (Warszawa 1985), który badał korespondencję obu tych instytucji z rządem londyńskim, twierdził, że stosunki Prezesa i Rady z AK były poprawne. Jest to o tyle zrozumiałe, że wielu współpracowników RGO było jednocześnie mocno związanych ze strukturami AK. Wystarczy tu wymienić choćby bardzo ciepło wspominaną przez autora Karolinę Lanckorońską, aresztowaną latem 1944 r., czy Edmunda Seyfrieda, byłego oficera drugiego wydziału, również aresztowanego w tym czasie. Osoby te czuwały, by Rada utrzymywała właściwy dystans do władz okupacyjnych. Zupełnie inaczej wyglądały stosunki z Delegaturą, a więc ze strukturami politycznymi państwa podziemnego. Nie układały się one najlepiej. Było to o tyle zrozumiałe, że z chwilą, gdy Rada i jej prezes rozszerzali swoją działalność na różne dziedziny życia publicznego, siłą rzeczy popadali w konflikt z Delegaturą, która zastrzegała te dziedziny do swojej wyłącznej kompetencji. Dodatkowo odległość pomiędzy Krakowem a Warszawą sprzyjała powstawaniu rozmaitych pogłosek i plotek dotyczących wszystkich rzeczywistych działań Rady, co sprawiało, że w całym tym okresie stosunki pomiędzy oboma instytucjami były zgoła złe lub co najmniej napięte i pełne wzajemnych pretensji. Głównym zarzutem, jaki stawiano Adamowi Ronikierowi w tym czasie, było podejrzenie o chęć stworzenia rządu polskiego pod patronatem Rze-

szy, a więc powrót do koncepcji z I wojny światowej. Sam autor uznawał to przypuszczenie za absurdalne i wielokrotnie mu zaprzeczał. Także w świetle badań Krolla okazało się ono bezpodstawne.

Poglądy polityczne przedstawione w pamiętniku są stosunkowo mało znane, występowały bowiem jedynie na marginesach prac historycznych. Nie można ich uznać za reprezentatywne dla polskich środowisk politycznych, jednak istniały i wyrażały przekonania części opinii publicznej. Dziś jesteśmy bogatsi o doświadczenia minionych pięćdziesięciu lat naszej historii i łatwiej nam obiektywnie ocenić rozmaite postawy i poglądy poprzednich pokoleń. Jednak, aby było to możliwe, musimy je poznać i przeanalizować. *Pamiętniki* stwarzają nam taką możliwość.

Pół wieku, jakie dzieli nas od opisywanych wydarzeń, sprawiło, że okres okupacji niemieckiej jawi się nam jako monolit, tymczasem miał on swoją dynamikę zmian i związanych z nią zjawisk dewaluacji czy dezaktualizacji rozmaitych oczekiwań i poglądów. Lata 1939–1941 to okres ścisłej współpracy dwóch okupantów. Dla społeczeństwa istotna była odpowiedź na pytanie, jak zachowają się zwycięzcy. Z relacji *Pamiętników* wynika, że nic nie było jeszcze przesądzone. Ze strony niemieckiej występowały dwie tendencje, pierwsza to chęć zawarcia jakiegoś porozumienia z pokonanymi, na wzór rozwiązań z czasów I wojny światowej, druga zakładała pełne, przeprowadzane w sposób brutalny, podporządkowanie społeczeństwa polskiego zwycięzcom. Jak dziś wiadomo, przeważyła ta druga tendencja. Politycy, zwłaszcza ci związani ze środowiskami aktywistów, z trudem i niechętnie rozstawali się jednak ze swoimi złudzeniami. Inny nastrój dominował po rozgromieniu Francji i w czasie niemieckich sukcesów w wojnie ze Związkiem Radzieckim. Inny wreszcie z chwilą załamania się ofensywy wschodniej i pierwszych sukcesów Armii Czerwonej. Zmieniała się sytuacja militarna, oczekiwania i koncepcje polityczne. Wszystkie te zmiany zaznaczone zostały, chociaż czasem nazbyt dyskretnie, na kartach *Pamiętników*.

Starsze pokolenie odnajdzie tu wiele panujących wówczas nastrojów, zwłaszcza w odniesieniu do Krakowa, w którym znajdowała się siedziba RGO. Przypomniane zostały problemy, które bulwersowały społeczeństwo, i próby ich przezwyciężenia, różne postawy, poglądy charakterystyczne dla trudnego czasu okupacji hitlerowskiej. Młodsi czytelnicy odnajdą w *Pamiętnikach* nieobecny dzisiaj świat wartości, ważny dla sposobu myślenia o Polsce, jakie prezentowała nie istniejąca już grupa ziemiaństwa i tzw. przedwojennej inteligencji. Świat ten został skutecznie zdruzgotany najpierw przez niemieckiego okupanta, a następnie przez zainstalowaną w Polsce władzę komunistyczną. Trzeba jednak o nim pamiętać, w nim bowiem tkwiły wartości, do których odwoływać się możemy także i dzisiaj.

Słowo wstępne

Nie wiem, czy mam być wdzięcznym Opatrzności za to, że w życiu mym byłem świadkiem rozgrywanych dwóch wojen światowych, a jeszcze bardziej za to, że w tych wojnach danym mi było być organizatorem i prezesem RGO, czyli Rady Głównej Opiekuńczej w Polsce — instytucji, jak się później okazało, niezbędnej i w pierwszej, i w drugiej wojnie, a na którą spadał ciężki obowiązek organizowania i niesienia pomocy społeczeństwu polskiemu we wszelkich formach, w jakich ta pomoc była tylko możliwą.

Praca podczas pierwszej wojny, a jeszcze bardziej podczas drugiej przeze mnie prowadzona była o zakresie wprost olbrzymim, toteż pochłaniała mnie ona całkowicie — była jednak tak niezmiernie interesującą, tak wszechstronną i tak kształcącą, że, pomimo że zabrała mnie, zdaje się, bezpowrotnie zdrowie, nie żałuję, żem się jej podjął i prowadził. To zetknięcie się bezpośrednie z prawdziwą biedą ludzką, obrona dotkniętego nią społeczeństwa polskiego, jego reakcje, wyczyny i zachowanie się w tym pełnym grozy i nieszczęść kataklizmie dziejowym, wreszcie nauka, jak nieść pomoc nie tyle materialną, ile moralną — to wszystko pochłaniać musiało każdego człowieka, który w tej pracy brał udział w ogóle, a tym bardziej na kierowniczym stanowisku. Poza tym stosunek do stron walczących na naszej Ojczyzny terenie, konieczność wywalczania u nich tego wszystkiego, co dla „ratowa-

nia substancji narodu"* było koniecznym, wreszcie stosowanie w wojnie drugiej światowej doświadczeń z pierwszej i porównanie, które nasuwać się musiało pomiędzy Niemcami jednej i drugiej wojny — wszystko to przedstawiało niebywały materiał do obserwacji i doświadczeń.

Ponieważ w wielu rzeczach ważnych dla przyszłości Ojczyzny naszej brałem bezpośredni i czynny udział, a w wielu jestem nawet niemal jedynym źródłem wiadomości o nich, myślę więc, że nie bez pożytku będzie podanie ich w możliwie obiektywnej formie do szerszej wiadomości.

Niestety, powstanie w Warszawie pozbawiło mnie całego mego archiwum z czasów pierwszej wojny, które miało być materiałem do obszerniejszych wspomnień z owych czasów, wydana bowiem przeze mnie w roku 1919-ym broszura pod tytułem *W świetle prawdy** tylko szkicowo odtworzyła przeżywane przeze mnie wypadki i prowadzone prace. Obecnie jednak, mając świeżo przed oczyma to wszystko, co w drugiej wojnie światowej przeżyłem, biorę się do opowiadania o tym wszystkim i pomimo że wypadki te są jeszcze bardzo świeże, starać się będę je odtworzyć możliwie spokojnie i obiektywnie, popierając opowiadane fakty odnośnymi dokumentami, by mogły one pomimo usterek pamięci ludzkiej odtworzyć pełnię prawdy przeżywanych przez nas wypadków dziejowych.

Falkenberg — Aix les Bains
Marzec — grudzień 1945 roku

Część pierwsza
Lata 1939–1940

Znaki na niebie wskazywały już od jesieni 1938 roku, że bez krwawej rozprawy w Europie nie może się obejść, a w Polsce łudzono się jeszcze ciągle, że jakoś to będzie, a nawet, że będzie dobrze, bo w razie wojny zdobędziemy Berlin i nasze mocarstwowe stanowisko będzie umocnionym kosztem zachodniego sąsiada. Nieznajomość ani sił, ani zamiarów tego sąsiada przede wszystkim, zaś sąsiada ze wschodu także — była powszechną i to nie tylko u tych, którzy o polityce chcieli wydawać sądy, nie mając żadnych danych po temu, ale także i u tych, którzy byli obowiązani wiedzieć, a o niczym poinformowani nie byli, zaś swe nadzieje na nadzwyczajnych propozycjach i ofertach, robionych w Londynie i Paryżu, opierali.

Nawet człowiek tej miary, co generał Władysław Sikorski, aczkolwiek pesymista zupełny co do naszego przygotowania wojennego, liczył na to, że potrafimy na tak długi czas na sobie zatrzymać nawałę niemiecką, by Francja, sojuszniczka nasza i według zdania generała do wojny jedynie przygotowana, mogła wejść w szranki wojenne i zwycięstwo na korzyść aliantów stanowczo przechylić. Wierzył on niezłomnie w geniusz wojenny generałów francuskich Weyganda i Gamelina* i stawiał wszystko wówczas jeszcze na kartę francuską.

Jedynie znawcy stosunków panujących we Francji tak gruntowni, jak na przykład mój brat*, który lat kilkadziesiąt tam spędził, a przed samą wojną do kraju przyjechał, ostrzegali, że na Francję, niestety, liczyć nie wolno, rozkład bowiem społeczny pod wpływem ostatnich rządów sięgnął w niej już tak daleko, że tzw. „Poilus"*, bohaterzy z czasów pierwszej wojny światowej, przeszli już do historii i na nich byłoby iluzją liczyć — że zaś obecnie robotnik francuski został panem sytuacji i podawszy sobie rękę z francuskim rentierem, nie chce stanowczo wojny i bić się nie myśli. Drastyczny wypadek oplucia w Paryżu na placu Victora Hugo pułkownika francuskiego przez robotników, widziany przez brata mego, był dla mnie jaskrawym potwierdzeniem jego poglądu na sytuację wprost groźną dla nas.

Toteż z przerażeniem i trwogą w dniu 1-go września 1939 roku ujrzałem na niebie o świcie samoloty niemieckie nad Warszawą. Serce mnie się ściskało boleśnie, gdy widziałem bohaterski zapał młodzieży naszej, a rozum mi mówił niewzruszenie, że wszystko to pójść musi na marne, i uprzytamniał mi klęskę, która nas czeka. Myśl ma szukała tylko uparcie drogi do przetrwania do chwili, gdy przyjdzie pomoc francuska i angielska, na które liczyłem, bo zdawało mi się, że liczyć mamy prawo na zasadzie sojuszu z Francją i aktu gwarancji ofiarowanej nam przez Anglię*.

Gdy w dniu 3 września nastąpiło wypowiedzenie wojny Niemcom przez Anglię i Francję, odetchnąłem jakby swobodniej, naiwnie jak i inni przypuszczając, że nawet gdyby przygotowanie naszych sojuszników do wojny nie było dostatecznym, to jednak dadzą oni w tej czy innej formie znać o sobie i nas podtrzymają w potrzebie.

Tymczasem walec wojenny niemiecki z nie znaną dotychczas w historii wojen szybkością, wtargnąwszy na ziemie polskie, miażdżył je bezlitośnie, napotykając co prawda ze strony polskiej na opór bohaterski, ale, niestety, bezskuteczny zupełnie. Czyżby mogły tysiącom wyprowadzanych do walki czołgów niemieckich przeciwstawić się skutecznie nieliczne polskie, czyż samoloty polskie mogły stawić czoło wówczas najpotężniejszemu lotnictwu niemieckiemu?! Czyż mogło niezaprzeczalne i uznawane nawet przez Niemców bohaterstwo polskiego żołnierza zatrzymać nawałę idącą ze wszystkich stron, zaś tacy generałowie, jak Bortnowski, Anders lub Kleeberg, a potem Sosnkowski, naprawić błędy dowództwa sił zbrojnych popełniane przez lata?!

Bitwa pod Kutnem*, którą znalazłem później zapisaną w rocznikach wojennych niemieckich pod znamienną nazwą: „die grösste Schlacht der Welt" (największa bitwa świata) — miała jedną chwilę, gdy się zwycięstwo na stronę polską przechylać zdawało, jednak oprócz strasznej masakry ułanów naszych, którzy z lancami na tanki się porwali, i zapisania na kartach bohaterstwa tego ich wyczynu nic nie wpłynęła na wynik końcowy pochodu niemieckiego na Polskę.

W Warszawie pierwsze dni wojny z Niemcami stały pod znakiem wiary w pomoc Anglii i Francji — wiary podtrzymywanej starannie przez radio polskie komunikujące bez przerwy różne wiadomości, które ten nastrój podtrzymywać miały, a które w następstwie były tylko źródłem gorzkich rozczarowań. Manifestowano przed ambasadami angielską i francuską, wierząc święcie, że pomoc, jeżeli już nie na lądzie, to przynajmniej w formie eskadr lotniczych nadejść musi bezwzględnie — opowiadano sobie o desancie angielskim dokonanym w Gdańsku i o nalocie samolotów polskich na Berlin. Rozczarowanie następowało szybko i boleśnie, gdy się wkrótce przekonywano o kłamliwości wieści podobnych. Mijały jeden za drugim dnie trwożnego wyczekiwania połączone z ciągłymi nalotami coraz to liczniejszych eskadr niemieckich, które, w miarę gdy się przekonywały o bezbronności Warszawy, coraz zuchwalej atakowały. Władze polskie coraz to rzadziej dawały znać o sobie, jedynie niezmordowany prezydent Starzyński przez usta pułkownika Umiastowskiego lub od czasu do czasu osobiście zachęcał ludność miasta do niepoddawania się depresji, stawania w szeregach ochotników dla obrony stolicy i do budowy szańców — generał Czuma otrzymał komendę nad Warszawą* i postanowił jej bronić.

Zachowanie się ludności pomimo wzmagających się nalotów, a potem i ostrzeliwania przez ciężką artylerię niemiecką było wzorowe, karne i odważne. Dla ilustracji jego przytoczyć mógłbym liczne przykłady, przytoczę tylko dwa charakterystyczne, których byłem świadkiem naocznym: oto w dniu 15 września, w czasie gdy szrapnele niemieckie i bomby licznie spadały

na miasto, razem z innymi schroniłem się do domu, w którego bramie zebrał się tłum. W chwili gdy tam weszedłem, straszny huk wstrząsnął powietrzem i oficyna tego domu wraz ze schodami zawaliła się na skutek wybuchu bomby. Staruszek jakiś spod gruzów klatki schodowej wybiegł, szukając czapki, którą przy tej okazji zgubił, trząsł się przy tym ze zdenerwowania tak mocno, jakby miał atak febry co najmniej. W tej chwili jakaś starowinka owinięta chustką zwróciła się do niego ze słowami: „Panie, czy panu nie wstyd?" — i tych słów kilka wystarczyło zupełnie, by owego staruszka przyprowadzić do równowagi, a całemu zebranemu tłumowi nadać znowu postawę godną i pełną odwagi. Drugi przykład: oto u znajomych moich mieszkających na Powiślu w pobliżu elektrowni miejskiej znalazłem się w chwili niebywale silnego ataku lotniczego, mającego widocznie za cel zniszczenie elektrowni. Znajomy mój, starzec przeszło siedemdziesięcioletni, pomimo wstrząsów, którym co chwila ulegał dom cały, na chwilę nie został wytrącony z równowagi i mówił ze mną najspokojniej o nieszczęściu, które Polskę spotkało, i co czynić należy, by Ją uratować!

Dniem kulminacyjnym nieszczęścia naszego był dzień 17 września*, gdy wiedzieliśmy już pozytywnie o tym, że katastrofa wojenna spotkała Polskę, ale w którym dowiedzieliśmy się o ciosie nowym, oto w porozumieniu z Niemcami Sowiety wkroczyły w granice Polski! Niektórzy chcieli się łudzić, że wkroczenie to mogło nastąpić na podstawie traktatu o nieagresji*, który jeszcze Sowiety obowiązywał w stosunku do Polski — złudzenia te jednak prędko prysły, by ustąpić miejsca rzeczywistości. Polska wziętą została we dwa ognie i na wschodzie wróg nowy i nie mniej straszny zagarniał jej ziemie w sposób zdradziecki.

W dniu 18 września Prezydent Rzeczypospolitej*, opuszczając granice kraju, wydał swe ostatnie orędzie do Polaków — przeszło ono bez echa, szczególnie w Warszawie, która gotowała się do obrony i która już znajdowała się pod silnym obstrzałem lotnictwa i artylerii.

Oburzone zdradą Sowietów wobec Polski Związki Zawodowe świata całego zwróciły się do nich z odezwą, która jak wiele innych tego rodzaju wystąpień pozostała bez skutku.

Tymczasem rozpoczęło się oblężenie Warszawy, które aczkolwiek trwało krótko, bo zaledwie do dnia 27 września, pozostawiło w nas — tych, którzy je przetrwali, wrażenie koszmaru bez końca. W dzień i w nocy trwała bez przerwy prawie kanonada ciężkiej artylerii i naloty lotnicze, zgromadzeni w mym mieszkaniu w Alejach Ujazdowskich 34 moi bliscy przyjaciele i krewni w liczbie dwudziestu kilku osób, czuwając bez przerwy, konstatowali niejednokrotnie napięcie takie obstrzału, że na jedną minutę liczono do dziesięciu pocisków padających w najbliższym otoczeniu domu, brak zaś wody i światła czynił życie nie do zniesienia, gdy szczególnie wszystkie okoliczne domy stawały w płomieniach. Niemniej, gdy w dniu 27 września koło południa przerwanym zostało nagle bombardowanie i rozeszła się pogłoska, że prowadzone są pertraktacje o zawieszenie broni, rozpacz ogarnęła wszystkich taka, że zdawało się, że gotowi są wszyscy bez wahania śmierć ponieść, byleby stolicy nie oddać wrogowi w ręce!

Widziałem takich ludzi, jak Jerzego Komorowskiego, jednego z dyrektorów firmy Rau i Loewenstein*, znanego ze swego opanowania i zimnej krwi, który w chwili dowiedzenia się o zawieszeniu broni szlochał wprost spazmatycznie — widziałem młodych oficerów armii polskiej, którzy dowiedziawszy się ode mnie o nieszczęściu, które ich stolicę ukochaną spotyka, nie mogli pomimo zahartowania w walce swych łez powstrzymać.

Wszyscy gotowi byli na największe ofiary, a gdy stało się i na ulice stolicy wkroczyły wojska niemieckie, wszyscy bez wyjątku zachowali się z godnością wielką i opanowaniem, tak zdawałoby się trudnym do osiągnięcia u ludności Warszawy, zwykle tak impulsywnej.

O władzach polskich nie mówiono wcale!

Tak wyglądała Warszawa na zewnątrz — obraz jej życia wewnętrznego był zgoła inny.

Mając zaufanie do wojska, że swój spełni obowiązek, z pełnią dobrej woli słuchano jego rozkazów, co do władz, o których zresztą niewiele wiedziano, co czynią, aczkolwiek odnoszono się może i bardzo krytycznie, wstrzymywano się od wypowiadania sądów, byleby siły oporu nie osłabić. Wszyscy jakby odruchowo i samorzutnie byli tam, gdzie pomoc była potrzebną.

Więc tłumno było około przekształconego od razu w pierwszych dniach wojny na Komitet Obywatelski — Komitetu Pomocy Zimowej*. Czerwony Krzyż pracował ofiarnie i energicznie bardzo w warunkach niepomiernie trudnych, gdy Warszawa, nagle przekształcona na fortecę, zaczęła się bronić bez żadnych na to potrzebnych przygotowań. Sylwetka wiceprezesa PCK — pani Adamowej Tarnowskiej stała się symbolem odwagi i ofiarności osobistej. Życie pełne poświęcenia i tym razem wolne od wszelkich egoizmów i partyjniactwa kipiało, pomimo zrozumienia doniosłości nieszczęścia spadającego na Polskę — marazmu i zniechęcenia nie widziano nigdzie.

To samo grono ludzi, które przed wojną pracowało ze mną w Związku Jedności Narodowej*, którego byłem przez lat kilka przewodniczącym, pomimo bomb i pocisków nie przestało się stale zbierać u mnie. Tylko treść obrad uległa zasadniczej zmianie — nie rozważano, jak wojnę zażegnać, lecz szukano drogi po temu, by nieszczęście, które już stało się faktem, możliwie zmniejszyć i co najważniejsze rozumną linię postępowania na najbliższą przyszłość wytknąć.

Stosując się nadal do zasady przyjętej w Związku Jedności Narodowej, by do pracy wspólnej około zagadnień obchodzących Polskę całą wciągać wszystkich bez różnicy partyjnej — byleby ich ciężar gatunkowy odpowiadał powadze zagadnienia — zbierali się u mnie licznie i najpoważniejsi przedstawiciele stronnictw, i osoby bezpartyjne, a pracujące na polu społecznym lub politycznym. Obok prof. Rybarskiego, Staniszkisa i Aleksandra Dębskiego ze Stronnictwa Narodowego brali udział w naradach członkowie PPS tak poważni, jak Barlicki, Dubois i Niedziałkowski — obok Rataja, Świętochowskiego i Osieckiego — ludowców, przychodzili ze Stronnictwa Pracy: Kwieciński i inni. Poza tym grono ludzi tak poważnych, a bezpartyjnych, jak prof. Lutomski, poseł Perłowski, prof. Morawski, poseł Grabowski i wielu innych dopełniało składu osobowego narad.

Z wielu odbytych u mnie zebrań jedno szczególnie zasługuje na wymienienie — odbyło się ono w dniu 23 września, czyli w momencie niemal największego napięcia bombardowania i już wtedy, gdy wszystkim już było wiadomym, jak straszna katastrofa spotkała Polskę. Zebranie liczne bardzo jak na ten moment, bo składające

się z 62 osób, reprezentowało wszystkie kierunki myśli politycznej i społecznej w Polsce. Jako temat do obrad i ewentualnej decyzji postawiono na porządku dziennym sprawę niebywale trudną, bo wytknięcia linii postępowania dla społeczeństwa polskiego wobec okupanta niemieckiego przy jednoczesnym uznawaniu zobowiązań Polski wobec aliantów. Wysłuchaliśmy przemówień wyjątkowej miary, jak te, które wygłosili Barlicki, Rybarski i Perłowski — doprowadziły one do zupełnie jednomyślnej uchwały przyjęcia wniosku mojego, by jako linię wytyczną działania na przyszłość przyjąć tezę, że „najważniejszym naszym obowiązkiem być winno bronienie substancji Narodu, Opatrzności pozostawiając opiekę nad państwem". Wniosek ten był wynikiem rozumowania, że Naród Polski w jego stanie nieszczęścia i rozbicia nie stać na to, by prowadzić grę polityczną na dwie strony, jak ją prowadził czasu pierwszej wojny światowej, gdy społeczeństwo polskie podzieliło się na dwa obozy, aktywistów i pasywistów. Rozdział taki stosowany przez narody o wysokim wyrobieniu politycznym, jak np. Anglicy lub Czesi, przy ich zdyscyplinowaniu, mógł nawet wydać dobre rezultaty i był zrozumiałym — co innego w Polsce, gdzie dyscypliny moralnej nie mieliśmy, niestety, nigdy w dostatecznej mierze, a tym bardziej w momencie klęski, gdy antagonizmy są siłą rzeczy zaostrzone, a temperament i uczucia dochodzą do głosu. Rozumowaliśmy więc, że jeżeli czasu pierwszej wojny światowej podział społeczeństwa na aktywistów i pasywistów wywołał długotrwałe antagonizmy, to cóż dopiero w tej wojnie, gdy porozumienie wszelkie zostało utrudnionym niepomiernie, a namiętności, graniczące często z rozpaczą, rozigrały się chorobliwie.

Historia kiedyś oceni, czy przyjęta na tym zebraniu teza była najlepszą i najsłuszniejszą — wiem, że wtedy przyjęliśmy ją jednomyślnie i że w dalszej pracy mojej na polu społecznym była ona dla mnie zasadniczą wytyczną, od której nie odstąpiłem ani na jedną chwilę, naturalnie nie wyrzekając się przy tym prawa rozumowania politycznego na temat spraw aktualnych, no i formułowania mych przekonań politycznych takiego, które, jak mi się zdawało, najbardziej odpowiadały racji stanu polskiej.

Wspomniałem powyżej, że istniejący czasu pokoju Komitet Zimowej Pomocy przekształcił się zaraz w pierwszych dniach

wojny na Komitet Obywatelski. Miała to być jakby instytucja nadrzędna, mająca za zadanie czuwanie nad wszelkimi poczynaniami społeczeństwa polskiego pod względem politycznym i społecznym. Ponieważ jednak w warunkach, w jakich znalazła się Warszawa, na czoło wysunąć się musiała konieczność niesienia skutecznej pomocy charytatywno-społecznej ludności stolicy, zaczęto rozważać myśl powołania do życia instytucji temu celowi specjalnie poświęconej. W niej czerpie swe źródło Stołeczny Komitet Samopomocy Społecznej SKSS, który pod przewodnictwem Artura Śliwińskiego* rozpoczął w końcu września swą działalność.

Nie zamierzając na razie tworzyć nic samodzielnie, zgłosiłem się za pośrednictwem dra Witolda Chodźki* z ofiarowaniem swej pracy. Kilka jednak narad odbytych z gronem organizatorów SKSS ujawniło tyle różnic poglądów na sposób prowadzenia tego rodzaju instytucji pomocy społecznej, że nie uważałem dla siebie za możliwe z nią stale współpracować. Jednym z punktów najważniejszych, który rzucał mi się w oczy, a w następstwie musiał ujemnie wpłynąć na działalność instytucji, był ten, który dotyczył przyjmowania współpracowników — przyjmowano ich całe zastępy, przyjmowano bez wyboru wszystkich prawie, co potrzebowali pomocy i nie mieli oparcia, z tego wytworzyło się to, że z czasem SKSS posiadał tysiące ludzi zaproszonych jako współpracowników, a bardzo mało odpowiednich dla prowadzenia energicznej i konsekwentnej pracy. Odbiło się to nader niefortunnie na dalszych losach owej tak niezbędnej w stolicy organizacji i było powodem głównym jej upadku.

Nie związawszy się ostatecznie z SKSS, starałem się po wejściu Niemców do Warszawy przede wszystkim zorientować w ich nastrojach i zamiarach na najbliższą przyszłość. Spostrzeżeniami na ten temat dzieliłem się z ludźmi tej miary, jak Norbert Barlicki, stykający się blisko ze sferami robotniczymi, prof. Lutomski, który wykazywał wówczas ogromną aktywność umysłową, przeprowadzając paralelę pomiędzy postępowaniem Niemców z czasów pierwszej wojny światowej a zachowaniem się ich w drugiej, prof. Rybarski, z którym starałem się kreślić programy na dobę najbliższą i wielu innymi, którzy garnęli się licznie, by współdziałać w kierunku wytworzenia jednej linii działania i myślenia

w społeczeństwie tak rozbitym, jakim wówczas wydawało się, że być musi społeczeństwo polskie.

Moje pierwsze spotkanie z Niemcami miało miejsce w dniu 8 października, gdy siedząc w mieszkaniu mym całkowicie rozbitym przez bombardowanie i bez jednej szyby, zaskoczony zostałem wizytą wojskowego niemieckiego podpułkownika von Hoeltza, z bawarskiego pułku artylerii. Przyszedł on do mnie widocznie z polecenia swych władz z zapytaniem, czy mnie czego nie brakuje i czy nie mógłby mi być w czym pomocnym. Gdy zaskoczony tym pytaniem oświadczyłem, że pomimo, jak widzi, wszystko mam w mieszkaniu zrujnowane, szyby wybite i wiatr hula, to jednak postaram się dać sobie radę bez niczyjej pomocy — von Hoeltz, nie tracąc spokoju, zareplikował, że jest Bawarem, a zatem katolikiem, i że chciałby ze mną mówić „als Mensch zu Mensch" (jak człowiek do człowieka) — i prosi mnie, o którym wie, że w życiu społecznym i politycznym brałem udział, a z Niemcami byłem dawniej w stosunkach, bym zechciał go poinformować o panujących w stosunku do Niemców nastrojach. Jak mi oświadczył, potrzebne mu to było nie przez czczą ciekawość, ale dlatego, że w dniach najbliższych jest wezwanym do Łodzi, gdzie przebywa eksc. von Kraushaar, któremu Berlin zamierza powierzyć administrację okupowanych ziem polskich, ponieważ łączą ich stosunki przyjaźni i będzie on pytany o to, co widział i zaobserwował w Warszawie, byłoby wskazanym, by informacje te mogły być ścisłe i takie, by wpłynęły na jak najlepsze ukształtowanie się stosunków okupanta do miejscowej ludności polskiej. Podkreślił on przy tym, że jest przekonanym, że von Kraushaar dołoży wszelkich starań ze swej strony, by stosunki te, o ile czasu wojny jest możliwym, ułożyć się mogły jak najkorzystniej dla obu stron. Widziałem ze słów jego, że zna dokładnie moją całą polityczną i społeczną działalność w czasie pierwszej wojny i że dążeniem jego było, by uzyskać moją zgodę na odwiedzenie eksc. von Kraushaara w Łodzi celem poinformowania go należycie o życiu w Polsce i jego potrzebach.

Pomimo rozgoryczenia wywołanego przeżyciami ostatniej doby starałem się udzielić von Hoeltzowi możliwie wyczerpujących danych o nastrojach u nas panujących — czyniłem to w tonie moż-

liwie spokojnym i obiektywnie, podkreśliłem w sposób dobitny zawód Polaków złączony z niedotrzymaniem podpisu na akcie o nieagresji pomiędzy Niemcami a Polską, który jeszcze przez lat pięć powinien był obowiązywać, a złamany został jednostronnie przez Niemców*, i że obecnie jeszcze nie dojrzała chwila, w której Polacy mogliby wystąpić z jakimikolwiek propozycjami. Dodałem, że Naród Polski, aczkolwiek pobity w tej wojnie, nie zniesie i znieść nie może postępowania ze strony okupanta, które godziłoby w jego honor — bo pobitym w bitwie być można, ale to nie znaczy wcale, by było to równoznacznym z utratą honoru ! Naród Polski tylko wtedy, gdy traktowanym będzie przez okupanta po rycersku, jak na to ze wszech miar zasługuje, będzie mógł być w przyszłości nawet może i najbliższym partnerem do rozważań i postanowień politycznych.

Notując sobie skrzętnie moje uwagi, von Hoeltz wracał ciągle do tego, bym się zgodził pojechać do Łodzi do von Kraushaara — na to się jednak nie zgodziłem. Obecnie, rozważając me postępki, nie wiem, czy miałem w tym słuszność, ale wówczas uczyniłem to odruchowo raczej, kierując się myślą, że Polak w chwili owej nie mógł i nie powinien był zwracać się do władz okupacyjnych pierwszy — i że władzom tym siłą rzeczy przysługiwało prawo wezwania mnie na taką naradę, jeżeli by ona według ich uznania była potrzebną. Odmówiłem więc, a do Łodzi zaproszenia w następstwie nie otrzymałem, zaś wypadki potoczyły się innymi torami, niż to myślał w owej chwili von Hoeltz.

Bowiem oszołomieni łatwością osiągniętego zwycięstwa Niemcy wytykali linię postępowania z Polakami wręcz odmienną od tej, o której zapewne myślał von Kraushaar. Po uroczystym wjeździe Hitlera do Warszawy zaczęły kiełkować myśli o częściowej albo nawet całkowitej aneksji ziem polskich, mitygowane na razie tylko względami na Anglię, której po zwycięstwie nad Polską starano się uprzytomnić, że właściwie przyczyna sporu angielsko-niemieckiego przestała tym samym istnieć. W mowie w dniu 6 października wypowiedzianej przez Hitlera w Gdańsku głównie pod adresem Anglii było nawet powiedzianych słów kilka o utrzymaniu państwa polskiego — a gdy ta mowa w Anglii właśnie żadnego nie osiągnęła oddźwięku, o państwie polskim od tej chwili nigdy więcej wspomnianym nie było.

Do wykonania zamierzeń zaborczych nie von Kraushaar był potrzebnym, lecz ludzie inni, twardej ręki i ślepo posłuszni wskazaniom Berlina, wówczas pełnego dumy i pewności siebie co do zdolności rządzenia niemal światem całym. Tacy ludzie się znaleźli i stanęli do pracy z drem H. Frankiem*, ministrem Rzeszy, na czele.

Tymczasem jeszcze von Kraushaar miał głos i ci, którzy szukali dróg więcej pokojowych i łagodnych dla dojścia do formuły rządzenia Polakami. Nie osiągnąwszy przez von Hoeltza zamierzonego spotkania ze mną, a zapewne i z innymi, użyto osób nowych, by na tej drodze coś osiągnąć. Przyszedł do mnie tym razem pan Weiss von Ullog, urzędnik cywilny, jakoby bliski współpracownik marszałka Göringa i zaczął mi tłomaczyć, że jedynie porozumienie z tym ostatnim może od nas odwrócić nieszczęście, polegające na zdecydowanej woli władz innych w Niemczech zmierzających do zaprowadzenia w Polsce rządów „silnej ręki" i przez to samo bezwzględnych. Pan Weiss von Ullog był człowiekiem zupełnie innego typu niż von Hoeltz — myślę, że karierę swoją, jako notabene mówiący po polsku i ze stosunkami w Polsce obeznany człowiek, łączył z zaprowadzeniem rządów łagodnej ręki i przeto ze swej strony starał się zrobić wszystko, by nawiązać już nie z von Kraushaarem, ale z marszałkiem Göringiem samym kontakt osób coś w kraju znaczących.

Ode mnie uzyskał on tylko tyle, że napisałem do Göringa w porozumieniu z panami Rybarskim, Lutomskim i Barlickim notatkę, w której potrzeby kraju starałem się zobrazować, trzy rzeczy jako niezbędne wysuwając na czoło, a więc — utworzenie instytucji pomocy społecznej dla zaradzenia nędzy panującej w kraju po przebytej klęsce — powołanie do życia banku emisyjnego, celem uniknięcia strat ze zmianą waluty związanych, i wreszcie powstanie straży obywatelskiej, celem utrzymania spokoju w kraju w obawie, by nie popadł on w anarchię. W początku listopada pan Weiss von Ullog wyjechał do Berlina dla przedstawienia marszałkowi Göringowi, jak utrzymywał, postulatów naszych. My zaś pracowaliśmy w coraz większym i coraz bardziej zgranym gronie nad tym, by sobie zdanie wyrobić, jakie postępowanie w stosunku do okupanta najbardziej z interesami polskimi w danej chwili i na przyszłość było zgodnym.

Tymczasem rzeczy weszły na nowe, a nieoczekiwane tory. Dnia 9 listopada bowiem przyjechał do Warszawy pan MacDonald, współpracownik utworzonego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej pod przewodnictwem byłego prezydenta H. Hoovera* Komitetu Pomocy dla Polaków*. Obeznany ze stosunkami w Polsce, gdyż w niej przez kilka lat pracował, i adresowany wprost do mnie przez władze Komitetu, odwiedził mnie i zaproponował, bym przystąpił z nim niezwłocznie do pracy nad utworzeniem instytucji, która by była w Polsce odpowiednikiem powstałego w Ameryce komitetu.

Liczne godziny strawione na obradach z panem MacDonaldem, który się okazał człowiekiem umiejącym wejść rzeczowo i psychologicznie w nasze ówczesne położenie, dały w rezultacie osiągnięcie jego pełnej zgody na postulaty, które miały być wzięte za podstawę projektowanej instytucji pomocy społecznej w Polsce, a mianowicie:

1. Instytucja pomocy musi być jedna na całą Polskę, wszystkie dotychczas istniejące li tylko za jej pośrednictwem mogą otrzymywać pomoc ze strony Komitetu Amerykańskiego.

2. Instytucja ta musi podlegać kontroli bezpośrednio przez organizację amerykańską, dokonywanej za pośrednictwem jej przedstawicieli.

3. Instytucja ta musi mieć charakter czysto polski i tylko Polacy mogą w niej brać czynny udział.

Te trzy postulaty były tymi, przy których trwał niezłomnie pan MacDonald zachęcony do tego gorąco przeze mnie, gdyż wszystkie one były zgodne z życzeniami naszymi. Dążyć one musiały przecież w kierunku stworzenia instytucji czysto polskiej, jednolicie zorganizowanej, a pracującej uczciwie, więc nie obawiającej się żadnej kontroli, a tym bardziej ze strony ofiarodawców przychodzących z pomocą wówczas na bardzo szeroką skalę zakrojoną. Mówił mi bowiem pan MacDonald, że przewidywane rozmiary pomocy sięgać miały milionów dolarów w pieniądzach, a przede wszystkim żywności, odzieży i medykamentach.

Przeprowadzenia zatwierdzenia instytucji w Berlinie podjął się pan MacDonald osobiście dokonać. W tym celu po szeregu jeszcze narad odbytych ze mną w ambasadzie amerykańskiej

w Warszawie z konsulem Haeringiem i zaopatrzony w kopie dokumentów dostarczonych przeze mnie panu Weiss von Ullogowi dla marszałka Göringa wyjechał on do niego dla formalnego przeprowadzenia całej sprawy. Mnie powierzonym zostało przez niego porozumienie ze sferami miarodajnymi polskimi celem uzyskania od nich odpowiedniego pełnomocnictwa do działania natychmiastowego.

Po wyjeździe z Warszawy pana MacDonalda w dniu 13 listopada wziąłem się w granicach powyższych do energicznej pracy celem porozumienia się ze wszystkimi grupami polskimi, o których zgodę lub akces dbałem dla nowej do życia powoływanej na kraj cały instytucji, więc mówiłem z panami Śliwińskim, Machnickim i Drzewieckim oraz innymi także z SKSS — z panią Tarnowską i panem Lachertem i innymi z Czerwonego Krzyża Polskiego. Zaś z Komitetem Obywatelskim, któremu przewodniczył książę Zdzisław Lubomirski*, porozumiałem się w tym sensie, że na plenum tego Komitetu zostanę zaproszonym dla przedstawienia całokształtu omówionych przeze mnie z panem MacDonaldem planów niesienia pomocy w Polsce. Miałem w ten sposób mieć okazję wysłuchania wszystkich dezyderatów członków Komitetu w tym względzie i zależnie od granic otrzymanego na plenum pełnomocnictwa mogłem dalej mą akcję prowadzić.

Zapowiedziane zebranie Komitetu Obywatelskiego w pełnym jego składzie w połączeniu z SKSS odbyło się w dniu 19 listopada na ul. Wiejskiej 10 w gmachu Izby Handlowej. Przewodniczył na nim książę Zdzisław Lubomirski i obecnych było przeszło osiemdziesiąt osób.

W półtoragodzinnym exposé przedstawiłem zebranym cały plan pracy opracowany przeze mnie z panem MacDonaldem, podkreśliłem i rozwinąłem obszernie owe trzy postulaty stawiane przez naszych amerykańskich przyjaciół jako warunek przyjęścia ich nam z pomocą. Nawiązałem do przeszłości, przez nas przed dwudziestukilku laty przeżytej, gdy podobną organizację przy pomocy amerykańskiej tworzyliśmy, nadając jej nazwę Rady Głównej Opiekuńczej. Wytknąłem jej zasługi, nie wahając się też konstatować i jej wad. Podkreśliłem różnicę położenia, w którym

znajdujemy się obecnie po klęsce strasznej, której doznała Polska, a tym, które było naszym udziałem w pierwszej wojnie, gdy nadzieje na lepszą przyszłość były uzasadnionym motorem naszego działania. Uwypukliłem dobitnie trudności złączone z podjęciem akcji takiej w dobie obecnej i zachęcałem do podjęcia jej pomimo tych trudności i z energią, która zatryumfować musi i przynieść pozytywne rezultaty rozpoczętej akcji. W rezultacie uzyskałem jednomyślne pełnomocnictwo do dalszego działania w sensie postulatów opracowanych z panem MacDonaldem pod warunkiem ścisłego informowania o postępie prac i poczynionych krokach Komitetu, który zastrzegł sobie wpływ co do personalnego składu przyszłej instytucji.

Rozpoczął się szereg posiedzeń w Izbie Handlowej na ulicy Wiejskiej, których właściwie główną treścią stało się ustalenie owego składu personalnego i określenie w głównych przynajmniej zarysach form, w jakich byśmy chcieli przyszłą organizację widzieć. W tej ostatniej sprawie doszliśmy szybko do zgodnej decyzji, że dążeniem naszym być winno osiągnięcie statutu najbardziej zbliżonego do typu Rady Głównej Opiekuńczej z czasów pierwszej wojny światowej. Rozumiano, że Niemcy stosujący wszędzie system oparty na zasadzie wodzostwa niełatwo się na to zgodzą, polecono mi jednak o to walczyć, by instytucja nasza w swej pracy na jak najszerszych warstwach społecznych mogła się oprzeć. Wybór osób, zresztą w niewiadomej jeszcze ilości i bez określonych jeszcze ściśle zadań przedstawiał więcej trudności, które starano się pokonać na licznych zebraniach w gabinecie pana Andrzeja Wierzbickiego, który się tą sprawą nader gorąco interesował. W rezultacie oprócz mego nazwiska ustalone zostały jeszcze kandydatury księcia Janusza Radziwiłła i Henryka Kułakowskiego, prezesa Towarzystwa Solvay*, którzy wskazani zostali jednomyślnie poza przedstawicielem Czerwonego Krzyża Polskiego, który organicznie miał wchodzić w skład instytucji i na którego wyznaczoną została pani Adamowa Tarnowska, wiceprezes PCK. Stosunek do Czerwonego Krzyża określonym został w ten sposób, że traktowanym on miał być za instytucję współrzędną do nowo powstającej i że w statucie tej ostatniej należy osiągnąć, by ten wzajemny stosunek był dostatecznie wyraźnie podkreślony.

W międzyczasie nadeszły wiadomości o kształtowaniu się władz niemieckich dla terenu okupowanego przez Niemcy — Kraków został wyznaczony na ich siedzibę centralną, a dr Frank, minister Rzeszy, otrzymał nominację na wielkorządcę z tytułem Generalnego Gubernatora Okupowanych Ziem Polskich* (Generalgouverneur der Besetzten Polnischen Gebiete).

Przewidywany poprzednio na to stanowisko eksc. von Kraushaar otrzymał nominację na inny wysoki posterunek administracyjny w Rzeszy, ciągle zabiegający o kontakt ze mną pan Weiss von Ullog wyjechał do Berlina, by więcej nie powrócić, zaś przed odjazdem w czasie bytności u mnie stwierdził, że u władz wyższych stanowiących o linii postępowania w Polsce — wziął górę prąd wyraźnie wrogi dla Polaków, dążący do podporządkowania ich kompletnego Rzeszy i nie liczący się z żadnymi ich prawami do samoistnego bytu. Wyrazicielem tego prądu miał być mianowany na generalnego gubernatora dr Frank.

Niebawem cała Polska miała się przekonać o słuszności tych twierdzeń, ja zaś przedsmak tego, co nas czeka, miałem możność skonstatować już w samej formie zaproszenia, a raczej wezwania mnie do Krakowa dla narad w sprawie powstania instytucji pomocy społecznej w Polsce — oto w dniu 12 grudnia w czasie trwającego u mnie licznego zebrania wszedł na salę, gdzie się ono bez pozwolenia władz odbywało, przedstawiciel Gestapo i wręczył mi kopię depeszy do któregoś z dostojników niemieckich w Warszawie, w której stało, że ma on mnie wyprawić (in Marsch setzen), bym na dzień 13 grudnia stawił się w Krakowie w urzędzie generalnego gubernatora. Forma dobitnie ilustrująca kurs polityczny mający być stosowanym dla narodu klasy pośledniej, za jaki uznano naród polski.

W owym dniu 13 grudnia, dniu, który w życiu mym miał podwójne znaczenie, bo w tejże dacie w roku 1915 generał von Beseler* zatwierdził tworzoną przeze mnie wówczas Radę Główną Opiekuńczą*, stawiłem się w Krakowie, gdzie zastałem już panią Tarnowską i ku memu wielkiemu zdziwieniu panów Śliwińskiego i Machnickiego, którzy przyjechali w celu wyświetlenia formy dalszej egzystencji SKSS w Warszawie.

Osobą wyznaczoną do pertraktowania z nami, jak się okazało, był dr Arlt przewidziany na przyszłego szefa wydziału opieki społecznej we władzach Generalnego Gubernatorstwa. Był to człowiek młody zupełnie, pełen zapału dla swego fachu i starający się powierzone mu zadanie możliwie dokładnie i bez straty czasu wykonać. Weszedł on już przed naszym przyjazdem w kontakt osobisty z panem Stefanem Łopatto, wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Opieki Społecznej RP, człowiekiem wybitnie fachowym, a poza tym o wielkich zaletach charakteru i gorącym sercu.

Z panią Tarnowską, mną i panem Łopatto rozpoczął dr Arlt narady, które za punkt ciężkości miały konferencję w liczniejszym gronie, na której ja miałem referat o tym, jakbym sobie powstanie instytucji pomocy społecznej w owej chwili wyobrażał. Za podstawę do mych wywodów wziąłem naturalnie to, co mi dała doświadczenia w tej sprawie praca w Radzie Głównej Opiekuńczej w latach pierwszej wojny światowej oraz naturalnie te wskazówki, które w czasie obrad w Warszawie zostały mnie udzielone jako wytyczne przewidywanej nowej działalności na tym polu.

Miałem wrażenie, że ułatwiłem drowi Arltowi bardzo jego zadanie, dając mu projekt instytucji obmyślanej do szczegółów — ani on jednak, ani ja nie wiedzieliśmy jeszcze, z jakimi przy powstawaniu jej mamy spotkać się trudnościami, szczególnie dotyczącymi jej składu i statutu. Tymczasem wszystko zdawało się rozwijać po mojej myśli i według życzeń mych współtowarzyszy pracy, bo pani Tarnowska uzyskała dla PCK w projektowanej pracy to stanowisko i udział, o którym myślała, jako koniecznym dla tej instytucji, zaś pan Łopatto jakby automatycznie, a zgodnie z naszą wolą, stawał się jedynym poważnym kandydatem na dyrektora instytucji, którą dla podtrzymania dawnej tradycji nazywałem już Radą Główną Opiekuńczą.

Ponieważ dr Arlt potrzebował pewnego czasu dla przeprowadzenia oficjalnie sprawy zatwierdzenia przedstawionych przez nas postulatów, zapewne u wyższych władz Generalnej Guberni, a takowe nas do siebie na żadne narady nie wezwały, opuściliśmy Kraków, by w Warszawie na decyzje w powyższej sprawie oczekiwać.

Panowie Śliwiński i Machnicki prowadzili ze swej strony narady z przedstawicielami partii narodowo-socjalistycznej w Krakowie i o ile mi wiadomo, nie doszli z nimi do żadnych konkretnych konkluzji. Moje stanowisko w tej sprawie, którą w czasie spotkania w Krakowie poruszyliśmy, było wyraźne i przeciwne wchodzeniu w porozumienie z partią — bowiem liczenie się z istniejącą władzą, według mnie, było pewnego rodzaju koniecznością, zaś docieranie do partii i poddawanie spraw naszych jej opinii było już rzeczą wykraczającą poza zakres tego, co Polak w danej chwili dziejowej powinien był czynić.

Rok 1940-y rozpocząłem w Warszawie pod znakiem oczekiwania wiadomości z Krakowa od dra Arlta, z Berlina od pana MacDonalda, który przez czas dłuższy się nie odzywał i zostawiał mnie w nieświadomości co do rezultatu swych poczynań, a następnie upatrywania odpowiednich współpracowników dla mającej być niebawem rozpoczętej akcji.

W pierwszych dniach stycznia pan MacDonald odezwał się do mnie za pośrednictwem nadzwyczaj nam życzliwego konsula amerykańskiego Haeringa, z którym odbyłem szereg konferencji i od którego się dowiedziałem, że misja pana MacDonalda w Berlinie uwieńczoną została pomyślnym rezultatem, że otrzymał on wszelkie zezwolenia na rozpoczęcie akcji amerykańskiej w Polsce i że w końcu miesiąca delegaci z Ameryki wybierają się do Krakowa. Wyrażał on życzenie, by do tego czasu skrystalizowaną być mogła z władzami niemieckimi ostateczna forma, pod którą akcja pomocy będzie prowadzoną. Do sprawy zatwierdzenia odnośnych statutów nie chciał się on wtrącać, widział bowiem, że jest to ze strony władz nieprzychylnie widzianym, a swe postulaty i życzenia już nam w swoim czasie zakomunikował, prosząc, by się ich trzymać ściśle w pertraktacjach z władzami. Postulaty te naturalnie uważaliśmy za dyrektywy nas obowiązujące, których w interesie naszym własnym musieliśmy się trzymać.

Dobór odpowiednich ludzi do współpracy zdawałoby się nie powinien był przedstawiać większych trudności, chociażby ze względu na to, że wielu ludzi szczególniej z inteligencji było pozbawionych zajęcia lub piastowanych dotychczas posad i chętnie do pracy się garnęło. Wybór więc był duży, ale trudność głównie

polegała na tym, by uplanowawszy raz strukturę całej organizacji na przewidziane stanowiska postawić od razu odpowiednich ludzi — a pewności, że plan nasz przyjętym będzie, nie mieliśmy żadnej.

Zastanawiając się nad warunkami, w których pracować mieliśmy, i nad tymi trudnościami, które nam stawiane zapewne będą przy komunikowaniu się z całym krajem — powziąłem myśl, która później okazała się w praktyce nadzwyczaj pożyteczną, by powołać do życia przy prezesie Rady instytucję pełnomocników jemu tylko podwładnych, mającą za zadanie główne utrzymywanie ścisłego kontaktu pomiędzy centralą Rady a krajem całym. Na razie powziąłem zamiar powołania pełnomocników w liczbie odpowiadającej ilości dystryktów w Generalnej Guberni, czyli czterech, i postawienia nad nimi pełnomocnika głównego, który na początku cały ciężar regulowania pracy organizacyjnej, a następnie czuwania nad nią w całym kraju by wziął na siebie. Starałem się więc przede wszystkim na to najbardziej odpowiedzialne stanowisko w Radzie wraz z dyrektorem, jego zastępcą i sekretarzem generalnym upatrzeć odpowiednich kandydatów. Rozumowałem, że gdy ich znajdę odpowiednich, dalsze stanowiska już razem z nimi, i z nimi dzieląc się odpowiedzialnością, będzie można łatwiej obsadzić.

Poza panem Stefanem Łopattą, którego od spotkania w Krakowie na stanowisko dyrektora upatrzyłem i który od pierwszej tej chwili sekundował mi w pracy z prawdziwym zapałem i umiłowaniem sprawy, po szeregu konferencji przeprowadzonych w Warszawie upatrzyłem na stanowisko głównego pełnomocnika pana Antoniego Plater-Zyberka, zaś na sekretarza Rady pana Andrzeja Jałowieckiego, który miał co prawda wadę jedną, że był może zbyt młody, ale też z tą wadą ściśle połączone zalety — niepożytą energię, zapał i chęć do pracy, co przy wrodzonej wybitnej inteligencji dało nam w nim człowieka nieocenionego dla pracy tego typu, jaką prowadzić zamierzaliśmy.

Na sekretarza generalnego, czyli właściwie mego najbliższego współpracownika, upatrzyłem mego kolegę i przyjaciela pana Wojciecha Baranowskiego, nie dlatego, żebym zawsze był z nim w myśleniu i sposobie bycia zgodny, ale raczej dla tych różnic, które między nami istniały, uważałem bowiem, że na to stano-

wisko muszę mieć człowieka nie takiego, który złączony ze mną węzłami prawdziwej przyjaźni na niej krytykę swą opierać będzie i do niej mieć będzie naturalne prawo, zaś to, że ja byłem urodzonym optymistą i syntetykiem, a on pesymistą i analitykiem, powinno być pomocnym tylko dla znajdywania wspólnie tzw. złotego środka przy pobieraniu decyzji, nieraz, jak się okazało, bardzo trudnych.

Jednocześnie z tą pracą prowadziłem w dalszym ciągu narady, głównie z konsulatem amerykańskim, co do tego, jakie należy z naszej strony poczynić przygotowania, by pomoc już obiecana ze strony Ameryki mogła najskuteczniej i najszybciej być nam udzieloną. Stanęło na tym, że w końcu stycznia na pewno delegaci amerykańscy będą już w Krakowie i razem z nami wszystko w ostatecznej formie zadecydują.

Wezwanie do Krakowa ze strony władz niemieckich nastąpiło w dniu 18 stycznia. Zaraz następnego dnia tam wyjechałem i już w dniu 20-go spotkałem się w gmachu Akademii Górniczej w Krakowie, gdzie rezydował rząd Generalnej Guberni, z drem Sanne, pełnomocnikiem Czerwonego Krzyża Niemieckiego, który ze strony Berlina upatrzonym został na męża zaufania władz w stosunku do naszej instytucji, zaś ze strony amerykańskiej uznanym został za tego, na którego ręce i odpowiedzialność wszelkie dary z Ameryki wysyłane być miały. Ucieszyłem się bardzo z takiego obrotu rzeczy, gdyż znając z czasów mego posłowania w Berlinie* dra Sanne jako człowieka wyjątkowo zacnego, o pokroju ludzi ancien-regimu, wiedziałem, że praca jego będzie nam bardzo pomocną, a stosunek z nim nader przyjemnym. O słuszności mych poglądów na jego osobę przekonaliśmy się niebawem, gdy rozpoczęły się narady z władzami Generalnej Guberni w sprawie rozpoczęcia działalności, sposobu zatwierdzania wreszcie statutów, które Radę by obowiązywały. Ze strony tych władz wydelegowanymi byli dla prowadzenia obrad z nami naturalnie dr Arlt, kierownik wydziału opieki społecznej, i dr Westphal, przedstawiciel gestapo, człowiek o pozornie wykwintnych nawet formach, ale brutalny i odznaczający się zupełnym brakiem zrozumienia dla sytuacji naszej. Żeby nie obecność dra Sanne, niejednokrotnie znaleźlibyśmy się w sy-

tuacji wprost bez wyjścia. Toteż większą część czasu spędzaliśmy u niego w hotelu na naradach, jak uniknąć starć, niż na oficjalnych konferencjach w Generalnej Guberni.

Na życzenie dra Sanne opracowałem razem z panem Łopatto i przy pomocy ministra Juliusza Twardowskiego rodzaj deklaracji, w której ujęte zostały te kształty, jakie zamierzaliśmy nadać instytucji przez nas projektowanej, oraz te cele, którym ona służyć miała. Formy były przez nas bardzo zbliżone do tych, jakie miała statutowo i organizacyjnie Rada Główna Opiekuńcza czasu pierwszej wojny światowej, a więc zamierzaliśmy stworzyć Radę złożoną z 24 osób, z niej wyłonić zarząd w składzie 5 osób. Co do zakresu działania to w deklaracji tej zamieściliśmy te postulaty, które były wysunięte przez pana MacDonalda w imieniu naszych przyjaciół z Ameryki, a przede wszystkim ten, że instytucja pomocy musi być czysto polską w swym składzie. Co do zakresu niesienia pomocy podkreśliłem w mej deklaracji, że pomoc udzielaną będzie bez różnicy narodowości tym wszystkim, którzy tej pomocy potrzebować będą.

Deklarację tę złożyłem na ręce dra Sanne, który ze swej strony porozumiał się z drem Arltem i szefem tegoż, a prezydentem Głównego Wydziału Spraw Wewnętrznych drem Siebertem, i oświadczył mi, że sprawa jest jak najpomyślniej załatwioną.

Zapomnieli oni wszyscy zwrócić się jeszcze o akceptację projektu ze strony Gestapo i jej przedstawiciela dra Westphala — pociągnęło to za sobą dla mnie nader nieprzyjemną konsekwencję, bowiem już znajdującego się na dworcu kolejowym, by jechać do Warszawy, wezwała mnie policja do bezwarunkowego pozostania i do stawienia się dnia następnego rano do gmachu Generalnej Guberni.

Stawiwszy się tam dnia następnego o oznaczonej godzinie, znalazłem się na licznym zebraniu, gdzie oprócz władz cywilnych reprezentowane było Gestapo, w którego imieniu zabrał głos pod mym adresem ów dr Westphal. W sposób niebywale agresywny i tonem podniesionym oświadczył mi on, że nie dopuści do tego, by cośkolwiek było podpisanym bez aprobaty jego szefa Obergruppenführera Krügera, że zaś ten szef, stojąc na stanowisku praw obecnie w Generalnej Guberni obowiązujących, nie może zezwolić na żadne polityczne konwentykle lub akcyjne

towarzystwa, których formę nadaliśmy naszemu projektowi instytucji pomocy, że także przypomnieć musi o istniejących prawach rasistowskich, które nie pozwalają, by pomoc była udzielaną Żydom. Musi, według niego, w programie naszym być pełne uszanowanie praw wodzostwa i rasy. Prawo wodzostwa nie pozwalało na zbyt wielką ilość osób powołanych do instytucji, by nią kierować. Jedna, najwyżej trzy zupełnie wystarczyć powinny. Prawa i obowiązki względem rasy w Rzeszy ustanowione muszą być przez nas także przyjęte, twierdził on z całym przekonaniem o swej wyższości.

Już idąc na owo posiedzenie, domyślałem się, że nastąpić musi jakaś scysja i ostra wymiana zdań — mogłem to wnioskować ze sposobu zatrzymania mnie w Krakowie, jak również z nastroju, jaki zaistniał nagle u dra Sanne, zwykle bardzo opanowanego i spokojnego, a tym razem wysoce zdenerwowanego. Zastanowiwszy się nad tym, jakie mam ewentualnie zająć stanowisko, a raczej, jaką zastosować taktykę, postanowiłem możliwie w niczym bez walki i jasnego stawiania przez nas sprawy nie ustępować. Taktykę taką w ciągu całego czasu mej pracy w tej wojnie konsekwentnie stosowałem i pozostałem w tym przekonaniu, że była ona najwłaściwszą, szczególniej w stosunku do ludzi małej kultury, a przywykłych do brutalnego traktowania innych, jakimi Niemcy w olbrzymiej swej większości się okazali w czasie tej wojny.

Toteż wysłuchawszy oświadczenia dra Westphala, poprosiłem o głos i w przeciwieństwie do jego tonu, głosem spokojnym, ale dobitnym bardzo oświadczyłem, że przede wszystkim czuję się w obowiązku zwrócić uwagę drowi Westphalowi na to, że nie jestem głuchy, następnie, że planując organizację naszą tak, by ona mogła się oprzeć na ofiarności publicznej, musimy zaprosić do niej więcej osób ze społeczeństwa, by miało ono świadomość, że z nim się w działalności naszej liczyć zamierzamy, więc tutaj system wodzostwa, może gdzie indziej dający rezultaty, nie może być w całej pełni stosowanym — wreszcie co się tyczy tych, którym zamierzamy pomagać, to tutaj muszę złożyć oświadczenie, że niezależnie od tego, jakie system rasistowski wydaje przepisy, ja, widząc umierającego z głodu Polaka, Żyda, Niemca czy Ukra-

ińca, robić różnicy nie będę i każdemu uważać będę za swój obowiązek pomóc!

Przy tym ostatnim zdaniu mego oświadczenia dr Westphal zerwał się ze swego fotela, poszeptał coś z przewodniczącym drem Siebertem, ten zaś oświadczył, że jedzie na „Burg"* do generalnego gubernatora, nas zaś prosi o zaczekanie na ich powrót. Dopiero po półtorej godziny czekania dr Siebert wrócił do nas, ale już sam i oświadczył mi, że przywozi zgodę generalnego gubernatora na ilość członków w Radzie i jej organach od 5 do 7 i wyraża jego zgodę, byśmy przystąpili niezwłocznie do wypracowania projektu statutu i regulaminu dla Rady Głównej Opiekuńczej, której nazwę w tym brzmieniu polskim akceptowano także.

Celem przygotowania statutów, ustalenia ostatecznego składu osobowego Rady, wreszcie zdania panom naszym w Warszawie sprawozdania z tego, cośmy zdołali uzyskać w Krakowie, wyjechaliśmy z panem Łopattą do Warszawy dnia 26 stycznia i zaraz dnia następnego na posiedzeniu u pana Tarnowskiego w gronie osób złożonym z ks. Lubomirskiego, generała Grubera, prezesa PCK Lacherta i pana Machnickiego, działającego w imieniu SKSS, zdaliśmy dokładnie sprawę z przebiegu spraw w Krakowie i osiągnięć, które w zasadzie pozwalały na rozpoczęcie akcji Rady Głównej Opiekuńczej — RGO.

Wniosek mój natychmiastowego rozpoczęcia pracy, nie czekając bynajmniej na to, by statuty i regulaminy były formalnie zatwierdzone, a skład osobowy też formalnie akceptowany, przeszedł jednomyślnie. Toteż kilka dni, które wówczas spędziliśmy w Warszawie, zużytkowaliśmy skrupulatnie na to, by wszystko jeszcze nie załatwione ostatecznie z Komitetem Obywatelskim oraz z SKSS omówić i do pracy w Krakowie natychmiast przystąpić. Ustalono więc, że o przyjęcie prezesury RGO prosić będziemy księcia Janusza Radziwiłła*, że wiceprezesem będę ja i że ja główną część pracy złączonej z zarządem instytucji wezmę na siebie, że stosunek SKSS do tworzonej RGO na razie będzie pozostawionym bez ściślejszego określania wzajemnych uprawnień i że ja biorę na siebie poczynienie kroków potrzebnych u władz w Krakowie celem odmrożenia kapitałów dawnego Komitetu Pomocy Zimowej, które w sumie przeszło 13 milionów złotych leżały w bankach warszawskich i były przewidziane jako fundusz niezbędny dla kontynuowania działalności SKSS.

W dniu 1 lutego opuściłem Warszawę wezwany nagle przez dra Sanne do Krakowa dla przyjmowania delegacji amerykańskiej, która z Berlina nagle zakomunikowała o swym niezwłocznym przyjeździe.

Delegacja amerykańska składała się z dwóch osób, panów Gamble i Nicholsona, którym towarzyszył przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy, przedstawiciel tegoż ministerstwa na GG, pan Wühlisch i delegat Gestapo wszędzie nieodłączny. Przyjechali oni na bardzo krótką chwilę zaledwie, by się zapoznać z nami i ustalić postulaty, które przez nich stawiane być miały w Berlinie. Od pierwszej chwili spotkania skonstatowaliśmy u tych panów pełnię dobrej woli i chęci przyjścia nam z pomocą — ustalił się też od razu ich doskonały stosunek do dra Sanne, tak że z tej strony mieliśmy pewność daleko idącego poparcia i szybkiej pomocy. Przekonanie to nie odstąpiło nas ani na chwilę w ciągu całego stosunku z delegatami, którzy przyjeżdżając do nas często w innym składzie osobowym, reprezentowali w stosunku do nas zawsze tego samego ducha i te same przekonania.

Szczegółowe sprawozdanie z prac naszych w Warszawie i cały plan naszych zamierzeń uważałem za miły obowiązek złożyć wraz ze sprawozdaniem z pobytu delegatów z Ameryki Księciu Metropolicie Sapieże, któremu hołd i wyrazy czci złożyłem zaraz po pierwszym mym przyjeździe do Krakowa. Dopełniłem w ten sposób danej Mu wówczas obietnicy informowania Go stale i szczegółowo o przebiegu prac naszych, nad którymi prosiłem, by łaskawie zechciał objąć patronat. W wyczerpującej rozmowie, z której widocznym było, jak dalece Książę Metropolita sprawami powstającej Rady Opiekuńczej się interesuje, poruszony był cały szereg tematów, pomiędzy którymi na czoło wysunęła się sprawa zakresu działalności Rady, jej zamiar stania z dala od wszelkiej polityki, wreszcie omówienie kandydatur do niej z Krakowa, których ustalenie, przede wszystkim co się tyczyło osoby duchownej, która miałaby w niej wziąć udział, nie mogło być inaczej, jak w ścisłym porozumieniu z Księciem Metropolitą,

dokonanym. Na przedstawiciela duchowieństwa w RGO został nam przez Księcia Metropolitę wskazanym ojciec Romuald Moskała z Towarzystwa Jezusowego, zaś osoby dla wzięcia udziału w Radzie wskazane były następujące: prof. Władysław Wolter, dziekan wydziału prawnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, i pan Zygmunt Lasocki, były poseł w Pradze i Wiedniu, długoletni wiceprezes Stronnictwa Ludowego i zastępca Witosa. Zostali oni zaproszeni do Rady i wiele jej pracy poświęcili.

W tym czasie po porozumieniu z panem Ksawerym Pusłowskim zainstalowaliśmy się w pałacu jego przy ul. Andrzeja Potockiego nr 10 i tam, na razie w kilku pokojach, rozpoczęliśmy pracę naszą w gronie bardzo jeszcze nielicznym przyszłych pracowników RGO, do którego wchodzili pan Łopatto, dr Bobkowska, pan Antoni Plater-Zyberk, pan Henryk Potocki, późniejszy pełnomocnik RGO na okręg krakowski, wreszcie pan Andrzej Jałowiecki, z początku sekretarz, później wicedyrektor, w końcu dyrektor w Warszawie.

W dniu 18 lutego po przyjeździe do Krakowa pani Adamowej Tarnowskiej, przedstawicielki PCK w Radzie, celem ustalenia wzajemnych możliwie najściślejszych stosunków pomiędzy obydwoma instytucjami, zorganizowane zostało specjalne posiedzenie PCK w Krakowie dla ustalenia wszystkich dezyderatów tej instytucji i podzielenia się rolami. Ustalonym zostało, że wszystko, co dotyczyć będzie pomocy sanitarnej w najszerszym zakresie, będzie wchodziło w zakres działania PCK i Rada będzie swe zadania pod tym względem przekazywać mu do wykonania.

Dnia 21 lutego po przyjeździe do Krakowa ks. Radziwiłła odbyło się u pana Kułakowskiego posiedzenie, w którym wzięli udział panowie Radziwiłł, Kułakowski, ks. Moskała, pani Tarnowska i ja, jako przyszli członkowie Rady, i byli obecni także panowie Łopatto i Plater jako jej współpracownicy. Zebranie to, które przeciągnęło się na dzień następny, zostało uznanym przez obecnych, w porozumieniu zresztą z drem Arltem, za rodzaj zebrania konstytucyjnego Rady, bowiem od tego czasu liczy się faktyczna jej praca i wystąpienia nasze u władz nosiły już oficjalny charakter.

Celem zaznaczenia tego odbyliśmy razem z ks. Radziwiłłem szereg wizyt u osób takich, jak Książę Metropolita, minister Twar-

dowski ze strony polskiej, u dra Sieberta i dra Arlta, jako przedstawicieli władz niemieckich. W dniu 22 lutego celem omówienia ostatecznego planów pracy naszej z osobami miarodajnymi w Warszawie wyjechaliśmy tam i plany te uzgodniliśmy.

W czasie tego pobytu w Warszawie spotkała mnie tam niezwykła przygoda, jak mi się to wówczas wydawało. Oto idąc ulicą Szopena z generałem Zacharowem, moim przyjacielem, wpadliśmy pomiędzy dwa rzędy policji niemieckiej, która idąc od strony Alei Ujazdowskich i ul. Mokotowskiej zamknęła nam ulicę i wszystkich znajdujących się tam aresztowała. Pokazywanie przeze mnie dokumentów wystawionych mi przez władze w Krakowie na nic się nie zdało i pod groźbą uderzenia kolbą musiałem z moim przyjacielem pośpiesznie wskakiwać do samochodu ciężarowego, który zjawił się nieoczekiwanie po nas. Odstawiony na Pawiak razem ze 105 innymi osobami, byliśmy ustawieni w szereg na podwórzu więzienia i musieliśmy wysłuchać przemówienia wypowiedzianego przez owego oficera, który nas aresztował, a obecnie, krzycząc, nam oznajmił, że jesteśmy wzięci jako zakładnicy i że jeżeli w dzielnicy, w której mieszkamy, zdarzy się w najbliższym czasie jakiś zamach lub przestępstwo, to będziemy „pociągnięci do odpowiedzialności, oddani pod sąd i rozstrzelani". Słuchając tego oświadczenia, każdemu z nas przyjść musiało na myśl, że gdy mamy i tak być rozstrzelani, to po co tu potrzebny jest sąd. Przetrzymany zostałem na Pawiaku przez godzin kilka i na interwencję ks. Radziwiłła po południu z więzienia wypuszczony. Ten sam oficer, który mnie aresztował, odwoził mnie samochodem przysłanym przez gubernatora do domu i siedział w nim na ławeczce na przodzie, zabawiając mnie konwersacją prowadzoną tym razem głosem bardzo miłym. W pewnym momencie przed rozstaniem się zapytałem go szczerze, dlaczego rano słyszałem jego głos taki brutalny, gdy teraz mówi on ze mną zupełnie innym, krótką i wymowną była jego odpowiedź: „Tak, panie, to jest rozkaz" (das ist Befehl).

Trzy dni spędzone w Warszawie zużytkowaliśmy na narady z wieloma osobami, w pierwszym zaś rzędzie z panami Wierzbickim i Olszewskim, poza tym w ambasadzie amerykańskiej, gdzie konsul Haering oznajmił nam o zamiarze Kongresu Amerykańskiego wyasygnowania sumy dziesięciu milionów dolarów na po-

moc Polsce. Odbyłem też w Ambasadzie Amerykańskiej posiedzenie z panem Borensteinem, który został mnie przedstawionym, jako oficjalny reprezentant organizacji zwanej Jointem*, zajmującej się w imieniu Żydów amerykańskich niesieniem pomocy społecznej w najszerszym zakresie, i to nie tylko Żydom, lecz i innym narodowościom. Był to człowiek o wielkiej energii i inteligencji, umiejący zwalczać trudności piętrzące się w jego pracy — przez cały czas trwania naszej współpracy zachował się on w stosunku do Rady nadzwyczaj poprawnie, a w momentach, gdy stawały przed nami zagadnienia nieraz bardzo trudne do rozwiązania, umiejący zachować wielki umiar i spokój.

Po powrocie z Warszawy, w dniu 27 lutego, wziąłem się energicznie do pracy w RGO — leżało przede mną zadań wiele do rozstrzygnięcia, zaś przede wszystkim praca organizacyjna, więc przygotowanie i zatwierdzenie statutu i regulaminu Rady, organizowanie jej oddziałów w kraju całym, wreszcie ułożenie stosunku z Żydami i Ukraińcami, pomiędzy których mieliśmy w odpowiednim procencie dzielić dary mające nadejść z Ameryki — klucz podziału musiał być niezwłocznie ustalonym, bowiem pierwsze transporty odzieży były już w drodze. Wchodziła tu w grę nie tylko ta okoliczność, że chcieliśmy w postępowaniu naszym być sprawiedliwi i obiektywni, ale i konieczność liczenia się z dezyderatami ofiarodawców, którzy, gdy chodziło specjalnie o Żydów, chcieli ich specjalnie uprzywilejować, nie licząc się wcale z ich procentowym stosunkiem do liczby pozostałych mieszkańców. Gdy ten wynosił w całym kraju 10 do 10,5%, delegaci amerykańscy wymieniali procent 25, a dla Warszawy nawet 33 jako należny Żydom. Na skutek tego rodzaju oświadczeń mieliśmy wielkie trudności przy przeprowadzaniu sprawiedliwego podziału amerykańskich darów, pomimo nawet że ze strony Żydów mieliśmy do czynienia z ludźmi wyjątkowej miary. Do nich w Warszawie zaliczyć muszę przede wszystkim pana Gonera, społecznika znanego powszechnie ze swej ofiarności dla spraw żydowskich i polskich, i pana Czerniakowa*, prezesa gminy żydowskiej, zaś w Krakowie pana Bibersteina, prezesa gminy, i dra Hilfsteina, powszechnie w tym mieście szanowanych i zasłużonych obywateli. Przyznanie przez nas z początku dziesięciu procentów, jako normy dla dokonania podziału dla Żydów, było przez nich także z powodu

oświadczeń delegatów amerykańskich przyjęte z pewnym uczuciem wyrządzonej im krzywdy. Toteż po długich naradach z tymi panami stanęliśmy na tym stanowisku, że uznajemy nędzę Żydów zamieszkałych wyłącznie prawie w miastach za większą od nędzy Polaków i że uwzględniając tę okoliczność, stopę udziału procentowego wyjątkowo zwiększamy do 17%. Ta stopa obowiązywała przez cały czas pracy naszej w Radzie, gdy dary amerykańskie jeszcze nadchodziły.

Trudność dojścia do porozumienia z Ukraińcami okazała się jeszcze większą niż z Żydami, bowiem ze strony ich jako pełnomocnik występował pan Kubijowicz, dawniejszy wykładowca geografii w szkołach polskich w Krakowie, obecnie tak gorliwy nacjonalista ukraiński, że zasady sprawiedliwości dla niego, gdy chodziło o interes ukraiński, zdawały się nie istnieć. Ów pan, gdy się zjawił do mnie dla omówienia powyższej sprawy, nie wahał się procent Ukraińców w stosunku do Polaków w Generalnej Guberni, gdy do niej nie należała jeszcze Galicja Wschodnia, określić na piętnaście. Na moje kategoryczne oświadczenie, że tego rodzaju propozycji nawet pod uwagę wziąć nie mogę, urwały się pertraktacje z panem Kubijowiczem i gdy w imieniu Ukraińców przyszedł do mnie dr Sopulak, człowiek zupełnie innej miary, i wraz z marszałkiem Mudrym zaproponował arbitraż, zgodziłem się na niego, a to tym bardziej, że na arbitra zgodzili się wziąć zaproponowanego przeze mnie znawcę stosunków ukraińskich w Polsce, Stanisława Badeniego, używającego opinii wyjątkowo obiektywnego i sprawiedliwego człowieka nie tylko u Polaków, lecz także, jak się okazało, i u Ukraińców. Po przeprowadzeniu poważnych studiów określił on procent udziału Ukraińców w Generalnej Guberni na 5,5%. Po długich targach i ze względu na specjalnie upośledzone położenie tzw. Łemków, postanowiliśmy przyznać ryczałt udziału Ukraińców w darach amerykańskich na 7% i ten aż do przyłączenia Dystryktu Lwowskiego do Generalnego Gubernatorstwa był przez nas stosowanym.

Ze spraw natury politycznej, które w tym czasie nas bardzo przejmowały, wysunęła się na czoło sprawa profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, sprawa ta, która stała się jaskrawą ilustracją systemu stosowanego przez władze niemieckie w Polsce we

wszystkich niemal dziedzinach w sposób brutalny i nie liczący się z niczym.

Początek tej tak smutnej sprawy datuje od dnia 6 listopada 1939 r., gdy wszyscy profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zaproszeni zostali do auli uniwersytetu przez władze dla omówienia jakoby spraw związanych z rozpoczęciem nowego roku akademickiego, do którego, aczkolwiek bez formalnego zezwolenia odnośnych władz niemieckich, przygotowywano się w uniwersytecie. Gdy za wyjątkiem kilku, którzy z powodu złego stanu zdrowia, jak ks. biskup Michał Godlewski, stawili się do auli, bez żadnych wyjaśnień wkroczyła na salę policja, kazała wsiadać do aut, które nadjechały, i wywieziono wszystkich w niewiadomym kierunku*. Wkrótce się okazało, że jedni wywiezieni zostali do Sachsenhausen pod Berlinem, drudzy zaś do Dachau. Wrażenie faktu tego, który nigdy później nie znalazł ze strony władz żadnego pozytywnego wyjaśnienia, było wprost olbrzymie, gdyż pomimo już uwydatniającej się wszędzie brutalności tych władz w stosunku do Polaków — wszyscy skłonni byli jeszcze przypuszczać, że nie targną się one na przedstawicieli nauki, którą przecież, jak przypominano sobie to z pierwszej wojny światowej Niemcy nie tylko szanowali, ale wszędzie to jeszcze starali się podkreślać.

Jakie w dodatku było traktowanie tych najpoważniejszych przedstawicieli nauki polskiej w rękach niemieckich, stwierdza fakt, że na 106-u zesłanych, zmarło aż 17-u. Słabsi i delikatniejsi nie byli w stanie wytrzymać regimu obozów koncentracyjnych wyżej wymienionych, aczkolwiek jak się później okazało, nie były to jeszcze obozy najgorsze. Zupełnie naturalną było rzeczą, że żony zesłanych profesorów zwróciły się do mnie o pomoc RGO w kierunku ulżenia losowi ich mężów, no i wyjaśnienia sprawy całej oburzającej niepomiernie całą opinię publiczną polską. Mam czyste sumienie, że zrobiłem z mej strony wszystko, by nie tylko sprawę wyjaśnić, ale i pozytywnie załatwić. Pomimo że mnie wszędzie, gdzie kołatałem, zwracano uwagę, że sprawa ta nie należy do zakresu działania RGO, odpowiadałem zawsze to samo, że Rada musi się każdą sprawą interesować, gdzie ktoś cierpi, a tym bardziej tutaj, gdzie cierpią w naszym zrozumieniu ludzie zupełnie niewinnie, i to przedstawiciele nauki. I tutaj skonstatowałem po raz pierwszy

w mej długiej i tak ciężkiej praktyce z władzami niemieckimi, jak dalece władze te, już w tym momencie wojny, nie były jednolite ani w swych decyzjach, ani w poglądach. Osoby takie, jak dr Siebert, szef wydziału spraw wewnętrznych, czy dr Sanne albo dr Arlt były widocznie skłonne zrobić wszystko, by sprawę jak najprędzej zdjąć z porządku dnia, bo jej wprost się wstydzili — gdy jednak czynili kroki, by coś osiągnąć, rozbijały się ich wysiłki o zupełną nieustępliwość i milczenie władz Gestapo lub o perfidne odpowiedzi przedstawicieli władz wydziału oświaty, który to wydział przecież powinien był zająć w tej sprawie stanowisko. Hofrat Watzke, szef tego wydziału, gdy za poradą powyższych panów się do niego zwróciłem, nie tylko że mi sprawy nie wyjaśnił, ale skorzystał ze sposobności widzenia się ze mną, by mnie zrobić cały wykład o tym, jak to młodzież nasza polska wierzy jeszcze ślepo w Anglię — on, szef wydziału oświaty, nie otworzy jej ani uniwersytetu, ani innych wyższych uczelni, póki ona „na kolana nie upadnie". Gdy na zakończenie tych swych wywodów oświadczył mi, że ten moment niebawem przyjść musi, wstałem i odpowiedziałem, że wobec tego poczekamy (wir wollen abwarten). Nie czekałem zbyt długo, bo w parę już tygodni potem zostałem przez niego zaproszony na konferencję, w czasie której rozwinął mi on swój projekt co do szkół technicznych wyższych, które, jak Akademię Górniczą lub wydziały techniczne w Warszawie przy pomocy sił profesorskich politechniki zamierzał zorganizować. Rzecz ta później rzeczywiście została uskuteczniona, ale w sprawie profesorów głos szefa wydziału oświecenia nie dał się nigdy słyszeć i z jego strony tylko ze złą wolą, tak jak we wszystkim, co dotyczyło Polaków, się spotkałem.

W dniu 4 marca 1940 r. odbyłem w RGO posiedzenie specjalne z żonami profesorów zesłanych i owymi kilku profesorami, którzy, jak Kutrzeba i Lehr-Spławiński, zostali już szczęśliwie zwolnieni. Postanowiliśmy nie ustawać w zabiegach około zwolnienia nie tylko, jak to nastąpiło, kilku starszych, ale i dalszych. Księcia Radziwiłła, który przyjechał z powodu zapowiedzianej nowej wizyty delegatów amerykańskich, uproszono, by odpowiedni list do władz w sprawie profesorów zechciał wystosować, co też zaraz najchętniej uczynił. Nie wpłynęło to jednak widocz-

nie na szybsze rozwiązanie sprawy, która jeszcze miesiące całe się ciągnęła i nigdy zupełnie pozytywnie załatwioną nie została, bowiem kilku profesorów nigdy zwolnionych nie zostało.

W tymże dniu 4 marca 1940 przyjechali do Krakowa delegaci panowie Nicholson i Taylor w asyście, jak zwykle, przedstawiciela ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy pana Stahlberga. Ponieważ w końcu lutego nadeszły pierwsze transporty odzieży z Ameryki, zadaniem tych panów było w pierwszym rzędzie asystowanie przy podziale tej odzieży pomiędzy ludność. Podkreślali oni dobitnie znaczenie, które ma dla ich akcji udział ich osobisty w tej czynności, bowiem ofiarność amerykańska w wielkiej mierze zależną być mogła od tego, czy powszechnym stanie się przekonanie o tym, że dary docierają do tych, dla których były przeznaczone. Prosili więc, o ile możności, o liczne zdjęcia obdarowanych i dowody ich wdzięczności — toteż laurki, które obdarowane szkoły artystycznie wykonały i im przez delegacje dzieci szkolnych złożyły, widoczną im sprawiły radość. Przez kilka dni dokonywane były oględziny składów, przez RGO już urządzonych, następnie instytucji, które zajęły się dokonaniem podziału.

Pobyt delegatów amerykańskich poza przyjęciem skromnym wydanym przez nas w RGO przy ul. Potockiego, zakończony został tym razem w Kasynie śniadaniem urządzonym na ich cześć przez dra Arlta, a na którym licznie się stawili urzędnicy GG z wydziałów spraw wewnętrznych i opieki społecznej oraz Czerwonego Krzyża Niemieckiego z drem Sanne na czele. Na śniadaniu tym musiałem być obecnym, a wobec wygłoszenia szeregu mów i toastów zmuszony byłem także i głos zabrać. Po wyrażeniu wdzięczności pod adresem Amerykanów za ich szczodrą i już urzeczywistnioną pomoc wzniosłem toast na cześć ludzi dobrej woli, którzy nam w ciężkiej rozpoczętej pracy chcą pomagać, i w ten sposób szczęśliwie wybrnąłem z sytuacji, w której pić zdrowia urzędników niemieckich nie chciałem, a milczeć także nie mogłem, gdy pod mym adresem przemawiano i pito me zdrowie.

W dniu 9 marca wyjechałem z Platerem do Warszawy dla urządzenia tam również zwiedzania instytucji i asystowania podziałowi darów przez Amerykanów, którzy dnia następnego tam przybyli. W hotelu Europejskim urządzili panowie Nicholson

i Taylor przyjęcie dla nas, zaś dnia następnego po dokonanych wizytacjach ks. Radziwiłł przyjął ich herbatką, na której zgromadziło się grono ludzi poważnych pragnących spotkać się z tymi, którzy pierwsi czynnie przyszli z pomocą Polsce. Zebranie przeciągnęło się prawie do chwili wyjazdu panów delegatów amerykańskich do Berlina. Wrażenia odniesione przez wszystkich obecnych były takie, że chwilowo jakby zapomniano o zmorze okupacji i tego wszystkiego, co niosła ona ze sobą, jakby pewien powiew optymizmu dał się wyczuć, a to dzięki głównie taktowi i pełnej dobrej woli, jaką we wszystko wnosił ze swej strony dr Sanne, przedstawiciel Czerwonego Krzyża Niemieckiego.

Pomimo dotychczasowego wprost minimalnego składu osobowego pracowników Rady praca jej, w owych kilku pokojach na ul. Potockiego w Krakowie, postępowała bardzo energicznie naprzód i przybierała coraz więcej charakter walki o prawa należne takiej instytucji. Do sekundowania mi w tym przybyła w tym czasie niepoślednia siła nowa w osobie pana Andrzeja Jałowieckiego, który objął sekretariat RGO. Sekretarzem prezydium został pan Henryk Janko, człowiek wyjątkowej sumienności, z całym oddaniem się sprawie pracujący z nami.

Oprócz załatwiania spraw, które dzień każdy ze sobą przynosił, i pomimo tego że Rada jeszcze w ostatecznej swej formie nie była skrystalizowaną, musiały być załatwiane — trzeba było przede wszystkim dążyć do zakończenia tych, które by istnienie Rady postawiły na właściwy fundament, więc w pierwszym rzędzie należało napisać i zatwierdzić jej statut i regulamin. Jakiego gatunku była praca około tych dwóch rzeczy dobitnie ilustruje to, że na ostatnim zatwierdzonym nareszcie projekcie statutu figuruje numer 56, czyli że tyle razy projekt ulegał zmianom, zanim dopłynęliśmy nareszcie do portu. Trwało to przeszło cztery miesiące, a ewolucje przebywane przybierały nieraz nieprawdopodobne po prostu formy. Statut ostatecznie zatwierdzono dopiero w maju 1940. Jeżeli zastanowić się krytycznie nad jego formą, przedstawia on coś w rodzaju „dziwoląga prawnego", jak go określił współpracujący z nami w tej sprawie mecenas Rowiński, jeden z najpoważniejszych prawników krakowskich i ich senior. Ponieważ z doświadczenia dobrze wie-

działem, jak najczęściej realna praca odbiega od statutami określanych jej granic, przyznaję się, że nie przejmowałem się tym za bardzo, jak to czynili inni — okazało się dopiero w praktyce, jak dalece miałem rację, statut bowiem nasz spoczął spokojnie w szufladach naszych biurek, a życie samo zakreśliło zasięg naszej pracy. Ale pracy włożono wiele, chociażby w przepisywanie tylu wydań statutu i regulaminu, a ile trzeba było stracić czasu na narady z władzami i utarczki z nimi, trudno sobie wyobrazić nawet. Z tej strony poznaliśmy z bliska tajniki organizacyjne systemu narodowo-socjalistycznego.

Drugim terenem walki przejmującej mnie specjalnie znacznie więcej od tej, którą prowadziliśmy w sprawie statutu, była sprawa interwencji, każdy bowiem, którego coś bolało, a przecież tych bolączek było wtedy tak wiele, biegł do nas jako do jedynej instytucji, która według wyraźnego zdania opinii publicznej w kraju miała obowiązek przynajmniej postarać się zaradzić złemu. Spraw tego rodzaju była ilościowo liczba wprost olbrzymia, a zakresem swoim obejmowały one wszystkie dziedziny życia, tak pełnego niepokoju i trosk czasu wojennego.

Przyjąwszy zasadę przyjmowania osobiście wszystkich zgłaszających się do mnie ze swoimi bólami, wiedziałem o nich dokładnie, i pomimo że władze starały się w nas wmówić, że nie posiadamy prawa interwencji, lekceważąc — i chyba słusznie — to ich zapatrywanie, starałem się w każdej ważniejszej sprawie zaradzić albo co najmniej ulżyć cierpieniom, których obraz jaskrawy miałem przed sobą roztaczany z pierwszego źródła. Nie zawsze się to udawało — ale dla petentów samo uczucie, że mają przed kim swe bolączki przedstawić i że robionym jest wszystko, by im zaradzić, było bez wątpienia rzeczą ważną, toteż pomimo że mi to wiele czasu zabierało, nigdy w tym nie ustawałem. Naturalnie najtrudniejszymi były interwencje w sprawie skazanych, które to sprawy znajdowały się w rękach Gestapo, ale i tutaj często na drodze wykorzystywania posiadanych już stosunków udawało się nieraz ulgę przynieść.

Sprawa zaopatrzenia RGO w odpowiednie środki finansowe potrzebne niezbędnie, by chociaż minimalnym potrzebom zaradzić, była następnym terenem walk toczonych przez nas. Były

one nieraz i tutaj bardzo zacięte, gdyż władze niemieckie zdawały się być przekonania, że dając nam prawo istnienia, a zagarniając wszelkie podatki, nawet te, które na cele pomocy społecznej były wyraźnie przeznaczone, zrobiły już swoje, a o funduszach dla Rady powinni myśleć Amerykanie, no i społeczeństwo polskie samo — tymczasem Amerykanie, dostarczając nam żywności, odzieży i medykamentów, o zasiłkach w gotowiźnie przestali nawet zupełnie wspominać, zaś społeczeństwo polskie nie spieszyło się na razie z ofiarami, do których dopiero trzeba było je pobudzić, uprzednio zorganizowawszy należycie samą działalność RGO i jej placówki w kraju.

Zawód najboleśniejszy spotkał mnie ze strony czynników polskich za granicą, od których miałem przyobiecane idące w dziesiątki milionów złotych zasiłki, potwierdzone w listach do mnie przez generała Sikorskiego i prof. Kota* pisanych, a które nie nadchodziły zupełnie.

Czas tymczasem płynął i nasuwała się konieczność dla powagi samej instytucji regulowania zobowiązań w jej imieniu chociażby wobec urzędników zaciągniętych. W tych warunkach nie miałem innej rady dla zażegnania katastrofy, jak porozumiawszy się z bankami, które wiele dobrej woli i zrozumienia dla sytuacji wytworzonej wykazały, wziąć tymczasem całą stronę finansową pracy na swą osobistą odpowiedzialność i robić wysiłki w kierunku jak najszybszego zorganizowania Rady tak, by zyskawszy zaufanie kraju, z niego mogła ona czerpać potrzebne fundusze.

Zadanie organizacji kraju powierzonym zostało, jak już to wyżej podkreśliłem, pełnomocnikom Rady z głównym pełnomocnikiem Antonim Plater-Zyberkiem na czele — wzięli się oni do tego nader trudnego zadania z całą energią i z całym wartym tego zapałem. Panu Marianowi Baehrowi powierzyłem Okrąg Warszawski, poza samą Warszawą, panu Józefowi Hołyńskiemu — Okrąg Radomski, panu Henrykowi Potockiemu — Okrąg Krakowski, a w następstwie panu Henrykowi Woronieckiemu najpóźniej organizowany Okrąg Lubelski. Ja wziąłem na siebie dojeżdżanie jak najczęstsze tam wszędzie, gdzie moja obecność — czy ze względu na trudności z władzami, czy też na trudności decyzji co do doboru osób — była potrzebną.

Jedną z pierwszych wycieczek tego rodzaju odbyłem z panią Tarnowską i panem Henrykiem Potockim w kierunku Przemyśla. W czasie tej podróży odwiedziliśmy Łańcut, gdzie właściciel pan Alfred Potocki razem ze swoją matką postawili się niezwłocznie i ofiarnie do dyspozycji dla organizowania pomocy w powiecie — niebawem powstały tam kuchnie dla kilkuset uchodźców z Poznańskiego, poradnie dla dzieci, ochronki i inne zakłady, które wzorowo prowadzone, szybko mogły służyć za przykład, jak tego rodzaju pomoc społeczną należy organizować i prowadzić. Wielu innym też za przykład stawianą by być mogła ofiarność właścicieli Łańcuta.

Następnie byliśmy w Jarosławiu, gdzie książę Andrzej Sapieha zorganizował energicznie pomoc dla wysiedleńców napływających falą z Poznańskiego — mieliśmy sposobność wysłuchania ich sprawozdania o przebytych klęskach i skonstatowania, z jakim męstwem umieją oni znosić tak straszną dla nich odmianę losu i prześladowania z tym złączone. Wreszcie w Przemyślu odwiedziliśmy ks. biskupa Bardę, nader przybitego i zbiedzonego warunkami, w których się znalazł. Wszędzie inicjowaliśmy powstawanie placówek RGO, dając na to bardzo skromne zasiłki i zachęcając do podejmowania inicjatywy i wytrwania.

Następny wyjazd, złączony z organizowaniem placówek Rady, odbyłem do Radomia, powierzając pracę organizacyjną znanemu ze społecznej działalności na szeroką skalę ks. prałatowi Ściskale.

W drodze powrotnej jechałem na Warszawę, gdzie z ks. Radziwiłłem i panem Stanisławem Wachowiakiem odbyłem narady w sprawie organizowania Warszawy, a właściwie nad sposobami zmierzającymi do utrzymania istniejącego tam dawniejszego komitetu pomocy — SKSS i uzgodnienia jego pracy z RGO.

Przed liczniejszym gronem osób w stolicy zdawałem też po raz pierwszy obszerniejsze sprawozdanie z prac organizacyjnych Rady i jej zamierzeń na najbliższą przyszłość.

Naturalnie nie zaniedbywaliśmy też pracy około stworzenia i miejscowej placówki Rady w Krakowie, co do której narady odbywały się często u Księcia Metropolity Sapiehy, on bowiem stał na czele tzw. Komitetu Biskupiego Społecznej Pomocy w Krako-

wie i bardzo powstawaniem nowej placówki był zainteresowany. Na jego życzenie, zresztą zupełnie zgodne z naszym, postanowiliśmy powierzyć prezesurę placówki krakowskiej, później nazwaną Polskim Komitetem Opiekuńczym panu Zygmuntowi Lasockiemu, członkowi Rady i długoletniemu działaczowi ludowemu, zaś dyrektorem tego Komitetu zrobić pana posła Stanisława Rymara, znanego w Krakowie działacza narodowego i bardzo czynnego także w pracy społecznej.

Z prac dokonywanych w tym czasie była jedna, która pochłaniała nam czas i wymagała wiele wysiłków, a w rezultacie nie dała oczekiwanych rezultatów, była to sprawa repatryjacji Polaków spod okupacji sowieckiej — miała to być jakby wymiana tych, którzy tam chcą pojechać, na tych, których myśmy chcieli w kraju mieć z powrotem. Odpowiednia komisja niemiecko-sowiecka zażądała od nas listy osób uprawnionych do powrotu — sporządziliśmy tę listę, obejmującą 13 tysięcy nazwisk, z wymienieniem szczegółowym personalii, i przesłaliśmy ją do Przemyśla, gdzie dokonywaną być miała wymiana. Niestety, tylko pierwszych kilka tysięcy (około trzech) osób wymienionych na tej liście zostało przez Sowiety wypuszczonych i mogło do kraju powrócić. Nieporozumienia z komisją niemiecką, które aż o Moskwę się oparły, skończyły się na tym, że prawie wszyscy ci, którzy w Przemyślu nie przedostali się przez granicę w pierwszych czasach funkcjonowania owej komisji wymiany, zostali wysłani na wschód i nie wiadomo, czy dotąd nie pędzą ciężkiego żywota w Kazachstanie lub innych częściach Syberii, padając ofiarą perfidii Sowietów.

Jeżeli do powyżej wymienionych prac naszych z tego okresu początkowej działalności RGO dodamy, że na szeregu posiedzeń odbytych u dra Sieberta lub z jego pomocnikami, specami prawnymi lub administracyjnymi, ustalono nareszcie, że Żydzi i Ukraińcy nie będą wchodzili do składu RGO, ale że wytworzoną zostanie instytucja, jakby nadrzędna, pod nazwą Rady Naczelnej Opiekuńczej*, do której składu wejść miało z RGO pięciu Polaków, poza tym dwóch Żydów i jeden Ukrainiec — to będziemy mieli, aczkolwiek powierzchowny, ale stosunkowo wierny obraz prac przez nas prowadzonych w okresie organizacyjnym. Dobiegł on swego końca około połowy maja 1940 roku, ustępując miejsca

pracy nie mniej intensywnej, ale już względnie zorganizowanej i opartej na pewnych podstawach prawnych.

Dla jasności obrazu, a raczej dla jego większej wyrazistości brakowałoby tylko podmalowania właściwego politycznego tła tworzonego przez wypadki polityczne w tym czasie się rozgrywające.

Po błyskawicznym — jak je ze strony niemieckiej lubiono nazywać — zwycięstwie nad Polską i zabezpieczeniu się ze strony Sowietów, Niemcy, zdawało się, bez zbytecznego pośpiechu gotowały się do uderzenia na zachodzie, którego to uderzenia oczekiwano powszechnie na wiosnę 1940 r. Tymczasem starały się wyzyskać, o ile się tylko dało, warunki gospodarcze zawartej z Sowietami umowy i eksploatować Polskę w sposób możliwie intensywny i bezwzględny. Stosunek do podbitych Polaków, jak już niejednokrotnie wspominałem, był wysoce brutalny. Dla tej jego formy starano się wszelkimi sposobami znaleźć podkład faktycznej winy ze strony Polaków, którzy ukarani być musieli za wyczyny takie, jak „masakra Niemców" w Bydgoszczy, którą rozdmuchano i wyolbrzymiono do rozmiarów dalekich od prawdy. Ci sami Niemcy, którzy od swoich rodaków wymagali zaparcia się siebie zupełnego dla miłości ojczyzny, gdy Polak odznaczał się patryjotyzmem i walczył za Ojczyznę swoją, uważali go za przestępcę, którego wtrącano do obozów koncentracyjnych i męczono wyrafinowanie tak długo, aż życie lub co najmniej zdrowie położył w ofierze. Brutalność w postępowaniu i buta w zachowaniu były takie, jakby Niemcy stali się faktycznie jedynymi panami świata i mieli prawo, dzięki swej niezaprzeczalnej wyższości nad wszystkimi narodami świata, o losach jego stanowić. W tym początkowym okresie wojny, i zaledwie na początku swych sukcesów, Niemcy, w szczególności zaś ci, którzy mniejsze pomiędzy nimi zajmowali stanowiska, byli przekonani i nastawieni tak, jakby przychodzili do Polski, by ją ukarać za czyny, których właśnie ona nie popełniła, jak napad niespodziewany na Niemcy i rozpoczęcie wojny, zerwanie umów itp., gdy właśnie nie kto inny, a oni czynów tych dokonali i umowę z Polską, mającą jeszcze obowiązywać przez lat pięć, zerwali.

Naturalnie stosunek do tak nastawionego i do sadyzmu jakby zachęcanego i szkolonego narodu musiał być innym niż do owych Niemców, których się znało z czasów pierwszej wojny światowej. Wówczas można było ich nie lubić za ich szorstkość lub surowość w obejściu, ale musiało się ich szanować za ich zalety, które mieli niewątpliwie. Słowo u nich obowiązywało, gdy raz istniało jakie prawo, postępowano z nim zgodnie, a naukę i pracę szanowano i uznawano nie tylko u siebie, ale i u swych przeciwników. Te wszystkie ich zalety, jak się później dobitnie przekonaliśmy, znikły bez śladu, ustępując miejsca jakiemuś ubóstwianiu siebie samych i uznawaniu za obowiązujące prawo tylko to, co narodowi niemieckiemu w tej czy innej formie mogło być pożytecznym. Jak mi jeden z wybitnych Niemców, zresztą przeciwnik regimu, ale znawca jego, mówił — Niemcy nauczyły się co prawda maszerować, ale zatraciły duszę.

Z takimi Niemcami mieliśmy w pracy naszej do czynienia — toteż praca ta była strasznie ciężką, wymagała wielkiego opanowania siebie, ale i takiego postępowania, by tym Niemcom w tej czy innej formie mogła imponować. Była już to właściwie nie praca, a stała walka, jak to chyba nie bez słuszności powyżej wspomniałem — każdą najdrobniejszą, bezwzględnie słusznie nam należną rzecz trzeba było wywalczyć, tracąc swe siły i czas na to, gdy inne ważniejsze sprawy ich potrzebowały i czekały na załatwienie.

Prawda, spotkaliśmy się niejednokrotnie z ludźmi, którzy takiego stanu rzeczy i postępowania nie uznawali za słuszne i wprost nie rozumieli, lecz nie mieli dostatecznie siły czy odwagi, by swój punkt widzenia przeprowadzić. Czułem, jak nieraz w rozmowie ze mną tacy ludzie, jak von Wühlisch lub dr Sanne albo dr Siebert, którzy byli na wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach, wstydzili się po prostu tego, co czynią ich rodacy w Polsce, rozumieli całą krzywdę wyrządzaną Polakom, ale też i Niemcom przez obniżanie ich prawa do miana narodu kulturalnego. Dla nich jasnym było, że w razie powinięcia się nogi nastąpić musi straszny i usprawiedliwiony odwet, ale nie zdobyli się na więcej, jak na tłomaczenie nam, że do Polski byli przysyłani ludzie pośledniejszej klasy, zaś nie umieli wpłynąć na zmianę po-

glądów sfer miarodajnych, na których przecież rozkaz działo się to wszystko.

Posłuszny temu rozkazowi generalny gubernator dr Frank wypowiadał przy każdej okazji mowy mające za wyraźny cel obrażanie Polaków, których zaliczał do narodu niewolników — obiecywał im tysiąc lat niewoli i skreślenie raz na zawsze z mapy Europy ich państwa, zaś wszystko, co było piękne w naszym kraju, udawadniał, że jest lub być musi niemieckiego pochodzenia.

O państwie polskim i potrzebie jego istnienia ostatni raz wspomnianym było w mowie Hitlera wypowiedzianej w Gdańsku w dniu 6 października 1939 r. po pobiciu Polski — mowa ta miała za cel udowodnienie Anglii, że nie istnieje już obiekt sporu pomiędzy nią i Niemcami, a państwo polskie zostało wymienione raczej dlatego, by Anglii nie drażnić, niż żeby coś Polakom obiecywać.

Miesiąc maj tego roku 1940-go odznaczył się wielką i gorączkową pracą w RGO i zakończony został wybuchem przesilenia w Radzie.

Rozpoczął się on przyjazdem tym razem przedstawicieli Amerykańskiego Czerwonego Krzyża panów Taylora, House i Schaeffera, których przybycie, poprzedzone nadejściem nowego wielkiego transportu darów, odznaczyło się wielką serdecznością i urozmaiceniem — przyjmowano nadeszłe transporty na kolei, zwiedzano instytucje charytatywne polskie i żydowskie, odbywano posiedzenia w RGO na ul. Potockiego, wreszcie zakończono narady na przyjęciu urządzonym przez Amerykanów w Grand Hotelu. Tematem, który głównie wypełnił porządek dzienny, były sprawy dla nas bardzo ważne, ustalenia ostatecznego zasad podziału i formy kontroli nad naszą działalnością, zmierzającą do możliwego wyeliminowania mieszania się w sprawy nasze władz niemieckich.

Skorzystałem też z przyjazdu ks. Radziwiłła z Warszawy, by z nim razem być u dra Sieberta, szefa Wydziału Spraw Wewnętrznych w Generalnej Guberni dla omówienia ostatecznego, jakby należało przypuszczać, sprawy zatwierdzenia statutu i regulaminu RGO oraz wypływającej wówczas po raz pierwszy na porządek dzienny sprawy zatrudnienia Polaków jako robotników w Rzeszy.

Jak się okazało, statut nie mógł być zatwierdzonym, bo nie był w nim dostatecznie jasno ustalony stosunek RGO do Czerwonego Krzyża Polskiego, sprawa robotnicza zaś przedstawiała się całkiem groźnie — poza tym cały szereg spraw, a między nimi w pierwszym rzędzie sprawa profesorów jeszcze uwięzionych, utknęło na martwym punkcie i nie mogło się doczekać załatwienia.

Zdesperowani tym stanem rzeczy postanowiliśmy się zwrócić do dra Sanne, pełnomocnika Czerwonego Krzyża Niemieckiego, z przedstawieniem sytuacji i by przed uczynieniem decydującego kroku jego rady, zawsze życzliwej i rozumnej, zasięgnąć. Pomimo że był on chorym i leżał w szpitalu, nie wahał się on nas tam przyjąć i załatwił zgodnie z naszym życzeniem sprawę redakcji paragrafu statutu RGO odnoszącego się do Polskiego Czerwonego Krzyża. Okazał się jednak tym razem wielkim pesymistą co do ogólnego stanu rzeczy, opartego o coraz bardziej nieprzychylny kurs w stosunku do Polaków. Chcąc nie pozostawać biernym widzem w tym wszystkim, ks. Radziwiłł powziął myśl napisania o wszystkim do marszałka Göringa, którego znał dobrze czasu pokoju ze wspólnych polowań. Odpowiedni list został przez księcia zredagowany i wysłany do Berlina, by jednak nie zaskoczył on władz w Krakowie, postanowionym zostało, że odwiedzimy panów von Wühlischa, jako przedstawiciela ministerstwa spraw zagranicznych, i dra Bühlera, sekretarza stanu i zastępcę generalnego gubernatora Franka, i o treści powyższego listu im zakomunikujemy. O ile von Wühlisch przyjął treść przeczytanego mu pisma spokojnie do wiadomości i chętnie o wszystkim się informował i rad udzielał — to reakcja sekretarza stanu Bühlera na ów list była nader gwałtowna. Uważał on nawet za wskazane uprzedzić ks. Radziwiłła, że o ile z Berlina nadejdzie w tej sprawie zapytanie, będzie on zmuszony zająć co do niej stanowisko. Poruszonej przez nas sprawy robotniczej nie chciał nawet z nami omawiać, skierowując nas do szefa wydziału pracy dra Frauendorfera, jako osoby jedynie kompetentnej. Sprawa ta tymczasem leżała nam bardzo na sercu i stała się najważniejszym tematem narad naszych tak z Księciem Metropolitą i przedstawicielami polskiego społeczeństwa, jak też i władz, które ogólnie biorąc, nie bardzo jeszcze wiedziały, jakie w niej zająć stanowisko — była bowiem ta sprawa jeszcze w owym stadium, gdy jedynie

w Polsce, która była we władaniu niemieckim, mogła być zapoczątkowana, była ona jednak bez precedensu i w zasadzie uważano ją za gwałt czyniony obowiązującym prawom pomiędzy okupantem a krajem zajętym.

Ku memu wielkiemu zadowoleniu i poniekąd nawet zdziwieniu spotkanie moje z drem Frauendorferem w tej sprawie upoważniało mnie do wnioskowania, że mam do czynienia z człowiekiem o wysokiej kulturze, a co najważniejsze dla nas, dokładającym wszelkich sił, by całą sprawę robotniczą w Polsce oprzeć na porozumieniu ze społeczeństwem polskim, a nie wbrew jego woli ją poczynać. Po rozmowie tej doszedłem do przekonania, że muszę się porozumieć w Warszawie, jakie propozycje byłyby do zrobienia w sprawie robotniczej lub jakie, nam zrobione, można by ewentualnie przyjąć. Rezultatem tych ze wszystkimi miarodajnymi czynnikami przeprowadzonych narad był wniosek jednomyślnie przyjęty, że należy się bronić jak najenergiczniej przeciwko zabieraniu Polaków do Rzeszy, zaś w razie gdyby się nie udało sprawy tej całkowicie zażegnać, wytargować warunki jak najlepsze.

Za tej mej bytności w Warszawie brałem też udział w posiedzeniu z najpoważniejszymi przedstawicielami Żydów w stolicy panami Gepnerem, Borensteinem i Weichertem*. Posiedzenie to odbyte na zaproszenie ks. Radziwiłła u niego miało przebieg nader poważny i na wysokim poziomie. Ustalonym zostało, że tak my, Polacy, jak i przedstawiciele Żydów wszystkie łączące nas sprawy będziemy załatwiali tak, by wykluczyć mieszanie się do nich ze strony władz okupacyjnych niemieckich — pan Gepner wygłosił przy tej sposobności przemówienie, w którym podkreślił, że nie umie on w sobie odróżnić Polaka od Żyda i że przez cały czas swej działalności filantropijnej w Polsce, dając na cele społeczne i dobroczynne, nigdy nie robił różnicy pomiędzy Polakami i Żydami. Posiedzenie to przyczyniło się bardzo do ustalenia na przyszłość bardzo dobrych stosunków z przedstawicielami społeczeństwa żydowskiego, którzy tak w Warszawie, jak w Krakowie występowali wobec władz niemieckich zupełnie solidarnie z nami i reprezentowani byli w naszych organizacjach przez ludzi zasługujących z naszej strony na pełnię szacunku i uznania. Prawda, że też z naszej strony

od pierwszej chwili współpracy naszej stanęliśmy niewzruszenie na stanowisku zupełnie obiektywnego traktowania spraw żydowskich i bronienia ich z tą samą energią i przekonaniem, jak to czyniliśmy w sprawach polskich. Na wdzięczność ze strony żydowskiej nie liczyliśmy, jak liczyć na nią nigdy nie trzeba w sprawach pomocy społecznej, a jednak liczne dowody tej wdzięczności mogłem stwierdzić i była mi ona właśnie, jako nieoczekiwana, nader cenną.

Wróciwszy w dniu 15 maja do Krakowa, zostałem na wstępie zaalarmowany wiadomością, że władze Gestapo w osobie kryminalnego radcy Gansa wzywają nas, a więc ks. Radziwiłła i mnie, do stawienia się dnia 16-go o godz. 12. Wezwany telefonicznie ks. Radziwiłł przyjechał dnia tego z rana i o oznaczonej godzinie udał się ze mną do pana radcy, który nosił ów dźwięczny tytuł niemiecki „Kriminalkomissar" i był znany w Krakowie ze swego wrogiego do Polaków nastawienia. Już z samego sposobu przywitania i postawienia nam pytań widocznym było, że opinia, której używał, nie była przesadzoną. Przez półtorej godziny byliśmy wystawieni na grad zapytań takiej treści, jak pod adresem ks. Radziwiłła, skąd on doszedł do tego, by pisać listy do marszałka Göringa, a pod moim, dlaczego ja właśnie zajmuję się sprawami pomocy społecznej dla Polaków w Generalnej Guberni? Po południu drugie półtorej godziny musieliśmy u tegoż pana Gansa czekać na wygotowanie protokółu z rannego przesłuchania i na podpisanie tegoż —jasnym nam było, że wszystko się obraca około listu ks. Radziwiłła do marszałka Göringa i że ten list chciano by bardzo móc uważać za przestępstwo. Gdy po tej wizycie udaliśmy się do von Wühlischa, by zorientować się, co czynić należy, przyjął on nas nadzwyczaj co prawda uprzejmie, ale wyjaśnień żadnych czy nie chciał, czy też nie mógł udzielić — wyraził tylko swą obawę, że ta sprawa listu może przyjąć formy niepożądane dla nas w tym momencie.

W trzy dni później zostałem wezwany do dra Sieberta, szefa wydziału spraw wewnętrznych w GG, który omówiwszy ze mną sprawę nieszczęsnego statutu naszego, który wciąż jeszcze nie był zatwierdzonym, i sprawę robotniczą — poufnie mi zakomunikował, że sprawa listu ks. Radziwiłła przybiera o tyle złą dla nas formę, że jako jej skutek może być odmowa uznania

ks. Radziwiłła na stanowisku prezesa RGO — bowiem zgodnie z przyszłym statutem RGO wybiera swego prezesa, ale na to, by on mógł wejść urzędownie, zgoda władz jest potrzebną.

Tymczasem sprawa robotnicza coraz konkretniejsze przybierała formy, bowiem rozmowy prawie codzienne prowadzone przeze mnie z drem Frauendorferem tak dalece posunęły sprawę, jak mi się zdawało, na naszą korzyść, że do decyzji można już było dojść bardzo szybko. Gdy więc z ramienia Polskiego Czerwonego Krzyża przyjechali w tej sprawie pani Tarnowska i pan Kazimierz Skarżyński, mogłem im sformułować już warunki, na których sprawa cała mogłaby, według mnie, z najmniejszą szkodą dla Polaków być załatwioną. Żądanie sprowadzenia robotników z Polski do robót w Rzeszy było tak kategorycznym, że toczenie o to walki, by żądanie to odwołanym lub anulowanym zostało, nie miało żadnych widoków powodzenia — wobec tego wysiłki moje dążyły do zmniejszenia kontyngentu żądanego z pół miliona na cyfrę możliwie mniejszą — z tego, co mi dr Frauendorfer oświadczył, mogłem wnioskować, że dwieście tysięcy, a nawet sto siedemdziesiąt pięć zadowolniłoby władze Urzędu Pracy w Berlinie. Uważałem za konieczne zgodzić się i nieoficjalnie, a raczej milcząco, przyjąć do wiadomości taką cyfrę, zaś kategorycznie żądać, by opieka nad robotnikami tak materialna, jak sanitarna i duchowna była oddaną w ręce RGO, która też zająć by się musiała ewidencją robotników w Rzeszy, formą zawieranych kontraktów i ułatwianiem stosunku wyjeżdżających do pozostałych w kraju rodzin. Dr Frauendorfer w zasadzie te warunki akceptował i w dniu 9 maja podpisał list do mnie jako prezesa Rady, w którym to wszystko wyraził. Zredagowanym też został tekst jakby okólnika w tej sprawie, w którym warunki pracy i opieki nad robotnikiem polskim były wymienione, by w ten sposób uchronić od nadużyć i jednocześnie uspokoić co do ich losu tych, którzy do Rzeszy wzięci by byli.

Gdy po długich naradach z Księciem Metropolitą i panem Młynarskim*, którego się chętnie Książę Metropolita radził i ze zdaniem jego liczył, doszliśmy do przekonania, że w warunkach akceptowanych przez dra Frauendorfera sprawa robotnicza nie przedstawia się już groźnie i że warunki pracy są lepsze aniżeli

te, które mieli wyjeżdżający do Prus, na tzw. saksy, robotnicy, wreszcie gdy Książę Metropolita, uznawszy pomoc duchowną za niezbędną, zaczął tę sprawę organizować z ks. Świetlińskim, rektorem seminarium częstochowskiego* — zdawało mi się, że z tej bardzo groźnej sprawy znalazło się szczęśliwie wyjście nie najgorsze. Inne jednak były zapatrywania na tę sprawę Warszawy, tej, która wyobrażała sobie, że na negacji można coś pozytywnego budować. Nie pomogły ani tłomaczenia pani Tarnowskiej, ani pana Skarżyńskiego, którzy na miejscu w Krakowie ze szczegółami prowadzonych narad się zapoznali, opinia w stolicy się kształtująca wychodziła z założenia, że nie wolno z Niemcami w tej sprawie zawierać żadnego kompromisu i obrzuciła mnie błotem, kwalifikując wszystko, com w tej sprawie uczynił, za złe i równoznaczne ze sprzedażą Berlinowi 175-iu tysięcy robotników polskich. Nie pozostawało mi nic innego do zrobienia, jak prowadzone dotychczas z drem Frauendorferem pertraktacje zerwać. Uczyniłem to w formie listu w dniu 29 maja i sam wręczając ten list, cały rzeczywisty stan rzeczy mu przedstawiłem. Gdy dzisiaj o tej rzeczy piszę i myślę o tym, jaką krzywdę lekkomyślnie i bez znajomości sprawy pobierane w Warszawie decyzje lub formułowane opinie nieraz przyczyniały sprawie publicznej, widzę, jak błędnym było liczenie się z nimi, a jak trudnym stawanie im w poprzek. Wiem, że w tej sprawie robotnikowi polskiemu wyrządzoną została wielka i niczym nie powetowana krzywda przez tych, którzy najczęściej swą wielkość na negacji fundowali, a pozytywnie prawie nigdy nic nie umieli przeprowadzić. Dokumenty stwierdzające wszystko powyższe wraz z listem dra Frauendorfera i moim zrywającym pertraktacje znajdują się w archiwum RGO pod powyższymi datami.

Oprócz tej tak bardzo ciężkiej dla RGO sprawy, inne też nad działalnością zaledwie zapoczątkowanej instytucji naszej zaczęły się gromadzić chmury. Oto sprawa listu ks. Radziwiłła do marszałka Göringa przybrała nagle formę wyraźnego konfliktu, powodującego nawet groźne przesilenie w łonie samej Rady. W dniu 31 maja zostałem zaproszony do dra Arlta, który w obecności zastępcy swego, pana Heinricha, mi oznajmił, że kandydatura

ks. Radziwiłła na prezesa RGO nie została zaakceptowaną i akceptowaną nie będzie.

Na zwołanym natychmiast posiedzeniu Rady, na której i ks. Radziwiłł mógł być obecnym ze względu na to, że tegoż dnia rano przyjechał z Warszawy, by przyjmować delegację amerykańską, zdałem szczegółowo sprawę z rozmowy przeprowadzonej z drem Arltem. Po wyczerpującym omówieniu sprawy całej i stanowiska, które należało zająć, postanowionym zostało, że Rada cała z ks. Radziwiłłem winna się solidaryzować i poda się in gremio do dymisji. Udałem się do dra Arlta, by mu o powyższym postanowieniu naszym zakomunikować. Dr Arlt, wychodząc z założenia, że niezatwierdzenie kandydata przedstawionego przez RGO na członka Rady, chociażby tutaj i chodziło o tego, kto był upatrzonym na prezesa, nie może obalać istnienia instytucji, odmówił mi przyjęcia do wiadomości powyższego naszego postanowienia i prosił, byśmy je poddali rewizji, nie czyniąc jednak żadnych nadziei, by stanowisko zajęte raz przez władze mogło ulec rewizji. Po rozważeniu jeszcze raz całej sprawy nie uznaliśmy za możliwe dokonanie jakiejkolwiek zmiany w powziętym postanowieniu i podanie się o dymisję całej Rady sformułowaliśmy na piśmie, które wręczyłem drowi Arltowi w dniu 4 czerwca. Sam zaś dla naradzenia się z ks. Radziwiłłem i panią Tarnowską, z panami Rymarem i Łopattą wyjechałem do Warszawy, by tam powziąć postanowienie, co dalej w tak kształtującej się sytuacji czynić.

Niestety, stwierdzić muszę, że spędzone tam trzy dni na stałych naradach nie dały mi jednolitego zdania o tym, co i jak robić należy, bowiem opinie były bardzo podzielone, najczęściej odznaczały się subiektywizmem cechującym Warszawę i nieliczeniem się z potrzebami całego kraju, a nawet jakby niechęcią do RGO, której za złe miano, że w Krakowie, a nie w Warszawie rezydować musiała. Sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowaną, bo żądano specjalnie ode mnie wszystkiego, nie dając w zamian nic i wysuwając sprawę robotniczą w połączeniu z naukami, jak postępować nie należy. To nie przeszkadzało temu, że każdy rozmówca oddzielnie, zapoznawszy się bliżej ze szczegółami tej sprawy przede wszystkim, nie wahał się co prawda po cichu przyznawać mi pełną rację. Postanowiłem wobec tego całą sprawę

oddać pod arbitraż najwyższego naszego autorytetu moralnego, jakim był Książę Metropolita Sapieha, i w tym celu wyjechałem do Krakowa z powrotem w dniu 7 czerwca wieczorem.

Zaraz po przyjeździe do Krakowa, po uprzednim porozumieniu z prof. Rymarem, który także już powrócił, zdaliśmy każdy oddzielnie sprawozdanie Księciu Metropolicie i prosiliśmy o radę. Na kilku zebraniach z osobami zaufanymi rozpatrzono sprawę całą i postanowiono, że Książę Metropolita poprosi na dzień 10 czerwca większe grono osób swego zaufania, by całą sprawę RGO omówić i rozstrzygnąć ostatecznie. Na tym zebraniu, które trwało godzin kilka, byli pomiędzy innymi obecni: minister Zygmunt Lasocki, prof. Stanisław Rymar, prof. Emil Godlewski, prof. Max Rutkowski, prof. Feliks Młynarski, prof. Władysław Wolter, ojciec Romuald Moskała i prezes Henryk Kułakowski. Po długiej dyskusji, w rezultacie której każdy z obecnych był proszonym przez gospodarza o wypowiedzenie swego zdania i wszyscy bez wahania wypowiedzieli się za utrzymaniem Rady Głównej Opiekuńczej, zwrócił się Książę Metropolita do mnie z zapytaniem, jakie jest moje w tej sprawie zdanie? Gdy odrzekłem, że życzenie Jego będzie dla mnie rozkazem, powiedział mi bez wahania, że życzy sobie, bym do pracy w RGO wrócił i objął jej kierownictwo, jeżeliby zaś kto kamieniem na mnie za to rzucił, przyjmuje to On na siebie. Tak piękne postawienie sprawy przez Księcia Metropolitę wzruszyło wszystkich, nacechowane było bowiem przede wszystkim chęcią służenia sprawie, odwagą i obiektywizmem, które pozwoliły zagadnienie, tak zdawało się skomplikowane, rozwiązać i na właściwe tory wprowadzić.

Z upoważnienia obecnych zaprosiłem do siebie dra Arlta, który w dniu 12 czerwca o 9 rano przyszedł do mnie i któremu oświadczyłem, że na rozkaz Księcia Metropolity postanowiliśmy wrócić do pracy.

Przy tej sposobności omówiłem z nim sprawy najbardziej nabolałe, jak aresztowań, budżetu, PCK i inne — wszystkie obiecał jeżeli nie załatwić, to przynajmniej znacznie popchnąć naprzód, jedynie w sprawie aresztowania premiera Witosa złożył mnie wiążące oświadczenie, że będzie uwolnionym i tego zobowiązania wkrótce dotrzymał.

Wieczorem tegoż dnia odbyta narada w RGO była już pod znakiem powrotu do pracy — jedynie pani Tarnowska i dyr. Łopatto nie odstąpili od powziętych decyzji i do pracy w RGO już nie powrócili ku wielkiemu zresztą żalowi wszystkich zebranych.

W dniu 13 czerwca wręczony mi został przez dra Arlta list potwierdzający zgodę władz na objęcie przeze mnie przewodnictwa w Radzie i kładący kres przesileniu w tej instytucji, na którą nowe a bardzo ciężkie miały znowu spaść zadania do spełnienia, a dla której ani atmosfera w kraju, ani horyzonty polityczne nie wydawały się przychylne. Upadek Paryża nową butą natchnął wszystkich Niemców, położenie Polaków czyniąc przez to samo jeszcze trudniejszym.

Dnia 13 czerwca na posiedzeniu specjalnym u Księcia Metropolity udzielone mi zostało oficjalnie zlecenie objęcia prezesury RGO. Na miejsca zwolnione w Radzie przez księcia Radziwiłła i panią Tarnowską powołano profesorów Woltera Władysława i Rutkowskiego Maksymiliana, jako przedstawiciela PCK przy Radzie i jednocześnie jej członka.

Z wielką ulgą, że nareszcie obezwładniające Radę przesilenie zostało zakończone, i z przypływem nowej energii i dobrej ambicji wziąłem się do powetowania czasu straconego, zaś przede wszystkim do załatwienia spraw zaległych. A zalegało spraw bardzo wiele, szczególnie o charakterze interwencyjnym. Wprost oblegany byłem przez żony jeszcze nie uwolnionych profesorów, o względy dla których prosiłem nie tylko panów von Wühlischa i Arlta, ale za ich poradą i owego radcę kryminalnego Gansa, który odmawiał nam wciąż prawa do interwencji.

Do Warszawy, aczkolwiek z niechęcią wielką po tym, co tam przeżyłem ostatnimi czasy, musiałem znowu pojechać na dni kilka dla porozumienia się co do utworzenia Komitetu Opieki miasta Warszawy — liczyć się musiałem w tej trudnej sprawie ze zdaniem SKSS, którego agendy nasza organizacja przejąć musiała, a życzeniem naszym było, by to jak najmniej boleśnie odbyć się mogło. Odwiedziłem też ks. arcybiskupa Galla, którego prosiłem o poparcie naszych usiłowań — przyobiecał on nam najchętniej swe pełne poparcie. Wreszcie na wyjezdnym urządziłem u siebie zebranie in-

formacyjne o pracy RGO, które ściągnęło bardzo liczne grono ludzi, pomiędzy innymi mych kolegów z Arkonii*, którzy mi poparcie swoje, bardzo cenne dla nas, bo oparte na zaufaniu, zaofiarowali.

Musiałem wracać do Krakowa dla wzięcia udziału, a raczej zainaugurowaniu pierwszego posiedzenia Naczelnej Rady Opiekuńczej (NRO), która w dniu 28 czerwca w gmachu Generalnej Guberni pod mym przewodnictwem się odbyła. Ze strony żydowskiej wzięli w niej udział jako członkowie dr Hilfstein i prezes gminy żydowskiej Biberstein, zaś ze strony ukraińskiej pan Mudryj, były wicemarszałek sejmu polskiego. Zebranie to inauguracyjne, oprócz wstępnego przemówienia mojego i odpowiedzi nań dra Arlta, zajęło się zatwierdzeniem uprzednio przygotowanego klucza podziału darów pomiędzy Polakami, Żydami i Ukraińcami. Przebieg posiedzenia odznaczał się zupełną harmonią, która zresztą zawsze posiedzenia NRO cechowała.

Ostatnie dni czerwca wypełnił nam zjazd pełnomocników Rady, których wspominałem już wyżej, a którzy w pełnym składzie się zjechali dla zasięgnięcia wskazówek, jak w społeczeństwie sprawa zażegnanego przesilenia w Radzie komentowaną być winna i jaki zakres pracy na czas najbliższy się przewiduje? Zapoczątkowane w ten sposób, później stale co miesiąc praktykowane zebrania pełnomocników były dla mnie jakby przeglądem całej działalności za miesiąc ubiegły i jakby kreśleniem planów na nowy nadchodzący. Atmosfera zupełnego zaufania, w którym się te nasze spotkania odbywały, stwarzała właściwe podłoże do inicjowania nowych planów i krytykowania starych. Zdaje się, że śmiało powiedzieć mogę, że instytucja pełnomocników swą żywotnością i inicjatywą wiele dobrego dla samej Rady zdziałała, pomimo że i ona z wielu stron krytykowaną być musiała. Ze strony władz został gwałtownie zaatakowanym tytuł pełnomocników, który im przysługiwał, a raczej który używaliśmy. Po wielu jakże niepotrzebnych naradach został wreszcie zatwierdzonym tytuł brzmiący po niemiecku „Beirat", czyli doradca, a który po polsku zawsze tytułem pełnomocnika pozostał.

W następne półrocze roku 1940-go wkroczyła już Rada zaopatrzona nareszcie w zatwierdzony statut i w pełnym swym składzie, a pod znakiem energicznej obrony przeciwko atakowi

władz policyjnych, które pod każdym najbłahszym pozorem występowały nadzwyczaj brutalnie, i represjom, które nader surowe i często zupełnie nieuzasadnione i niesprawiedliwe wytwarzały atmosferę nieznośnego wprost niepokoju, będącego jak gdyby przedsmakiem tego, co w latach następnych przeżywać było nam przeznaczonym.

Tym razem tematu do gwałtownego starcia z naczelnymi władzami Gestapo dostarczyły nam Myślenice, zdawało się, używające zupełnego spokoju małe miasteczko na Podkarpaciu.

W dniu 3 lipca z rana zjawiły się do mnie żony i matki aresztowanych tam nagle dnia poprzedniego 32 osób, przeważnie młodych ludzi i kobiet, i opowiedziały mi, co następuje: tego dnia na poczcie w Myślenicach, budynek której znajduje się na małym rynku, urzędniczka niemiecka pracująca w urzędzie pocztowym stała się około godziny 6-ej wieczorem ofiarą zamachu, którego dokonał na nią, jak się okazało, urzędnik także Niemiec, za pomocą pruwetki z jakimś wybuchowym materiałem. Huk tego wybuchu spowodował zamieszanie dostateczne, by wezwały władze z Krakowa tzw. „Überfallkommando", które około 10-ej wieczorem nadjechało w sile kilku samochodów policyjnych. Po zrewidowaniu budynków sąsiadujących z pocztą, aresztowano w nich wszystkich znajdujących się tam młodych mężczyzn i kobiety w liczbie 32.

Sprawa od razu przybrała tragiczne kształty, gdyż tegoż dnia koło południa zgłosiła się do mnie pani Gorączko z Myślenic, wdowa i matka dwóch córek i syna, aresztowanych w przeddzień*. Nie wypowiedziawszy ani słowa, wręczyła mi ona zawiadomienie burmistrza Myślenic o rozstrzelaniu wszystkich jej dzieci. Siadła ona naprzeciwko mnie na kanapie i bez słowa skargi zaczęła płakać. Pierwszy raz w życiu widziałem obraz równie tragiczny. Ta matka płacząca nad stratą wszystkich swych gorąco ukochanych dzieci, płacząca w ten sposób, że łzy nie spadały na podłogę pojedyńczo, a literalnie strumieniem — ten obraz staje przed oczyma moimi w pełnym majestacie ogromu miłości matczynej i rozpaczy bez granic. Gdy ją wówczas widziałem, nie byłem po prostu w stanie wyrzec jednego słowa, wszelka bowiem forma pociechy wydawała mi się urąganiem wobec ogromu tego nieszczęścia! Nie wiem, jak długo siedzieliśmy tak naprzeciwko

siebie w milczeniu, gdy wtem podniosła ona na mnie swe zapłakane oczy i z wyrazem bezgranicznego bólu, ale i wyjątkowego uduchowienia wypowiedziała słowa tak niebywale znamienne i wspaniałe zarazem: „Ja to Panu Bogu ofiarowałam za Polskę". — Takie słowa mogły paść tylko z ust Polki kochającej nade wszystko swą Ojczyznę i swe dzieci — takie słowa są dowodem krzyczącym światu całemu bez ogródek to straszne pytanie: dokąd idziesz?!

Te słowa były jakby sprężyną, która pobudziła mnie do energicznego wystąpienia do władz w tej nieszczęsnej sprawie Myślenic. Nie wystarczały tu już rozmowy z radcą Gansem, w których zawsze było się narażonym na zbycie zdawkowymi słowami, zrozumiałem, że w tej sprawie iść muszę najwyżej, do samego szefa Gestapo, którym był Obergruppenführer Krüger, znany później dobrze w całym GG ze swych brutalnych wyczynów. Nie mogąc już uratować dzieci pani Gorączko, należało przynajmniej egzekucję innych ofiar katastrofy w Myślenicach powstrzymać. Pojechałem do Akademii Górniczej i kazałem się adiutantowi Krügera zameldować, podkreślając wyraźnie, że muszę być natychmiast przyjętym jako prezes RGO w sprawie nie cierpiącej żadnej zwłoki. Czy moje żądanie było wypowiedziane tonem nie znoszącym repliki, czy też wyraz mój to dostatecznie podkreślał, dosyć że nie minęło kilka minut, a wprowadzony zostałem do Krügera, pomimo że dwóch generałów czekało na omówione z nim spotkanie.

Zrobił on na mnie wrażenie człowieka bardzo dbającego o formy, ale nader nieprzyjemnego, jeżeli chodzi o wyraz twarzy, a specjalnie oczu. Miało się fizyczne wrażenie, że oczy te przeszywają interlokutora — w przeciągu prawie półtorej godziny trwającej rozmowy nie zeszły one ani na jedną chwilę ze mnie i trzymały mnie jakby w szachu, zmuszając mnie także do wytrzymywania ich spojrzenia. Przystąpiłem od razu do sprawy, o załatwienie której mnie tak bardzo chodziło, wkrótce jednak rozmowa prowadzona przeze mnie tonem bardzo opanowanym przyjęła zakres znacznie szerszy i formy dramatyczne.

Rozmowa ta bezwzględnie należała do najnieprzyjemniejszych, jakie w życiu odbyłem — prawda też, że była jedną z pierwszych, jakie miałem tego rodzaju, i że później, mając ich

wiele, bardziej z ich tonem byłem oswojony i nań przygotowany. Trzy właściwie momenty tej rozmowy warte są zanotowania. Gdy przedstawiając, co się stało w Myślenicach, nie mogłem się wstrzymać od ostrej krytyki tego, że fakt taki w ogóle mógł mieć miejsce. Zapytany przez Krügera, kto był faktu tego przyczyną, odpowiedziałem bez namysłu, że postępowanie policji, nazywając to po niemiecku drastycznym słowem „Unfug der Polizei" (wybryk policji), widocznie poczuł się obrażonym, bo głosem pełnym oburzenia zapytał, czy to określenie nie jest zbyt ostrym, opowiedziałem na to, że słowa może są ostre, ale prawda, która się pod nimi kryje, jest dziesięciokrotnie ostrzejszą!

Przeszedłszy z kolei rzeczy do żądania wstrzymania dalszych egzekucji, dowiedziałem się ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, że Krüger wyroków śmierci w tej sprawie żadnych nie podpisywał i sprawę zbada. Zdawało mi się, że przez to samo oświadczenie zdołałem wiele osiągnąć. Jak się później okazało, nawet tak wszechmocny pan życia i śmierci miał przy sobie takich, którzy na swoją rękę działali samowolnie i bezkarnie tępiąc Polaków.

W dalszym ciągu rozmowy Krüger zapytał się o zakres działalności RGO, w którego imieniu mówiłem. Odpowiedziałem to, co potem niejednokrotnie władzom niemieckim powtarzałem, że akcja nasza określaną jest jako akcja charytatywna, ale interweniowanie w nieszczęściu jest, według mnie, jedną z najważniejszych czynności w tej dziedzinie. Gdy tłumy ludzi do nas przychodzą z przedstawieniem swych nieszczęść, jest rzeczą konieczną zainteresowanie się nimi, a to może być tylko wtedy skutecznym, jeżeli będziemy w możności dobrnięcia do władz i jeżeli nie we wszystkich, to w najboleśniejszych sprawach przynieść ulgę pokrzywdzonym. Do słowa tego przyczepił się Krüger, szukając jakby zaczepki, gdy zaś z mej strony otrzymał potwierdzenie, że tak właśnie, a nie inaczej to słowo rozumiem, bo wiele osób pokrzywdzonych przez władzę widzę, miałem wrażenie, że na chwilę się jakby przyczaił, by mnie znowu niebawem zaatakować i zgnieść. Nastąpiło to w momencie, gdy zaczął on mi tłomaczyć, że jedynym władcą w Europie są teraz Niemcy i nimi na zawsze pozostaną, zaś w tym kraju póty spokoju nie będzie, póki on nam nie udowodni, co to jest siła Trzeciej Rzeszy! Na to niebywałe dotychczas dla mnie oświadczenie zareagowałem, że przypomnieć mu muszę, że nie są oni, Niemcy, na terenie naszym jeszcze suwerenami, że są „okupantami, dla których istnieją prawa, a te prawa wszystkie jak dotąd są przez nich gwałcone" — tego widocznie oczekiwał on z mej strony, gdyż zerwał się zza biurka, podszedł do mnie w sposób taki, jak gdyby mnie fizycznie chciał zmiażdżyć i głosem syczącym zapytał, czy będę śmiał to, co powiedziałem, napisać i podpisać? Gdy mu bez wahania odrzekłem, że to, co mówię, gotów jestem zawsze stwierdzić podpisem, zażądał ode mnie, widocznie się uspakajając, bym w najbliższych dniach złożył mu na piśmie wypowiedziane przed nim myśli moje.

Rozstaliśmy się w formie kurtuazyjnej, ale z mej strony, niestety, bez przekonania, że sprawę wygrałem, raczej z pewnością, że walka ciężka bardzo i może groźna dopiero się rozpoczęła. Wziąłem się do pisania listu, treść którego była następująca: (Tytuły zachowuję w języku niemieckim, gdyż są one nader charakterystyczne i właściwie nieprzetłomaczalne).

„Kraków dnia 8 lipca 1940.
Do Pana
Höheren SS und Polizeiführer
SS Obergruppenführer Dr Krüger
w Krakowie.

W związku z konferencją, którą z Panem, Panie Obergruppenführer, miałem w dniu 4 bm. w Akademii Górniczej w Krakowie — pozwalam sobie Panu na piśmie przedstawić te myśli, które mnie, jako Prezesowi Rady Głównej Opiekuńczej działającej na terenie okupowanych ziem polskich przy pełnieniu mych obowiązków, wydaje się, że poważnie zbadane być muszą, jeżeli działalność tej organizacji bierzemy na serio i pozytywne rezultaty osiągnąć chcemy.

Polska Rada Główna Opiekuńcza, jak to już Panu powiedziałem, ma w głównych liniach dwa zadania do wypełnienia:

1. nędzę istniejącą w Polsce łagodzić i

2. spokój w kraju utrzymać.

My, Polacy, którzy zdecydowaliśmy się na to, by w tych czasach w Polsce wziąć na nasze barki wypełnienie tych niepomiernie trudnych zadań, rozumiemy, że musimy się z daleka trzymać

od polityki i że bierzemy na siebie jedynie obowiązek fizyczne i moralne rany goić. To już jest w swym zakresie tak wielkie zadanie, że się nie wstydzę powiedzieć, że się obawiam, czy siły nasze temu podołają.

Zadanie leczenia fizycznych ran — pielęgnowanie chorych i żywienia głodnych — jest technicznie wykonalnym przy pomocy, którą mamy nadzieję otrzymać z zewnątrz, a to tym bardziej, że naród polski do przetrwania posiada w sobie siły niezwykłe i na wszelki objaw współczucia umie wdzięcznością odpowiadać.

Zadanie staje się niepomiernie trudniejszym na terenie pomocy o charakterze moralnym.

Tutaj rany są znacznie głębsze i są znacznie trudniejsze do pielęgnowania.

Do nas przychodzą (i naturalnym rzeczy porządkiem przychodzić muszą) wszyscy, którzy cierpią. Wszyscy mają nadzieję, jeżeli nie więcej, to przynajmniej dobrą radę w RGO otrzymać, i to jest owo minimum, które my dać musimy, jeżeli chcemy mieć faktyczny wpływ na uspokojenie w kraju.

W większości jednak wypadków wymagają wprost od nas rzeczy, których my spełnić nie możemy, które nie w naszym, ale w Pańskim, Panie Obergruppenführer, zakresie władzy leżą.

Z tego to powodu zwróciłem się do Pana, żeby spróbować, czy się nie znajdzie droga, żeby wypełnieniu zadań RGO ulżyć i do celu — zapewnienia i utrzymania w kraju spokoju — się zbliżyć.

Tutaj muszę sobie pozwolić niektóre bolesne punkty, które wysuwają się naprzód, tytułem przykładu poruszyć:

Przychodzą do nas, do RGO, jako do organizacji, która do władz łatwiejszy dostęp mieć by powinna — matki, żony, siostry i córki aresztowanych profesorów — dotychczas nie rozumieją one, dlaczego oni w ogóle byli aresztowani i tak długo są pozbawieni wolności.

Przychodzą też do nas z prośbą o ratunek córki Witosa i Rataja, żona Niedziałkowskiego i 81 lat licząca matka księdza Marcelego Nowakowskiego — oni i wiele innych osobistości, które w życiu Polski poważną odgrywali rolę i obecnie, według mego zdania, bardzo pomyślnie na uspokojenie kraju wpłynąć by mogli.

Dlaczego siedzą oni wszyscy w areszcie, nie wiemy i nie możemy na postawione nam zapytania odpowiedzieć.

Jeżeli sobie pozwalam ten temat poruszać, to nie ma to znaczyć, że ja jako prezes RGO myślę albo chcę myśleć, że ja albo moja organizacja posiadamy prawo formułować jakiekolwiek sądy co do policyjnych kroków władz niemieckich — my konstatujemy tylko na tym miejscu, że nieświadomość, w której wszyscy bliscy aresztowanych się znajdują, powoduje ból, który naszym zdaniem mógłby być zaoszczędzonym — my chcemy, mówiąc jeszcze więcej, otrzymać od Pana prawo wiedzieć prawdę i z tego, co jako RGO od Pana się dowiemy, robić odpowiedni użytek.

Niejednokrotnie jest dla zainteresowanych lepiej o najgorszej nawet prawdzie wiedzieć, aniżeli w dręczącej nieświadomości pozostawać. Siły naszych petentów są często na granicy faktycznej tego, co człowiek wytrzymać może — dlaczego nie mają być one oszczędzone?

Wypadek w Myślenicach, który Panu przedstawiłem, gdzie niemieckie władze policyjne biednym, niewinnym kobietom niezgodnie z prawdą oznajmiły o śmierci ich najbliższych, jest przykładem, który mnie upoważnia, mówić o tym i Pana, Panie Obergruppenführer, informować.

Niech Pan mi zechce wierzyć, że będzie lepiej, jeżeli Pan od czasu do czasu ze strony uczciwie traktującego sprawy polskiego miejsca prawdę o wszystkim usłyszy.

Atmosfera braku zaufania, która w związku z aresztowaniami w Polsce stała się nie do wytrzymania, musi być usuniętą.

Na tej drodze można wiele osiągnąć, by bolszewizm, który wszystkimi siłami dąży, by kraj opanować, a który przedstawia wspólne niebezpieczeństwo tak dla Niemców, jak dla Polaków, pokonać.

Naszą prośbę do Pana formułujemy w sposób następujący:

Otrzymujemy niezliczoną ilość próśb i pism z powodu dokonywanych aresztowań i środków przedsiębranych przez władze policyjne, wobec czego chcemy otrzymać prawo i możność te z tych podań, które uważać będziemy za dostatecznie poważne i odpowiadające prawdzie, Panu, jak również szefowi policji bez-

pieczeństwa w Generalnej Guberni do zbadania i dla udzielenia odpowiedzi przedstawić.

Wierzymy, że w ten sposób otrzymamy możność jedno z najtrudniejszych zadań, które mamy do spełnienia, przynajmniej częściowo rozwiązać".

W kilka dni później otrzymałem od Krügera odpowiedź, w której wyraża on w formie bez zarzutu, że przyjmuje do wiadomości me życzenia — gotów jest przedstawione przeze mnie sprawy rozpatrzeć i prosi, bym co do procedury załatwiania tych spraw zechciał się porozumieć z jego zastępcą. Teoretycznie więc osiągnąłem to, czego chciałem, zaś praktycznie dopiero rozpocząłem walkę, która trwała właściwie przez cały czas urzędowania mojego w RGO — zaś w sprawie Myślenic nigdy dokładnie nie mogłem się dowiedzieć, ilu ofiar były one przyczyną bezpośrednią.

Zdaje się, że zupełnie słusznie określiłem, że sprawa Myślenic była momentem rozpoczęcia faktycznej walki z władzami policyjnymi o prawa przysługujące Polakom nawet zwyciężonym, prawa istniejące, a stale przez te władze przekreślane. Sprawa ta pozwoliła mi dokładnie przemyśleć tę taktykę, jaką należało stosować z takimi władzami, które przejęte pychą z powodu odnoszonych przez Niemcy niebywałych zwycięstw, myślały, niestety, szczerze, że Niemcy są narodem panów, my zaś stadem niewolników. Przedstawicielom władz takiego narodu można było zaimponować tylko dwoma rzeczami: odwagą i jasnym a zgodnym z prawdą dowodzeniem swej racji — tych zasad starałem się trzymać zawsze z Niemcami, czy gdy byłem posłem w Berlinie, czy gdy w czasie pierwszej wojny światowej byłem także prezesem RGO ówczesnego, teraz były one dla mnie jakby nakazem chwili dziejowej, w której nie siłą fizyczną już, ale powagą i odwagą wypowiadanego słowa trzeba było tych ludzi, pełnych sadyzmu i pychy, opanować i do wykonania tego, co nam się od nich słusznie należało, zmuszać.

Dowodem jaskrawym słuszności tego poglądu jest rozprawa, którą dn. 13 lipca tego roku miałem z drem Arltem na zebraniu urządzonym, jak się później okazało, specjalnie dla mnie, dla przekonania mnie o tym, że wszelki opór społeczeństwa polskiego w stosunku do Niemców jest bezcelowym. Dr Arlt zaprosił mnie

tego dnia do swego gabinetu urzędowego i widocznie pod wrażeniem upojenia zwycięstwem osiągniętym nad Belgią, Holandią i przede wszystkim Francją zrobił wobec mnie i kilku członków rządu Generalnej Guberni coś w rodzaju exposé o sile imponującej, którą wobec świata całego rozporządza Trzecia Rzesza, wobec niej wszelkie próby oporu kogokolwiek, a tym bardziej Polaków, położonych całkowicie od pierwszej chwili, są tylko dowodem szaleństwa. Wyliczane cyfry zdobytych czołgów, armat i wszelkiego materiału wojennego oraz środków żywności miały potwierdzać tezę niepokonalności Niemiec. Ukoronowaniem wszystkiego były słowa dra Arlta zwrócone do mnie, w których podkreślał on swą pełnię dobrej woli zdążającej do tego, bym zechciał zrozumieć konieczność Niemiec w dążeniu do załatwienia sprawy „Lebensraumu" i że gdyby Polacy zechcieli ją zrozumieć, możliwość, jaką posiada ich „Führer" w zbudowaniu dla nich stolicy nowej, np. w Mińsku, co utorowałoby drogę do porozumienia, a Polakom dałoby, dzięki geniuszowi Hitlera w architekturze, przepiękną stolicę.

Odpowiedziałem na to przemówienie dra Arlta krótkim, ale jędrnym oświadczeniem, w którym wyraziłem zdziwienie, że pod mym adresem skierował swe słowa, i prosiłem, by sobie zapamiętał ten dzień 13 lipca 40 roku, w którym usłyszał ode mnie, że wojna jest jeszcze nie skończona i że Polska, pokonana dzisiaj, nie tylko nie będzie przekreślona i przesuwana dowolnie, jak to utrzymują Niemcy, ale przy rozgrywce wojennej sprawa jej musi wypłynąć z nową siłą — aż do przywrócenia jej praw należnych.

Zrobiwszy to oświadczenie, którego obecni w każdym razie się nie spodziewali, wstałem i wyszedłem.

Wracając do spraw ściśle z Radą związanych, stwierdzić muszę, że miesiąc lipiec w życiu jej zaznaczył się dwoma sprawami wielkiej wagi dla jej pracy — jedna to wybór nowego dyrektora na miejsce pana Łopatto, druga to niespodziewanie zupełnie wydany przez władze dekret o skasowaniu wszelkich związków i stowarzyszeń na terenie GG.

Z żalem rozstaliśmy się z panem Łopattą, jako dyrektorem RGO, lecz solidaryzując się z ks. Radziwiłłem i panią Tarnowską, którzy wyszli ze składu Rady, nie chciał on, pomimo mych namów, na stanowisku pozostać i nowe przesilenie na stanowisku

dyrektora RGO, czyli jednym z najważniejszych w niej osób, zostało tym samym otwarte. Naradziwszy się z osobami najbardziej Radzie bliskimi, uznałem za najpoważniejszą kandydaturę, zaproponowaną mi przez prezesa Banku Emisyjnego prof. Młynarskiego, w osobie dra Witolda Celichowskiego, z którym gruntownie się porozumiałem i który już w lipcu objął urzędowanie.

W dniu 23 lipca został niespodziewanie zupełnie dla nas ogłoszonym dekret rządu GG o rozwiązaniu wszystkich związków i stowarzyszeń*. Zarządzenie to było nowym i bardzo ciężkim ciosem wymierzonym w stan posiadania polskiego. RGO razem z PCK stawało się jedyną, a przez to i bardziej odpowiedzialną instytucją pomocy społecznej na terenie GG, spadał na nią nowy ciężar przejęcia opieki nad tymi, którymi dotychczas zajmowały się rozwiązane instytucje, których majątek bez skrupułów żadnych przejęły lub — jak się w skutkach okazało — ukradły po prostu lub zmarnowały władze niemieckie.

Bezpodstawność i brak wszelkiej logiki w przeprowadzeniu tego zarządzenia rzucały się w oczy, zaś władze zaatakowane przez nas w sposób energiczny i logiczny, nie mając innych argumentów obrony, bo trudno im się było przyznać, że uczyniły to w chęci rabunku, wysunęły ten powód, że jest ich zamiarem, by RGO była jedyną instytucją pomocy społecznej i że dla scentralizowania w niej całości tej pracy rozwiązały wszystkie inne instytucje. Nowym dekretem majątek ich miał być przekazany RGO — nie ujrzał on jednak nigdy światła dziennego, a przeprowadzone na ten temat rozmowy moje z drem Siebertem doprowadziły mnie do utwierdzenia się w przekonaniu, że on, szef tego wydziału, w którego kompetencji sprawa powyższa się znajdowała, nie miał pojęcia nawet o projektowaniu i wydaniu dekretu z dnia 23 lipca do momentu jego ogłoszenia. Potwierdzało się w ten sposób jeszcze raz niezbicie zdanie tych, którzy twierdzili, że rządy władz niemieckich idą po wielu torach, często ze sobą w zapatrywaniu na sprawy zupełnie różnych. Dr Siebert starał się mnie uspokoić, że dekret o przekazaniu majątku RGO nastąpi niechybnie, tymczasem władze powiatowe i inne organy, jak SS i SD dzieliły się majątkiem ruchomym naszych instytucji społecznych, a majątki takie, jak Gościeradów lub inne należące do Towarzystwa Dobroczynności m. Warszawy, jednego z najstarszych i najzasłużeńszych, przechodziły praktycznie w ręce panów starostów, którzy w nich swe prywatne przedsiębiorstwa tworzyli i nimi, jak swą własnością osobistą, rozporządzali.

I to wszystko działo się wtedy, gdy nędza w społeczeństwie polskim rosła z dnia na dzień, kiedy masy wysiedleńców z Poznańskiego i Pomorza, wyrzucane brutalnie ze swych siedzib odwiecznych, wyzute nawet z najkonieczniejszych rzeczy, napływały falą do Generalnej Guberni, automatycznie stawały się klijentami RGO potrzebującymi natychmiastowej, ale i tak wszechstronnej pomocy, że ta instytucja, zaledwie rozpoczynająca swą pracę, nie tylko potrzebom ich nie była w stanie zaradzić, ale małej ich części pokryć jeszcze nie mogła.

Przedstawione przez nas Amerykanom, panom Gamble i Murray, którzy w tym czasie przyjechali, potrzeby nasze, opracowane zresztą w szczegółach już przez dra Celichowskiego z dokładnością cechującą każdą jego pracę, udowodniły już w owym czasie rzecz znamienną, na którą władze nigdy nie chciały zwrócić uwagi, może właśnie dlatego, że jaskrawo w oczy się rzucała — mianowicie, że liczba podopiecznych RGO, tych, którzy byli ofiarami właściwej wojny, była znacznie niższą niż liczba tych, którzy byli ofiarami regimu. Przez posunięcia takie, jak bezsensowne i brutalnie przeprowadzane i pozbawiające ludność wszelkiego mienia — przesiedlenia, jak dekret o stowarzyszeniach, pozbawiający tysiące ludzi opieki tych stowarzyszeń, jak branie do robót do Rzeszy ludzi, których rodziny pozostawały bez tych właśnie swych opiekunów, którzy pracowali na ich utrzymanie — wszystko to składało się na wytworzenie stanu rzeczy, istnieniu którego wierzyć po prostu nie chciano, toteż szczegółowe wypracowanie przez panów Celichowskiego i Jałowieckiego danych stwierdzających niezbicie powyższy stan rzeczy było bardzo na czasie. Mnie jako temu, który w owym czasie prowadził walkę z władzami o fundusze, pobierane na pomoc społeczną z podatków, dla RGO konieczne, by najpilniejszym jej zadaniom podołać, przysporzyło cennego rzeczowego materiału dla osiągnięcia w tej walce pozytywnych rezultatów. W sprawie tej nabrzmiałej już bardzo i pilnej robiłem wszystkie możliwe wysiłki, ale spotykałem się ciągle z repliką, że społeczeństwo samo powinno myśleć o swych potrzebach społecznej natury, zupełnie tak

jak gdyby wojny nie było, a rozporządzenia rządu GG, produkujące straszną nędzę, nie istniały w ogóle. Co najciekawsze w tym wszystkim, że paragraf statutu pozwalający na zbieranie składek w społeczeństwie był przez władze ignorowanym tak dalece, że zaledwie w kilku powiatach na zbieranie składek starostowie wyrazili swą zgodę, w innych spotkał się on z formalnym sprzeciwem władz.

Naturalnie najciężej ta sprawa przedstawiała się dla Warszawy, która zawsze była, i w czasie pokoju, miejscem, gdzie nędzy najwięcej się gromadziło, a cóż dopiero w czasie wojny, gdy w niej wszyscy zbiedzeni szukali pomocy, a pomoc ta udzielana przez SKSS z funduszów dawnego Komitetu Pomocy Zimowej, które to fundusze udało mi się odmrozić, tak długo trwać mogła, jak długo tych funduszów starczyło — teraz, gdy się one już faktycznie wyczerpały, jedynie na RGO liczono jako na źródło, z którego pomoc przyjść musi.

Widząc, że bez zdobycia odpowiednich funduszów nie posuniemy spraw naprzód i konstatując, że oczekiwane przeze mnie fundusze od rządu naszego z zagranicy nie nadchodzą, a ze strony Ameryki liczyć możemy właściwie na dary tylko w naturze, postanowiłem jak najenergiczniej do organizowania ofiarności w społeczeństwie przystąpić. Liczyłem głównie na prowincję, która jako mniej dotknięta wojną, większy rezerwuar pomocy mogła ze siebie przedstawiać. Zakołatanie do niego uważałem za konieczne w takiej chwili.

W tym celu pojechałem do Warszawy, gdzie odbył się pod mym przewodnictwem pierwszy zjazd prezesów komitetów powiatowych w Okręgu Warszawskim zorganizowany przez pana Baehra, pełnomocnika na ten okrąg. Zobaczyłem na tym zebraniu, na którym nie brakowało ani jednego przedstawiciela powiatu wchodzącego w skład okręgu, jak stosunkowo łatwo jest inicjatywę dobrą w społeczeństwie naszym obudzić. Nabrałem przekonania, że należy tylko w pracy na tym polu nie ustawać, a sprawy pomocy muszą znaleźć w społeczeństwie odpowiednio silny oddźwięk, by oprzeć je nie na subsydiach i pomocy obcych, lecz na własnych siłach i inicjatywie.

Niedaleka przyszłość pokazała dobitnie, jak to rozumowanie było słusznym — już na jesieni tego roku na jednym ze spotkań z Amerykanami mogliśmy się wykazać cyframi pokaźnymi pomocy ze strony społeczeństwa, a w latach następnych mogliśmy już i Amerykanom, i władzom udowodnić, że pomoc amerykańska przeliczona na gotówkę, a podatki ze strony rządu nam przekazane stanowiły zaledwie trzecią część tego, co dało nasze biedne i tak bardzo wyczerpane społeczeństwo polskie!

Sprawę organizacji Warszawy byłem zmuszony po wyczerpujących naradach załatwić w pewnej mierze kompromisowo. Po porozumieniu z panami z SKSS stanęło na tym, że prezesem Komitetu na Warszawę zostanie pan Janusz Machnicki, wiceprezesem pan Stanisław Wachowiak, zaś członkami panowie Czesław Klarner, Jan Jankowski, ks. Szmigielski i ambasador Alfred Wysocki*. Nieustalonym zostało tylko, kiedy i na jakich warunkach RGO przejmie od SKSS jego czynności. Wymagało to przede wszystkim kategorycznie nader ciężkiego zabiegu około usunięcia ze składu urzędników SKSS tych wszystkich, którzy z biegiem czasu i pracy okazali się zbyteczni. Powzięcie dla RGO decyzji tego rodzaju było rzeczą nader przykrą i ciężką, chociaż w zasadzie swej konieczną do przeprowadzenia.

Naturalnie, że w połączeniu z żądaniem kategorycznym władz zwróconym do SKSS, by wszedł w skład organizacji RGO, takie zadanie usunięcia licznej części personelu włożone na nas — musiało w swych skutkach wywołać nie tylko niezadowolenie, ale i cichy pomruk, a nawet oburzenie u tych, którzy, nie zdając sobie wcale sprawy ze słuszności i konieczności tego zarządzenia, pod adresem RGO niezadowolenie swe zwracali. Zwiększyło to jeszcze ten pewnego rodzaju niezdrowy stosunek, jaki od początku, z powodu pewnej jakby konkurencji SKSS z RGO, się wytworzył i który właściwie nigdy mi się nie udało całkowicie usunąć, pomimo wielkich wysiłków z mej strony.

Jak się z tego wszystkiego okazało, nie tylko trzeba było tu walczyć z prawdziwymi trudnościami w pracy naszej napotykanymi, ale i z uprzedzeniami i intrygami nawet, o których dopiero z boku się dowiadywałem, a które nieraz pracę tak dalece utrudniały, że ręce wprost opadały. Jako przykład walki prowadzonej ze mną zza płota przytoczyć mogę to, co w dniu 27 lipca powiedział mi w Warszawie pan Adam Tarnowski. Powtórzył mi on szereg

plotek opowiadanych w stolicy o działalności mej w Krakowie, a przede wszystkim tę, która się rozpowszechniła i znajduje wiarę w szerszych kołach, że ja pomimo wszystko, co mówię, czynię wszystko, by stworzyć rząd polski i stanąć na jego czele i że w tym sekunduje mi Książę Metropolita Krakowski. Powiada się normalnie, że w każdej plotce jakieś ziarnko prawdy być musi lub że nie ma dymu bez ognia — dla tej plotki było jednak charakterystycznym to właśnie, że w owym czasie nie tylko z mej strony, ale także ze strony władz najmniejszej podstawy do jej puszczania nie było — był to po prostu wymysł ludzi wrogich, a najczęściej ani mnie, ani pracy Rady wcale nie znających, którym albo ja, albo Rada nie załatwiła czegoś po ich myśli i którzy w ten sposób na drodze kalumnii swe porachunki załatwiali. Zbadawszy dokładnie wiele śladów, mogę to twierdzić z całą stanowczością, a to tym bardziej, że Rada miała zwracanych do siebie próśb i żądań, nieraz zupełnie fantastycznych, tak wiele, że załatwić, a szczególnie załatwić po myśli petentów mogła zaledwie mały ich procent — naturalnie więc ci, których pretensje nie mogły być uznane za słuszne, stawali się eo ipso wrogami naszymi. Tę świadomość, niestety, mieć muszą wszyscy, którzy na niwie społecznej szczególnie u nas pracują — toteż przetrawiwszy w sobie ból tym spowodowany i doszedłszy do smutnego wniosku, że pokonanie tej przeszkody jest wprost niemożliwym, postanowiłem dalej robić swoje i nie zwracać uwagi na plotki wytwarzane około tej pracy, w którą kładąc całego siebie i mając czyste sumienie, że niczego się nie zaniedbało, trwać, nie oglądając się na nic, należało.

Tak też czyniłem i po powrocie z Warszawy wyjechałem niebawem do Lublina i Chełma w celu przeprowadzenia tam prac organizacyjnych związanych z powstawaniem Komitetu Okręgowego Lubelskiego.

Okrąg ten należał do najbogatszych w kraju i nie tyle potrzebował pomocy materialnej, ile organizacji sił społecznych w nim istniejących.

Do Chełma pragnąłem dojechać dlatego specjalnie, że dochodziły mnie wiadomości nadzwyczaj pochlebne o rozpoczętej tam pracy przez panią Gniazdowską, prezeskę komitetu powiatowego. Mieliśmy kilka dzielnych bardzo kobiet na czele różnych placó-

wek naszych — będę miał jeszcze sposobność o nich mówić, ale bez wątpienia jedną z najdzielniejszych, tak pod względem brania się do rzeczy, jak i odwagi w wykonaniu, była pani Gniazdowska. Na zebraniu organizacyjnym komitetu powiatu chełmskiego byli przedstawiciele poszczególnych gmin, widziałem z bliska stosunek, jaki się wytworzył jasny i prosty pomiędzy prezeską i tymi przedstawicielami, którzy swe troski i zamiary referowali. Wtedy to powstała u mnie myśl organizacyjnie pierwszorzędnej wagi, jak się to później okazało, stworzenia przy komitetach powiatowych delegatur poszczególnych gmin. Przy ich pomocy można było organizacji RGO zapewnić strukturę tego rodzaju, by z centrali poprzez komitety powiatowe i delegatury gminne sięgnąć aż do wsi naszej bezpośrednio. Myśl ta została w następstwie urzeczywistniona w kraju całym, stwarzając w pewnym momencie przeszło tysiąc czterysta placówek wiejskich, tworzących sieć obejmującą kraj cały i przy pracy naszej niezbędną i wprost nieocenioną.

Po powrocie do Krakowa musiałem zaraz jechać na posiedzenie organizacyjne Okręgu Krakowskiego, zwołane zresztą dla nas bardzo przyjemnie, bo w Zakopanem przez pełnomocnika krakowskiego pana Potockiego i prezesa komitetu krakowskiego pana Lasockiego — razem ze mną był pan Jałowiecki także. Na tym posiedzeniu, na którym na jego oficjalnej części znalazły się i władze niemieckie, zaproponowały mi one, jako Prezesowi Rady Naczelnej, czyli opiekunowi wszystkich narodowości za wyjątkiem niemieckiej — żebyśmy się zajęli i nowo odkrytym, czy też po prostu sfabrykowanym przez Niemców narodem Górali. Znalazłem się w pozycji nader trudnej, bo odmówić znaczyło wypuścić ich spod opieki polskiej, zaś przyjąć, to znaczyć mogło uznać tę nową jakby narodowość. Wybrałem drogę pośrednią i oświadczyłem oficjalnie, że opiekę tę przyjmuję w imieniu Rady Naczelnej, lecz ze swej strony proszę, by nie proponowano nam w czasie najbliższym np. Krakowiaków. Wywołało to późniejszą debatę nieoficjalną na ten temat z przedstawicielami władz, ale położyło, zdaje się, kres pomysłom tego rodzaju. Wieczorem dnia tego odbyłem w Zakopanem posiedzenie już o charakterze poufnym z prezesami wszystkich komitetów naszych z Okręgu Krakowskiego, na którym dzięki energii pana Potockiego, organizatora tego okręgu, mogliśmy skon-

statować, że praca podstawowa około organizacji tej części kraju została dokonana i że na jej czele stoją w każdym powiecie ludzie, jeżeli jeszcze nie zupełnie do pracy wdrożeni, to pełni dobrej woli, by ją jak najlepiej przeprowadzić.

Dzień powszedni przynosił ze sobą nowe ciężkie sprawy do załatwienia. Dojrzewała i na porządek dzienny przychodziła sprawa żydowska, nie dawała też nam żyć sprawa stowarzyszeń i fundacji, coraz bardziej się komplikująca i niezałatwiana przez władze tak, jak brzmiały obietnice nam dane.

Jakie było nastawienie Hitlera do Żydów, wiedzieliśmy wszyscy od chwili, gdy władza w Niemczech przeszła w ręce narodowych socjalistów — toteż z chwilą wybuchu wojny z Niemcami Żydzi w Polsce oczekiwali w stosunku do nich kursu bardzo ostrego. Gdy jednak pozwolono im tworzyć tak jak i innym organizacje pomocy, z początku razem z RGO, a w następstwie zupełnie samodzielnie w formie Samopomocy Żydowskiej z nami związanej tylko w Naczelnej Radzie Opiekuńczej (NRO) ustały na chwilę ich niepokoje, a wzięto się bardzo energicznie i umiejętnie do pracy organizacyjnej. Na czele jej w Krakowie stanęli ludzie pierwszorzędni, jak prezes gminy Biberstein, dr Hilfstein i dr Weichert — warszawska ekipa była też pierwszej klasy, na czele jej stali panowie Gepner, Czerniaków, prezes gminy, Stolzman i Wieligowski — jakby przedstawicielem zagranicznych Żydów związanych w organizacji Jointu był pan Borenstein.

Prace prowadzone przez nich w Warszawie i Krakowie były pod względem organizacyjnym wzorowe, pomimo strasznej nędzy, która panowała w masie żydowskiej, pokonywano trudności wszelkie i niesiono naprawdę skuteczną pomoc. Będąc prezesem Rady Naczelnej, w której byli panowie Hilfstein i Weichert, byłem stale przez nich informowanym o ich trudnościach i kłopotach — starałem się też ze swej strony nie tylko wiedzieć dokładnie wszystko, co ich dotyczy, by im pomagać, gdzie tylko można ze względów czysto ludzkich, ale też i dlatego, by się nie narazić ani ze strony polskiej, ani żydowskiej na zarzut stronności przy niesieniu pomocy — postawiłem sobie za zadanie i obowiązek być obiektywnym, nie wyobrażałem tylko sobie nawet, jak to trudno nim być w sprawach tego rodzaju.

Więc przede wszystkim sprawa klucza podziału darów amerykańskich nie przestawała być tematem ciągłych narad i pretensji nawet bardzo ostrych ze strony Polaków — spokojnych i bardziej rzeczowych ze strony żydowskiej, udawadniającej, że wyższy procent ich udziału w darach jest uzasadniony znacznie większą ich nędzą. Ale o ile dochodziłem zawsze z przedstawicielami społeczeństwa żydowskiego do zupełnego porozumienia w naradach naszych w RGO lub osobistych to rzecz stawała się coraz trudniejszą w stosunkach oficjalnych z władzami, które co prawda nie chciały, póki przychodziła pomoc amerykańska, zadzierać z tak poważnymi ofiarodawcami, ale ciągle w stosunku do Żydów szukały jakby zaczepki. To nawet nie dotyczyło szefa wydziału opieki, jakim był dr Arlt, ale raczej niższych urzędników na prowincji, bo dr Arlt, póki był szefem opieki, starał się grać przynajmniej rolę obiektywnego i w granicach ustaw nie robił trudności żadnych. Spory między stroną polską a żydowską o klucz podziału ustały same przez się z chwilą, gdy na jesieni 1940 r. jasnym się stało dla wszystkich, że nędza szczególniej w małych miasteczkach, gdzie Żydzi mieli olbrzymią przewagę w liczbie ludności, była wprost olbrzymia, a Polacy na wsi jej w tych rozmiarach nie odczuwali — wtedy nawet nie wahałem się poprzeć żądanie Żydów zwrócone do NRO o pożyczkę pół miliona złotych dla zaopatrzenia organizacji żydowskich w zapasy na zimę konieczne. Pożyczka ta została im pod gwarancję RGO przyznana, a potem ze strony żydowskiej w ratach spłacona punktualnie.

Szykany ze strony niemieckiej trwały i stale się zaostrzały, aczkolwiek nikt nie przypuszczał nawet, że tak straszną katastrofą, jaka później Żydów spotkała, mogą się skończyć.

Pierwszym objawem już zupełnie wyraźnym rozpoczynającej się walki otwartej była na jesieni 40-go roku rozpoczęta przez władze akcja wydzielania ludności żydowskiej w miastach w oddzielne dzielnice, zwane gettami. Pierwszy ten atak, aczkolwiek już zupełnie wyraźnie stawiający Żydów poza prawem, przyjęty został przez nich względnie spokojnie. W rozmowach prowadzonych przeze mnie z przedstawicielami Żydów i w Krakowie, i w Warszawie nie widziałem u nich prawdziwego niepokoju — pogodzono się z myślą, że getta istnieć będą, bardzo stosunkowo szybko, przeciw-

ko ich utworzeniu nie protestowano nigdzie, nawet miałem czasami wrażenie, że niektórzy tylko pragnęli, by na tej organizacji getta stosunek władz niemieckich do Żydów mógł się ustabilizować i by Żydzi raz tam osadzeni pozostawieni byli w spokoju.

Dla mnie, który rozwój stosunków w tej dziedzinie z bliska obserwowałem, jakby pierwszym objawem rozpoczynającej się bezwzględnej walki było stanowisko, jakie władze niemieckie zajęły w stosunku do tzw. neofitów, którzy dla zupełnie zrozumiałych powodów do getta iść nie chcieli i o pomoc w tej mierze zwrócili się do RGO. Wchodząc w straszne położenie tych ludzi, w wielu wypadkach wychowanych już w wierze chrześcijańskiej, a których zmuszano do powrotu między Żydów, odbyłem całą pielgrzymkę do najwybitniejszych przedstawicieli władz, na których liczyłem, że spotkam się ze zrozumieniem dla ich sytuacji. Przekonałem się, że w tej sprawie wszyscy, jak jeden mąż, odpowiadają jedno, że do niej mieszać się im nie wolno, że o tym decyduje Berlin i jego zarządzenia są nietykalne. Tak bez ogródek mi odpowiedział von Wühlisch, przedtem starając mi się przedstawić jako człowiek, który ma zrozumienie dla mych słusznych żądań, tak też zachował się i dr Siebert, z którym na ten temat przeprowadziłem wyczerpującą i zupełnie szczerą rozmowę, w wyniku której radził mi on życzliwie, bym palce swe jak najdalej od tej sprawy trzymał. Rozmowa ta zrobiła na mnie duże wrażenie, gdyż przekonałem się z niej, że ludzie tej miary, jak dr Siebert, w tym czasie już się orientowali, że nic tu zrobić nie mogą i że muszą albo podporządkować się zupełnie, albo odejść. Taką była treść oświadczenia zrobionego mi przez niego, było ono jakby zapowiedzią jego zresztą w tym czasie ustąpienia.

Będąc przekonanym o słuszności mych żądań i trzymając się zasady nieustępowania, gdy to przekonanie miałem, postanowiłem, by z pomocą przyjść tym nieszczęsnym neofitom, wydać im świadectwa ze strony RGO, które by ich chroniły wtedy, gdy policja żądać będzie wyniesienia się do getta. Takie świadectwa, zredagowane zresztą przez dra Celichowskiego nadzwyczaj ostrożnie, wydałem w 261 wypadkach. Przez dłuższy czas zdawało się, że są one szczególniej w Warszawie przez władze honorowane, przyszedł jednak moment, gdy w Gestapo w Krakowie

zeszły się jednocześnie zapytania z kilku stron o to, czy mają te świadectwa być uznawane, i wtedy już pod koniec tego roku 1940 wybuchł konflikt mój z Gestapo, który zdawało się, że tragiczny dla mnie i mej pracy może wziąć obrót. Na mej skórze się przekonałem, że w sprawie żydowskiej na nic się nie zdał wszelki opór i że władze Gestapo bezwzględnie postanowiły miażdżyć po prostu tych, którzy mieliby odwagę go stawiać.

Drugą sprawą, która nam wiele krwi i cennego czasu napsuła, była sprawa stowarzyszeń. Jak już wspomniałem, obiecały nam władze wydać odpowiednie zarządzenie celem uregulowania jej przede wszystkim w punkcie dotyczącym majątku należącego do rozwiązanych stowarzyszeń, który na mocy dekretu z dnia 23 lipca teoretycznie przeszedł na RGO, zaś praktycznie był grabiony przez każdego urzędnika, któremu po temu przyszła fantazja. Pod pretekstem, żeby materiał odpowiedni dla wydania zarządzenia przygotować, polecono ze strony władz Radzie, by ona przez swe organy zrobiła pełną ewidencję podlegających dekretowi związków i stowarzyszeń, tak pod względem ich formy prawnej, jak i majątku posiadanego.

Łudząc się, że to się na coś przyda, wykonaliśmy pracę wielką szczególnie w Warszawie, gdzie większość tych instytucji miała swe siedziby prawne — osiągnęliśmy nawet, że do statutu RGO wprowadzonym został punkt dotyczący majątku ich przekazanego RGO, ale wykonania tego punktu nigdy się nie doczekaliśmy, bo wszystkie władze, które już weszły samowolnie w rozporządzanie się tym majątkiem, stanęły temu wyraźnie na przeszkodzie. My zaś, dokonawszy pracy bardzo ciężkiej, naraziliśmy się wobec przedstawicieli stowarzyszeń na zarzut naiwności co do dotrzymania przez władze danych nam obietnic, poza tym na żądanie pomocy niezbędnej przede wszystkim na to, by dzieci, starców lub biedaków, którzy w instytucjach rozwiązanych miały przytułek, nadal utrzymywać, co pociągać musiało nowe nieoczekiwane wydatki na cel, na który pokrycie finansowe w majątku skonfiskowanym się znajdowało.

Przykrości z tego powodu mieliśmy wielkie i pierwszy raz narażeni byliśmy, dzięki zachowaniu się władz i niedotrzymaniu przez

nie danych kategorycznie przyrzeczeń, na słuszne zarzuty ze strony polskiej — czyż jednak przypuszczać można było, że osiągnięty z takim wysiłkiem punkt wniesiony do statutu RGO nigdy przez władze honorowanym nie będzie? Później dopiero przekonaliśmy się, że nawet oświadczeniom samego generalnego gubernatora czynionym oficjalnie nic wierzyć nie wolno było, bo nie były dotrzymywane.

Gdy już wspominam o osobie generalnego gubernatora, to wypada nadmienić, że w owym czasie stosował on obficie swój dar krasomówcy do wszelkich okazji, które napotykał, by Polakom ich niższość wytykać i dowodzić publicznie, że wszystko, co ma jaką wartość tradycyjną czy artystyczną w Polsce, naturalnie być musi niemieckiego pochodzenia. Słowa Polska i polski skreślone zostały wyraźnie z jego słownika, także z oficjalnej nazwy Generalnej Guberni, która na początku swego istnienia miała w nazwie powiedziane, że istnieje na obszarach okupowanych ziem polskich, a została w swym oficjalnym tytule okrojona do Generalnej Guberni bez określenia miejsca zajmowanego na ziemi! Rozporządzenie znamienne bardzo i pozostawiające ów nowy twór polityczny jakby w powietrzu bez oparcia o żadne terytorium.

W tym też czasie generalny gubernator Frank wziął się także do wykonywania zadania, które nową falę nienawiści pod jego adresem wywołać musiało — oto postanowił on zburzyć te wszystkie pomniki, które Polakom były drogie. Zaczął swój wyczyn od pomnika Grunwaldzkiego, ale ten jeszcze, zdawało się, mógł dawać jemu pewnego rodzaju powód do przypomnienia upokarzającej chwili historycznej dla Niemców, chwili pogromu ich właśnie przez Polaków dokonanego. Ale co jemu zawinił pomnik Kościuszki na Wawelu lub Mickiewicza przed Sukiennicami? Gdy w dniu 17 sierpnia rozwalano na oczach wszystkich pomnik wieszcza naszego, nie było w Krakowie jednego serca polskiego, które by nie doznało wstrząsu i nie zapałało chęcią słusznej zemsty na burzycielach kultury polskiej i jej pamiątek.

Niszczenie tych pomników było jakby symbolem bezmyślnej a okrutnej polityki, którą Niemcy na ziemiach polskich stosowali w przekonaniu, że są już ich panami nieodwołalnymi i że przede wszystkim usunąć muszą wszystko, co by Polakom Polskę i Jej wielkość przypominać mogło.

Beznadziejność atmosfery, którą się odczuwało na jesieni tego roku 1940-go, wzmagana była jeszcze stale przez trwające bez przerwy wysiedlenia i coraz bardziej brutalne zachowywanie się władz, znalazła dla mnie wybitny wyraz w rozmowie, którą miałem okazję prowadzić z drem Siebertem, spotkawszy się z nim w jednym przedziale wagonu sypialnego w drodze z Warszawy do Krakowa. Dr Siebert, nie kładąc się wcale, całą noc przepędził na rozmowie ze mną, dla niego i jego sylwetki moralnej bardzo charakterystycznej. Zaczął on od oświadczenia, że opuszcza swe stanowisko i wraca do Bawarii dla objęcia tam jakiegoś posterunku przy ojcu swoim, który był tam prezesem ministrów. Następnie poruszył on w rozmowie wszystkie te sprawy, które w tej czy innej formie w działalności mojej mnie z nim łączyły — wreszcie ostrzegał mnie w sposób niebywale delikatny i rozumny przed tymi niebezpieczeństwami, które mnie i naszej pracy grozić mogą, zaś przede wszystkim przed Gestapo, które wyraźnie zaczepny stosunek do RGO cechuje. Wreszcie, gdyśmy się już zbliżali do Krakowa, a ja wyrażałem pod jego adresem żal, że opuszcza nas człowiek, z którym zupełnie szczerze przywykliśmy mówić, powiedział mi dr Siebert bez ogródek żadnych, że mały z niego dla nas pożytek, bo on z Gestapo nie może mieć żadnego stosunku, a przez to pożytecznym dla nas nie może być w tej mierze, w jakiej by sobie tego życzył, że wreszcie opuścić się zdecydował zajmowane przez niego stanowisko, bo „w tym piekle nadal pozostawać nie może". Smutna i dziwna konkluzja, ładne otwierająca przed nami perspektywy, gdy wszyscy ludzie mający sumienie opuszczą szeregi władz nad nami panujących!

W tak beznadziejnie kształtujących się stosunkach przeżywaliśmy jesień 40-go roku. Praca zdawała się iść jak po grudzie, trudności we wszystkich dziedzinach piętrzyły się, a ustawać nie wolno było na chwilę, bo wzrastała już wyraźnie świadomość ogólna potrzeby bezwzględnej tego rodzaju instytucji jak RGO, która by próbowała przeciwnościom stawić czoło.

Tymczasem opuszczali nas po kolei ci wszyscy, którzy na początku byli pewną pomocą ze strony władz przy organizowaniu pracy naszej — więc za drem Siebertem poszedł dr Arlt, by zająć stanowisko krzewiciela niemieckości na Śląsku polskim.

Na miejsce jego przyszedł dr Föhl, człowiek nie gorszy pod względem stosunku do nas, ale fantasta nieobliczalny.

Prawdziwą stratą był wyjazd dra Sanne, który opuszczał Kraków z powodu ciężkiej choroby — w stanie groźnym wyjechał do sanatorium w Berlinie, gdzie zdrowia nie odzyskał i wkrótce umarł. Pożegnanie nasze z nim w szpitalu na Prądniku, w Krakowie, było pod wieloma względami nie takie, jakie z Niemcem normalnie by się zdawało mogło mieć miejsce. Nie wierzył on już w swoje wyzdrowienie i mówił ze mną, jak z kimś bardzo bliskim, któremu ostatnie przed śmiercią daje się zlecenia — toteż wyszedłem od niego wzruszony bardzo i przekonany, że tracimy w nim nie tylko sprawiedliwego i rozumnego doradcę, ale i prawdziwego przyjaciela. Przedstawił mi wtedy swego następcę pana Arninga, którego nazywał swoim przyjacielem, i prosił, by traktować go jako takiego, czyli z pełnym zaufaniem. Niedługo pan Arning urzędował na stanowisku przedstawiciela Czerwonego Krzyża Niemieckiego w Krakowie, gdyż został po paru miesiącach powołanym do Francji, gdzie w Bourges powierzono mu stanowisko zastępcy władz niemieckich na nie okupowaną część ziemi francuskiej, ale stosunek, który zdołał się pomiędzy nami ustalić, odpowiadał w pełni temu, co mówił o nim dr Sanne, był pełen szczerości i chęci dopomożenia nam w wielu ciężkich sprawach, które jakby falą zaczęły nadchodzić.

Rozrastanie się RGO w oczach naszych do rozmiarów potężnej instytucji pociągało za sobą ciągły rozrost także personelu administracyjnego. Na biurkach dyrekcji i szefów wydziałów gromadziły się stosy nie załatwionych spraw, dyrektor ówczesny dr Celichowski, aczkolwiek cały swój czas pracy w RGO poświęcał, nie mógł po prostu już fizycznie wydołać temu, co na nim ciążyło. Należało personel zwiększyć, a dla dra Celichowskiego znaleźć odpowiedniego zastępcę. Po rozmowach przeprowadzonych z wielką liczbą kandydatów, zatrzymałem się na osobie pana Edmunda Seyfrieda, z którym zapoznał mnie, gorąco polecając, pan Baranowski. Z początku w Warszawie rozmówiwszy się z nim wyczerpująco, potem, gdy przyjechał na me zaproszenie do Krakowa, zbliżyłem się z nim tak dalece, że nabrałem przekonania, że rozumiemy się do-

skonale i że stanowisko powyższe mogę mu zaproponować — gdy to uczyniłem, przyjął on je chętnie. Kilka lat energicznej i owocnej przez pana Seyfrieda prowadzonej pracy, z początku na stanowisku wicedyrektora, a potem dyrektora, są dowodem, że mój wybór był trafnym i skutki jego pożyteczne dla RGO.

Kłopot drugi, może nie mniej poważny, miałem z obsadzeniem stanowiska dyrektora komitetu w Warszawie, rozmiarami swymi wówczas przekraczającego znacznie centralę RGO i któremu przypadało w udziale nie tylko organizację odpowiednią stworzyć, ale i odziedziczone po SKSS błędy skutecznie naprawić. Po wielu naradach z panami Machnickim i Wachowiakiem zatrzymaliśmy się nareszcie zgodnie na osobie pana Andrzeja Jałowieckiego, który dotychczas pełnił obowiązki sekretarza prezydium, zaś następnie zastępcy dyrektora, ale ze wszystkich kandydatów swoją wielką energią i zrozumieniem, jak taką jak nasza instytucja prowadzić należy, wybitnie się wyróżniał, z władzami umiał zawsze spokojnie i z godnością wychodzić, zaś pracą swą i inteligencją budził u nich należny respekt.

W owym też czasie zgłosił się do mnie o zatrudnienie go w RGO pan Antoni Starzeński, którego przyjąłem i który się okazał w przyszłości jednym z najdzielniejszych naszych współpracowników i był przez czas dłuższy wicedyrektorem — na razie objął wydział przemysłu domowego, dla rozwoju którego wiele pracy położył.

Drugą troską moją w tym czasie była konieczność zdobywania funduszów, bo wszelkie, nawet największe, były niczym w porównaniu do tych potrzeb, którym RGO zadosyć uczynić by musiało, by swe zadanie naprawdę dobrze spełnić. Pewną otuchą co do tej sprawy natchnął mnie list otrzymany w październiku od gen. Sikorskiego z Londynu, w którym poza innymi sprawami poruszył on sprawę pomocy finansowej dla nas — pisał tak, jakby już większe sumy były nam przekazane w złotych, zaś wobec wycofania ich z obiegu w GG zapytywał, w jakiej formie chcielibyśmy, by nam w dolarach mógł przyjść z pomocą. Łączył on wykonanie tego z zamierzoną podróżą do Washingtonu, gdzie miał od prezydenta Roosevelta kilkanaście milionów dolarów otrzymać, z tego około sześciu milionów przeznaczał dla nas. Po naradzie z prof. Młynarskim, prezesem Banku Emisyjnego, wysłałem mu

pod datą 4 listopada odpowiedź, proponując, by sumę pięciu milionów dolarów zechciał przekazać dla Rady do Szwajcarii na zakupy nasze za granicą, zaś jeden milion zdeponował w New Yorku celem wypuszczenia przez nas czeków w złotych pokrytych ową kwotą płatną w dolarach po wojnie*. Dla stworzenia odpowiedniego alibi wobec władz niemieckich wysłałem do naszego pełnomocnika w New Yorku, pana Stefana Roppa, pismo polecające mu gromadzić fundusze na cele RGO na terenie Polonii Amerykańskiej. Pismo to złożyłem na ręce von Wühlischa, by zechciał je na drodze urzędowej przesłać do Ameryki, przy czym pod stemplem stwierdził na kopii listu mego, że tą drogą został on przesłany.

Ponieważ jednak obietnice otrzymywane od Rządu Polskiego zawodziły, a organizacja naszych komitetów w powiatach była skończoną, a delegatur w gminach już rozpoczętą, postanowiłem użyć wszelkich wpływów tych organizacji w kierunku podniesienia ofiarności kraju. By to osiągnąć koniecznym było być stale w kontakcie ze wszystkimi placówkami naszymi, bo nie dysponując prasą, jedynie kontakt osobisty i żywe słowo mogły rzecz całą właściwie postawić. Znowu odbył się szereg zjazdów w Lublinie, Siedlcach, Warszawie, Radomiu i Krakowie, na których kontakt ten został nawiązany w sposób nadzwyczaj żywy i dla pracy dalszej nadzwyczaj skuteczny. Dla mnie osobiście był on bezcennym, bo rezultatem jego było uczucie, że znam wszystkich osobiście i przez to w pracy mej czuję się znacznie bliższym krajowi, poznaję jego potrzeby bezpośrednio i w porozumieniu z nim znajduję środki zaradcze. Na tych zjazdach wysunęła się znowu na czoło konieczność szybszego pchnięcia naprzód organizacji delegatur gminnych, którą postanowiłem polecić do wykonania szeregowi działaczy, którzy w roli inspektorów wzięliby na siebie w imieniu RGO wypełnienie tego ważnego zadania, kompletując w ten sposób organizację naszą.

Obraz przeżyć roku 1940-go nie byłby kompletnym, gdybym kilkakrotnie już podkreślając takie lub inne kształtowanie stanowiska władz niemieckich w stosunku do Polaków nie poruszył tego, jak krystalizowały się polityczne poglądy polskie i z jakich źródeł pochodziły wiadomości, które służyły za ich podstawę. Otóż pomimo kary śmierci za słuchanie radia każdy Polak pod okupacją uważał za obowiązek honoru wiadomości te z narażeniem siebie otrzymywać. Dosyć powiedzieć, że w RGO mieliśmy stałą obsługę radiową trzy razy dziennie. Byliśmy więc dokładnie o wszystkim poinformowani i przez to nie błąkaliśmy się w nieświadomości tego, co poza granicami Rzeszy na świecie się dzieje.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w owym czasie i ze strony niemieckiej dochodziły mnie wiadomości o udziale Polaków po stronie francuskiej w bitwach stoczonych we Francji, i to ze słów generała niemieckiego nazwiskiem Kręskiego, który kwaterował w Balicach pod Krakowem u księcia Hieronima Radziwiłła. Generał ów, noszący nazwisko o brzmieniu polskim, mówił, że jest Saksończykiem i że był jednym z dowodzących niemieckimi siłami pod Sedanem we Francji — nie szczędził on słów zachwytu nad bohaterstwem Polaków, utrzymując, że padło ich tam do dwudziestu tysięcy i że oni właściwie cały ciężar nacisku wojsk niemieckich zatrzymali, zasłaniając odwrót armii francuskiej, która wcale bić się nie chciała i w rezultacie się nie biła. Hołd składany przez generała niemieckiego bohaterstwu polskiemu był jakby pewnego rodzaju balsamem na obolałe dusze nasze, tym bardziej gdy w ślad za tą wiadomością przyszły nowe stwierdzające, że generałowi Sikorskiemu udało się przedostać do Anglii z kilkudziesięciu tysiącami wojsk naszych i że tam, jako premier rządu polskiego, zdobywa sobie powagę i uznanie coraz większe. Osobiście otrzymałem od niego w ciągu roku tego ogółem trzy listy, dwa jeszcze z Angers i jeden z Londynu, poza tym jeden list od prof. Kota. Rad byłem, że wiedzą tam dokładnie o naszej działalności i sposób jej prowadzenia specjalnie chwalą, list prof. Kota temu jedynie był poświęcony. Obiecywane jednak wielkie sumy dla dopomożenia nam w pracy Rady nigdy, niestety, nie nadeszły, pomimo że odgłosy o tym, że zostały wysyłane, dochodziły do nas pośrednio. W dniu 4 listopada przez specjalną okazję miałem możność wysłać wyczerpującą odpowiedź na wszystkie poruszane w listach generała sprawy i poza projektami finansowymi, o których już mówiłem, specjalnie obszernie poruszyłem sprawę bolszewizmu i jego działania na terenach polskich okupowanych przez Sowiety, wówczas jeszcze odegrywujące rolę przy-

jaciół Niemiec. Ostrzegałem Sikorskiego przed tym wszystkim, co nam z tej strony grozi, dałem wyraz mym przewidywaniom co do wojny sowiecko-niemieckiej, będącej koniecznością dziejową, i podkreślałem oprócz dodatnich stron tej wojny dla nas jej wielce ujemną stronę tę, że związek z Sowietami przesłonić może rolę Polski w stosunku do aliantów — obawiałem się z tej strony wielu niebezpieczeństw dla nas.

Temat bolszewizmu był też nieraz przeze mnie poruszany w rozmowach z władzami niemieckimi — starałem się w rozmowach szczególnie z von Wühlischem podkreślać, że Sowiety trzymają się taktyki wobec Polaków podkreślającej błędy Niemców — więc gdy w GG prześladowani są księża i religia, oni w Galicji udzielają w tej dziedzinie zupełnej swobody, gdy szkoły i uniwersytety Niemcy zamykają, oni tam oficjalnie i z pompą podkreślają swój przychylny dla nich stosunek. W rozmowie, którą miałem z von Wühlischem w dniu 12 grudnia, gdy on podkreślił przyjacielski stosunek, jaki zaistniał z bolszewikami, pozwoliłem sobie mu oświadczyć, że w moim przekonaniu wojna z Sowietami jest rzeczą przesądzoną, gdy zaś kategorycznie temu zaprzeczył, prosiłem, by zechciał sobie datę dnia 12 grudnia zanotować, jako tę, w której to jemu z mej strony było zakomunikowanym. Wręczyłem mu też memoriał pisany pod datą 22 listopada, w którym stosunek do Sowietów i niebezpieczeństwa z niego wypływające są jasno ujęte w następujących słowach:

„Niezależnie od tego, czy Sowiety obecnie w stosunkach przyjacielskich do Niemiec pozostają, czy też, co w każdej chwili nastąpić może, one z Niemcami na polu bitwy jako przeciwnicy się spotkają, jest jedna rzecz jasną, mianowicie, że propaganda sowiecka, która panowanie Związku Sowieckiego aż do Oceanu Atlantyckiego swoim członkom obiecuje — w Niemczech i w Polsce energicznie pracuje, by ten zgubny dla całej Europy cel osiągnąć.

Niebezpieczeństwo, które z tą propagandą specjalnie w czasie wojennej nędzy jest połączone, zagraża także i Polsce i w tym punkcie muszą Niemcy i Polacy, nie zważając na wszystkie ich dzielące sprawy, pracować w tym samym kierunku.

Należy brać poważnie nawet wiele z tych objawów, które pozornie nie mają nic wspólnego z tym problemem.

Jako przykład należy przytoczyć: jezuici we Lwowie wzięci zostali nagle przez Sowiety pod przyjazną opiekę, a to jedynie na to, by podkreślić, że w Generalnej Guberni stu jezuitów przebywa w więzieniach. Polacy pod Sowietami nagle zaczęli być traktowani przyjaźnie, by Polakom w Generalnej Guberni pokazać różnicę, jakiej pomiędzy traktowaniem ze strony Sowietów a tym, jakiego doznają od rządu niemieckiego, mają oczekiwać.

Na ziemiach polskich okupowanych Sowiety nawet zachowały prawo prywatnej własności i pozostawiły swobodne korzystanie i własność do 40 ha przestrzeni, by także i w tym kierunku specjalnie na polskiego chłopa, który, jak wiadomo, jest konserwatywnie nastawiony, propagandowo wpływać.

Te trzy przykłady wystarczają, by zrozumieć, dlaczego przeważająca część ludności polskiej, która pod rządami bezwzględnego regimu Generalnej Guberni nic już nie ma do stracenia — nie tylko dla wszystkiego, co jej z tamtej strony jest szeptanym, staje się dostępną, ale dają się nawet słyszeć głosy dyktowane rozpaczą, które twierdzą, że pod bolszewikami jest znacznie lepiej.

Dla nas jednak, poważnie myślących Polaków, byłoby największym nieszczęściem, gdyby w razie konfliktu te ujawniające się myśli miały być w czyn wprowadzone i zamiast owo największe niebezpieczeństwo dla cywilizowanego świata chcieć zwalczać — te zrozpaczone elementy zechciały stanąć przy boku Sowietów.

To niebezpieczeństwo winni poważni ludzie, tak z polskiej, jak i niemieckiej strony jasno i w porę zrozumieć i dołożyć starań, by w miarę możności je usunąć.

Trzeba, i to niezwłocznie, wszystko uczynić, by to osiągnąć. Droga prowadząca do tego nie idzie w kierunku politycznego porozumienia z Polską — atmosfera i warunki są dalekie od tego, by ją za właściwą dla tego uznać — należy pracować nad zmianą warunków.

Nam potrzebne jest, co następuje:

1. intensywna i wielokrotnie powiększona pomoc dla tych, którzy znajdują się w nędzy

2. wstrzymanie aresztowań i uwolnienie specjalnie duchowieństwa, profesorów i tych, którym nie są wytoczone procesy, by stworzyć atmosferę w kraju i usunąć istniejącą atmosferę podejrzeń

3. natychmiastowe pozwolenie na otwarcie szkół, seminariów i innych zakładów naukowych, żeby młodzież, której energia i temperament z powodu braku zajęcia mogą prowadzić do czynów lekkomyślnych — doprowadzić do roboty i nauki

4. przywrócenie położenia prawnego, które by każdemu to, co posiada, zabezpieczało, i wreszcie —

5. założenie straży obywatelskiej, która, złożona z najlepszych i najuczciwszych elementów, w razie konfliktu bezpieczeństwo by zapewniła.

Kraków, dnia 22 listopada 1940".

Temat ten poruszyłem też kiedyś na zebraniu w Warszawie w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, gdzie na zaproszenie prezesa Augusta Popławskiego miałem referat o działalności RGO. Po wyczerpującym, prawie dwie godziny trwającym przemówieniu na temat Rady, ks. Janusz Radziwiłł obecny na zebraniu poprosił mnie, bym zechciał też coś na temat polityki powiedzieć. Pozwoliłem sobie wypowiedzieć tylko jedno zdanie, że wojna pomiędzy Niemcami a bolszewikami jest dla mnie pewnikiem. Książę w odpowiedzi na to me oświadczenie użył słów: „Dziwne to, że Pan, który tak logicznie przez dwie godziny mówił nam o Radzie, teraz tak rozbiegające się z logiką stawia wnioski". Nie odpowiedziałem wówczas na tę apostrofę, wypadki jednak mnie przyznały rację!

Kończąc me opowiadanie o tym, co przeżywaliśmy w roku 1940-m, muszę jeszcze wspomnieć o sprawie, która nam dużo krwi napsuła i która, niestety, w Warszawie przez czas dłuższy fałszywie kolportowaną była. Myślę tutaj o sprawie domów gry otwieranych przez GG i których dochody władze chciały ofiarować RGO. W naiwności swojej, idąc bardzo daleko, dr Föhl w dniu 19 października na zebraniu Rady Naczelnej nam oświadczył, że władze przeznaczają fundusze wpływające jako czysty dochód z domów gry na cele, którym służy Rada Naczelna, czyli pomocy społecznej, wykonywanej przez Rady Opiekuńcze polską i ukraińską i instytucję Samopomocy Społecznej Żydowskiej. Zabrałem głos natychmiast i oświadczyłem kategorycznie w imieniu RGO, że pieniędzy pochodzących ze źródeł niemoralnych, jakimi dla mnie domy gry w Polsce być muszą, szczególnie w tych czasach, przyjąć nie możemy i nie przyjmiemy, jeżeliby nam przekazane zostały. Dr Föhl uznał za właściwe zwrócić naszą uwagę i na to, że władze mogą z tego wyprowadzić wniosek dla nas niefortunny, że mamy pieniędzy dosyć i dotacji żądanych przez nas nie zatwierdzić, ale że naturalnie postąpimy tak, jak to za właściwe uważać będziemy. Ponieważ protest mój został zgłoszony wyraźnie w imieniu RGO, a nie został on podtrzymany przez Ukraińców, więc w rezultacie dochód z tego źródła trafił do kasy Rady Opiekuńczej Ukraińskiej, i to było powodem, że ukazujące się w pismach urzędowych wiadomości o przekazaniu powyższych funduszów na cele społeczne wywoływały w społeczeństwie polskim podejrzenie, że my też z nich korzystamy. Ponieważ oficjalne zaprzeczenie z naszej strony w pismach nie było możliwym, więc też zwalczanie tej z gruntu fałszywej wiadomości było trudnym i zająć musiało dużo stosunkowo czasu, szczególniej wobec ujawniającej się złej woli niektórych czynników szukających w ten nieszlachetny sposób przyczyny do występowania przeciwko RGO i jej działalności.

Wreszcie we wspomnieniach mych z roku 1940 należy się miejsce odpowiednie wizycie, którą za bytności mej w Siedlcach złożyłem pani Wandzie Chłapowskiej w Kossowie pod Sokołowem. Jako prezes Rady uważałem za mój obowiązek ją odwiedzić, by złożyć hołd żonie i siostrze ludzi, którzy w pierwszych dniach wojny życie swe bohatersko ofiarowali na ołtarzu Ojczyzny. Ze słów pełnych prostoty pani Chłapowskiej przytaczam opis tego, co już w dniu 8 września r. 1939 miało miejsce w miasteczku Kościanie w Poznańskiem. Dnia tego byli tam rozstrzelani zakładnicy polscy wzięci przez burmistrza niemieckiego naznaczonego kilka dni przedtem, którzy jako zadośćuczynienie za zabójstwo Niemca w okolicy musieli oddać życie. Zakładników było wziętych sześćdziesięciu. Gdy o tym się dowiedział pan Mieczysław Chłapowski z Kopaszewa, znany działacz społeczny, powziął on myśl razem ze swym przyjacielem panem Janem Szołdrskim z Psarskiego, by

życie swe ofiarować w zamian za uwolnienie owych zakładników. Z tą propozycją zwrócili się oni do burmistrza i po długich targach stanęło na tym, że ten przyjął ich ofiarę w zamian za zwolnienie trzydziestu zakładników. Tegoż dnia pan Chłapowski, odmawiając głośno różaniec, pilnował kopania grobu dla siebie i swych towarzyszy, w którym wszyscy spoczęli z myślą o Bogu i Ojczyźnie. Czyn tych dwóch obywateli ziemskich polskich złotymi zgłoskami zapisanym być winien w pamięci Polaków.

Rok mijał już od chwili prac naszych około organizowania RGO, a stosunek władz niemieckich do tej jedynej w Polsce instytucji opiekuńczej najlepiej może charakteryzować to, że generalny gubernator nie uznał przez cały ten czas za stosowne ani razu wejść z tą instytucją w jakikolwiek kontakt. Tymczasem rosły szeregi podopiecznych, nie ofiar wojny, ale regimu, obozy koncentracyjne napełniały się licznie Polakami, którzy sami nie wiedzieli najczęściej, w czym w ogóle zawinili, a domyślali się, że główną ich winą jest, że należą do szeregów inteligencji polskiej kochającej swą Ojczyznę i Jej chcący służyć wiernie. Wysiedleni pozbawieni wszelkiego dobytku coraz liczniej napływali do GG i powiększali szeregi potrzebujących pomocy.

Widząc stan ten beznadziejny, a uznając, że przede wszystkim obowiązkiem naszym jest o rodaków w obozach się upomnieć, wystosowałem w dniu 12 grudnia tego roku list do generalnego gubernatora treści następującej:

„Kraków dnia 12 XII 1940.

Ekscelencjo!

W mojej roli jako prezesa Polskiej Rady Opiekuńczej dążyłem od pewnego już czasu do uzyskania możności przedstawienia Waszej Ekscelencji osobiście szeregu życzeń, które z ciążącym na mnie zadaniem kierowania centralą organizacji pomocy są ściśle związane.

Ponieważ dotychczas nie danym mi było osobiście się rozmówić, nie mogę zaniedbać przynajmniej na tej drodze sprawy najbardziej nas obchodzącej Waszej Ekscelencji przedstawić.

Niewątpliwie jednym z najważniejszych celów moralnych każdej działalności pomocy musi być dążenie, by oszczędzić stanu rozpaczy tysiącom ludzi i ich dusze i myśli możliwie w równowadze utrzymać.

To powinno być właściwie celem wszystkich rozumnych i przemyślanych państwowych zarządzeń. Nastrój bowiem duchowy ludności stanowi niewątpliwie podstawę społecznego porządku. Rozkaz i zakaz muszą być tylko środkami pomocniczymi. To zapatrywanie zapewne nie zadziwi Waszej Ekscelencji, jako znanego prawnika.

Nie biorąc pod uwagę żadnych politycznych przesłanek, uważam za me prawo, ale i także poważny obowiązek, który z wykonywania opieki nad nieszczęśliwymi wypływa i ofiar bezpośrednich i pośrednich tej wojny dotyczy, zwrócić się do Waszej Ekscelencji.

Do tego kroku zmuszają mnie niezliczone błagalne podania najboleśniej dotkniętych żon, mężów, ojców i matek, których najbliżsi w obozach koncentracyjnych przebywają.

Niepomierna liczba ludzi, którzy od swych rodzin, od normalnego bytu i działania oderwani zostali, ciąży na samopoczuciu społeczeństwa polskiego i pogrąża je w najgłębszą żałobę.

Ja przyłączam się do nich wszystkich w oczekiwaniu i nadziei, że Wasza Ekscelencja wspaniałomyślnie postąpić zechce. Oczekujemy złagodzenia nieszczęśliwego losu, który jest udziałem ich ukochanych.

Oni są wszyscy pełni nadziei, że ze względu na nadchodzącą uroczystość największego chrześcijańskiego święta Bożego Narodzenia otworzą się szeroko drzwi więzień, przynajmniej dla tych, którzy sądownie nie są powołani. Noc święta przecież rozbrzmiewa na świecie całym od pieśni pełnych radości i zgody. Jako prezes Rady Głównej Opiekuńczej czuję się do tego powołanym, by do humanitarnych i chrześcijańskich uczuć Waszej Ekscelencji zaapelować. Oby te uczucia wzięły pod uwagę stan społeczeństwa polskiego i znalazły szlachetny i podniosły wyraz w tej chwili".

List ten nie doczekał się żadnej odpowiedzi!

Część druga
Rok 1941

Gdy myślą przebiegam wypadki roku 1941-go i porównywam go z jego poprzednikiem, to muszę stwierdzić, że w odróżnieniu od ostatniego żyliśmy w nim pod wrażeniem zbliżającej się wojny niemiecko-bolszewickiej i z wybuchem tej wojny łączyliśmy wiele nadziei, których urzeczywistnienie mogłoby doraźnie wpłynąć na polepszenie bytu, ale przede wszystkim odbić się na ukształtowaniu się warunków dla przyszłości kraju niezbędnych.

Żyliśmy więc nadzieją i pracowaliśmy dalej zajadle, w pracy tej mając za przyczyną władz niemieckich wiele urozmaicenia i trudności.

Już na samym wstępie roku nowego miałem jedno wydarzenie nader charakterystyczne dla całokształtu stosunków w kraju i dla stanowiska, jakie społeczeństwo polskie zajmowało we wszystkich jego warstwach w odniesieniu do przeżywanych wypadków.

Oto w dniu 6-go stycznia wezwany zostałem telegraficznie do Chełma, gdzie w związku z przesiedlaniem ludności polskiej obecność moja była potrzebną. Zaraz nazajutrz wyjechałem samochodem w trzaskający mróz i po południu koło godziny 5-ej znalazłem się na miejscu. Pani Gniazdowska, prezeska komitetu powiatowego chełmskiego niezwłocznie wprowadziła mnie w bieg sprawy, dla której mnie wezwano. Treścią jej było to, że już od szeregu tygodni dokonywanym było przesiedlanie ludności polskiej z terenów zajętych przez Rzeszę na kolonie po Niemcach z Chełmszczyzny. Wielu przybyłych Polaków, którym za odebrane ich sadyby obiecano w zamian takie same tutaj, nie tylko podobnych nie otrzymało, ale przy tym obdzielaniu zostało pokrzywdzonych w sposób urągający wszelkim zasadom. Uznano więc za konieczne, bym ja w ten stan rzeczy wglądnął osobiście i zebrane dane w formie odpowiedniej interwencji władzom przedstawił.

Za drogę najszybciej prowadzącą do celu uznaliśmy, bym niezwłocznie udał się z prezydium komitetu tam, gdzie ci oporni, którzy kolonii im wydzielonych nie chcą przyjąć, się znajdują, to znaczy do gmachu Dyrekcji Kolei, i tam ich skarg i żądań wysłuchał.

Gdy koło godziny 6-ej wieczorem znalazłem się na miejscu, zastałem tam w jednej olbrzymiej sali zgromadzonych przeszło tysiąc ludzi z dziećmi i rzeczami czekających na me przyjście. Robiło to wrażenie przygnębiające widzieć owych ludzi zbiedzonych, zziębniętych i stłoczonych na tej sali, w której ciemności panujące rozpraszało zaledwie kilka żarówek. Za stołem na krzyżakach zajęło miejsce prezydium komitetu wraz z mną — za nami w odległości kilku kroków stał posterunek Gestapo, mający pilnować porządku, zresztą nie zakłóconego przez nikogo, bowiem zachowanie się i spokój zebranych tam ludzi był po prostu wzorowy, nawet płaczu dzieci słychać nie było.

Dla wyświetlenia sprawy, o którą nam chodziło, uznałem za konieczne wysłuchanie po kolei wszystkich, którzy ze skargami do mnie chcieliby się zwrócić — sposób wypróbowany już przeze mnie niejednokrotnie, a mający w sobie to, że szczególnie włościanie, gdy się im pozwoli swobodnie się wypowiedzieć, już przez to samo, że ich cierpliwie wysłuchano, doznają jakby ulgi. Wysłuchanie wszystkich, co mieli mnie coś do powiedzenia, zajęło kilka godzin czasu. Już zdawało się, że dobiegam końca tej żmudnej pracy, gdy uwagę mą zwrócił na siebie stojący w pobliżu prezydialnego stołu starzec o bardzo pięknym typie włościanina polskiego, który wraz z dwoma kobietami i kilkorgiem małych dzieci koło siebie stał spokojnie, aż przyjdzie na niego kolej mnie swe biedy przed-

stawić. Gdy wreszcie na niego przyszła kolej i zaczął mówić, cisza zapanowała w sali taka, że muchę można by, zdawało się, słyszeć przelatującą. Zaczął on od tego, że był on pod Włocławkiem właścicielem kolonii 30-morgowej z ładnym domem otoczonym parkanem malowanym à la Składkowski, miał 4 konie i 8 krów, 22 kaczki i 40 kur — gdy pewnej nocy w grudniu r. z. zjawili się u niego żandarmi niemieccy i kazali jemu z rodziną całą wybierać się natychmiast i dom w przeciągu dziesięciu minut opuścić. Wręczono mu Nr 16 na kartonie wydrukowany i oświadczono, że z tym dokumentem otrzyma on pod Chełmem kolonię podobną do tej, którą opuszcza. Naglono tak, że ubrać się nie pozwolono porządnie, a jemu, co go widocznie najbardziej zabolało, ściągnięto nawet z nóg buty nowe, które nałożył, by je ze sobą zabrać. Gdy zaś przyjechali tutaj, do Chełma, i posadzono go również z całą rodziną na furę Nr 16 i zawieziono na kolonię tymże numerem oznaczoną — okazało się, że ma ona zaledwie półtora morga, na niej stoi waląca się chata, a jako cały inwentarz znajduje się jedna zdychająca z wygłodzenia krowa. Czyż jemu, Mikołajczykowi spod Włocławka, jak siebie nazwał, gdy go spotkał taki despekt, zamianę taką przyjmować i na nią się godzić wolno? — nie, godność jemu na to nie pozwalała i jej nie przyjął i nie przyjmie. Efekt tego oświadczenia był duży, ale zainteresowanie całej sali wzmogło się jeszcze bardziej, gdy Mikołajczyk, nawet nie wspominając prawie o potrzebach najpilniejszych swoich, zwrócił się do mnie z następującymi pytaniami, dla których, by je postawić, czekał tak cierpliwie swej kolejki. Pierwsze z nich brzmiało tak: „Niech Pan mi powie, jak to długo jeszcze będzie trwało tego nieszczęścia naszego?" — a gdy mu na to pytanie odpowiedziałem zdawkowym słowem, że może Pan Bóg miłosierny pozwoli, że już tak długo tego nie będzie i może za jaki rok się to skończy, brzmiały już, prawie nie czekając na tę odpowiedź, jego słowa: „Bo to widzi Pan, ja rano i wieczór proszę Boga z duszy całej, by mnie pozwolił doczekać chwili, kiedy ja tam będę wracał!". Te słowa wypowiedziane przez starca siwego i o szlachetnych niezwykle rysach, z ręką wyciągniętą jakby do groźby pod adresem tych, którzy go ojcowizny pozbawili, brzmiały wprost wstrząsająco i takież zrobiły na sali wrażenie. Ta postać starca z tą ręką wyciągniętą do nieba na ciem-

nym tle sali wyglądała, jakby była wykrojoną z obrazu Rembrandta, stawała się niemal proroczą! Ale na tym nie koniec. Po pewnej chwili zwrócił się ów starzec znowu do mnie z pytaniem drugim, treść którego wprawiła mnie w nie lada zakłopotanie. Powiedział on, co następuje: „Nie wiem, czy już ja jestem taki stary, że wielu rzeczy już nie rozumiem, otóż często słyszę koło siebie, jak mówią, że mamy być lojalni i legalni, niech Pan mi z łaski swej wytłomaczy, co to właściwie znaczy?". Chcąc zyskać na czasie, powiedziałem mu, że zupełnie słusznie, że się do mnie jako prezesa RGO zwraca, a sam myślałem, jaką mu właściwie dać odpowiedź — przyszła mi ona jakby sama w formie następującej: „Niech Pan wie, Panie Mikołajczyk, że Polak może być lojalnym tylko wobec własnego sumienia i Ojczyzny własnej, zaś legalnym tylko wobec tych panów" — mówiąc ostatnie słowa, wskazałem na przedstawicieli władzy stojących za mną. I może to moje powiedzenie nie wywołałoby żadnego większego wrażenia, gdyby nie zachowanie się właśnie tych panów, którzy tonem brutalnym zwrócili się do mnie o przetłomaczenie wypowiedzianych przeze mnie słów — uczyniłem to, a przez ten czas szept przeszedł przez całą salę, która już dokładnie zrozumiała, o co chodzi, i słowa me notowała w pamięci. Z powodu jednak słów tych zostałem zawezwany już dnia następnego do Krakowa i tam do władz odpowiednich, które o cały incydent skrupulatnie się wypytywały — treść jego zakomunikowano Berlinowi, gdzie podobno na posiedzeniu u marszałka Göringa, jak mnie to potem opowiadał von Wühlisch, przyznał mi on rację.

Styczeń roku tego, tak niezwykle rozpoczęty, nie ograniczył się li tylko do tego incydentu, wypadki kolejne urozmaiciły go nam bardzo.

Więc przede wszystkim zauważyliśmy, że chmury zaczynają się gromadzić nad siostrzaną naszą instytucją Polskim Czerwonym Krzyżem, do której władze niemieckie zaczęły się odnosić z coraz większą nieufnością i manifestowały wyraźną niechęć i zamiar ograniczenia zakresu jej działalności. Na posiedzeniu odbytym w dniu 13 stycznia w PCK z panami Rutkowskim, Godlewskim, Rymarem, Celichowskim i Seyfriedem ustaliliśmy stan faktyczny żądań niemieckich, które zmierzały do tego, by dzia-

łalność PCK ściśle ograniczyć do tego, co na zasadzie praw międzynarodowych, na które memoriały PCK się powoływały, należy do niego.

Według tego w zakres tej działalności wchodzić miały — opieka nad jeńcami wojennymi, i to w pewnym zakresie, organizowanie korespondencji z nimi oraz poszukiwanie zaginionych, wreszcie opieka nad grobami poległych. Już sprawy sanitarne, które zdawało się siłą rzeczy są terenem działania PCK kwestionowano, a to dlatego, bo władze niemieckie na modłę tego, co zaprowadzono w Rzeszy, zajęły się organizacją służby zdrowia i wszelkie sprawy tego rodzaju chciały mieć wyłącznie pod swym zarządem. Przerażeni tym, co usłyszeliśmy, i widząc wyraźną tendencję władz nieprzychylną, postanowiliśmy jechać niezwłocznie do Warszawy, gdzie rezydował zarząd główny PCK, i tam sprawy rozważyć, by obronę instytucji na poważnych podstawach oprzeć. Na zasadzie narad w Zarządzie Głównym odbytych w dniu 18 stycznia postanowiono jednak dalej w obronie praw PCK powoływać się na prawa międzynarodowe mu przysługujące — innego co prawda byłem zdania, wiedząc dokładnie, że dla władzy niemieckiej wszelkie powoływanie się na te prawa nie ma żadnego znaczenia, bowiem dawno już w zarozumiałości swojej te prawa przekreśliła, jak zresztą wszystkie inne dla Niemców niewygodne — tak że opierając się na nich w zasadzie słusznie, nie osiągało się żadnego celu praktycznego i możności swobodnej pracy dla PCK, a tylko drażniło się swym stanowiskiem władze i coraz bardziej przez nie było się obserwowanym i ograniczanym w pracy. Niestety, obawy moje okazały się w przyszłości zupełnie słuszne.

W czasie tego pobytu widziałem pana Jałowieckiego w roli dyrektora Komitetu Warszawskiego RGO — ze sprawozdania, które mi złożył, widziałem, jak ciężkiego zadania się podjął i pomimo że nadrabiał miną i miał nadzieję trudności piętrzące się przed nim pokonać, to jednak miałem wielką obawę, czy mu się to uda — w każdym razie stwierdziłem, jak wiele pracy w organizację RGO w Warszawie wkłada. Na pierwszym zebraniu komitetu warszawskiego byłem w dniu 20 stycznia, zapoznałem się z jego zamierzeniami na najbliższą przyszłość i jego wielkimi bolączkami, przede wszystkim finansowej natury, bowiem środki roz-

porządzalne były wprost minimalne w porównaniu z piętrzącymi się potrzebami. Wielką troską panów naszych z tego komitetu było to, cośmy już dawno przewidywali, to jest przejęcie na siebie wszystkich agend istniejącego do tego czasu w stanie likwidacji SKSS — postanowiono przejęcia tego dokonać na dzień 1 marca tr. z zastrzeżeniem nie przyjmowania żadnej odpowiedzialności za działania tego komitetu.

Pobyt mój w Warszawie został nagle przerwanym wiadomością, że kryminalny komisarz Gans, dobrze mi znany, wzywa mnie do Krakowa w jakiejś bardzo ważnej sprawie na dzień 22 stycznia rano. Musiałem się stawić zaintrygowany zresztą bardzo, w jakiej sprawie tak nagłe wezwanie nastąpiło. Okazało się, że na porządek dzienny wypływała znowu sprawa neofitów i owe świadectwa, które wystawiane przez RGO były przeze mnie podpisywane. Tonem niepomiernie groźniejszym, niż to dotychczas bywało, Gans, nie witając się ze mną, oświadczył, że jestem pociągnięty do odpowiedzialności za wystawianie tych świadectw, które są przeciwne istniejącemu prawu rasistowskiemu w Rzeszy i są wyraźnym z mojej strony przekroczeniem. Zaraz z pierwszych słów pana Gansa wyczułem, że nie miał on w ręku owej mojej deklaracji czy świadectwa, bo mówił on, że przeczy ono prawu, gdy o prawie mowy w niej nie było — tak samo, że ono jest przekroczeniem, gdy te moje świadectwa właściwie były prośbą do władz, by nie stosowały na razie praw obowiązujących Żydów do neofitów, póki na drodze urzędowej nie będzie wyjaśnionym przez nas, czy od stosowania ich nie będą wolni. Widząc ze słów Gansa, że nie zna on treści tego świadectwa, zapytałem go wprost o to, i pokazało się, że nie tylko mam rację, ale że to stawia jego w sytuacji, z której nie było innego wyjścia, jak mnie powiedzieć, że dziękuje mi za dane wyjaśnienia i prosi, bym dalszych świadectw już nie wystawiał, bo do neofitów stosowane będą te wszystkie prawa, jakie dla Żydów zostały wydane i już wprowadzone w życie.

Gdy wróciłem do domu po owym przesłuchaniu u pana Gansa, znalazłem wszystkich wylęknionych tym, że trwało ono tak długo — byli bowiem wszyscy przekonani, że skończyć się ono musi aresztowaniem moim. Zaraz poszedłem zdać sprawę

z treści mej rozmowy z Gansem Księciu Metropolicie — w długiej naradzie, którą w ślad za tym na temat sprawy neofitów przeprowadziliśmy, nie znaleźliśmy właściwie drogi dla ratowania ich, i tylko postanowionym zostało, że Książę napisze dwa listy, jeden do generalnego gubernatora, drugi zaś do nuncjusza papieskiego w Berlinie. Obydwa nie znalazły innego oddźwięku jak milczenie i sprawa potoczyła się po drodze fatalnej, bo neofitów prawie wszystkich zmuszono do przeniesienia się do getta i tam prowadzili oni życie straszne, prześladowani przez władze i nieraz też przez Żydów, zaś potem los tych ostatnich stał się także ich udziałem.

W tymże miesiącu styczniu przeżyłem jeszcze jeden incydent, który mam wrażenie zupełnie bezpodstawnie stał się powodem wielu plotek i politycznych intryg. Mianowicie dnia 27 stycznia wezwany byłem do dra Föhla, który mnie pokazał wiadomość zamieszczoną w szwedzkim piśmie, twierdzącą, że na statku szwedzkim było wysłanych do Polski z Ameryki 35 ton odzieży i że ten transport w czasie rewizji dokonanej przez władze angielskie na morzu został skonfiskowany, jako kontrabanda wojenna. Dr Föhl zakomunikował mi o tym i zapytał, czy zamierzamy w tej sprawie interweniować? Sprawa wydała mi się zupełnie jasną i prostą i że interwencja taka jest wskazana, odpowiedziałem więc drowi Föhlowi, że zastanowię się nad tym. Po powrocie do RGO z panem Baranowskim ułożyliśmy tekst depeszy do prezydenta Hoovera, w której powołaliśmy się na dochodzące do nas wiadomości o konfiskacie transportu odzieży i ze względu na straszną nędzę, w której ludność nasza jest pogrążoną, prosimy o interwencję w celu zwrotu zabranych rzeczy, przy czym uznaliśmy za wskazane zaakcentować, że dotychczasowe transporty w całości doszły do rąk naszych.

Zdawało się nam rzeczą zupełnie naturalną, że gdy konfiskata miała miejsce, jest obowiązkiem RGO bronić swych praw, które zostały naruszone, widocznie jednak innymi kategoriami myśleli ci, którzy nam potem stawiali zarzut, że występujemy jawnie przeciwko aliantom przez tego rodzaju czyn nasz nie przemyślany i niepolityczny. Ani nie występowaliśmy przeciwko Anglii, ani nie działaliśmy politycznie, ale broniliśmy słusznych naszych praw, i nie na innej drodze, ale na jak najbardziej właściwej, bo żądaliśmy wyjaśnienia sprawy od prezesa naszej organiza-

cji prezydenta Hoovera. Tylko jakieś umysły dziwnie nastawione i szukające, jak się mówi po polsku, w całym dziury, mogły kuć z tego broń przeciwko nam — chyba że to było ich głównym, ale dla nas chyba niegodnym brania pod uwagę, celem.

Incydent z depeszą miał jednak dla mnie ten korzystny skutek, że pozwolił mi wejść z drem Föhlem na drogę rozważań na temat całego szeregu spraw nas dotkliwie bolących, a które ze strony władz, szczególnie po ustąpieniu dra Sieberta, były jakby ignorowane. Nagromadziło się ich tyle i ze wszystkich dziedzin, że czas było je na światło dzienne raz wysunąć. Poruszyłem więc z nim, nadając wynurzeniom moim ton zupełnej szczerości, oprócz sprawy neofitów, sprawy takie, jak coraz bardziej nabolałą sprawę losu wysiedleńców z Poznańskiego, ale także z jednej części kraju do drugiej — sprawę funduszów i ich źródeł, jak loterii i składek, wreszcie i sprawę szkół, i wyższych zakładów, i wiele także innych. Rezultatem tych narad, gdzie bez ogródek postępowanie władz krytykowałem i nazywałem po imieniu, było to, że dr Föhl, podzielając widocznie me zdanie, prosił o złożenie mu memoriału, który by ten stan rzeczy w spokojnych, ale stanowczych słowach zobrazował i żądał zajęcia stanowiska ze strony władz, reprezentowanych wówczas w stosunku do nas głównie przez następcę dra Sieberta w wydziale spraw wewnętrznych, pana Westerkampa. Postępowanie jego najbardziej charakteryzuje to, że urzędując prawie już przez rok, nie weszedł ani razu w kontakt z RGO, a tylko przez dra Föhla dawał znać o sobie przez zabranianie, jakby z zasady, wszystkiego, nawet tego, co na podstawie statutu było naszym prawem, jak na przykład zbiórki składek i loteria oraz przemysł domowy, chyba nikomu nie mogący zawadzać, a dający możność egzystencji rodzinom całym, jeżeliby go dobrze zorganizować, jak to projektowaliśmy uczynić.

Po szczegółowej naradzie z pełnomocnikami, których zjazd niebawem miał miejsce, został przeze mnie zredagowany memoriał, który zamierzałem złożyć na ręce dra Föhla, gdy nagle zostałem zawezwany do Warszawy w sprawie, która tam wybuchła w związku z morderstwem dokonanym na osobie aktora dramatycznego Syma, podejrzanego o pomaganie tajnej policji niemiec-

kiej. W związku z tym morderstwem zostało ogłoszone rozporządzenie gubernatora dra Fischera, w którym było postawionym żądanie zwrócone do społeczeństwa polskiego o ujawnienie mordercy, inaczej pięćset osób, wziętych jako zakładników, będzie rozstrzelanych. Wrażenie tego ogłoszenia było olbrzymie i wszystkich oczy siłą rzeczy zwróciły się do RGO o ratunek — toteż, gdy zaraz po przyjeździe znalazłem się w lokalu Rady na ul. Fredry 9, znalazłem tam masę osób bliskich tym, którzy wzięci byli jako zakładnicy, i naszych panów zgromadzonych na naradę w celu postanowienia, co należy uczynić, by nieszczęście zażegnać. Była to sobota dnia 8 marca — zatelefonowano do kancelarii gubernatora o wyznaczenie audiencji dla delegatów komitetu — pomimo że termin egzekucji wyznaczony był na wtorek 11-go, nie naznaczono widzenia zaraz, a dopiero w poniedziałek rano. Uproszeni zostali panowie ks. Janusz Radziwiłł i Maurycy Potocki, by poszli do dra Fischera i jemu mocno sprawę całą wyłożyli, a następnie żądali zmiany rozporządzenia lub jego cofnięcia. Tymczasem tłumy coraz większe gromadziły się w Radzie w miarę aresztowania osób branych na zakładników, a czas naglił, gdyż w razie odmowy dra Fischera w poniedziałek mogło już nie być czasu dostatecznie, by gdzie indziej skutecznie uderzyć.

Wobec tego przejęty niezmiernie tą sprawą, zdecydowałem się na krok, który później okazał się skutecznym — zatelegrafowałem do Rządu Generalnej Guberni na ręce sekretarza stanu dra Bühlera w słowach następujących:

„Rozplakatowane w Warszawie ogłoszenie o skutkach mordu na Igo Symie, a w pierwszej linii zamiar rozstrzelania zakładników uważane są przez ludność stolicy jako niesprawiedliwość i niezasłużone prześladowanie.

W imieniu Polskiej Rady Głównej Opiekuńczej czuję się zobowiązanym Panu Sekretarzowi Stanu o tym uprzejmie zakomunikować i prosić o zbadanie całej sprawy.

W razie gdyby takie straszne nieszczęście miało się stać faktem, prosimy Pana uprzejmie o zwolnienie nas wszystkich, którzy na siebie wzięliśmy odpowiedzialną pracę pomocy ze wszystkich naszych stanowisk, bo nie będziemy w stanie dalej pracować".

Zgłaszałem w ten sposób dymisję całej Rady.

W obawie, że jednak depesza wysłana w niedzielę dnia 9-go rano może nie dojść na czas, by decyzję można było powziąć, w poniedziałek z samego rana zatelefonowałem do dra Föhla i znalazłszy go na szczęście przy biurku, zakomunikowałem mu treść depeszy i nasze w razie czego zgłoszenie dymisji. Przyznać muszę, że tym razem widocznie przydały się nasze długie z nim rozmowy, bo dr Föhl bez wahania mi oznajmił, że natychmiast idzie do dra Bühlera i mu całą sprawę przedstawi, zaś mnie niezwłocznie o wyniku swych starań powiadomi. Nie czekałem nawet godziny, gdy otrzymałem jego telefon z oznajmieniem, że zdołał przekonać sekretarza stanu o konieczności interwencji z jego strony i że odpowiednia komisja przyjedzie już we wtorek rano dla podjęcia odpowiednich kroków. Upoważniał on mnie do oświadczenia wszystkim zainteresowanym o tym, że wykonanie rozporządzenia będzie wstrzymanym!

Z jakim lekkim sercem podążałem do biura RGO na Fredry, by tam o osiągniętym porozumieniu z Krakowem zakomunikować, trudno opisać — trafiłem tam na moment właśnie, gdy panowie Radziwiłł i Potocki zdawali sprawę ze swego przyjęcia prawie impertynenckiego u Fischera — przyjął on ich stojąc i żądał, by rozpowszechnili w społeczeństwie wiadomość, jak będzie ono karane za zbrodnie w nim dokonane, i nie odstąpił od swego postanowienia rozstrzelania owych Bogu ducha winnych 500 zakładników, pomimo że ks. Radziwiłł w sposób bardzo dobitny mu wyjaśnił, że z tymi, którym czyn był przypisywany, nie miał ani on, ani nikt z jego otoczenia nic wspólnego — z tego też względu odmówił ingerowania w społeczeństwie, notabene wtedy gdy wszelkie zebrania i wystąpienia publiczne były zakazane.

Radość naturalnie była wielka owych rodzin zakładników z przyniesionej przeze mnie wiadomości — mnie zaś ogarniał niepokój, co przywiezie ze sobą, a potem postanowi owa komisja, która następnego dnia miała zjechać. Toteż nazajutrz z gorączką prawdziwą wyczekiwałem wiadomości z pałacu Brühlowskiego, gdzie rezydowały władze gubernatorskie. Gdy po południu one jeszcze nie nadchodziły, niepokój mój udzielił się wszystkim. Dopiero koło godziny 7-ej odezwał się do mnie dr Föhl telefonicznie i uspokoiwszy mnie, że wszystko idzie dobrze, prosił, bym się z nim zaraz

spotkał na naradę, po której miałem zaraz jechać do Krakowa dla dania tamtejszym władzom stosownych wyjaśnień. Spotkanie moje z drem Föhlem odbyło się u mnie i trwało aż do chwili wyjazdu na kolej. Przede wszystkim poinformował on mnie szczegółowo o tym, jak się odbyła interwencja u dra Fischera, gubernatora warszawskiego, przez komisję trzech, wysłaną przez dra Bühlera do Warszawy, w skład której to komisji weszedł i dr Föhl.

Więc przede wszystkim spotkała się ona ze strony gubernatora z trudnością natury osobistej, bowiem nie chciał on ustąpić w obawie, że powaga jego na tym ucierpieć może — owe godziny oczekiwania naszego głównie na to były poświęcone i dopiero wtedy trudność ta została usuniętą, gdy pozwolono mu na ogłoszenie, że tacy i tacy zostali rozstrzelani, jako zadośćuczynienie za zabójstwo Syma, pomimo że nazwiska ludzi ogłoszonych należały do ludzi już uprzednio na śmierć skazanych i już rozstrzelanych — po uporaniu się z przeszkodą dotyczącą ambicji gubernatora, przyjął on zupełnie spokojnie i jakby tylko do wiadomości stawiane mu przez komisję zarzuty nieodpowiedniego postępowania w stosunku do społeczeństwa polskiego, bronił się on tylko tym, że chciał prestige władzy utrzymać, zaś zarządzeniem swym położyć kres dalszym zamachom.

Po wysłuchaniu tego wszystkiego od dra Föhla wykorzystałem moment ten, który się nadarzał doskonale, dla wręczenia mu memoriału datowanego dnia 4 marca, a wręczonego mu w dniu 11-ym wieczorem u mnie. Treść jego brzmiała, jak następuje:

„Pro memoria.

Do rąk pana dra Föhla, kierownika wydziału ludnościowego i opieki przy Generalnej Guberni w Krakowie.

Już minęło więcej jak rok od chwili, gdy przyjąłem na siebie organizowanie i kierownictwo dobrowolnej opieki na tej części Polski, która obecnie stała się Generalną Gubernią.

Od samego początku zdawałem sobie dokładnie sprawę z ciężaru obowiązków, które na me barki spaść muszą.

Ludność polska tego kraju nie bez słuszności oczekiwała od Rady Głównej Opiekuńczej tego wszystkiego, co od polskiej organizacji dla łagodzenia nędzy w Polsce można było wymagać —

z drugiej zaś strony Władze Niemieckie zwłóczyły w udzieleniu owej swobody ruchów niezbędnej, żeby wszędzie, gdzie nędza na światło dzienne wychodzi, się zjawiać, by ją skutecznie zwalczać — brakowały na to najbardziej nawet prymitywne środki, zaś przede wszystkim pieniądze.

Po roku pracy, która tylko z niezmordowaną walką porównaną być może, czuję się zobowiązanym w mojej roli prezesa RGO spróbować, jeżeli nie dla szerszego ogółu, to przynajmniej dla siebie samego, odtworzyć sobie jasny obraz tego, co myśmy jako RGO osiągnęli, a także rozwiązać bolesne pytanie, czy w istniejących w Polsce warunkach było z mej strony słusznym stanowisko kierownika tej organizacji obejmować.

Nadzieje, które z powstaniem RGO były związane, opierały się w pierwszej linii na obietnicach amerykańskiej pomocy — przy zakładaniu RGO były ze strony Amerykanów postawione takie warunki, które z jednej strony miały gwarantować polski charakter instytucji, z drugiej strony — dopływ materialnej pomocy za pośrednictwem Niemieckiego Czerwonego Krzyża wprost do rąk naszych.

Niemieckie władze widziały w tej materialnej pomocy pożądane ułatwienie w skomplikowanym zadaniu wyżywienia kraju w czasie wojny i dlatego ostatecznie udzieliły swej zgody na powstanie RGO, zachowując sobie daleko idącą kontrolę.

Ludność polska, doprowadzona do rozpaczy przez stan rzeczy w kraju po załamaniu się armii polskiej, naturalnym rzeczy porządkiem podzieliła się na dwie wyraźnie rozgraniczone grupy — jedną, która uważa za niemożliwe w ogóle rozmawiać z Niemcami, i drugą, stanowiącą maleńką mniejszość całej ludności, która się nie wahała postawić do dyspozycji dla wykonania zadania leczenia moralnych i fizycznych ran, co samo przez się, rozumie się, jako skutek mieć musiało pewną współpracę w pewnych dziedzinach z władzami niemieckimi.

Na jednym punkcie były obie grupy zupełnie zgodne, że żadne polityczne problemy i plany na przyszłość z władzami niemieckimi nie powinny być poruszane, gdyż przepaść pomiędzy opiniami i światopoglądem stron obu była zbyt wielka.

Stojąc na czele drugiej grupy, złożyłem zaraz na początku, już w styczniu 1940, deklarację władzom niemieckim, która nie-

dwuznacznie ten punkt widzenia niezajmowania się polityką dla działalności RGO, jako miarodajny, podkreślała i obiektywnie prowadzoną pracę pomocy dla wszystkich na terenie Generalnej Guberni obiecywała.

Ja i moi współpracownicy byli jako politycy tego zdania, że przyjmujemy jedynie słuszną wytyczną, jeżeli się daleko od polityki trzymać będziemy. Przez to samo powinniśmy pośrednio w Polsce wszystkie partie doprowadzić do Treuga Dei* i zdobyć powszechne zaufanie przez niezmordowanie i obiektywnie prowadzoną pracę.

Jako przedstawiciele pomocy społecznej opieraliśmy się z pewnym spokojem na naszej znajomości Niemców, którą w ciągu wojny światowej zdobyliśmy, opierając swoje plany jednocześnie na obietnicach udzielonych nam przez Amerykanów.

Przykro jest skonstatować, że w tych dwóch kierunkach nasze przewidywania okazały się zupełnie fałszywymi.

Amerykańska pomoc do dnia dzisiejszego jest daleką do osiągnięcia granic danych obietnic i są duże wątpliwości, jak i w jakiej mierze kształtować się ona będzie na przyszłość.

Niemcy, których w ciągu tej wojny poznaliśmy, są inni niż ci, których znaliśmy w czasie wojny światowej — oni nawet nie próbowali zrozumieć psychologii naszej i stało się dla nas wszystkich jasnym, że zniszczenie jest jedynym celem, który rozkazodawcy w tym kraju mają przed sobą.

A myśmy myśleli, że trzy zagadnienia — prawa, pracy i szkoły — niezależnie od różnicy światopoglądu są przez wszystkich Niemców jednakowo rozwiązywane i było nam niewymownie ciężko z tym się pogodzić, że stan rzeczy temu naszemu poglądowi nie odpowiada.

Przepełnione obozy koncentracyjne, w których ludzie cierpią i umierają, nie wiedząc, dlaczego tam wysłani zostali i od rodzin oderwani — są faktem, który polska ludność odczuła najboleśniej, którego cel właściwy jest nie do zrozumienia i które jedynie polityce nienawiści służyć mogą.

Rozwiązanie sprawy robotniczej, która ludności możność zarobkowania otwierać zdawałoby się winna przez zastosowanie dobrowolnego werbunku, wyradza się w formalne polowanie na ludzi, w którym policja ma swe słowo rozstrzygające.

Sprawa szkolna jest tak postawioną, że postępowanie władz może być słusznie uważanym za wyraźne prześladowanie wszystkiego, co jest polskie — że nauka uważaną jest za przestępstwo, a książka za źródło surowca papierowego.

Do tego dochodzi dla społeczeństwa tak niezmiernie bolesny los wysiedlonych, którzy normalnie stają się ciężarem opieki społecznej i RGO — a także tak bolesne i utrudniające życie w kraju traktowanie sprawy prywatnej własności, gdy nikt nie jest pewien tego, co posiada.

Wszystko to i jeszcze wiele, wiele innych spraw zestawionych razem z brakiem środków finansowych, by tym wszystkim, którzy nam zostali przekazani pod opiekę, pomocy udzielić — stwarza olbrzymie pole do ataków przeciwko RGO, a specjalnie przeciwko prezydium tej organizacji, które nie miało możności obrony i którego istnienie jest źródłem zawodów u szerokich warstw społeczeństwa polskiego.

Na dwa miliony ludzi, którymi się opiekujemy, jest tylko 475 tysięcy ofiar wojny, przeto ludność jest w prawie wymagać, by władze odpowiednie środki postawiły do dyspozycji, by pomoc móc udzielić tym wszystkim, którzy utracili swoje siedziby i cały swój dobytek.

Na życzenie władz zestawiliśmy na początku 1940 r. owe sumy, które byłyby niezbędne, by opiekę w najskromniejszych granicach urzeczywistnić — suma ta została obliczona na 113 milionów złotych miesięcznie. A cóżeśmy otrzymali? Prawie po roku naszej pracy otrzymaliśmy na końcu roku 1940 pierwsze kilka milionów od władz rządowych z podatków społecznych — była to kropla wody na rozpalony kamień, a nie odpowiednia kwota, która by nam zorganizowaną pomoc pozwoliła przeprowadzić. Dzisiaj stoimy znowu bez pieniędzy wobec wzrastających ciągle potrzeb, odpowiedzialni za wszystko i wobec wszystkich. Stan, który niedługo można wytrzymać.

Naturalnie trzeba sobie postawić pytanie, jak byliśmy w stanie w takich warunkach przez cały rok gospodarować? Odpowiedź na to jest ta, że polskie społeczeństwo zdało egzamin, jak dalece można być ofiarnym i nawet w najcięższych warunkach innym jeszcze pomagać. Tę pomoc musimy obliczać w setkach

milionów, które w formie żywności, ofiar i datków społeczeństwo swoim rodakom postawiło do dyspozycji — pomoc amerykańska, która dotąd sięga cyfry około 10 milionów złotych, jest w porównaniu do powyższych świadczeń tylko ułamkiem takowych.

Teraz jednakże nadszedł moment, kiedy wszyscy bez wyjątku są tak wyczerpani i nic więcej nie mogą dać z siebie — i wszyscy wzrok swój na RGO skierowują, jako na organizację, która trudnościom musi się przeciwstawić i źródła potrzebnych środków znaleźć.

Obowiązkiem władz rządowych jest przedsięwziąć odpowiednie kroki natychmiast w oparciu o powyżej wyrażone myśli".

Memoriał ten, aczkolwiek w ostrą ujęty formę, tchnął szczerością i opierając się na rzetelnej prawdzie, nie mógł być w argumentach swych w czymkolwiek uznany za przesadny lub nieuzasadniony. Toteż w dalszym biegu stosunków naszej instytucji do władz, a w szczególności do dra Föhla osobiście, odegrał on dużą rolę, zaś w społeczeństwie polskim, rozpowszechniony po kraju całym, wykazał, jakim tonem RGO mówi i co najważniejsze, że władze tego rodzaju wystąpienia szanują i coś niecoś z tego, co się od nich żąda, wykonywują. Bo przyznać trzeba, że dr Föhl może i nie wszystko dotrzymał, co mi po wysłuchaniu tego memoriału solennie przyobiecał, ale dokładał wszelkich starań, by daną obietnicę dotrzymać i możliwie do żądań naszych, które za słuszne uważał, się zastosować.

Szczególnie sprawa nieprzeszkadzania ze strony władz w doprowadzeniu organizacji RGO do większej sprawności zyskała bardzo wielką pomoc w osobie dra Föhla, który po tych wyczerpujących ze mną naradach, no i przeżytych ciężkich chwilach bezwzględnie groźnych dla noszonego przez niego wysoko prestige'u władzy, zrozumiał nareszcie, że my pracując w dobrej wierze i chcąc mieć wpływ na społeczeństwo, mieć musimy oparcie w statutach, których władze nie honorowały, i że to, co w tych statutach stoi, obowiązane być winny kacyki powiatowe także uznać.

Skorzystaliśmy z tego, by organizację naszych delegatur gminnych w kraju doprowadzić do wykończenia, a nawet popchnęliśmy sprawę tak daleko, że regulamin ich przez nas przedstawiony zo-

stał przez władze zatwierdzonym, dotąd bowiem powstawały one na skutek wskazówek dawanych przez naszych pełnomocników i inspektorów, ale bez specjalnej zgody urzędowej. Oparłszy już je na „legalnym" gruncie, dążyć zaczęliśmy do tego, by one stawały się jak najprędzej i w miarę możności organizacjami samowystarczalnymi, to zaś było możliwe tylko wtedy, gdy ofiarność społeczeństwa w tym kierunku doznawałaby większej podniety i gdyby delegatury, weszedłszy w ścisły kontakt z samorządem gminnym, przez to oprzeć się mogły na poważnym, a dotychczas nie wykorzystanym źródle wpływów. Przykład poszczególnych delegatur w powiecie warszawskim, które pracowały w ścisłym kontakcie z radami gminnymi i od nich poważne uzyskiwały finansowe poparcie, był pod tym względem nadzwyczaj zachęcającym.

Po powrocie do Krakowa i wielu przeprowadzonych rozmowach z władzami na tematy powyższe, skorzystałem ze zjazdu biskupów u Księcia Metropolity Krakowskiego, by im o wszystkim, co mnie spotkało w Warszawie, szczegółowo zdać sprawę i prosić o poparcie dla naszej dalszej pracy — biskupi, a w szczególności biskup Lorek z Sandomierza, biskup Kubina z Częstochowy i biskup Kaczmarek z Kielc interesowali się sprawą naszą bardzo, toteż wykorzystałem to ich nastawienie przychylne, by oprócz sprawozdania z Warszawy i omówienia sprawy neofitów, tak niefortunny biorącej obrót, poruszyć także sprawę, która od początku pracy mojej około tworzenia RGO była największą moją moralną bolączką, mianowicie owej krytyki tendencyjnej pod adresem Rady formułowanej szczególnie w Warszawie. Podkreślano tam, że została Rada stworzoną przez Niemców, a przez to nie miała charakteru czysto polskiego. Wiadomym nam było, że właściwie tłem tej krytyki była głównie złośliwość ludzka, a często brak znajomości faktycznego stanu rzeczy, lecz uporczywe trwanie ataków zupełnie nawet bezpodstawnych mogło w szerszych, a nieuświadomionych kołach wyrobić to przekonanie, że jeżeli się RGO nie broni, a bronić się nie mogło — to musi być w tym i coś z prawdy. Poddałem tę sprawę pod dyskusję i zdawało się, że znalezioną została na owym posiedzeniu droga do uwolnienia się od tego nieznośnego zarzutu. Powziętą została myśl powołania do życia

Rady Nadzorczej, która w składzie swoim, dając gwarancję powagi i godności, miałaby nad działalnością RGO czuwać i przede wszystkim dbać o to, by z obowiązkami wobec Polski była ona w zgodzie. Postanowionym zostało, że skorzystam z czekających mnie w kraju całym zjazdów delegatur w poszczególnych powiatach i wysunę do krytyki Księcia Metropolity szereg nazwisk kandydatów do tej Rady Nadzorczej upatrzonych w kraju. Zdawało się nam, że opierając na odpowiednim paragrafie statutu jej egzystencję prawną, stworzymy instancję dla RGO nadrzędną z osób przez władze nie zatwierdzonych, a przez to nie mogących podlegać nie umotywowanym zarzutom nam stawianym, że jesteśmy przez Niemców zatwierdzeni. W przeciągu kilku miesięcy udało mi się zestawić listę 32 osób, które Książę Metropolita uznał za odpowiednie i które na zasadzie Jego upoważnienia zaprosiłem do wzięcia udziału w owej przyszłej Radzie Nadzorczej. Nie będzie to antycypowaniem wypadków, gdy powiem, że zaproszeni przeze mnie panowie prawie wszyscy wejść do Rady Nadzorczej się zgodzili, tylko gdy przyszło już do tego, by się zebrać w Krakowie, wystąpili do mnie z żądaniem, bym ich udział w Radzie zatwierdził przez władze — inaczej do Krakowa jechać nie mogą. Taki był koniec tej całej sprawy Rady Nadzorczej, która nas miała ratować od zarzutu, że jesteśmy przez władze zatwierdzeni, gdy na to, byśmy utworzyli Radę Główną, władze te wyraziły tylko swą zgodę. Tymczasem ci właśnie ludzie zażądali zatwierdzenia i cały sens powołania ich na to stanowisko sami pogrzebali. Nie chcę, mówiąc o nich niepochlebnie, wymieniać ich nazwisk, ale cały incydent był bardzo charakterystycznym dla stosunków naszych polskich, gdzie rodzą się plotki bezpodstawne zupełnie, a ci, którzy mogliby je ukrócić, robią sami to, co plotkarze jako zarzut wysuwają. Fakt ten jaskrawą przedstawia ilustrację tych właśnie stosunków, w których, niestety, żyć było trudno, a pracować jeszcze trudniej, o ile z opinią publiczną, tak zwaną niesłusznie, bo nie istniejącą u nas, chciano by się liczyć.

Wtedy to powstała u nas myśl zwołania zjazdów RGO z całej Polski do Krakowa dla skończenia raz z tym bezpodstawnym zarzutem przez przedstawienie szczegółowe dokonanych przez Radę prac, pokazanie gruntowne dróg, którymi ona przy tym cha-

dza i uzyskanie absolutorium od własnego społeczeństwa. Nastąpiło to dopiero na jesieni roku 1941-go i było jednym z najważniejszych ewenementów przeżytych przez nas wszystkich w Radzie.

Tymczasem życie płynęło swym torem i wiele jeszcze wypadków w swym przebiegu przyniosło do czasu owych zjazdów.

Jedna ze spraw, która rzuca światło na tło wydarzeń, które dopiero przeżywać mieliśmy, a z mej strony była właściwie wypowiedzeniem pewnego credo politycznego wobec władz niemieckich, miała miejsce jeszcze w marcu tego roku. Oto zaraz po powrocie z Warszawy, po burzliwej sprawie Syma, zostałem zaproszony do von Wühlischa do jego prywatnego mieszkania, co się dotąd mnie nigdy nie zdarzyło. Zastałem tam poza gospodarzem domu i jego radcą panem Baumem ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i jednego z ministrów niemieckich, a dawnego mego znajomego jeszcze z czasów, gdy jako poseł polski czasu wielkiej wojny byłem w Berlinie. Rozmowa, która się rozpoczęła od przypominania sobie dawnych chwil przeżytych w Berlinie, weszła niebawem na tory natury ściśle politycznej, a nawet bardzo drażliwej dla mnie. Zaczął ją pan minister od tego, że zainterpelował mnie, jak to się stać mogło, że ja, którego znał on w Berlinie jako polityka, wyrzekłem się polityki i stałem się działaczem społecznym. „Wiem o tym — mówił pan minister — że jeżeli ktoś pali lub pije, to przerwać nie może, cóż dopiero ktoś, który zajmuje się polityką, staje się ona bowiem jakby nałogiem, którego pozbyć się nie sposób. Niech Pan mi powie, jak to się z Panem stać mogło? Proszę przy tym o zupełną ze swej strony szczerość, upoważnia mnie chyba do postawieniu Panu tego żądania nasza dawna, długoletnia znajomość". Odpowiedziałem mu, że jestem do tej szczerości gotów pod warunkiem jednakże, że poza gronem obecnych to, co powiem, nie pójdzie dalej, chyba że razem to zdecydujemy. Gdym zgodę na ten mój warunek uzyskał, oświadczyłem ministrowi, że na zapytanie jego odpowiem zupełnie krótko i jasno, że moją wielką polityką jest w chwili obecnej polityką się nie zajmować. Minister zdawał się rozumieć myśl moją i jakby porzucając ten temat, przeszedł tymczasem do stawiania mi innych zapytań z dziedziny spraw bieżących. Chciał on mianowicie wiedzieć, czy

według mnie jest co prawdy w tym, co mu oświadczono ze strony Gestapo, że w dniach najbliższych grozi wybuch powstania w GG? Nietrudno mi było na to pytanie odpowiedzieć, wiedząc, że wszystkie te puszczane wiadomości żadnych rzeczywistych podstaw nie mają i rozpuszczane były przez samą policję. Terminy były już naznaczane w różnych datach, raz na 8 grudnia, święto Matki Boskiej, następnie na dzień 12 stycznia, dzień św. Andrzeja Boboli, i pomimo że wypadały w dni świętych polskich, jednak się nie sprawdzały — tak samo, mówiłem, że jeżeli nawet znowu wyznaczony zostanie dzień 25 marca w święto Matki Boskiej, to nie będzie ten dzień uwieńczony powstaniem polskim, bo jak się wyraziłem — „młodzież polska z terminami naznaczonymi przez policję niemiecką jakoś się nie liczy". Na to moje oświadczenie roześmiał się szczerze pan minister i stwierdził, że jest zupełnie uspokojonym i przeszedł do sprawy uprzednio poruszonej, a mej polityki dotyczącej. „To, że Pan mówi, że wielką polityką Pańską jest się polityką nie zajmować, potwierdza mi tylko pośrednio to, co myślę, że Pan jednak nie przestał o polityce myśleć — niech mi więc Pan nie odmówi wyjaśnienia bliższego myśli Pańskiej, która, znając Pana, mnie specjalnie w tym momencie interesuje". Domyślając się, że zmierza on do wciągnięcia mnie w politykę i nie chcąc dopuścić do robienia mnie jakichkolwiek propozycji, zastrzegłszy się znowu co do zupełnej poufności, oświadczyłem, co następuje: „Musimy skonstatować, Panie Ministrze, że pomimo militarnego rozgromienia Polski, nasze dwa kraje znajdują się nadal w stanie wojny między sobą, a to tym bardziej jest możliwym, że Głowa Państwa naszego, oparta na filiacji władzy, i rząd polski przez nią stworzony istnieją i przez Polaków są uznawane. Mamy więc my, Polacy, obecnie Głowę Państwa swego w Anglii, wojsko polskie, aczkolwiek nie bardzo liczne, ale nadzwyczaj bohaterskie, także w Anglii flotę wojenną bardzo nieliczną, ale okrytą niezwykłą sławą w Anglii, wreszcie flotę powietrzną dosyć liczną i niebywale bohaterską także w Anglii — mamy też tam naszego sprzymierzeńca Jerzego VI-go, króla Anglii — czy Pan, Panie Ministrze, będąc w naszym położeniu, zamieniłby to dobrowolnie na Franka?! Myślę, że nie, i to jest podstawą naszego myślenia i stosunku naszego do naszych prawowitych władz polskich".

Dziwnie mieniła się twarz pana ministra w czasie tego mego oświadczenia, lecz gdym skończył, po głębszym namyśle nie wahał się on powiedzieć, że mnie rozumie i że na mym miejscu rozumowałby identycznie. Wywiązała się z tego później nadzwyczaj ciekawa rozmowa na temat poglądów najwyższych osobistości w Rzeszy na Polskę i jej rolę, rozmowa potwierdzająca mi w pełni, że miałem rację przypuszczać, że miał on w zanadrzu jakieś propozycje. Chcąc, by już nie było żadnej wątpliwości, jakie są me poglądy, na końcu oświadczyłem, że Polak w wypadku przyjmowania jakichś stanowisk z rąk niemieckich ma do wyboru dwie kulki, jedną niemiecką, drugą polską — ja wybrałem niemiecką! Rozmowa zakończyła się prośbą pod mym adresem, bym treść jej pozwolił powtórzyć marszałkowi Göringowi, jako temu ze wszystkich najprzychylniej dla sprawy polskiej usposobionemu człowiekowi, a któremu trafne, a szczere postawienie sprawy powinno dać do myślenia. Zgodziłem się na to i w następstwie doszły mnie wiadomości, że marszałek tym postawieniem sprawy się bardzo zainteresował i uważał je za właściwe. Z poruszonej przeze mnie na końcu spotkania tego sprawy stosunków niemiecko-sowieckich — wywnioskowałem, że zdanie ministra było bliskie mego poglądu, że te stosunki, pozornie dobre, są jednak nietrwałe i lada chwila przejść mogą do jawnego konfliktu, chociażby na podstawie niewypełniania zobowiązań gospodarczych, zaciągniętych przez Sowiety wobec Rzeszy. Na tym nadzwyczaj dla mnie ciekawą rozmowę zakończyliśmy. Była ona pierwszą, jaka na temat ściśle polityczny prowadzoną była ze mną, stanowisko zajęte w niej przeze mnie było tą linią przewodnią, której we wszystkich dalszych rozmowach mniej lub więcej się trzymałem, która jednak stała się jakby pionem myśli mej politycznej i stosowanych dla niej kroków naszych. Mogłem też stwierdzić, po raz nie wiem już który, że poglądy o nas w Rzeszy są dziwnie niejednolite i nie ustalone.

Niespodzianka prawdziwa spotkała mnie w dniu 17 marca wieczorem, gdy zjawił się u mnie pan Młynarski przerażony wiadomością z radia niemieckiego, że na moje imię w banku Chase National Bank w New Yorku na rachunek Nr 333 złożoną została suma jednego miliona dolarów. Rozumiał on, że musi to

być w związku z korespondencją moją z gen. Sikorskim, w której brał on udział jako doradca w sprawach finansowych, ale tym bardziej obawiał się on wkroczenia Gestapo w tą sprawę, która aż via Berlin była sygnalizowaną. Gdy mu jednak pokazałem urzędowo potwierdzoną kopię listu mego do Stefana Roppa przedstawiciela RGO w Ameryce, do którego pisałem pod datą 4 listopada roku 1940 z prośbą, by się zakrzątnął w kołach Polonii Amerykańskiej około zbierania funduszów dla RGO i by sumy zebrane deponował w Chase National Bank w New Yorku, uspokoił się on zupełnie i zaczął wierzyć w mą przezorność. List ten był doręczony przeze mnie von Wühlischowi w dacie, gdy wysyłałem do gen. Sikorskiego odpowiedź na jego zapytanie, jak ma nam przesłać fundusze na pomoc dla RGO. Kopia jego potwierdzona przez von Wühlischa służyła dla mnie za alibi wobec Gestapo, gdyby do niego jakieś słuchy o przesyłkach pieniędzy dla nas dojść miały. Słowa pana Młynarskiego o tyle się sprawdziły, że około trzeciej w nocy z wielkim dobijaniem się do drzwi zgłosiło się do mnie Gestapo w sile pięciu ludzi: majora, dwóch oficerów i dwóch nosicieli karabinów maszynowych. Stanąwszy nad mym łóżkiem, z miną bardzo groźną zapytali mnie, czy wiem o tym, że w radio była wiadomość o zdeponowaniu na me imię miliona dolarów w banku w New Yorku. Najspokojniej odpowiedziałem, że nic nie wiem, ale gdyby tak być miało, rad bym był niepomiernie, bo znaczyłoby to, że nasi rodacy za oceanem przypomnieli sobie o nas i chcą nam pomagać. Gdy major ów zdetonowany trochę mym spokojem zapytał, czym ja coś w tej sprawie działał, odpowiedziałem, że w końcu zeszłego roku nawet urzędowo pisałem w tej sprawie i że list mój wysłany był przez urząd ministerstwa spraw zagranicznych. Gdy coraz bardziej tracąc groźną postawę, zapytano mnie, czy mam na to jakie dowody na piśmie, odpowiedziałem, że kopia mego listu jest na górze w mym biurku. Wtedy zażądano, bym wstał i poszedł z nimi na górę do mego gabinetu. Po paru minutach niby to szukania znalazłem ów list, który wręczony majorowi widocznie wystarczył mu, by mnie uznać za wolnego od podejrzeń, bo zasalutował i razem ze swymi towarzyszami opuścił me mieszkanie. W ten sposób szczęśliwie uniknąłem wielkich przykrości, ale stało przede mną nie rozstrzygnięte pytanie, jak się to stało wszystko? Bo przecież

jeżeli gen. Sikorski wysłał dla RGO pieniądze, to uczynił to zgodnie z tym, cośmy mu napisali, a tam było jasno powiedzianym, że bank ma do nas wysłać zawiadomienie w odpowiedniej przesłanej generałowi redakcji. Nic innego chyba się nie stało jak to, że owo zawiadomienie banku zostało przejęte przez władze, które przypuszczając, że mają mnie w ręku, zainscenizowały komunikat radiowy i wizytę u mnie Gestapo, które miało mnie aresztować za stosunek z rządem polskim. Na drugi dzień znowu z panem Młynarskim rozważyliśmy całą wytworzoną sytuację i doszliśmy do wniosku, że powyższe rozumowanie było jedynie słuszne, ale że ono dawało jako rezultat pewność, że zawiadomienie banku znajduje się w rękach Gestapo i że jeżeli go z nich nie wydobędziemy, cały plan opartej na milionie dolarów pożyczki upada. Zdecydowałem się więc iść do władz, by o ów dokument się upomnieć. Przyjął mnie zastępca generała dr Heim i wysłuchawszy bardzo cierpliwie mojej opowieści, tonem uprzejmym, ale z odcieniem ironii powiedział mi, że radzi mnie bardzo stanowczo, bym palce od tej sprawy cofnął, bo „przecież pan dobrze wie, o co chodzi!" Udałem, że nic nie rozumiem i tylko o pieniądze nasze się upominam, ale wiedziałem, że mnie podejrzewają o to, że jestem w stosunku z gen. Sikorskim i że od niego pieniądze musiałem otrzymać. Wobec tego, wyszedłszy z urzędu Gestapo, poszedłem do Księcia Metropolity, który wezwał na naradę pana Młynarskiego. Wspólnie doszliśmy do przekonania, że zbyt ryzykownym po tym, co usłyszałem, byłoby dalej władze w tej sprawie atakować i że do końca wojny czekać trzeba będzie, by pieniądze na me imię złożone podnieść.

W dniu 18 tegoż miesiąca przybyły do Krakowa pan MacDonald delegat amerykański, zapytany o powyższe, nie potrafił nam, niestety, nic wyjaśnić, co jeszcze bardziej nas utwierdziło w tym, że pieniądze pochodziły od rządu polskiego. Przywiózł on tym razem duże transporty odzieży i asystował, jak zwykle, przy jej podziale. Na zebraniu w RGO w dniu 19 marca dał wobec licznego grona zaproszonych osób wyraz swego uznania stronie organizacyjnej naszej pracy, nad którą przeprowadził osobiście ścisłą, a dla nas bardzo cenną kontrolę. Mówił on ku naszemu wielkiemu zadowoleniu, że zna wiele instytucji społecznych, wie-

le sam kontrolował i wie, jak takie sprawy organizowane być winny — ale organizacji tak wzorowej, tak przejrzyście księgowanych rachunków, nie widział dotąd i uważa to za swój miły obowiązek to swoje przekonanie i skonstatowanie publicznie tutaj u nas podkreślić. Obiecał też za bytności swej w Ameryce specjalnie o tym mówić, by zaufanie do pracy naszej jeszcze powiększyć — wie bowiem, jak wielką Amerykanie do tej sprawy przywiązują wagę.

Niestety, skonstatowaliśmy też na tym zebraniu, że dary nadchodzące nie odpowiadają w żadnej mierze robionym nam przez tegoż pana MacDonalda obietnicom wtedy, gdyśmy do tworzenia RGO się zabierali — wtedy myśleliśmy i wierzyliśmy, że podstawą instytucji naszej będą owe dary w naturze i gotówce zapowiedziane oraz pomoc rządu naszego — obecnie stwierdziliśmy, że siłą rzeczy, jak to dobitnie było podkreślonym w memoriale moim z dnia 4 marca tegoż roku, punkt ciężkości wpływów RGO przeszedł na ofiarność publiczną w kraju i że z tego źródła pochodzące wpływy przewyższają dary amerykańskie i dotacje rządowe razem wzięte. Pochlebne to było bardzo dla naszego społeczeństwa polskiego, ale jakże utrudniające pracę naszą, bo w tych tak ciężkich czasach podniecanie ofiarności było i rzeczą trudną, i zawodną. Zdawało się, że obietnice dane przez stronę amerykańską będą na pewno dotrzymane, tym bardziej wtedy, gdy nawet najwyższe wymieniane nam w obietnicach sumy załatwić mogły potrzeby nasze najpilniejsze, a wierzyć nie mogę, by dla Stanów Zjednoczonych przy pomocy Polonii Amerykańskiej przedstawiało jakąkolwiek trudność ich dotrzymanie. Niestety, niedługo z chwilą wybuchu wojny pomiędzy Niemcami a Ameryką dary stamtąd siłą rzeczy przestały nadchodzić i to źródło zupełnie dla nas przestało istnieć — może więc i dobrze, że zawczasu społeczeństwo nasze nauczyło się na drodze współpracy z RGO o potrzebach własnych myśleć i ofiarność swą organizować należycie.

Gdy mówię już o ofiarności, nie mogę nie wspomnieć o sprawie, której poświęciłem dużo wysiłków, niestety, bezowocnych, ale która podkreśla znakomicie dobrą wolę i wysiłki naszego społeczeństwa w kierunku niesienia jak najobfitszej pomocy rodakom. Mam tu na myśli projekt poparty czynem, złożony mi przez księcia Leona Sapiehę, bratanka Księcia Metropolity. Oto w tym

czasie zostałem zaproszony do księstwa Leonów Sapiehów na kolację, na której oprócz przedstawicieli tej rodziny młodszego pokolenia był także i Książę Metropolita. Zastanawiając się nad obowiązkami ciążącymi w tym czasie na każdym Polaku, oświadczył on, że nadszedł moment tak epokowego znaczenia, że każdy Polak dać musi ze siebie dla Ojczyzny wszystko, całego siebie, cały majątek i całą pracę swoją. Wtedy to książę Leon oświadczył mi, że idąc w kierunku wykonania tej myśli, a nie dysponując gotówką, zgadza się, by na cele RGO obciążyć majątki jego hypoteką do wysokości tego, co nam się uda na ten podkład osiągnąć. W imieniu Rady z serca całego podziękowałem za ten czyn szlachetny i zaraz potem wziąłem się do realizowania wynikających z niego możliwości. Złożony przez ks. Sapiehę dokument pierwszy hypoteczny na 250 tysięcy złotych przedłożyłem w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych, który w owym czasie największą dysponował gotówką i stał pod nadzorem życzliwego nam dra Frauendorfera, szefa wydziału pracy. Tam uzyskałem obietnicę dyskonta dostarczonych przez nas zabezpieczeń hypotecznych do wysokości ośmiu milionów złotych na razie. Trzeba było zdobyć jednak te zabezpieczenia hypoteczne, które na skutek deklaracji osób, które za przykładem ks. Sapiehy by pójść chciały, były do otrzymania. Stanęła jednak na drodze do wykonania tego projektu sprawa zatwierdzenia odnośnych aktów hypotecznych przez władze, które widocznie w obawie, by majątki, na które liczyły, że kiedyś będą skonfiskowane lub po prostu zagarnięte, nie były zbyt wysoko obciążone, po długich naradach i wahaniach w rezultacie odmówiły swej zgody. W ten sposób spełzła na niczym piękna inicjatywa rodziny Sapiehów, za której przykładem poszli inni, jak ks. Janusz Radziwiłł, Alfred Potocki i Hieronim Tarnowski, ale która z widoczną złą wolą ze strony władz się spotkała wtedy, gdy przy dobrej woli z ich strony okazanej, mogła przynieść wielki pożytek. Ostrożność władz okazała się o tyle zbyteczną, że przy spadku waluty, długi zaciągnięte hypotecznie spadłyby do minimum, a pieniądze otrzymane dałyby wielu ludziom możność przeżycia chwil ciężkich w połączeniu z dobitnym dowodem ofiarności naszych sfer arystokratycznych, na które wiele się słyszało napaści, a które w tej wojnie były bardzo ofiarne.

Jeżeli chodzi o ofiarność tej warstwy społeczeństwa naszego, to nie wyczerpuje się ona na fakcie powyższym, w Warszawie np. przyglądałem się z bliska pracy pań z arystokracji, biorących czynny udział osobisty nie tylko w chodzeniu do biednych i niesieniu im doraźnej pomocy, ale zbierających ofiary na RGO. Energia i samozaparcie się siebie przy tej pracy były wielkie, a rezultaty jej ogromne. Wystarczy zacytować nazwiska osób takich, jak ks. Ludwika Adamowa Czartoryska, ks. Róża Czetwertyńska, ks. Maria z Lubeckich Lubomirska, która swe siły straciła i życie oddała, poświęcając się dla biedy warszawskiej, panie Maria Kwilecka, Adamowa Tarnowska, Witoldowa Szebeko, Mieczysławowa i Gustawowa Chłapowskie i wiele, wiele innych, które wszystkie pracowały wzorowo i wiele łez gorzkich otarły.

Pomimo obietnic dra Föhla wpłynięcia na to, by władze niemieckie w stosunku do Polaków, jeżeli nie zmieniły kursu, to dla samego prestige'u władzy przestrzegały tego, by postępowanie ich było nacechowane przynajmniej pozorami sprawiedliwości i oparcia o istniejące prawo, nie dopatrzyliśmy w postępowaniu ich żadnej zmiany na lepsze. Pan Westerkamp, szef wydziału spraw wewnętrznych, który przecież nie mógł nie wiedzieć o istnieniu jedynej instytucji pomocy w Polsce — ignorował nas widocznie, może idąc w ślady swego zwierzchnika, generalnego gubernatora. Zaś władze policyjne uosobione we wszechwładnym Gestapo, były nadal niedostępne dla tego, by dać sobie coś wytłomaczyć i aresztowały na prawo i lewo, a nawet zabrały się do aresztowania szeregu osób należących do składu organizacji prowincjonalnych RGO, których niedawno same upoważniały do działania. Poza tym wzięto się do osób, które miały jakieś znaczenie w kraju lub dawniej piastowały stanowiska polityczno-społeczne — wystarczy tu wymienić nazwiska takie, jak marszałka Rataja, Niedziałkowskiego, prof. Rybarskiego, Staniszkisa, wreszcie całej prawie rodziny Czetwertyńskich, z których jeden książę Seweryn był co prawda dawniej powagą w Stronnictwie Narodowym, ale usunął się do życia prywatnego — brat zaś jego książę Ludwik dopiero co z Rosji powrócił, na zasadzie starań niemieckich, polityką się nigdy nie zajmował, zaś nie tylko został aresztowany bezpodstawnie, ale przypłacił to

aresztowanie śmiercią w Oświęcimiu. Utrwalała się w kraju opinia, że gdy chciano zagarnąć czyjś majątek, aresztowano właściciela i starano się go jak najprędzej z listy żyjących wykreślić. Zaś co do działaczy społecznych i politycznych wyraźnie zaznaczało się dążenie władz do zlikwidowania wszystkich, którzy jakikolwiek wpływ w kraju posiadali, zamierzając widocznie pozostawić tylko masę ludności bez przekonań i narodowych uczuć, nadającą się tylko na niewolników. Jedynie premier Witos, zamiast więzienia, trzymanym był jakby w areszcie domowym, z początku w Zakopanem, a następnie w Wierzchosławicach, przeniesienie, do których kosztowało mnie wiele zabiegów u tegoż dra Föhla i panów z Gestapo.

Wszystkie jednak sprawy nawet najboleśniejsze, a cóż dopiero organizacyjne i codzienne, przesłaniała nam myśl o tym, że w dniach najbliższych sprawa wojny Niemiec z Sowietami musi być przesądzona pozytywnie i wielkie zmiany w układzie stosunków ze sobą przynieść musi. Zdając sobie dokładnie sprawę z rezultatów, jakie wybuch wojny i z nim związany przemarsz wojsk pociągnąć musi, redagowaliśmy odpowiedni memoriał do władz, by tamę zupełnie naturalnemu wzrostowi cen, o ile tylko możliwe, postawić. W memoriale tym podkreśloną była dobitnie konieczność zaprowadzenia wolnego handlu, bowiem system kartkowy stosowany dotychczas nader chaotycznie mógł się stać przyczyną nędzy nowej, większej od dotychczasowej. Wiadomości z kraju przychodziły coraz pesymistyczniejsze co do możności pokrywania związanych szczególnie z przednówkiem potrzeb naszych organizacji. Za to ze strony władz zamiast pomocy zauważyć mogliśmy nowe kroki zmierzające jakby do ograniczenia i hamowania organizacji naszej w jej pracy około niesienia pomocy potrzebującym, których liczba z dnia na dzień rosła i w połowie maja doszła do przerażającej dla nas liczby dwóch milionów ludzi! Tą nową trudnością ze strony władz, chyba na złość nam wymyśloną i zastosowaną, było przekazywanie sum pieniężnych w większej ich części nie jak dotąd do centrali RGO dla organizacji powiatowych, lecz na ręce Kreishauptmannów dla dokonania rozdziału na odpowiednie cele. Chodziło naturalnie o to, by nad nami mieć większą kontrolę, skutek tego rozporządzenia najfatalniejszy niedługo kazał na sie-

bie czekać — oto już w następnym miesiącu przekazane na ręce owych szefów powiatów 4 miliony złotych tylko w 10% wpłynęły na wymienione i zaakceptowane w budżecie naszym cele, reszta pozostała w posiadaniu owych, jak na Niemców, dziwnie nieskrupulatnych urzędników. Wyglądało to wprost jak na kpiny ze zdrowego rozsądku, ale ci, którzy się przy tym ze strony władz tymi pieniędzmi naszymi rozporządzili, kpili sobie z tego, co my o nich myślimy. Działo się to właśnie w chwili rozpoczętego przemarszu wojsk, gdy ceny zaczęły zgodnie z naszym przewidywaniem gwałtownie wzrastać, czyniąc pomoc naszą dla ludności, w tym momencie tak niezbędną — zupełnie iluzoryczną!

Widząc instytucję naszą zupełnie zagrożoną w swych podstawach, zdecydowaliśmy się na energiczne wystąpienie do władz, które albo by im oczy otworzyło na sytuację wytworzoną przez nie, albo w razie odmowy zadośćuczynienia naszym słusznym żądaniom byłoby umotywowaniem zawieszenia naszych czynności — tym bowiem, składając memoriał dnia 25 maja, zagroziłem niedwuznacznie drowi Föhlowi.

Argumenty nasze wraz z wybuchem wojny, który dla tej sprawy także w porę przyszedł, przyczyniły się do tego, że pogróżki naszej wykonać nie potrzebowaliśmy, bowiem władze przekonawszy się o słuszności naszych żądań, nie przekreślając całkowicie swoich dotacji na ręce władz powiatowych, jednak uznały za konieczne sumy przeznaczone dla centrali RGO znacznie powiększyć — myśmy zaś weszedłszy w stosunek zupełnego wzajemnego zaufania z bankami w Krakowie luki budżetowe na podstawie kredytów uzyskanych w tych bankach wypełnili i w ten sposób kryzys wiosenny tego roku szczęśliwie zażegnali.

Kończąc opowiadanie o tym, cośmy w pierwszym półroczu roku 1941-go przeżyli, muszę jeszcze parę słów poświęcić kilku drobniejszym sprawom, które jednak później poważne znaczenie osiągnęły. Do nich należy podjęta przez RGO, a nadzwyczaj energicznie przez prof. Goetla, rektora Akademii Górniczej, prowadzona akcja w kierunku uruchomienia wyższych kursów technicznych w Krakowie i Warszawie, gdzie znowu w porozumieniu z rektorem politechniki prof. Drewnowskim była prowadzoną. Po porozumieniu z panem „Hofratem" Watzke uruchomioną została Aka-

demia Górnicza w Krakowie, co prawda w zakresie węższym, niż to było przed wojną, lecz jednakże takim, że nauka górnictwa dla dużej grupy młodzieży polskiej zorganizowaną i udostępnioną została*. W braku gmachu zajętego przez urzędy Generalnej Guberni uzyskany został gmach dawniejszy akademii na Podgórzu i tam przy niezmordowanej energii rektora Goetla została uruchomiona szkoła, która w ciągu wojny wielu fachowców górników wykształciła i byt im zapewniła. W Warszawie po kilku spotkaniach moich z rektorem Drewnowskim i przy pomocy i doświadczeniu rektora Goetla pchnięto sprawę pomyślnie naprzód i uruchomiono w gmachu politechniki i szkoły Rotwanda i Wawelberga* szereg kursów technicznych, a także rolniczy i handlowy. W ten sposób paru tysiącom młodzieży zapewnioną została możność fachowego wykształcenia tak w tej chwili niezbędnego wobec gwałtownego przerzedzenia się szeregów ludzi je posiadających i wypadnięcia kilku roczników młodzieży studiującej normalnie w wyższych zakładach. Jedynie wysiłki skierowane ku uruchomieniu kursów medycyny, jako związane ściśle z uruchomieniem uniwersytetów, nie zostały uwieńczone pozytywnym rezultatem, pomimo rzucającej się w oczy gwałtownej potrzeby w tym kierunku.

Na porządek dzienny spraw poruszanych w RGO weszła w owym czasie też sprawa pomocy dla artystów naszych. Zwróciła się do mnie w Krakowie grupa artystów operowych z panem Stanisławem Drabikiem na czele, prosząc o dopomożenie im w tym sensie, by RGO poparła ich wysiłki w kierunku uruchomienia imprez artystycznych o wysokim poziomie kulturalnym, a których urzeczywistnienie dać by mogło chleb szeregom artystów cierpiącym formalnie głód lub zmuszonych do rzucania swego fachu dla ratowania życia ze szkodą dla dorobku ich kulturalnego. Sprawa ta była jedną z niewielu, które w łonie Rady wywołały poglądy ze sobą zupełnie sprzeczne. Jedni uparcie twierdzili, że czas wojenny i wywołany przez klęskę poniesioną przez kraj nastrój nie pozwala na to, by oddawać się przyjemnościom nawet takim, które na wysokim poziomie kulturalnym by były — drudzy, jak ja, byli zdania, że i artyści żyć muszą, a tym bardziej ci, którzy służą prawdziwej sztuce i są pionierami kultury w kraju. Gdy różne kabarety, bez pytania nas o zgodę na ich istnienie, ściągały tłu-

my szczególnie młodzieży naszej gorączkowo żądnej rozrywki, to licząc się z tym, należało dostarczyć jej, a to tym bardziej jeżeli będzie ona miała formy godziwe i o prawdziwą sztukę oparte. Po naradzie z nestorem naszych artystów dramatycznych Solskim, który na zaproszenie moje do Krakowa przyjechał, wraz z człowiekiem tej miary co Adolf Nowaczyński, doszedłem do przekonania, że rzecz musi znaleźć poparcie i ponieważ nie chciałem zrywać z zasadą nieprzeprowadzania głosowań na posiedzeniach Rady, na których wszystkie uchwały zawsze jednomyślnie przechodziły, postanowiłem zorganizować pomoc dla pana Drabika na drodze prywatnej. Pomocy tej zawdzięczać należy, że imprezy jego zyskały prawo obywatelstwa i poklask ogólny, wtedy dopiero RGO już oficjalnie przyjęło nad nimi patronat, ku zadowoleniu poważnej publiczności nie mogącej się zadawalniać kabaretami i ku zaspokojeniu potrzeb życia całego szeregu artystów i personelu z tym związanego. W dniu 25 kwietnia wystawiony przez grupę pana Drabika *Cyrulik sewilski* miał nie tylko salę po brzegi wypełnioną, ale i szczerze zasłużone oklaski, malujące nie wesołość i lekkomyślność publiczności zebranej, ale jej umiłowanie dla sztuki polskiej, poważnie i godnie reprezentowanej.

W tym też czasie nastąpiły pewne przesunięcia i zmiany w składzie Rady i jej dyrekcji, bowiem w ciągu czerwca ustąpili z Rady panowie: prezes Henryk Kułakowski i prof. Maksymilian Rutkowski. Ze specjalnym uczuciem żalu żegnaliśmy się z panem Kułakowskim, któremu zdrowie nie pozwalało dłużej w RGO pracować, a którego współpraca z nami pozostała w pamięci naszej jako nacechowana najszlachetniejszymi rysami koleżeństwa i połączonej z nią skutecznej pomocy w formie rady, opartej na głębokim rozumie i doświadczeniu.

Na owe dwa opróżnione stanowiska powołani zostali panowie prof. Wacław Krzyżanowski i prof. Piotrowicz.

W dyrekcji też zapowiadały się zmiany tego rodzaju, że dotychczasowy dyrektor dr Witold Celichowski z dniem 1 lipca miał być delegowanym do Warszawy dla objęcia stanowiska generalnego radcy prawnego RGO, zaś na jego miejsce weszedł pan Edmund Seyfried dotychczasowy wicedyrektor.

Zorganizowany też został przy Radzie wydział kontroli, podległy specjalnie prezesowi RGO i kierowany przez pana

W. Rusieckiego, poważnego fachowca w tej dziedzinie. Konieczność istnienia kontroli kierowanej z centrali dawno już dawała się odczuwać i powstanie jej połączone nie tylko z kontrolą finansową, ale także z udzielaniem wskazówek, co do organizacji pomocy z punktu widzenia społecznego, było powitane przez placówki RGO w kraju z wielkim uznaniem. Zawdzięczaliśmy to w wielkiej mierze sposobowi wykonywania swego zadania przez pana Rusieckiego i wyszkolonych przez niego pomocników.

Dzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r. zastał mnie w Krakowie, gdzie z powodu tego faktu wiadomego już od samego rana i w naszym pojęciu wielkiej wagi dla naszej przyszłości, wiele osób odwiedziło mnie z Księciem Metropolitą na czele. Przed paru dniami sprowadziłem się na nowe mieszkanie w pałacu Pusłowskich przy ul. Potockiego 10 na parterze z wyjściem na miły ogród — liczne zebranie, trwające dzień cały u mnie, było jakby uroczystymi inkrutowinami* w tym mieszkaniu, które do końca bytności mej w Krakowie zajmowałem obok Rady i które we wspomnieniach moich wiąże się z wieloma wrażeniami radośnej, ale też i smutnej natury.

Wiem, że dnia tego byliśmy wszyscy w nastroju dziwnie radośnym, zdawało się nam wszystkim, że w fakcie samym wypowiedzenia wojny pomiędzy dwoma naszymi największymi wrogami ma to zupełnie nawet logiczne i rozumowe oparcie. Wszyscy byli zupełnie jednomyślni co do tego, że fakt ten musi przynieść ze sobą zasadniczą zmianę stosunku okupanta niemieckiego do Polaków — nikomu w głowie nie postało, że Sowiety mogą, po próbie finlandzkiej szczególnie, nie być pobitymi przez Niemcy, wierzono, że wejdą one w głąb Rosji bez oporu i jedynie wspominano o tym, co kiedyś mnie mówił von Wühlisch, że Rosja posiada 47 tysięcy aeroplanów i w tym 7000 „wściekłych kobiet", pilotek, które na Berlin jak chmura spaść mogą. Jakże te wszystkie myśli i przekonania dalekimi od rzeczywistości się okazały.

Już odezwa generalnego gubernatora dra Franka do ludności GG była powodem wielkiego zawodu — nie zdobył on się nawet na to, by w tej chwili Polaków nazwać Polakami, a chrześcijańskie posłannictwo tej wojny podawał w takiej formie, która nikomu do przekonania trafić nie mogła.

Rozmowy, które zaraz dni następnych przeprowadziłem z szeregiem przedstawicieli władz, a nawet i wojska, mianowicie z komendantem m. Krakowa generałem von Herbertem, dały mi jasno do zrozumienia, że na żadne zmiany liczyć nie należy. Zaś ów generał, ze szkoły dawnej austryjackiej, nam szczerze życzliwy, czuło się w każdym geście i słowie, że potępiał bez zastrzeżeń wszystkie poczynania władz niemieckich w Polsce, ale nie miał ani siły, ani dostatecznego przekonania, by się im przeciwstawić. Panowało bowiem wówczas jeszcze niepodzielne przekonanie o sile niemieckiej nie do zwyciężenia, sile, która żadnej pomocy nie potrzebuje, by nawet na takiego kolosa jak Sowiety się porwać, a która jest mocna tym, że na formule narodowo-socjalistycznej się opiera. Nie zapomnę westchnień gen. Herberta, gdy mówiliśmy o tym, że trudno po tym, co u nas Niemcy uczynili, im wierzyć, że są szczerymi przeciwnikami bolszewizmu i walczą w imię Krzyża, gdy podziału Polski dokonali właśnie z tymi bolszewikami, a religię na każdym kroku prześladują. Co do działalności dra Franka na „Burgu", to dochodziły wieści z Berlina, że nie budziła ona tam zachwytu, ale zwyciężyło zdanie partii, że zmieniać postępowania w niczym nie należy, bo się jest zdobywcą świata, a Europa ma dać temu zdobywcy tylko niewolników i nic więcej. Wtedy jeszcze nie trzeba było, ich zdaniem, dosiadać konika „nowego porządku w Europie", bo Europa i oni to była jedna wielka i niezwyciężona pięść niemiecka.

Pomimo zawodu wielkiego doznanego w związku z wypowiedzeniem wojny Sowietom i zachowaniem się władz niemieckich, nie ustawaliśmy na chwilę w pracy przygotowawczej, która, przewidywaliśmy, spaść na nas musi w oczekiwaniu posunięcia się wojsk niemieckich na wschód. Myśleliśmy i nadstawialiśmy ucha nie tylko w stronę Lwowa, ale i Wilna, dwóch miast polskich serdecznymi więzy ze wszystkim, co polskie i co cierpi, związanych. Przygotowywaliśmy kadry ludzi, którzy, gdy tam otworzy się droga, natychmiast by jechali z pomocą, niezależnie nawet od tego, czy formalnie już wszystko będzie ustalonym. Projektowaliśmy w tym celu stworzenie wydziału wschodniego, celem objęcia Wschodu polskiego odbitego Sowietom najtroskliwszą opieką. Wreszcie słuchaliśmy z zapartym oddechem sprawozdań stamtąd już nadchodzących, z których chcieliśmy wnioskować, czy Niemcy idą do tego kraju naszego z wyzwoleniem prawdziwym, czy też znowu nowe udręki z tej strony nas czekają? Na zebraniu u mnie w obecności ks. biskupa Godlewskiego, który jako dawny biskup w Żytomierzu specjalnie się sprawami tymi interesował, dnia 2 lipca zebrali się panowie marszałek Mudryj, Stanisław Tyszkiewicz i Stanisław Badeni, by wszystkie te sprawy, specjalnie Galicji i Lwowa dotyczące, gruntownie i przyjaźnie omówić. Pan Mudryj przedstawił nam swój pogląd na to, jak wypadki powinny się rozwinąć, pogląd prawie zupełnie z naszym się pokrywający, zaś Tyszkiewicz zobowiązał się wejść zaraz w kontakt ścisły z lwowianami w Warszawie, których dosyć liczna grupa była mu znaną, by z nimi w kontakcie, jako delegat RGO do spraw wschodnich, nad organizowaniem pomocy dla Galicji w Warszawie czuwać. Pan Badeni swoją znajomością stosunków ukraińskich w Galicji sekundował skutecznie panu Mudryjowi w jego rozumowaniach co do konieczności wpływania od początku na to, by stosunki pomiędzy Ukraińcami i Polakami ułożyły się możliwie dobrze. Chodziły już słuchy o przyłączeniu Galicji do Generalnej Guberni i o rozszerzeniu działalności RGO na ten nowy dystrykt.

Gdy razem z Tyszkiewiczem dnia 4 lipca pojechałem do Warszawy o niczym innym tam nie mówiono — zaś na zebraniu, które urządził dla mnie Jałowiecki, obecni panowie Młynarski, Machnicki i Wachowiak starali się wraz ze mną sprawę całą gruntownie rozważyć, by czas stracony nadrobić, a to, co się wycierpiała Galicja pod bolszewikiem, jej skutecznie wynagrodzić jak najprędzej.

Z Warszawy odwołany zostałem do Krakowa telefonicznie przez dra Hellera, przedstawiciela Niemieckiego Czerwonego Krzyża, z powodu zapowiedzianego przyjazdu prezesa tej instytucji generała Hartmanna. Ucieszyłem się bardzo z tej wiadomości, bowiem gen. Hartmann, czynny prezes Czerwonego Krzyża Niemieckiego przy księciu Koburgu, jego prezesie honorowym, stanowił z tym ostatnim owych wyjątkowo wpływowych i energicznych ludzi, których chcieliśmy, po naradach z drem Hellerem, pozyskać dla poprawienia bytu rodaków naszych w obozach koncentracyjnych.

Stawiłem się więc zaraz w Krakowie i przy życzliwej pomocy dra Hellera sporządzony został w RGO memoriał obrazujący warunki, w których pozostają w obozach Polacy i sformułowane dezyderaty nasze co do tego, co należy uczynić, by ich losowi ulżyć.

Na dzień 8 lipca, dzień przyjazdu generała, byliśmy gotowi z memoriałem i zestawieniem wszelkich danych ilustrujących sytuację. Konferencja, która szczelnie wypełniła dnie 8–10 lipca, z generałem Hartmannem, dała nam wrażenie, które wkrótce zamieniło się w pewność, że mamy do czynienia z człowiekiem, który nie bawi się w piękne słowa, prawdę po imieniu nazywa, a dane nam obietnice wniknięcia we wszystko, co mu było przez nas przedstawionym, dotrzyma sumiennie. Poza koniecznością zmiany regimu w obozach, poruszyliśmy sprawę opieki nad więźniami w kraju, którą to opiekę gotowa była RGO zorganizować. Radą było generała, by do pracy tej powołać kobiety, bo sprawa cała straci wtedy posmak polityczny i jako charytatywna przejść może bez większych trudności u władz.

Wyjątkowo zadowoleni z rezultatów tych narad, a drowi Hellerowi specjalnie wdzięczni za doprowadzenie do nich, oczekiwaliśmy wiadomości o tym, jaki rezultat kroki przedsięwzięte przez generała Hartmanna przyniosą, tymczasem wzięliśmy się natychmiast do organizowania opieki nad więźniami, którą całą oddałem po porozumieniu z Radą w zaufane ręce jednej z najdzielniejszych współpracowniczek naszych, panny Karli Lanckorońskiej, która tej sprawie oddała się całkowicie, zapominając nieraz o jedzeniu i spaniu dla siebie, myśląc tylko i wyłącznie o natychmiastowym wprowadzeniu w życie uzyskanego od władz zezwolenia imiennego na prowadzenie tej tak ważnej gałęzi opieki społecznej w owym czasie.

Wiadomość o naradach prowadzonych z generałem Hartmannem, o pomyślnych wynikach tych narad, o uzyskaniu pozwolenia na opiekę nad więźniami dała asumpt plotce publicznej u nas do nowego rozhulania się na temat RGO i mój specjalnie. Tym razem pan Zygmunt Lasocki w dniu już 12 lipca przyszedł do mnie, jakby z misją oficjalną, dla naradzenia się nad tym, że elementy nam wrogie rozpuszczają pogłoski, jakobym ja wyraził zgodę władzom na objęcie rządu w GG. Postanowiliśmy raz jeszcze nie zwracać na to bezsensowne gadanie żadnej uwagi i postępować w pracy dalej nic w niej nie zmieniając, bowiem jeżeli kto, to ja, a ze mną cała Rada nie mieliśmy sobie nawet najmniejszej takiej rzeczy do wyrzucenia, która by mogła dawać jakikolwiek pozór w tym kierunku i plotka i tym razem nie miała literalnie żadnego oparcia, a była widocznym złośliwym wymysłem. Zapytywaliśmy siebie z panem Lasockim, z którym szczery i pełen zaufania stosunek wysoce sobie ceniłem, jakie są drogi w Polsce na to, by kres takim rzeczom raz położyć, odpowiedział mi na to z pewnym smutkiem i goryczą w głosie, że na to trzeba co najmniej umrzeć — a wtedy może?!

To, co się działo na Wschodzie, zaczęło się odbijać na ukształtowaniu stosunków i w GG w ten sposób, że wielu ludzi żywszych i dzielniejszych powołanych zostało do objęcia tam stanowisk. Gubernator Wächter z Krakowa został przeznaczony na to stanowisko we Lwowie, zaś dr Föhl, sprawujący opiekę nad naszą RGO ze strony wydziału spraw wewnętrznych, otrzymał jakąś misję specjalną przy boku profesora Kocha, znanego badacza narodowościowych zagadnień z siedzibą w Kijowie. Na jego miejsce został naznaczony Oberverwaltungsrat Lothar Weirauch, który już do końca panowania Niemców na ziemiach naszych sprawował ten urząd i na nim starał się nam jak najbardziej i radą, i czynem być pomocnym.

Wezwany do niego dnia 28 lipca na pierwszą naradę poufną, wyniosłem z niej najlepsze dla osoby pana Weiraucha wrażenie, które stale się w przyszłości potęgowało i pozwoliło stosunkowi naszemu ułożyć się w ten sposób, że można było o panu Weirauchu, jako o jednym z bardzo nielicznych Niemców, powiedzieć, że znał psychologię polską, mówił z nami zupełnie szczerze i spełniał w miarę możności życzenia nasze. Zaraz na pierwszej z nim naradzie miałem przykrą niespodziankę, gdy zatelefonowano mi z biura, że jest w nim Gestapo i że zabiera wszystkie nasze dokumenty stanowiące podkładkę do interwencji, które prowadziłem w GG w obronie rodaków. Weirauch radził mnie uspokoić moich panów w biurze, samemu z nim na konferencji pozostać, a co do interwencji może o tyle zmienić linię postępowania, by pierwej z nim każdą sprawę omówić, a wtedy, gdy sprawa zakwalifikowaną będzie do dalszej akcji, tam się zwracać, gdzie razem

uradzimy, że to jest najbardziej wskazane. Zaraz też poruszyłem z nim sprawę aresztowanego w owych dniach prof. Władysława Studnickiego* — zapoznawszy się ode mnie ze stanem rzeczy, a sam wiedząc wiele o osobie Studnickiego, przyczynił się następnie bardzo energicznie do jego uwolnienia. Ułożył on też ze mną dnia tego program jazdy mej do Tarnowa z panną Lanckorońską celem rozpoczęcia tam właśnie, jako w miejscu najbardziej tego potrzebującym, akcji około pomocy dla więźniów. Wyjazd ten w najbliższym czasie postanowiliśmy uskutecznić.

W dniu 1 sierpnia został ogłoszony akt przyłączenia do Generalnej Guberni nowego dystryktu Galicji. Akt ten został we Lwowie ogłoszonym przez generalnego gubernatora Franka. Już w dniu 27 lipca przybyły do Krakowa dr Węgrzynowski referował nam, co się we Lwowie dzieje, i to, co mówił, nie usposabiało bynajmniej do optymistycznego poglądu na sprawy i wiele obaw w nas co do nich budziło. Jeden wyraźny wniosek narzucał się sam przez się — oto, że ani Ukraińcy, ani Polacy nie będą mieli w Niemcach oczekiwanych oswobodzicieli. Polacy niebawem mieli się o tym przekonać przy tak bolesnej sprawie profesorów szkół wyższych z drem Bartlem na czele, zaś Ukraińcy już się o tym dobitnie przekonali, gdy Bandera, ich we Lwowie przewódca, uznał moment wejścia Niemców za odpowiedni dla ogłoszenia niepodległej Ukrainy. Plakaty o tym ogłoszeniu zostały przez policję niemiecką zniszczone, zaś organizatorzy tego zamachu stanu z szefem swoim na czele zostali aresztowani.

W połowie sierpnia przybyli do mnie ze Lwowa panowie Tadeusz Potworowski i Włodzimierz Cieński z wiadomościami, które nas bardzo przejęły — konstatowali oni nie tylko to, że Polacy w Galicji są w coraz trudniejszym położeniu ze względu na traktowanie ich przez władze, stawiające ich na drugim planie w stosunku do Ukraińców, ale co gorsza, że sposób ten postępowania odbija się nader niekorzystnie na nastroju moralnym całego społeczeństwa polskiego w Galicji, które, umęczone już dostatecznie przez bolszewików, nie doznało ulgi po przyjściu Niemców i ulega coraz większemu zdeprymowaniu. Milczenie władz co do sprawy zapowiedzianej w odezwie generalnego gubernatora zwrotu własności

prywatnej, naznaczanie Ukraińców na stanowiska w samorządach, w których Polacy stają się siłą rzeczy jakby im podlegli, wszystko to wymaga jak najenergiczniejszej ingerencji i zorganizowania społeczeństwa polskiego, które winno być pokierowane z zewnątrz i postawione w warunkach takich, by przynajmniej jakie takie odprężenie mogło nastąpić. Rozumiejąc, że jedną z najważniejszych spraw jest zorganizowanie pomocy i założenie w Galicji naszej instytucji RGO, zwróciłem się do pana Weiraucha, by w tej sprawie nam pomógł — w tym czasie przyjechał z Kijowa dr Föhl, którego udało mi się również dla tej sprawy pozyskać, tak że na naradzie z panem Weirauchem doszliśmy razem do wniosku, że RGO trzeba niezwłocznie rozszerzyć na Galicję i że oni mi w tym energicznie pomogą. Niestety, pomimo ich dobrej woli jeszcze dużo czasu upłynęło, nim do Lwowa mogłem dojechać, by pracę naszą tam rozpocząć.

W międzyczasie wizyta u mnie pani pułkownikowej Skwarczyńskiej trochę optymizmu znowu wlała w serca nasze — była ona autorką owych przepięknych listów pisanych z Kazakstanu, a które ja w tłomaczeniu na angielski wysłałem do Ameryki. Przywiozła ona ze sobą jakby powiew świeżej energii i woli zwyciężenia trudności, których nam bardzo dużo było potrzeba, będąc bowiem zesłana na Syberię do dalekiego Kazakstanu wraz ze swoimi dwoma córeczkami, jednak stamtąd wróciła i znowu we Lwowie potrafiła życie swe tak urządzić, by nie tylko niczyjej pomocy nie potrzebować, ale jeszcze innym pomagać. Opowiadanie jej wobec grona mych przyjaciół o jej przeżyciach na dalekim wschodzie, o tej wyraźnej Opiece Boskiej, którą szczególnie przy odnalezieniu zaginionej córki w sposób iście cudowny doznała, wzruszyło nas głęboko i wlało jakby nową wiarę w serca nasze, takie żądne choćby najdrobniejszego objawu Opieki Boskiej nad nami!

Pod tym wrażeniem, że nie ma rzeczy niemożliwych, wyjechałem dnia następnego z panną Lanckorońską do Tarnowa, by tam przystąpić niezwłocznie do organizowania pomocy dla więźniów politycznych. Więzienie tarnowskie było jednym z największych więzień śledczych, krążyły o nim niesamowite wieści co do srogości obchodzenia się z aresztowanymi, których, jak nas zapewniano, po kilkunastu dziennie umierało, przeważnie z wycieńczenia i głodu.

Po naradzie w komitecie, którego duszą był ks. Pękala, uradzono, że panna Lanckorońska udać się musi osobiście do dyrektora więzienia, znanego ze swej brutalności, i z nim dojść do porozumienia, w jakiej formie będzie można dożywianie więźniów rozpocząć. Czekaliśmy na nią z bijącym sercem przeszło godzinę, po której zjawiła się u nas — z wyrazu twarzy już mogłem wnioskować, że z dobrą przychodzi nowiną, podniecenie jednak wielkie, które także na jej twarzy się malowało, świadczyło, że ciężkie przeszła chwile. To, co nam opowiedziała, przeszło to wszystko, czego spodziewać się mogliśmy, gdyż już przy samym spotkaniu dyrektor więzienia, zapoznawszy się z papierami upoważniającymi pannę Lanckorońską do działania, nie chciał nawet z nią mówić o dożywianiu. Gdy mu zwróciła na to uwagę, że chodzą wieści, że ludzie trzymani w więzieniu umierają z głodu, odburknął on, że tym lepiej, niech umierają, używając dosadnego niemieckiego słowa „krepieren". Podniecona tak nieludzkim traktowaniem sprawy panna Lanckorońska, z natury bardzo żywa, ale i ogromnie odważna, nie wytrzymała i ponoszona szlachetnym oburzeniem powiedziała do dyrektora: „To jest pierwszy raz w życiu, kiedy muszę się wstydzić, że krew niemiecka także płynie w żyłach moich!" To krótkie, ale jakże dobitne oświadczenie wywołało falę krwi, która do twarzy szlachetnego dyrektora uderzyła, zbladł potem nagle i po dłuższej chwili milczenia powiedział krótko: „To niech Pani robi, co się Pani podoba" — i udzielił swej zgody na natychmiastowe rozpoczęcie dożywiania, które w Tarnowie niejednemu biedakowi naszemu, ale także i ukraińskiemu, i żydowskiemu życie uratowało. Powierzone w doświadczone ręce pani Dmochowskiej, jednej z najdzielniejszych pracowniczek społecznych, przyniosło ze sobą i otuchę moralną, bowiem było dowodem namacalnym dla tych, którzy w więzieniu cierpieli, że jest ktoś, kto nad nimi czuwa i o nich myśli. Tak więc odwaga i poczucie godności panny Lanckorońskiej pozwoliły postawić pierwszy krok w pracy pomocy dla więźniów, która następnie rozwinęła się pod jej dzielnym kierownictwem tak dalece, że w całym kraju więźniowie otoczeni byli opieką, która się stała narzędziem najzdrowszej propagandy na rzecz RGO, której imię w tych nieszczęsnych przybytkach cierpienia postawiła wysoko na przekór tym, którzy je poniżać i atakować chcieli.

Z Tarnowa pojechałem do Nowego Sącza, gdzie jechać musiałem na skutek wiadomości o wyczynach drugiego satrapy policyjnego, jakim był tam szef miejscowego Gestapo Hamann — kazał on tam rozstrzelać bez sądu i przyczyny 72 osoby, w tym kilku księży najbliższych współpracowników ks. biskupa Fulmana, tam w klasztorze internowanego. W czasie odwiedzin u niego dowiedziałem się, co w Nowym Sączu był zdolny wyrabiać ów Hamann, podobno nie tylko sam dokonujący osobiście egzekucji, ale do tego zaprawiający swego małego synka, którego uczył strzelania z flobertu na Żydach skazanych na śmierć.

Z ks. biskupem Fulmanem łączyły mnie jeszcze stosunki zapoczątkowane w czasie pierwszej wojny światowej, gdy był on wielkim działaczem w Lubelszczyźnie, gdzie potem został biskupem. Jakże zmienionym zastałem go w Sączu, stał się starcem tak dalece zbiedzonym losem, który mu przypadł w udziale, że wprost nie umiałem przez dłuższą chwilę nawiązać z nim rozmowy. Wypadki dni ostatnich, gdy rozstrzelano jego kapelana, ks. infułata Mazura, podcięły jego nerwy tak dalece, że nie przestawał płakać, opowiadając mi swoje ostatnie przeżycia i ból spowodowany śmiercią męczeńską swego przyjaciela. Na posiedzeniu naszego komitetu opowiedziano mi szczegóły tego, co przeżył Sącz, w którym panika przed prześladowaniem nie mającym żadnych podstaw, ogarnęła ludność tak dalece, że bano się chodzić po ulicach, a do komitetu coraz mniej ludzi przychodziło z obawy, by nawet praca w nim nie stała się powodem do aresztowania. Jedna pani Stadnicka z Nawojowej nie poddawała się ogólnemu nastrojowi i dodawała otuchy wszystkim, toteż, gdy zawakowała prezesura komitetu, udało się nam namówić ją do objęcia tej placówki, na której wiele jeszcze potrafiła zdziałać i wiele łez otrzeć.

Dla zakończenia opowiadania o wyczynach policyjnych wspomnę, że zaraz po powrocie do Krakowa spotkała mnie niemiła niespodzianka, gdyż odwiedzili mnie przedstawiciele policji porządkowej krakowskiej, zapytując, na jakiej podstawie posiadam i używam auto, dodając przy tym, że auto tego typu posiadać mogą tylko ekscelencje. Odpowiedziałem na to, że byłem ekscelencją jeszcze wtedy, gdy żadnym z panów ekscelencji w Krakowie nie śniło się jeszcze, by nimi zostać, i z tego mógłbym brać

asumpt, by żądać pozostawienia mi mojego auta, ale gdy godzono się na udzielenie mnie miesięcznie 50 litrów benzyny, co czyniło je dla mnie prawie bezużytecznym, wolałem się wyrzec tej wygody, rozumując, że lepiej by mnie ludzie widzieli chodzącego piechotą lub jeżdżącego koleją jak inni. Niemniej ten mój postępek zaliczam do lekkomyślnych, gdyż po prostu zdrowie moje straciłem na jazdach koleją, które odbywane były w warunkach nie licujących z żadnymi najprymitywniejszymi wymogami kultury i połączone były ze zmęczeniem, które nawet najsilniejsze zdrowie musiało nadszarpnąć.

Tymczasem powoli zbliżał się termin, w którym miały się zacząć projektowane zjazdy delegatów poszczególnych dystryktów celem zbliżenia ze sobą wszystkich głównych działaczy w RGO i zapoznania ich bliżej z działalnością i myślami centrali, a specjalnie, żeby ich przekonać o tym, że centrala ta prawdziwie po polsku myśli i działa. Odbywały się ciągłe narady u mnie i we wszystkich wydziałach, by do tych zjazdów porządnie się przygotować, ułożenie bowiem programu odpowiedniego, by wszystkim naszym życzeniom i zamierzeniom zadosyć uczynić, nie było rzeczą łatwą. Miesiąc jeszcze pozostawało do pierwszego zjazdu delegatów Dystryktu Krakowskiego, naznaczonego na dzień 25 września, a już wszystko w Radzie żyło pod znakiem tego zjazdu.

Przygotowując się ze swej strony do złożenia sprawozdań na tym zjeździe z działalności naszej we wszystkich najważniejszych dziedzinach opieki i działania, uważałem za konieczne pogłębić także mą znajomość sytuacji, w jakiej w owej chwili znajdowali się Żydzi i w tym celu spotkać się z przedstawicielami ich dla omówienia spraw ich dotyczących. Wiadomości dochodzące z kraju były pod tym względem bardzo smutne i dla ich losu coraz bardziej groźne. Zaproszony przez kierownika całej akcji samopomocy żydowskiej dra Weicherta do jego biura na Podgórzu, kilka godzin spędziłem na naradach w atmosferze prawdziwego i wzajemnego zaufania i przyjaźni. Niestety, to, co się dowiedziałem, było wprost wstrząsającym, bo opowiedziane mi fakty stwierdzały, że eksterminacja Żydów, o której pomruki chodziły już od dawna, rozpoczętą została w różnych punktach

kraju w sposób niebywale brutalny i systematyczny. Potwierdziły się wiadomości i szczegóły o Treblince pod Siedlcami, gdzie wysyłano całe pociągi Żydów z kraju i zagranicy — z Holandii i Belgii, by obrabowawszy ze wszystkiego, co posiadali, stracić w komorach gazowych w warunkach okropnych nie liczących się z żadnymi prawami boskimi i ludzkimi. Do pracy około grzebania ciał zapędzano polskich chłopów ze wsi okolicznych, aby ich do tego zachęcić, pozwalano im to wszystko, czego nie zrabowali gestapowcy, zabierać od nieszczęsnych ofiar furii teutońskiej. Naradzaliśmy się pomiędzy innymi sprawami i nad tym, jak powstrzymać masy chłopskie od tentacji* rabunku, a przez to i strasznej demoralizacji, która w tym swe źródło miała. Podziwiałem spokój dra Weicherta, gdy o tym wszystkim ze mną mówił, zaś przede wszystkim sposób jego zachowania się w tym piekle, w którym właściwie stale przebywał, bo pracować w tych warunkach, gdy wszystkie jego wysiłki w kierunku pomocy hamowano uparcie, gdy akcję jego i istnienie Żydowskiej Samopomocy Społecznej jedynie zapewne dla pozorów wobec Amerykanów tolerowano — było rzeczą, której żaden z nas by nie potrafił. Podziwiałem go bardzo i cieszyłem się szczerze, że przynajmniej do owego czasu nie tamowano jeszcze dopływu pieniędzy żydowskich z Ameryki i że miał on przynajmniej pod tym względem możność dopomagania swoim rodakom — pan Borenstein niezrównany w energii i pomysłach jako przedstawiciel organizacji Jointu pracował wytrwale nad dostarczaniem funduszów, dla których drogi dopływu umiejętnie obmyślał. Dowiedziawszy się od nich, że Gestapo do wykonywania swych barbarzyńskich czynów wobec Żydów zaprzęga do pracy grzebania ciał, jak to miało miejsce w Tarnowie, tzw. bataliony budowlane złożone z młodzieży polskiej, w obawie, by nie stało się to źródłem demoralizacji dla tej młodzieży, zwróciłem się do władz niemieckich w tej sprawie z żądaniem, by tego zaniechały. Niełatwe były rozmowy z Niemcami na ten tak drażliwy temat, udało mi się jednak w rezultacie osiągnąć to, czego chciałem w stosunku do młodzieży. Co zaś się tyczyło posługiwania się przez Gestapo robotnikami w obozie w Treblince, to dopiero musiałem się zwrócić do Niemieckiego Czerwonego Krzyża o interwencję, by przedstawiwszy całą demoralizację z podobnym zatrudnieniem

związaną, osiągnąć obietnicę zaledwie, że robotnicy polscy jedynie na zewnątrz obozu do wykonywania robót używani będą. Nie udało mi się jednak nic albo prawie nic osiągnąć w tym kierunku, by jakąś ulgę dla samych Żydów wyjednać — był to temat niebezpieczny w ogóle do poruszenia. Ponieważ jednak opiekę nad Żydami przyjąłem na siebie jako prezes Naczelnej Rady Opiekuńczej, a z mych obowiązków chciałem się sumiennie wywiązać przede wszystkim w stosunku do tych, którzy najbardziej cierpieli, a tymi bez wątpienia byli w Polsce Żydzi, więc nie ustawałem w zabiegach, by im możliwie jak najwięcej przynieść ulgi. Moje wysiłki, kierowane udzielanymi mi przez dra Weicherta wskazówkami, szły przede wszystkim w tym kierunku, by organizacja samopomocy żydowskiej, przez niego prowadzona, nie była ograniczana w swej działalności — graliśmy tu głównie na tym, że Niemcy właściwie zadowoleni byli, że źródła pomocy żydowskiej z zagranicy stale i obficie zasilane były, tłomaczyłem im, że to się zaraz urwie, gdyby Żydom pomoc społeczną zabroniono by prowadzić. Mówiąc o tej sprawie, wspomnieć należy o tym, że wiadomości, które przychodziły ze Lwowa i Galicji Wschodniej o zachowaniu się Żydów wobec ludności polskiej pod okupacją sowiecką, były dla nas powodem do bardzo ponurych rozważań, bowiem obraz ogólny był dla Żydów bardzo niekorzystnym i dawał powody do odruchów rozgoryczenia i oburzenia w kołach narodowych i szczególniej młodzieży polskiej. Chcąc być obiektywnym, stwierdzić muszę, że i ze Lwowa cytowano mi nazwiska Żydów, którzy swój obywatelski obowiązek w stosunku do Polski wypełniali z godnością i ofiarnością wielką, ale były to wyjątki, gdy przeważna część Żydów, jak mówiono, zachowywała się wrogo. W tych warunkach mitygować odruchy chłopa polskiego zawsze, niestety, chętnego do grabieży, gdy ona bezkarnie dokonaną być może, było rzeczą niełatwą, tak samo jak i wpływanie odpowiednie na nastroje. Pomocnym nam był w tej akcji uspakajania złych instynktów ogólny nastrój społeczeństwa polskiego, wrażliwego w ogóle na nędzę ludzką i wciąganego przez nas w akcję pomocy opartą na zasadach wyraźnie społecznych i chrześcijańskich, te zaś stawały na przeszkodzie wszelkim wybrykom. Kierowani tymi zasadami, a także i współczuciem, na które Żydzi

w pełni zasługiwali, nie wahaliśmy się wszelkie odruchy antyżydowskie wstrzymywać w zarodku i stwierdzić należy, że udawało się to nam bez większych trudności.

Na dzień 22-go zapowiedzieli się Amerykanie, panowie Murray i prof. Lehman. Czuliśmy, że wobec coraz wyraźniej grożącej wojny pomiędzy Ameryką a Niemcami może to po raz ostatni ich widzimy, zaś pomimo że z ich strony spotkały nas pewne zawody, byliśmy jednak pełni wdzięczności szczególniej dla tych, jak Murray, którzy wszystkie czynili wysiłki i dawali ze siebie wszystko, byleby nam dopomóc — toteż gdy przyjechał on właśnie, tym razem jeszcze okazaliśmy mu nie tylko uprzejmość wielką, ale i wiele szczerej serdeczności — przybyły z nim prof. Lehman był nawet jakby zadziwiony tym serdecznym bardzo przyjęciem i też do niego się dostrajał. Poza normalnym już dla tych wizyt zwiedzaniem zakładów i przyjęciem w RGO licznym i serdecznym, ale bardzo skromnym, w programie tych odwiedzin był też obiad u von Wühlischa dla małego bardzo grona osób, na którym mówiono już wyraźnie o nadchodzącej wojnie. Następnego dnia była w programie wycieczka do Zakopanego. Jechałem samochodem razem z panem Murray, i to w takim towarzystwie, że mogłem z nim swobodnie rozmawiać. Oświadczył mi on, że pragnąłby właściwie pozostać w razie wybuchu wojny w Europie, nawet w Niemczech samych lub Holandii, by otrzymane obecnie z Ameryki środki finansowe móc rozdzielać jeszcze jak najobficiej dla nas. W ogóle miał różne projekty, które zamierzał przeprowadzić w czasie czekającej go jazdy do kraju — wybuch wojny mu jednak przeszkodził je wykonać. Dla ułatwienia tego zadania postanowiliśmy złożyć na jego ręce listy dziękczynne z naszej strony do ofiarodawców zza oceanu. Zaraz je zredagowaliśmy i przecenzurowane przez niemieckie władze wręczyliśmy mu je oficjalnie na zebraniu pożegnalnym, które specjalnie serdeczny nosiło charakter i było ostatnim spotkaniem naszym z przedstawicielami Komitetu Pomocy Amerykańskiej, którzy wszyscy w działalności RGO piękną bardzo zapisali kartę, a w nas zdobyli sobie serdecznych przyjaciół.

W dniu 24 września wyjechali oni przez Radom i Warszawę do Berlina, zaś tegoż dnia po południu rozpoczął się nasz

pierwszy kolejny zjazd delegatów wszystkich powiatów Okręgu Krakowskiego.

Gdy myślę o pracy mej w RGO i zastanawiam się, jakie momenty w tej pracy odegrały największą rolę, to bez wahania przypisuję ją owym zjazdom, z których pierwszy się rozpoczynał dnia tego, przygotowany przez nas jak najstaranniej, ale do którego przystępowaliśmy jakby z trwogą studenta mającego zdawać egzamin wielkiej wagi. Zorganizowanie bowiem takiej imprezy, w której miało uczestniczyć około dwustu osób, tak by nie zwróciła ona na siebie zbytecznej uwagi władz, by program jej odpowiedział w pełni postawionym założeniom i by jako rezultat końcowy osiągniętym zostało pełne zespolenie centrali RGO z jej placówkami, było rzeczą bardzo trudną. Tylko dzięki zgodnemu wysiłkowi i chęci służenia sprawie wszystkich w RGO, od góry do dołu, był cel postawiony zjazdom tym do osiągnięcia. Trzeba było te wielkie chwile w życiu naszej RGO przeżyć samemu, by to, co mówię, zrozumieć — opowiedzieć to się nie da, bo grały tutaj swą grę szlachetną uczucia szczere i uczciwe, a nie żadne słowa i frazesy konwencjonalne.

Niemniej przystąpić muszę do opisania tego zjazdu krótko i zwięźle, możliwie najżywiej malując przeżyte chwile.

Zaczynam od strony organizacyjno-technicznej, która powierzoną była w całości Antoniemu Plater-Zyberkowi, ówczesnemu pełnomocnikowi głównemu Rady. Salę posiedzeń Rady, będącą jednocześnie mym gabinetem do pracy, przeznaczyliśmy na miejsce obrad, wszystkie zaś inne pokoje Rady na ul. Potockiego otrzymały swe przeznaczenie z zadaniami zjazdu związane. Na sali posiedzeń krzesła ustawione rzędami nosiły na przytwierdzonych kartkach nazwiska uczestników zjazdu — ja jako przewodniczący miałem cały czas przed oczami rysunek sali wraz z wypisanymi nazwiskami obecnych, w ten sposób bardzo prosty nie potrzebowałem, udzielając głosu, nikogo pytać o nazwisko, miałem je przed sobą wypisane. Na dole przybywających gości legitymował Plater wraz z kilkoma dobranymi pomocnikami, by nikt niepożądany nie dostał się na górę — w razie czego dzwonek połączony ze stołem prezydialnym i znajdujący się przy mnie dałby mi zaraz znać o tym, bym był na baczności i bieg spraw od-

powiednio pokierował. Organizacyjna strona zjazdu, stwierdzić mogę, nie zawiodła nawet w żadnym drobnym szczególe i podkreślaną była przez wszystkich przybyłych z dużym uznaniem i wdzięcznością — niepoślednią rolę też odegrało przygotowanie dla wszystkich przyzwoitych noclegów i zorganizowanie skromnego, ale dobrego wyżywienia.

Gdy zebranie pierwsze oficjalne miało się zacząć w dniu 25-ym o godz. 10 rano, proszeni byli wszyscy o przyjechanie w przeddzień już, by być w RGO tego dnia o godz. 4-ej na przyjęciu u mnie, które przeznaczonym było dla zapoznania się, powitania przeze mnie wszystkich przybyłych, wreszcie na skromne przyjęcie, mające zastąpić kolację, dające jednak okazję obecnym do większego zbliżenia się ze sobą na gruncie towarzyskim.

Piękne urządzenie apartamentów pałacu Pusłowskich dawało całemu zebraniu ramę wysoce estetyczną, która nie w małej mierze przyczyniła się także do nadania mu charakteru uroczystego i poważnego bardzo. Miłą niespodzianką dla obecnych było uproszenie Księcia Metropolity, by w tym pierwszym zebraniu uczestników zjazdu zechciał wziąć udział. Toteż, gdy punkt o godzinie 4-ej weszedł on na salę, prowadzony przeze mnie, w sali wypełnionej szczelnie przeszedł jakby szmer prawdziwego wzruszenia.

Przywitawszy się serdecznie ze wszystkimi, Książę Metropolita zasiadł przy stole w otoczeniu członków Rady, a ja głos zabrałem nie tylko, by wszystkich powitać, ale w dłuższym przemówieniu zobrazować historię powstania RGO, jej życie i walki prowadzone, oraz zamiary i cele do osiągnięcia na przyszłość. Tak byłem tym, co przeżywałem, wzruszony, że słowa z trudnością wielką na początku przechodziły mnie przez gardło i wszystkie, zdawało mi się, jakby niedostatecznie dobrze dobrane dla tak wielkiej chwili. Zacząłem od powitania na zebraniu naszym w RGO najdostojniejszego gościa, jakiego mieć mogliśmy, w osobie Księcia Metropolity, złożyłem mu hołd w swoim i obecnych imieniu, nazywając go filarem naszej godności narodowej i naszym dostojnym patronem. Powitałem następnie obecnych jako tych, którzy jako Polacy pracujący na placówkach przyjechali tu dla wspólnego dzieła obrony ich i celowej, i rozumnej pracy nad nimi, podkreślając, że jesteśmy wszyscy jakby jedną wielką rodzi-

ną RGO, która ma za zadanie jedynie służyć wiernie Polsce, zgodnie z tymi obowiązkami, które na każdego Polaka chwila dziejowa wkłada i od których spełnienia nikomu uchylić się nie wolno. Przeszedłem do złożenia jakby sprawozdania z tych prac, które towarzyszyły powstaniu Rady, charakteryzując te prace jako walkę toczoną z jednej strony z okupantem, a z drugiej — z własnym nawet społeczeństwem, które na pewno nieświadomie, ale często niemniej boleśnie, stawiało jakby przeszkody w pracy naszej jedynie dobro kraju mającej na względzie. Podkreślałem hasła nasze, które za swoje przyjęliśmy, a które formułowałem jako dwie tezy dla naszej pracy zasadnicze. Jedna z nich brzmiała: „Bronimy substancji Narodu, Opatrzności pozostawiając opiekę nad państwem" — zaś druga: „W czasie wielkiej wojny światowej budowaliśmy Polskę naszą na nadziejach i od kopuły, obecnie budować ją musimy na nowo, ale na najmocniejszym fundamencie, jakim jest cierpienie i ofiara". Przytoczywszy słowa Napoleona, że największe siły na świecie są tylko dwie — szabla i duch, stwierdziłem, że miecz wytrącono nam z ręki, pozostaje nam duch jedynie, który musi być silny i podniosły, by wszystkie piętrzące się trudności zwyciężyć i Polskę naszą odbudować, tak by mogła być rozumną, sprawiedliwą i wielką. Nakreśliłem te etapy walki, które już przeszliśmy, i te znacznie groźniejsze, które nas jeszcze czekają i które zwycięsko też przejść musimy, starałem się uwypuklić, że miłość Ojczyzny prawdziwa z dwóch musi się składać czynników — uczucia i rozumu — bez równowagi pomiędzy nimi nie może być pozytywnych rezultatów pracy nawet najgorętszych patryjotów. Wreszcie zbliżając się ku końcowi przemówienia swego, szukałem zakończenia takiego, które jakby klamrą zamknąć by mogło wywody moje, które by było w zgodzie z nastrojem podniosłym chwili i by miało w sobie żywe słowa otuchy niezbędnej dla dalszej skutecznej pracy. I wtedy przyszło mi na myśl porównanie, które jaskrawo stanęło mi przed oczyma i którym zakończyłem przemówienie moje: — Oto w latach mych dziecinnych, gdy byłem młodym bardzo chłopcem, znalazłem się przy łożu umierającej Matki mojej w miasteczku włoskim Rapallo, odznaczało się owo miasteczko tym, że w licznych kościołach swoich miało ono, jak mówiono, pięćset dzwonów, które co rano o wczesnej bardzo

porze wydzwaniały tzw. carillon — dzwony tam były różne, jedne srebrne, drugie z brązu, potem stalowe, miedziane i najrozmaitsze inne — i gdy pierwsze ich dźwięki dochodziły mych uszu, zdawało się, że tworzą one jakby zupełną dysharmonię, po paru jednak chwilach głosy ich, tak różne, łączyły się ze sobą w prześliczną potężną harmonię, która mnie wówczas młodemu i wrażliwemu zdawało się, że była zdolną siłą swą przebić niebios sklepienie. Wstrząśnięty do głębi, wyraziłem życzenie, byśmy my, Polacy, stali się podobni do tych dzwonów, z których każdy pozostając sobą, a różniąc się fizycznie i duchowo, potrafilibyśmy się wznieść tak wysoko, by głosy nasze stworzyły jedną potężną harmonię, wołającą do niebios o zmiłowanie dla Polski. Fale tych głosów, kończyłem, wstrząsnąć muszą sercem królewskiego dzwonu Zygmunta i gdy on wzruszony się odezwie — wybije godzina prawdziwego odrodzenia duchowego, nastąpi koniec męczeństwa Polski — Ojczyzny naszej, dla której wielkości, dobra i sprawiedliwości dla wszystkich życie nasze winniśmy być gotowi poświęcić ochoczo.

Łzy w oczach wielu obecnych i długa chwila milczenia brzemiennego wzruszeniem — dowodziły dobitnie, że zrozumieliśmy się wszyscy i że chwila wspólnie wówczas przeżyta zbliżyła nas bardzo w kierunku stworzenia z nas, pracowników RGO, jednej złączonej węzłami idei rodziny polskiej, poważnie patrzącej w przyszłość pomimo i na przekór piętrzącym się trudnościom, z wiarą w Opatrzność, sumienie świata i siły własne.

Po mnie zabrał głos Wojciech Baranowski, który w podniosłym przemówieniu rozwinął tematy przeze mnie poruszone i który zakończył swe wywody wyjątkowo pięknym porównaniem. „Oto, mówił on, zaczerpnęliśmy w tej chwili wszyscy ze słów usłyszanych wiele ognia dla uczuć naszych, mających dać nam siłę potrzebną do pracy — trzeba ten ogień zanieść do domów naszych i tam go podtrzymywać. Przypomina mi to widziany kiedyś przeze mnie obraz Riepina*, wielkiego malarza rosyjskiego, na którym cudownie odtworzone były sylwetki ludzi wychodzących, zwyczajem rosyjskim, w wielki czwartek z cerkwi i osłaniających dłońmi płomyki świec dnia tego w cerkwi zapalonych. Każdy czuwa nad płomykiem swej świecy, by nie był zgaszony przez wiatry — każdy się boi światło jej utracić. Tak i wy po

tym zjeździe do domów waszych wracać będziecie, to wszystko, co na nim otrzymaliście chronić musicie jak ogień tych świec — nie tylko chronić, ale światła i ciepła z nich otrzymanego innym udzielać winniście, by wszyscy, którzy z nami pracować będą, jednym duchem i jedną wiarą zapłonęli i jednej myśli byli w pracy w jednym wyraźnym dla Ojczyzny dobra celu!"

Po tym przemówieniu mówił jeszcze pan Święcicki, bardzo podniośle przytaczając wieszcze słowa Krasińskiego, zaś na zakończenie tej części zebrania zabrał głos Książę Metropolita, który w kilku słowach za przeżyte wspólnie chwile podziękował i życzył w gorących wyrazach powodzenia pracy naszej.

Cztery godziny prawie trwające zebranie minęło jak jedna chwila, pełna uczuć podniosłych. Zespoliła ona nas wszystkich, tworząc przygotowanie poważne dla narad oficjalnych, które dnia następnego miały się rozpocząć — przy stołach, które zebrani znaleźli przygotowane, w dalszych pokojach lokalu Rady spędzono wieczór cały. Nikomu z obecnych nie powstała myśl nawet o tym, że jest się na zebraniu w instytucji, która jakoby przez Niemców do życia powołaną była — wszyscy bez wyjątku odczuwali zgodne bicie serc polskich w centrum polskiej pracy, dla niej zgromadzonych i jej oddanych.

Cel więc pierwszy zjazdu został osiągniętym.

Dzień drugi i trzeci zjazdu, czyli właściwa jego część oficjalna, wypełnione były szczelnie referatami przyjezdnych, zdających sprawę z działalności na ich placówkach, i referatami dyrekcji dającej odpowiedzi na poruszane w przemówieniach delegatów sprawy. Formułowały one wytyczne Rady w sprawach najważniejszych, leżących przed nami do wykonania i do zainicjowania. Z tych wszystkich referatów trzy wysuwały się na czoło: dyrektora Seyfrieda nie tylko jasno i rozumnie wytykającego zakres i plan działania, ale ujęty w formę poważną i piękną — dr Bobkowskiej na temat opieki nad dzieckiem i młodzieżą, wypowiedziany z wyjątkowym wdziękiem i nadzwyczaj rozumnie ujmujący sprawę — wreszcie dr Stołyhwowej, która mówiąc nawet o wyliczeniach kalorycznych, potrafiła swe wywody taką ożywić myślą i zapałem do pracy naszej, że stał się on dorobkiem wszystkich zebranych i do końca zjazdu wszystkich ożywiał. To,

co usłyszeliśmy od przyjezdnych delegatów, dało nam pełny obraz ich pracy i wysiłków. Wytworzoną została atmosfera zupełnie wyjątkowa, która była dla nas jakby dobrym prognostykiem na przyszłość. Zadowolenie ze wszystkiego, nawet z kuchni skromnej, ale dobrej, która na obiady i kolacje wszystkich gromadziła w stołówce Rady przy ul. Krzywej, było powszechne i zdaje się, że z pewną dumą powiedzieć można, że uzasadnione, bo błędów dopatrzeć się w organizacji było trudno, tak wszyscy pracowali dzielnie, by ich nie było. Nawet władze tym razem uczyniły najlepiej, co uczynić mogły, bo na zjazd się nie stawiły zupełnie. Może do tego przyczyniło się w pewnej mierze to, że zapraszając je przy omawianiu programu zjazdu, podkreśliłem mimochodem, że referaty przyjezdnych będą musiały siłą rzeczy być naszpikowane faktami i żądaniami zapewne bardzo dla władz nieprzyjemnymi — pewnie więc wolały wysłuchiwania ich uniknąć.

Rozstawaliśmy się wszyscy w przekonaniu, że założonym został fundament solidny pod wspólnotą myśli i czynu pomiędzy centralą Rady i jej placówkami i że czas wypełniony na zjeździe po brzegi referatami i naradami nie był stracony, a pożytecznie bardzo zużyty.

W dzień zakończenia zjazdu wieczorem przyszedł do mnie delegat Litwinów, który miał ze mną nadzwyczaj ciekawą i znamienną rozmowę. Oto on w imieniu wszystkich niemal ważniejszych politycznych ugrupowań Litwy oznajmił mi, że ojczyzna jego przeszedłszy tyle smutnych kolei w latach ostatnich i doświadczona boleśnie tak przez bolszewików, jak i ze strony Niemców, doszła do głębokiego przekonania, że tylko połączenie, jak było przez wieki, jej losów z Polską leży w dobrze zrozumianym interesie i w tym duchu składa on na moje ręce to oświadczenie. Gdy podkreśliłem, że nie jestem żadną polityczną osobistością upoważnioną do przyjmowania tego rodzaju deklaracji, oznajmił on kategorycznie, że niemniej oświadczenie to na moje ręce składa, prosząc tylko o przyjęcie go do wiadomości z tym, że kiedyś, gdy zajdzie tego potrzeba, on będzie się czuł w prawie na nie powołać. Nie mogę inaczej powiedzieć, ale to oświadczenie Litwina zrobione w duchu myśli naszych, obojętnie, że oparte na podstawie tak smutnej otrzymanych cięgów, było dla mnie wielką radością, z którą nadzieje na lepszą przyszłość się wiązały.

Czas dzielący nas od następnego zjazdu delegatów Okręgu Radomskiego zużytkowałem na kilka wyjazdów, z których pierwszy był do Częstochowy, której dawno już nie odwiedziłem, a z której dochodziły wieści, że RGO na jej gruncie nader pomyślnie się rozwija. Zawdzięczać to należało przede wszystkim wysiłkom i ofiarności dwóch osób, burmistrza miejscowego pana S. Rybickiego, który jednocześnie był prezesem naszego komitetu pomocy, i ks. biskupa Kubiny pełnego poświęcenia dla sprawy. Budującym był widok tej pracy na miejscu — szereg instytucji powołanych na nowo do życia i sprawnie funkcjonujących przewinęło się przed moimi oczyma. W dodatku przyjęcia zorganizowane u prezesa i ks. biskupa Kubiny dały mi możność poruszenia i pogłębienia wielu tematów nas obchodzących i czekających na rozwiązanie. Pod adresem też ks. biskupa Kubiny wyrażam na tym miejscu szczerą wdzięczność za ten prosty i nacechowany serdecznością stosunek do naszej pracy, w której duchowo i materialnie uczestniczył bez zastrzeżeń, nawet cenne zbiory swoje artystyczne uszczuplając, byleby na pomoc dzieciom i innym swym pupilom starczyło!

W tym czasie nadeszły wieści nader smutne co do nowych wysiedleń, które dotknęły w sposób bolesny bardzo włościan w okolicach Kolbuszowej, gdzie budowano jakieś pola ćwiczeń dla lotnictwa i usuwano jak zwykle brutalnie całe wsie, nie załatwiając albo wcale, albo niesprawiedliwie sprawy wynagrodzenia za poniesione straty. Wyjechałem tam na miejsce po wysłuchaniu próśb szeregu delegacji włościan z tych stron i 3-go października samochodem Księcia Metropolity, który łaskawie mi swego udzielił, zjawiłem się we wsi Górne pod Rzeszowem*, gdzie mnie wielka gromada włościan zainteresowanych oczekiwała. Po naradzie z nimi uległem ich prośbie i pojechałem do dowódcy tamtejszego okręgu wojskowego generała Walza, który, jak twierdzono, miał całą sprawę w ręku i mógł zło grożące całej okolicy swą decyzją zatrzymać. Zastałem generała u niego w osadzie zbudowanej z samych baraków o kilka kilometrów od Górnego. Przyjął on mnie nadzwyczaj uprzejmie, rozpatrzył szczegółowo życzenia włościan i ich, jak sam przyznał, słuszne pretensje — wreszcie oświadczył, że gotów jest sekundować w tej sprawie, ale nie ją inicjować, bowiem inni niż on te rzeczy decydowali, więc trzeba się do nich w Berlinie udać i tak sprawami pokierować, by do niego, generała Walza, się zwrócono, a wtedy wyda on opinię przychylną w kierunku zaniechania w ogóle całej tej imprezy, bo jemu ona była obojętną, a nawet, jak się wyraził, niepotrzebną. Ponieważ wiedziałem, że nic więcej nie osiągnę, zaś liczyłem na pomoc dra Hellera, przedstawiciela Czerwonego Krzyża Niemieckiego, który mnie w tej sprawie obiecał poparcie, więc podziękowałem generałowi za jego dobrą wolę, oznajmiłem zabranym włościanom, co osiągnąłem i na co liczę jeszcze, i wyjechałem w stronę Krakowa z powrotem, zatrzymując się w Tarnowie, by się przesiąść na pociąg idący do Krynicy. Zdecydowałem się bowiem wyjechać na dni kilka wypoczynku, bo w przewidywaniu tego, że mnie czekają dalsze zjazdy i że muszę mieć na nie odpowiedni zapas sił, chciałem tam wziąć kilka przynajmniej odżywczych kąpieli. W ogóle zabranie mnie przez władze samochodu naraziło mnie na ciągłe jazdy pociągami nadzwyczaj wyczerpujące, tym bardziej że nigdy po odbyciu podróży nie miałem czasu wypocząć, a zawsze musiałem brać się albo do roboty zaległej, albo zmuszony do zwiedzania i ciągłego mówienia wyczerpywałem niepomiernie swe nerwy i tak mające dosyć powodów, by były rozigrane. Serce moje tym trybem życia bardzo wyczerpane zaczęło mi się coraz częściej przypominać w sposób natrętny — a mnie ciągle się jeszcze zdawało, że mam dawne niespożyte zdrowie i że wszystko, co spada na mnie, znieść cierpliwie muszę i wytrzymać.

W tym czasie, niestety, eksperyment zrobiony w Krynicy wykazał, że kąpiele tam istniejące są świetne, ale nie dla ludzi takich jak ja, którzy je biorą bez porady doktora — wziętych kilka kąpieli zaszkodziło mi bardzo i w rezultacie serce moje jeszcze bardziej osłabiło i wyczerpało, tak że wracając do Krakowa w dniu 11 października, czułem się zupełnie chory, rozbity nerwowo i przerażony tym, że termin następnego zjazdu się zbliża, a ja nie mam sił, by podołać fizycznie temu zmęczeniu, które przewodniczenie na takim zjeździe powodować musi. Wezwani przeze mnie lekarze, aczkolwiek postawili mnie jakimiś zastrzy-

kami chwilowo na nogi, ale odnieśli się bardzo krytycznie do zrobionego przeze mnie lekkomyślnie eksperymentu w Krynicy i dali pierwsze, ale ostre napomnienie co do traktowania przeze mnie zdrowia mego.

Podtrzymywany fizycznie przez samych doktorów krakowskich, pod adresem których będę musiał jeszcze wiele słów wdzięczności wypowiedzieć za ich ze mną postępowanie — witałem w dniu 14 października panów delegatów z Okręgu Radomskiego, którzy licznie na zjazd się stawili. Przebieg jego prawie identyczny z tym, jaki miał zjazd krakowski, różnił się tylko w dwóch rzeczach — nie było na sali Księcia Metropolity, który uważał, że należy do składu osób uczestniczących w zjeździe krakowskim, jego miejsce zajęli zaś biskupi z terenu Okręgu Radomskiego, a więc biskup Kubina z Częstochowy i biskup Kaczmarek z Kielc, zaś ks. biskup Godlewski legitymował swój udział tym serdecznym stosunkiem, jaki go łączył z Radą, i także wziął w zebraniu udział. Drugim punktem do podkreślenia była zmiana, jeżeli to możliwe, jeszcze na lepsze pod względem organizacyjnym zjazdu — odbywał się on nadzwyczaj sprawnie, przemówienia nasze prawie identyczne z tymi, które wypowiedzieliśmy na zjeździe poprzednim, jednak w formie stały się więcej wycyzelowanymi i doświadczenie w stawianiu spraw i wykorzystaniu czasu większe. Toteż pomimo że naturalnie zjazd każdy dla przewodniczącego męczącym być musi, ale w swym przebiegu oszczędził sił moich w granicach możliwie największych i wspomnienie, zdaje się, że bez wyjątku u wszystkich pozostawił niezatarte i piękne. Przemówienia, które wypowiedzieli ks. ks. biskupi Kubina i Godlewski, dały temu wyraz dobitny i szczery bardzo i były nową zachętą do pracy.

Takiej nabraliśmy wprawy w organizowaniu tych zjazdów, zaś rezultaty dotychczas osiągnięte pozwalały przechodzić do porządku dziennego nad stroną nieprzyjemną powtarzania tego samego za każdym razem, że zjazd Okręgu Lubelskiego, który się odbył z takim samym programem w dniach 21–23 października, odbył się jakby automatycznie. Duchowieństwo tym razem reprezentowali ks. ks. biskupi Rospond i Bieniek oraz ojciec Jacek Woroniecki ze zgromadzenia dominikanów. Charakterystycznym

dla przebiegu zjazdu było dla mnie odezwanie się przed zjazdem do mnie jednego z głównych jego uczestników, prezesa komitetu lubelskiego RGO, pana Dąbrowskiego, człowieka bardzo dzielnego, ale też i bardzo pozytywnego — zapytał on mnie, dlaczego zjazd lubelski urządzony został przeze mnie w Krakowie zamiast w Lublinie, domyślając się, że pyta on mnie w nieświadomości tego, w jakim celu szczególnie zebranie u mnie, poprzedzające zjazd, się odbywa, odpowiedziałem, że mam nadzieję, że zrozumie wkrótce, dlaczego tak postąpiłem. Rzeczywiście pod koniec zebrania u mnie trwającego do późnej nocy podszedł do mnie pan Dąbrowski i ku wielkiemu memu zadowoleniu oświadczył, że zrozumiał, dlaczego jest w Krakowie, i że odniesione wrażenie będzie dla niego wielkim momentem w tym życiu pełnym walki, a pozbawionym chwil podniosłych i pięknych.

Tymczasem zbliżała się fatalna dla mnie data 25 października — rocznica powstania Generał-gubernatorstwa — uroczystości z tym związane w programie swym przewidywały deputacje narodowościowe i życzeniem generalnego gubernatora było, by w roku przyłączenia do GG Galicji tym bardziej one uroczysty przybrały charakter. Już nie tak, jak to miało miejsce na wiosnę z uczestnictwem moim w obchodzie uroczystości urodzin Führera, gdy jedno moje oświadczenie, że uczestnictwo moje musiałbym uważać za demonstrację polityczną, a że polityką nam się zajmować nie wolno — wystarczyło, by mnie z tego udziału zwolniono. Teraz wezwany przez pana Weiraucha musiałem wysłuchać długich namów, bym swą odmową nie zrażał dobrej woli generalnego gubernatora, bym nie szkodził instytucji naszej etc., naradziwszy się w tej sprawie z Księciem Metropolitą, który także był namawiany do udziału, postanowiliśmy stanowczo odmówić — przykrą miał misję pan Weirauch odmowę tę zakomunikować odnośnym władzom. Przy odmowie tej podkreśliłem, że ze strony generalnego gubernatora nie widzimy najmniejszej chęci zainteresowania się sprawami naszymi, więc narzucać się nie myślimy, tym bardziej że obecnie właśnie wobec przyłączenia Galicji i narastającego konfliktu narodowościowego na tym terenie musiałoby ukazanie się nasze na zamku wywołać wrażenie nadające postępkowi naszemu posmak polityczny, a tego stanowczo uniknąć chcemy.

Druga sprawa nie mniej przykra dla nas narastała na terenie pobieranych przez władze kontyngentów rolnych. Wezwany na konferencję do prezydenta wydziału rolnictwa pana Naumanna wysłuchałem z dyr. Seyfriedem, także na tej konferencji obecnym, wypowiedzianego w formie uprzejmej, ale bardzo stanowczej, życzenia pana prezydenta, by Rada Główna wydała odezwę zachęcającą włościan i właścicieli ziemskich–Polaków do wykonywania punktualnie nałożonego na nich obowiązku dostarczania kontyngentów zboża i produktów rolnych. Projekt takiej odezwy miał pan Naumann przed sobą i z pewną dumą nam go odczytał, nie rozumiejąc zupełnie, że ogłoszenie jego wywołać musiało burzę i skutek odwrotny do tego, jaki chciał osiągnąć.

Ponieważ bytność nasza u pana Naumanna miała miejsce w dniu 25 października i zbiegła się w czasie z terminem, kiedy RGO miało mieć ze strony władz przyznane przydziały żywnościowe dla jej placówek w całym kraju, przydziały stanowiące jedyne prawdziwe wielkie osiągnięcie, bo wynoszące olbrzymie ilości produktów rolnych, zrozumieliśmy, że wybrano termin ten rozmowy z nami, by w pewnej mierze jedno od drugiego uzależnić. Toteż wskazaną była gra na zwłokę z pewną domieszką dyplomacji, by udawać, że się przymusu nie widzi, a to, co się wykona, mieć będzie w danym wypadku charakter dobrowolnie powziętej decyzji. Toteż zaraz po wysłuchaniu żądań pana Naumanna odpowiedziałem mu wyczerpująco nie odmową, ale oświadczeniem, że rozumiemy żądanie władz doskonale, ale że one właśnie, władze niemieckie, postawiły nas w pozycji bardzo ciężkiej, gdyż przez lat dwa nie pozwalały nam na żadne odezwanie się nasze do społeczeństwa — gdy więc teraz przyszlibyśmy nagle z odezwą w tak drażliwej sprawie, a szczególniej według podanego wzoru, zrozumie kraj cały, że jest to dokonanym pod przymusem ze strony władz i rezultat będzie osiągnięty odwrotny od zamierzonego, musimy więc sprawę poważnie rozważyć, by krok ten nie był dla władz bezużytecznym, a dla RGO wprost zgubnym.

Zaraz po powrocie z tej konferencji zwołałem naradę specjalną RGO i na niej przedstawiłem całą sprawę, stawiając konkretny wniosek zredagowania odezwy takiej, która dla działalności instytucji RGO mogła być pożyteczną, a w pewnym ustępie

zawierałaby wezwanie społeczeństwa do wypełnienia obowiązków nałożonych przez władze, które przyczynić się muszą do przetrwania zimy, szczególniej niebezpiecznej dla mieszkańców miast. Taką odezwę w przeciągu dni kilku zredagowaliśmy, wiedząc, że jeżeli władze na redakcje jej się nie zgodzą, to nie będą mogły jednak nam stawiać zarzutu, że odezwy wydać nie chcieliśmy, ale że tylko do porozumienia w sprawie jej formy dojść nie mogliśmy. Treść przez nas ułożoną po porozumieniu z Księciem Metropolitą i z aprobatą jednomyślną Rady przedstawiłem panu Naumannowi, który odrzucił ją bez wahania, aczkolwiek była na pewno więcej wskazaną niż jego elaborat — w ten sposób na ten rok przynajmniej sprawa ta, bardzo dla nas ciężka, wpadła w wodę. Podkreślam, że tzw. przydziały w naturze, które z wielkim trudem u władz okupacyjnych udało się nam wywalczyć, były podstawą dla istnienia naszych placówek, a liczone po cenach zwanych maksymalnymi, a będących właśnie kilkakrotnie niższymi od cen rynkowych, przedstawiały olbrzymie sumy wartości, które podnosiły nasze możliwości niesienia pomocy ludności o wielomilionowe sumy.

Przed zbliżającym się zjazdem delegatów Okręgu Warszawskiego, naznaczonym na dzień 5 listopada, wyjechałem na kilka dni z żoną moją w Sandomierskie do Grębowa*, gdzie cała rodzina moja na Wszystkich Świętych się zgromadziła — uznałem wyrzuty mnie zrobione zaniedbywania rodziny za słuszne i chętnie bardzo pojechałem, by chociaż łyk powietrza innego niż codziennych trosk i kłopotów w Radzie Głównej chwycić i myśli moje trochę do ładu przed nową próbą nerwów doprowadzić. Trzy dni tam spędzone wypełnione były szczelnie przez narady o treści ogólnej i politycznej, które zwykle w czasie mych wycieczek do Grębowa stanowiły jakby obowiązkową część programu, w której byłem jakby referentem. Obecność ks. biskupa Lorka z Sandomierza, który w tym czasie Grębów odwiedził, przyczyniła się znakomicie do nadania naradom charakteru poważnego, a tematu nie brakowało! Dnia 2 października wypowiedziana w Berlinie wielka mowa Führera o dokonanym bezwzględnym zwycięstwie Niemiec nad Sowietami — była tematem ogólnego zainteresowania

i czekała na komentarz z mej strony. Był to moment, kiedy wierzono święcie i powszechnie, że wojna niemiecko-sowiecka jest jakby nowym cudem nad Wisłą ratującym Polskę, kiedy wierzono w Anglię bez zastrzeżeń, a to tym bardziej, że pomimo zwycięstw niemieckich Ameryka stanęła po jej stronie. Jednym słowem był to moment, gdy nadzieje Polaków, pomimo przeżywanych udręk i ponoszonych ofiar, były w swym napięciu u szczytu i zamiast myśleć politycznie, uważano za święty obowiązek Polaków nieść przy boku aliantów ofiary, stwierdzające, że uczestniczą bez zastrzeżeń w wojnie przeciwko Niemcom i charta atlantycka* jest ich jedynym wyznaniem wiary. Będąc w fazie przygotowywania się do zjazdu warszawskiego, ostatniego z ich serii, ale najważniejszego, poddawałem jakby rewizji swe dotychczasowe polityczne wierzenia i podawane do wierzenia formuły i szukałem tezy takiej, która na dany moment polityczny mogłaby zadowolić tych, którzy przyjechawszy do Krakowa stawiać mi będą pytania — w co należy wierzyć i jak postępować, by sprawie polskiej najlepiej służyć. Znalazłem formułę taką, która była trzecią po pierwszych dwóch podawanych przeze mnie już na zjazdach — brzmiała ona: „Dążymy do jedności narodowej przez solidaryzm klas oparty na dziesięciu Bożych przykazaniach". Uprzytomniłem sobie, że formuła ta na dłuższy czas nie wystarczy, że będą pod mym adresem siłą rzeczy padały pytania, jak praktycznie wyrażone w tej tezie zadania wypełnić w warunkach istniejących, ale pozwalała ona myśli zwracać już wyraźnie w kierunku, który specjalnie dla RGO wydawał mi się jedynym, mianowicie stawiającym jej cel jasny, by ona jako reprezentująca wielką grupę społeczną stała się jakby wałem ochronnym społeczno-politycznym Narodu Polskiego.

Takimi myślami ożywiony i pielęgnując jakby dalej swą wiarę, że wojna ta pomimo wszystko, co przeżywamy, skończyć się musi dla Polski Jej odrodzeniem — wracałem do Krakowa, by dnia następnego otwierać zjazd delegatów Okręgu Warszawskiego.

W zjeździe warszawskim stolica była nader licznie reprezentowana, i to przeważnie przez ludzi krytycznie do działań Rady ustosunkowanych i aczkolwiek niezupełnie pewnych, czy

mają w tym rację, szukających jednak chętnie w działalności RGO nie tylko grzechów śmiertelnych, ile usterek i błędów.

Zjazd był bardzo chociażby z tego powodu liczny i w swym składzie bardzo niejednolity, gdyż przedstawiciele Warszawy tworzyli grupę zupełnie odmienną i inaczej dla Rady usposobioną niż przedstawiciele wsi z Dystryktu Warszawskiego. Zaznaczyło się to od razu na przyjęciu u mnie w dniu 5 listopada po południu, gdy przedstawiciele prowincji wzruszeni przemówieniami otwierającymi zjazd dawali temu wyraźny wyraz, zaś przedstawiciele komitetu naszego warszawskiego znaleźli w słowach zresztą nieopatrznie przez pana Wojciecha Baranowskiego sformułowanych — powód nie tyle do zarzutu, ile przyczepki ujętej w sposób dziwnie zaczepny i niekulturalny. Powodem bezpośrednim ataku zainicjowanego czy też na życzenie innych wykonanego przez pana Starczewskiego, członka komitetu warszawskiego, było wyrażenie się Baranowskiego o wszelkiej akcji konspiracyjnej jako o rzeczy w zasadzie samej szkodliwej. Przebrzmiałoby ono może i bez echa większego, gdyby pan Baranowski, jak to był powinien uczynić, w odpowiednim miejscu swego przemówienia był się zastrzegł, że naturalnie dla ludzi pracujących z zaparciem się siebie w konspiracji ma szacunek, chociaż wolałby ich widzieć w warunkach pozwalających im wszystkim pracować jawnie. To przeoczenie stało się powodem wymawiania mu tego przez lat szereg, a mnie zmusiło do tłomaczenia się przed skoordynowanym atakiem panów Starczewskiego, Jankowskiego, późniejszego delegata rządu polskiego na kraj, i ministra Klarnera, jak to powiedzenie pana Baranowskiego rozumiem i czy z nim się solidaryzuję? Poprosiłem tych panów razem z panami Machnickim i Wachowiakiem, jako prezesem i wiceprezesem komitetu warszawskiego, do siebie i wtedy, gdy w całym gmachu odbywało się przyjęcie delegatów, ja godziny strawić musiałem na tłomaczeniu, jak ja stosunek każdego Polaka do działań konspiracyjnych rozumiem i jakie jest zapatrywanie na to całej Rady. Wyłożyłem swoje zapatrywanie na tę sprawę, która naturalnie nieraz musiała być tematem naszych rozważań. Oświadczyłem, że stojąc na czele organizacji tak wielkiej jak RGO i niosąc za jej czyny i działalność pełną odpowiedzialność przy wyborze ludzi na stanowiska w niej, nie mogę chociażby

z tego powodu wykluczyć z ich grona tych, którzy są w konspiracji zaangażowani, bo to jest fizycznie niewykonalnym, zatem stoję, po przemyśleniu tego zagadnienia, na tym stanowisku, że nie wymagam żadnego oświadczenia, czy należą lub nie do konspiracji jakiejkolwiek, ale jedynie do kategorycznego zobowiązania się, że na terenie Rady i przy spełnianiu powierzonych sobie funkcji będą się zachowywać w stosunku do Rady poprawnie, czyli tak, by Rady nie narażać. Z gorącą obroną mego sposobu postawienia sprawy wystąpili panowie Machnicki i Wachowiak i właściwie tymczasem do tej rozmowy incydent cały się ograniczył — wiem jednak, ile razy w następstwie kuto z niego broń nie tylko przeciwko panu Baranowskiemu, ale i przeciwko całej Radzie, szczególniej zaś wtedy, gdy działalność tzw. delegatury rządu się rozwinęła na szerszą skalę, a na jej czele stanął pan Jankowski. Pan Starczewski opuścił Kraków bez uprzedniego ze mną pożegnania, widocznie niezadowolony z obrotu sprawy przez niego wszczętej, a nastrój zjazdu całego nie mógł już być dla nas wszystkich, którzy boleśnie bardzo ten incydent cały odczuliśmy, takim, jakiego pragnęliśmy i jaki być powinien, szczególniej dzięki inicjatywie i zachowaniu się przedstawicieli ziemi warszawskiej. Wystarczy przytoczyć fakt, który miał miejsce w czasie, gdy po referacie dyr. Seyfrieda byli wszyscy obecni przedstawiciele prowincji wezwani do niesienia pomocy Warszawie z powodu nędzy grożącej jej w ciągu nadchodzącej zimy. Prezes komitetu grójeckiego pan Hłasko, człowiek poważny i zadaniem swym społecznym bardzo przejęty, postawił wniosek, by wszyscy obecni delegaci w imieniu swych placówek zobowiązali się duży procent posiadanych środków i produktów ofiarować Warszawie. Wniosek ten bez wahania i przez aklamację został przyjęty, a wielu obecnych widzieliśmy do łez wzruszonymi. Pan Hłasko, domyślając się, jakie ja przechodziłem przykre chwile, i widocznie, by mi je powetować, postawił drugi wniosek wyrażenia mnie przez wszystkich pełnego votum zaufania. Wniosek ten jednomyślnie i entuzjastycznie przez wszystkich przyjęty był dla mnie nie tylko objawem ich zaufania, ale też zachętą do dalszej wytężonej pracy. Na zakończenie zjazdu przez ks. Janusza Radziwiłła wypowiedziana mowa, w swej formie piękna, a w treści wyrażająca wdzięczność Warszawy za

nasze wysiłki ku ratowaniu jej nędzy, była jakby wypowiedziana w celu zawieszenia wszelkich spraw spornych i załagodzenia zadrażnień tak w tej chwili niepotrzebnych.

Wielkim moralnym podtrzymaniem dla mnie w czasie zjazdu tego była grupa Arkonów, którzy na zaproszenie moje, jako goście Rady na ten zjazd przyjechali. Ich szczere poparcie i zrozumienie sytuacji oraz zaufanie dodawały mi sił, a spotkanie nasze po zjeździe wieczorem u kolegi naszego Adama Potockiego w jego gościnnym domu, gdzie tradycje arkońskie pomagała pielęgnować, ceniąc ich wartość, jego przezacna małżonka, było dla mnie momentem zupełnego odprężenia, którego bardzo w tej chwili potrzebowałem. Potwierdzili mi oni zgodnie i szczerze, jak to tylko w koleżeńskim gronie być może, że mogę zawsze na nich liczyć, za co w zamian proszą, bym stale z nimi był w kontakcie, czy to w Warszawie w czasie mych przyjazdów, czy też przez zapraszanie ich na zebrania, na których sprawy ogólnej natury miałyby być omawiane.

Zaraz po zjeździe Warszawskiego Okręgu weszła na porządek dzienny sprawa wyjazdu do Lwowa i organizacji RGO na Galicję, na rozpoczęcie której nareszcie otrzymaliśmy pozwolenie władz.

Tyle miesięcy już minęło od czasu zajęcia Lwowa, tyle osób przewinęło się przez Kraków, przyjezdnych ze Lwowa lub tam jadących, a nam, pomimo że zdawałoby się logicznym, byśmy tam z pomocą byli pierwsi, robiono wszelkie trudności z tym wyjazdem, na który nareszcie na skutek nacisku pana Weiraucha pozwolono i naznaczono na dzień 12 listopada. Prócz mnie miał jechać dyr. Seyfried, dr Weichert przedstawiciel Samopomocy Żydowskiej oraz panna Karla Lanckorońska w charakterze mej osobistej sekretarki. Pojechał też z nami w roli prywatnej zupełnie pan Stanisław Badeni, który wiele spraw nam umiejętnie i ze znajomością terenu pomógł załatwić.

W dniu 12 listopada z rana opuściliśmy Kraków pociągiem, by dopiero o godzinie 6 wieczorem, gdy już ciemność panowała, przyjechać do Lwowa. Pierwsze wrażenie było nad wyraz przygnębiające, gdy wyszliśmy na ulice nieoświetlone zupełnie, a na które tłum wychodzący z dworca nas po prostu wypchnął. Mowy nie było o znalezieniu tych, którzy z ramienia osób oczekujących

naszego przyjazdu byli i szukali nas na dworcu. Wiedząc jednak, że na ul. Kopernika 5 jest pomieszczenie prowizorycznego Komitetu Pomocy, pytając na prawo i na lewo, dobrnęliśmy tam nareszcie, powitani przez księdza Rękasa, wielkiego działacza lwowskiego, i panów dra Tesznara i Kapko, organizujących tymczasem najpilniejszą pomoc. Atmosfera tego spotkania była przyjemną przeciwwagą do pierwszego wrażenia ze Lwowa, tak że odżyliśmy wszyscy od razu i na naradzie, jak najskuteczniej wziąć się zaraz do pracy, spędziliśmy pierwszy wieczór w mieście Orląt z czasu pierwszej wojny. Na zakończenie tego wieczoru udaliśmy się jeszcze do dra Adama Grucy, na którego pomoc liczyliśmy wszyscy bardzo. W czasie gdy bolszewicy byli we Lwowie, on, jako chirurg sławny ze swej specjalności chorób kości, zarabiał wiele i wszystko oddawał na cele społeczne, czym sobie na wielkie uznanie u wszystkich zasłużył.

Zaraz dnia następnego byliśmy u władz, następnie zwróciliśmy cały nasz wysiłek w kierunku dobrania odpowiednich ludzi do organizacji, bowiem ze smutkiem widzieliśmy u prawie wszystkich tak wielkie zmęczenie i zdeprymowanie, że pomimo przekonania, że jako rodowici lwowianie znajdą w sobie dosyć hartu i energii, by się z czasem odprężyć, baliśmy się, by nie powołać ludzi jeszcze do pracy wytężonej niezdolnych. W tym celu odbyliśmy dłuższą naradę u prof. Grucy z prof. Artwińskim, panną Dąmbską i Lanckorońską i zatrzymaliśmy się na następujących nazwiskach osób, które do składu komitetu lwowskiego RGO postanowiliśmy zaprosić. Byli nimi ks. Rękas, prof. Gruca, pan Skut, pan Cieński i panna Dąmbska. W dniu 18 listopada ukonstytuowany został komitet, z tym że funkcje pełnomocnika Rady i pierwszego organizatora prowincji przyjął na siebie dr Leopold Tesznar, człowiek gorącego serca, przejęty swym zadaniem i znający teren, ale stawiający mi zresztą zupełnie słuszny w jego pozycji warunek, by mu od nas przydzielony został do pomocy ktoś doświadczony w organizacji i taki, który by mu w pewnej mierze przynajmniej pozwolił organizacyjnie dogonić prędko stan obecny w pozostałych dystryktach GG. Na to trudne bardzo stanowisko upatrzyłem pana Kazimierza Okulicza, który nadawał się bardzo do tej roli, gdyż w Okręgu Warszawskim szeregiem prac

organizacyjnych zakwalifikował się do najbardziej odpowiedzialnych w tej dziedzinie zadań.

Czas poza pracami organizacyjnymi spędziliśmy na spotkaniach z osobami, o zobaczenie których dbaliśmy tak ze względu na ich powagę, jak i te wiadomości, na których otrzymanie liczyliśmy. Byliśmy więc z hołdem u sędziwego arcybiskupa lwowskiego ks. Twardowskiego, który, niestety, z powodu ciężkiej choroby nie mógł nas przyjąć — złożyliśmy więc nasze życzenia powrotu do zdrowia na ręce jego sufragana ks. Baziaka. Odwiedziłem profesora Bujaka, którego zastałem w stanie wielkiego przygnębienia, które siłą rzeczy odbijało się ujemnie na jego zdolności fizycznej do pracy. Dopiero dłuższa z nim rozmowa moja, w której mu nie tylko udowodniłem, że jest nam potrzebny, ale konkretne zadania włożyłem na niego — miałem wrażenie, doprowadziła do pewnego odprężenia i przyjęcia do wykonania zadania, które zresztą szybko i bardzo dla nas pożytecznie w dziedzinie statystyki ludnościowej Galicji Wschodniej wykonał.

Aczkolwiek wiele osób we Lwowie wyraźnie było przeciwnych temu, bym rozmawiał z Metropolitą Szeptyckim*, uważałem powody do takiego stanowiska za niewystarczające i raczej subiektywne i zdecydowałem się na złożenie mu wizyty. Przyjął mnie natychmiast, przerywając inne przyjęcia. Wrażenie, które z tej rozmowy odniosłem, było wielkie, nie tylko dlatego, że przyjął mnie niespodziewanie serdecznie, mówiąc, że samo to, że jestem zięciem hr. Weroniki Plater-Zyberkowej, jednej z najświętszych osób, które kiedykolwiek znał, ale i takich, które miały na niego wpływ ogromny, ale przede wszystkim dla treści rozmowy samej, która była dla mnie prawdziwą niespodzianką. Widziałem w tym wszystkim, co mówił Metropolita, szczerą chęć znalezienia drogi wyjścia z tej sytuacji coraz bardziej napiętej, w jakiej znalazły się dwa narody, które kochał, a które w tej strasznej chwili dziejowej ostrzyły na się broń. Miałem wrażenie, że mówił zupełnie szczerze, gdy z wielkim przejęciem powiedział mi, że on, starzec 81-letni, chciałby nie zejść do grobu bez przeświadczenia, że potrafił się czymkolwiek przyczynić do tego, by między Polakami i Ukraińcami zapanowała zgoda — wiedział, że ma grzechy na sumieniu jako polityczny i społeczny działacz, grzechy szczególniej wobec narodu polskiego. Przyznawał

się do tego wobec mnie w sposób rozczulający prawie, ale i nie pozbawiony godności — chciał gorąco to wszystko naprawić, chociaż wiedział, że jest to rzeczą niepomiernie trudną — wprost radził się, jak wyjść z tego impasu życiowego i politycznego. Gdy wspomnę, że mi to wszystko mówił człowiek o wielkich niegdyś ambicjach, do których realizacji szedł bezwzględnie i żywiołowo energicznie, człowiek, którego spotkały wielkie zawody i który według mnie pomimo wszystko nie przestał być Polakiem — gdy sobie przypomnę tę postać starca o wspaniałej siwej głowie, przypominającej Urbana VII, z oczami czarnymi, pałającymi inteligencją, ubranego w rodzaj płaszcza z adamaszku czarnego z zielonym, siedzącą naprzeciwko mnie na tle ponurym gabinetu, przyznać muszę, że byłem pod wielkim wrażeniem, i to wrażeniem wywołującym jakby chęć udzielenia mu pomocy, a w każdym razie przepojonym zrozumieniem dla jego bólu i jego pozycji tak niepomiernie ciężkiej. W rozmowie prowadzonej szukał jakby ze mną wspólnie drogi do ratowania swego honoru, zagrożonego przez nowe pokolenie Ukraińców, wyłamujących się spod jego wpływów, a wyraźnie wrogo i zaczepnie do Polaków usposobionych. Widząc, że rozumiem jego położenie, ale że nie jestem skory do dawania jakichkolwiek przyrzeczeń, prosił, bym się koniecznie rozmówił z tymi, których uważał za ludzi mogących być oparciem dla akcji dążącej do zgody. Wymienił nazwiska panów Mudryja i dra Sopulaka, których pełnym zaufaniem obdarzał. Wreszcie w obawie, by rozmowa nasza nie pozostała bez pozytywnych rezultatów, zaprosił mnie na wieczór dnia następnego, by, jak się wyraził, mieć godzin kilka na spokojną rozmowę.

Wielkie zdziwienie było wszystkich, którym we Lwowie zaraz rozmowę moją mogłem powtórzyć, powszechną bowiem była podejrzliwość w stosunku do osoby Metropolity, a szczery ton rozmowy, który podkreślałem, uważano za wybraną przez niego drogę do osiągnięcia jakichś celów z interesem naszym prawdopodobnie niezgodnych. Nie mając od nikogo mandatu do jakichkolwiek wiążących nas w przyszłości oświadczeń, postanowiłem zgodnie z mym pierwotnym zamiarem nie wykraczać poza granice rozmowy o charakterze informacyjnym. Rozmowa więc dnia następnego, aczkolwiek bardzo dla mnie interesująca, pokierowaną była przeze mnie w myśl powyższego mego postanowienia,

oprócz znacznego pogłębienia atmosfery zaufania nie dała żadnych decydujących rezultatów poza propozycją sformułowaną przez Metropolitę, a mającą być rozważoną przez osoby zainteresowane — napisania odezwy do społeczeństw polskiego i ruskiego podpisanej przez Metropolitów Sapiehę i Szeptyckiego, a także przez Witosa i mnie. Warszawa, do której zwróciłem się o aprobatę, odmówiła takowej, motywując, że nie nadszedł jeszcze czas po temu, ja zaś wewnętrznie miałem uczucie zmarnowania chwili odpowiedniej do uzyskania ze strony Metropolity kroku, który dla polskiej strony mógł być wysoce pożytecznym. Wiedząc, że we Lwowie jest pan Mudryj, odwiedziłem go i z upoważnienia Metropolity wszystko mu powtórzyłem, co słyszałem i co było tematem naszych rozmów — uzyskałem w zamian obietnicę nie tylko udzielania mi informacji o rozwoju stosunków polsko-ukraińskich, ale też pomocy szczerej i rozumnej, by je na właściwą drogę naprowadzić.

Poza sprawą rozmów z Metropolitą Szeptyckim, sprawa innej natury, bolesna dla nas niewymownie, przejęła mnie do głębi. Była to sprawa profesorów wyższych uczelni lwowskich, którzy zaraz po wejściu Niemców do Lwowa zostali zaaresztowani. Przedstawiły mi ją panie Bartlowa i Longchamps — jako najwybitniejsze przedstawicielki pozostałych rodzin — pierwsza bowiem była żoną naszego wielokrotnego premiera — druga zaś nie tylko, że była żoną wybitnego profesora prawa, ale oprócz tego matką trzech synów razem z ojcem zabranych. Podobno na donos ukraiński zabrano ich w liczbie 22 osób, zaś władze lwowskie odmawiały wszelkiego wyjaśnienia, wobec czego pozostałe rodziny w wielkiej trwodze o los swych najbliższych zwróciły się do mnie o poczynienie kroków u władz wyższych. Będąc pod wielkim wrażeniem tego, com usłyszał, a także tej wyjątkowej prostoty i wielkiego bólu, które temu towarzyszyły, postanowiłem uczynić wszystko, by sprawę całą zaraz wyjaśnić i życia aresztowanych bronić, i odpowiednią obietnicę złożyłem, pomimo że w duszy mej przekonany byłem, że jakaś wielka, a może i nie do naprawienia tragedia miała tu miejsce.

Poza wiadomością o profesorach doszła też do nas wieść także bardzo smutna o licznych aresztowaniach nauczycieli szkół

powszechnych, którzy w liczbie kilkuset, także podobno na podstawie donosu, pozbawieni zostali wolności i których rodziny o ratunek do mnie się zwróciły. W taki to sposób władze wykorzeniały w Polakach dobrowolnie to przekonanie, że Lwów został przez Niemców oswobodzonym — Polacy dochodzili do wniosku, że jeden okupant został zamieniony przez nowego, nie dającego żadnej pewności, że będzie lepszym.

Dla dopełnienia obrazu tego, cośmy we Lwowie przeżyli w czasie tej pierwszej mojej tam bytności, dodać muszę, że poza wielkim zmęczeniem i przygnębieniem ludności spowodowanym okupacją bolszewicką i ostatnimi przeżyciami, z radością widzieliśmy niemal u wszystkich budzącą się jakby nową energię skierowaną ku dalszej walce z trudnościami, jakby nowy odradzający się płomień gorącego uczucia polskiego, tak dla lwowian charakterystyczny. Do pracy brano się z zapałem pomimo trudności wielkich z nią związanych. Jako fakt miły do zanotowania przytoczyć muszę, że nawet włościanie okoliczni polscy chcieli służyć przykładem ofiarności prawdziwej. Gdy po przyjeździe naszym do Lwowa ks. Rękas zapytany przeze mnie, jakie są najpilniejsze potrzeby ludności, oświadczył mi, że trzeba ratować dzieci, bo z głodu już puchną i grozi im niechybna śmierć — zapytałem go z kolei, co i jak trzeba zrobić. Powiedział mi wtedy, że jest pewien, że wsie polskie, położone wiankiem około Lwowa na odległości około 20 km, nie odmówią pomocy, tylko że nie ma środków komunikacji, by do nich się udać. Gdy od komendanta Lwowa hr. Rothkircha, Niemca, katolika znanego mi z dawnych czasów, udało mi się zdobyć kilka samochodów ciężarowych i ks. Rękas w towarzystwie kilku pań z panną Dąmbską na czele wyruszył na ową wyprawę, z niepokojem czekaliśmy na ich powrót i rezultat. Przeszedł on wszelkie nasze nadzieje, gdyż co prawda dopiero późno w nocy nastąpił powrót, ale samochody były do granic możliwości naładowane nie tylko kartoflami, kapustą i chlebem, ale także w głębi były ukryte liczne szynki, gęsi i inne smakołyki w tym czasie bez ceny. Gdy dnia następnego zjawili się do mnie liczni włościanie, którzy to wszystko dostarczyli, by się ze mną obrachować, targowaliśmy się przez prawie dwie godziny, lecz gdy umówioną sumę chciałem im wypłacić, oświadczyli jednomyślnie, że pieniędzy za żywność dla głodnych dzieci honor im nie pozwala przyjąć!

Toteż, gdy po powrocie do Krakowa na posiedzeniu RGO zdawałem sprawę z tego, co we Lwowie przyżyliśmy, postanowiliśmy z zapałem prawdziwym nie tylko to, co zostało przyrzeczonym sumiennie dotrzymać, ale zrobić wszystko, by pomoc nasza pozwoliła zamiary lwowian szybko urzeczywistnić, a Polakom w Galicji wyraźnie odczuć, że cała Polska serdecznie o nich myśli i z bratnią pomocą idzie.

Zaraz po powrocie czekała mnie miła niespodzianka — oto moi najbliżsi współpracownicy z sekretariatu RGO urządzili mi z powodu dnia mych urodzin 20 listopada przyjęcie, które tak miłe pozostawiło mi wspomnienie, że muszę mu parę słów poświęcić. Była to dla mnie rocznica niewesoła, bo cieszyć się nie ma z czego, gdy człowiek na plecy siódmy krzyżyk bierze, ale zapomniałem zupełnie o tym, gdy się w gronie tych znalazłem, z którymi już od dwóch lat prawie dnie całe przy pracy pędząc, tak się zżyłem, że ich za mych najbliższych uważać przywykłem i uczuciem prawdziwej przyjaźni otaczać. Poza atmosferą prawdziwej serdeczności, którą zebraniu temu potrafiono nadać, przemówienia na nim wypowiedziane odznaczały się i głębią myśli, i trafną formą ich ujęcia, zaś to, które wypowiedział pan Wojciech Baranowski nacechowane było w dodatku dużą dozą prawdziwego humoru, tak rzadkiego w tych czasach. Nazwał mnie on w swej mowie „własnym spadkobiercą", czyli w pewnej mierze prawnym fenomenem, a twierdził to na tej podstawie, że zostałem prezesem RGO obecnie na zasadzie tego, że byłem tymże prezesem w czasie pierwszej wojny światowej — ujął to twierdzenie przy tym w tak dowcipną formę, że długo się wszyscy z tego śmieli, a mnie utkwiło ono w pamięci i często je wspominam, myśląc o mym przyjacielu Baranowskim.

Pod koniec listopada musiałem wyjechać do Warszawy dla naradzenia się z drem Chodźką, dawnym mym kolegą z pracy w RGO w czasie pierwszej wojny. Chodziło o współpracę RGO w sprawie zażegnania niebezpieczeństwa tyfusu plamistego — cały organizacyjny aparat nasz stał do dyspozycji, gdyby zaszła tego potrzeba.

Z Warszawy zrobiłem wypad do Łowicza na zjazd powiatowy przedstawicieli delegatur gminnych. Usłyszałem na nim oświadczenie jednego z wójtów, a jednocześnie prezesa jednej z delegatur, który z pewną dumą i po raz pierwszy w mej praktyce oświadczył, że delegatura, której przewodniczy, idąc za mymi wskazówkami, już od trzech miesięcy jest samowystarczalna! Nie były więc bezowocnymi nasze wysiłki w kierunku zrozumienia zasady, którą w pracy naszej w RGO propagowaliśmy usilnie, by dawać inicjatywę i środki potrzebne na jej zapoczątkowanie, ale tam, gdzie kraj jest bogaty i środki z własnych jego zasobów mogą być czerpane, grzechem jest przeznaczać fundusze Centrali. Muszą one być użytkowane tam, gdzie źródeł dochodu nie ma, a nędza nie może być pokonana siłami miejscowymi. Oświadczenie owego wójta, wypowiedziane z pełnym zrozumieniem powyższej zasady, było dla nas piękną nagrodą za czynione wysiłki.

Wobec zbliżającego się końca roku skorzystałem z tej mej bytności w Warszawie, by odbyć konferencje z tymi, z którymi stały kontakt uważałem za konieczny. Więc zaprosiłem między innymi do siebie delegatów żydowskich w osobach panów Gepnera, Jaszuńskiego, Stolzmana i Wieligowskiego, by z nimi w sprawie kształtowania się wzajemnych stosunków polsko-żydowskich pomówić — uważałem to za konieczne wobec objawów świadczących o tym, że stosunki te w szerszych masach zaczynają przybierać formy wysoce niekulturalne. Dochodziły mnie wieści nader smutne z kraju w tej dziedzinie, świadczyły one o tym, że pod wpływem wojny nienawiści pełne objawy są na porządku dziennym. Przypisywano Żydom wiele nieszczęść, które dotknęły Polaków we Lwowie w czasie bolszewickiej okupacji, donosy z ich strony miały w wielkiej mierze przyczynić się do owych mordów, które przed odejściem bolszewików uwieńczyły ich panowanie. Tym postępowaniem Żydów tłomaczyli moi informatorzy to, co ze strony polskiej było do zanotowania pod względem brutalności czy to w Tarnowie, czy też w Treblince. Jasnym było dla mnie, że nadarzająca się sposobność grabieży, nawet gdyby stosunki wzajemne nic nie pozostawiały do życzenia, u chłopa nieokrzesanego a pożądliwego, szczególniej czasu wojny, mogła przedstawiać tentację nie do pokonania, cóż dopiero, gdy można było znaleźć dla niej takie lub

inne usprawiedliwienie. Uważałem nie tylko za wskazane tego, co wiem, nie ukrywać, ale właśnie z powyższymi panami, których uważałem za elitę umiejącą się wznieść do poziomu obiektywizmu, o tym wszystkim się spokojnie rozmówić i wspólnie szukać dróg ku temu, by te smutne objawy albo wyplenić, albo co najmniej do rozmiarów wybryków indywidualnych doprowadzić. Nie zawiodłem się w mym oczekiwaniu i przypuszczeniu, że rozmowa taka wskazaną była, bowiem to, co usłyszałem po mym krótkim i — zdaje się — jasnym przemówieniu malującym podłoże sprawy, dowiodło mi, że miałem rację spotkanie to zainicjować. W odpowiedzi na to, co powiedziałem, pan Gepner w niebywale głęboko odczutych słowach scharakteryzował siebie w ten sposób: „Jestem jak to drzewo — powiedział — które nie wybierało miejsca, na którym wyrosło, wiem jedno, że gdy mnie z tego miejsca wyrwą — umrę. Wiem także, że jestem Żydem, ale że gorąco kocham ziemię polską, na której się urodziłem i dla której pracuję". Na tym tak pięknym i szlachetnym oświadczeniu oparł pan Gepner swój sąd o sytuacji, której okazał się wielkim znawcą. Wiedział on, że objawy tak bolesne, jak te, które przytoczyłem, z obydwu stron będą miały miejsce, pragnieniem jego jedynym jest doprowadzić do tego, by były one wyjątkami pojedynczymi, i swe zadanie społeczne spełnić ku wzajemnemu zadowoleniu stron obu, by drogę do ich zgody torować. Wszystko, co mówili potem inni, było tylko ilustracją dla argumentów pana Gepnera, który, tak jak powiedział na tym zebraniu, trwał niewzruszenie na swym stanowisku powyżej określonym i za wierną służbę swą sprawie polskiej i żydowskiej głową zapłacił.

Poziom tej konferencji, która godzin kilka trwała i wszystkich stron stosunków wzajemnych polsko-żydowskich dotknęła w sposób zupełnie obustronnie szczery, utwierdził mnie w przekonaniu, że na tej drodze stale stosunki te winny być przez nas regulowane i pobierane decyzje wzajemnie nas jako przedstawicieli instytucji społecznych obowiązujące.

Miałem następnie dwie długie konferencje z kolegami mymi z Arkonii, którzy liczniej niż zwykle zebrani, a pod wrażeniem bytności swych delegatów na zjeździe warszawskim RGO pragnęli ze mną wyczerpująco o wszystkim nie tylko pomówić, ale i linię

wspólną na przyszłość wytknąć. Incydent z kolegą Baranowskim, który miał miejsce w Krakowie na powyższym zjeździe, był jakby punktem wyjścia naszych narad, które, mam wrażenie, wiele spraw wyjaśniły, a dla mnie stał się pewnego rodzaju punktem zwrotnym w myśleniu na temat zagadnień politycznych. Uprzytomniłem sobie wtedy dokładnie, że jako prezes RGO nie mam prawa do zaciągania żadnych wobec Niemców zobowiązań politycznych, ale że nie staje to i stanąć nie może na drodze myślenia politycznego, mającego za zadanie jasne uprzytomnienie sobie, jakie są i być powinny obowiązki patryjoty polskiego jako obywatela i społecznika i jaką musi być dawana przez nas odpowiedź tym, którzy — usłyszawszy z ust moich na zjazdach RGO, że idziemy ku jedności narodowej przez solidaryzm klas oparty na dziesięciu Bożych przykazaniach — nie wiedzą, jak praktycznie przystąpić do wykonywania tej podzielanej przez wszystkich w zasadzie tezy.

Wszechstronnie a szczerze poprowadzona dyskusja, taka jaka tylko w gronie kolegów z Arkonii była możliwą, dała w swym wyniku zsolidaryzowanie się nasze koło myśli, którą w ciągu całego roku następnego 1942 miałem na warsztacie. Polegała ona na tym, by wszędzie, gdzie tylko jako prezes RGO głos będę zabierał, nie ograniczać się tylko do spraw związanych ściśle z akcją społeczną, ale poruszać to właśnie zagadnienie obowiązków obywatela Polaka w czasie tej wojny na nim ciążących, by zaopatrzyć go w argumenty potrzebne dla obrony praw Polaka wraz z uświadomieniem, jaką być winna linia jego postępowania, o rację stanu polską rozumnie oparta. Jak to praktycznie następnie wykonywałem, będzie tematem mych dalszych rozważań i opowiadań, teraz tylko dodać muszę, że koniec roku 1941-go to był ów moment w czasie wojny, gdy wszyscy byliśmy w kraju przejęci tym, że w tej wojnie, podobnie jak w poprzedniej, wrogowie nasi najwięksi sczepili się w walce, z której wyjść muszą osłabieni, a więc walka ich automatycznie korzystną być musi dla sprawy naszej — poza tym wierzono dalej niewzruszenie w Anglię i uznawano sojusz z nią, a potem z Ameryką za podstawę politycznego myślenia. Przerost uczucia nad rozumem w rzeczach dotyczących polityki zaznaczać się zaczął w tym, by stale udowadniać naszym sojusznikom, że jesteśmy z nimi bez zastrzeżeń, dążeniem więc naszym

być musiało, by postępowaniem społeczeństwa, o ile w mocy naszej było, tak pokierować, by równowagę pomiędzy uczuciem a rozumem w politycznym myśleniu zachować — zadanie trudne bardzo do wykonania, gdy ze strony władz niemieckich robionym było sumiennie wszystko, co Polaka wyprowadzić mogło z równowagi, a nieraz do rozpaczy doprowadzić musiało.

Ten właśnie temat postępowania władz nie schodził z porządku dziennego narad moich z tymiż władzami po powrocie moim do Krakowa, gdzie zastałem nowy stos skarg szczególniej w Radomskiem na aresztowania na tym terenie. Sprawa ta wraz ze sprawą aresztowania profesorów we Lwowie, a nauczycieli w całej Galicji Wschodniej została przeze mnie poruszoną na naradach oficjalnych z panami Weirauchem i Föhlem, zaś na drodze poufnej z drem Hellerem. Wszyscy przyrzekli działać, by postępowanie władz złagodzić, dr Heller poruszył w sprawie profesorów, dla której nie znajdywał dostatecznych słów oburzenia, nawet wysokie instancje w Berlinie — gdy jednak to wszystko nie dało żadnego literalnie pozytywnego wyniku, uprosiliśmy ambasadora Alfreda Wysockiego, by jako ten, którego z Hitlerem łączyły kiedyś dobre stosunki, zażądał widzenia się z generał-gubernatorem Frankiem, by mu sprawę przedstawić i żądać ukrócenia postępowania władz szkodliwego dla nastrojów i równowagi życia w kraju. W dniu 16 grudnia doszła do skutku audiencja u dra Franka, na której poza uprzejmą wymianą słów i szeregiem nieokreślonych obietnic, nic pozytywnego nie udało się uzyskać.

Gdyśmy wieczorem dnia tego z panem Wysockim starali się rezultaty wizyty tej u szefa rządu GG razem zrekapitulować, doszliśmy zgodnie do dwóch wniosków, że wizyta nie dała i nie da żadnego pozytywnego rezultatu, gdyż Frank, gdyby nawet i chciał, nie może nic uczynić bez zgody Gestapo, a następnie, że każdy krok uczyniony w kierunku porozumienia z szefem GG będzie i w społeczeństwie, i u władz Gestapo komentowany niekorzystnie: w społeczeństwie w sensie dążenia do jakiejś dalej idącej niż praca charytatywna współpracy z Niemcami, zaś u Gestapo jako chęć ominięcia tej wszechwładnej instancji władzy w Niemczech. Obawialiśmy się dalej, by zgoda ze strony

Franka na prowadzenie rozmów i następnie prowadzenie faktycznie takowych nie była ze strony jego wykorzystana dla jakichś celów niemieckich z naszymi interesami sprzecznych, najprawdopodobniej propagandowych. Wszystko więc przemawiało za tym, żeby do szefa rządu niemieckiego w GG w sprawach naszych nie kołatać — decyzję tę nietrudno było powziąć w czasie, gdy ten szef przez dwa lata do jedynej właściwie polskiej organizacji, pracującej za jego jednakże zgodą, ani razu się nie odezwał i nie zanosiło się wcale na to, żeby ten stosunek, jak się okazało, zgodny z życzeniem naszym miał ulec zmianie. Takie nasze stanowisko tym bardziej zdawało się umotywowanym, że pomimo tak wielu przeszkód, które ze strony władz w pracy naszej napotykaliśmy, potrafiliśmy sobie jakoś radzić i drogę własną powoli, ale zawsze skutecznie torować.

Odnosiło się to nawet i do stosunku z Gestapo, i także do spraw finansowych, które były stale naszymi bolączkami największymi.

Otóż co do Gestapo, to dzięki temu, że za pośrednictwem dra Föhla poznałem jednego z wyższych urzędników w centrali tej instytucji, dra Heima, uzyskałem od niego zgodę na stałe interweniowanie w sprawach, które uznawałem za ważne. Nie należały do najprzyjemniejszych te u niego odbywane konferencje, gdzie od humoru jego zależało bardzo wiele, a przede wszystkim kwalifikowanie sprawy, którą chciał się zająć lub a limine odrzucał. Powoli jednak przekonał się on, że prawie zawsze mam rację, jeżeli czegoś bronię, a następnie, że nie chcę, bo nie mogłem i nie chciałem, odegrywać roli jakiegoś arbitra w sprawach karnych lub politycznych — występowałem zawsze jako ten, który widzi nędzę i cierpienie ludzkie z bliska i w imieniu tych właśnie, którzy cierpią, o rozpatrzenie, złagodzenie lub anulowanie sprawy występuję. To stanowisko starannie przeze mnie zawsze przestrzegane nie stawało na przeszkodzie temu, że mówiłem o wszystkim, ale punktem wyjścia właściwym dla przedstawiciela instytucji społecznej, który nie miał ani prawa, a co najważniejsze możności zapoznawać się ze stroną prawną, ani nawet faktyczną sprawy każdej, a kołatał dlatego, że żony, matki lub rodzeństwo osoby uwięzionej swoją prośbą lub cierpieniem go do tego obligowały. Naturalnie, że rezultaty

osiągane z wizyt moich u dra Heima nie mogły być uważane za zadawalające, gdyż tylko sto procent uwolnionych byłoby osiągnięciem tego w pełni, a obliczenia moje dochodziły zaledwie do 30% zwolnień lub co najmniej przyniesienia ulgi, to w sumieniu swym byłem już zadowolonym, gdyż wiedziałem, że gdybym miał zwolnić jednego cierpiącego Polaka od śmierci, to wysiłek ten, który poniosłem na interwencje, byłby już umotywowanym. Robiłem to, co mi sumienie dyktowało, a na wdzięczność niczyją nie liczyłem, bo wiedziałem z doświadczenia, że rzadkie są jej wypadki, a raczej przykrości są udziałem tych, którzy wobec instytucji takiej jak Gestapo obrony oskarżonych się podejmują.

Sprawa gromadzenia funduszów potrzebnych na to, by praca nasza zadaniom swym podołać mogła, wymagała wszechstronnych bardzo z naszej strony zabiegów. Dzieliłem się nią z dyr. Seyfriedem, który okazał się nadzwyczaj pomysłowym i zabiegliwym administratorem i finansistą. Ja pracowałem usilnie w kraju, by ofiarność społeczeństwa podnieść do osiągalnego maksimum — zaś pan Seyfried w kierunku osiągnięcia od władz dotacji i przydziałów żywności po cenach urzędowych. Dotacje uważaliśmy za słuszne żądać dla RGO, bo rząd ściągał podatki na cele społecznej pomocy, a tę pomoc myśmy jedynie wykonywali. Przydziały zaś żywności były podstawą istnienia naszych placówek, które wydawały do pół miliona obiadów dziennie, co byłoby zupełnie niewykonalnym, gdyby zapasy żywności potrzebne kupować trzeba było na rynku wolnym. Kredyty, które RGO uzyskała w bankach, umiejętnie wykorzystywane przez dyr. Seyfrieda, były dla nas wielką pomocą przy realizowaniu inicjatywy w kierunku powstawania warsztatów pracy, które dawały możność istnienia wielu tym, którzy poprzednio z pomocy RGO korzystać musieli. Kredyty te, które wkrótce osiągnęły cyfrę dziesiątków milionów złotych, pozwalały nam też pomagać placówkom naszym w czynieniu zapasów na zimę.

O każdym z tych naszych wysiłków w kierunku zdobywania funduszów chcę powiedzieć słów parę, bowiem da to obraz tego, ile i na jakiej drodze społeczeństwo polskie samo ze siebie dało, by pomóc swym rodakom, i uprzytomni także, że to, co otrzymało ono od władz rządowych, czy też nawet ze źródeł po-

mocy amerykańskiej, było tylko małym ułamkiem tego, co samo ofiarnie złożyło.

A więc przede wszystkim ofiarność w miarę rozrastania się instytucji naszej do coraz większych rozmiarów rosła także, może pozornie nie dostatecznie szybko, ale w rzeczywistości dotrzymywała jednak kroku najważniejszym potrzebom. Opisane przeze mnie odezwanie się owego wójta spod Łowicza o samowystarczalności jego delegatury nie było faktem oderwanym, stawało się zasadą przyjętą ogólnie i stosowaną dzięki Bogu powszechnie. Rozmiary ofiarności ze strony społeczeństwa trudne były bardzo do ujęcia w ścisłe cyfry statystyczne, bowiem wielu, dając, bało się tego, by datków ich nie ujawniano, czy to ze względu na sprawę tak drażliwą kontyngentów, czy też inną, najczęściej nieuzasadnioną dostatecznie, ale zrozumiałą w sytuacji pełnej zawsze obaw i zdenerwowania. Cyfry jednak zestawione aproksymatywnie, ale jednak z całą dokładnością, która cechowała dyrektora RGO dra Celichowskiego, uświadamiały nam rzeczy wprost imponujące. Oto wyliczył on po dokładnym zestawieniu ofiar w naturze, pieniądzach, opale i mieszkaniach, że ofiary złożone w tym wszystkim przez społeczeństwo polskie w roku 1941 wynosiły sumę 162 milionów złotych! Cyfra wprost olbrzymia tym bardziej, jeżeli się weźmie pod uwagę wyeksploatowanie kraju całego przez przemarsze wojsk, konfiskaty i to wszystko, co wojna ze sobą niesie, cyfra, w złożeniu się na którą nie brakło ani włościanina, ani robotnika, ani urzędnika, zarabiającego pod regimem okupacyjnym wprost śmieszne w porównaniu do swych potrzeb sumy, ani też obywatela lub fabrykanta. Taki rezultat zachęcał do tego, by dalej kołatać do tego tak ofiarnego społeczeństwa polskiego, by nie pozwolić mu broń Boże ostygnąć, no i by tych, którzy dotąd nie dali, wziąć pod specjalną opiekę, by zrozumieli swą powinność. Nie szliśmy drogą pogróżek, lecz perswazji. Była to droga uciążliwa nieraz bardzo, ale stwierdzić należy, że dała rezultaty wprost nieoczekiwane, gdyż lista opornych zmniejszała się szybko.

Jednym z najtrudniejszych zadań finansowych RGO do przeprowadzenia było pokrycie wydatków związanych z utrzymaniem personelu urzędniczego w warunkach wytworzonych przez Niemców i przy stawianym przez nich żądaniu, by procent wydatków w ogólnym budżecie służący na pokrycie pensji urzędniczych nie przekraczał pewnej przewidzianej normy. Rozwiązanie tego zagadnienia było strasznie trudnym, gdyż w sytuacji, która się wytworzyła dzięki powstaniu w GG jakby dwóch walut, jednej polskiej, drugiej niemieckiej, normy płac oparte na stawkach niemieckich nie były w ogóle możliwe do zastosowania, nie pokrywały bowiem najskromniejszego nawet budżetu urzędnika. Radziliśmy więc sobie w ten sposób, że przychodziliśmy z pomocą naszym pracownikom na drodze przydziałów żywnościowych, które nie szły już na koszty administracji, a zapisywane były w rubryce pomocy ludności. Poza tym nie pozwalając, o ile to było możliwym wykonać, urzędnikom RGO w godzinach urzędowania zajmować się innymi sprawami, z musu przymykaliśmy oczy na to, gdy poza biurem i w godzinach wolnych od pracy prowadzili oni interesy pozwalające im zdobywać na drodze uczciwej, chociaż nieraz z przepisami urzędowymi sprzecznej, środki pomagające im budżety rodzinne równoważyć. Jedynie na tej drodze, w łączności ze sprawnie funkcjonującą kontrolą, można było zapewnić sprawne funkcjonowanie całej maszyny administracyjnej RGO, a także utrzymanie jej personelu. W miarę rozwoju instytucji musiał on się stawać coraz liczniejszym, by wreszcie dojść do cyfry przeszło ośmiu tysięcy osób* — otrzymywały one pensje, które śmiało nazwać by można głodowymi, które jednak nie przeszkodziły temu, że nikt prawie z tego personelu, raz objąwszy jakieś stanowisko w RGO, nie opuszczał go prawie nigdy i stawał się patryjotą RGO. Kochano swą pracę pomimo tych ciężkich warunków, jakie z nią były związane.

Gdy mówię już o tym, co RGO przedsiębrało, by zadaniom swym podołać i jak największej ilości ludzi pomóc — muszę wspomnieć o przemyśle domowym, który inicjowaliśmy i który w granicach naszych możliwości pod dzielną opieką dwóch z naszego grona panów, prof. Wacława Krzyżanowskiego i Antoniego Starzeńskiego, wicedyrektora RGO, rozwinął się bardzo pomyślnie jako rzecz pożyteczna i trwała. Uważaliśmy, że dążyć musimy wytrwale w tym kierunku, by jak najwięcej tych, którzy potrzebowali na razie pomocy, usamodzielnić przez danie im lub dopomożenie do stworzenia warsztatów pracy pozwalających nie

tylko na to, by coś zarobić, ale i rodzinę utrzymać, zwalniając w ten sposób RGO od udzielania im stale pomocy. Warsztaty stolarskie, tokarskie, ślusarskie, krawieckie, szewckie, wreszcie koszykarskie i zabawkarskie zaczęły z inicjatywy RGO na różnych placówkach naszych nie tylko szybko powstawać, ale także rozwijać się pomyślnie bardzo, usamodzielniając nieraz pod względem funduszów wiele naszych placówek. W Krakowie przy ul. Długiej otworzony sklep RGO był miejscem zbytu wielu produktów warsztatów naszych. W wielu dziedzinach, jak np. sznurkowe pantofle, znalazły one rynek zbytu nie tylko w kraju, ale i za granicą, bowiem przez Niemców chętnie bardzo kupowane były i do Reichu wywożone. Dla celów przemysłu domowego przy RGO zorganizowany Wydział VI mógł się wkrótce pochwalić milionowymi obrotami oraz wytworami o wysokiej wartości artystycznej, jak np. zabawki — zaś wysiłek włożony w to i pieniądze przeznaczone na ten cel dały rezultat wprost olbrzymi i miały jako skutek stworzenie rzeczy trwałej i zatrudnienie tysięcy ludzi.

Podsumowując działalność naszą w roku 1941-ym, stwierdzić muszę, że aczkolwiek trudności wielkie mieliśmy zawsze do pokonywania, szliśmy jednak śmiało naprzód tak pod względem organizacyjnym, jak też i zagarniania pod nasze skrzydła nowych dziedzin z życia społecznego i realizowania wszelkiej inicjatywy, która nam rozumną się wydawała i zastosowanie mieć mogła. Jeżeli zaś nie wszystko dawało te rezultaty, na które liczyliśmy, to mamy na wytłomaczenie tyle rzeczy noszących charakter siły wyższej, że za zwolnionych z odpowiedzialności siebie uważać możemy.

Niemniej ciężko było nieraz z przegraną poniesioną się pogodzić, gdy np. odnosiła się ona do sprawy, tak dla nas bolesnej, profesorów we Lwowie. W tej sprawie pomimo obietnic najbardziej miarodajnych i chętnych ludzi, do jakich zaliczałem dra Hellera, który wszystkie możliwe sprężyny poruszył, nie udało się nie tylko nic pewnego dowiedzieć, ale nawet uzyskać żadnych danych pozwalających na to, by te nieszczęsne ofiary systemu do żywych lub umarłych zaliczyć. Teraz już wiemy, że ponieśli oni śmierć na skutek jakiegoś donosu ze strony ukraińskiej, donosu, na podstawie którego, ku wstydowi samych Niemców, pozbawiono ich życia. Pozytywna przegrana w tej sprawie spotęgowała u nas, jeżeli to jeszcze możliwym by być mogło, rozgoryczenie powszechne pod adresem tych, którzy rządząc nami, chcieli nam wmówić, że są nosicielami kultury, zaś stali się dzięki swemu postępowaniu tylko czyniącymi zamachy na kulturę polską, jej przedstawicieli i jej pomniki.

Na zakończenie wspomnień z tego roku 1941-go chcę opowiedzieć w kilku słowach jedno wesołe przeżycie, które w wigilię sylwestra miało miejsce w Balicach u księstwa Hieronimów Radziwiłłów, do których dla złożenia życzeń noworocznych wybrałem się z panami Badenim i Młynarskim. Gdy przy kolacji poruszono temat aktualny końca wojny — moi towarzysze każdy po kolei wypowiadali swe zdanie — pan Młynarski posunął się nawet tak daleko, że w sposób nadzwyczaj misterny, a przez to i bardziej przekonywujący podał wyliczenie matematyczne ustalające koniec wojny na dzień 16 listopada roku 42-go. Gdy po tych wywodach, opartych niemal na metafizyce, ja miałem wypowiedzieć swe zdanie, nie chciałem pozostać w tyle i oświadczyłem, że aczkolwiek wiem na pewno i z najpewniejszego źródła, kiedy najdokładniej wojna się skończyć musi, ale niestety, związany tajemnicą, tego wyjawić nie mogę. Naturalnie pobudziłem tym ciekawość wszystkich, którzy naciskali mnie bardzo, by tę tajemnicę jednak uchylić. Zrobiłem wtedy eksperyment dość niezwykły, bo pod sekretem największym każdemu z osobna powiedziałem, że mnie się śniło, że koniec wojny nastąpi dnia 18 września. Bałem się chwilę, że będzie mi za złe wzięty mój żart niewinny, tymczasem, o dziwo, w Krakowie lotem błyskawicy termin 18 września został ustalonym jako najpewniejszy termin zbliżającego się końca wojny! Tak w poważnym mieście Krakowie powstawać umiały plotki i tak dotrzymywano powierzonych sobie tajemnic.

Część trzecia
Rok 1942

Rok ten rozpocząłem od wizyty w Warszawie, dokąd jechać musiałem dla uczestniczenia w naradach w sprawie niebezpieczeństwa tyfusu plamistego. Było to w łączności z żądaniem władz, by RGO z całą swą siecią organizacyjną stanęło do pomocy. Profesor Kudaki, Niemiec, specjalista w dziedzinie zwalczania tej epidemii, bardzo przychylnie wysłuchał tego, co mu zakomunikowałem w sprawie warunków, w jakich RGO pomocy ze swej strony w pełni udzielić by mogło. Przewidywaliśmy konieczność wyasygnowania odpowiednich sum oraz prawo tworzenia szpitali pod egidą RGO lub PCK. Prof. Kudaki odnosił się do żądań naszych z pełnym uznaniem ich słuszności i obiecał szybkie ich uwzględnienie, niestety, inne władze GG nie podzieliły jego opinii i sprawa, której poświęciliśmy wiele wysiłków, nigdy nie została urzeczywistniona — na szczęście i tyfus plamisty, grożący rozwinięciem się w formalną epidemię, jakoś zaczął zanikać i sprawa ta zeszła z porządku dziennego spraw nas najbardziej zajmujących.

Za tej mej bytności w Warszawie miałem sposobność omówienia z prof. Kazimierzem Drewnowskim sprawy kursów technicznych dla młodzieży naszej na Politechnice Warszawskiej. Jako rektor tej wyższej uczelni przed wojną, prof. Drewnowski

przedstawiony przez nas w Krakowie do zatwierdzenia władzom uzyskał ich upoważnienie do działania i sprawę całą tak energicznie i fachowo pokierował, że była ona bliską realizacji.

Po powrocie do Krakowa czekały mnie wyjazdy do Bukowiny i Zakopanego oraz Nowego Targu. Do Bukowiny zostałem zaproszony na zjazd spółdzielni „Społem", organizacji wielkiej i zasłużonej, która pragnęła, bym uczestniczył w jej dorocznych naradach celem zapoznania się bliżej z organizacją RGO i zespolenia swych wysiłków z naszymi. Dwudniowe obrady o charakterze wybitnie społecznym były dla mnie nie tylko interesujące pod każdym innym względem, ale dały mnie szerokie pole do rozmów z wybitnymi działaczami w spółdzielczości polskiej i zapoznania ich z naszymi pracami. Rezultatem zaś praktycznym tych obrad było powierzenie przez nas organizacji „Społem" rozprowadzania po kraju całym tych naszych przydziałów żywności dla naszych instytucji, których dostarczenie na innej drodze byłoby dla nas bardzo trudnym.

Z Bukowiny pojechałem do Zakopanego na posiedzenie tamtejszej delegatury RGO, pracującej bardzo dzielnie, a w tym momencie dającej życie nowej inicjatywie — tworzenia domu dziecka w Zakopanem. Na czele tej nowej instytucji RGO stanęła pani Wanda Baranowska, która z całym zapałem i poświęceniem zajęła się jej organizacją tak pod względem gospodarczym, jak i wychowawczym — chodziło tu o rzecz bardzo trudną, bo o odchuchanie w możliwie krótkim czasie przysyłanych do zakładu dzieci z Warszawy lub innych miast. Dzieci te były wycieńczone fizycznie przez nędzę lub choroby przebyte, potrzebowały one opieki, odżywienia i dobrego powietrza. Przyjeżdżały one co dwa miesiące nowe, a po dwóch miesiącach pobytu winny były poprawić się fizycznie, wzmóc na wadze i moralnie się odprostować, jeżeli tak rzec można. Zadanie więc bardzo trudne, gdyż nieraz z dziećmi nader krnąbrnymi miało się do czynienia, a wychowanie też nieraz wiele pozostawiało do życzenia. Gdy się jednak widziało, jak dzieci te odżywały, jak miłością wielką otaczały swą „kierowniczkę" i jakie listy rodzice lub opiekunowie pisali, by za doświadczone dobrodziejstwo opieki i powrotu do zdrowia dziecka dziękować, to stawało się dla nas jasnym, jak wielkiej wagi rzeczą było tworzenie takich domów dziecka, jak je w RGO

nazywaliśmy. Celem rozszerzenia działalności domów dziecka postanowiliśmy zwiedzić pod Nowym Targiem nie funkcjonujący w tym czasie, a pięknie zbudowany za czasów polskich, zakład w Kowańcu, gdzie drużyny harcerskie miały możność latem używać powietrza podgórskiego. Z księdzem drem Karabułą, proboszczem Nowego Targu i prezesem tamtejszego komitetu RGO, zwiedziliśmy opuszczone budynki Kowańca i snuliśmy piękne myśli, jak to tam szybko i sprawnie urządzonym być może dom dziecka na dwa tysiące biednych naszych dzieci z Warszawy. Po zwiedzeniu i obmyśleniu wszystkiego uzyskaliśmy nawet chętną zgodę starosty na oddanie RGO powyższych budynków. Jednakże pomimo mych usilnych starań w tej sprawie nie udało się mnie uzyskać zgody władz wyższych, które jakoby używalność Kowańca dla siebie zarezerwowały na to, by jak się okazało później, nigdy go nie zużytkować! Pobyt w Nowym Targu u ks. Karabuły i zapoznanie się z działalnością tamtejszego komitetu RGO były dla mnie jeszcze jednym dowodem tego, jak wielką jest rzeczą postawienie właściwego człowieka na właściwym miejscu. Pomimo że Nowy Targ jest powiatem wybitnie deficytowym pod względem wyżywienia, to jednak dzięki energii i umiejętności kierowników komitetu naszego, miał on zawsze zapas żywności zrobiony celowo i w porę właściwą, a rozmachem swej pracy i jej zasięgu przewyższał wiele powiatów znacznie zamożniejszych.

Po powrocie do Krakowa, a w związku ze sprawą domów dziecka, spotkała mnie miła niespodzianka. Któregoś dnia zgłosiła się do mnie pani Kobylewska, oznajmiając, że ma ważny osobisty do mnie interes. Przyjąłem ją jak wiele innych osób i słuchałem z zaciekawieniem, gdy mnie zaczęła opowiadać, że w czasie jednego ze zjazdów naszych gościła u niej jedna z naszych delegatek i opowiadała jej wiele o zadaniach RGO i specjalnie o konieczności pomocy dzieciom. Wobec tego pani Kobylewska postanowiła całe swe oszczędności na ten cel przeznaczyć i w tym celu, by je na moje ręce złożyć, zgłosiła się ona do mnie. Sądząc z pozorów i woreczka związanego sznurkiem, z którego wyjęła pakiecik z pieniędzmi, taksowałem jej ofiarę na kilkaset jakich złotych. Jakież było me zdziwienie, gdy z owego pakiecika wyjęła pani Kobylewska zwitek pięćsetzłotówek ogółem wartości dziesięciu

tysięcy złotych i ten iście królewski dar złożyła skromnie w moje ręce. Przeżyty moment zaliczam do jednych z najpiękniejszych, jakie w mej paroletniej pracy w RGO miałem — nie tylko, że złożona ofiara była wielką i z serca szlachetnego płynącą — nie tylko, że zasiliła nasze fundusze dla dzieci przeznaczone, a nigdy na ten cel dostateczne, ale stała się ona bodźcem, który pchnął nas w kierunku pobudzenia należytego ofiarności w społeczeństwie. Tą myślą kierowani stworzyliśmy specjalny wydział ofiarności, który pod niestrudzonym kierownictwem Antoniego Plater-Zyberka pomyślnie się rozwinął i wielu tych, którzy do ofiarności jakoś nie mieli wrodzonych skłonności, do tego obowiązku społecznego zachęcił.

Pod koniec miesiąca udałem się do Warszawy w ważnej sprawie. Zaproszonym zostałem przez prezesa tzw. sieci społecznej w Warszawie — Stanisława Tyszkiewicza, który wiedząc, że w wielu kołach Warszawy prace RGO nie są dostatecznie i właściwie znane, a nieraz bardzo niepochlebnie oceniane, zaproponował mi wzięcie udziału w zebraniu, na którym by się wszyscy swobodnie na temat RGO mogli wypowiedzieć. Przykładałem wielką wagę do tego, by z pierwszego źródła owa sieć społeczna, w której reprezentowane były wszystkie sfery, została poinformowana o pracach i zamierzeniach naszych. Cel, zdaje się, że został osiągniętym, bo zebranych kilkadziesiąt osób wysłuchało nie tylko cierpliwie, ale i z zainteresowaniem wywodów moich, zaś na postawione zarzuty mogłem dać natychmiast replikę, co tym łatwiej mi przyszło, że były wszystkie prawie zupełnie bezpodstawnymi i mogłem je łatwo odeprzeć — zaś obie strony przekonały się, co było najważniejszym, o najlepszych swych intencjach. W ten sposób nawiązany stosunek przyczynił się znacznie do uporządkowania nastrojów stolicy do RGO, na czym zależało mi bardzo.

W dniu 7 lutego przyjechał do Krakowa prezes komitetu RGO we Lwowie pan Skut, by nam przedstawić żałosne stosunki, które tam zapanowały dla Polaków. Na naradach, w których brali udział oprócz członków Rady znawcy stosunków galicyjskich, jak Stanisław Badeni, doszliśmy do wniosku, że należy wystąpić do władz z odpowiednim memoriałem, dopominającym się

o uporządkowanie tych stosunków. Po naradzie u prezydenta Wydziału Spraw Wewnętrznych, którym został znowu dr Siebert po odejściu wrogiego w stosunku do nas pana Westerkampa, prosił on o przedstawienie mu całej sprawy i żądań naszych na piśmie. Uczyniliśmy to tym bardziej chętnie, że oddanie tej sprawy w ręce dra Sieberta, który zawsze dla naszych poczynań był przychylny i zdecydował się na dawne swe stanowisko powrócić, rokowało nadzieje, że sprawa bezstronnie i energicznie rozstrzygniętą zostanie.

Niestety, władze niemieckie otrzymawszy ten memoriał przesłały go do zaopiniowania do Lwowa, nie dając wskazówek zasadniczych najważniejszych, by Polaków traktowano zgodnie z przynależnymi im prawami. Sprawa stała się prawie beznadziejną w miarę tego, jak ze strony Berlina napływały wskazówki zmierzające do kokietowania Ukraińców, co naturalnie tylko kosztem Polaków odbywać się mogło. Stosunki wzajemne obu narodów w Galicji, nie ujęte w mocne ręce, psuły się coraz bardziej, dając pole do popisu ukraińskiej samowoli, a obezwładniając Polaków coraz bardziej. Rezultatem tego były wypadki, które w roku następnym znalazły krwawą, a jakże smutną dla Polaków rozgrywkę.

Jeżeli chodzi o stosunek do władz w ogóle, to w pierwszej połowie roku 1942 należy zaznaczyć wyraźne jego pogorszenie, jeżeli mogło ono w ogóle mieć miejsce przy tym wprost nienawistnym stosunku wzajemnym, który się wytworzył. Szykany jednak drobne wraz z aresztowaniami, ciągle przybierającymi na sile, wytwarzały atmosferę życia niemożliwą, a w pracy naszej streszczającą się w formie ciągłego odparowywania i zażegnywania ataków władz i ich bezustannych szykan. Więc np. w marcu roku tego otrzymuję nagle wiadomość, że starostowie w Starachowicach, Busku i Kielcach, jakby będąc w zmowie, zażądali, by cała korespondencja komitetów naszych tamtejszych prowadzoną była z centralą RGO w języku niemieckim. Gdy pod groźbą zamknięcia tych komitetów zwróciły się one do nas o dyrektywy, zrobiłem natychmiast skandal u władz centralnych i w ten sposób sprawie tej położyłem skutecznie koniec, ale samo bezczelne postawienie takiego żądania maluje stosunek władz do naszej instytucji — a konieczność poświęcenia drogiego czasu i nerwów,

już i tak mocno nadszarpniętych na załatwianie takiego rodzaju spraw, jaskrawo uprzytomnia warunki, w których pracę się prowadziło. Trzeba było jednak zajmować się zażegnywaniem tego rodzaju szykan, pomimo że sprawy stokroć ważniejsze były na porządku dziennym, do których zaliczyć muszę sprawę wyżywienia i wzrastających niepomiernie cen.

W sprawie pierwszej musiałem stale i często, niestety, bezskutecznie kołatać do władz o wydanie instytucji naszej przydziałów żywnościowych, już na jesieni poprzedniego roku solennie przyobiecanych. Niewiele to jednak pomagało i ratować się musieliśmy w perspektywie zbliżającej się wiosny i przednówka w ten sposób, że korzystając z kredytów bankowych, zakupywaliśmy na wolnym rynku jarzyny, a na drodze szmuglu tłuszcze i inne produkty, by na wiosnę nie stanąć z kuchniami, stanowiącymi podstawę naszej akcji charytatywnej. Ceny jednak tak rosły niepomiernie, że największe nawet zdobyte fundusze nie mogły wystarczyć wtedy, gdy właściwie na rynku zapanował zupełny chaos, którego źródła szukać należało w zarządzeniach władz, wprost bezrozumnych, które brutalnie stosowano w tym czasie. Jako przykład dobitny, do czego dochodziło, służyć może fakt, że władze te nie pozwalały robotnikowi płacić dziennie więcej niż 8–11 złotych, gdy na to, by wyżyć, musiał on już w tym czasie otrzymać 50–60 złotych, musiano więc siłą rzeczy uciekać się do środków takich, że płacono ceny wyższe kilkakrotnie od dozwolonych, a do ksiąg handlowych wpisywano tylko urzędowo dozwolone, na resztę wciągając do ksiąg rachunki fingowane, tzw. lewe. Naturalnie w ten sposób w krótkim czasie można było skonstatować, że wszystkie oficjalne buchalterie były fałszywe i wszelka kontrola stała się wprost niemożliwą. Gdy zaś złożyłem władzom w tej materii memoriał jaskrawo malujący wytworzoną sytuację i przedstawiający jej szkodliwe strony nawet dla samych władz, spotkałem się z oświadczeniem nader charakterystycznym dla stosunków niemieckich, że ponieważ w Berlinie potrafiono maszynę rozdzielczą opartą na kartkach żywnościowych doprowadzić do doskonałości, przeto i tutaj musi być to także możliwym, naturalnie przy zastosowaniu pewnych zaostrzonych rygorów, które za szmugiel przewidywały nawet karę śmierci, nie tylko w przepisach istniejącą, ale i stosowaną w praktyce. Nie ro-

zumiano i nie chciano zrozumieć, że gdy podmiejski włościanin pod Warszawą lub Krakowem musiał dostarczanie swego mleka do miasta łączyć z ryzykiem życia swego, to naturalną rzeczą było, że za to ryzyko poniesione musiał on cenę podnosić. Gdy weźmiemy znowu pod uwagę, że wszystkie prawie produkty były kontyngentowane i płacone przez władze po cenach maksymalnych, czyli właściwie niewiele przewyższających koszty produkcji, i po tych cenach otrzymywali je Niemcy, więc z biegiem czasu stało się to powodem wytworzenia w kraju faktycznie dwóch walut, czyli sytuacji walutowej wprost katastrofalnej, bo Niemiec za jednego złotego miał np. pół kilograma masła, gdy Polak na to, by to samo masło nabyć, płacić musiał w tym czasie 50 (potem sto!) razy więcej. Gdy dodamy do tego, że sytuacja wytwarzana w tych częściach kraju naszego, gdzie przebywało wojsko niemieckie, pogarszała się jeszcze bardziej ze względu na to, że wojsko wykupywało wszystko, co na rynku się znajdowało i dla mieszkańców nie pozostawało nic prawie, że wreszcie kontyngenty, zamiast żeby były ściągane w rozmiarach wyznaczonych, na jesieni były zwiększane tam, gdzie całej produkcji nie zagarnęły — to przyznać trzeba, że gospodarka niemiecka na terenie GG musi być uznaną za szczyt tego, co bezmyślność i szematyzm niemiecki mógł gdziekolwiek osiągnąć. Ludzie rozumni, bo i tacy byli w zarządzie niemieckim, chociaż w liczbie bardzo skromnej, gdy im tę sytuację uprzytomnić chcieliśmy, i to nie raz, a stale i wszędzie, pojmowali, że doszło się do zupełnego absurdu, lecz wobec tego, że zmiany zasadnicze w tym zaprowadzonym przez Berlin systemie jedynie przez Berlin mogły być zmienione lub odwołane, nie śmieli lub nie mieli dosyć siły, by zdanie swoje tam przeforsować. Tymczasem bito i mordowano chłopa polskiego za to, że narażając swe życie zajmował się szmuglem i dopełniał w miastach niezbędną ilość wyżywienia, która przez kartki żywnościowe tylko przeciętnie w 15% pokrywaną była przez władze, zaś budżety robotnika i urzędnika rosły do cyfr niemożliwych do pokrycia przez normalne zarobki i musiały go szukać w zarobkach pokątnych, wytrącających ich z wszelkiej równowagi i zmuszających do robienia nie tylko nadużyć formalnych w stosunku do rozporządzeń władz, które nauczono się lekceważyć, ale także i w stosunku do własnego sumienia — bo przecież

buchalter lub inny urzędnik w każdej firmie fałszujący z początku rachunki z konieczności — nieraz ulegał tentacji robienia tego także i dla swojej osobistej korzyści, tym bardziej gdy w głodowaniu rodziny i potrzebach zaspokojenia konieczności odzieżowych lub innych znajdywał dla siebie nawet logiczne wytłomaczenie.

Jak wspomniałem wyżej, aresztowania ani na jedną chwilę nie ustawały, a rodzący się i rozwijający ruch konspiracyjny, o charakterze narodowym i wojskowym, przeważnie dawał im szerokie pole do zastosowania, Polacy bowiem znani ze swojej nieumiejętności trzymania języka za zębami, pomimo że patryjotyzm szczególniej młodzieży był źródłem niebywałych wyczynów bohaterskich i ofiarnej w tym kierunku pracy — lekceważyli nakazane ostrożności i wpadali w sidła zastawiane przez siepaczy niemieckich. Krüger, ów osławiony szef policji niemieckiej podniesiony do godności generała za zasługi na terenie GG, specjalnie się uwziął przeciwko młodzieży narodowej polskiej. To, co u Niemca uważałby on za objaw patryjotyzmu i cnotę, to u Polaków uważał on za zbrodnię i to wtedy, gdy praca agentów sowieckich na terenach polskich z coraz większym nakładem sił i pieniędzy prowadzoną była przez Komintern, a Polacy narodowcy byli jakby urodzonymi wrogami tej pracy zabójczej dla Polski, ale i także dla Niemców. Całe wsie palone były bezlitośnie wraz z kobietami i dziećmi tam, gdzie skonstatowano lub podejrzewano, że spadochroniarze bolszewiccy zostali nakarmieni lub przenocowani — nie wchodzono w to, że czyniono to przeważnie pod groźbą rewolwerów lub kaźni — młodzież brano na tortury, wysyłano do obozów koncentracyjnych lub do Rzeszy na „dobrowolne" roboty. Krügerowi nie było dosyć tego, że złość swą na Polaków wylewał na młodzież i ludność dorosłą świadomą swych czynów, zaczął on się mścić także i na dzieciach polskich. Oto gdy poczynania nasze w kierunku powstawania domów dziecka w różnych częściach kraju doszły do uszu tego działacza niemieckiego, nie zawahał się on ze swej strony temu przeszkodzić, pierwej pod pozorem, że tam, gdzie nasze zamiary sięgały i gdzie chcieliśmy dom dziecka założyć, właśnie władze w tym samym miejscu i budynkach zaprojektowały urządzenie „Heimów" dla dzieci niemieckich, a potem już bez żadnych osłonek formalnych, zakomunikował nam na

piśmie, że zabronione jest tworzenie tego rodzaju zakładów przez nas, a w wielu miejscach, gdzie jak np. w Tarnowie, ochronki dla dzieci powstały w większej liczbie, kazał je natychmiast skasować i w Tarnowie na 38 ochronek pozostawiono ich zaledwie cztery! Rozporządzenie owo Krügera pozostanie na wieczne czasy pamiątką zachowania się działaczy niemieckich na ziemiach polskich, pamiątką, która kiedyś zapewne znajdzie dla siebie godne miejsce w „Domu Kultury Niemieckiej" stworzonym w Warszawie przez Niemców w gmachu skonfiskowanym Towarzystwu Zachęty do Sztuk Pięknych. Gdy o tym rozporządzeniu zakomunikowałem z pewnym odcieniem ironii radcy Weirauchowi właśnie wtedy, gdy on rozpatrywał, zresztą jak zwykle przychylnie, żądanie nasze przyznania specjalnej dotacji dla domów dziecka mających być utworzonymi przez RGO. Muszę stwierdzić, że posypały się z ust jego wyrazy dalekie od uznania tego rozporządzenia za słuszne wraz z boleśnym podkreśleniem tej rzucającej się w oczy każdego w GG prawdy, że zarząd niemiecki na różnych drogach swą władzę wykonuje i że to nie najbardziej pomaga do utrzymania powagi władz w tym kraju.

Na zjeździe referentów powiatowych Dystryktu Krakowskiego, odbytym w dniu 17 kwietnia tego roku, sprawozdania malujące dosadnie wyniki tego rodzaju zarządzenia władz, a także najnowszego rozporządzenia Krügera zabraniającego księżom brania udziału w pracach naszych, znalazły swój dobitny wyraz. Obecny na tym posiedzeniu, które zgromadziło przeszło stu naszych pracowników, przyrzekłem walczyć do upadłego o te nasze prawa, zaś szczególnie nie dopuścić do tego, by dzieciom stać się miała krzywda i by księży z szeregów naszych śmiano wykreślać. Tej obietnicy danej solennie w końcowym mym przemówieniu na zjeździe dotrzymałem — Krüger po kilku zamachach na jego osobę opuścił Kraków, zaś domy dziecka jeszcze na jesieni roku tego zostały u władz wywalczone, a księżom na wyraźny mój protest pozwolono dalej w pracy naszej brać udział.

Wiadomości nadchodzące z Galicji były tak smutne, a w skutkach swych tak groźne, że postanowiłem tam jechać. Tym razem wybrałem się z drem Szebestą, jednym z najdzielniejszych pracowników PCK i jego szefem na Kraków. Zamieszkałem jak zwykle w Ossolineum, korzystając z uprzejmości tej instytucji. Panna Lanckorońska, której powierzonym zostało zorganizowanie pracy naszej w Stanisławowie i która wezwała nas, przedstawiając sytuację tamtejszą wprost tragicznie, przyjechała do Lwowa i zdawała nam sprawę ze stanu rzeczy. Starała się ona przeciwdziałać złemu w sposób energiczny i odważny, który zawsze wszystko, co robiła, cechował, ale przeciwstawić się systemowi zmierzającemu wyraźnie do tego, by wszystko, co z kulturą polską miało coś wspólnego, wytępić, naukę zniszczyć, a społecznej akcji nie pozwolić się rozwinąć — temu nawet najenergiczniejsze jednostki nie były w stanie zaradzić. Przytaczane przez nią fakty masowego aresztowania nauczycieli ludowych, wypędzania ze wsi pozostałych ich żon i dzieci, sprawa nie załatwiona dotychczas profesorów lwowskich — wszystko to składało się na obraz wprost ponury, który wymagał energicznego wystąpienia naszego u władz centralnych, opartego na materiale rzeczowym, niestety, aż zanadto obfitym, nam dostarczonym.

Energię i swój patryjotyczny zapał i odwagę opłaciła panna Lanckorońska niebawem drogo swym aresztowaniem, które pozbawiło RGO jednej z najdzielniejszych jej współpracowniczek, a było jej udziałem aż do końca wojny.

Jak za pierwszym mym pobytem we Lwowie i tym razem byłem przede wszystkim u arcybiskupa Twardowskiego, którego zastałem w lepszym zdrowiu, a potem u metropolity Szeptyckiego. Przyjął mnie on tak samo serdecznie jak za pierwszym razem, ale wyraził na wstępie ubolewanie z powodu tego, że to, cośmy mówili, nie dało oczekiwanych przez niego rezultatów. Pomimo to pragnął nadal dać wyraz swojej chęci przyczynienia się do tego, by narody polski i ukraiński zaniechały waśni wobec grożącego im obydwom tym razem już podwójnego niebezpieczeństwa, bo ze strony niemieckiej i sowieckiej. To ostatnie niebezpieczeństwo — wydawało mi się, że Metropolita przesadza — utkwiło mi jednak bardzo w pamięci, jak on je kwalifikował. „Niemcy mogą nam zadać wiele męki — mówił on z przejęciem — ale nie zabiją nam duszy, tego ze strony sowieckiej najbardziej się obawiam". Sytuację zaś obecnie wytworzoną określał on dosadnie w słowach następujących: „Przecież ci bandyci już leżą, wiedzą to już wszy-

scy — rezultatem tego być musi, że Polska będzie i będzie wielką, i będzie miała dużo do powiedzenia w środkowej Europie, od Polski zależeć będzie, czy powstać będzie mogła Ukraina, która tylko wtedy będzie, gdy Polska tego zechce i zrozumie, że tego pragnąć powinna". Koło treści tych tak bardzo charakterystycznych słów rozwinęła się dalsza nasza rozmowa, niestety, krępowana bardzo, co się mnie dotyczy, tym, że Warszawa ze strony delegatury rządu polskiego w Londynie mnie zabroniła starać się o dojście do jakiegokolwiek decydującego porozumienia w wypadku spotkania z Metropolitą Szeptyckim — jakże lekkomyślnie powzięte postanowienie, jakże kosztownie później ofiarami polskiego stanu posiadania w Galicji i na Wołyniu opłacone!

Na pożegnanie prosił mnie Metropolita, bym się widział z panem Mudrym, mieszkającym wówczas we Lwowie, twierdził bowiem, że jest to człowiek mogący wiele spraw odnoszących się do stosunków polsko-ukraińskich nie tylko wyjaśnić, ale też na lepsze drogi nakierować. Uczyniłem to najchętniej w formie bardzo miłej dla mnie rozmowy w czasie obiadu, na który zostałem zaproszony i wyszedłem z przekonaniem wręcz przeciwnym w stosunku do postanowień warszawskich, że właśnie jest chwila ostatnia na to, by poczynić kroki poważne i stanowcze w sprawie stosunku naszego do Ukraińców, którzy w polityce schodzą na manowce prawdziwe, a wyzyskiwani i podjudzani przez Niemców niebawem nawet do kroków groźnych dla nas przejść mogą.

Na zebraniu u profesora Adama Grucy, które to zebranie, jak mi powiedziano nosić miało charakter „familijny", spotkała mnie bardzo miła niespodzianka. Odczytano bowiem i wręczono mi tekst przepowiedni z roku 1439 mego antenata, a opata cystersów Urbana*, której treść poniżej przytaczam:

Przepowiednia ostatniego hrabiego na Rostocku, zmarłego jako Ojciec Urban w klasztorze Cystersów w Wąchocku w roku 1439-ym. Dokument po łacinie znaleziono w klasztorze cystersów w Jüterbogu pod Berlinem na lat kilka przed wojną.

„Widzę w perzynę obrócone sioła, zburzone świątynie Pańskie i lud mój w ucisku straszliwym, nie pamiętający ani nazwy swej, ani języka. Obca przemoc owładnęła mą ziemią i zagraża coraz mocniej wschodnim siedzibom Słowiańszczyzny. Miecz z krzyżem złączony niesie pożogę i śmierć coraz to nowym ludom. Nad dziedziną słowiańską czarny złowrogi ptak rozpostarł swe skrzydła... Ze wschodu oczy swe na zachód obrócił i rozgromił władztwo Franków. Potęga jego rośnie bez końca. I oto nadchodzi jego kres. Wielka pożoga, którą wznieci książę germański osiadły na zgliszczach słowiańskich siedzib, zburzy podstawy jego tronu.

Ale przyjdzie wódz, który wydźwignie naród niemiecki z chwilowego poniżenia: coraz nowe ziemie zagarniać będzie orzeł czarny pod swe skrzydła. Nad Hradczynem powieje złowróżbny znak. Noc niewoli zawiśnie nad światem słowiańskim. Ale kiedy wódz Germanów hufce swe zbrojne skieruje na ziemie nad Wartą i Wisłą leżące, po długim śnie niewoli pojone słońcem wolności — rozkruszy się potęga germańska. Zjednoczone ich władztwo, przez które płyną Ren, Odra i Dunaj rozdzielone zostanie. Spod popielisk żywym ogniem buchnie iskra nowego życia. Ziemie Odry po Łabę zaczną wracać pod władzę swych prawowitych właścicieli. Lud mój odnajdzie swe imię i koniec będzie władztwu przemocy na ziemiach tych. Z dumnego miasta wrogów, które na zgliszczach siedzib słowiańskich wyrosło, pozostaną gruzy. Gród mój rodzinny Rostock do dawnej świetności powróci. Z zamku, jak drzewiej, powiewać będzie herb «Swobody». Ci, którzy innych w niewolę podawali, sami w niewolę podani będą. Ziemie przez nich zrabowane wrócą do swych prawowitych właścicieli. Ziemie Welfów wrócą pod berło Albionu".

Tekst napisu na grobie w Wąchocku: „A.D. 1439. Sic jacet venerabilis Urbanus, domus hujus Abbas, in vita civili eques Voislavus Rinoceros Svoboda comes Rostociensis vocatus, qui cum maxima vigilentia as valitudino bona Conventus Vanchotzko muniit, templum Dei Omnipotentis decoravit, piscinam Raphalov cum minera erexit. Oret, fratres, pro eo..."*

Odczytanie i wręczenie mi tej przepowiedni, o której kiedyś słyszałem, że istnieje, było dla mnie w ramach tego familijnego z tego względu zebrania chwilą, w której miałem jakby przebłysk dumy, bo przepowiednia zdawała się, że jest jedną z tych niewielu, które próbę czasu przejść zdążyły i po części się już urzeczywistniły, zaś wdzięczny byłem serdecznie za myśl wręczenia mi jej na tak wyjątkowo miłym i kulturalnym zebraniu urządzo-

nym przez profesorostwo Gruca, ludzi bardzo zasłużonych i powszechnie cenionych.

Smutną miałem przed wyjazdem ze Lwowa wizytę u żon profesorów Bartla i Longchamps — musiałem im wyznać niemoc swoją kompletną, jak się okazało, w sprawie ich mężów, o których już, niestety, przekonani byliśmy, że nie żyją, aczkolwiek władze nigdy nie uznały za właściwe wiadomości tej mnie potwierdzić. Odwiedziłem też prof. Bujaka, który dzielnie się trzymał, a pracami swymi na polu demografii nieraz nam dawał cenną pomoc i fachowe wskazówki.

Po wyjeździe ze Lwowa zdałem w Krakowie i Warszawie naszym czynnikom miarodajnym dokładnie sprawę z tego, co widziałem i słyszałem, szczególnie ubolewania godną była, według mnie, polityka stosowana do Ukraińców — nie nadszedł jeszcze widocznie moment, by błędy jej zechciano zrozumieć należycie, zrozumiano je, niestety, dopiero wtedy, gdy było za późno, gdy na zabójstwa odpowiadać już trzeba było bronią i siłą i gdy przepaść wykopana pomiędzy narodem polskim i ukraińskim stała się tak wielką, że doprowadzenie do zgody lub co najmniej do zawieszenia broni okazało się niemożebnym — wtedy nawet zwrócono się do mnie, bym nawiązał na nowo stosunki, lecz wtedy wydało mi się to być jakby gorzką ironią!

Władzom przede wszystkim w osobach panów dra Sieberta, Weiraucha i dra Hellera przedstawiłem sprawę nie przesadnie, ale dobitnie bardzo, pragnąc, by zrozumiały te straszne błędy, które przez Niemców na terenie Galicji Wschodniej były popełniane i do katastrofy krwawej prowadzić muszą — rozumiano, zdaje się, wszystko, co im przedstawiałem, ale upór Berlina i osób nim rządzących był tak wielki, że po prostu ręce opadały, gdy się widziało ich bezwład. Ustalało się tylko u nich to przekonanie, że osoba odpowiedzialna za to, co się w Polsce dzieje, generalny gubernator Frank, musi o wszystkim usłyszeć od nas oficjalnie i od nas bezpośrednio. Wisiała w ten sposób w powietrzu sprawa bytności mojej jako prezesa RGO lub całej Rady u niego, bytności, której dotychczas prawie że naiwnie myślałem, że da się uniknąć w pracy mej w RGO.

W dniu 17 czerwca na posiedzeniu oficjalnym miesięcznym RGO odbywanym w Generalnej Guberni zjawił się nieoczekiwanie dr Föhl bardzo przejęty otrzymanym poleceniem zawiadomienia nas, że generalny gubernator dr Frank naznaczył na dzień 19 czerwca o godz. 11 rano na „Burgu" audiencję dla Rady w pełnym jej składzie. Powody dojścia jej do skutku i tematy, mające być na tej audiencji poruszonymi, nie były nam dokładnie zakomunikowane — wiadomym było tylko, że rząd GG w pełnym składzie ma na niej być obecnym i że mówić ma tylko generalny gubernator i ja, jako prezes RGO.

W oznaczonym więc terminie udała się Rada w składzie osób: mnie, jako prezesa, pana Machnickiego, wiceprezesa tejże, i członków dra Wachowiaka, prof. Woltera, prof. Piotrowicza i prof. Krzyżanowskiego na zamek, gdzie została wprowadzoną przez dra Sieberta, dra Föhla i radcę Weiraucha do sali Poselskiej. Zastaliśmy tam już rząd Generalnej Guberni w pełnym składzie z sekretarzami stanu Bühlerem i Boepple na czele, gdyż nowo mianowany sekretarzem stanu Krüger był zastępowany przez dra Schöngarta. Obecni też byli przedstawiciele prasy z drem Gassnerem na czele, ale już uprzednio ustalonym zostało, że nic prasa nie zamieści bez zgody naszej — fotografii zobowiązano się nie robić.

Ustawieni we dwa rzędy, w jednym Rada Główna Opiekuńcza i urzędnicy do niej przydzieleni, w drugim rząd GG — mnie wyznaczono miejsce pośrodku.

Punktualnie o godz. 12 pierwszy adiutant dra Franka, major Keith, zastukał do drzwi, przez które miał wejść generalny gubernator, drzwi te otworzyły się. Na salę wszedł dr Frank, zdążając do środka sali z ręką wyciągniętą w mym kierunku. Uprzejmie mi ją podawszy i w paru słowach podkreśliwszy zadowolenie, że mnie „nareszcie widzi", poprosił o przedstawienie mu członków Rady, zaś potem z kolei przedstawił mi członków rządu. Po dokonaniu tych protokólarnych formalności zaczął się jakby duet mój z drem Frankiem, który rozpoczął on krótkim przemówieniem wypowiedzianym w tonie wielkiej uprzejmości i z dużą swadą oratorską. Głównym punktem tego przemówienia było oświadczenie, że zebrane przez niego w Niemczech wiadomości o zachowaniu się pracujących tam około 750 tysięcy robotników polskich, zaciąg-

niętych do tej pracy „dobrowolnie", świadczą o ich lojalności i pożyteczności — uważa on więc sobie za miły obowiązek zetknąć się z jedyną pracującą dla dobra ludności polskiej organizacją i złożyć na jej ręce swe podziękowanie oraz prosić równocześnie, by dalszych 150 tysięcy robotników wyjechało do Rzeszy.

Ta część przemówienia dra Franka odsłoniła mi kulisy spotkania naszego — w czasie gdy to mówił, powiedziałem sobie, że na tę część swego przemówienia nie dostanie ode mnie odpowiedzi, jedyne, jak mi się zdawało, było to wyjście z sytuacji, w której odmowa poczytywaną by była ze strony władz za prowokację, zaś wyrażenie zgody byłoby nie do darowania słabością i prowokowaniem opinii polskiej, której nastawienie w sprawie robotniczej było mi znanym. Po tej więc linii poszedłem i sprawę robotniczą w swym przemówieniu zupełnie pominąłem — potem było to komentowanym jako manewr dyplomatyczny z mej strony udatnie rozegrany.

Przemówienie swe pan generalny gubernator zakończył wyrażeniem życzenia poznania potrzeb RGO, którym w miarę możności chciałby zadosyć uczynić, zdając sobie sprawę z trudności zadań, jakie RGO ma przed sobą do wypełnienia.

Z kolei musiałem ja zabrać głos, zaczynając od podziękowania za uprzejme słowa usłyszane oraz oświadczając, że wraz z członkami Rady chętnie na „wezwanie" się stawiliśmy, by sytuację naszą i jej wielkie trudności przedstawić. Zrobiłem jakby krótki zarys działalności RGO od czasu jej powstania w formie jakby sprawozdania z dokonywanych czynności — to sprawozdanie przerywał mi pan generalny gubernator kilkakrotnie, interesując się szczególnie wyrażonymi na końcu dezyderatami RGO.

Wywodziłem, że gdy przed dwoma laty została RGO powołaną do życia, jako jedyna instytucja w Polsce dobrowolnej opieki społecznej dla potrzebującej ludności polskiej, zdawaliśmy sobie wszyscy dokładnie sprawę, że trudne bardzo problemy będziemy mieli do rozwiązania. Ze względu jednak na zaostrzającą się coraz bardziej sytuację żywnościową i zaopatrzeniową kraju wymagane są ze strony instytucji naszej wyczyny wprost niewspółmierne z jej siłami. Pomoc bowiem amerykańska, dotacje władz z podatków na cele społeczne i ofiarność społeczeństwa mogły

pozwolić pod hasłem: „Res sacra miser"* — wyżywić setki tysięcy ludzi, lecz gdy liczba potrzebujących według najstaranniej prowadzonych kartotek naszych przekroczyła już dwa miliony, olbrzymia ilość podopiecznych musi pozostać bez należnej im pomocy. Tymczasem odpadła tak skuteczna pomoc amerykańska, a dotacje władz automatycznie się zmniejszyły ze względu na stan waluty. Stajemy wobec rozpaczliwej sytuacji, w której zamiast zwiększać ilość kuchen, która obecnie doszła do cyfry 366 dla dorosłych i 1461 punktów wyżywienia dla dzieci, będziemy siłą rzeczy musieli je kasować w ramach naszych finansowych możliwości.

Warsztaty pracy, które rozwijają się normalnie doskonale, nie będą w przyszłości mogły być zakładane, bo także temu staje na przeszkodzie brak funduszów i nieprzychylne traktowanie ze strony władz.

Skończywszy ze sprawozdaniem, przeszedłem do innego tematu. Powiedziałem, że dwa lata temu byłem u obecnego sekretarza stanu Krügera i powiedziałem mu, że uważamy za nasze zadanie łagodzić nędzę i dążyć do utrzymania w kraju spokoju. Ten nie zmieniony nasz cel i w dniu dzisiejszym wymagałby dla pełnej i skutecznej działalności naszej instytucji uwzględnienia następujących naszych najważniejszych potrzeb:

a. Przede wszystkim podwyższenia naszych środków finansowych. Na zapytanie generalnego gubernatora, jakie mianowicie kwoty są nam potrzebne, odpowiedziałem, że im większe będą środki RGO, tym lepiej, że jednak najbardziej nam obecnie leży na sercu los dzieci i Lwowa. Gdy spotkałem się z uwagą, że za gotówkę obecnie właściwie nic nabyć nie można, odrzekłem: żeby nie zrażać ludności, lepiej już dać pieniądze, niż zaniechać wszelkiej próby pomocy, zaś że we Lwowie, póki zwrot własności prywatnej obiecany nie zostanie dokonanym, stan jest takim, że nawet właściciele kamienic zwracają się do RGO o zupki o dwustu kaloriach. Otrzymałem odpowiedź, że reprywatyzacja, aczkolwiek jest problemem trudnym, już się jednak dokonywa i będzie przeprowadzoną, zaś mając pieniądze, może jeszcze uda się coś nabyć.

b. Poruszona przeze mnie sprawa podwyższenia przydziałów żywnościowych dla RGO w ramach możliwości spotkała się ze strony generalnego gubernatora z gestem niemocy i oświad-

czeniem, że w całej Europie sytuacja żywnościowa jest bardzo ciężka. Możliwe, oświadczył on, że przez włączenie RGO do systemu podziału da się coś pozytywnego uzyskać — polecił przy tym obecnemu drowi Siebertowi, by się porozumiał w tej sprawie z wydziałem żywnościowym.

c. W sprawie poruszonej następnie przeze mnie zaopatrzenia ludności w tekstylia i obuwie oświadczył generalny gubernator, że problem jest bardzo trudny, gdyż w całej Europie brak jest wyrobów włókienniczych i obuwia skórzanego, „ganz Europa klappert" — wyraził się dosłownie. Replikowałem, że RGO godzi się chętnie i na drewniaki, byle tylko były, i uzyskałem zapewnienie, że RGO będzie wciągnięte na listę podziału tekstylii i obuwia.

d. W sprawie umożliwienia racjonalnego zorganizowania ofiarności społeczeństwa oraz podniesienia autorytetu Rady Głównej Opiekuńczej u władz podwładnych generalnemu gubernatorowi podkreśliłem, że nie wszyscy starostowie odnoszą się do RGO i jej placówek z pełnią zrozumienia ich zadań i celów, zaś bywają wypadki zupełnie wrogiego postępowania i utrudniania po prostu pracy — spotkało się to moje oświadczenie z tym, że dr Siebert, jako szef głównego wydziału spraw wewnętrznych, otrzymał polecenie zapoznania się z moimi w tym względzie danymi i ujednostajnienia akcji wszystkich starostów oraz traktowania RGO „jako pewnego rodzaju władzy autonomicznej" (im Sinne einer autonomen Behörde).

Po wyczerpaniu powyższych tematów bezpośrednio Rady Głównej Opiekuńczej dotyczących weszedłem na sprawę aresztowań w ogóle, a pracowników RGO w szczególności, podkreśliłem, że w większości wypadków nawet nie jest wiadomym nikomu, z jakich powodów nastąpiły te aresztowania. W tym momencie dr Frank obrócił się ode mnie w stronę przeciwległą, gdzie stał zastępca gen. Krügera — dr Schöngart i w słowach stanowczych prosił go o wyjaśnienie niezwłocznie tych spraw, stawiając na to termin tygodniowy, zaś to powiedziawszy obrócił się do mnie znowu i rozkrzyżowawszy bezradnie jakby ręce, odezwał się, „o ile to będzie możliwe".

„Wojna bowiem — ciągnął on dalej — ma swoje prawa twarde nieraz bardzo, problemy tego rodzaju do rozwiązania są bardzo

trudne, w Polsce znacznie mniej ludzi cierpi niż w Niemczech, gdzie cierpią miliony. W każdym razie nie powinien człowiek kłaść czarnej kreski pod rachunek swego życia i tracić nadziei, gdyż jak długo żyje, tak długo też i dąży, i może mieć nadzieję na wyrównanie tego rachunku".

Odpowiedziałem, że ani ja, ani ci, którzy ze mną pracują, ani energii, ani nadziei nie tracimy, ale wiemy jedno, że pracować w atmosferze takiej, w jakiej się obecnie znajdujemy, nie można — ani ta praca nie może dać rezultatów, ani też rządzenie nie jest możliwym. „Atmosferę tę koniecznie zmienić należy — powiedziałem — i leży to w mocy Pana, Panie Generalny Gubernatorze, liczymy, że ze swej strony Pan zechce zrobić wszystko, by to osiągnąć".

W odpowiedzi na to obiecał on wpłynąć na to, by stosunki te uległy zmianie, i oświadczył, że pomiędzy nim a RGO panuje już przecież dobra atmosfera, że poza tym dba on o podniesienie życia kulturalnego, popierając szkolnictwo i Filharmonię — wyraził też przekonanie, że ja, jako prezes Rady, będę jeszcze z przyjemnością wspominać tę godzinę rozmowy z nim spędzoną i zakończył audiencję słowami: „Es wird schon werden" (to jeszcze wszystko będzie), które zapewne miały nam dać nadzieję na spełnienie się naszych w stosunku do niego wyrażonych życzeń.

Niestety, wrażenie nasze dodatnie oświadczeń generalnego gubernatora, pomimo że można było przypuszczać, że uczynione nam zostały szczerze z zamiarem dotrzymania danych nam obietnic, zawiodły na całej linii.

Tymczasem wiadomość o tym, co nam przyrzeczonym zostało, oficjalnie rozeszła się lotem błyskawicy po Krakowie i Warszawie — naturalnie wszyscy oczekiwali realizacji tych przyrzeczeń i brak takowej w pojęciu wielu wyrażał się w zdaniu, że Ronikier dał się nabrać — zdaniu, które było dla mnie nader bolesnym, gdyż wiedziałem, że unikaliśmy spotkania z generalnym gubernatorem właśnie w obawie tego ryzyka, że danych nam obietnic albo nie dotrzyma, albo nie będzie mógł dotrzymać w tej konstelacji władz niemieckich, z którą w Krakowie mieliśmy do czynienia. Bolesne to było bardzo i do pracy całej zniechęcające tak dalece, że nieraz zaprzątała mnie myśl, że trzeba z tego znaleźć wyjście takie, które by udowodniło całemu krajowi bezpod-

stawność podobnych twierdzeń w ogóle, a w stosunku do mej osoby w szczególności.

W tym czasie byłem w Radomiu i Kielcach, potem w Warszawie, gdzie wszędzie osobiście złożyłem sprawozdania z owego spotkania z drem Frankiem — osobiste poruszenie przeze mnie wszystkich drażliwych punktów wytworzonej sytuacji zrobiło swoje i rozwiało gromadzącą się nieufność. Przekonałem się raz jeszcze o jednym, że kontakt osobisty znaczy jednak wiele — tyle rzeczy wyświetla i tyle daje korzyści realnych i moralnych dla mnie, że nie licząc się z siłami mymi fizycznymi, które w tym czasie bardzo były pod wpływem udręk moralnych i wysiłków fizycznych słabe — postanowiłem podwoić me rozjazdy, planowo rozpoczynając w kraju jakby nową pielgrzymkę. Pragnąłem się zetknąć z ludźmi najpoważniejszymi i wyjaśnić z nimi w sposób liczący się już ze zbliżającym się końcem wojny stanowisko nasze jako Polaków-obywateli, które nam zająć przypadnie w momencie, jak ja go nazywałem później w swych przemówieniach, nadchodzącego „krachu".

Jazdy me rozpocząłem od odwiedzenia w Korczynie generała Stanisława Szeptyckiego, z którym łączyła mnie nie tylko dawna przyjaźń, ale i miłe uczucie, że mam w nim kogoś doświadczonego i rozumnego, który na każde me zapytanie zupełnie szczerze odpowie i wiele mych wątpliwości szlachetnie rozjaśni. Tym razem zawiodłem się o tyle, że przyjazd mój do Korczyny wypadł w chwili, gdy generał pod wpływem różnych rozsiewanych pogłosek wolał się usunąć z oczu miejscowego Gestapo i wyjeżdżał do Lwowa do swego brata Metropolity na dłuższy tam pobyt. Zdążyłem tylko zasadniczo się z nim rozmówić i dla planów mych cenną bardzo aprobatę uzyskać.

Po drodze z Korczyny zajechałem odwiedzić Miejsce Piastowe, gdzie ojcowie misjonarze razem z RGO stworzyli bardzo pomyślnie się rozwijającą placówkę wychowawczo-rzemieślniczą — a następnie do Zakopanego, gdzie dom dziecka w willi Ryś przyciągał mą specjalną uwagę wobec zarządzeń Krügera, o których wspominałem i którym zamierzałem przeciwstawić powołanie do życia przez RGO całego szeregu domów takich w różnych punktach naszego kraju.

Po powrocie do Krakowa spotkała mnie bardzo smutna wieść o coraz bardziej bezwzględnie i wprost barbarzyńsko przeprowadzanych wysiedleniach w różnych częściach kraju. Wiadomość ta, niestety, potwierdziła się i wymagała z naszej strony stanowczej reakcji. By ją przygotować i na właściwe tory wprowadzić odbyłem dłuższe narady z drem Hellerem, przedstawicielem Czerwonego Krzyża Niemieckiego. Postanowiliśmy zebrać sprawdzone przez nas fakty i ująć je w formę memoriału, który dr Heller obiecał skutecznie poprzeć w GG i Berlinie.

Na dzień 22 lipca tymczasem wybrałem się do mego starszego kolegi z Arkonii pana Tytusa Wilskiego do Wilkowic, majątku jego położonego koło Rawy Mazowieckiej pod Skierniewicami. Z mym kolegą i przyjacielem Marianem Baehrem, pełnomocnikiem RGO na Okrąg Warszawski upatrzyliśmy ten punkt, jako miejsce wskazane do rozpoczęcia akcji mojej związanej z zaszczepieniem pewnych myśli politycznych, związanych w jeden plan nazwany później naszym credo. Wielu działaczy społecznych z tej okolicy mogło się tam z nami spotkać w atmosferze wielkiej ofiarności obywatelskiej, którą gospodarz domu umiał skutecznie stwarzać. Uprzedzony o mych zamiarach pan Wilski zaprosił liczniejsze grono około czterdziestu osób, które przez dwa dni spędziło ze mną wiele godzin na wyczerpujących naradach. Rozpoczęły się one od mojego referatu na temat prac RGO, w końcowym ustępie tego referatu poruszyłem zagadnienia o charakterze już społeczno-politycznym — treść jego była następująca:

Nieprzyjmowanie przez RGO żadnej politycznej roli do wykonania i złączone z tym ściśle niezaciąganie żadnych politycznych zobowiązań wobec okupanta niemieckiego nie stało i stać nie mogło na przeszkodzie temu, by pracujący w Radzie, a w pierwszym rzędzie ja, jako jej prezes, mogli mieć swoje zdanie wyrobione co do tego, jakie obowiązki na nich jako na Polakach ciążą, i by te obowiązki jak najsumienniej spełniali.

Wychodząc z tego założenia, trzy tezy zasadnicze wysunięte były przez Radę w ciągu całej jej dotychczasowej działalności, a mianowicie:

1. Bronimy substancji Narodu, pozostawiając Opatrzności opiekę nad państwem.

2. Czasu Wielkiej Wojny budowaliśmy Polskę na nadziejach i od kopuły, obecnie dźwigać Ją musimy na najmocniejszym fundamencie, bo na cierpieniu i ofierze opartym.

3. Dążymy do jedności narodowej przez solidaryzm klas oparty na dziesięciu Bożych przykazaniach.

Teza pierwsza postawioną była przeze mnie jeszcze w dniu 23 września 1939 roku na zebraniu, w którym brało udział przeszło 60 osób z najróżnorodniejszych grup politycznych, lecz o bardzo dużym ciężarze gatunkowym każda. Jednomyślnie uchwalono zasadę, którą RGO wiernie przez cały czas swego istnienia przestrzegało, nie zbaczając ani na chwilę od raz wytkniętej linii.

Teza druga postawioną została przeze mnie na zjazdach RGO jesienią 1941 r. — nikt jej słuszności nie zaprzeczał.

Na tychże zjazdach RGO, zapytywany o nasze wyznanie wiary, postawiłem tezę trzecią, którą też przyjęto bez zastrzeżeń. Ta trzecia teza już o charakterze moralno-politycznym starczyć mogła i starczyła na okres czasu najbliższy po zjazdach, które przedstawiwszy ich uczestnikom cały ogrom pracy społecznej do spełnienia, tym samym zepchnęła zadanie polityczne na plan drugi — liczono też, że wojna nie zaraz się skończy.

Jednak od pewnego już czasu, gdy znaki na niebie się zjawiające nie można już było tłomaczyć inaczej jak tym, że zmagania zbliżają się do swego kulminacyjnego punktu — zostałem zasypany pytaniami, jaką jest formuła RGO polityczna, czy i jaka istnieje, wreszcie jak ja sobie najbliższą przyszłość i w niej Polskę wyobrażam?

Podkreślając stale, że to, co w sprawach politycznych wypowiadam, jest li tylko mym zdaniem osobistym, starałem się na pytania powyższe możliwie jasno odpowiedzieć przez sformułowanie dobitne stanowiska RGO i przedstawienie myśli moich osobistych co do tego, jak sobie wyobrażam przyszłą Polskę.

Zacząłem od wyjaśnienia kilku punktów, co do których bym pragnął, by nie było następnie żadnych wątpliwości, jak ja je rozumiem. Były one trzy, a dotyczyły elity i samorządu w Polsce i stosunku do demagogii.

Za czasu ostatniej ery niepodległości elita w Polsce, niestety, powstawała na gruncie fantazji i protekcji — chyba nie może ulegać wątpliwości, że było to straszne dla rozwoju sił wewnętrznych w Narodzie i że w przyszłej Polsce elita opierać się musi na pracy i uczciwości, czyli najważniejszych składnikach prawdziwej zasługi. Nasuwa się siłą rzeczy pytanie, jaka jest droga do tego, by elitę taką wytworzyć, i ile też czasu na to potrzeba? Jedyna droga do tego celu prowadzi przez wprowadzenie samorządu w najszerszym tego słowa znaczeniu. Musi on na wszystkich swych szczeblach stać się jakby sitem, przez które najmniej w przeciągu dwóch kadencji trzyletnich przejść muszą ci, którzy w następstwie pretendować by chcieli do zasiadania w instytucjach prawodawczych lub rządowych. W ten sposób wszyscy — ziemianin, włościanin czy robotnik — będą mieli drogę otwartą do odznaczenia się w działalności społecznej i politycznej i do zdobycia miana zasłużonego obywatela.

Co do demagogii, którą wiele elementów destrukcyjnych już teraz, a tym bardziej w momencie przełomu stosować zamierza, byleby dostać się do „żłobu", to twierdziłem z całą stanowczością, że zbrodnią by było stosowanie jej w przyszłości w Polsce dla wywalczania praw klasowych lub innych. Trzy są dziedziny najbardziej wydatne, w których demagogia jest jakby zwyczajowo stosowaną — są to dziedziny: rolna, robotnicza i wychowania.

Otóż jest rzeczą naturalną, że sprawa rolna przy budowaniu Polski na pierwsze wybić się musi miejsce, chociażby dlatego, że moment przewrotu przynosi ze sobą wiele możliwości dla postawienia tej sprawy należycie. Gdy granice Polski zakreślone zostaną po myśli naszej — będzie ona dysponować przestrzeniami, które albo już wolne będą od przeludnienia, albo od niego uwolnione być mogą. Winna być przyjętą zasada, która w następstwie w całości ziem polskich zastosowaną być winna, zasada tworzenia ordynacji włościańskich, zdolnych do życia i niepodzielnych. Gdy weźmiemy pod uwagę ubytek ludności z powodu wojny, znaczne ujście dla synów włościańskich, które się otworzyło już w handlu, a także niewątpliwie się otworzy w formie pracy przy odbudowie i w przemyśle — należy się spodziewać, że na roli zostanie ludność odpowiadająca ilościowo liczbie jednostek rolnych zdrowych, które na

ziemiach polskich stworzyć będzie można. Powstałe przy tym potrzeby finansowe, które np. w Niemczech w formie spłaty długów stanowiły przeszkodę prawie nie do pokonania, teraz czasu wojny oraz przewartościowania wszelkich wartości — dadzą się niewątpliwie pokonać. Budowę gospodarstw włościańskich nowych lub przebudowę istniejących dokonywać się będzie musiało na podstawie specjalnego planu finansowego opartego o długoterminowy kredyt. Czyż potrzeba w tym wszystkim uciekać się do demagogii? Czyż wysiłek wspólny wszystkich, na uczciwej pracy oparty, nie będzie lepszy dla osiągnięcia tak pożądanego dla wszystkich celu? Czyż potrzeba obalać prawo własności, ten fundament spokojnej i uczciwej pracy i podstawę zaufania w szerokim świecie, a także niszczyć placówki kultury w Polsce? Czyż nie lepiej wspólnie i zgodnie tworzyć wiekopomne dzieło ustroju rolnego w Polsce, zapewniającego jej oparcie o bogaty i zdrowy, a podniesiony do godności obywatelskiej — stan włościański?

Przechodząc do drugiego pytania, czy demagogia jest potrzebną dla osiągnięcia jakichkolwiek zdobyczy dla klasy robotniczej w Polsce, doszedłem do przekonania, że i tutaj nie należy się wahać, by stanowczo odpowiedzieć negatywnie: Oto po wojnie odbudowa kraju potrzebować będzie tak wielkich milionowych rzesz robotniczych, że każdy uczciwy, fachowy i inteligentny robotnik polski będzie mógł za swą pracę żądać bardzo dużo i poziom życiowy klasy robotniczej podnieść się musi bardzo znacznie. Zachodzi nawet, spokojnie rozumując, obawa, że podwyżka zbyt znaczna i nagła, zaś nie skoordynowana dostatecznie z wynagrodzeniem osiąganym w innych krajach, stanąć może na przeszkodzie zdolności konkurencyjnej Polski z zagranicą. I tutaj znowu nie podpisywanie wielu konwencji, a tylko uczciwa praca musi być wziętą za podstawę porządkowania stosunków, które nie na walce klasowej, a na wspólnym wysiłku wszystkich klas winny być oparte i dać w rezultacie to, by klasa robotnicza należne jej miejsce w hierarchii społecznej zająć mogła.

Wreszcie wychowanie przedstawia dziedzinę, do której demagogia nie może mieć dostępu, jeżeli chcemy widzieć Polskę zdrową i silną moralnie, a zdolną do podejmowania inicjatywy zasługującej w świecie na szacunek. Wychowanie musi być oparte o niewzruszone zasady wynikające z wiary i zrozumienia obowiązków obywatelskich Polaka. Co do tego nie może być żadnej wątpliwości i wahania, tylko zgodne przeciwstawienie się tym, którzy by zamach na te zasady gotowali. Musi być wreszcie na właściwym miejscu postawione wychowanie duszy i charakteru Polaków, bez tego nie może być mowy o tym, by Polska należne jej miejsce w rodzinie narodów kulturalnych zająć mogła i posiadła ideę, która wszystkich by koło siebie zespoliła!

Myśli me co do tego, jak powinno po wojnie wyglądać państwo polskie i jaką misję mieć będzie ono do spełnienia, formułowałem, jak następuje:

Nie ulega już żadnej wątpliwości, że o ile po Wielkiej Wojnie małe narody i średnie otrzymały prawo głosu, to obecnie głos ten im odebrano, a po wojnie komasacja małych państw, a raczej ich federowanie w bloki, stanie się koniecznością dziejową. Polska nacjonalistyczna, chociażby tylko ze względów geopolitycznych, nie mogłaby się utrzymać — jej zaś wszechstronne porozumienie z narodami środkowej Europy stanie się nakazem chwili i misją dziejową.

Z Węgrami, Czechami, Słowakami i państwami bałtyckimi jako narodami, z którymi Polska nie ma sprzecznych interesów, jest jedynie wskazane zawarcie unii realnej. Polska wtedy stworzyłaby z nimi blok o przestrzeni przeszło 700 tysięcy km kwadratowych i z około 65 milionami ludności, blok zdolny przodować środkowej Europie. Blok ten, w nim zaś przede wszystkim Polska, miałby misję zainicjowania i stworzenia federacji ze wszystkich państw środkowoeuropejskich, poczynając od Norwegii, Szwecji i Finlandii na północy, kończąc na Grecji i Turcji na południu. Federacja ta, obejmująca dwa i pół miliona km kw. ze 170 milionami ludności, oparta by była na wspólnej polityce zagranicznej, gospodarczej i obronnej i stanowiłaby potęgę, z którą Rosja i Niemcy musieliby się liczyć, nawet wtedy, gdyby były silne, a cóż dopiero osłabione przez wojnę.

Żeby tak wielkiego dzieła dokonać i misję swą w środkowej Europie urzeczywistnić, musiałaby Polska sama służyć innym jako wzór państwa silnego i praworządnego, musiałaby być rządzoną rozumnie, sprawiedliwie i autorytatywnie, czyli przez

ludzi mających poczucie i zrozumienie tej olbrzymiej odpowiedzialności, która by na nich ciążyła.

Opierając się na najlepszych wzorach czerpanych z historii Polski, narzucać się musi dla nas na dobę powojenną forma rządów kanclerskich. Kanclerz w Polsce to urząd, który miał swą wielką tradycję i z chlubą dla Polski, z rozgłosem przekraczającym daleko jej granice piastowany był przez mężów stanu tej miary, co Jan Zamojski, którzy rządzili rozumnie i sprawiedliwie.

Zamoyski rozumiał, że zadaniem jego jako kanclerza jest bronić granic Polski i że dla ułatwienia tej obrony niezbędny jest ład wewnętrzny oparty na praworządności — w tym celu łączył w swej osobie jakby symbolicznie obowiązki ministra spraw zagranicznych, broniącego granic Rzeczypospolitej, z pieczęcią sprawiedliwości, jako gwarancją panującej w niej praworządności.

Wznowiony więc urząd kanclerza winien oprócz kierownictwa rządu łączyć także dziedziny spraw zagranicznych i sprawiedliwości, jak to było za czasów dawnych. Stojąc na straży wielkości Polski i panowania w Niej praw rozumnych, kanclerz mieć winien przy swoim boku dwóch podkanclerzych, jednego do spraw społecznych, drugiego zaś do spraw gospodarczych.

Podkanclerzy do spraw społecznych miałby sobie powierzoną rzecz ogromnej wagi, bo wychowanie duszy narodu i jego charakteru — dla tego celu stałby on na czele Rady Społecznej, w skład której wchodziliby wybrani przez Głowę Państwa najlepsi ludzie w narodzie, poza nią kierowałby on dwoma podsekretariatami stanu do spraw oświaty i opieki społecznej. Do czasu utworzenia izb prawodawczych Rada Społeczna pełniłaby zastępczo funkcje z nimi związane, do niej też kierowaną by była wszelka w kraju inicjatywa, która pielęgnowaną i skutecznie wprowadzaną w życie być winna. Podkanclerzy do spraw gospodarczych byłby kimś w rodzaju dyktatora gospodarczego, kojarzącego poczynania w tej dziedzinie, miałby on pod sobą aż pięciu podsekretarzy stanu: do spraw finansów, budżetu, rolnictwa, przemysłu i handlu i komunikacji, i czuwałby nad tym, by jednolitość i sprężystość w działaniu była zapewnioną.

Poza tymi trzema byliby jeszcze dwaj ministrzy: minister wojny i minister porządku społecznego, ten ostatni miałby pod sobą zadania przede wszystkim policyjne do wykonania.

Tak więc w kanclerskim rządzie przewidywaliśmy pięciu ministrów odpowiedzialnych przed kanclerzem — tych pięciu ludzi, którzy zadania swe by zrozumieli i wykonaniu ich całych siebie by oddali, musi się w Polsce znaleźć niewątpliwie, ożywiać ich musi przede wszystkim rozumny zapał w kierunku urzeczywistnienia idei Polski, bez której nie jest Ona do pomyślenia, a brak której postawił ją na krawędzi przepaści. Przytoczyłem przykład Poincarégo, który w momencie największych swych powodzeń, zapytany o tworzony przez siebie gabinet i jego nieliczny bardzo skład, odpowiedział: „Mój wielki gabinet składa się z małej liczby ministrów".

Wszystko powyższe było tematem narad odbytych w roku 1938 w Morges u Paderewskiego* — oprócz mnie brali w nich udział generał Sikorski i premier Witos — narady te prowadzone pod znakiem zbliżającej się wojny i przesiąknięte co do jej rezultatów dla Polski wielkim pesymizmem, dążyły przede wszystkim do skrystalizowania idei Polski i programu działań potrzebnych dla jej urzeczywistnienia. Program przedstawiony w grudniu 1942 r. prezydentowi Rooseveltowi przez generała Sikorskiego nie był innym jak ten, który powyżej został nakreślonym — zyskał on pełną aprobatę prezydenta USA, który wykonanie jego na terenie środkowej Europy powierzył naszemu generałowi.

To, co powyżej ująłem w pewne punkty, nie jest niczym innym jak platformą, na której winni się spotkać wszyscy szczerze swą Ojczyznę miłujący Polacy, niezależnie od ich przynależności partyjnej.

W tym wielkim momencie dziejowym, który przeżywamy, momencie, w którym się decyduje dla Polski, czy ma istnieć, musimy wszyscy podać sobie ręce do zgodnej pracy i pracę tę prowadzić w imię tego wszystkiego, co nas łączy, zapominając, daj Boże, na czas najbliższy przynajmniej o tym, co nas dzieli. W warunkach, w których się znajdujemy, może zwyciężyć tylko ten, kto potrafi być silny duchem, a to tym bardziej, że mamy do czynienia z wrogiem, który coraz mniej ma w sobie ducha i liczy tylko na swą zorganizowaną siłę, co musi być znakiem bliskiego

upadku. Przytoczyłem w tym miejscu charakterystyczne bardzo słowa wielkiego niemieckiego myśliciela dra Fryderyka Naumanna, autora książki pod tytułem *Mittel-Europa*, który wypowiedział je do mnie na obiedzie pożegnalnym, który dałem w Berlinie dla gabinetu księcia Maksa Badeńskiego. Z osób nie wchodzących do składu tego gabinetu byli tylko posłowie do parlamentu dr Naumann i Erzberger. W mowie przepięknej wygłoszonej na tym obiedzie pod mym adresem Naumann na końcu swego przemówienia chciał dać odpowiedź na postawione mu w swoim czasie przeze mnie pytanie, dlaczego Niemcy Bismarcka nie mogą się porozumieć z Polakami, gdy Niemcy z czasów Goethego i Schillera razem z nimi na ulicach Berlina śpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła". W odpowiedzi na to pytanie powiedział wówczas dr Naumann dosłownie: „Bismarck był wielką indywidualnością — stać go było na to, by narodowi niemieckiemu i sobie zafundować pancerz, niestety, pozostał pancerz, a zabrakło duszy". Twierdziłem chyba nie bez słuszności wówczas w Wilkowicach, że Niemcom na to, by zwyciężyli, brakuje duszy — widzi się to we wszystkim, co czynią. Bowiem wszystko to cechuje dziwna jakaś krótkowzroczność i, jakem to podkreślał, dyskontowanie wszędzie i na każdym kroku zwycięstwa jeszcze w tej wojnie ostatecznie nie osiągniętego.

Zakończyłem wówczas me przemówienie apelem, byśmy my, Polacy, nie pozwolili, by dwa powiedzenia dwóch wielkich ludzi, co do Polski, miały w tym momencie się sprawdzić — jedno dotyczące Talleyranda, drugie Fryderyka Wielkiego. Ten ostatni powiedział do margrabiego Lucchesini, swego posła wysyłanego do Polski, gdy ten go zapytał, jak postępować z Polakami, że jest to bardzo przez samych Polaków ułatwionym, bo „Polacy zawsze czynią pierwej krok drugi, a potem pierwszy". Smutniejsze jest jeszcze powiedzenie Talleyranda w odpowiedzi na zwrócenie się do niego ks. Adama Czartoryskiego na kongresie wiedeńskim w roku 1815-ym z prośbą o pomoc dla przeprowadzenia myśli zjednoczenia Polaków pod berłem Aleksandra I-go. Odpowiedział on tymi słowy: „Odmówić muszę, mój Książę, bowiem Polacy noszą zarodek samobójstwa w sobie!".

Gdym te słowa mówił wówczas w Wilkowicach, przekonany byłem święcie o tym, że nieszczęście, które na nas, Polaków,

spadło, wystarczyć chyba winno znakomicie, by nas od wad naszych narodowych w wielkiej mierze uleczyć — wierzyłem w to niezłomnie, wierzyłem też w siłę patryjotyzmu polskiego, który wykrzesać musi ze siebie z jednej strony ofiarność, z drugiej zaś potrzebne bohaterstwo i siłę wytrwania, by nieszczęście przetrwawszy, podnieść się odrodzeni duchem i zdyscyplinowani moralnie.

Wiarę tę moją widocznie jakoś umiałem innym zaszczepić, bo z nią w sercu dyskutowaliśmy wówczas do późnej nocy nad tym wszystkim, co czynić należy, by kraj i substancję narodu naszego ratować, zgadzając się wszyscy jednomyślnie z założeniami moimi. Z Rady Głównej pragnęliśmy stworzyć jakby wał ochronny chrześcijańsko-społeczny przeciwko tym wszystkim, którzy by czy to na drodze demagogii, czy też innej, sprawie polskiej racji stanu nie chcieli służyć i jej siły swe całe oddać.

Wyjechałem podniesiony na duchu i przekonany, że weszło się na jedyną drogę właściwą postępowania w obronie dobrej i pięknej sprawy.

Wracałem z przekonaniem, że jak najczęściej takie zjazdy powinienem organizować i planowałem ich cały szereg — tymczasem jednak musiałem na gwałt wracać do Krakowa, gdzie nowych wiele przykrych zagadnień do rozstrzygnięcia na mnie czekało.

Pierwszym z nich była sprawa NRO — Naczelnej Rady Opiekuńczej — gdzie wobec stale i konsekwentnie wzrastającego prześladowania Żydów nasza opieka nad nimi stała się wprost iluzoryczną. Sprawa ta poruszoną została zupełnie otwarcie przeze mnie z panem Weirauchem, któremu oświadczyłem jako prezes tej instytucji, że nadal w tych warunkach nie mogę za jej pracę nieść odpowiedzialności, gdy jedno z jej zadań w stosunku do Żydów, wobec postawy władz wobec nich, nie może być wykonywanym. Po długich naradach doszedłem do wniosku, że jedynie rozwiązanie instytucji tej jest wskazanym, bo eliminowanie pomocy dla Żydów stawiałoby nas w konieczności pozostawania w niej z Ukraińcami tylko, a stosunki z nimi też stawały się coraz bardziej wrogimi. Na to moje stanowisko zgodziły się władze i instytucja NRO w dniu 31 lipca 42 r. została oficjalnie rozwiązaną,

przy czym wyraziłem na piśmie mą zgodę, że w razie, gdyby z zagranicy nadeszły jakie dary dla Żydów lub gdyby w jakiej innej sprawie ich obchodzącej potrzebna była instancja o charakterze bezstronności, to ja przyjmuję na siebie tę rolę i do mnie z tymi sprawami w przyszłości zwracać się należy. Rozumiałem całe ryzyko z tym mym oświadczeniem złączone, ale nie wahałem się to uczynić, by me postępowanie w sprawie rozwiązania NRO nie było poczytywanym za porzucenie placówki i pozostawienie Żydów na pastwę losu tam, gdzie jeszcze jakakolwiek pomoc dla nich byłaby możliwą do osiągnięcia. Uczyniłem to zresztą w zupełnym porozumieniu i z aprobatą dra Weicherta, szefa organizacji samopomocy żydowskiej.

Druga sprawa, która nam wszystkim wiele krwi w swoim czasie napsuła, a w tym czasie na nowo podniesioną została, to była sprawa tzw. odezwy kontyngentowej RGO. Tym razem ani gra na zwłokę, ani inne sposoby stosowane w roku poprzednim nie mogły być zastosowane, bo postawionym nam zostało jasno, że nie otrzymamy przydziałów żadnych żywnościowych dla Centrali RGO, gdy ona odezwy takiej w ciągu miesiąca sierpnia nie wyda.

Uważałem, że ważniejsze jest, by mieć czym ludzi żywić, niż upieranie się przy niewydawaniu takiej odezwy — naturalnie nie takiej, jaką nam podyktować by chciano, ale takiej, co do treści której nie mielibyśmy powodu się wstydzić. Mówiliśmy też sobie, że naszą sprawą być winno za pomocą sieci naszej organizacyjnej tak zawczasu poinformować nasze placówki, by wiedziały, co o tej odezwie myśleć, w jakich warunkach zdecydowaliśmy się na jej wydanie i jak ją wobec szerszych mas tłomaczyć. Zredagowaliśmy więc odezwę, która powyższym warunkom, według naszego zrozumienia, odpowiadała i zyskała aprobatę z jednej strony Księcia Metropolity Sapiehy, z drugiej — liczyła się z uwagami zjazdu pełnomocników, których wysłuchać należało przede wszystkim, jako tych, którzy mieli sprawę odezwy w swych objazdach po kraju odpowiednio komentować. Gdy to zostało osiągniętym i odezwa odpowiednio została uzgodnioną, przedstawiłem ją władzom, które zrozumiały tym razem, że więcej od nas nie wytargują i ograniczyły się do wpływania na mnie, bym się zgodził na skreślenie ostatnich słów odezwy naszej, w których upatrywały nie bez słuszności jakby punkt ciężkości takowej przez nas pomieszczony. Brzmiały one: „Rozważcie to w sumieniach Waszych". Dumny jestem, że i tym razem na to życzenie władz się nie zgodziłem i osiągnąłem, że w dniu 24 sierpnia 1942 wydana odezwa przez nas wyłącznie zredagowaną była.

Była to jedyna odezwa, która w ogóle za mego urzędowania wydaną została — było to naturalnie pewne ustępstwo w stosunku do władz, ale w zamian za tak poważne koncesje, że społeczeństwo polskie przyjęło ten nasz krok jako dyktowany przez rozum i nigdzie z tego powodu nie było większych nieporozumień.

Następna sprawa, która w tym czasie nas mocno trapiła, bo przybierała stale na sile, to była sprawa aresztowań, bowiem dr Schöngart nie tylko nie załatwił danych nam pod tym względem przez generalnego gubernatora na zamku przyrzeczeń, lecz przeciwnie, aresztowania tak członków komitetów naszych w kraju, jak i innych spokojnych i nie mieszających się do polityki osób mnożyły się z dnia na dzień. Dzięki pośrednictwu dra Föhla poznany przeze mnie w swoim czasie dr Heim, ów członek Gestapo, który miał w swym ręku decyzje w sprawach aresztowań nas obchodzących — uznał jednakże me prawo do interweniowania w tych sprawach i nawet ustalił pewnego rodzaju zwyczaj, mocą którego raz na tydzień we wtorki odbywały się w GG posiedzenia, w których brali udział panowie z zarządu cywilnego i Gestapo, a ja dziwnym rzeczy porządkiem przewodniczyłem. Raz więcej, raz mniej udawało mi się na tych spotkaniach dla poszkodowanych osiągnąć, w każdym razie starałem się w dobijaniu się o ich prawa nie ustawać nigdy. Osiągałem tym dla naszych podopiecznych to przeświadczenie, że niezupełnie są pozostawieni li tylko swemu ciężkiemu losowi, ale że jest ktoś, kto się stara przyjść im z pomocą — wiem, jak ważnym czynnikiem propagandowym na rzecz naszej pracy w RGO było zorganizowane przez nas żywienie więźniów, które udało się nam jednakże zaprowadzić w całym kraju. W Tarnowie np. był taki fakt, który warto tu przytoczyć. W więzieniu tamtejszym weszło w zwyczaj, że po otrzymaniu obiadu przysłanego przez RGO więźniowie stawali przed oknami więzienia i póty śpiewali jedno tylko zdanie: „Podziękujcie Radzie Głównej za obiad" — aż ktoś z ulicy się nie odezwał, że to uczyni! Było to

dla nas wielką pociechą, że przynosimy tym tak bardzo udręczonym, przeważnie młodzieży naszej, ulgę i że znajduje ona wyraz w tej formie wdzięczności, na którą w pracy społecznej nigdy liczyć nie należy, ale która jest bardzo miłą, gdy się w tej czy innej nawet najbardziej naiwnej formie objawia.

Mam też jeden fakt w tej pracy do przytoczenia, który charakteryzuje dobitnie, z jakiego gatunku ludźmi ze strony władz niemieckich mieliśmy do czynienia i jakie chwyty stosowane przez nich miały miejsce oraz jak na nie reagowaliśmy:

Oto na jednym z takich posiedzeń na temat aresztowań, gdy jak zwykle punktualnie stawiłem się na takowe, dr Westphal, biorący w nim udział ze strony gestapo, podszedł do mnie przed przystąpieniem do obrad i wobec wszystkich już zebranych z pewnym odcieniem satysfakcji w głosie oświadczył mi, co następuje: „Nieraz pan, panie hrabio, nam mówił, że pan Generalny Gubernator w swych przemówieniach rozmija się z prawdą, gdy podkreśla, że wiele dzieł sztuki i architektury tutaj jest pochodzenia niemieckiego. Tym razem mam do zakomunikowania Panu fakt, nie ulegający wątpliwości, bowiem znalazłem kwitariusze z połowy czternastego wieku, stwierdzające niezbicie fakt, że kościół Mariacki w Krakowie był zbudowany przez Niemców i za niemieckie pieniądze". Zaskoczony tym oświadczeniem, nie zawahałem się odpowiedzieć mu, że pomiędzy nami zachodzi nieporozumienie chyba, ja bowiem „dumny jestem, że wielki naród niemiecki wielkiemu narodowi polskiemu złożył w hołdzie (in Huldigung) tak wspaniałe dzieło architektury". Gdy zaś mój interlokutor nie znalazł słowa odpowiedzi, ciągnąłem dalej: „bo widzi pan, panie doktorze, my, Polacy, na przykład zbudowaliśmy w Rzymie i ofiarowaliśmy temu miastu kościół św. Stanisława, ale myśmy nigdy nie twierdzili, że z tego powodu Rzymianie mają się poczuwać do polskiego pochodzenia".

Śmiech ogólny na sali wszystkich obecnych stał się odpowiedzią na me słowa, uważałem za konieczne dla sprawy naszej ratować niefortunnego doktora z tej tak przykrej sytuacji, proponując mu rozpoczęcie posiedzenia, na którym zaakceptował on bez zastrzeżeń wszystkie me dezyderaty i tylko ja ubolewałem, że tego dnia nie było ich zbyt wiele. Takimi byli Niemcy!

Nowe przykrości, o których dowiedziałem się w tym czasie, że się koło mej głowy gromadzą, były tym razem innej natury niż te, których normalnym źródłem były władze niemieckie. Tym razem źródłem przykrości były władze polskie, zgromadzone koło Delegatury Rządu Polskiego. Od osób, które prosiłem, by utrzymywały łączność pomiędzy RGO a Delegaturą, doszły mnie wiadomości, że ja wchodzę im w drogę i że czynnie zajmuję się polityką! Nie poczuwałem się ani wówczas, ani nigdy w czasie mego urzędowania w RGO, bym kiedykolwiek w czymkolwiek przekroczył granice obowiązków moich w stosunku do władz polskich. Zupełną lojalność uważałem zawsze jako zasadę wobec rządu, który za prawowity i jedynie uprawniony do zabierania głosu w imieniu Polski uważałem. Już z powyżej przytoczonej treści mych przemówień na zebraniach urządzanych przeze mnie w różnych punktach kraju jest widocznym, jaki stosunek do władz naszych uważałem za właściwy: niezaciąganie żadnych zobowiązań politycznych wobec okupanta, ale z drugiej strony — zupełne prawo formułowania myśli politycznych i projektów, wypowiadanych w mym własnym imieniu w stosunku do tych, którzy myśli me znać by chcieli. Zawsze pragnąłem być w kontakcie, jeżeli nie bezpośrednio, co z wielu względów było utrudnionym, to przynajmniej za pośrednictwem osób wzajemnego zaufania z delegaturą rządu i jej organami — nigdy jej jednak nie przyznawałem prawa zabraniać mi myśleć i pracować w polityce, robić plany, komunikować je moim przyjaciołom i myśleć z nimi jak najintensywniej o tym, jak najlepiej służyć Polsce możemy i powinniśmy. Toteż dochodzące do mnie słuchy dotyczące właśnie tej strony mego postępowania, w którym uważałem się i uważam za bez zarzutu — oburzyły mnie do żywego, a to tym bardziej, że za życia pierwszego delegata Rządu Polskiego pana Ratajskiego starałem się przez osoby trzecie być zawsze w zgodzie z jego życzeniami i jego przychylny sąd co do naszej pracy i mego postępowania był mi komunikowany. Po śmierci jego, gdy instytucja nasza RGO rozrosła się już niepomiernie, a równocześnie i agendy delegatury rządu coraz szersze obejmowały kręgi działalności, spostrzegać zacząłem, że korzystanie z pośrednictwa osób trzecich tylko — stawało się niewystarczającym. Bałem się, by nie doszło do rozejścia się linii poglądów RGO i Delegatury i za-

cząłem zabiegać, by po śmierci delegata Ratajskiego z jego następcą panem Piekałkiewiczem wejść w osobisty kontakt i co pewien czas wspólnie linię postępowania wytykać i ustalać.

W najlepszej więc intencji, zmierzającej do uporządkowania stosunków, zwróciłem się za pośrednictwem rektora Kazimierza Drewnowskiego, który łaskawie mnie w tych sprawach służył pomocą w sposób zawsze rozumny, spokojny i dyskretny, do delegata z prośbą o osobiste z nim spotkanie. Wiele kwestii nagromadziło się i dojrzało do gruntownego omówienia, z nich jedna dla nas bardzo ważna, co do której wiele plotek krążyło i którą osobiście chciałem na właściwe miejsce odstawić, mianowicie związana z puszczanymi stale plotkami o dążeniu moim do organizowania pod egidą niemiecką coś w rodzaju rządu polskiego i o pertraktacjach w tym kierunku prowadzonych, do rzędu których i bytność na zamku w miesiącu czerwcu chętnie podciągano. Drugą była kwestia funduszów dla RGO, o których w listach otrzymanych przeze mnie od generała Sikorskiego i prof. Kota była mowa ze wszystkimi szczegółami co do sposobu przesyłania kwot obiecanych. Niepokoiło mnie to, że sumy te nie dochodziły rąk moich, a krążyły pogłoski, że już znajdują się w kraju. Osobę majora Mikicińskiego*, prawie mityczną, z poselstwa chilijskiego wymieniano mi w związku z przesyłką 25 milionów złotych wysłanych dla RGO — tymczasem ów pan był w Warszawie, podobno o tych pieniądzach mówił nawet z mymi znajomymi, że ma mnie je dostarczyć, potem wyjechał i został zabity przez Niemców, a RGO pieniędzy dla niej przeznaczonych nie otrzymało nigdy. Ta nader ważna sprawa wymagała wyjaśnienia, a to tym bardziej, że generał Sikorski listem pisanym z Londynu zapytywał mnie w tym czasie o rachunek z otrzymanych pieniędzy. Co prawda łatwą miałem rolę, wyjaśniając, że nigdy ani grosza na poczet solennie obiecywanych sum nie otrzymałem, ale niemniej niepokoiło mnie to bardzo, co się stało z sumami, które już były przekazane, tym bardziej gdy żądanie rozrachunku świadczyło o ich wysłaniu do kraju. Ta i wiele innych spraw czyniły me spotkanie z delegatem niezbędnym, toteż gdy profesor Drewnowski zakomunikował mi, że spotkanie to zostało ustalonym na określony dzień u niego w Warszawie, byłem mu za zorganizowanie

jego bardzo wdzięcznym i przygotowywałem się do niego jak do ważnego zadania do spełnienia, by z jednej strony dać możliwie pełny obraz pracy przez nas prowadzonej, z drugiej — by uzyskać aprobatę jego na przyszłe poczynania, rozumiałem bowiem, że dotyczyć ona musi w pierwszym rzędzie podziału ról, jaki pomiędzy RGO i Delegaturą powinien być ustalonym. Spotkanie naznaczonym zostało na dzień 17 września i na ten dzień do Warszawy wyjechałem uprzednio porozumiewawszy się jeszcze i poinformowawszy o wszystkim Księcia Metropolitę. Ku mojemu wielkiemu zadziwieniu i on także na ten czas wybierał się do Warszawy i to także w celu zetknięcia się z naszymi czynnikami miarodajnymi, jak wówczas potocznie Delegaturę Rządu i jej agendy nazywaliśmy.

Jakże wielkim było rozczarowanie moje co do tego, co mnie spotkało w Warszawie, nie umiem nawet wyrazić, a wypłynąć musi wyraźnie z tego, co stwierdzam poniżej. Otóż dnia wskazanego o godzinie piątej po południu czekaliśmy z prof. Drewnowskim na Delegata samego lub ewentualnie, jak mnie o tym uprzedził profesor, jego zastępcę. Ze znacznym opóźnieniem zjawił się ów zastępca w osobie pana, który mi się przedstawił pod nazwiskiem Zawadzkiego*. Był on, jak mnie później poinformowano, w Delegaturze w roli ministra spraw wewnętrznych. Ów pan zaczął od tego swą ze mną rozmowę, że zaledwie ma godzinę czasu do dyspozycji — wynikało naturalnie z tego dziwnie kurtuazyjnego w stosunku do mnie odezwania się jego, że sprawa, dla której się spotkaliśmy, nie należy do rzędu tych, które go specjalnie interesują, a ja mam w tym, co będę mówił, czas ten jego oszczędzać należycie.

Uczyniłem to sumiennie, bo oświadczyłem od razu, że spotkanie pierwsze ze mną oficjalne ze strony Delegatury po prawie trzyletniej pracy naszej wymaga co najmniej, według mego zdania, sześciu godzin czasu i nie może być w ogóle w czasie ograniczanym, jeżeli ma być skutecznym. Dałem do zrozumienia, że może w tych warunkach rozmowy lepiej nie rozpoczynać i że to oświadczenie uważam za obraźliwe dla siebie i dla instytucji, którą reprezentuję, która miałaby prawo być inaczej ze strony Delegatury traktowaną. Naturalnie nie było mowy o poruszeniu jakiejkolwiek sprawy w sposób wyczerpujący, jedynie sprawa prowadzenia przeze mnie akcji politycznej była przeze

mnie wytoczoną w formie sprostowania plotek, jeżeli one do kół Delegatury doszły, a także w formie zastrzeżenia, że nie pozwolę nigdy na to, bym ja osobiście w mych prawach obywatela Polaka miał być ograniczany z chwilą, gdy jestem prezesem RGO. Jako prezes RGO nie popełniam żadnych kroków ani zaciągam zobowiązań jakichkolwiek wobec okupanta, czyli idę po linii wyraźnie wytkniętej wspólnie z przedstawicielami społeczeństwa naszego dla działalności społeczno-charytatywnej, dla jakiej RGO została stworzoną. Nie wyjaśnionym więc zostało nic z tego wszystkiego, co pragnąłem wyjaśnić, i rozstałem się z panem Zawadzkim z uczuciem wyraźnej wyrządzonej mi krzywdy wielkiej. Uczucie to spotęgowało się jeszcze, gdy się dowiedziałem od Księcia Metropolity, że tenże pan Zawadzki był tegoż dnia u niego i ujemnie o mnie i mym postępowaniu się wyrażał i wydawał sądy oparte, jak widzimy, na zupełnym braku znajomości stosunków w RGO i jej działalności, a tym bardziej spraw, które mnie jedynie znane były dokładnie, a do Delegatury dochodziły w formie, śmiem twierdzić pozytywnie, plotek puszczanych przez osoby dla RGO, nie wiadomo z jakiego powodu, źle usposobione.

Po rozmowie z prof. Drewnowskim, który, zdaje się, tak jak i ja przybity był zupełnie tym, co się stało, wracałem z ciężkim sercem do Krakowa, zastanawiając się poważnie, jaka jest droga w Polsce dla człowieka takiego jak ja, który chce uczciwie jej służyć, a którego zawiść i głupota, panujące coraz wszechwładniej u nas w tym tak brzemiennym historycznie momencie, wprowadzają w wir intryg i plotek wstrętnych mu niepomiernie? Postanowiłem raz jeszcze robić swoje, nie zważając na przeszkody mnie stawiane.

We wrześniu i październiku dokonane jazdy moje do szeregu punktów, pomiędzy którymi Żabie państwa Brzozowskich pod Warszawą najmilsze mi pozostawiło wrażenie, pozwoliły mnie otrząsnąć się znowu z myśli pesymistycznych, które mnie jednak po Warszawie ogarnęły. Byłem też w Rymanowie, gdzie uzyskane pozwolenie na otworzenie wielkiego Domu Dziecka natchnęło mnie nową nadzieją na możność dokonania zamierzeń RGO, zdawało się czas jakiś przez poczynania pana Krügera zahamowane brutalnie. Tam w Rymanowie lub na tych objazdach, na których jednak wysiłek główny mówienia na mnie prawie wyłącznie spoczywał, odetchnąłem jakby innym powietrzem, pełnym chęci i zapału do służenia naszej sprawie polskiej, nie egoistycznie, nie pod kątem widzenia jakiejś partii lub czyjegoś widzimisię. Ludzie garnęli się do tej pracy ofiarnie i bez zastrzeżeń żadnych, tylko z chęcią dowiedzenia się, jak najlepiej, najskuteczniej ją prowadzić — otwierały się możliwości wielkie bardzo stworzenia bloku społeczno-chrześcijańskiego mającego jasny, wyraźnie zakreślony program z mym credo, jak go nazywałem; zgodny i daleki od tego wszystkiego, co ludzi w Polsce różnić może, gdyż oparty na tym, co każdy uczciwy Polak rozumieć i za swoje uważać musi. Nigdzie, ale to nigdzie, wbrew temu, co słyszałem w Warszawie, nie spotkałem się ze sprzeciwem, wszędzie z akceptacją myśli naszych przecież tak prostych, a możliwych i koniecznych do zastosowania.

To nie przeszkadza, że fale rozpętane w Warszawie doszły też i do Krakowa, gdzie działać zaczęły na zachowanie się i myśli tych, którzy w RGO byli zatrudnieni. Uznając w zupełności i szanując rozumną krytykę, jako czynnik pożyteczny, a nawet konieczny w zespole takim, jak urzędnicy RGO — byłem i jestem otwartym wrogiem krytyki opartej na złej woli. Ponieważ z kilku stron doszły do mnie odgłosy takiej właśnie krytyki, dokonywanej nieopatrznie przez kilku naszych urzędników i urzędniczek, postanowiłem kres temu niezwłocznie położyć i do subordynacji właściwej nawołać. Uczyniłem to na jednym z zebrań wyższych urzędników RGO, odbywanych w gabinecie moim co każdy wtorek, i w dniu 3 listopada na takim zebraniu u mnie, które postarałem się, by było liczniejszym niż zwykle, odczytałem na wstępie poniżej przytoczone me oświadczenie, nazwane później mą „zajawą". W głuchym milczeniu wysłuchano tej zajawy, nad którą nie uznałem za możliwe otworzyć dyskusji i przeszedłem do dalszego porządku dziennego. Efekt jednak przeze mnie oczekiwany nie zawiódł, bowiem dnia następnego rano miałem u siebie wszystkich tych, których miałem na myśli, redagując me wystąpienie. Ze wszystkimi szczerze i serdecznie się rozmówiłem i stosunek urzędników RGO dotychczas w odniesieniu do mej osoby wzorowy i taki, który sobie bardzo wysoko ceniłem, wrócił do pełnej równowagi i form pożądanych w instytucji społecznej takiej, jaką była nasza, i w któ-

rej każdy nawet najskromniejszy jej funkcjonariusz miał do mnie w każdej chwili i nie ograniczony niczym i nigdy dostęp.

„Z ubolewaniem wielkim wyznać muszę, że od pewnego czasu dostrzegłem w Centrali organizacji naszej pewne rysy — nie chciałbym, żeby zamieniły się one w szczeliny głębsze i niebezpieczne. Spoistość działania i dążeń stanowi bowiem jedną z podwalin naszej siły i skuteczności naszej pracy. Dlatego też wypowiedzieć się muszę przeciwko wszelkiemu przeciwdziałaniu w tym kierunku. Jednym ze źródeł tego rodzaju poczynań jest nadmierny krytycyzm, z jakim przyjmowane są nieraz moje wystąpienia i decyzje, uzgodnione zazwyczaj z całym składem Rady.

Nie mam pretensji do tego, by być nieomylnym — errare humanum est — a jednak mam prawo spodziewać się, że w każdym poszczególnym wypadku uznana zostanie przez wszystkich, wraz ze mną pracujących, przynajmniej moja dobra wola. I to i mnie, i całemu zespołowi RGO musi wystarczyć.

Jeśli się na coś decyduję, jeśli coś postanawiam, to zawsze dlatego, iż uważam to za konieczne. I przeważnie, jak się to okazało, miałem rację tak, a nie inaczej, postąpić. Niestety, raz w raz trafiam na frondę* jakąś, jeśli nie opozycję.

Tak było, gdy postanowiłem powołać do życia instytucję pełnomocników, tak było, gdy zdecydowałem się na stworzenie naszych delegatur gminnych, wreszcie ostatnio, gdy zaistniała konieczność wydania odezwy — tak było prawie zawsze, ilekroć chodziło o jakieś posunięcie ważne i niezbędne. Za każdym razem znajdywali się jacyś rzeczoznawcy, którzy dawali wyraz swym wątpliwościom i nieraz nawet swe niezadowolenie manifestowali wobec osób trzecich poza Radą stojących. Raz czynili to w imię godności społeczeństwa, kiedy indziej znowu w imię domniemanych konsekwencji moralnych, to znowu w imię racji budżetowo-gospodarczych. We wszystkich tych dziedzinach nie brak u nas, jak się okazuje, rzeczoznawców trzymających straż nad każdym rodzajem naszych czynów i zamierzeń.

Przyznam się, że taki stan rzeczy jest mi niewymownie przykry. I mimo woli przypomina mi się powiedzenie Gladstona*, że każde z poczynań jego trafiało zawsze na opór specjalistów i mu-

siał je przeprowadzać wbrew ich stanowisku. Nie sądzę, żeby tak musiało być i w RGO. Mam prawo i muszę wprost liczyć na kredyt moralny ze strony ludzi pracujących ze mną! Kredytu tego nie możecie mnie odmawiać bezustannie, a to tym bardziej, że odpowiedzialność ponoszę zawsze ja tylko i to odpowiedzialność niemałą, a droga moja i obowiązki są więcej niż skomplikowane i nieraz bardzo trudne. Nie komplikujcie i nie utrudniajcie mi ich więcej jeszcze, nie stwarzajcie w pracy naszej atmosfery niejasności i niezadowolenia, bo ta ostatnia rozsadza każdą zespołową pracę.

W jakimkolwiek wypadku, jeśli komuś coś wydaje się inaczej, niżby tego sobie życzył, istnieje droga do mnie i drzwi mego gabinetu są zawsze i dla wszystkich otwarte. Trzeba przyjść wprost do mnie i wyłożyć swoje racje, rozważyć je jak z przyjacielem — każdy inny sposób postępowania będzie nielojalny i dla wspólnego czynu naszego szkodliwy".

Pomimo że sukcesy niemieckie na frontach wojennych się skończyły i zdawałoby się, że źródło buty najważniejsze powinno było stać się mniej obfitym, a powody liczenia się z narodami podbitymi coraz bardziej naglące, mijały jednak miesiące od bytności naszej na zamku, a nie było mowy nawet o wykonaniu zaciągniętych tam wobec nas zobowiązań. Przeciwnie, stosunki pogarszały się stale, ekscesy władz w stosunku do ludności przybierały na brutalności i dzikości po prostu. Omawiane przeze mnie z drem Hellerem, a dotyczące wysiedleń z miast i wsi, sprawy pomimo jego wielokrotnych interwencji w Krakowie i Berlinie — nie ustawały. Władze miejscowe umywały ręce twierdząc, że jest to dziełem specjalnych komand (Sonderkommando), wysyłanych do nas wprost z Berlina, i z tego powodu nie podlegających rozkazom władz GG. Z Krakowa zaczęto wysiedlać spokojnych ludzi, których jedynym dobytkiem było zazwyczaj mieszkanie i skromne umeblowanie. Przeszło dwa tysiące takich ludzi, którzy nie mieli co z sobą zrobić, gdy ich z mieszkań wyrzucono, otrzymało znowu rozporządzenie opuszczenia miasta i z tych około 700 wyrzucono na bruk, dając zaledwie po sto złotych na głowę na koszty przeprowadzki, gdy ta kosztowała już wówczas tysiące. Na wsi wobec wzmagającego się do rozmiarów zastraszających bandytyzmu, władze i owo Sonderkommando zaczęły stosować nową

metodę zwalczania tej klęski — oto tam, gdzie bandyci się pokazali, a nie daj Boże zaszli do jakiej chaty z żądaniem żywności, podpalano wsie całe, a ludzi, których podejrzewano, że bandytom nie odmawiali wydania żywności lub przenocowania, pomimo że notoryczną i wszystkim znaną rzeczą było, że nikt nie miał środków dla obrony przed nimi, wieszano, rozstrzeliwano i pozbawiano dachu nad głową i wszystkiego, co posiadali. W tej formie wykonywana kara (Vergeltung), urągająca wszelkim zasadom najelementarniejszej sprawiedliwości — zaczęła wydawać rezultaty wręcz odwrotne od oczekiwanych przez władze, bo przy stosowaniu tego systemu zwanego „odpowiedzialnością kolektywną" mieszkańcy wsi i miasteczek widząc, co ich czeka, zaczęli uciekać do lasu, tworząc własne bandy zwane powszechnie „ludźmi z lasu". Te bandy z czasem łączyły się z prawdziwymi bandytami i sytuację całą szczególniej pod względem bezpieczeństwa wsi doprowadzały do stanu wprost krytycznego. Z punktu jednak widzenia obrony własnej zrozumiałym było zupełnie zachowanie się tych ludzi, nieraz spokojnych i dzielnych gospodarzy, którzy w imię obrony życia i mienia, a nieraz wprost doprowadzeni do rozpaczy, chronili się do lasów i stamtąd czuwali nad rodzinami swymi i mieniem, za zniszczenie którego przez władzę mścili się nieraz krwawo.

Aresztowania trwały dalej bez żadnej zmiany na lepsze, a co do naszych współpracowników dane nam na zamku obietnice nie były nigdy wykonane. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, co komu zarzucano — było to nie do pomyślenia przy jako tako praworządnych stosunkach, w których dbano by choćby trochę o prestige władzy, toteż nie było go nigdzie, był tylko często ślepy strach i jego pochodna — zacięta nienawiść, która cechowała i chłopa wypędzanego z chaty, i inteligenta, którego bez żadnego umotywowania i sądu wysyłano na zagładę do obozów koncentracyjnych. Miał on tam możność poznać, do czego jest zdolny Niemiec, mieniący się „Kulturträgerem", gdy przez lata uczony maszerować tylko, duszę swą potrafił w tym zatracić i sadyzmu się nauczyć!

Wszystko razem wzięte wytwarzało atmosferę tak strasznie nieznośną dla życia, że fala skarg płynąca do Rady na to, co

się działo, czyniła jej pracę wprost przekraczającą siły i możliwości nasze, jako ludzi stojących na jej czele. Musieliśmy się chwycić środków nadzwyczajnych, by atmosferę tę przeczyścić chociaż trochę, by jakoś swobodniej odetchnąć, by przynajmniej mieć tę pewność, że nic się nie zaniedbało i wszystko się zrobiło, by ludziom w tej sytuacji ulżyć. Po długich naradach nad tym, co uczynić by należało, prowadzonych w porozumieniu i często w obecności Księcia Metropolity, postanowiliśmy, że nadszedł czas, kiedy trzeba, by i on się odezwał do generalnego gubernatora, bowiem szczególniej sprawa kolektywnej odpowiedzialności potrącała tak dalece o stronę moralną życia u nas, że odezwanie się jego nie mogło być poczytywane za chęć nawiązywania stosunków z władzami, a po prostu było spełnieniem ważnego i bardzo pilnego obowiązku. Stanęło na tym, że Książę Metropolita napisze list, ponieważ jednak wiele spraw było takich, które już uprzednio były poruszane lub inicjowane przez RGO, postanowiono więc również, by nie razem, ale prawie jednocześnie i ja, jako prezes RGO, napisał także list do generalnego gubernatora, wyrzucając mu niedotrzymanie danych nam obietnic i obrazując stan wytworzony w kraju znajdującym się pod jego władzą. W kolejności wypadło tak, że list mój datowany był z dnia 27 października, zaś list Księcia Metropolity z dnia 2 listopada 1942 r. i oba razem stanowiły pełny obraz tego, o co oskarżaliśmy władze niemieckie w stosunku do rządzonego przez nie kraju. Niebawem dowiedzieliśmy się, że oba listy, a szczególniej list Księcia Metropolity, wywarły na wielkorządcy niemieckim rządzącym wówczas Polską wielkie wrażenie, chociażby z tego względu, że rozgłos, który wysłaniu ich w kraju towarzyszył, mógł dotrzeć i poza jego granice i w Berlinie lub Berchtesgaden zrobić wrażenie, że jednakże rządy niemieckie nie są widocznie tak świetne, jak to było zawsze i wszędzie oficjalnie głoszonym i ze sprzeciwem rządzonych nawet przy tym regimie terroru się spotykają.

Uważam za wskazane podać poniżej treść obydwu listów, jako charakteryzującą dobitnie stan rzeczy wówczas w Generalnej Guberni.

Mój list z dnia 27 października brzmiał, jak następuje:

„Wasza Ekscelencjo!

Trudności z dniem każdym większe, piętrzące się przed nami przy wykonywaniu funkcji naszych związanych z odpowiedzialną pracą w Radzie Głównej Opiekuńczej, trudności w obecnej chwili już stawiające nas w sytuacji ludzi, którzy wobec własnego społeczeństwa przestają być w porządku, bowiem nie wykonywują zaciągniętych wobec niego zobowiązań — zmuszają nas do złożenia na ręce Waszej Ekscelencji niniejszych naszych wywodów. Słowa wypowiedziane do nas, gdy w pełnym składzie Rady naszej na Zamku w Krakowie, Ekscelencja, pewni jesteśmy, pełen dobrej woli, udzielił nam obietnicy przychylnego załatwienia całego szeregu postulatów niezmiernej wagi dla nas przedstawionych w imieniu naszej instytucji — zdaje nam się, upoważniają nas do tego, by w tej chwili, dla nas niezmiernie ciężkiej, do Niego się odezwać. Przekonani jesteśmy, że z jednej strony powaga chwili, z drugiej zaś także i powaga autorytetu władzy, której Ekscelencja w kraju jest wyobrazicielem, wszystko to razem wzięte czyni, że odezwanie się nasze, a raczej już krzyk rozpaczy, staje się naszym świętym obowiązkiem, który tym chętniej spełniamy, że pracę tę naszą pokochaliśmy, zadaniom jej służymy wiernie dalecy od wszelkiej polityki.

Otóż jednym z najboleśniejszych zawodów, które nas spotkały w związku z dniem bytności naszej na Zamku w dniu 19 VII br., był ten, że oczekiwane przez nas z niepokojem i upragnieniem wyjaśnienie sytuacji co do tych członków organizacji naszej oraz jej urzędników, którzy w swym czasie i od tej chwili byli aresztowani — nie nastąpiło w zapowiedzianym terminie. Minęły już miesiące, a my dalej nie wiemy, jakie im stawiane są zarzuty, czy mamy ich dla instytucji naszej uważać za straconych, co mamy powiedzieć rodzinom ich wyczekującym jak zbawienia owego wyjaśnienia. Jedynie szereg wiadomości o śmierci był odpowiedzią, którą dostaliśmy wtedy, gdy liczyliśmy na szereg zwolnień tych, o których błędach lub przewinieniach w stosunku do władzy nic nam nie było wiadomym.

Z ust Waszej Ekscelencji padły i w innej dziedzinie ważkie słowa, że nasi rodacy brani na roboty do Rzeszy będą tam brani na podstawie dobrowolnej umowy — rozmowy moje z Prezydentem Wydziału Pracy pozwalały nam mniemać, że na tej podstawie

sprawa załatwioną zostanie pomyślnie, zaś z pełnią dobrej woli wypowiedziane mi postulaty dotyczące opieki nad tym zaangażowanym do Niemiec robotnikiem polskim będą wykonane — tymczasem ze wszystkich stron kraju płyną wiadomości o sposobach powszechnie stosowanych, które w wielu wypadkach z polowaniem na ludzi muszą być porównane, a nie wykazują żadnych cech dobrowolnego werbunku. Przekonani jesteśmy, że nie wszystkie sposoby, by na tej ostatniej drodze sprawa mogła być załatwioną, zostały zastosowane, zaś to, co się stało, musiało wywołać w całym kraju olbrzymi, a tak niezdrowy niepokój, któremu nie mogą zaradzić wyjaśnienia nasze oparte na słowach Prezydenta Wydziału Pracy, że powyższe jaskrawe wystąpienia nie były ze strony Urzędu Pracy w postępowaniu wykonawczym przewidziane.

W sprawie żywności, rzeczy podstawowej dla istnienia instytucji naszej, mieliśmy, zgodnie z oświadczeniem Waszej Ekscelencji, prawo liczyć na to, że produkcja kraju naszego, normalnie deficytowego, pozostanie w nim nie tylko dla potrzeb armii i urzędów, ale i dla zapowiedzianych przydziałów dla ludności i naszej instytucji. Obecnie wiemy, że wielkie partie żywności i bydła są wywożone poza granice kraju. Gotowi jesteśmy w tym wypadku zrozumieć konieczności wojenne z tym związane, ale dlaczego dotychczas pomimo otrzymanych przez nas obietnic żadnego centralnego przydziału nie otrzymaliśmy, a już od końca marca w ogóle nic nie otrzymujemy i wszystko na wolnym rynku kupować musimy, jeżeli chcemy, by nasza działalność przynajmniej co do kuchni nie ustała — to jest dla nas zupełnie niezrozumiałym, bowiem czyż jest możliwym jakikolwiek racjonalny plan naszej pracy, która stać się musi źródłem nowego niepokoju, gdyż zmniejszenie ilości wydawanych przez nas obiadów i po prostu już śmieszna ich kaloryjność budzić muszą ten niepokój u wszystkich.

I to się dzieje wtedy, gdy urodzaj w kraju jest nadspodziewanie dobry, gdy zapowiedziano podniesienie przydziałów, wreszcie gdy na żądanie władz w początku września przedstawione przez nas postulaty, dotyczące potrzeb instytucji naszej, były nie tylko z dobrą wolą wysłuchane przez Prezydenta Wydziału Wyżywienia, ale gdy z jego strony otrzymaliśmy zapewnienie, że jeszcze

w październiku otrzymamy odpowiednie przydziały, bo kuchnie ludowe prowadzone przez nas czynne być muszą!

Mieliśmy też podstawy do żywienia nadziei, że tzw. dotacje finansowe dla RGO powiększone zostaną, toteż nie możemy pogodzić się z udzielonym nam oświadczeniem, że większe dotacje są niemożliwe ze względu na stan finansowy GG, bowiem przy olbrzymich sumach, które rząd GG na inne cele przeznacza, środki dla zażegnania najstraszniejszej biedy muszą się znaleźć. To samo dotyczy zaopatrzenia biednych w odzież — podobno wydaniu znajdującej się już w Krakowie, a zapowiedzianej RGO, odzieży z demobilu francuskiego stają na przeszkodzie nie dokonane od wiosny rozrachunki. Czyż takie powody mogą wchodzić w rachubę, gdy ludzie cierpią?

Rozumiemy, że cierpienia złączone z wojną muszą być znoszone i do cierpliwości w ich znoszeniu namawiamy wszystkich, ale wtedy, gdy są one co najmniej zbyteczne, muszą się one stawać źródłem rozgoryczenia nie tylko u tych, którzy na nie bezpośrednio są narażeni, ale i dla tych, jak my, którzy za to są odpowiedzialni, by tych cierpień innym oszczędzano.

Czyż nie takim cierpieniem, które w znacznej mierze można by zmniejszyć i które nie przez wojnę jest powodowanym, nie należy przerzucanie całych rzesz mieszkańców miast na wieś i to w porze zimowej, rujnując zupełnie stan ich posiadania.

Te najważniejsze punkty niedoli naszych podopiecznych i naszej troski, jako kierowników instytucji naszej na dzień dzisiejszy, jaskrawo chyba dostatecznie malują obraz warunków pracy naszej. Staramy się, stosując się do słów Waszej Ekscelencji wypowiedzianych do nas na Zamku, nie tracić energii i zwalczać trudności, ale gdy te trudności wynikają nie z konieczności wojennych, a są wywoływane niepotrzebnie, to zwalczanie ich staje się tak trudnym, że i nasza pełna dobra wola służenia sprawie nic już nie pomoże i stajemy wobec zagadnienia, czy wysiłki nasze mają rację bytu, bo nie mogą one stworzyć tej atmosfery, o której mówiłem Waszej Ekscelencji, że jest ona niezbędną dla prowadzenia pracy powierzonej naszej instytucji. Atmosfera ta jest konieczną i wierzymy, że od Waszej Ekscelencji w wielkiej mierze zależy odpowiednio ją zmienić.

Oświadczenia, złożone przez Waszą Ekscelencję w czasie uroczystej audiencji na Zamku, utwierdzają nas w nadziei, że nasze prośby znajdą pełnię zrozumienia i odpowiednie poparcie".

List Księcia Metropolity z dnia 2 listopada brzmiał, jak następuje:

„Ekscelencjo!

Stanowisko Arcybiskupa i Metropolity Archidiecezji Krakowskiej, zajmowane przeze mnie od lat, wkłada na mnie szczególne obowiązki względem zespołu wiernych, których jestem pasterzem. Obowiązki te daleko wychodzą poza sprawy wyłącznie kultu tyczące, administracyjne i formalne. Zadaniem moim głównym, stanowiącym zasadniczą treść i istotę mego kościelnego stanowiska, jest dbanie o stan dusz w tym znacznym środowisku, za którego wszechstronne życie moralne czuję się odpowiedzialnym. Dusze owe od złego bronić, w najcięższych czasach pocieszać i ku dobremu wieść jest obowiązkiem ich pasterza. Tak też pojmują rolę moją zarówno w życiu religijnym, jak i społecznym wszyscy uznający przewodnictwo i powagę Kościoła.

Kościoła tego jestem w kraju najwyższym hierarchicznie dziś przedstawicielem i to samo przez się określa mój stosunek do wszystkiego, co jest udziałem katolików w tej prastarej polskiej dzielnicy. Poprzednicy moi na Arcybiskupstwie Krakowskim to byli w ciągu wieków zawsze przedstawiciele potrzeb duchowych swojego narodu, jego rzecznicy, jego obrońcy, jego nauczyciele i stróże jego najwyższych wartości.

W warunkach, w jakich dzisiaj żyjemy, za najwyższą wartość, której ustrzec musimy, uważam godność ludzką, spokój i równowagę myśli. Są one narodowi mojemu konieczne, by go ustrzec od błędów i uchronić przed wszelką niegodziwą pokusą, mogącą wprost pozbawić go rozumu... Pokus takich czasu wielkich wstrząsów światowych czyha na ludzi co niemiara. Ale tu właśnie — sądziłbym — władza duchowa równie jak władza świecka do jednego winny by podążać celu: do propagowania czujnej i zdrowej trzeźwości i pacyfikacji nastrojów, jako że ta ostatnia jest przecie warunkiem kardynalnym niedopuszczenia do zbędnego zaognienia stosunków i zamętu.

W tym przeświadczeniu pozwalam sobie zwrócić się do Waszej Ekscelencji z prośbą o interwencję w całym szeregu spraw, które wyżej wskazanej zasadniczej i Jego niewątpliwie intencji — stają raczej kategorycznie w poprzek, niż w czymkolwiek do realizacji jej przyczynić się są w stanie. Mam tu na myśli te wszystkie zarządzenia, co nie dając żadnych wyników pozytywnych, drażnią jedynie, przygnębiają lub przyprawiają o rozpacz.

Na pierwszym miejscu muszę postawić stosowanie jako normy prawnej tzw. odpowiedzialności zbiorowej. Jest to okrutna innowacja, porażająca wyobraźnię ogółu, podniecająca, wprowadzająca pierwiastek dzikości, obrażająca wszelkie poczucie sprawiedliwości, a nie dająca żadnych pożądanych rezultatów. I nie mogąca ich dać oczywiście — ponieważ ofiarami stosowanego terroru padają ludzie najniewinniejsi zazwyczaj, tacy, z którymi istotni sprawcy przestępstw, podlegający doraźnej jurysdykcji wojennej, nie czują się bynajmniej solidarni. Wszakże wiadomo, że wszelkich aktów sabotażu dopuszczają się tylko agenci obcy, nawet wówczas, gdy posługują się w tym celu rękami jakichś niepoczytalnych elementów polskich. Że za nich giną spokojni i pożyteczni ludzie, to winowajcom istotnym bardziej jeszcze gwarantuje bezkarność. Nie oni bowiem ponoszą skutki swoich czynów. Mnożące się natomiast branie zakładników i ich nieludzkie kaźnie wstrząsają całą duchowość społeczeństwa i budzą najgorsze instynkty. W duszach polskich wzrasta jedynie beznadziejność, a tej nie pragną chyba żadne rządy.

Nie o wiele lepsze wyniki daje chwytanie na ulicach miast, na kolejach i na drogach publicznych tysięcy ludzi, by ich wysłać do pracy w zakładach przemysłowych Rzeszy. I te metody budzą tylko poczucie niezasłużonej krzywdy i wypełniają serca nienawiścią. Cóż bo czuć mogą nieszczęśliwi rodzice, gdy porywają im ukochane dzieci, nie dając o nich nawet żadnej wieści? Zali w ten sposób można zdobyć zaufanie narodu i pogodzić go z istniejącym regimem? Czyż nie istnieją inne sposoby, bardziej ludzkie rekrutowania potrzebnych pracowników? Czyż idzie tu o to, być może, aby ogół ludności przerazić i raz na zawsze dać jej do zrozumienia, że żyje poza prawem?

A jednak z takich tylko chyba zamiarów zrodzić się mogło również i owo przymusowe wysiedlanie Polaków z ich mieszkań,

wyrzucanie na krańce miasta lub zostawianie bez dachu nad głową. Jakież to niszczenie życia rodzinnego, powodowanie obyczajowej anarchii i marnowanie z trudem przez lat dziesiątki gromadzonego dobytku! A potem jakaż poniewierka fizyczna i moralna?

A potem te wciąż nieustające aresztowania, nie będące w części nawet reakcją na istotne winy. I owe telegramy masowo przychodzące z obozów koncentracyjnych, o bezustannych tysięcznych zgonach ludzi zdrowych i młodych nie obciążonych żadnym faktycznym wykroczeniem. Czy i to jest konieczne dla zadokumentowania siły władzy i charakteru istniejącego ustroju? Czy potrzebne jest, pytam, systematyczne ogładzanie miast przy pomocy tępienia wolnego handlu, mimo że kontyngenty zostały już pobrane, zadośćczyniąc żelaznym wymogom wojny? Na jakież bezdroża moralne i gospodarcze zarazem spycha ten system ludność, będącą w położeniu bez wyjścia! Głód, nędza jednych, a rozbudzona chciwość innych deprawują ludność, a nie są bynajmniej zjawiskiem koniecznym. Zali nie działa na nią anarchizująco generalne zachwianie poczucia własności i warunków bezpieczeństwa, które psują się z dnia na dzień.

Co dzieje się w dystrykcie lubelskim, znane jest Ekscelencji dokładnie. Ludność jest tam od szeregu miesięcy zdana na łaskę i niełaskę bandytów, tajemniczego zgoła pochodzenia, grasujących prawie bezkarnie. A za napady ich tępi się Bogu ducha winnych wieśniaków, nie mających z tą robotą nic wspólnego.

Ekscelencjo, obraz to straszliwy i patrząc nań i przewidując jego skutki, nie mogę milczeć, jako odpowiedzialny za stan duchowy gromad ludzkich, powierzonych przez Boga mojej pasterskiej pieczy. Dziesięcioro Boskich przykazań coraz bardziej przestaje prowadzić je przez życie. Staje się ono nieobliczalne i ponure. Losy narodów są w rękach Opatrzności. Lecz dobra wola i mądrość rządzących niemało mogą wszak uczynić. Te pierwiastki, w mniemaniu naszym, reprezentuje właśnie Wasza Ekscelencja, jako najwyższy rządca tego kraju. Celem Pana, Panie Ministrze Rzeszy, jest i być musi niewątpliwie zdrowa normalizacja stosunków obliczona na dziś i na przyszłość. Interes polityczno-społeczny pokrywa się w tym względzie z usiłowaniami i dążeniem przedstawicieli sprawiedliwości i nauki Bożej. Mało tego — te dwa czynniki wspierać się muszą wzajemnie.

W tym przeświadczeniu pozwalam sobie zwrócić się do Waszej Ekscelencji z prośbą o interwencję w całym szeregu spraw, które wyżej wskazanej zasadniczej i Jego niewątpliwie intencji — stają raczej kategorycznie w poprzek, niż w czymkolwiek do realizacji jej przyczynić się są w stanie. Mam tu na myśli te wszystkie zarządzenia, co nie dając żadnych wyników pozytywnych, drażnią jedynie, przygnębiają lub przyprawiają o rozpacz.

Na pierwszym miejscu muszę postawić stosowanie jako normy prawnej tzw. odpowiedzialności zbiorowej. Jest to okrutna innowacja, porażająca wyobraźnię ogółu, podniecająca, wprowadzająca pierwiastek dzikości, obrażająca wszelkie poczucie sprawiedliwości, a nie dająca żadnych pożądanych rezultatów. I nie mogąca ich dać oczywiście — ponieważ ofiarami stosowanego terroru padają ludzie najniewinniejsi zazwyczaj, tacy, z którymi istotni sprawcy przestępstw, podlegający doraźnej jurysdykcji wojennej, nie czują się bynajmniej solidarni. Wszakże wiadomo, że wszelkich aktów sabotażu dopuszczają się tylko agenci obcy, nawet wówczas, gdy posługują się w tym celu rękami jakichś niepoczytalnych elementów polskich. Że za nich giną spokojni i pożyteczni ludzie, to winowajcom istotnym bardziej jeszcze gwarantuje bezkarność. Nie oni bowiem ponoszą skutki swoich czynów. Mnożące się natomiast branie zakładników i ich nieludzkie kaźnie wstrząsają całą duchowość społeczeństwa i budzą najgorsze instynkty. W duszach polskich wzrasta jedynie beznadziejność, a tej nie pragną chyba żadne rządy.

Nie o wiele lepsze wyniki daje chwytanie na ulicach miast, na kolejach i na drogach publicznych tysięcy ludzi, by ich wysłać do pracy w zakładach przemysłowych Rzeszy. I te metody budzą tylko poczucie niezasłużonej krzywdy i wypełniają serca nienawiścią. Cóż bo czuć mogą nieszczęśliwi rodzice, gdy porywają im ukochane dzieci, nie dając o nich nawet żadnej wieści? Zali w ten sposób można zdobyć zaufanie narodu i pogodzić go z istniejącym regimem? Czyż nie istnieją inne sposoby, bardziej ludzkie rekrutowania potrzebnych pracowników? Czyż idzie tu o to, być może, aby ogół ludności przerazić i raz na zawsze dać jej do zrozumienia, że żyje poza prawem?

A jednak z takich tylko chyba zamiarów zrodzić się mogło również i owo przymusowe wysiedlanie Polaków z ich mieszkań,

wyrzucanie na krańce miasta lub zostawianie bez dachu nad głową. Jakież to niszczenie życia rodzinnego, powodowanie obyczajowej anarchii i marnowanie z trudem przez lat dziesiątki gromadzonego dobytku! A potem jakaż poniewierka fizyczna i moralna?

A potem te wciąż nieustające aresztowania, nie będące w części nawet reakcją na istotne winy. I owe telegramy masowo przychodzące z obozów koncentracyjnych, o bezustannych tysięcznych zgonach ludzi zdrowych i młodych nie obciążonych żadnym faktycznym wykroczeniem. Czy i to jest konieczne dla zadokumentowania siły władzy i charakteru istniejącego ustroju? Czy potrzebne jest, pytam, systematyczne ogładzanie miast przy pomocy tępienia wolnego handlu, mimo że kontyngenty zostały już pobrane, zadośćczyniąc żelaznym wymogom wojny? Na jakież bezdroża moralne i gospodarcze zarazem spycha ten system ludność, będącą w położeniu bez wyjścia! Głód, nędza jednych, a rozbudzona chciwość innych deprawują ludność, a nie są bynajmniej zjawiskiem koniecznym. Zali nie działa na nią anarchizująco generalne zachwianie poczucia własności i warunków bezpieczeństwa, które psują się z dnia na dzień.

Co dzieje się w dystrykcie lubelskim, znane jest Ekscelencji dokładnie. Ludność jest tam od szeregu miesięcy zdana na łaskę i niełaskę bandytów, tajemniczego zgoła pochodzenia, grasujących prawie bezkarnie. A za napady ich tępi się Bogu ducha winnych wieśniaków, nie mających z tą robotą nic wspólnego.

Ekscelencjo, obraz to straszliwy i patrząc nań i przewidując jego skutki, nie mogę milczeć, jako odpowiedzialny za stan duchowy gromad ludzkich, powierzonych przez Boga mojej pasterskiej pieczy. Dziesięcioro Boskich przykazań coraz bardziej przestaje prowadzić je przez życie. Staje się ono nieobliczalne i ponure. Losy narodów są w rękach Opatrzności. Lecz dobra wola i mądrość rządzących niemało mogą wszak uczynić. Te pierwiastki, w mniemaniu naszym, reprezentuje właśnie Wasza Ekscelencja, jako najwyższy rządca tego kraju. Celem Pana, Panie Ministrze Rzeszy, jest i być musi niewątpliwie zdrowa normalizacja stosunków obliczona na dziś i na przyszłość. Interes polityczno-społeczny pokrywa się w tym względzie z usiłowaniami i dążeniem przedstawicieli sprawiedliwości i nauki Bożej. Mało tego — te dwa czynniki wspierać się muszą wzajemnie.

z drem Bühlerem. Omówiliśmy uprzednio wszystkie sprawy mające być przez nas poruszonymi, podzieliliśmy te tematy i sposób ich stawiania dokładnie pomiędzy sobą, by z przebiegu konferencji przynajmniej z naszej strony jak najwięcej osiągnąć — przyznać muszę, że nie spodziewałem się, że Książę Metropolita, z którym pierwszy raz byłem na tego rodzaju naradzie, potrafi tak to wszystko, co ułożyliśmy ze sobą, nie tylko zapamiętać, ale tak być opanowanym i spokojnym, a jednocześnie tak swą osobą wzbudzić należny respekt.

Przyszliśmy parę minut za wcześnie, przyjął nas w imieniu dra Bühlera dr Siebert, prezydent wydziału głównego spraw wewnętrznych, o którym już niejednokrotnie wspominałem, jako o człowieku wysoce kulturalnym i stojącym ponad panujące u władz narodowo-socjalistycznych zwyczaje. Rozegrała się w czasie rozmowy z nim dosyć charakterystyczna scena, charakteryzująca stosunki. Oto zapytał on mnie w obecności Metropolity, jakaż teraz jest moja formuła zagadnienia tej wojny? — w formie półserio odpowiedziałem, że naturalnie z mojego punktu widzenia, Polaka, nie widzę innej, jak tę, by Niemcy zwyciężyli na wschodzie, a byli pobici na zachodzie. Dr Siebert także półserio zwrócił się do Księcia Metropolity z zapytaniem, co on o mej formule sądzi? Na to Książę bez wahania i serio zupełnie odpowiedział, że zupełnie me zdanie w tym względzie podziela. Jedynie uśmiech pełen zrozumienia dla naszego stanowiska ze strony dra Sieberta był wymowną odpowiedzią na oświadczenia nasze.

Wezwano nas w tej chwili do gabinetu sekretarza stanu, gdzie poza drem Bühlerem i drem Siebertem zastaliśmy jeszcze dra Schöngarta, zastępcę szefa policji Krügera, i radcę Weiraucha, wspominanego już nieraz przeze mnie szefa wydziału opieki społecznej w GG, a bezpośredniego do RGO przydzielonego wyższego urzędnika.

Gdy piszę te słowa, mam przed sobą protokół sporządzony z tej konferencji i podpisany przez ks. Sapiehę. Przejdę po kolei, jak były poruszane tematy omawiane na tej konferencji.

Więc rozpoczął ją dr Bühler, który w krótkim przemówieniu, w swej formie nadzwyczaj uprzejmym, oświadczył, że na skutek listów naszych do generalnego gubernatora zaproszeni zostaliśmy dla omówienia spraw w tych listach poruszonych — że on, stojąc na czele rządu tego kraju, zawsze za obowiązek swój uważał łagodzenie tego, co w stosunku do ludności polskiej niesie ze sobą wojna — wreszcie, zwracając się do Księcia Metropolity, prosił go o wypowiedzenie się specjalnie na temat faktów dotyczących spraw poruszonych w jego liście.

W odpowiedzi na to zaproszenie Książę Metropolita przede wszystkim podkreślił, że fakty, o które chodzi, są powszechnie znane, więc właściwie nawet nie wymagają dowodów, lecz że on chce przede wszystkim poruszyć sprawę tzw. kolektywnej odpowiedzialności stosowanej w czasach ostatnich powszechnie przez władze. Odpowiedzialność ta pociąga za sobą liczne a najczęściej niewinne zupełnie ofiary, zaś nie osiąga celu. Sam on widział straszny obraz powieszonych za rzekome zamordowanie policjanta w Woli Duchackiej pod Krakowem i jest przekonany, że byli oni w większej części niewinni. Podobny przykład przytoczył w sprawie zesłania do obozu w Oświęcimiu około stu osób zaaresztowanych w kawiarni „Plastyków" w Krakowie, wreszcie to, co się działo z powodu rzekomych sabotaży w Warszawie, Ostrowcu i innych miejscach, gdzie liczne bardzo ofiary poniosły śmierć.

Dr Schöngart replikował, że fakty takie miały miejsce, ale tylko wtedy, gdy ludność miejscowa tam, gdzie się zdarzyły karygodne wypadki, nie chciała wydać ich sprawców, zaś specjalnie w Warszawie stwierdził, że ani jeden z wymienionych na liście i wziętych na zakładników nie został ukaranym.

Na to Książę Metropolita przytoczył jaskrawy wypadek śmierci w Oświęcimiu zupełnie niewinnego starca, artysty rzeźbiarza Puszeta. Następnie przeszedł do drugiego punktu nader boleśnego dla społeczeństwa polskiego, mianowicie do rozporządzenia o wstrzymaniu wyżywienia dla dzieci, rzeczy zupełnie niezrozumiałej w dziedzinie niesienia pomocy dla ludności.

Na powyższe zareplikował ze swej strony pan radca Weirauch, jako kierownik opieki społecznej, w tej formie, że rozkaz powyższy otrzymał odpowiednie komentarze władz, wyjaśniające, że chodzi tutaj o to, by dzieci nie były specjalnie uprzywilejowane w stosunku do dorosłych, których praca szczególniej jest potrzebną. Ustalonym zostało, że z rozporządzalnych środ-

ków pomocy powinno być oddane nie więcej jak 20% dla dzieci, wreszcie że udzielenie pozwolenia na otworzenie domu dziecka w Rymanowie dowodzi, że nie chodzi tutaj o rozporządzenie skierowane specjalnie przeciwko dzieciom. Rozwijając dalej ten temat Książę Metropolita przytoczył jaskrawy przykład zamykania ochronek w Tarnowie.

Na żądanie obecnych wyjaśniłem, że rozporządzeniem tym było dotkniętych szereg ochronek i że miało ono być oparte jakoby na tej podstawie, że nie było na nie pozwolenia, gdy tymczasem faktem stwierdzonym jest, że ochronki te przekazane zostały RGO przez obecnego gubernatora Kundta, który wówczas był starostą powiatowym w Tarnowie. W dalszej konsekwencji nieposiadania odpowiedniego pozwolenia ukarano komitet grzywną w wysokości 15 000 zł. Dla wszystkich obecnych przedstawicieli władz opisane fakty zdawały się być zupełnie nieznanymi, a sekretarz stanu dr Bühler oświadczył, że sprawa będzie natychmiast zbadaną i doprowadzoną do należytego porządku.

Następnie Książę Metropolita poruszył tak bolesną dla niego, jak to podkreślił, sprawę usunięcia duchowieństwa katolickiego od akcji charytatywnej w komitetach opiekuńczych RGO. Stwierdził on, że duchowieństwo już tylko na podstawie samych zasad religii ma obowiązek zajmować się miłosierdziem i że chciałby wiedzieć, jak daleko sięga zakres tego niezrozumiałego dla niego zakazu. Na powyższe wyjaśnił pan Weirauch, że zakaz ten nie staje na przeszkodzie księżom w zbieraniu składek na cele charytatywne i niesieniu pomocy, ale dotyczy udziału we władzach komitetów i delegatur.

Zabrałem głos i podkreśliłem wytworzoną z tego powodu sytuację dla RGO, szczególnie zaś dla działalności właśnie delegatur, bowiem włościanin polski nie zrozumie nigdy i wytłomaczonym to jemu być nie może, dlaczego duchowieństwo się usuwa. Wskutek tego zakazu zrodzić się musi obawa dalszej pracy w RGO, która nie będzie w możności przedstawienia kandydatów na miejsce ustępujących księży. Wreszcie zwróciłem się do dra Bühlera z prośbą, by jeżeli nie można już rozporządzenia tego odwołać, to żeby wykonanie jego przynajmniej zostało odłożonym. Uzyskaną została obietnica rozpatrzenia i przychylnego załatwienia tej sprawy.

Książę Metropolita podkreślił wtedy niezliczone aresztowania ludzi, jego najbliżej interesujące aresztowania księży.

Replikował na to twierdzenie sekretarz stanu Bühler podnosząc, że Kościół katolicki ma pełną swobodę działania, a procent księży, którzy ucierpieli w ciągu tej wojny, nie jest znaczny. To samo potwierdził dr Schöngart, co jednak spotkało się z ostrą odpowiedzią Księcia Metropolity, który przytoczył nazwiska księży zmarłych w obozach poza około stu jezuitami, których takiż los spotkał.

Wtedy dr Schöngart zapytał, kiedy ten fakt miał miejsce, i gdy otrzymał odpowiedź, że w pierwszych dwóch latach wojny, zwrócił się do mnie i powiedział, że chwała Bogu jego jeszcze w tym czasie w Krakowie nie było.

Wreszcie Książę Metropolita poruszył sprawę brania dzieci ze szkół do pracy w Rzeszy i podkreślił straszny los rodziców i stan wielkiego niepokoju z tego powodu w społeczeństwie polskim. Na powyższe, chcąc widocznie podziałać uspokajająco, dr Siebert oświadczył, że tak w GG, jak i w Rzeszy potrzebną jest praca małoletnich, stosowana już w Rzeszy od dłuższego czasu, i że w czasie wojny, takiej jak ta, jest to zrozumiałym. Nie zadowoliło to wcale Księcia Metropolity, który na to oświadczenie krótko się odezwał, że wojny myśmy nie chcieli i jej nie wypowiadali, i zażądał, by dzieci w wieku szkolnym nie były brane do robót, na co wyrażono chęć uwzględnienia tego postulatu.

W sprawie robotniczej poruszonej w związku z powyższym postawiłem wniosek poparty przez dra Sieberta i radcę Weiraucha uznania konieczności udzielenia RGO prawa opieki nad pracownikami wysyłanymi do Rzeszy, a specjalnie nad ich rodzinami. Uznano, że do zakresu tej opieki i jej form nastąpić winno w najkrótszym czasie porozumienie z RGO, zaś już obecnie, jak wyraził się dr Siebert, należy porządek w tej sprawie wprowadzić.

Skorzystałem wtedy z udzielonego mnie głosu, by zobrazować stan prac RGO i jej wielkie bolączki i potrzeby w czasach ostatnich, spowodowane przede wszystkim niedotrzymaniem przez odnośne władze danych w swoim czasie obietnic.

Dotyczyło to w pierwszej linii sprawy przydziału żywności i funkcjonowania kuchen RGO. Kuchnie te, jako podstawową część działalności Rady w 80% zamknięto, bo od kwietnia tego roku nie

miały już żadnych przydziałów. We wrześniu tego roku uzyskanym zostało przyrzeczenie ze strony prezydenta wydziału wyżywienia Naumanna, że przydziały żywnościowe będą niezwłocznie wydane, gdy tymczasem mijają miesiące, kuchnie trzeba zamykać i nie otrzymano w RGO żadnego zarządzenia ostatecznie załatwiającego tę tak ważną sprawę pomocy ludności, bez której planowa praca RGO jest zupełnie wykluczoną. Wytworzony stan rzeczy wywołuje takie anomalie, że w Radomiu np. komitet opiekuńczy otrzymuje rozkaz od władz utrzymywania kuchen bezwarunkowo w ruchu, a jednocześnie nie otrzymuje nic na przydziały, nie mając też prawa nabywania produktów na wolnym rynku.

W odpowiedzi na to dr Bühler oświadczył, że sprawa przydziałów została już załatwioną pozytywnie i że już na nadchodzące święta będzie RGO z nich mogła korzystać. Rozmiar przydziału ustalonym został w granicach nie mniejszych niż w roku ubiegłym, przy czym na zapytanie Księcia Metropolity, jak może człowiek wyżyć na podstawie otrzymanych kartek, pan Bühler podkreślił, że poza kontyngentem otrzymanym od władz istnieje wolny rynek i że jest mu wiadomym, że ten stan rzeczy celowo jest tolerowanym.

Gdy przeszedłem do spraw finansowych, oświadczył dr Siebert, że już obecnie może mnie zakomunikować, że udzieloną została RGO tymczasem jednorazowa dotacja w sumie 1 750 000 zł, która to suma może być natychmiast podniesioną i ze względu na święta ułatwi RGO jej położenie. W związku z tym poruszyłem nie uregulowaną dotychczas nigdzie w GG sprawę pozwolenia na ofiary w gotówce i naturze. Ustalonym zostało, że wydane będą odpowiednie okólniki pozytywnie załatwiające tę sprawę.

Wtedy przeszedłem do sprawy najboleśniejszej dla RGO, a dotyczącej atmosfery, w której musi ona pracować z dwóch głównie powodów nie do zniesienia — jeden z nich, to traktowanie przez władze instytucji przecież posiadającej oficjalne prawo do prowadzenia swej pracy w określonych statutem granicach — drugi, to owe aresztowania, co do których zostały złożone władzom ze strony RGO posiadane dane, a na które jedyną odpowiedzią jak dotychczas jest szereg wiadomości o zgonach w obozach ludzi, na których, jako ludzi niewinnych, RGO liczyło, że będą

zwolnieni. Na to oświadczenie replikował dr Schöngart, że o ile mu wiadomo, już odpowiedź była daną. Po wyjaśnieniu, że dotyczyła ona owych sześćdziesięciu spraw pracowników RGO zbadanych i że pięć wypadków nie nastręcza wątpliwości co do braku winy. Ponieważ oświadczyłem, że nawet i te osoby nie powróciły, dr Schöngart z pewnym zakłopotaniem oświadczył, że dołoży starań, by sprawa ta została szybko wyjaśnioną.

Wreszcie przeszedłem do sprawy równie bolesnej dla RGO, jak powyższa, mianowicie do sprawy wysiedleń. Tutaj na czoło zagadnienia występuje przede wszystkim sprawa dokonywanych obecnie w zimie wysiedleń w mieście i powiecie zamojskim. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi otrzymało rozkaz wyniesienia się — czasem nawet w ciągu dziesięciu minut dosłownie — nie zabierając nic ze sobą. Co zaś najstraszniejsze i co doprowadza ludność dotkniętą tym strasznym nieszczęściem do stanu rozpaczy, to fakt w dziejach niebywały rozdzielania rodzin. Dzieci są wywożone w niewiadomym kierunku, zdolni do pracy do Rzeszy, zaś starcy i kobiety wywożeni również, i to bez wiadomości, jaki ich los ma spotkać. To wszystko dzieje się w środku zimy, a w dodatku ci, którzy chronią się przed tym losem, usuwając się do krewnych lub sąsiadów, uważani są za bandytów i są ścigani jako tacy!

Obecni przedstawiciele władzy, którzy zdawali się dotknięci tymi wiadomościami jakby czymś dla siebie zupełnie nieznanym i nowym — obiecali tą sprawą niezwłocznie się zająć i zbadać dokładnie i wydać, jeżeli nie rozporządzenie o odwołaniu, to co najmniej ją w rozmiarach i formach złagodzić.

W sprawie przesiedlenia mieszkańców miast władze podkreśliły, że jest ono wynikiem konieczności wojennych i przyrzekły także srogość owego rozporządzenia złagodzić. Na moją uwagę, że wykonywane ono jest w ten sposób, że mieszkańcy miast są siłą wyrzuceni, a starostowie nie przyjmują ich nigdzie i zakazują meldować, zawstydzony po prostu dr Siebert obiecał znowu natychmiast tę anomalię uporządkować.

Na tym narady zamknięto, przy czym sekretarz stanu Bühler oświadczył gotowość przyjęcia w każdej chwili tak Księcia Metropolitę, jak i mnie dla wysłuchania osobiście tych wszystkich

spraw, które byśmy chcieli mu przedstawić, stwierdzając pełną swą dobrą wolę pozytywnego ich załatwienia.

Wrażenie odniesione z tej konferencji było dwojakiej natury dla nas — jedno dotyczące specjalnie spraw RGO, drugie natury raczej ogólnej. Dla RGO osiągnęliśmy pozytywne korzyści i obietnice, które tym razem, wbrew utartemu zwyczajowi, zostały dotrzymane. Co do spraw natury ogólnej, to konferencja ta jaskrawo uwydatniła, jak dalece władze cywilne w rządzeniu krajem są pozbawione wszelkiego prawa decyzji, które należy wyłącznie do Gestapo — lecz i tutaj skonstatować należy, że i w tej osławionej instytucji nie było jednolitości w działaniu, bowiem np. sprawa wysiedlania miała dwa źródła decyzji w odniesieniu do GG — jedno na miejscu w Krakowie, drugie znacznie bezwzględniejsze i nie liczące się z żadnymi zasadami — w Berlinie. Tak więc już nie dwutorowość, ale wielotorowość stawała się cechą dominującą w sposobie rządzenia stosowanym przez regime narodowo-socjalistyczny, który dochodził do tego, że ani prawo własności, ani słowo dane, ani dawniej dla Niemców tak powszechne poszanowanie nauki i jej przedstawicieli, nie obowiązywały w wykonaniu władzy tych nowych „Kulturträgerów", którzy za prawo uważali tylko to, co służyło dobru przyszłych wielkich Niemiec, zaś to, niestety, ze zbrodnią nieraz miało wiele wspólnego.

W każdym razie konferencja odbyta ukróciła serię szykan, które w końcu roku 1942 zdawały się planowo i całymi seriami spadać na RGO — dała też nam to przeświadczenie, że nie należy nigdy tracić energii, a tym bardziej nadziei na przyszłość. W stosunku zaś do władz utwierdziła nas w przekonaniu, że nie należy nigdy ustępować, a obstawać zawsze wytrwale przy tych żądaniach swoich, które są na słuszności ich oparte — wbrew panu Krügerowi nawet udało się nam wywalczyć przecież istnienie domów dziecka — wbrew Berlinowi powstrzymane zostały tym razem, aczkolwiek zdążyły już zrobić tyle zła, owe nieszczęsne wysiedlenia — wbrew twierdzeniu ogólnemu wytrwale przeze mnie prowadzone interwencje dały jednak w rezultacie zwolnienie lub ulgi dla wielu ludzi, czyż więc należało je zaniechać i wszystko puścić na flukty fantazji i sadyzm panów z Gestapo?

Tak więc rok 1942-y kończyliśmy w RGO z uczuciem, że nie dajemy się pokonać nieszczęściu wiszącemu nad krajem i że walka z nim musi być wytrwale prowadzoną i nieustępliwą, a zawsze przynieść musi pewne rezultaty, nie zadawalające nas w pełni, ale przynajmniej dające moralne zadowolenie, że tę walkę się prowadzi w imię dobra ogólnego.

Były też i moralne zadowolenia jakby wyższego rzędu, zaliczyć tu muszę podsumowane rezultaty mej propagandy politycznej, podsumowanie to bowiem na koniec roku tego wypadło nader pomyślnie, bo ze wszystkich powiatów w GG miałem już akcesy do mojego tzw. credo, no i to, co mnie najwięcej wewnętrznego sprawiało zadowolenia to to, że nie doświadczyłem ani jednej odmowy od tych, których do pracy projektowanej zapraszałem.

Nieliczne były jednak te momenty zadowolenia, gdyż spoglądając w końcu roku tego w przyszłość, patrzało się ze smutkiem i obawą. Nadzieje, które w końcu roku ubiegłego zdawały się mieć wszelkie szanse urzeczywistnienia, rozwiewały się jakby obecnie, a na horyzoncie zaczynało się zarysowywać coraz to groźniej nowe i wielkie niebezpieczeństwo ze strony Sowietów. Zaczynały one w konstelacji państw alianckich prawa Polski w sojuszu zachodnim jakby coraz bardziej przyćmiewać i pomimo sukcesów generała Sikorskiego w Washingtonie — po prostu spychały Polskę na miejsce poślednie, odbierając jej należne prawa do życia. Do tych smutnych przeczuć, które wielu z nas gnębiły po prostu, przychodziły złowrogie pomruki od dołu. Już wówczas, przykładając ucho do ziemi, można było zauważyć owo tętno organizacyjnego życia PPR i innych wywrotowych agend bolszewickich na ziemiach naszych. Gdy się krytycznie patrzeć musiało na poczynania Delegatury Rządu, tolerowanie przez nią nieopatrzne owych band ludzi leśnych, żyjących z rabunku, wynikiem których był zupełny zanik bezpieczeństwa na wsi — przerażenie ogarniać musiało na myśl o tym, ku czemu idziemy i co nas jeszcze czeka?

Dwa wypadki, które miały miejsce w końcu roku tego, jakby przypieczętowały w sposób nader tragiczny ten okres naszych przeżyć.

Pierwszy z nich był z dziedziny zaświatów. Oto we Lwowie w pracach naszego komitetu brała czynny udział panna Fulla Horak, wychowanka Sacré Coeur we Lwowie i mająca specjalny kult dla św. Zofii Barat, założycielki tego zgromadzenia. Mówiono, że Święta Pani ukazywała się swej pupilce, dając jej nieraz zbawienne rady. Zapewniano mnie, że dzięki tym widzeniom panna Horak stała się osobą o wielkiej osobistej wartości moralnej i że wiele dobrego robi ona na terenie Lwowa i naszej tam pracy. W końcu grudnia zupełnie niespodziewanie dla mnie miałem jej wizytę u siebie w Krakowie — przyszła ona do mnie z moimi przyjaciółmi Adamami Potockimi, którzy ją dobrze znali i właśnie mnie o niej tyle pochlebnych rzeczy w swoim czasie mówili. Przyszła do mnie osoba przedstawiająca uosobienie szlachetnej skromności, miła z widzenia i wzbudzająca na pierwszy już rzut oka duże zaufanie. Powiedziała mi, że uważa za swój obowiązek zakomunikować mi to, co w dniach ostatnich w czasie widzenia usłyszała od Świętej Pani — ponieważ dotyczyło to Polski i jej losu, poczytywała sobie za rzecz niezbędną mnie o tym powiadomić. Głosem spokojnym, lecz wysoce przejętym treścią wypowiadanych słów zakomunikowała mi, że powtarza dosłownie wypowiedziane do niej słowa swej opiekunki świętej — były one następujące:

„Ciężkie bardzo chwile czekają Polskę, wiele krwi w niej jeszcze popłynie, a co najgorsze, że spłynie ona krwią własną. Jedynie w oparciu o Krzyż może ona znaleźć zbawienie, toteż wszyscy uczciwi i silni muszą się oprzeć o Krzyż i mocni duchem winni bronić Ojczyzny swojej. Sikorski do kraju nie wróci".

Krótkie to było oświadczenie, ale jakże mocne i niedwuznaczne. Gdy zapytałem jej, co znaczy ostatnie zdanie o Sikorskim, powiedziała mi bez wahania, że tak było to jej powiedzianym, a ona swoich komentarzy do tego nie ma. Przeniknięci byliśmy wszyscy bardzo treścią usłyszanych słów, pomimo że dalecy byliśmy od przypuszczenia, że w tak fatalny i dosłowny sposób się sprawdzą.

W dwa dni później miał miejsce wypadek drugi wstrząsający swym realizmem i bohaterstwem ponad wszelką miarę. Zawiadomiony zostałem, że we wsi Liszki pod Krakowem rozegrywa się tragedia straszna. Oto dwudziestu trzech chłopców, synów włościan z tej wsi, zaciągnęło się do tworzącej się wówczas armii

podziemnej i dumni ze swej roli, jako obrońców Ojczyzny, zjawili się w czasie świąt, by odwiedzić rodziców. Wyśledzeni przez Gestapo zostali otoczeni i zamknięci w stodole — żądano od nich pod groźbą podpalenia stodoły, by się przyznali, że służą w AK. Dano im na to godzinę czasu, przygotowując tymczasem materiał palny około budynku. Rodzice, zwiedziawszy się, o co chodzi, zjawili się na miejscu i zachęcali synów do nieprzyznawania się do niczego i wytrwania dla dobra Ojczyzny. Stodoła została podpaloną wobec oporu młodych, którzy wszyscy zginęli. Gdy w tym momencie przybyłem, nie było już nic do uratowania, jedynie wkoło pogorzeliska stojący włościanie cicho zawodzili, a przed nimi stojący oprawcy z Gestapo robili wrażenie, jakby nie śmieli podnieść oczu na tych cichych bohaterów spełnionego przez dwa pokolenia obowiązku wobec Ojczyzny, nie zapisanego w żadnym kodeksie, ale przez polskie i ofiarne dyktowanie serca.

Część czwarta
Rok 1943

Czy to pod wrażeniem jeszcze silnym bardzo tego, co powyżej pisałem, czy też dlatego, że miałem jakby już przedsmak zbliżającej się szybkim tempem choroby, która mnie na długie miesiące niebawem położyła — dosyć, że Rok Nowy dla mnie rozpoczynał się w przygnębieniu wielkim i trosce o to, co nam przyszłość przyniesie, i jak to złe, co przynieść może, najskuteczniej zażegnać. Toteż w gronie najbliższych swoich rozważaliśmy z przejęciem większym niż kiedykolwiek dawniej to wszystko, co nas czekać może, jak się do tego należycie przygotować. Przede wszystkim poddaliśmy skrupulatnej rewizji plan prac RGO na najbliższą dobę i prace oraz sposób ich wykonywania dotychczasowe.

Czuliśmy wszyscy zgodnie, że idziemy szybkim tempem do momentów coraz większej wagi dla przyszłości naszej, czuliśmy, że nie idzie wszystko tak, jakbyśmy tego pragnęli — mnie zaś może wskutek męczącej mnie stale od miesięcy niebywałej bezsenności, po prostu prześladowało uczucie, którego w żaden sposób pozbyć się nie mogłem, że ciągle coś zaniedbuję i że nawału spraw oczekujących załatwienia nie umiem już opanować, i że wobec tego praca cała moja staje się bezowocną, a ja nie jestem na wysokości leżącego przede mną zadania do spełnienia.

Toteż gorączkowo i chorobliwie każdego nadchodzącego dnia spychałem nagromadzone sprawy, zaś wieczory poświęcałem z mymi przyjaciółmi rozważaniu zadań przed nami się zarysowujących i szukaniu sposobów najskuteczniejszych dla ich rozwiązania.

Tymczasem nowe skomplikowane, a bardzo boleśne nabrzmiewały sprawy. Jedną z pierwszych, którymi mnie Rok Nowy powitał, była wielka bolączka owych dni — sprawa żydowska. Dobiegała ona do swego tragicznego, zdawało się, już bliskiego końca. Niemcy z bezwzględnością i zaślepieniem, których jako tako kulturalny człowiek nie jest w stanie pojąć, tępili Żydów w GG w sposób straszny za pomocą kuli, ognia i gazów trujących. Obóz zbudowany w Majdanku pod Lublinem miał nowocześnie zbudowane urządzenia dla zabijania ludzi, a przede wszystkim Żydów, obliczone na przeszło tysiąc osób dziennie. W Warszawie Żydzi w getcie bronili się bohatersko przed atakami ze strony niemieckiej prowadzonymi w sposób urągający wszelkiej kulturze i ludzkości. Opisywane sceny z tego, co tam miało miejsce codziennie — mroziły krew w żyłach. Kobiety, by ratować się z dziećmi przed niemieckimi żołdakami, rzucały się z dachów domów wraz z nimi na ulicę i w śmierci wspólnej szukały dla rodzin całych zakończenia przeżywanych katuszy. Tymczasem w Krakowie utrzymywano przez władze niemieckie pozory organizacji pomocy dla Żydów, by za granicą móc się na istnienie jej powoływać i ofiarność stamtąd idącą nie osłabiać. Dr Weichert, jeden z bohaterów tej strasznej tragedii, z drem Hilfsteinem i kilkoma innymi, nie licząc się z żadnymi niebezpieczeństwami, decydował się dalej trwać na swej placówce, bo zawsze coś ulgi przynosiła ona jego współwyznawcom. Ja osobiście związany zobowiązaniem danym po rozwiązaniu NRO razem z drem Hellerem, przedstawicielem Czerwonego Krzyża Niemieckiego, spełnialiśmy bardzo ciężki obowiązek bronienia darów nadeszłych dla Żydów od tego, by były konfiskowane i zabierane bezprawnie, a bezczelnie przez tych Niemców, do których trafiły one po drodze do Polski. Na szczęście podpisywanie kwitów musiało być dokonywanym przeze mnie i dra Hellera, oprócz przedstawiciela organizacji żydowskiej. W pierwszych dniach stycznia wynikł poważny konflikt na tle tego, że Gestapo zapragnęło jakichś medykamentów nadeszłych od dra von Vyssa z Genewy, a których

część wydzieloną została przez RGO, jako przypadająca dla Żydów. Żądano już nie tego, by im wydać owe medykamenty, ale jeszcze byśmy odbiór ich w imieniu Żydów pokwitowali.

Wezwany w dniu 6 stycznia do Niemieckiego Czerwonego Krzyża, gdzie czekali przedstawiciele Gestapo, wraz z drem Hellerem, nie miałem żadnych wątpliwości co do tego, jak postąpić należy, i że jedynie odmówienie podpisu jest naszym wyraźnym obowiązkiem. Fakt, że żądano tego podpisu od nas w sposób brutalny, świadczy dobitnie o tym, jak wykonywanie rozkazów w sprawie tępienia Żydów zaślepiało niemieckich oprawców, którzy z takimi żądaniami uważali za możliwe do nas się zwrócić. Żeby nie interwencja nasza do władz wyższych, nie wiem, jak sprawa ta mogła się zakończyć.

W dniu 10 stycznia zawezwany zostałem do Warszawy w sprawie bardzo boleśnej dzieci z Zamojszczyzny. Niezwykłym był po prostu temat narad naszych w RGO w związku z tą sprawą. Oto rozeszły się po Warszawie, nie wiadomo przez kogo rozsiewane, pogłoski, że do Warszawy na dworce kolejowe, jak utrzymywano na Pradze, na boczne linie, przybyły przywiezione przez Niemców całe transporty dzieci odebranych rodzicom w Zamojszczyźnie i że owe dzieci można kupić po prostu od urzędników kolejowych po cenie 50 zł za główkę. Pogłoska sprawdzona przez nas okazała się tylko potworną złośliwie przez kogoś puszczoną plotką. Tłumy jednak ludzi zaczęły się schodzić do RGO z oświadczeniem życzenia wzięcia tych biednych dzieci na wychowanie. Gdy spotkały się one z wyjaśnieniem, że to wszystko jest plotką, posuwano się do zarzucania RGO potwornego zaniedbania, powodującego śmierć wielu dzieci etc., i dopominano się o urzędowe wyświetlenie całej sprawy. Nieszczęśliwym w dodatku zbiegiem okoliczności w tym samym czasie przybyło do Warszawy do schroniska RGO trzydzieści pięć dzieci z Siedleccczyzny, które pochodziły z Zamościa i były przywiezione do szpitala dla leczenia na jakąś nieznaną chorobę. Wystarczyło, by wiadomość o przybyciu tych dzieci do schroniska RGO rozeszła się po mieście, by przed tym schroniskiem gromadzić się zaczęły znowu tłumy ludzi, z których jedni, naprawdę dobrym sercem kierowani, chcieli dzieci zabierać, drudzy rozdmuchiwali z wybitną złą wolą potworną plotkę. Udzielane przez nas wszystkim szczegółowe wiadomości o tym, co z dziećmi z Zamojszczyzny się dzieje, gdzie są i kto się nimi zajmuje, nie wystarczały przez czas dłuższy dla pokonania tej plotki. Wyszły przy tym na jaw dziwne jakby cechy dobroczynności warszawskiej, gdy bowiem na żądanie dania dzieci na wychowanie, po wyjaśnieniu, że dzieci z Zamojszczyzny nie ma, ale są jeszcze biedniejsze dzieci z Warszawy — warszawiacy odwracali się jakby obrażeni, że im się daje nie ten towar, którego żądali.

Tymczasem dzieci z Zamojszczyzny w liczbie, która przekroczyła cztery tysiące, aczkolwiek biedne bardzo i najczęściej nie wiedzące, co się z ich rodzicami stało, znalazły należną opiekę w instytucjach RGO, lecz nie w Warszawie, ale w komitetach prowincjonalnych. Ofiarowały one chętnie swą pomoc i otrzymały na ten cel zebrany w kraju fundusz przekraczający półtora miliona złotych. Do niego doszły dary w naturze i w formie takiej, jak ofiarowane przez browar Haberbusza i Schiele* w Warszawie schronisko i szpitalik w Mordach koło Siedlec i inne przytułki, których budową i urządzeniem zajęły się różne instytucje i grupy ludzi dobroczynnych. Dzieci więc te znalazły opiekę pod wieloma względami wzorową i przy której wiele osób szczególniej z młodzieży żeńskiej miało piękne pole do wykazania się pracą społeczną.

Po powrocie do Krakowa w dniu 15 stycznia miałem specjalne posiedzenie Rady poświęcone wysłuchaniu sprawozdania Komisji Rewizyjnej RGO, w skład której wchodzili panowie Seweryn Dolański, jako prezes, i Greger, Miśkiewicz, Kuhn i Danek, jako członkowie, wszyscy zaproszeni przez Radę, by nie tylko sprawdzili księgi, ale i w imieniu społeczeństwa swe zdanie o całości prac Rady wypowiedzieli i uwagi odnośne sformułowali. Ostateczny protokół Komisji odczytany przez pana Dolańskiego stwierdzał, że Komisja Rewizyjna z poczynaniami Rady jest zupełnie zgodną, a w księgach i biurowości znalazła wzorowy porządek. Ponieważ nie było to oświadczenie szematycznym sformułowaniem protokółu, lecz rezultatem starannych badań i sumiennej bardzo pracy, a wiele uwag zrobionych trafiało nam do przekonania i mogły być cennymi wskazówkami na przyszłość. Przyjmując więc z rąk przewodniczącego protokół Komisji, w serdecznym to-

nem nacechowanym przemówieniu podziękowałem za dokonaną pracę, którą przyjęliśmy jako głos i opinię społeczeństwa naszego, któremu wiernie służyć i pomagać dla ratowania substancji Narodu naszego przyrzekaliśmy.

W końcu stycznia oznajmił mi dr Siebert, że z powodu śmierci ojca swego, premiera w Bawarii, musi on wyjechać dla objęcia tam stanowiska ministra finansów i opuszcza GG. Gdy mu wyraziłem żal nasz z powodu tego, oświadczył mi, że nie stracimy na zmianie, bowiem na miejsce jego ma przyjść dr Losacker, człowiek bardzo mu bliski poglądami i sposobem postępowania, a mający jeszcze jeden bardzo dla nas ważny atut, bo odwagę i możność rozmawiania z Gestapo. W parę dni potem poznałem dra Losackera i miałem z nim dłuższą rozmowę, w której zgodnie z jego życzeniem zapoznałem go z najważniejszymi sprawami dla nas najbardziej nabolałymi. Naturalnie powiedziałem mu, co myślę o sprawie wysiedleń, sprawie robotniczej przyjmującej coraz dziksze kształty po prostu handlu niewolnikami, sprawę zmuszenia do przyznawania się do niemieckości na skutek brzmienia nazwiska, wreszcie o wszystkich innych czyniących życie człowieka pod okupacją niemiecką po prostu nie do zniesienia. Dr Losacker zrobił na mnie wrażenie nader dodatnie, obiecał mi sprawom tym wszystkim, zresztą w porozumieniu i w kolaboracji ze mną, poświęcić tyle czasu, ile będzie potrzeba, by ze zrozumieniem potrzeb i praw ludności polskiej, bez zwłoki żadnej mogły one być uporządkowane ostatecznie. Pierwszy był to człowiek, który w GG nie bał się Polaków nazywać Polakami.

Dziwnym zbiegiem okoliczności nazajutrz po spotkaniu z drem Losackerem wezwany zostałem gwałtownie do Tarnowa, gdzie sprawa tzw. Deutschstämmige, czyli osób pochodzenia niemieckiego przyjmować zaczęła potworne kształty. Już na stacji czekał mnie dr Kryplewski, prezes miejscowego Komitetu, by mnie niezwłocznie w bieg sprawy wprowadzić. Pojechaliśmy zaraz na posiedzenie, na którym zapoznałem się z przebiegiem wypadków następującym. Na określony dzień wezwano imiennie około czterechset osób w Tarnowie, by stawiły się o wskazanej godzinie do sali kina, gdzie miejscowy Kreishauptmann, zaprosiwszy notabene do stołu prezydialnego ks. prałata Bochenka, nadzwyczaj poważnego

przedstawiciela duchowieństwa katolickiego, otworzył posiedzenie przemówieniem, w którym podkreślił dobrodziejstwo, jakie władze niemieckie chcą wyświadczyć tym, którzy mają krew niemiecką w swych żyłach, przez przyjęcie ich z powrotem do wielkiej rodziny germańskiej. Wyliczał on wszelkie z tym związane przywileje i zakończył tym, że na przygotowanych w sali stołach są formularze wraz z podaniami do wypełnienia i podpisania — miały być one wręczone gestapowcom stojącym u wejścia. Rozumiano, że w razie odmowy nie pozwolą oni opornym opuścić sali. Wiedzieli już wszyscy, co to dla nich znaczyć miało — wysłanie do obozu koncentracyjnego oczywista. Sterroryzowani w ten sposób prawie wszyscy podpisali, zaś nieliczni oporni odprowadzeni zostali do więzienia, jedynie prałatowi Bochenkowi, aczkolwiek odmówił podpisu, nosząc tak wybitnie „niemieckie" nazwisko, pozwolono salę opuścić bez przeszkód. Naturalnie panika i przerażenie ogarnęło w mieście wszystkich, tym bardziej, że na dzień następny nowa seria zawezwanych miała iść do owego nieszczęsnego kina meldować swą chęć zostania obywatelami Rzeszy. Tragiczne było także położenie tych, którzy podpisali pod wpływem strachu czy konieczności życiowych owe podania — jeden z nich, ojciec dwóch synów, a dyrektor wielkiej fabryki, przybiegł do mnie, błagając mnie ze łzami w oczach, bym go ratował ze strasznej sytuacji, bo jeden z synów jego, dowiedziawszy się o tym, że ojciec podpisał podanie o przynależność do Rzeszy, plunął mu w twarz i opuścił dom rodzicielski.

W takim nastroju przygnębienia wielkiego odbyliśmy posiedzenie, na którym był obecny jeden z naszych najdzielniejszych współpracowników w Tarnowie pan Fenrych, noszący nazwisko niemieckie, a Polak duszą i sercem. Ten nie wahał się odmówić kategorycznie żądanego od niego podpisu, pomimo że groziło mu usunięcie ze wszystkich zajmowanych stanowisk. Wraz z żoną swoją, popierającą niezachwianie stanowisko męża, oświadczyli na zebraniu, że z tego stanowiska nie zejdą nigdy. I dotrzymali tego swego zobowiązania pomimo strat materialnych wielkich. Ów pan Fenrych był wygnańcem z Poznańskiego, gdzie posiadał znany majątek Pudliszki, w którym miał fabrykę znanych w całym kraju konserw jarzynowych*. Zdecydowano przeciwdziałać wszelkimi siłami, by ludzie godzili się podpisywać upadlające ich zobowią-

zania wobec Niemców, zaś mnie poruczono, bym z naszej strony wszystko uczynił w tym kierunku, by absurdalny dekret o osobach pochodzenia niemieckiego uległ zniesieniu. Wieczorem dnia tego byłem u biskupa Komara, którego zapoznałem z przebiegiem spraw i naszymi zamiarami. Wzruszony byłem po prostu jego pełną godności i wielkiej skromności postawą. Popierał on nasze stanowisko bez zastrzeżeń, a podkreślając swą zupełną solidarność z wyłożonymi mu przeze mnie planami na przyszłość, zadeklarował ze swej strony poważną pomoc materialną. Było to na kilka miesięcy przed jego zgonem, który wielkim smutkiem okrył całą diecezję.

Na drugi dzień, powróciwszy do Krakowa, zostałem wezwany nagle do Warszawy w sprawie bardzo dla mnie pilnej i ważnej, a przygotowywanej przeze mnie od dawna. Było nią spotkanie moje z generałem Tadeuszem Borem-Komorowskim, szefem naszej Armii Krajowej, tzw. AK. Objął on dowództwo nad nią po aresztowaniu gen. Grota-Roweckiego, wywiezionego do Berlina.

Już zaraz po niefortunnym moim spotkaniu z panem Zawadzkim, przedstawicielem Delegatury Rządu, postanowiłem zabiegać o to, by przynajmniej z dowódcą sił zbrojnych naszych, konspiracyjnie egzystujących, wejść w ścisłe porozumienie. Tym razem prosiłem dra Sachę, prezesa Rady Stronnictwa Narodowego, którego poznałem za pośrednictwem dra Celichowskiego. Wiadomym mi było, że jako jeden z tzw. grubej czwórki w Delegaturze jest on w stałym kontakcie z gen. Borem. Otrzymawszy wezwanie telefoniczne około 10-tej wieczorem, już o jedenastej byłem w wagonie, by jechać do Warszawy.

Na wyznaczone na popołudnie dnia następnego spotkanie w jednej z bocznych uliczek na Mokotowie stawiłem się punktualnie — na dole w bramie spotkała mnie postać kobieca, która wskazała mnie miejsce spotkania z generałem na czwartym piętrze, gdzie równie punktualnie jak ja nadszedł generał Bór. W czasie rozmowy, która trwała przeszło dwie godziny, przedstawiłem mu rodzaj sprawozdania z prac naszych w czasie tej wojny oraz zamierzenia powzięte na przyszłość, a które specjalnie z mą osobą były związane. Spotkałem się z pełnym zrozumieniem ze strony generała, którego spokojny sąd o sprawach i dokładność w rozu-

mowaniu mnie wprost zaimponowały. Aprobując nasze plany, podkreślił on kilkakrotnie, że nie jest politykiem, lecz żołnierzem, mającym spełniać sumiennie dane mu rozkazy. Najważniejszym dla mnie było, że nie tylko położenie moje i me kłopoty rozumiał, ale obiecał w każdej chwili w przyszłości, gdy zajdzie tego potrzeba, osobiście się ze mną widywać dla regulowania zagadnień, które uzgodnienia pomiędzy nami by wymagały. Toteż uspokojony wielce, ale też i zmęczony bardzo wszystkim przeżytym w ciągu dni ostatnich, opuszczałem miejsce spotkania. Gdy znalazłem się na drugim, o ile pamiętam, piętrze, nagle dostałem graniczącego z omdleniem zawrotu głowy i na wpół przytomny zaledwie zdołałem dotrzeć do mego mieszkania, by tam w łóżku szukać odpoczynku. Był to, niestety, początek znamienny mej choroby, która mnie na długie miesiące położyła i nigdy właściwie od tej chwili mnie już nie opuściła.

W kilka dni później, gdy trochę lepiej się poczułem, wprost z łóżka w Warszawie przejechałem do łóżka w Krakowie, gdzie doktorzy wezwani wydawali się stanem mym mocno zaniepokojeni.

W trakcie tego, gdy leżałem w łóżku, nie wiedząc jeszcze, jakie będą co do mego losu decyzje lekarskie, odwiedził mnie pan Weirauch, widocznie, by mnie zrobić przyjemność przyniesionymi wiadomościami. Jedna z nich ucieszyła mnie przede wszystkim — oto dr Losacker zbadał już stan rzeczy w sprawie osób pochodzenia niemieckiego i tylko czekał na memoriał, by na jego podstawie zarządzić zniesienie dekretu w powyższej sprawie. Ucieszyłem się tym ogromnie, wiedząc, jaki ciężar spadnie z serca wielu, a ponieważ memoriał był gotów i czekał tylko na mój podpis, więc szybko dokonałem tej formalności i wręczyłem mu takowy, prosząc, by dopilnował, by dekret przekreślający bolączki nasze przynajmniej w tej sprawie mógł być wydanym jak najszybciej. Stało się to w dniu 16 lutego z wielką ulgą dla RGO, której było to realnym sukcesem, który w wielkiej mierze zawdzięczaliśmy drowi Tchórznickiemu, którego redakcja świetnie opracowana opierała się na tej zasadzie, że przywilej żaden nie może być narzuconym siłą!

Dnia 19 lutego przemogłem się, by wstać z łóżka i pójść do dra Losackera, by podziękować mu za tak szybkie i pozytywne załatwienie sprawy — spotkałem się z oświadczeniem, które pierwszy raz usłyszałem za czasów mego urzędowania, że było to dla niego miłym spełnieniem obowiązku — spełnił on go w istocie, nie licząc się ani z Gestapo, ani z innymi instancjami, które za to na niego były wściekłe, jedynym kryterium dla niego było zrozumienie niesprawiedliwości powodowanej absurdalnym dekretem i przekreślenie tego nowym.

Przy tej okazji poruszyłem z nim wyczerpująco i drugą sprawę w tej chwili bardzo nabolałą — to branie z Krakowa i w kraju całym siłą ludzi do robót w Rzeszy. Dzikie wprost formy przybrała ta sprawa w Krakowie, a to dzięki postawie, jaką w niej zajął burmistrz miasta, dr Krämer, człowiek nie liczący się z niczym. Wydał on rozporządzenie, że jeżeli ktoś wezwany do robót nie może się stawić, to musi na swe miejsce zgłosić zastępcę, którego, jak się wyrażał, „może nawet zapłacić odpowiednio". Rozpoczął się po prostu przetarg na ludzi — zjawili się tacy, którzy go formalnie organizowali, i tacy, którzy za pieniądze zgłaszali chęć pójścia do robót w Rzeszy z zamiarem jednak, najczęściej wykonanym, ucieczki z pociągu na jednej ze stacji za Krakowem. Cena za głowę w ten sposób zdobywanego zastępcy rosła z dniem każdym, aż doszła do 15 000 zł. Przedstawiłem to wszystko oparte na dokumentach i faktach drowi Losackerowi, który niezwłocznie tę orgię handlu ludźmi ukrócił, przy czym pan Krämer spotkał się z ostrą reprymendą władz wyższych i jeżeli nie wyleciał ze swej posady, to jedynie zawdzięczał silnemu oparciu u władz Gestapo.

Ponieważ obawiałem się, by choroba moja się nie przedłużyła i by sprawy RGO z tego powodu nie ucierpiały, uprosiłem profesora Władysława Woltera, członka Rady, by przez czas jakiś zechciał mnie zastępować także wobec władz, na co chętną zgodę dra Losackera uzyskałem. Sam zaś oddałem się w ręce powag medycznych w Krakowie, by mnie zechciały dopomóc jeszcze tym razem wyjść z opresji, w którą, jak przypuszczałem, przepracowanie i stała bezsenność w czasach ostatnich mnie pogrążyły.

Dnia 2 marca odbyło się consilium, którego rezultaty bardzo mnie zatrwożyły. Tak byłem zawsze zdrów i wytrzymały, że

wierzyć nie chciałem, by były temu granice i by przepracowanie, jak mi mówiono, mogło me zdrowie tak dalece podkopać. Lecz ci, którzy to mówili, byli takimi powagami, że wierzyć im musiałem, a to tym bardziej, że czułem się zupełnie bezsilnym, a serce nieporównane wyprawiało skoki, nie pozwalając mnie ani pracować, a co najgorsze myśleć — funkcja sama myślenia przyprawiała mnie o ból fizyczny w mózgu po prostu nie do wytrzymania — zaś chudłem nagle i tak szybko, że jedynie kości i skóra na mnie pozostały. Consilium więc w osobach prof. Mariana Godlewskiego, prof. Oszackiego i dra Adama Szebesty, a potem także prof. Tochowicza orzekło jednomyślnie, że jestem chory bardzo na Basedowa chorobę, która spadła mnie na piersi i przez wytwarzane zbyt obficie kwasy zatruła mi serce, żółć i inne organy, nie pozwalając się organizmowi odżywiać a mózgowi pracować. Na skutek tej decyzji doktorów, którym do końca życia wdzięczny będę za udzieloną mi skuteczną i jakże bezinteresowną, a związaną z wielu wysiłkami pomoc — w dniu 12 marca pod opieką przyjaciela mego dra Adama Chełczyńskiego wyjechałem do Tyńca, gdzie w zupełnym spokoju miałem spędzić czas dłuższy.

Jadąc do Tyńca, skorzystałem z zaproszenia przezacnych ojców benedyktynów, z ojcem Van Ost przeorem klasztoru w Tyńcu i ojcem Piotrem Rostworowskim wiceprzeorem na czele*. Dano mi tam śliczny pokój z widokiem na Wisłę płynącą pod skałą, na której stoi klasztor, przydzielono mi braciszków, by mnie pielęgnowali i zatroszczono się także o me potrzeby duchowe, tak że pobyt w Tyńcu do najmilszych i najgruntowniejszych rekolekcji w życiu mym z przyjemnością zaliczyć muszę. Pierwszy tydzień nie ruszałem się z łóżka i leżałem martwy prawie i obojętny na wszystko, mając uczucie zmęczenia nie do pokonania — po odbytej spowiedzi przynoszono mi codziennie Komunię św. do łóżka, a dzień cały spędzałem w półśnie, nie będąc w stanie o niczym myśleć. Dopiero zastrzyki i medykamenty aplikowane mi osobiście przez ojca Piotra, mego kochanego i zacnego siostrzeńca, zaczęły mnie powoli przywracać do życia i chęć do niego we mnie budzić na nowo. Zacząłem wkrótce wyczekiwać chwili, w której nadejdzie do mnie ojciec Piotr, bo rozmowa z nim, zawsze pełna udzielającego się spokoju, działała na mnie ożywczo i nie męczyła nigdy. Już w drugim

tygodniu tematy poruszane zaczęły mnie interesować, a zapowiedzianej wizyty ojca przeora wyczekiwałem jak chwili radośnej. Prawda, że łączyło się to ściśle z samą osobą ojca Van Ost, człowieka o wielkim sercu polskim, pomimo że z nazwiska był on Holendrem, a z urodzenia Belgijczykiem. Rozmowa z nim zawsze była interesującą i jakby kojącą nerwy rozigrane — toteż z dniem każdym czułem większą jakby jej potrzebę i czułem się pokrzywdzonym jak dziecko, gdy chwile mnie poświęcone w jego tak pełnym pracy dniu wydawały mi się za krótkie. Ustalonym zostało, że codziennie o godz. piątej odwiedzać mnie będą ojcowie, czekałem tej godziny zawsze z upragnieniem, pomimo że siły moje nie wracały w równym tempie, jak zainteresowanie, do życia, a kuracja prowadzona nadzwyczaj skrupulatnie nie pokonywała w tempie przewidywanym objawów choroby, szczególniej słabości i nienormalnego chudnięcia. Kilkakrotne odwiedziny dra Szebesty nie bardzo go jakoś zadawalniały, pomimo że nastrój mój nerwowy i wewnętrzne samopoczucie polepszały się z dniem każdym. Pod koniec miesiąca pobytu w Tyńcu zaczął mnie ogarniać jakiś niepokój wewnętrzny, nie tłomaczący się jednak żadną sprawą z nim związaną — był jednak tak męczącym i coraz wyraźniejszym, że postanowiłem Tyniec opuścić — stało się to w dniu 8 kwietnia, gdy dr Szebesta, przyjechawszy mnie odwiedzić, zrozumiał jak zwykle mój stan i zgodził się mnie zabrać ze sobą samochodem z powrotem do Krakowa. Byłem jeszcze bardzo słaby i czułem, że choroba mnie nie chce jeszcze opuszczać, żal mi było bardzo z Tyńca wyjeżdżać, ale czułem także, że wyjechać muszę. Żegnałem ojców z wdzięcznością wielką za doznaną u nich opiekę i pomoc, przywiązałem się do nich z serca całego i pokochałem te mury, w których tyle doznałem dobroci i tylu rad dobrych i szczerych wysłuchałem.

Zaraz nazajutrz po powrocie moim do Krakowa wybuchła jak bomba sprawa katyńska. Było to w dniu 9 kwietnia, kiedy wszystkie pisma w Krakowie, Warszawie i Reichu z wielkim rozgłosem zaczęły o niej pisać, podkreślając barbarzyństwo bolszewików i jakby wyczekując, jakim echem w społeczeństwie polskim wiadomość ta się odbije. Z artykułów prasy niemieckiej wyczuwało się wyraźnie, że z jakimiś planami propagandowej natury łączonym jest głoszenie sprawy katyńskiej. Społeczeństwo polskie, mając przed sobą obrazy mąk zadawanych Polakom przez Niemców, było od razu w tej sprawie nadzwyczaj powściągliwym, a w wielu kołach powstawały przypuszczenia, że nie bolszewicy, ale Niemcy byli winowajcami w Katyniu.

Niedługo czekaliśmy na to, by władze w tej sprawie się do nas, jako do RGO, zwróciły — zażądały mianowicie, by RGO dla skonstatowania faktu zbrodni, tam dokonanej, wysłało komisję specjalną. Z żądaniem tym prezydent wydziału propagandy Ohlenbusch zwrócił się do dyrektora RGO pana Seyfrieda, który natychmiast przyszedł do mnie dla naradzenia się nad tym, jakie w tej sprawie należy zająć stanowisko. Na posiedzeniu, na które zaprosiłem wszystkich członków Rady, ustalonym zostało jednomyślnie, że RGO jako instytucja do tej sprawy mieszać się nie może w obawie wplątania w polityczne i propagandowe komplikacje, że dla zbadania faktu ekshumacji zwłok należy raczej myśleć o udziale w tej sprawie Polskiego Czerwonego Krzyża — poza tym, że wskazanym jest, by Książę Metropolita zechciał wydelegować kogoś z duchowieństwa dla odprawienia na miejscu odpowiednich w takim momencie nabożeństw. Jedynie uznano za wskazane, by dyr. Seyfried proszony o to specjalnie przez prez. Ohlenbuscha pojechał do Smoleńska, z wyraźnym jednak podkreśleniem, że nie jest delegowanym przez RGO, a jedzie w charakterze prywatnym. Na tym stanęło i pan Seyfried z kilkoma osobami delegowanymi przez GG pojechał dnia następnego rano do Smoleńska. Przed tym wyjazdem ustalonym zostało z prez. Ohlenbuschem, że RGO jako taka nie ma nic wspólnego z grobownictwem i że jest to rzeczą przede wszystkim Czerwonego Krzyża Polskiego, który statutowo jest powołany do tego rodzaju akcji i z którym porozumieć się wprost podjął się pan Ohlenbusch.

Dnia więc 10 kwietnia powyższe grono osób dojechało samolotem do Smoleńska, skąd dnia następnego, czyli 11-go kwietnia już samochodami pojechali wraz z eskortą władz wojskowych niemieckich na miejsce do Katynia, gdzie znajdował się grób wspólny oficerów polskich. Gdy piszę te słowa, leży przede mną obszerne sprawozdanie z podpisem dyr. Seyfrieda z odbytej jazdy i wrażeń odniesionych. W jednym miejscu tego sprawozdania czytam następujące słowa:

„Po oglądnięciu tych grobów poprosiłem towarzyszącego mi oficera, aby pozwolił mi w polskim języku przemówić do moich współtowarzyszy podróży, gdyż chcę uczcić pamięć zmarłych, na co oficer się chętnie zgodził, oddalając się od naszej grupy. Wówczas przemówiłem mniej więcej w te słowa: Wzywam panów, abyście z obnażoną i pochyloną głową w milczeniu oddali hołd tym naszym bohaterom, którzy oddali swoje życie po to, by Polska dalej żyła — po czym po minutowym milczeniu zeszliśmy znad otwartej mogiły.

Zaznaczam, że w momencie uchylenia przez nas okryć głowy, wszyscy towarzyszący nam wojskowi stanęli na baczność i salutując, oddali razem z nami hołd zamordowanym".

W konkluzji swego sprawozdania dyr. Seyfried pisze:

„Moje osobiste wnioski:

1. Faktem niezaprzeczalnym jest, że w grobach masowych znajdują się zwłoki oficerów Wojska Polskiego, którzy swojego czasu byli w obozie jeńców w Kozielsku.

2. Należałoby skorzystać z gotowości władz niemieckich wojskowych i odebrać dalszą opiekę i zajęcie się agnoskowaniem tych zwłok przez społeczeństwo polskie.

3. Należałoby władzom niemieckim zaproponować, aby zadanie to powierzyć Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi, a gdyby władze na to nie poszły, utworzonemu ad hoc komitetowi obywatelskiemu złożonemu z wybitnych Polaków.

4. Sprawa jest niesłychanie pilna z uwagi na posuniętą porę roku, dlatego też należałoby wystąpić zaraz do władz niemieckich z pewnym konkretnym planem działania w kierunku agnoskowania, zabezpieczenia na miejscu zwłok i dania im możliwie godnego wyrazu pamięci ze strony społeczeństwa polskiego".

Po powrocie dyr. Seyfrieda z Katynia w dniu 14 kwietnia odbyło się u mnie zebranie w liczniejszym gronie najpoważniejszych obywateli Krakowa z Księciem Metropolitą na czele, na którym oprócz złożonego sprawozdania pan Seyfried referował ustnie to wszystko, co przeżył pod Smoleńskiem — wnioski jego jednomyślnie zostały uchwalone i rozpoczęte odpowiednie kroki dla ich wykonania. Władze niemieckie wyraziły swą zgodę, by wykonanie to powierzyć Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Ponieważ jednak było koniecznym ustalenie, kto jest sprawcą doko-

nanej zbrodni i by ukrócić rozpowszechniane na ten temat plotki, w dniu 19 kwietnia została wysłaną przeze mnie depesza do Czerwonego Krzyża Międzynarodowego w Genewie, by powołał on komisję mającą za zadanie zjechać na miejsce grobów pod Smoleńskiem i wypowiedzieć swą opinię w tej sprawie. Wiadomo, jaki obrót wzięła tak postawiona przez nas sprawa grobów w Katyniu i że była ona oficjalnym powodem zerwania stosunków Rządu Polskiego w Londynie z Sowietami. Opieka nad grobami została przekazaną Czerwonemu Krzyżowi Polskiemu pod energicznym kierownictwem dra Szebesty w Krakowie.

W tym czasie przyjechali z Warszawy panowie Machnicki i Wachowiak z całym szeregiem spraw do załatwienia. Nie było z nimi tylko jak zwykle dawniej pana Andrzeja Jałowieckiego, który siedział w obozie w Majdanku i co do którego czynione starania o uwolnienie zawodziły, niestety, stale. Z wiadomości nam przywiezionych najważniejszą była ta, że stanowisko delegata Rządu po śmierci pana Piekałkiewicza objął pan Jan Jankowski, członek naszego komitetu RGO w Warszawie. Panowie Machnicki i Wachowiak wierzyli, że stosunek z panem Jankowskim ułoży się tak, by RGO mogło z Delegaturą w zupełnym porozumieniu pracować. Moje obawy co do tego, oparte na tym, jak nowy delegat zachował się w stosunku do RGO w sprawie robotniczej, a później na zjeździe warszawskim w Krakowie, starałem się zachować dla siebie — niestety, niedługo czekaliśmy na potwierdzenie tych obaw w zupełności.

Jedną ze spraw, o którą przybyli panowie dopominali się gwałtownie, by była niezwłocznie wziętą pod rozwagę, bo stała się bolączką wielką, był brak zupełny bezpieczeństwa publicznego na wsi szczególnie. Ponieważ już w memoriale złożonym na samym początku wojny Göringowi, a akceptowanym przez przedstawicieli wszystkich kierunków politycznych w Polsce, sprawa utworzenia straży bezpieczeństwa dla uniknięcia anarchii była wymienioną jako rzecz konieczna, której jednak władze niemieckie nie chciały uwzględnić — uważaliśmy wznowienie starań w tej sprawie za wskazane i idące po linii interesu polskiego. W czasie wielkiej wojny straż taka oddała olbrzymie usługi w kierunku utrzymania porządku w kraju. Nie łudziliśmy się na chwilę, by przy istniejących

stosunkach z władzami niemieckimi rzecz mogła pójść łatwo, ale widząc anarchię szerzącą się w kraju, zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę z jej konieczności tym większej. Myślą tą przejęci, zwróciliśmy się do dra Losackera o wyznaczenie nam specjalnej konferencji w tej sprawie, odbyła się ona w dniu 16 kwietnia i brali w niej udział oprócz mnie panowie Machnicki i Seyfried. Narada ta rozwinęła się do spotkania o bardzo poważnym zasadniczym znaczeniu. Zaczęliśmy od tematu, który miał być osią narady, mianowicie sprawy bezpieczeństwa publicznego i powodów jego zagrożenia. Skonstatowaliśmy, że ponieważ poza miastami nie ma na wsi policji niemieckiej prawie wcale, a ludzie leśni, spadochroniarze i zwyczajni bandyci stają się coraz liczniejsi, przeto ludność wiejska we wsiach i majątkach narażona jest na stałe napady, które przyjmują po prostu charakter plagi. Oświadczyłem panu Losackerowi, że w czasie pierwszej wojny, będąc również prezesem RGO, uzyskałem od generała Beselera, ówczesnego generał-gubernatora Warszawy, pozwolenie na utworzenie w całym kraju milicji obywatelskiej — oddała ona wtedy wielkie usługi, utrzymała bowiem spokój w kraju. Obecnie stało się koniecznością danie ludności możności obrony, naturalnie pociągając do milicji za pośrednictwem RGO elementy najspokojniejsze i odpowiedzialne. Dr Losacker odpowiedział, że ma pełne zrozumienie dla tej sprawy i że gdy będzie w czasie najbliższym w Berlinie, tam sprawę wyjaśni i nam ją sprecyzuje, starając się osiągnąć dla niej odpowiednie usposobienie w sferach Gestapo.

Pan Machnicki skorzystał ze spotkania z drem Losackerem, by mu przedstawić stosunki panujące w Warszawie, przybierające wprost zastraszające formy. Wyrazem tego było oświadczenie gubernatora Dystryktu Warszawskiego, dra Fischera, skierowane w dniu 6 kwietnia do zaproszonych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, w którym pan gubernator wyraźnie powiedział, że wobec coraz to częstszych morderstw i napadów na Niemców w Warszawie, zniecierpliwione władze policyjne są zdecydowane zastosować do ludności polskiej miasta najostrzejsze środki odwetu. Aczkolwiek pan gubernator, jak się wyraził, sam rozumie dobrze, że nie będą na tej drodze ukarani ci, którzy te czyny wykonują, to jednak prosił przedstawicieli społeczeństwa, by ze-

chcieli wiadomość o grożącym niebezpieczeństwie rozpowszechnić, zaś do polskiego burmistrza Warszawy pana Kulskiego i do przedstawiciela RGO pana Wachowiaka zwrócił się z żądaniem wydania odpowiednich odezw do ludności. Kończąc referować tę sprawę, prosiliśmy pana Losackera, by zechciał wziąć pod opiekę ludność Warszawy wobec grożącego jej niebezpieczeństwa i by zrozumiał nasze stanowisko w sprawie odezwy, której w tych warunkach wydać nie możemy. Pan Losacker obiecał sprawą tą pozytywnie zająć się natychmiast.

Następnie pan Losacker zwrócił się specjalnie do mnie z oświadczeniem, że w dniach najbliższych, wobec poprawienia się stanu mego zdrowia, będę zaproszony przez generalnego gubernatora dla omówienia z nim spraw nader ważnych, które dnie ostatnie do rozwiązania przyniosły, a które mają za cel bezpośredni uporządkowanie stosunków w kraju — sprawy te dr Losacker zamierzał odpowiednio przygotować w czasie swej bytności w Berlinie i po powrocie stamtąd chciałby ze mną omówić.

Na moją uwagę, że RGO stało i stoi na stanowisku trzymania się z dala od wszelkiej polityki, zwrócił uwagę pan Losacker, że ze mną niejednokrotnie o polityce mówił, na co replikowałem, że wyrażać mą osobistą opinię jest rzeczą zupełnie różną od decydowania w czymkolwiek, i podkreśliłem, że jako prezes RGO poczuwam się do tego, że w sprawach społecznych posiadam nieograniczone prawo decyzji, zdając tylko następnie z powziętych decyzji sprawozdanie społeczeństwu, że zupełnie inaczej jest w sprawach politycznych — do tego nie posiadam żadnego mandatu, a w warunkach istniejących w kraju otrzymanie takiego mandatu jest rzeczą nie do pomyślenia. Pan Losacker zwrócił się wtedy do mnie z zapytaniem: „Z kim tedy należy mówić? i kto są ci, którzy mają prawo mówienia?". Gdy mu na to w sposób stanowczy odpowiedziałem, że wszyscy oni zostali pozbawieni życia, rozstrzelani lub zamęczeni w obozach, a ci, którzy jeszcze żyją, są pozbawieni wolności, zaś ja niczego decydować nie mogę, bo wolę kulkę niemiecką od polskiej — dr Losacker dał do zrozumienia, że to właśnie będzie jednym z tematów, które będą poruszane na projektowanych konferencjach, i zakończył posiedzenie, życząc mi jak najszybszego powrotu do zupełnego zdrowia.

Jakby sam los chciał naszym słowom powiedzianym na tej naradzie dodać większej wagi, po powrocie z niej zastaliśmy w biurze RGO tragiczną wiadomość o śmierci pana Jałowieckiego w obozie w Majdanku. Zgon nastąpił na skutek przebytej choroby tyfusu plamistego, której on się nabawił, spełniając dobrowolnie obowiązki sanitariusza przy chorych na tę straszną chorobę kolegów swych w obozie. Powszechny smutek i przygnębienie ogarnęły na skutek tej wiadomości RGO, gdzie wszyscy bez wyjątku widzieli w śp. Andrzeju Jałowieckim człowieka lubianego i szanowanego przez wszystkich, przyszłego działacza wielkiej miary na polu społeczno-politycznym i pracownika odważnie i wiernie służącego sprawie ojczystej.

Po powrocie z Berlina zaprosił mnie zaraz znowu pan Losacker, żeby mi zakomunikować, że ze strony władz niemieckich centralnych uzyskał pełną zgodę na poruszoną przez nas myśl powołania do życia straży obywatelskiej lub komunalnej, prosił tylko o przedstawienie mu na ten temat skonkretyzowanego projektu, który przedyskutowany z nim, mógłby być przedstawiony władzom do ostatecznego zaakceptowania. Na tym posiedzeniu w dniu 20 maja odbytym w obecności pana Weirauchа oznajmił mi również, że w rezultacie jazdy swej do Berlina oznajmić mi może zupełnie pozytywnie, że u wyższych władz niemieckich udało mu się osiągnąć pełne zrozumienie dla spraw dotyczących GG przez niego przedstawionych i że w czasie najbliższym należy oczekiwać posunięć, które nazwać by można zasadniczą zmianą kursu politycznego w stosunku do Polaków — podkreślił przy tym, że liczy na to, że będziemy mu w tym tak trudnym do przeprowadzenia dziele pomocni, a ze swej strony z zapałem oświadczył, że na jego zrozumienie sytuacji i psychologii polskiej możemy w pełni liczyć także, gdyż jest nie tylko przekonany o słuszności drogi, którą sobie wytknął, ale i całą dobrą wolę swą wkłada w rozpoczęte już dzieło.

Ponieważ w tym momencie najbardziej bolesną była sprawa robotnicza i polowanie na ludzi urządzane w Krakowie pod kierownictwem prezydenta miasta Krämera przybrało rzeczywiście formy handlu niewolnikami, przedstawiłem mu znowu tę sprawę najdokładniej i osiągnąłem to, że na dzień 2 maja wyznaczył w tej sprawie specjalne posiedzenie i na nim nam zakomunikował, że

wybryki pana Krämera potępia i tym wybrykom kres już położył, zabraniając ich konkretnie. Na zakończenie konferencji oznajmił, że w dniach najbliższych oczekuje ze strony władz niemieckich centralnych już oficjalnych kroków, które stosunki w GG na zupełnie nowe wprowadzić winny tory. Ze zrozumiałym zainteresowaniem i pewnym niepokojem wyczekiwaliśmy zrealizowania tych zapowiedzi.

Tymczasem życie płynęło dalej swym dawnym trybem, przynosząc ze sobą coraz to nowe sprawy i niespodzianki.

Do tych ostatnich zaliczyć muszę wizytę, którą mnie zaszczycili przedstawiciele Litwy z inż. Juchniewiczem na czele. Przyszli oni do mnie, zresztą już nie po raz pierwszy, by zakomunikować, że po porozumieniu ze wszystkimi miarodajnymi czynnikami Litwy przychodzą złożyć na moje ręce oficjalne oświadczenie, na które kiedyś powoływać się będą, że Litwa po przebytych doświadczeniach z tej wojny stanęła na tym stanowisku, że jedynie razem z Polską w tej lub innej formie unii widzi swoją przyszłość możliwą. Liczą oni, że nadejść musi moment, kiedy słowa te będą się mogły zrealizować i że to oświadczenie składają na moje ręce, pomimo że wiedzą, że nie jestem żadnym czynnikiem, który Polskę oficjalnie ma prawo reprezentować — chodzi im o fakt, że do rąk zaufanych powyższe oświadczenie złożyli. Zaś obecnego przy tym Stanisława Tyszkiewicza prosili, by w razie potrzeby dał świadectwo prawdzie.

W czasie tej bytności Tyszkiewicza u mnie w Krakowie inne sensacyjne także miałem spotkanie. Oto przejazdem z Kijowa przyjechał do Krakowa dr Föhl i zaszedł do mnie. Ponieważ uważałem go za człowieka, od którego wiele rzeczy można się było dowiedzieć specjalnie co do tego, co się myśli i zamierza w Berlinie, specjalnie zaś w sferach gestapo, uważałem za pożyteczne skorzystać z jego bytności i razem z Tyszkiewiczem z nim obszerniej pomówić. Zaprosiłem więc go do siebie, mówiąc, że mam kilka spraw, które pragnąłbym z nim wyjaśnić. Jedna z nich dotyczyła tego, co będzie, jeżeli bolszewicy w dalszym swym pochodzie na zachód będą odnosić dalsze sukcesy? Sensacją dla nas było to, że na postawione sobie pytanie to — dr Föhl bez wahania dał następującą odpowiedź: „Nie będzie nam pozostawało nic in-

nego, jak się z nimi porozumieć i połączyć, nawet ignorując nasze dotychczasowe w stosunku do nich stanowisko". Stanowisko to było wyraźne i jakże mocno potwierdzające owe, co pewien czas ukazujące się pogłoski o tym, że Niemcy z bolszewikami pertraktują i dążą do porozumienia, nie widząc dla siebie innego wyjścia.

Chcąc będącą na porządku dziennym sprawę straży obywatelskiej poważnie postawić i gruntownie przestudiowawszy to zagadnienie i możliwe jego formy, odpowiednio poważny memoriał w tej sprawie władzom niemieckim przedstawić, postanowiłem prosić panów Starzeńskiego i Platera, którzy byli moimi mężami zaufania do kontaktów z Delegaturą Rządu, by pojechali do Warszawy i tam stosunek jej do tego zagadnienia ustalili. W międzyczasie prowadziłem ze wszystkimi czynnikami fachowymi wyczerpujące dyskusje na temat organizacji straży. Mówiłem więc z ludźmi AK bardzo tej sprawie przyklaskującymi, zaprosiłem też do Krakowa panów Mieczysława Pietraszka, pułkownika WP, i Antoniego Jakubowskiego, prezesa stowarzyszenia byłych podoficerów rezerwy, by z nimi o projekcie straży pomówić wyczerpująco. Najchętniej przyjechali do mnie w dniu 5 czerwca i w czasie dwudniowych narad opracowany został w szkicu projekt, który miał według nas wszelkie dane, by na poważnej stopie całe zagadnienie, zresztą bardzo trudne, rozwiązać. Przewodnią myślą tego projektu było to, by w każdej gminie, jeżeli nie w każdej wsi, stworzyć oddziały straży o byłych podoficerów oparte i nie we dworach, a po wsiach stacjonowane. Miało to na celu zasadę bronienia mienia nie dworów tylko, a wszystkich na wsi, którzy do bronienia coś posiadają. Ponieważ należało się obawiać, że w razie stworzenia jednolitego pod względem komendy korpusu straży mogłoby mu grozić niebezpieczeństwo ze strony Gestapo, które pod terrorem mogłoby chcieć wymusić spełnienie jego rozkazów, uznaliśmy za wskazane, by straż podlegała jako jednostka powiatowa komendantom powiatowym, podległym prezesom komitetów RGO, którzy, w razie gdyby uznali to za konieczne, jednostki te mieliby prawo rozwiązać w każdej chwili i własną władzą. Następną dyrektywą, którą uważaliśmy za niezbędne przyjąć, była ta, że w poszczególnych gminach lub

wsiach stacjonujące oddziały, nie więcej jak dwudziestu ludzi mające w swym składzie, nie powinny mieć prawa opuszczania swych posterunków dalej jak do sąsiedniego posterunku, a to w celu uniknięcia gromadzenia większych ugrupowań straży. Zdawało się nam, że stoimy na przededniu stworzenia celowej polskiej organizacji mającej za zadanie bronienie stanu posiadania naszego. Ponieważ zaś ze wschodniej połaci RP, z Wołynia, nadchodziły tragiczne wieści o rozpoczynających się tam rzeziach ze strony Ukraińców, postanowiliśmy tam pracę organizacyjną straży rozpocząć. Przybyli stamtąd w popłochu i rozpaczy uciekinierzy zapewniali nas, że wszystko, co zdrowe i uczciwe, będzie można dla obrony użyć i w ten sposób konieczną pomoc nieszczęsnej ludności przynieść.

Toteż jak piorun z jasnego nieba spadła na nas wiadomość przywieziona przez mych wysłanników z Warszawy, że Delegatura Rządu jest zasadniczo przeciwna tworzeniu straży i że swego przyzwolenia stanowczo odmawia. Bezskutecznie starano się otrzymać motywy powziętej w tym kierunku decyzji, mówiono o obawie, by straż nie weszła w konflikt z organizacją AK lub bojówkami partyjnymi szczepiącymi według nas właśnie anarchię w kraju. Nie uzyskawszy wyjaśnień szczegółowszych zmuszeni byliśmy sprawy całej zaniechać, pomimo że byliśmy najgłębiej przeświadczeni, że Delegatura, powziąwszy decyzję bez zapoznania się z projektem naszym, pozostawiła kraj na pastwę rozwijającej się coraz gwałtowniej anarchii.

Trudne miałem zadanie wobec dra Losackera, gdy mnie zapytał, dlaczego planu organizacji straży mu nie dostarczam — nie chciałem kłamać, a całą prawdę wyjawić wstyd mi po prostu było — więc odpowiedziałem, że sprawa się przeciąga, bo ze strony polskiej wysuwane są obawy, jak zażegnać niebezpieczeństwo, by Gestapo do sprawy straży nie zechciało się mieszać, i jak będzie z przydziałem broni, na które to pytanie musimy mieć jasną odpowiedź, nim przystąpimy do realnego wypracowania całego planu naszego — wiedziałem, że szybko odpowiedzi na to pytanie nawet pan Losacker przy całej swej dobrej woli i stosunkach nie otrzyma, zaś my tyle zyskiwaliśmy na czasie, by sprawy ostatecznie nie grzebać.

Struty bardzo tym tak smutnym obrotem sprawy straży obywatelskiej, do której przykładałem tak wielką wagę, gdyż wiedziałem, co grozi ludności polskiej od Ukraińców szczególniej — nadstawiałem ucha w stronę prac prowadzonych intensywnie przez dra Losackera, o których przebiegu informował mnie stale radca Weirauch, przejęty nimi bardzo i pewny, że znajdują się one na najlepszej drodze do pozytywnego załatwienia, którego z dnia na dzień oczekiwać należało.

Pierwszym rzeczowym objawem, że sprawy posuwają się naprzód był fakt, który miał miejsce w dniu 15 czerwca koło dziesiątej rano, gdy dr Losacker zatelefonował do mnie, prosząc o przyjście jak najspieszniej do niego, bo ma mi rzecz ogromnie pilną do zakomunikowania. Gdy zjawiłem się do niego, znalazłem go za biurkiem studiującego dokumenty zawarte we wspaniałej tece z safianu ciemnozielonego, opatrzonej trzema wielkimi złotymi zamkami i z napisem wielkimi złotymi literami: „Grosses Hauptquartier". Dr Losacker ustąpił mi miejsce swe za biurkiem i prosił, bym owe dokumenty zaraz starannie przeczytał. W tece znajdowały się cztery listy adresowane do generalnego gubernatora dra Franka i wszystkie cztery pośrednio dotyczące mojej osoby. Wysłane były z Kwatery Głównej i podpisane, o ile podpis wyczytać mogłem, przez ministra Meissnera. Pierwszy z nich prosił generał-gubernatora o wyjaśnienie, co zacz jest w GG organizacja nosząca nazwę „Pług i Miecz"*, bowiem organizacja ta pod adresem Führera nadesłała odezwę czy memoriał ofiarowujący jej usługi dla stworzenia armii polskiej dla walki z bolszewikami. Memoriał, napisany doskonale, mógł robić wrażenie, ponieważ o tej organizacji nigdy nic nie słyszałem, a zdawało mi się, że jeżeliby ona miała jakiekolwiek większe znaczenie, to słyszeć bym o niej musiał, więc tak też odpowiedziałem drowi Losackerowi i on tą moją odpowiedzią co do tego pierwszego dokumentu się zadowolnił. Drugi dokument był dla mnie dziwnego charakteru, bo w nim był proszonym generał-gubernator o dostarczenie jak najszybciej przy użyciu mego pośrednictwa — skrótu historii Polski, nie zawierającego więcej jak trzy do czterech stronic maszynowego pisma. W trzecim dokumencie było takież żądanie dostarczenia krótkiego opisu roli, jaką siły zbrojne polskie odegrały w czasie wielkiej wojny, i to

niezależnie od strony, po której walczyły. Wreszcie najciekawszym dla mnie — żądanie zwrócone już do mnie za pośrednictwem generalnego gubernatora, bym zechciał zredagować i dostarczyć notatkę na temat rządów niemieckich w Polsce, a raczej w Generalnej Guberni. Wyraźnie było zaznaczonym, że pożądanym jest zupełne niekrępowanie się w kierunku wypowiedzenia całej prawdy, gdyż tylko nie ubarwiana (unbeschminkte) prawda może być pożyteczną dla celów, którym notatka ta ma służyć.

Mogłem się co najmniej dziwić temu, co mnie spotkało, ale nie mogłem w żadnym wypadku odmówić spełnienia życzeń czy żądań pod mym adresem stawianych. Toteż, gdy dr Losacker oświadczył mi, że musi mieć odpowiedzi na owe trzy listy do godz. 9 rano dnia następnego — nie wahałem się przyrzec mu dostarczenia ich, bo uważałem to za mój zupełnie zasadniczy obowiązek.

Wychodząc od dra Losackera, zastanawiałem się tylko, jak temu zadaniu potrafię podołać w ten sposób, by dostarczone dokumenty mogły być z pożytkiem dla sprawy naszej. Po drodze do Rady na Potockiego rozdzielałem już role i prace, jakie mam powierzyć osobom powołanym do dopomożenia mnie w redagowaniu odnośnych notatek. Więc pierwszą postanowiłem powierzyć panu Okuliczowi — drugą, czyli krótki rys wojskowych poczynań naszych w czasie wielkiej wojny, zamierzałem dać panu Baranowskiemu, który wierzyłem, że zrobi to doskonale. Rozumowałem, że sam muszę wziąć zredagowanie notatki o działalności niemieckich władz w GG. — Nie lada to było zadanie, gdyż wysuwało się od razu zagadnienie, czy pisanie całej prawdy będzie z punktu widzenia dyplomatycznego, a także chęci, by dostarczony dokument mógł przynieść jakieś pozytywne korzyści — wskazanym. Z drugiej strony, nasuwało się pytanie, czy mi wolno, gdy po raz pierwszy zapytywany jestem wyraźnie o całą prawdę, liczyć się z dyplomacją i innymi względami i nie korzystać w całej pełni z nadarzającej się sposobności. Po krótkim wahaniu, już dochodząc do ulicy Potockiego, zatrzymałem się na tym, że należy całą prawdę przedstawić, unikając w jej przedstawianiu, o ile to okaże się możliwym, tonu agresywnego i słów drażniących niepotrzebnie. Wzięliśmy się natychmiast do roboty i pracując do późnej nocy miałem dla przedstawienia panu Lo-

sackerowi dnia następnego rano trzy notatki, z których najważniejszą, dotyczącą działalności władz, przytaczam tu dosłownie — brzmiała ona tak:

„Już krótki rzut oka wstecz na prawie cztery lata trwającą działalność niemieckiego zarządu w teraźniejszej Generalgouvernement wystarcza, by dojść do przekonania, że przez takowy od samego początku wybrane były i następnie konsekwentnie używane drogi, które dla trwałego umocnienia interesów Rzeszy na tym terenie były niewłaściwe, a dla dobra i losów ludności tego kraju wyraźnie szkodliwe i niezdrowe być musiały. Nieszczęśliwy dla Polaków wynik niemieckiego pochodu na Polskę, który ze względu na stosunek sił walczących przeciwników, dopóki oni sami stali naprzeciwko siebie, był już wielkim nieszczęściem dla Narodu Polskiego — zostało ono odczutym jeszcze boleśniej, gdy się okazało, że to zwycięstwo przez nieoczekiwany sztych w plecy, który przez rząd sowiecki w porozumieniu z Rzeszą Niemiecką Polskiemu Państwu zdradziecko został wymierzony — zostało ułatwionym. Dalsze niezdrowe objawy tego, co należało oczekiwać, ujrzał Naród Polski zwyciężony w rozpoczętym natychmiast po skończeniu wojennego pochodu na Polskę rozczłonkowywaniu państwa polskiego przez odstąpienie części ziem polskich Sowietom (Protokół niemiecko-sowieckiej umowy granicznej i przyjaźni z dnia 30 września 1939) i wcieleniu części polskiego państwowego terytorium (Poznańskie, Szląsk) do Rzeszy Niemieckiej.

Jeżeli jednak pomimo głębokiej obrazy dla wszystkich patryjotycznych uczuć, które proklamacja Generalnego Gubernatora z dn. 26 października 1939 przyniosła ze sobą w słowach, które powiadamiały o definitywnym zniszczeniu polskiej niepodległości, była w tej proklamacji mowa o tym, że jednak będą dokładane starania, by «pokojowy stan w kraju» mógł być zabezpieczonym i żeby «sąsiedzkie stosunki Polaków do Reichu narodu niemieckiego organicznie się rozwijać mogły», żeby «Polacy zgodnie z ich zwyczajami żyć i swoją odrębność polską zachować mogli», żeby nareszcie «pod sprawiedliwym panowaniem każdy przez pracę na chleb mógł zarobić» — to widzieli jednak Polacy w tych obietnicach zawarte możliwości życia własnego opartego na ludzkich i godnych obywatela zasadach. Aż zanadto szybko musiał się naród przekonać, że zwodnicze to były nadzieje i że nastawienie, jakie było rozstrzygającym przy regulowaniu stosunków pomiędzy niemieckimi władzami a ludnością kraju, nie było takim, jakie istnieć by winno pomiędzy umiarkowanym a wspaniałomyślnym zwycięzcą i zwyciężonym, ale jakie cechuje bezwzględnego władcę do podległego mu niewolnika.

Po rozczłonkowaniu państwowego terytorium nastąpiło rozczłonkowanie i możliwe zmniejszenie narodu samego. We wschodnich częściach Generałgubernatorstwa byli wygrywani Ukraińcy i Białorusini przeciwko Polakom, używani i uprzywilejowani na to, by ograniczyć zakres interesów i działania Polaków. Na zachodzie, nie licząc się z żadnym uświadomieniem o przynależności narodowej ludności, stworzono oddzielny naród góralski, jak gdyby proste określenie terenu zamieszkania dla tego wystarczającym być mogło. Nawet pomiędzy Polakami wszystko, co mogło być oznaką przymieszki innej krwi, było wykorzystanym dlatego, by tym, którym to mogło być w pewnej mierze udowodnionym, odmówić przynależności do polskości i do innego narodu ich przydzielić (Deutschstämmigkeit, Volksdeutschtum). W ten sposób starano się liczbę ludności polskiej w Generalnej Guberni możliwie obniżyć, zupełnie nie licząc się z tym, że przecież tutaj, jak zresztą na wszystkich polach fizycznego i duchowego życia przy określaniu przynależności do danego narodu żadne prawa rasistowskie nie mogą być decydującymi poza własnym poczuciem narodowej i państwowej przynależności. Ile goryczy i niezdrowych skutków najrozmaitszego rodzaju, a także i nieszczęść ta tendencja władz ze sobą przynieść musiała? Działalność władz zdawała się od początku być kierowaną przez dwie idee: zniszczenie wszelkiego polskiego życia tylko dlatego, że jest ono polskim, i oddanie wszystkiego pod decydujący wpływ władz policyjnych. To przynieść musiało ze sobą to, że rozpoczęła się zawzięta walka ze wszystkimi warstwami ludności, której jedynym grzechem było, że miała pomiędzy sobą ludzi, którzy ją prowadzili i przez katastrofę roku 1939 o dobru narodu i państwa myśleli.

Profesorowie uniwersytetu byli aresztowani i wywiezieni do obozu koncentracyjnego, dlatego właśnie, że byli profesorami i krzewili naukę (Kraków, Lwów). Całe wyższe i średnie szkolnic-

two zostało unicestwione, a cały niemal personel nauczycielski wyaresztowany. Poważna część większych właścicieli ziemskich została pozbawiona swych majątków i od swych warsztatów pracy usunięta. Duchowni byli tysiącami aresztowani, internowani i rozstrzeliwani. Każdy pozór nawet przekroczenia przepisów władzy był wystarczającym, by najwyższe kary, nie wyłączając kary śmierci, stosować. Przeciwko młodzieży, do której zaliczano dzieci ponad lat szesnaście, występowano niebywale ostro i bezwzględnie. Własność prywatna została tak jakby skasowaną — nie z powodu konieczności wojennych nawet, lecz z powodów bliżej niewiadomych — każdy mógł być pozbawiony w każdej chwili wszystkiego, co posiadał, swoich ruchomości i nieruchomości, swego warsztatu pracy i narzędzi pracy, a nawet dzieł przez siebie stworzonych i najpotrzebniejszych do życia rzeczy.

Bezpieczeństwo osobiste przestało istnieć zupełnie, każdy w każdej chwili może być narażony na aresztowanie i uprowadzenie do obozu koncentracyjnego bez możliwości szukania jakiejkolwiek sprawiedliwości. Metody stosowane przez władze policyjne są bezwzględne, brutalne i niegodne człowieka. W ich liczbie jest polowanie na ludzi w domach i na ulicach, placach i lokalach i po prostu rozstrzeliwanie i wieszanie bez wyboru i dowodu winy (odpowiedzialność zbiorowa), stosowanie tortur celem wymuszania zeznań albo korzyści materialnych, najrozmaitsze wyszukane cielesne i moralne dręczenie w najtrudniejszych warunkach pracy, a chorobę i śmierć niosących urządzeniach sanitarnych. Zdawało się, że każdy środek i każdy pozór był dobry, jeżeli chodziło o to, by z Polaka zrobić kalekę albo go usunąć z tego świata. Tak straciło już wiele tysięcy ludzi swą wolność, zdrowie i życie.

Z różnych powodów i pretekstów całe części ludności zostały wysiedlone, tracąc przy tym wszystko, co posiadały, i zostając żebrakami, wpadając w stan rozpaczy. Rodziny były rozrywane, małżeństwa rozdzielane, dzieci pozbawiane rodziców, egzystencje całych rodzin unicestwiane (Okrąg Lubelski, powiat Zamość, Hrubieszów). Przymus zmiany lub opuszczenia mieszkań w miastach przynosi także nieskończoność materialnej nędzy i cierpienia.

Przymusowy pobór sił roboczych do pracy w Rzeszy przynosi ze sobą powyższe skutki przy zastosowaniu metod policyjnych wyżej przytoczonych. Jeżeli władze policyjne w sposób najbardziej bezwzględny przesiadują wszelkie przekroczenia przepisów władz, to czynią to tylko w stosunku do ludności polskiej. Jeżeli chodzi o nie same, to nie wykazują wielkiej wydajności pracy nawet, gdy chodzi o tak zasadniczą czynność, jak zabezpieczenie publicznego bezpieczeństwa tej ludności. Jaskrawym przykładem tego jest na terenie Generalnej Guberni bezkarny rozwój bandytyzmu, który stale się rozwija. Wystarczy przejrzeć zbiór obowiązujących w Generalnej Guberni przepisów, żeby się przekonać, że wszystkie dziedziny publicznego życia są zahamowane (gospodarstwo, handel, rzemiosło, życie społeczne, kultura, nauka, ubezpieczenie, wszelka produkcja, słowo i pismo, związki, fundacje).

Życie Niemców w Generalnej Guberni jest kompletnie od życia pozostałej ludności oddzielone, co wszelkie porozumienie we wszystkich dziedzinach czyni kompletnie niemożliwym. Ta sama zasada stosowana do wynagrodzenia za pracę, do środków żywnościowych i cen na takowe, jak i warsztatów pracy i miejsc wypoczynkowych oraz środków komunikacji zaostrza w niebywały sposób już i tak z powodu przedłużania się wojny utrudnione warunki życia, które powodują jaskrawą nędzę i wiele szkodliwych objawów (łapownictwo i pasek). Tej nędzy z punktu widzenia materialnego nie jest w stanie powstrzymać należycie działalność powołanej w swoim czasie do życia i nawet w niektórych fazach swego istnienia przychylnie przez władze traktowanej Rady Głównej Opiekuńczej.

Jeżeli do tej długiej listy największych ludzkich nieszczęść i cierpień doliczyć jeszcze sposób, w jaki ludność polska przez wielu Niemców jest traktowaną, sposób ubliżający, pełen wyższości i odpychający (przedstawiciele władz, urzędnicy), i to bez żadnego powodu do tego, to nie można się dziwić, że dotychczasowe czteroletnie panowanie gwałtu w kraju nic innego ludności kraju tego nie przyniosło, jak nieszczęście, rozgoryczenie i tęsknotę za zmianą warunków jej życia.

Czyż dotychczasowe niemieckie panowanie w Generalnej Guberni przyniosło ze sobą co innego jak olbrzymią przepaść po-

między niemieckim i polskim narodem i zjednoczenie silne Polaków w ustosunkowaniu się do Niemców?

Pozostaje otwartym pytanie, czy i jak może to być usuniętym?

Kraków dnia 16 czerwca 1943 r."

Powyższy przeciwko Niemcom i ich rządom w Polsce akt oskarżenia w dniu 16 czerwca odczytać musiałem w obecności panów Losackera i Weiraucha, zaciekawiony bardzo tym, z jakim spotka on się przyjęciem. Jedynie przy słowie „niegodny człowieka", którym kwalifikowałem postępowanie policji spostrzegłem, że znacząco spojrzeli na siebie ci panowie. Jednak po zakończeniu czytania padło ze strony dra Losackera jedyne tylko słowo: „ausgezeichnet!" (doskonale). Widocznie w planach jego leżało mieć z naszej strony coś podobnego.

Jeżeliśmy nie tracili czasu i przy pracy nad elaboratami noc prawie całą przepędzili, niemniej pracowitym okazał się i dr Losacker, który przez noc całą, zatrzymawszy przy sobie radcę Weiraucha, w biurze z nim razem napisał jakby aneks do mego oświadczenia spisany na 18 stronicach i właściwie nie przedstawiający nic innego, jak rozumowany zręcznie i dla nas bardzo przychylny wyciąg z naszych memoriałów RGO, składanych władzom w przeciągu lat kilku naszej pracy. Tworzyło to razem potężną całość mogącą służyć skutecznie dla mocnego uderzenia — chodziło tylko o to, by skierować je tam, gdzie znaleziony oddźwięk będzie miał siłę i możność warunki zmienić, jak się wyrażał dr Losacker sam: „imię niemieckie od hańby ratować".

Tegoż dnia dr Losacker wyjechał samolotem do Kwatery Głównej, oświadczając mi na wyjezdnym, że pobyt jego poza Krakowem jakieś kilka tygodni potrwać musi. W trakcie jego nieobecności informowany byłem przez radcę Weiraucha o przebiegu jego podróży i jej rezultatach, które zdawały się być zupełnie pozytywne. W jednej z gazet wydawanych w Rzeszy ukazała się nawet fotografia dra Losackera w znaczącym wiele towarzystwie panów Himmlera i Franka, dokonana w czasie wizyty u tego dyktatora Niemiec — „Reichsführera".

W tymże czasie, gdy dr Losacker zabiegał usilnie, by nam Polakom przywrócić prawa do ludzkiego istnienia — zdawało się, że wszystko: Gestapo, Ukraińcy i los okrutny, jakby się sprzysięgło, by gnębić nas dalej bezlitośnie.

Serię wypadków przygnębiających swoim okrucieństwem rozpoczął ów, który miał miejsce dnia 29 czerwca w Zbydniowie, majątku państwa Horodyńskich w Sandomierskiem. W powyższym dniu odbywał się u nich ślub młodego Mierzejewskiego z Wańkowiczówną, córką Stanisława, znanego rolnika i senatora. Zebranych było w domu około dwudziestu osób, które po wyjeździe państwa młodych, zmęczone dniem całym, poszły wcześnie na spoczynek. Koło jedenastej w nocy ktoś zapukał do drzwi wejściowych, ponieważ już nikogo nie było ze służby, siostra właściciela, pani Kowerska, otworzyła okno i z wysokości parteru starała się dowiedzieć, o co chodzi. Okazało się, że przed domem stoi kilku ludzi cywilnie ubranych w łachmany i komunikujących, że uciekli w swoim czasie do lasu, tam stworzyli bandę, a teraz, ponieważ wiedzą, że są w okolicy wojska niemieckie, pragnęliby wiedzieć ich rozmieszczenie, by nie wpaść w ich ręce. Gdy odpowiedziano, że o rozmieszczeniu wojsk nic mieszkańcom domu nie jest wiadomym i tym się nie zajmują, poproszono o przenocowanie. Gdy i na to nastąpiła odmowa, natarczywi, a niemili goście opuścili podwórze i skierowali się ku szosie biegnącej wzdłuż ogrodu. Po godzinie zjawili się na nowo i gwałtownie zaczęli się dobijać. Zaalarmowany dom cały zaczął się przysłuchiwać rozmowie, którą tym razem już pan domu prowadził. Znowu zaczęło się od wypytywania o rozmieszczenie wojsk niemieckich, a gdy odpowiedź jasno brzmiała, że ta sprawa nikogo w domu nie interesuje, nagle usunęli się cywilni, dając miejsce gestapowcom, którzy za rogiem domu ukryci, czekali momentu, kiedy będą mogli dom zaatakować. Kilkunastu ich uzbrojonych w rewolwery i maszynowe pistolety rozbiegło się po domu, wystrzeliwując wszystkich, kogo tylko w domu znaleźli. Czynili to systematycznie i pod wodzą kapitana, stojącego na czele oddziału w tym przedsięwzięciu obliczonym wyraźnie na rabunek na drodze masakry. Oprócz dwóch synów domu, których matka zdążyła jakoś ukryć na strychu domu, wymordowani zostali wszyscy w liczbie osób

dziewiętnastu, których załadowano na platformę konną znajdującą się na podwórzu i zawieziono na koniec ogrodu, gdzie we wspólnym grobie pochowano. Jedynie stary służący, mieszkający poza ogrodem i z tego powodu z ogólnego pogromu ocalały, był zresztą tylko z daleka świadkiem tego, co się stało. Czyn tego osławionego SS niemieckiego, czyn niczym nie umotywowany, a tylko w chęci rabunku i zupełnym zdziczeniu znajdujący swe źródło — przejął zgrozą całą okolicę i stał się przykładem tego strasznego bezprawia, jakie władze niemieckie na terenie polskim szczepiły, a potem tolerowały. Gdy wiadomość o tym natychmiast doszła do mnie, zażądałem od radcy Weiraucha, by winni ponieśli zasłużoną karę, a samowola oddziału SS grasującego w okolicach Zbydniowa była ukróconą. Pomimo całej dobrej woli, którą pan Weirauch chociażby z samego wstydu, że coś podobnego stać się mogło, włożył w tę sprawę, dopiero po przyjeździe dra Losackera w pierwszych dniach lipca sprawa przyjęła dla winowajców ostrą formę. Zbrodnia w Zbydniowie, która pozbawiła w tak ohydny sposób kilkanaście osób życia, była typowym wyczynem władz policyjnych przeprowadzających tzw. pacyfikację kraju, w czasie której stosowano system prowokacji najgorszego gatunku tak w stosunku do właścicieli ziemskich, o których ograbienie bezkarne chodziło, jak też i do włościan i innych niewygodnych władzom osób.

W tymże czasie sprawa Wołynia zaczęła przybierać wprost tragiczne kształty. Gwałty i morderstwa dokonywane na Polakach przez zamieszkałych tam Ukraińców nie tylko nie ustawały, ale z dniem każdym przybierały na sile i barbarzyńskich formach. Uciekinierzy zaczynali napływać już nawet do Krakowa, a list zakonników otrzymany przez nas w Radzie z Wiśniowca opisywał owe pochody polskich wygnańców z chat własnych, zmierzające do Krzemieńca, i w nędzy strasznej, i o głodzie opędzające się od napadających na nich Ukraińców. Tak topniał stan posiadania polskiego w tej odwiecznie do Polski należącej ziemi, a panowie z Delegatury, nie pozwoliwszy nam na organizowanie obrony, nie raczyli myśleć o tym, że złemu trzeba było przynajmniej próbować zaradzić, a nie zostawiać bez żadnej pomocy te rzesze polskie na Kresach. Przecież przykład, który miał miejsce w Równem, gdzie dwaj nasi delegaci, uzyskawszy od Kreishaupt-

manna broń, rozdali ją Wołyniakom, którzy dzięki temu nie tylko potrafili Ukraińców wziąć w ryzy, ale naokoło Równego kraj cały doprowadzić do ładu i porządku — przeczy kategorycznie tym naszym mędrkom, którzy teraz powiadają, że i tak nic by się nie dało zrobić, bo władze niemieckie by nie pomogły. Trzeba było działać, a nie przyglądać się suchym okiem dziełu zniszczenia, odpychającemu granice Polski na zachód, a torującemu Ukraińcom drogę do realizowania idei ich krwawych prowodyrów, stwarzających realnie fakty dokonane utwierdzające stan ich posiadania na ziemiach, z których Polaków wygnali.

Dla omówienia jeszcze raz w Warszawie tych spraw, tak bardzo we mnie nabolałych, wyjechałem tam dnia 4 lipca. Zaraz po przyjeździe spotkałem się z drem Celichowskim, którego pragnąłem prosić o pośredniczenie w spotkaniu z drem Sachą, by on jak najprędzej urządził mi widzenie z gen. Borem. Jakiż był mój smutek, gdy się dowiedziałem, że dr Sacha nie żyje. Zaaresztowany już w kwietniu przez Gestapo, przyłapany w jakiejś kawiarence, w której spotykał się z członkami swego stronnictwa, został wyśledzony i niebawem rozstrzelany. Było to dla mnie i dla nas wszystkich, którzyśmy znali i tak bardzo cenili tego działacza narodowego — cios wielki, dla mnie podwójny, bo miałem w nim uczciwego pośrednika do naszych czynników miarodajnych i poza tym człowieka, który mnie rozumiał i na pewno na posiedzeniach grubej czwórki w razie potrzeby naszego stanowiska umiał bronić. Toteż przygnębiony tym bardzo szedłem z drem Celichowskim na posiedzenie u pana Tarnowskiego dnia 5-go lipca na godz. 4 po południu, gdy na ulicy został on zatrzymany przez znajomego, który w formie jeszcze pogłoski zakomunikował mu, że gen. Sikorski miał jakiś groźny wypadek i życiu jego grozi niebezpieczeństwo. Przerażeni tą wiadomością doszliśmy na ul. Piusa, gdzie miało być posiedzenie i tam już zastaliśmy potwierdzenie tej strasznej wiadomości w formie już zupełnie pozytywnej. Generał Sikorski, wyjeżdżając z fortecy Gibraltaru z córką i kilkoma wojskowymi polskimi i angielskimi, uległ wypadkowi, samolot spadł do morza, wszyscy ponieśli śmierć za wyjątkiem pilota, który walczył ze śmiercią. Wiadomość ta olbrzymie na nas zrobiła wrażenie, wszyscy odczuliśmy, że tracimy w śp. gen. Sikorskim jednego z najdzielniejszych bojow-

ników o Polskę w czasie tej wojny, człowieka silnego, świadomego swych celów, które innym potrafił sugerować i który umiał dla ich realizacji walczyć. Pan Tarnowski ze łzami w oczach powiedział słów kilka głęboko odczutych pożegnania, a my z uczuciem niebywałego przygnębienia nie mogliśmy nie myśleć o tym, że jednak ta Polska nasza znowu jest narażona na nowe niebezpieczeństwo pozostania bez wodza, bo rozumieliśmy, że w wielu sprawach śp. gen. Sikorski był niezastąpionym i że na nowo rozpoczynać drogę zdobywania sobie wpływów dla nowego człowieka, który by na miejsce jego mógł przyjść, będzie rzeczą bardzo ciężką szczególnie w momencie, gdy walki polityczne na emigracji zarysowały się w coraz niebezpieczniejszej formie i zabrakłoby tego, kto by potrafił je hamować. Troską więc wielką naszą być musiało to, kto następstwo po gen. Sikorskim będzie mógł objąć i jak pierwsze kroki tego następcy będą wyglądały w stosunku do aliantów, u których Sowiety zyskiwały stale na terenie i w stosunku do społeczeństwa, gdzie niezadowolenie z wielu rzeczy nabrzmiewało wybitnie i stale.

Zgnębiony wiadomościami i naradami w Warszawie, wróciłem do Krakowa dnia 9 lipca, fizycznie i moralnie rozbity i z uczuciem, że wiele więcej zdrowie moje wytrzymać już nie może i że zadaniom mym nie podołam, gdy nowe przyszły ciosy, które sytuację ogólną w kraju jeszcze bardziej czyniły beznadziejną. Oto wbrew temu, co obiecywali stale panowie Losacker i Weirauch, klęski w kraju wzmagały się stale — dotyczyło to nie tylko nieszczęsnego Wołynia, gdzie formalne rzezie stały się rzeczą codzienną, ale też w Biłgorajskiem i Zamojskiem, przy okazji dokonywania tzw. pacyfikacji, znowu fala wysiedleń zarządzoną została przez Gestapo i z brutalnością coraz większą, z paleniem i wymordowywaniem całych wsi przez Sonderkommando była dokonywaną. Zebrane dane i wypracowany w tej sprawie nowy referat znowu złożyłem na ręce dra Losackera, który obiecał interweniować, o którym jednakże zacząłem poważnie myśleć, że wprowadzany jest w błąd przez władze. Toteż zadziwiony byłem bardzo, gdy przy tej okazji zainterpelował on mnie w sprawie zbrodni dokonanej w Zbydniowie. Oświadczył mi on, że sam osobiście był na miejscu, by w dokonywanym śledztwie wziąć udział, że proponuje

mnie, bym objął opiekę nad pozostałą rodziną i majątkiem Horodyńskich, wreszcie że winni zostali ukarani, a w ich liczbie ów kapitan, który tej strasznej nocy dowodził oddziałem, który dokonał ohydnego czynu. Kapitan ten miał być oddany pod sąd wojenny. Tylko pod względem zapowiadanych zmian dr Losacker milczał tym razem tak znacząco, że już gotów byłem podejrzewać, że raz jeszcze zamierzenia zmian na lepsze wpadły w wodę.

Tymczasem tym razem byłem w błędzie, bo dnia 22 lipca po południu otrzymałem za pośrednictwem dra Losackera zawiadomienie telefoniczne, że generalny gubernator czeka mnie i dyr. Seyfrieda dnia 23 tego miesiąca na zamku, by nam ważne zakomunikować rzeczy, zaś przedtem jesteśmy proszeni do dra Losackera, do jego biura Pod Baranami* w Krakowie, gdzie jako gubernator Dystryktu Krakowskiego urzędował. Oznajmił mnie również, że w naradzie weźmie też udział desygnowany na gubernatora do Lublina dr Wendler, szwagier Himmlera Reichsführera w Rzeszy. Tematem oficjalnym narady u niego miał być memoriał RGO w sprawie akcji pacyfikacyjnej w Biłgorajskiem i Zamojskiem, który to memoriał, jako dotyczący ziemi lubelskiej, będzie z jej przyszłym gubernatorem omówiony.

Dnia więc 23 lipca o godz. 3 min 15 stawiłem się z dyr. Seyfriedem Pod Baranami — zastaliśmy tam oprócz dra Losackera, dra Wendlera oraz radcę Weiraucha i zastępcę jego pana Türka. Zagajając konferencję, prezydent Losacker określił przedmiot zwołanej konferencji, wysuwając na czoło sprawę pacyfikacji i wysiedleń przeprowadzanych w Dystrykcie Lubelskim i poprosił mnie, jako prezesa RGO, o zreferowanie sprawy i przedstawienie postulatów z nią związanych. W dłuższym przemówieniu nakreśliłem sytuację RGO w dziedzinie niesienia pomocy, jaka wytworzyła się na tle metody pacyfikacyjnej, stosowanej przez władze policyjne na terenie Dystryktu Lubelskiego oraz trudności, z jakimi RGO musi walczyć, chcąc nieść wydatniejszą pomoc ofiarom tejże akcji pacyfikacyjnej. Podkreśliłem w swym przemówieniu, że ludność polska nie jest komunistycznie nastawiona, że chłop polski na całym terenie GG i poza nim jest konserwatystą najlepszych zasad ludzkich, będąc przy tym głęboko przywiązanym do religii jak i do roli,

pragnie jedynie uzyskania z powrotem możliwości spokojnej pracy. Pomoc, którą bandy rozmaitego rodzaju wymuszają na spokojnej ludności, jest wymuszaną z bronią w ręku, a nie pomocą wypływającą z przekonań. Nieszczęściem jest, że właśnie ta ludność, na której oprzeć się powinien ład i bezpieczeństwo, jest w niesłychany sposób dotkniętą represjami, które doprowadzają ludzi do największej rozpaczy — tysiące niewinnych ludzi już zginęło i należy się obawiać, że gdyby represje te trwały, liczba zupełnie niewinnych ofiar będzie wielokrotnie wyższa. Zakończyłem me przemówienie skonkretyzowaniem naszych postulatów, a mianowicie:

1. natychmiastowe zaprzestanie całej akcji pacyfikacyjnej,

2. by RGO i jej organom terenowym oddano w opiekę całą ludność dotkniętą nieszczęściem, wynikającym ze stosowanych metod pacyfikacyjnych, w szczególności, by oddano pod opiekę RGO wszystkie dzieci,

3. by organa RGO i jej miejscowe placówki miały możność swobodnego dostępu do ognisk nieszczęścia oraz swobodę poruszania się w terenie, wreszcie

4. by przez udzielenie odpowiednich środków finansowych i żywności rząd GG przynajmniej w części wynagrodził zło zrobione.

Pan gubernator Dystryktu Lubelskiego zabrał wtedy głos i oświadczył, że rozumie ciężką sytuację, jaka stworzoną została dla RGO, zna psychologiczne nastroje, jakie na skutek stosowanych dotychczas metod rządzenia w GG muszą powstać wśród szerokich mas społeczeństwa polskiego, i przyrzeka wszystkie postulaty powyższe uwzględnić. Dodał przy tym, że nie żąda, byśmy zapewnieniom jego wierzyli, gdyż na pewno nieraz podobne zapewnienia były wobec nas składane, a później z najrozmaitszych przyczyn nie dotrzymywane. Przekonany jest jednak, że będzie miał możność wkrótce udowodnić, iż zapewnienia jego są realne. W pracy swojej na bardzo ciężkim odcinku, jakim jest Dystrykt Lubelski, chce się oprzeć na tych 90% ludności, o której, stosownie do słów moich, jest przekonanym, że ona nie sprzyja elementom wywrotowym lub wprowadzającym chaos w kraju. I do tego potrzeba mu pomocy ze strony RGO i jej komitetów terenowych. O pomoc tę zwraca się niniejszym do RGO, zapewniając,

że pierwszym jego krokiem po przejęciu władzy w Dystrykcie Lubelskim będzie natychmiastowe wstrzymanie akcji pacyfikacyjnej i wysiedleńczej oraz przyjęcie już w następnym tygodniu Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Lublinie wraz z doradcą RGO panem Skrzyńskim celem bliższego rozpatrzenia wytworzonej sytuacji i zastanowienia się nad najcelowszymi środkami zaradczymi. Na jego zwrócone do mnie zapytanie, od czego należy rozpocząć, odpowiedziałem bez wahania, że zwiedzenie przez niego obozu w Majdanku Lubelskim byłoby pierwszym krokiem do zrealizowania przez dra Wendlera wyrażonych nam zamiarów naturalnie o tyle, o ile on podziela mój pogląd, że podstawą wszelkich poczynań być musi chęć przywrócenia zaufania Polaków do tego, że pod rządami niemieckimi istnieć może sprawiedliwość.

Pan prezydent Losacker, reasumując wypowiedziane przez obecnych myśli, stwierdził, że rząd GG wszelkimi siłami dążyć będzie do zmiany psychologicznego podłoża całego społeczeństwa polskiego w kierunku nabrania zaufania do prawdziwej chęci Niemców, pracujących na tym terenie, naprawienia tych błędów, które w stosunku do Polaków dotąd tak obficie popełniano. Wyraził przy tym przekonanie, że i Polacy wtedy postarają się naprawić te błędy, które w stosunku do Niemców ze swej strony popełnili. Kończąc swoje krótkie przemówienie nacechowane dobrą wolą w kierunku jak najszybszego zrealizowania zmian na lepsze, dr Losacker zaznaczył jeszcze, że w sprawie jakichkolwiek oświadczeń czy poczynań RGO, zwłaszcza w kierunku wydania odezwy kontyngentowej, nie będzie czynił żadnego nacisku, rozumiejąc dobrze trudną sytuację RGO — po czym zaprosił wszystkich obecnych do udania się z nim na zamek.

Tam zostaliśmy natychmiast przyjęci przez generalnego gubernatora dra Franka w obecności wymienionych wyżej osób. Charakterystycznym było to, że żadnego przedstawiciela organów policyjnych nie było. Dr Frank w formie bardzo uprzejmej zakomunikował mi, że zwrócenie się RGO o rozpatrzenie sytuacji i o pomoc rozważył i że pomocy tej natychmiast udzieli, polecając obecnemu drowi Wendlerowi zbadanie pobudek i podłoża przedstawionych przez nas faktów na tle całej akcji pacyfikacyjnej, z równoczesnym natychmiastowym jej wstrzymaniem, w myśl wydanych zresztą już

poprzednio zarządzeń. Dodał przy tym, że to, o co od dwóch lat walczył w Rzeszy, stało się obecnie już faktem dokonanym, a mianowicie, że właściwym kierownikiem policji na tutejszym terenie został generalny gubernator, a jego zastępcami gubernatorzy dystryktowi oraz starostowie powiatowi i że wskutek zunifikowania władzy administracyjnej i policyjnej obecnie w jednym ręku nastąpiło również zjednoczenie praw dysponowania organami policji. Znalazło to już wyraz zewnętrzny w rozporządzeniu generalnego gubernatora z dnia 15 lipca 1943 wprowadzającym unifikację władz. Dowódcą sił policyjnych na Dystrykt Lubelski był pan Globocnik, który mając samodzielność dopuścił się różnych, jak podkreślił dr Frank, niedorzeczności i został za to usunięty. W tym momencie widocznie jeszcze pod wrażeniem konfliktu, który widocznie miał miejsce z Globocnikiem, wypowiedział generalny gubernator z prawdziwą furią słów kilka na temat tego, co może uczynić złego człowiek postępujący jak ów satrapa dotychczasowy lubelski. „Przecież — jak się wyraził — miliony za to potem niewinnie cierpią, a opinia o władzy i sposobie rządzenia niemieckim na tym się opiera i kształtuje". Zresztą, jak mówił dalej, osoba nowego gubernatora dra Wendlera daje najlepszą gwarancję, że tego rodzaju niedorzeczności, jak wysiedlanie masowe ludności wiejskiej, i to jeszcze w czasie żniw, na które Niemcy tak bardzo liczą, już się nie powtórzy. Skierowując się do dra Wendlera, wydał mu ponownie polecenie natychmiastowego wstrzymania całej akcji, zaproszenia do siebie panów z naszego komitetu lubelskiego i z nimi zastanowienia się nad sposobami złagodzenia skutków fatalnego zarządzenia — oświadczył przy tym, że gotów jest ze swej strony wszystko zrobić, by biednej ludności wynagrodzić krzywdy wyrządzone. Dziękując następnie RGO za dotychczasową pracę, która, rozumiał on, że w warunkach wojennych nie była i nie jest łatwą, i doceniając ją, dr Frank podkreślił, że na współpracy tej, jak i też w ogóle na współpracy z Polakami bardzo mu zależy. Oświadczył wprost, że Niemcy mieli fałszywe wyobrażenie o właściwościach i zdolnościach Narodu Polskiego, że jednak zdołał on przekonać Niemców tutejszych, jak i w Rzeszy, o właściwej wartości Narodu Polskiego i o konieczności ścisłej z nim współpracy, zaliczając Polaków do narodów o kulturze zachodnioeuropejskiej. Na propozycję

dra Losackera, by można było RGO udzielić zaraz pomocy dla nieszczęśliwców w Dystrykcie Lubelskim, generalny gubernator postawił do dyspozycji RGO kwotę dwóch milionów złotych, a zarazem zapowiedział podwyższenie racji żywnościowych dla całej ludności polskiej w GG i zaznaczył, że osobiście dopilnuje tego, by ludność ta faktycznie otrzymała to wszystko, co jej na kartki przysługiwać będzie. Zrobił w ten sposób jakby aluzję do obietnic danych, a nie dotrzymanych w swoim czasie przez niego samego.

Kończąc swe przemówienie, generalny gubernator dr Frank zaapelował raz jeszcze do nas, jako przedstawicieli RGO, byśmy mieli zaufanie do szczerości jego wypowiedzi w dniu dzisiejszym, gdyż od 15 lipca roku tego nastąpił przełom w dotychczasowych metodach rządzenia na terenie mu powierzonym, a powodzenie jego poczynań w wielkiej mierze zależnym będzie od szczerej pomocy, którą mu zechcemy udzielić.

Odprowadzając nas do drzwi, powiedział on: „Miejmy nadzieję, że tym razem rozpoczętą będzie dla tego kraju nowa era". Tymi samymi słowami i bardzo gorąco prosząc o dopomożenie mu w przeprowadzeniu wielkiego dzieła, żegnał się ze mną dr Losacker. Widząc mój stan zdrowia, malujący się na twarzy, radził mnie skorzystać z owego czasu przejściowego, gdy szereg odpowiednich zarządzeń władz będzie przygotowywanych, wyjechać na parotygodniowy wypoczynek dla nabrania sił potrzebnych do nowej pracy.

Uczyniłem to tym chętniej, że widziałem jakby dokonanym pewien etap w pracach naszych — nie tak to było jednak łatwo nawet na krótko wyprząc z owego kieratu, w którym jedna sprawa o drugą zazębiała się, a ja byłem tym właśnie, który je popychał i władzom niemieckim przedstawiał. Dopiero więc w dniu 10 sierpnia udało mi się Kraków opuścić, by udać się na kilka tygodni do Rymanowa, gdzie miałem zapewnioną opiekę lekarską przy Domu Dziecka tam przez RGO założonym, a także miłe towarzystwo osób przy nim zatrudnionych.

Stan mego zdrowia faktycznie wymagał gwałtownie poratowania, a zacni moi opiekunowie twierdzili kategorycznie, że zrzekną się opieki nade mną, jeśli ich nie usłucham i zaraz na

dłuższy wypoczynek nie wyjadę, ponieważ zaś zdawało się, że tym razem faktycznie na drodze ku lepszym chwilom się znajdujemy, nie śmiałem się sprzeciwiać i załatwiwszy sprawy najpilniejsze z uczuciem, że mogę spokojnie Kraków tym razem opuścić, wyjechałem, zobowiązawszy prof. Woltera do zastępowania mnie w RGO.

W Rymanowie dzięki staraniom i naprawdę idealnej opiece, którymi mnie otoczyły pani dr Rakowska i pani Baranowska, kierowniczka Domu Dziecka, znalazłem prawdziwy i dziwnie kojący spokój. Leżałem tygodnie całe, czytając i od czasu do czasu przyjmując miłe mi wizyty — prowadziłem skrupulatnie kurację mnie przepisaną i korzystałem z idealnego powietrza i ślicznej pogody w całej pełni pozwalającej mi wykorzystać śliczne widoki miejscowości podgórskiej. Zaś wiadomości dochodzące do mnie o niebywałym rozwoju Domu Dziecka cieszyły mnie bardzo i pozwalały nie mieć uczucia, że jestem rozbitkiem nikomu niepotrzebnym i wyrzuconym poza burtę okrętu, który prowadziłem i na którym się rozbiłem.

Co pewien czas odwiedzali mnie działacze nasi z RGO pracujący w okolicznych powiatach Sanoka, Jasła i Krosna. Z tego, co mnie mówili — pani Skołozdro, prezeska komitetu w Sanoku, lub prezes Płaczek z Jasła — widziałem, z jakim szlachetnym zapałem szła tam praca nasza i że wprowadzanie w życie naszego credo stało się dla nich celem ich życia i pracy.

Spotkała mnie też pod koniec pobytu miła niespodzianka — oto pełnomocnicy Rady, odbywający swe miesięczne posiedzenia normalnie w Krakowie, postanowili przypadający na ten czas zjazd swój zorganizować w Rymanowie pod mym tym razem jeszcze przewodnictwem. Z pełnomocnikami nadjechał też dyr. Seyfried i wicedyrektor Starzeński, na tego ostatniego ucieszyłem się bardzo, bo czułem w nim prawdziwie serdecznego i wiernego przyjaciela. Obiad wspólny w Domu Dziecka, następnie posiedzenie sprawozdawcze odbyte u mnie wypełniły dzień przyjazdu ich, czyli 16 września, i uspokoiło mnie, że rzeczy rozwijają się dobrze. Jakby ogólne odprężenie następowało w stosunkach wskutek poczynań dra Losackera, a ja, choć już znacznie silniejszy, powinienem według ich zdania nie spieszyć się do Krakowa. Dnia następnego odbyło się znowu u mnie w pokoju drugie posiedzenie pełnomocników, na którym referował dyr. Seyfried rzeczy przeżyte w Warszawie, w czasie ostatniej tam jego bytności. Spotkał się on tam, czy był wezwany przez ministra, czy też wiceministra opieki społecznej z Delegatury Rządu, i ten bez żadnej znajomości rzeczy, jak się pan Seyfried wyraził, ale z wielkim przejęciem co do swej przyszłej roli, konferował z nim co do konieczności przygotowania statutu RGO na moment, kiedy Rząd Polski obejmie w kraju urzędowanie. Widocznym było, że projekty są robione bez gospodarza, czyli mnie, i że ten gospodarz im przy tej robocie zawadza — odczuli to wszyscy, którzy usłyszeli to, co mówił pan Seyfried, i aczkolwiek nie było to wszystko dla mnie żadną niespodzianką, uważałem, że postępowanie takie ze strony Delegatury jest w stosunku do mnie co najmniej niewłaściwym, jeżeli nie wprost niegodnym. Z tego, co usłyszałem, było dla mnie jasnym, że uczono się dopiero od pana Seyfrieda, czym jest właściwie Rada Główna Opiekuńcza, uczono się niedołężnie i dziwnie lekkomyślnie dopiero teraz, a nie komunikowano się ze mną w tej sprawie tylko z urzędnikiem, który dziś mógł być, jutro zaś może przestać być dyrektorem — było to szkodzącym instytucji, która przecież w momencie krachu, jak moment przełomu nazywać zwykłem, nie zmianami statutu i wyborami zajmować się winna, a wytężać wszystkie siły musi, by zadaniom spadającym na nią podołać. Panu Seyfriedowi po jego referacie powiedziałem, że temat uważam za niedojrzały do dyskusji, której też nie otworzyłem, a z bliskimi mi bardzo ludźmi, jakimi byli dla mnie pełnomocnicy, powiedzieliśmy sobie wszyscy jednomyślnie, że pana Seyfrieda nie możemy odtąd uważać za człowieka, na którego w momencie przełomu można by liczyć. Niestety, przekonanie to miałem już od dość dawna — wiadomym mi bowiem było, że otrzymuje bez udzielania mnie o tym wiadomości jakieś pieniądze w Delegaturze, która przez to samo, że je bez mej wiedzy udziela instytucji, za którą ja jedynie i całkowicie odpowiadałem, popełnia czyn wobec mnie nielojalny. Że pan Seyfried dawał się na te rzeczy namówić, rozumiałem, bo dążył do zrobienia kariery, na drodze do której widocznie mu się zdawało, że byłem jakąś przeszkodą, ale że czyniły to czynniki rządowe z jedyną instytucją oficjalną opieki społecznej, wprowadzając przez to

w jej szeregi dobrowolnie anarchię, nigdy to dla mnie nie będzie zrozumiałym i jasnym.

Ten incydent popsuł mi zupełnie przyjemność odwiedzin, na które się bardzo cieszyłem — uspokojony jednak o tyle, że na razie jeszcze nic bardzo gwałtownego nie wzywa mnie do Krakowa, postanowiłem po drodze zajechać do Korczyny do Szeptyckich*, następnie do Przeworska i Łańcuta.

Żegnany bardzo serdecznie i sam ze ściśniętym sercem opuszczałem Rymanów końmi, które odwiozły mnie do Korczyny. Spędziłem tam dwa dni na miłych rozmowach i naradach. Generał trzymał się doskonale. Musiałem wszystko, cośmy ostatnimi czasy przeżyli i jakie nadzieje łączymy z osobą dra Losackera obszernie opowiadać, staraliśmy sobie wiele zagadnień wyjaśnić i jak zwykle z generałem byliśmy zgodni, tak i tym razem podzielał on me zdanie, że raczej już przygotowywaniem politycznym zbliżającego się końca, aniżeli rozdawaniem zupek powinienem się zajmować, a to tym bardziej, że maszyna RGO zdawała się już dostatecznie dobrze naoliwioną i wobec nadziei na pomoc władz nie groziła większymi zawikłaniami. Należało teraz wszystkie wysiłki skupić w tym kierunku, by Rada mogła być faktycznie ostoją ładu i spokoju w kraju, a w momencie przełomu rządowi polskiemu być pomocną w tym, co on nie mógłby skutecznie wykonać, mianowicie w niesieniu pomocy społecznej natury. Wspominaliśmy w związku z wiadomym wystąpieniem Delegatury do Seyfrieda, jak to było w roku 1918, gdy nagle na RGO spadły olbrzymie obowiązki pomocy i rozdziału sprawiedliwego nadchodzących z zewnątrz, a wymagających natychmiastowego rozprowadzenia po kraju — środków żywności, której wszyscy wówczas łaknęli. Co dopiero w teraźniejszych warunkach stokroć gorszych i gdy nędza po kraju hula do pary z anarchią, do której sami zresztą przyczyniliśmy się, by się rozpleniła. Wracałem jednak, zdawało mi się przynajmniej, do zdrowia, wierzyłem, że Losacker, a nawet i Frank tym razem uczciwie chcą warunki życia w kraju uporządkować — z kraju nadchodziły lepsze wieści, więc poddawałem się chętnie myślom weselszym i nawet o wystąpieniu pana Seyfrieda starałem się zapomnieć, bowiem na wdzięczność mych ziomków nigdy nie liczyłem, a sumienie miałem spokojne, że wszystko, jak

umiałem najlepiej, robiłem, by z RGO zrobić instytucję na wysokości zadania wielkiego, które na niej ciążyło, i że nie żałowałem dlatego ani czasu, ani sił i zdrowia, ani siebie samego.

Z Korczyny wyruszyłem do Przeworska, gdzie dotarłem 19 września wieczorem po bardzo męczącej podróży koleją. Książę Andrzej Lubomirski to jeden znowu z tych ludzi, do których jechałem z radością — starszy ode mnie znacznie, jednak tak młody duchem, tak chętny do każdej pracy społecznej, a fizycznie mogący być przykładem zdrowia i wytrwałości — dom zaś jego w Przeworsku, pełen młodzieży i dzieci, wnuków i nawet prawnuków, był typem patryjarchalności i pięknego obyczaju gościnności. Dnie tam spędzone były to dnie przepięknej jesieni polskiej, pełnej jeszcze słońca i cudownego kolorytu barw jesiennych. Koło domu stojące cztery wielosetletnie lipy tworzyły jakby wybrane dla narad miejsce — wykorzystaliśmy je tym razem gruntownie, codziennie bowiem w czasie mego pobytu zbierało się grono wszystkich domowników i zaproszonych gości, którym mnie przypadło w udziale o tym, co nas Polaków czeka, mówić i przedstawiać, jak sobie przyszłą Polskę wyobrażamy. Nie bałem się dotykać śmiało niebezpieczeństw wielkich jej grożących, szczególnie od wewnątrz — wierzyłem jednak, że wszystko, co nam grozi, da się pokonać, pomimo że chmury i w Londynie, i na wschodzie zdawały się gromadzić coraz większe. Wierzyłem, że stworzymy jednak pomimo wszystko jeszcze z tej Rady Głównej wał ochronny, który zdać musi egzamin w momencie najniebezpieczniejszym.

W przeddzień wyjazdu na zebraniu, w którym wzięli udział — senior naszego ziemiaństwa książę Witold Czartoryski, Reyowie z Przecławia i Siemieńscy — musiałem mieć coś w rodzaju odczytu o treści zbliżonej do tego, co mówiłem rok temu w Wilkowicach — zainteresowanie było ogólne, a dyskusja utrzymywała się na poziomie, na którym tylko ludzie oddani sercem i duszą, a także i rozumem sprawie ojczystej, mogli ją postawić.

Z żalem opuszczałem Przeworsk. Jakieś, zdawało mi się, nieuzasadnione obawy ogarniały mnie i rodziły przekonanie, że już takiego Przeworska więcej nie ujrzę. Nie myślałem jednak jeszcze wówczas, że i ja, i oni wszyscy z ks. Andrzejem Lubomirskim na czele, tułać się będziemy musieli na obczyźnie, na nie-

pewny los zdani i nie wiedzący, czy kiedyś nam będzie sądzonym w ogóle Ojczyznę naszą oglądać, cóż dopiero widzieć ją taką, jaką słowami malowałem i chciałem widzieć w Przeworsku wówczas.

Końmi znowu pojechałem do połowy drogi do Łańcuta, gdzie mnie oczekiwało auto pana Alfreda Potockiego. Spędzonych u niego dni kilka były ostatnimi, które w tej wojnie wolno mi było spędzić beztrosko. Zwiedziłem wówczas znowu, jakby z lękiem, że to po raz ostatni, zamek i jego skarby, pokazywane mnie i objaśniane przez samego właściciela i jakże przez niego kochane i pielęgnowane z pietyzmem prawdziwym. Widziałem na świecie wiele magnackich rezydencji i zamków stanowiących zabytki historyczne, ale rzadko znaleźć by można coś równie harmonijnego i pełnego arcydzieł sztuki szczególnie malarskiej, jak wnętrze zamku w Łańcucie. Z zewnątrz zamek nie jest ładny ani w moim guście, ale wnętrze nie ma sobie równych.

Znowu wieczory poświęciliśmy spotkaniom z osobami, którym państwo Potoccy chcieli, bym sprawy poruszane w Przeworsku przynajmniej w liniach ogólnych powtórzył. Czyniłem to chętnie, bo wiedziałem, jak ludzie są żądni wiadomości, szczególniej wtedy, gdy mają możność otrzymania ich z pierwszego źródła. Znowu wszyscy byliśmy zgodni co do tego, jaką ma być linia naszego postępowania, nasuwało się tylko pytanie coraz częściej mnie dręczące, czy aby w sprawach tych wszystkich będziemy mieli w ogóle coś do powiedzenia?

Objechałem też z panią Potocką, matką Alfreda, wszystkie instytucje RGO przez nią w Łańcucie prowadzone, wszędzie panował wzorowy porządek, wiele inicjatywy i rozmach wielki w zapoczątkowaniu wszystkiego, co by dla ulżenia doli ludności dało się tylko zrobić.

W dniu 26 września, opuszczając z żalem Łańcut, byłem jednak ciągle dobrej myśli i jechałem do Krakowa z powrotem z nową chęcią do pracy i nowymi planami dla takowej. Wiele rzeczy zaraz na wstępie zdawało się ten mój optymizm potwierdzać, bowiem zaraz następnego dnia spotkała mnie miła niespodzianka ze strony dra Wojtysia i bratowej jego, pani Kwapiszewskiej, którzy dla prac RGO zadeklarowali sumę pół miliona złotych i na poczet tej sumy wnieśli zaraz 25 000 zł, obiecując dalsze sumy takie

w odstępach dziesięciodniowych. Następnie przybyła do Krakowa ks. Eustachowa Sapieżyna, córka ks. Andrzeja Lubomirskiego, celem zakładania nowych placówek naszych szczególnie sanitarnych w Przeworsku, co mi się wydało już owocem moich przemówień i nowej atmosfery, która miała zapanować w kraju. Wreszcie zainteresowanie ogólne naszymi pracami, chęć wzięcia się do nich i garnięcia się do instytucji naszych stały się jakby paroksyzmem, przez który przechodziło społeczeństwo nasze pod wpływem nadziei, które z oświadczeniami Franka i Losackera chętnie łączono. Nawet Książę Metropolita, wielki pesymista co do Niemców i tego, czego od nich w najlepszym razie oczekiwać należy, wypytywał mnie stale, co się dzieje i gdzie jest obecnie dr Losacker, i co mówi — a tymczasem ze mną mówił tylko radca Weirauch, podtrzymując starannie zaszczepione w nas nadzieje, a dra Losackera, zawezwanego znowu w jakichś sprawach do Berlina, jak nie było, tak nie było i nie wiedziano, kiedy właściwie przyjedzie.

Wyjechałem więc na dni kilka do Warszawy, by tam się w sytuacji dokładnie zorientować i szczególniej z panem Celichowskim na temat stosunku do Delegatury i Komendy Wojskowej pomówić, bo nie było już dra Sachy, by mi pomagać, a widziałem zbliżającą się konieczność osobistego porozumienia znowu. Nastroje znalazłem tym razem spokojniejsze, pomimo że według mnie i osób kompetentnych nie było do tego rzeczowego powodu, bo bandytyzm wzrastał na sile z dnia na dzień, sabotaże stawały się coraz częstsze i niebezpieczeństwo z ich powodu wzrastało bardzo — jedynie z Lublina nadchodziły wieści pomyślne o działalności rozwiniętej tam przez gubernatora dra Wendlera, który zgodnie z daną obietnicą postępował i namacalnymi rezultatami w kierunku dla nas dodatnim mógł się pochwalić.

Smutny, ale i rozczulający miałem tylko widok biednego kolegi Baehra w szpitalu, gdzie miał być poddany operacji koniecznie potrzebnej ze względu na niebywale szybki rozwój choroby. Ucieszył się bardzo, gdy zobaczył mnie i Platera, rwał się do pracy i w wyleczenie szybkie wierzył — nas zaś serce bolało widzieć, że stan jego jest beznadziejnym prawie, a operacja usunąć choroby nie będzie w stanie, najwyżej życie nieco przedłuży.

Gdy w dniu 8 października powróciłem do Krakowa, zastałem wezwanie od radcy Weiraucha, że chce zaraz nazajutrz widzieć mnie w ważnej sprawie. Toteż stawiłem się u niego w południe i zastałem go w towarzystwie prezydenta propagandy Ohlenbuscha, którego obecność mnie o tyle zdziwiła, że rzadkie miałem wypadki spotkania z nim i nie odznaczał się on chęcią zbliżenia do mnie, chyba w momencie sprawy Katynia, gdy miał nadzieję wciągnąć mnie i RGO w orbitę poczynań swych w tej sprawie. Inna jednak sprawa była na porządku dziennym naszego spotkania urządzonego na jego życzenie przez radcę Weiraucha. Pan Ohlenbusch, jak się okazało, chciał ze mną pomówić na temat nastrojów panujących u ludności polskiej i tych zamierzeń, które projektowane przez generalnego gubernatora i dra Losackera na korzystną ich zmianę powinny wpłynąć. Gdy mu te sprawy przedstawiłem, jak na nie patrzę i jakie widzę nadzieje, i jakie przeszkody, zwrócił moją uwagę pan Ohlenbusch na konieczność z mej strony nawiązania właściwych stosunków z Gestapo, tłomacząc, że aczkolwiek o przedstawicielach tej instytucji w opinii ogółu jest ustaloną opinia niekorzystna, to jednakże w czasach ostatnich Berlin zdecydował się dokonać poważnych zmian w składzie Gestapo krakowskiego, na którego czele stanął człowiek energiczny bardzo i bezwzględny, ale do którego mieć można dostęp i który na pewno na argumenty logiczne, a szczególniej związane z programem uspokojenia kraju i powstrzymania sabotaży, mógłby się okazać wrażliwym. Pomimo twierdzenia pana Weiraucha, że właściwie przedstawiciele RGO nie mieli dotąd bezpośredniego stosunku z władzami Gestapo, przekonywał on pana Weiraucha, że to dla powodzenia planów dra Franka i dra Losackera jest bardzo potrzebnym — wobec czego zapytał mnie, czy się zgodzę odwiedzić Oberführera Bierkampa, który po Krügerze objął władzę w Krakowie — gdy zaś wobec tym razem przychylnego potraktowania sprawy przez pana Weiraucha poprosił mnie w imieniu owego pana Bierkampa o wyrażenie zgody na spotkanie — nie pozostawało mi nic innego, jak do życzenia tego się przychylić. Zaraz po południu otrzymałem wiadomość, że pan Bierkamp czeka na mnie w dniu 11 t.m. o godz. 10 rano.

Spotkanie to odbyło się w oznaczonym terminie i należało do wyjątkowo przykrych, bowiem w trakcie jego dowiedziałem się, że

pan Bierkamp nosi się z zamiarami, które według mnie kolidować muszą z zamierzeniami władz cywilnych, następnie naradzie była nadana forma dziwna, bowiem to, co mówiłem, było stenografowane przez kogoś, na którego obecność proszono mnie o zgodę, wreszcie dlatego, że mając zwyczaj dociągać strunę, jeżeli chodziło o wywalczanie dla RGO takich czy innych koncesji, to jednak zawsze mi się udawało struny nie przeciągać — tym razem stało się inaczej.

Tematem poddanym dyskusji, a raczej, na który proszono, bym mówił, były nastroje ludności i sposoby, jakimi można osiągnąć posłuch dla rozporządzeń władzy i ogólne uspokojenie. Gdy wyczerpałem z mej strony wszystko to, co mogłem na temat mi postawiony powiedzieć, i z tego, co mówiłem, wypływać musiał wniosek jasny, że to, co się w kraju złego dzieje, przypisywać muszę przede wszystkim polityce prowadzonej od początku wojny w stosunku do ludności polskiej przez władze okupacyjne — pan Bierkamp, jakby nic o zamierzeniach władz cywilnych nie wiedząc, przedstawił mi swój plan, o którego skrytykowanie zupełnie szczere bardzo uprzejmie prosił. Plan ten polegał na zaprowadzeniu sądów policyjnych, których statut krótki i jasny, ale odbiegający od wszelkich zasad wymierzania sprawiedliwości, mi dał do przeczytania. Widziałem od razu, że chodzi nie o to, by zasady sprawiedliwości były przestrzegane, ale o rzecz inną zupełnie — o stworzenie pozorów, że sądy istnieją, gdy zastosowanie zamierzonego projektu według mnie urągało temu, bowiem nie było w nich mowy o obronie, skład sądu był czysto policyjny, a wyrok bezapelacyjny. Gdy w dodatku pan Bierkamp mi zaczął tłomaczyć, że władze nie ścierpią dalej, by sabotaże stosowane były bezkarnie i że on, jako „kühler Mensch" (zimny człowiek), gdy mu powierzonym zostanie przeprowadzenie odpowiedniej akcji, nie zawaha się postawić karabiny maszynowe na ulicach i za każdego zabitego Niemca na oczach ludności powiesić lub rozstrzelać co najmniej dziesięciu Polaków — zobaczyłem, że ma tutaj miejsce jakieś wielkie tragiczne nieporozumienie, gdy człowiek taki obdarzony władzą i ignorujący zupełnie podaną nam do wiadomości oficjalnie przez generalnego gubernatora zależność swą od niego, mi coś podobnego mówi. Toteż gdy po wysłuchaniu tego wszystkiego miał on odwagę jeszcze mnie zapytać, co ja o tym

jego projekcie myślę — nie wahałem się szukać słów ostrych dla dania mu należnej odprawy i nawinęły mi się one takie, które niezwłocznie wywołały burzę. Powiedziałem mu zresztą zupełnie spokojnie, aczkolwiek tłumiłem oburzenie wewnętrzne, że jeżeli sobie życzy, bym mu me zdanie o tym powiedział zupełnie szczerze, to muszę je sformułować w słowach, które malują według mnie dobitnie to, co po zaprowadzeniu takich sądów i kar niewinnych osób stać się musi — będzie to nowy wielki „Weltskandal" (skandal światowy). Dopiero, gdy wypowiedziałem te słowa, zobaczyłem, jak były one ostre i wypowiedziane przy świadku, jak dalece dotknęły mego interlokutora. Zerwał się on zza biurka i krzycząc prawie, zapytał, czy doniosłość mych słów rozumiem, a gdy mu to potwierdziłem — w paru słowach, z których widać było, że tylko stara się zapanować nad swym gniewem, oznajmił mi, że konferencję uważać chyba musimy za skończoną. Była ona przedsmakiem tego, co od tego brutalnego i złego człowieka miała jeszcze wycierpieć cała Polska.

Gdy wprost od Bierkampa poszedłem do Księcia Metropolity dla zdania mu sprawy z przeprowadzonej rozmowy, którą się bardzo interesował — stanęliśmy wobec wielkiego znaku zapytania, co może znaczyć ten kontrast pomiędzy tym, co słyszymy ze wszystkich stron od władz cywilnych, a tym, co mi powiedział Bierkamp, przecież w tym, co mówił, co prawda w uprzejmej formie, wyczuwało się akcenty groźby pod adresem społeczeństwa polskiego, a co dopiero znaczyły projekty jego urągające wszystkiemu temu, co można by nazwać pozorami sprawiedliwości jakiejkolwiek?

Niedługo czekaliśmy na wyjaśnienie tych męczących nas znaków zapytania — już dnia następnego spotkałem idąc do radcy Weiraucha jednego z jego urzędników, który nieoczekiwanie i z wielkim przygnębieniem oświadczył mi, że musi mnie zdradzić rzecz, która od kilku dni trzymaną jest przez władze cywilne w tajemnicy, a mianowicie to, że dr Losacker przez władze Gestapo został — jak się wyraził — „abgesägt" (odpiłowany). Zrozumiałym jest, że odczułem to mocno, a gdy radca Weirauch, zapytany przeze mnie wprost o to, nie mógł mi zaprzeczyć, że jest to ścisłym określeniem sytuacji, zażądałem od niego należnych wy-

jaśnień. Brzmiały one bardzo pesymistycznie dla naszych przyszłych warunków egzystencji — generalny gubernator i władze cywilne wszystkie trwały przy swym przekonaniu, że kurs w GG musi być zasadniczo i definitywnie zmieniony — jednak dr Losacker czy zanadto gwałtownie tej zmiany chciał dokonać, czy też znalazł w tej pracy na drodze swej wrogów, którzy się po prostu obawiali jego w tym względzie powodzenia, dosyć że władze Gestapo w Berlinie i pan Bierkamp w Krakowie sprzeciwiły się ostatecznie przeprowadzeniu w całości planów projektowanych przez dra Losackera — i Himmler dał mu dymisję w tej formie, że został on przeznaczonym do innych czynności w wojsku SS i w ten sposób odcięty od zadań powierzonych mu poprzednio w związku ze zmianą kursu w GG. Przygnębienie pana Weiraucha było wielkie, mnie zaś starał się on wytłomaczyć, że jednakże generalny gubernator ma już przyznane sobie atrybuty władzy tak wielkie, że sam będzie mógł może mniej szybko, ale konsekwentnie plan swój zmiany kursu przeprowadzić, a z Gestapo musi sobie dać rady. Nie podzielałem jego zdania w tym względzie, wiedząc, jaką efemerydą była władza, za którą w stosunkach reżymu narodowosocjalistycznego by nie stało Gestapo. Byłem przekonany, że nowe walki pomiędzy władzami cywilnymi i policyjnymi na naszym terenie wyniknąć muszą i że my stać się musimy ich ofiarami — zaś że generalny gubernator nawet może i ożywiony w tym kierunku najlepszymi chęciami, by swój plan przeprowadzić, nie potrafi dać sobie z tym rady i że należy uważać plany dra Losackera w tych warunkach, niestety, za pogrzebane.

Wkrótce miałem się przekonać na własnej skórze, jak dr Frank umie się zręcznie brać do przeprowadzania swoich planów i jak się wobec nich zamierza zachować Gestapo.

W dniu 15 października zostałem zaproszony do radcy Weiraucha, jak twierdził, w bardzo ważnej a pilnej sprawie. Gdy przybyłem do niego, oświadczył mi z pewnym zakłopotaniem, że nadarza się sposobność, by generalnemu gubernatorowi dopomóc do przeprowadzenia jego tak dla nas przecie przychylnych planów. Sposobność ta miała być złączoną z przypadającą w dniu 26 października rocznicą utworzenia Generalnego Gubernatorstwa.

Dr Frank mianowicie projektował nadać uroczystościom z rocznicą tą związanym charakter o ile możności propolski, a ponieważ w tym czasie miały się też odbyć dawno już projektowane dożynki na podwórcu wawelskim, w których włościanie z całego GG mieliby wziąć udział — więc generalnemu gubernatorowi się zdaje, że jest to okazja przemówienia do tych włościan. Oprócz przemówienia swego uważał on za wskazane, bym przemówił także ja, jako prezes jedynej instytucji polskiej i człowiek, którego wszyscy znają, i jak twierdził, głos którego by mógł wiele wpłynąć na ukształtowanie się stosunków w kierunku ich doprowadzenia do pokojowego rozwoju. Aczkolwiek uważałem, że jest to jakby pułapka zastawiona na moją osobę, bowiem wiadomym było powszechnie, że kilkakrotnie proszony na różne przyjęcia przez dra Franka, zawsze kategorycznie odmawiałem — to jednak w tej nowej jakby pozycji, która się ostatnimi czasy wytworzyła, nie chciałem odmawiać bez porozumienia się i naradzenia się z Radą całą i miarodajnymi czynnikami i wobec tego nie odpowiedziałem od razu, postawiłem tylko na wypadek, gdyby moja bytność na zamku miała dojść do skutku, warunek jeden zasadniczy, że przemawiać bym mógł tylko po polsku i że treść mego przemówienia nie mogłaby być żadną mową chwalebną (Lobrede) na cześć generalnego gubernatora.

Przedtem nim do domu zdążyłem wrócić, już był telefon od radcy Weiraucha, że warunki postawione przeze mnie w wiadomej sprawie są już akceptowane — świadczyło to dobitnie, jak drowi Frankowi na obecności mej zależało. Oprócz mnie w dniu 24 października na dożynkach miał być prof. Wolter, którego władze przywykły traktować jako mego zastępcę, i dyrektor RGO pan Seyfried.

Naturalnie przede wszystkim z nimi, a potem zaraz z całą Radą odbyłem narady, jak odnieść się do tej sprawy, która ze względu na obecnie wytworzoną sytuację w stosunku do dra Franka stawała się drażliwą bardzo i trudną do rozstrzygnięcia. Na posiedzeniu Rady doszliśmy do przekonania, że niestety, tym razem należy uczynić zadość życzeniu generalnego gubernatora, by w ten sposób uniknąć klęsk gorszych — postanowienie to tym bardziej zostało przyjętym, że osiągnięty kontakt z Delegaturą Rządu dał rezultat raczej pozytywny w stosunku do tej bytności,

przynajmniej w tym duchu przedstawił nam tę sprawę pan Seyfried. W dniu 19 października na skutek tej decyzji byłem z nim i prof. Wolterem u radcy Weiraucha dla omówienia programu całej uroczystości, w której mieliśmy wziąć udział.

Wszystko więc zdawało się układać po linii pójścia na zamek, gdy niespodziewanie zupełnie zaczęły nas dochodzić słuchy, że w Sanoku, zaś następnie w Warszawie i na koniec w Krakowie mają być dokonywane egzekucje ludzi osądzonych na śmierć przez policję, przez owe sławne sądy, i ponoszących karę za zabójstwa lub sabotaże dokonane na Niemcach. Powiedziana mi przez Bierkampa cyfra dziesięciu za jednego Niemca miała odbicie w dochodzących do nas pogłoskach. Ponieważ pierwsza z tych wiadomości przywieziona mi była z Sanoka z zupełnie konkretnymi szczegółami (zabity został Niemiec leśnik, zapowiedzianą była egzekucja na dzień 22 października, miało być rozstrzelanych dziesięciu Polaków, tam gdzie ludność była ukraińska i istniała niemal pewność, że nie Polacy dokonali zbrodniczego czynu) — udałem się więc zaraz do radcy Weiraucha i oświadczyłem mu, że gdyby wiadomość ta się miała potwierdzić, a tym bardziej gdyby egzekucja miała być dokonaną, wykluczonym by było, bym ja lub ktokolwiek z naszych panów mógł wziąć udział w uroczystościach na zamku. Jednocześnie zwróciłem się telefonicznie do Stanisława Tyszkiewicza w Warszawie, by mnie zaraz szczegółowo zdał sprawę z tego, co tam się działo, i w razie czego z odpowiednim raportem do Krakowa zaraz przyjechał. Pan Weirauch, jakby gorącym żelazem dotknięty, na głowie się postawił, by w Sanoku do egzekucji nie dopuścić i zaraz nazajutrz we czwartek (dożynki miały się odbyć w niedzielę!) zakomunikował mi, że wyjaśniło się, że zgodnie z tym, cośmy przewidywali, Ukraińcy dokonali zamachu w Sanoku, że wobec tego sprawa wykonania wyroku przestała istnieć. Toteż jeszcze we czwartek odbyliśmy z nim razem konferencję u dra Naumanna, prezydenta wydziału wyżywienia, na której przyznane zostały RGO obfite przydziały żywnościowe, jakich dotychczas nigdy nie otrzymaliśmy. Pan Weirauch zdawał się odżywać i promieniał radością, że jednakże sprawy zdają się układać pomyślnie.

Tymczasem wieczorem wiadomości nowe i coraz bardziej zastraszające zaczęły krążyć po Krakowie — mówiono, że naza-

jutrz w Krakowie właśnie odbędą się rozstrzeliwania jako odwet za dwóch zabitych szpicli niemieckich. Przerażenie było ogólne, ale jeszcze nikt nie chciał właściwie wierzyć, by to mogło być prawdą. Niestety, pogłoski prędko przekształciły się w fakt tragiczny przejmujący zgrozą wszystkich, bo następnego dnia o godz. 10 rano na ulicy Długiej zajechały budy gestapowskie i z nich wyciągnięto dwudziestu młodych ludzi z rękami skrępowanymi z tyłu. Ustawiono ich rzędem pod ścianą domów i rozstrzelano na oczach publiczności osłupiałej i przerażonej sceną, która przed nią się rozegrała.

Tak więc po długich chwilach pełnych nadziei Gestapo znowu przekreśliło nawet myśl samą, by Niemcy, owe nowe narodowosocjalistyczne Niemcy, mogły inaczej jak despotycznie i brutalnie rządzić — stwierdziły raz jeszcze, że nie liczą się z godnością ludzką i jakimikolwiek uczuciami ludzkimi i wierzą li tylko w siłę stosowaną przeciwko bezbronnym.

Tegoż dnia wieczorem otrzymałem od Tyszkiewicza telefoniczną wiadomość, że w Warszawie przy ulicy Piusa naprzeciwko gimnazjum imienia Emilii Plater rozstrzelano także dwudziestu młodych ludzi w warunkach pełnych zgrozy i że publiczność po tym morderstwie długo manifestowała, składając na miejscu dokonanej zbrodni kwiaty i zapalając świece oraz głośno zanosząc modły za zabitych. Na następny dzień w sobotę rano zapowiedział mi swój przyjazd do Krakowa, by mi ze wszystkiego zdać szczegółowe sprawozdanie.

Naturalnie, gdy fakty takie miały miejsce, nie mogłem się wahać ani chwili co do tego, że udział przedstawicieli Rady Głównej Opiekuńczej w uroczystościach na zamku w rocznicę powołania do życia władzy niemieckiej, która jedna do takich krwawych zbrodni dopuszczała, a druga je wykonywała — jest niemożliwością. Chodziło już tylko o to, by o tym mym postanowieniu, w które nie wątpiłem na chwilę, że będzie przez całą Radę aprobowane, zawiadomić władze. Postanowiłem doczekać przyjazdu Tyszkiewicza, od niego usłyszeć relację dokładną z tego, co miało miejsce w Warszawie, i wtedy zaraz z rana iść do radcy Weiraucha i na jego ręce złożyć odpowiednio umotywowane, a jakże chyba zrozumiałe dla każdego kulturalnego człowieka oświadczenie. Tak się też i stało. Tyszkiewicz już na ósmą rano był u mnie i w obecności

pana Zygmunta Lasockiego i kilku z mych najbliższych współpracowników, a więc panów Tchórznickiego i Janki opowiedział nam wstrząsające szczegóły odbytej na ulicy Piusa egzekucji młodzieży naszej, nic wspólnego nie mającej z jakimś gdzieś dokonanym zabójstwem. Społeczeństwo polskie z pogardą dla grożącego niebezpieczeństwa manifestowało godnie, modląc się głośno na miejscu, gdzie znać było jeszcze ślady krwi rozlanej, składając kwiaty i paląc świece do późnej nocy. Pomimo rozpędzania przez policję tłumy gromadziły się ciągle, zachowując imponującą powagę. Warszawa wstrząśnięta była dokonaną na jej synach zbrodnią do głębi.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, już przed godziną 9-tą rano byłem u pana Weiraucha, któremu ku jego przerażeniu opowiedziałem wszystko i prosiłem, żeby mi wskazał drogę, na której powinienem o powziętej decyzji zawiadomić generalnego gubernatora. Pan Weirauch mnie oświadczył, że właśnie wybiera się do gmachu uniwersytetu, by tam w auli wziąć udział w akademii, na której przemawiać ma, a raczej mieć odczyt, dr Frank, że więc prosi mnie, bym o jedenastej punktualnie zechciał na niego przed gmachem uniwersytetu poczekać, a on wyjdzie do mnie i zakomunikuje, jakie w tej mierze powziął postanowienia. Faktycznie punktualnie o tej godzinie wyszedł on do mnie w towarzystwie dra Ohlenbuscha i prosił, bym poddał rewizji swe postanowienie, bowiem pociągnąć ono może dla mnie osobiście i dla całej RGO nieobliczalne wprost następstwa — gdy do tych słów jego przyłączył się pan Ohlenbusch, powiedziałem mu, że zmiana postanowienia naszego jest niepodobieństwem, bo my tańczyć nie umiemy, gdy krew rodaków naszych niewinnych leje się na ulicach stolicy i Krakowa. Słowa moje pochwycił ku mojemu zadziwieniu pan Ohlenbusch i tonem pełnego zrozumienia dla mej sytuacji powiedział: „No tak, jeżeli Pan Hrabia jest tylko przekonanym, że przelaną została krew ludzi zupełnie niewinnych, to postanowienie Pańskie jest dla mnie zupełnie zrozumiałym". Wtedy zrezygnowany już pan Weirauch oświadczył mnie, że czekać będzie na mnie u siebie w mieszkaniu prywatnym o godz. 2 i pół po południu i tam prosi o przyniesienie odpowiedniego listu do generalnego gubernatora, który to list on jemu doręczy osobiście, bo o tej godzinie właśnie ma się udać na zamek na proszony obiad.

Gdy zapytałem się, czy nie lepiej by było, bym mógł zobaczyć na kilka chwil dra Franka i jemu motywy swego postępowania przedstawić osobiście, spotkałem się z odpowiedzią, że to jest wykluczonym, bo cały dzień jego jest tak wypełnionym, że to jest niemożliwością chwilę jedną znaleźć.

Wróciłem więc do domu dla napisania listu i przedstawienia na Radzie powziętego przeze mnie postanowienia. Naturalnie poczynione przeze mnie kroki spotkały się z pełną aprobatą Rady, chodziło więc tylko o zredagowanie odpowiedniego pisma. Nadałem mu następujące brzmienie:

„Kraków dnia 23.10.1943.

Ekscelencjo!

W dniach ostatnich, to znaczy 20 i 21 października 1943 r., odbyła się w Krakowie egzekucja 30-u polskich zakładników na ulicy wobec patrzącej na to publiczności, tak samo w Warszawie w tym samym czasie i w tenże sposób rozstrzelano 60 osób. Wobec uczuć, które tego rodzaju czyny w całym polskim społeczeństwie wywołać musiały, nie może Rada Główna Opiekuńcza w momencie, gdy krew rodaków naszych plami ulice miast naszych, przyjmować udziału w żadnych oficjalnych uroczystościach. Chcemy wierzyć, że Ekscelencja, jak już wielokrotnie w czasie działalności naszej mieliśmy możność stwierdzić, i teraz zachowanie się nasze zrozumie i wytłomaczenie jego znajdzie w niezwykłej tragedii naszego obecnego położenia".

Nadmienić muszę, że zamiast dyr. Seyfrieda miał być na zamku pan Antoni Starzeński, jego zastępca, którego dyr. Seyfried uprosił, by go zechciał zastąpić ze względu na to, że on, dyr. Seyfried, miał w dacie tej wizyty jakąś rodzinną uroczystość, na której musiał być obecnym. Starzeński nieopatrznie i przez daleko posuniętą uczynność się zgodził.

Mając przygotowany list w kieszeni, stawiłem się o 2^{30} u radcy Weiraucha, by mu go doręczyć. Zastałem go w chwili wyjazdu na zamek, zrozpaczonym wytworzoną sytuacją, no i próbującym mnie przekonać jeszcze, bym dla dobra RGO przynajmniej jeszcze raz poddał rewizji swe stanowisko. Gdy mu na to odpowiedziałem, że mam jeden honor i jedno sumienie, a z tym zgodną jedną tylko linię postępowania, zobaczył, że nic nie osiągnie i pożegnawszy się ze mną odjechał, prosząc w ostatniej chwili,

bym od czwartej zechciał być w domu, bo wtedy mnie o tym, jak się sprawy na zamku ułożyły, powiadomi. Po drodze do domu zaszedłem do Księcia Metropolity, by mu zdać sprawę z przebiegu spraw, zastałem go pełnym smutku, ale zupełnie zgodnego ze mną, że żadnej innej drogi wyjścia z wytworzonej sytuacji być nie mogło.

Punktualnie o czwartej otrzymałem telefoniczne zawiadomienie uczynione osobiście przez pana Weiraucha, głosem nadzwyczaj uroczystym i zmienionym, że prosi, bym go czekał, jeżeli można w obecności prof. Woltera i dyr. Seyfrieda, bo niebawem do mnie przyjedzie. Zaledwie zdążyłem powiadomić tych panów, gdy drzwi się otworzyły i wszedł do mego gabinetu pan Weirauch, niezwykle blady i uroczysty. Zaczął od tego, że to jest skandalem po prostu, by on w tych warunkach, które się wytworzyły, do mnie przychodził — że chce tym nam dać dowód, jak dalece wszystko jest on gotów uczynić, by nas od niebezpieczeństwa nam grożącego ratować. Gdy zapytałem spokojnie, o co chodzi, jakby zirytowany tym spokojem, krzyknął: „Przecież właściwie trzeba, żeby Pan zaraz uciekał!" (Sie müssen fliehen) — gdy na ten wykrzyknik odpowiedziałem znowu spokojnie, że to jest zupełnie wykluczonym, pan Weirauch znowu w gorących bardzo słowach, zaczął mnie przekonywać, bym zmienił stanowisko i list wycofał. Gdy wtedy znowu spotkał się z mą kategoryczną odmową w słowach, że ani jednego punktu nad i nie mogę zmienić, zdawało mu się na chwilę, że znajdzie orędownika w osobie prof. Woltera, który w tejże chwili wszedł do pokoju, i nie pozwalając, bym mu cośkolwiek mógł powiedzieć, żądał od niego, by dla sprawy istnienia Rady mnie przekonał, że muszę coś ustąpić. Jakie było wielkie me zadowolenie, gdy profesor jak zwykle opanowany, głosem spokojnym powiedział, że podziela me zapatrywania i uważa, że ani jedna litera w postępowaniu naszym i tym, co napisanym zostało, nie może być zmienioną. Wtedy doprowadzony tym do rozpaczy pan Weirauch zaczął nam opowiadać, co stało się na zamku. Otóż trafił on tam, gdy uczestnicy proszonego obiadu licznie bardzo zgromadzeni już byli około stołu z zakąskami i liczne krążyły kieliszki, pośrodku ich wszystkich — zapewne już po długiej kolejce koniaków — stał dr Frank, coś gorączkowo opowiadając, podniecony bardzo. Gdy ujrzał wchodzącego

dra Weiraucha, zwrócił się do niego ponad głowami obecnych i na głos cały zapytał: „No i cóż ten Pański hrabia?" — na co pan Weirauch odpowiedział, że przynosi list i list ten doręczył, na chwilę nie przypuszczając, że może on być publicznie odczytanym. Niemniej się to stało i gdy dr Frank doczytał tylko połowy listu, znać już było, że robi się purpurowy ze złości, która go opanowała. Po chwili głosem pełnym niepohamowanego gniewu wykrztusił: „Niech Pan powie temu hrabiemu, by się opanował, stawiam mu ultimatum do godziny szóstej, po której, jeżeli nie zmieni stanowiska, nastąpi to, na co zasługuje po tym afroncie, jaki mi uczynił!". Po opowiedzeniu nam tego — pan Weirauch, przejęty do głębi sytuacją, zwrócił się do nas z wykrzyknikiem: „Gdzież są u was realni politycy?" — na co mu odpowiedziałem z całym spokojem, że zostali oni wszyscy co do jednego rozstrzelani przez Niemców. „Ależ przecież jest to głupota niemożliwa do zrozumienia!" — wykrzyknął znowu jako echo trapiących go myśli. Odpowiedziałem na to spokojnie, ale z pewnym odcieniem ironii, że proszę go, by tym słowem nie szafował, bo muszę wtedy odpowiedzieć, że co się tyczy głupoty, to bezkonkurencyjni pod tym względem są Niemcy, którzy potrafili z niej nagromadzić już taki kapitał, że z procentów samych od niego mogliby sobie wystarczyć do końca świata. Dziwny nastąpił moment — pan Weirauch patrzał na nas jak na wariatów, wreszcie nie wytrzymał i parsknął nerwowym śmiechem, a myśmy mu zgodnie w tym zawtórowali, wtedy poprzez śmiech powiedział, że przecież to jest niebywałym, że przyszedł do nas, czego uczynić był nie powinien, by nas ratować, co najmniej ostrzec przed niebezpieczeństwem wielkim, które nam grozi, a my się śmiejemy — to mogło go spotkać tylko z Polakami. Gdy zaś otrzymał z naszej strony jeszcze oświadczenie, że oczekiwać będziemy u mnie tego, co ma nastąpić, bo chcemy władzom ułatwić ich szlachetne funkcje, wstał pan Weirauch i zabierał się wychodzić, głośno rozumując, że chce jeszcze zaryzykować odwiedzić dra Bühlera, sekretarza stanu, który nie był obecnym na zamku i który może się zgodzi skomunikować z Berlinem dla uniknięcia grożącego inaczej skandalu. ●

Zostaliśmy z prof. Wolterem i Tyszkiewiczem u mnie, oczekując na to, co zdawało się tym razem nieuniknienie stać się z nami

musi — oczekiwaliśmy wobec zbliżającej się godziny szóstej charakterystycznego gwałtownego dzwonka i wkroczenia Gestapo, nastrój był dziwnie poważny, ale miły i taki, w którym wszyscy czuliśmy się sobie dziwnie bliscy. Doczekawszy się tak godziny dziewiątej, zniecierpliwiliśmy się z powodu niepunktualności władz i prof. Wolter opuścił nas, gdy Tyszkiewicz, który mieszkał u mnie, pozostał ze mną. Byliśmy w nieświadomości tego, co i jak się stało, ale wiadomość żadna nie nadchodziła. Dopiero dnia następnego po południu otrzymałem od radcy Weiraucha zawiadomienie dziwnie oficjalnym tonem w telefonie wypowiedziane, że w poniedziałek dnia 25 o godz. 3^{30} po południu mamy się stawić w składzie osób oprócz mnie, prof. Woltera, dyr. Seyfrieda i Starzeńskiego do jego urzędu dla wysłuchania komunikatu nas dotyczącego. Z pewnym uczuciem ulgi, ale też i zaciekawienia, jaki nas los czeka, spędziłem dzielącą nas od dnia tego niedzielę na przyjmowaniu niezliczonej ilości wizyt od osób zaciekawionych, jak incydent dożynkowy został przez nas załatwionym — wszyscy bez wyjątku przyznawali, że droga obrana ku temu przez nas była jedyną właściwą i godną.

Tymczasem tańczono na zamku po raz pierwszy krakowiaki i mazurki w polskich strojach dostarczonych przez teatr i przy dźwiękach orkiestry polskiej, zaś z ramienia ziemiaństwa polskiego bez prawa do tego przemawiali do wściekłego generalnego gubernatora panowie Świstun i Ptaszek, nikomu nie znani ziemianie, zapewne siłą do tego, by tam się znaleźli, zmuszeni.

W poniedziałek przed południem odwiedził mnie Książę Metropolita, oświadczył mi on ku memu wielkiemu zadowoleniu, że aczkolwiek nie chciał wpływać na decyzję naszą, ponieważ uważał, że musi ona być oparta na wzięciu pod uwagę wielu rzeczy, jak dobro instytucji RGO, z jednej strony, zaś wskazówki czynników decydujących, z drugiej, to jednak instynkt mu mówił, że trzeba pójść po linii przez nas wybranej, toteż cieszy się bardzo, że tak postąpiliśmy, jakby on tego gorąco pragnął. Na obiedzie miałem niezwykle miłą wizytę panny Lesi Dąmbskiej ze Lwowa, naszej tam jednej z najlepszych współpracowniczek Rady, osoby pełnej zaparcia się siebie i oddającej całą siebie pracy nad dziećmi i młodzieżą. Wspominaliśmy razem wiele chwil ciekawych, a szerzej nie znanych z życia i pracy naszej organizacji.

Wspominaliśmy serdecznie pracę i poświęcenie dla sprawy dożywiania więźniów panny Karli Lanckorońskiej, znajdującej się już, niestety, w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück — wreszcie znanej jej dobrze i cenionej w pracy społecznej — pani Fulli Horak, której przepowiednia dotycząca generała Sikorskiego tak fatalnie się sprawdziła. Rozważaliśmy razem pierwszą część tej przepowiedni, tak smutnie malującą naszą najbliższą przyszłość i dochodziliśmy zgodnie do przekonania, że jedynie zgrupowanie ludzi około idei opartej na zasadach chrześcijańskich wcielanych w życiu i prywatnym, i politycznym może być tym, co narody doprowadzić winno do zgodnej pracy, a światu dać pokój. Ciekawy a bardzo znamienny fakt ze swej działalności już w komitecie RGO opowiedziała mi przy tej okazji panna Dąmbska. Oto doszła kiedyś do komitetu wiadomość, że na jednym z przedmieść Lwowa, gdzie Żydzi opuścili zajmowane przez siebie domki i wille, w jednej z nich zainstalowała się samowolnie jakaś grupa kilkunastu polskich wyrostków w wieku nie przewyższającym lat 15 i zaczęła się fachowo trudnić rozbojem na przechodzącej w pobliżu szosie. Panie z opieki nad młodzieżą postanowiły pod wodzą panny Dąmbskiej pójść do nich rozmówić się szczerze i postarać się sprowadzić ich z drogi, którą sobie tak niefortunnie obrali. Postanowienie to zostało wykonanym — i widocznie jak umiejętnie i ze zrozumieniem psychologii i ambicji młodzieńczej, bo nie tylko udało się emisariuszkom naszym młodych przekonać, ale kilku z nich od tego czasu pracuje w komitecie jako gońcy i obowiązki swe wypełniają ku wszystkich, a przede wszystkim swojemu pełnemu zadowoleniu. Wiele podobnych faktów ze swej działalności w komitecie przytaczała mnie panna Dąmbska, wynikało z nich dobitnie, że praca na tym polu, gdy jest prowadzona rozumnie i z sercem, nigdy nie zawodzi, a jest tak pasjonującą i w rezultacie końcowym pożyteczną, że coraz więcej osób garnie się do niej i do niej się zapala — nazwiska pań Skwarczyńskiej i Lanckorońskiej były przy tym opowiadaniu stale na jej ustach.

Szybko zeszedł mi dzień w oczekiwaniu chwili, gdy o 3[30], oznaczonej przez pana Weiraucha, stawiliśmy się we czterech w jego urzędzie dla wysłuchania zapewne tego, co w Generalnej Guberni postanowiono uczynić z nami, krnąbrnymi Polakami, którzy woli najwyższych czynników, a raczej ich fantazji nie chcieli się podporządkować.

Pan Weirauch zazwyczaj tak punktualny w wykonywaniu przez siebie naznaczonych terminów, tym razem jakoś się spaźniał, mijały kwadranse, nawet godzina i jego wciąż nie było — przyzwyczajeni w naszej pracy do przestrzegania najskrupulatniej punktualności, zaczęliśmy się temu mocno dziwić i zamierzaliśmy w pewnym momencie już nie czekać dłużej i urząd opuścić, gdy nareszcie, upokorzywszy nas dostatecznie z wyższego rozkazu tym czekaniem, zjawił się w biurze pan Weirauch z dwoma satelitami z grona swych urzędników i nie podając nam ręki, a widocznie zdenerwowany, poprosił nas do swego gabinetu. Tu stanął za swym biurkiem i mając z obu stron owych swych towarzyszy, wyjął z teki arkusz papieru, z którego wolnym, ale trzęsącym się głosem zaczął czytać to, co nazwał na wstępie deklaracją Rządu Generalnej Guberni (Erklärung der Regierung des Generalgouvernements).

Ów sławny dokument zaczynał się od tego, że w zrozumieniu ważności sprawy przyjścia z pomocą ludności tego kraju Rząd Generalnej Guberni nie wahał się powołać do życia instytucję pomocy, jaką została Rada Główna Opiekuńcza, na czele jej postawionym został człowiek, któremu wierzono, że szczerze i bez zastrzeżeń chce służyć jedynie tej sprawie i potrafi się przeciwstawić prądom, które będą próbowały go z tej drogi sprowadzić i pociągnąć ku sobie hasłami przeciwnymi przeprowadzeniu dokonywanej obecnie przez szefa rządu odbudowy tego kraju — niestety, hr. Adam Ronikier okazał się człowiekiem słabym i bojaźliwym, bo wbrew nawet temu, co sam nieraz tłomaczył i nam wypowiadał, wyraźnie się przeciwstawił zamierzeniom i intencjom najwyższej władzy w kraju. Jemu sekundowali w tym profesor Wolter i hr. Starzeński. Nie pozostawało nic innego władzom, jak po skonstatowaniu tego niepomyślnego faktu — usunięcie ich wszystkich trzech natychmiast od wszystkich przez nich sprawowanych urzędów, bez prawa powrotu do takowych i z terminem obowiązywania tego rozporządzenia z chwilą jego ogłoszenia.

Podałem powyżej krótkie streszczenie owego dokumentu, który jednakże przeszło stronicę maszynowego pisma zawierał

i w swej redakcji był dziwnie uroczystym choć nieudolnie zredagowanym.

Po zakończeniu tego czytania, które, wyobrażam sobie, jak dla pana Weiraucha musiało być wysoce ubliżającym, powiedział on tylko, że nie może otworzyć dyskusji nad takowym, zaś na me zapytanie, czy mógłbym dostać jego kopię przynajmniej, odpowiedział odmownie, motywując tym, że nie jest mu to dozwolonym. Ukłoniliśmy się z pewnym rysem ironii w geście i wyszliśmy z gabinetu, w którym na wezwanie pana Weiraucha pozostał jedynie dyr. Seyfried — dziwnym dla nas i nigdy dotąd nie wyjaśnionym biegiem wypadków nie znalazł się on na liście usuniętych od urzędowania osób.

Z uczuciem wielkiego niesmaku, ale i wielkiej ulgi znaleźliśmy się na Plantach krakowskich i wracając piechotą na ulicę Potockiego 10, rozważaliśmy stan rzeczy obecnie wytworzony. Odczuwaliśmy wyraźną ulgę z powodu tego, że instytucja nasza ani jednym słowem w owym nam odczytanym akcie nie była dotkniętą, liczyliśmy więc, że z tej strony grożące największe niebezpieczeństwo szczęśliwie się rozwiało, zaś my byliśmy wolni i czego więcej w tych warunkach mogliśmy pożądać, a oprócz wolności za jednym zamachem zdobywaliśmy uznanie, a może i zaufanie u tych w społeczeństwie polskim, którzy oporni byli dotąd w tym kierunku wyraźnie i koniecznie chcieli uznawać tych, którzy z Niemcami dla dobra ogólnego spotykać się lub nawet współpracować musieli — za niegodnych ich zaufania, a to pomimo, że owoców ich pracy się domagali i w razie ustąpienia dobrowolnego z placówki niewątpliwie pod rubrykę dezercji by nas podciągnęli.

Toteż jakby nawet zadowoleni i pogodni weszliśmy do gabinetu mego, gdzie członkowie Rady na nas z niepokojem czekali. Gdy w krótkich słowach zdałem sprawę z tego, co się stało, wstał ojciec Romuald Moskała i w imieniu wszystkich obecnych w gorących i nader serdecznych słowach wyraził nam wielką wdzięczność społeczeństwa za postąpienie w sposób, który odpowiadał poczuciu godności narodowej, a Radzie nie przeszkodził dalej wspólnie z nami pracować. Podkreślił on, że usunięci siłą przez Niemców, będziemy w dalszym ciągu tymi, bez których nic w Radzie w przyszłości dziać się nie będzie, bo jeżeli nieoficjalnie —

to radą i współpracą w szerszym tego słowa znaczeniu przecież będzie mogła ona na nas liczyć i wskazówki jak dotychczas otrzymywać. Do głębi wzruszony usłyszanymi słowy odpowiedziałem na nie w krótkim przemówieniu, w którym podkreśliłem, że to, co zostało zrobionym, było tym jedynym wyjściem z sytuacji wytworzonej i że cieszę się niezmiernie, że Rada, zyskując poważnie na zaufaniu w kraju, będzie mogła dalej dla jego pożytku pracować i się rozwijać pomyślnie.

W tym momencie wrócił od pana Weiraucha dyr. Seyfried i zakomunikował, że władze czekają od Rady w dniach najbliższych, o ile pamiętam w siedmiodniowym terminie, przedstawienia nazwiska kandydata na przewodniczącego Radzie, a także na jej członka, że nic nie staje na przeszkodzie dalszej spokojnej pracy Rady, w której to pracy pan Weirauch obiecywał jak najserdeczniej dalej pomagać, chociaż widział na horyzoncie gromadzące się chmury.

Tak więc z dniem 25 października 1943 zakończyła się oficjalna praca moja w Radzie jako jej prezesa, zakończyła się o tyle pomyślnie, że nieraz oczekiwany przeze mnie krach z władzami, nawet uznawany przeze mnie za pożądany dla uporządkowania stosunku naszego do społeczeństwa, nadszedł, i to w formie i w skutkach mniej drastycznych, aniżeli to było do przewidzenia. Zakończoną też została era dra Losackera, jakeśmy ją potem przywykli nazywać — ruszyliśmy znowu wszyscy w nieznane, ale mocniejsi znacznie na duchu. Ja skłonny byłem nawet przypuszczać, że było to wszystko potrzebnym dla mnie osobiście dlatego, że jako prezes RGO nie mogłem i nie chciałem się zajmować czynnie polityką, zaś wolny od zobowiązań wobec Rady mogłem łatwiej i śmielej przystąpić do realizowania programu skrystalizowanego już dawno w mej głowie, znajdującego w kraju pożądany oddźwięk i w oparciu o Radę, a raczej jej szeregi, mającego szanse pociągnąć całe zastępy bojowników dobrej sprawy, jedynie Ojczyźnie poświęconej.

Szereg tygodni, które nastąpiły zaraz po opisywanym wyżej incydencie dożynek, zdawał się przynosić ze sobą dużo materiału na potwierdzenie mych powyższych nadziei — były i obawy świadczące o rzeczy przeciwnej, lecz wydawało mi się w atmos-

ferze zapału i zgody ogólnej, które temu na razie towarzyszyły, że rzeczy złe dadzą się pokonać, a dobre zwyciężyć nareszcie muszą.

Już zaraz dnia następnego zaczęły się u mnie i ze mną narady na temat kandydatur, Książę Metropolita, który mnie łaskawie odwiedził i razem ze swym najbliższym doradcą u mnie parę godzin spędził, rozważał ze mną szereg kandydatur. Na ich czoło wysunęły się nazwiska panów Twardowskiego, byłego ministra dla Galicji — na prezesa, i dra Szebesty — na członka RGO. Kandydatura min. Twardowskiego wydawała mi się z wielu względów właściwą, bowiem znał on świetnie całą pracę Rady w najdrobniejszych szczegółach, był bardzo doświadczonym człowiekiem, a z władzami, zdawało się, umiał zawsze sobie dać rady i zawsze wszędzie, gdzie należało trafić, jeżeli nie w sposób agresywny, to raczej dyplomatyczny, co na najbliższy czas mogło być bardzo odpowiednim. Co do dra Szebesty to znaliśmy wszyscy, a ja więcej od innych, jego wielkie zdolności organizacyjne, jego chęć i zamiłowanie do pracy społecznej, wreszcie wyjątkową energię i niezrażanie się przeciwnościami. W tym kierunku więc postanowiliśmy działać, zaś Książę Metropolita się podjął wpłynąć na min. Twardowskiego, z którym łączyły go nader bliskie stosunki, by nie odmówił naszemu gorącemu życzeniu, by prezesurę RGO zechciał objąć. Niestety, wysiłki nasze ani w kierunku min. Twardowskiego, ani dra Szebesty nie odniosły pożądanego skutku, bowiem minister obawiał się odpowiedzialności za pracę, którą by podejmował w tak ciężkich warunkach ogólnych, zaś dr Szebesta nie mógł, czy nie chciał opuścić placówki swej w Czerwonym Krzyżu Polskim, któremu zawsze wiernie i z pożytkiem służył. Po wielu więc rozważaniach z wieloma ludźmi, zdawało się życzliwymi Radzie, w sytuacji ogólnej także zorientowanymi, oraz wychodząc z założenia tego, że zasadniczo niewiele się zmieniło, bo ja z gabinetu na górze przechodziłem tylko, jak nam się zdawało, do gabinetu na dole, a na górę przyjść musi ktoś, kto ze mną najściślej i najlojalniej współpracować będzie — powstała u mnie myśl, że owym lojalnym w Radzie człowiekiem być może ●być powinien mój jeden z najbliższych i zaufanych współpracowników, bez którego miałem zwyczaj nic nie postanawiać i do którego jako do człowieka

miałem bezwzględne zaufanie — pan Konstanty Tchórznicki, z zawodu prawnik doskonały i ze sprawami Rady do najdrobniejszych szczegółów obeznany. Uzyskawszy od niego na to przyzwolenie, by o kandydaturze jego mówić z Księciem Metropolitą, uczyniłem to w dniu 29 października w obecności prof. Wacława Krzyżanowskiego członka Rady i już dnia następnego na poufnym posiedzeniu RGO, bez mojej w niej obecności, kandydatura ta została zaakceptowaną i uznaną za tę, która władzom przedstawioną zostanie.

Tymczasem wiadomość o mej dymisji lotem błyskawicy rozeszła się po Krakowie, a potem i po kraju całym i w związku z nią miałem przez długi szereg dni niezliczoną ilość odwiedzin dla mnie nadzwyczaj miłych, bo dobitnie stwierdzających solidaryzowanie się tak ludzi pracujących w RGO w kraju, jak i też takich, którzy z nią tylko luźnie byli związani. Zawsze te same, ale coraz bardziej jakby wycyzelowane myśli moje i projekty nie tylko znajdowały posłuch, ale w liczbie tych osób wielu prawdziwych i zapalonych adeptów.

W tym też czasie spotkała mnie rzecz nader miła, a zupełnie przyznam się niespodziewana, oto minister Zygmunt Lasocki, człowiek nadzwyczaj szanowny, przeze mnie poważany, a bliski przedstawicielowi Delegatury Rządu w Krakowie, przyszedł do mnie, by mnie wręczyć malutką karteczkę papieru, na której było napisanym, że Delegatura Rządu odnosi się z uznaniem do czynu naszego w stosunku do władz niemieckich w czasie incydentu dożynek i mnie wyraża w tej materii swe pełne uznanie. Objaw ten ze strony, od której najmniej się tego spodziewałem, poczytałem, może dość naiwnie nawet, za uporządkowanie się mych stosunków osobistych w odniesieniu do władz naszych polskich i witałem go z radością, jako coś, co może i powinno ułatwić mi dalszą pracę polityczną i lojalnie jak zwykle w stosunku do Rządu Polskiego w Londynie mą pracę prowadzić.

W dniu 31 października, w niedzielę, zaproszony zostałem do pana Henryka Potockiego, pełnomocnika na Okrąg Krakowski, a od początku istnienia RGO jej dzielnego współpracownika, na zebranie i obiad, na którym mieli być obecni wszyscy pełnomocnicy. Aczkolwiek zebranie to miało mieć charakter pożegnalny, to jednak rad byłem jemu bardzo, bo jeżeli z kim to z pełnomocnika-

mi chciałem uzgodnić wszystkie me projekty i plany na przyszłość i raz uzgodniwszy widzieć dalej w nich tych wskazanych i najlepszych nadal współpracowników, a zarazem rozumnych i gruntownie obeznanych z mym sposobem myślenia łączników ze społeczeństwem polskim. I tu nastąpił pewien fakt, który wywołał we mnie jakby wewnętrzny zgrzyt. Na to zebranie został zaproszonym także i dyrektor Seyfried, wobec którego o mych planach mówić nie chciałem i nie mogłem. Wiedziałem, że w stosunku do władz naszych polskich postępuje on w odniesieniu do mej osoby zupełnie nielojalnie, a to tak dalece, że przekonany byłem, że rad jest incydentowi, który mnie pozbawił prezesury Rady, tym bardziej po tym, co się stało ze Starzeńskim, który dzięki przysłudze wyrządzonej koledze pozbawionym został swego stanowiska, które mu przecież pozwalało żyć. To wszystko i wiele innych znanych mi sposobów postępowania pana Seyfrieda nie pozwalało mi mówić w jego obecności tak szczerze, jak zamierzałem — a tym bardziej kreślić plany, które by on później z odpowiednimi komentarzami nieodpowiednim czynnikom meldował. Toteż swoją odpowiedź na śliczne przemówienie, pełne wyrazów ciepłego do mnie stosunku, ograniczyć musiałem do serdecznego, ale krótkiego podziękowania za takowe — nie umiałem w tym momencie, gdy tyle myśli cisnęło mi się do głowy, wymijać je i szukać frazesów dla pokrycia jakby pustki w głowie, która łączyła się z uczuciem głębokiej przykrości i żalu do pana Seyfrieda, którego nie rozumiałem zupełnie i który był dla mnie przyczyną wielkiego zawodu i bólu. Nie było tylko na tym zebraniu kolegi Baehra, który w tym czasie zakończył ku naszemu wielkiemu żalowi swój pracowity i owocny żywot, uczciliśmy pamięć jego przez powstanie, myśląc o nim serdecznie jako o towarzyszu pracy wiernym i przyjacielu prawdziwym.

Za przykładem pełnomocników członkowie Rady zorganizowali dla mnie pożegnalną akademię odbytą uroczyście w składzie członków Rady i jej prezydium w dniu 6 listopada. Przemawiał na niej w słowach bardzo serdecznych pan Machnicki przybyły specjalnie z Warszawy, a z ramienia prezydium kolega mój, a generalny sekretarz Rady, Wojciech Baranowski. Mowa jego wzięła za motto, że w domu na ulicy Potockiego pracował i marzył Adam Ronikier. Uznawał on w swym przemówieniu, że byłem dziwnego

autoramentu marzycielem, bo me marzenia w większości wypadków się realizowały, a poza tym były jakby stałym i nieustającym motorem czynu i pracy.

Bardzo piękną była mowa Baranowskiego z wyjątkowym uczuciem w stosunku do mnie wypowiedziana, miała jednak, niestety, coś w sobie, co ją do mów pogrzebowych mogło kwalifikować, toteż słuchałem ją z dziwnym uczuciem, jakby nie do mnie się ona odnosiła. Uczuciu więc raczej wdzięczności za chęci dobre niż zadowolenia z usłyszanych słów dałem wyraz w swym przemówieniu na tej akademii w owej sali posiedzeń naszych, w której tyle chwil ciężkich i brzemiennych się przeżyło, ale która też widziała i chwile tak piękne, jak owe zjazdy z roku 1941-go pełne uczuć polskich i zapału do służenia sprawie ojczystej, nie — niemieckiej, angielskiej lub innej.

Po akademii odbyło się w tzw. stołówce RGO przy ul. Krzywej śniadanie dla wszystkich na akademii będących, na której wszyscy niemal zabierali głos i na którym trochę sztywna atmosfera akademii ustąpiła miejsca wylewowi szczerych uczuć tak z mojej strony, jak i ze strony mych towarzyszy pracy przez lata wojny. Z mów tam wypowiedzianych utkwiły mnie w pamięci dwie głównie — jedna profesora Wacława Krzyżanowskiego, piękna w myśli i w formie, a dowodząca, że miałem w nim współpracownika, który naprawdę był przejęty żalem, że nasza współpraca się kończy — druga profesora Władysława Woltera, o którym miałem zawsze pojęcie, że jest naszym intelektualnie najwyższej miary nie tylko członkiem zespołu, ale zespołu tego opoką prawdziwą, miałem dla niego zawsze uczucie gorące prawdziwej przyjaźni, słowa jednak wypowiedziane przez niego zrobiły z niej uczucie o sile nie do zniszczenia. W przemówieniu swym subtelnie i jakże mile analizował on powstające w miarę rozwijania się pracy, ugruntowujące się pomiędzy nami uczucie przyjaźni — przeszło ono wiele prób ogniowych, nawet i była wśród nich niewiara kierowana do ludzi utytułowanych, ale w rezultacie przetopiło się wszystko w jedno uczucie przyjaźni, której li tylko śmierć może kres położyć. Ogromne ta mowa na mnie i na obecnych zrobiła wrażenie, subtelność jej wypowiedzenia, siła i prawda ją dominująca, a tak mocne w swej ekspresji zakończenie, było końcowym akordem zebrania, na którym wzruszenie przenik-

nęło mnie do głębi, do pary z uczuciem wielkiej wdzięczności za tyle pod mym adresem wypowiedzianych wzniosłych myśli — jedno wiedziałem, że na nie nie zasłużyłem i że chciałbym na nie jeszcze odpowiedzieć czynem, który by nie zadał kłam ich słowom.

Z kolei urzędnicy Rady, a właściwie naczelnicy poszczególnych wydziałów, zorganizowali takąż akademię, w której wzięli udział licznie. Odbyła się ona jeszcze na Potockiego i przemawiali na niej panowie Seyfried, Lisowski i dr Bobkowska. Przemówienie pana Seyfrieda wiało takim tonem szczerości i żalu z powodu rozstania się ze mną, jako prezesem, a zakończone nie pożegnaniem, a zwróconymi do mnie słowami „do widzenia", taki znamienny miało charakter, że w tej chwili, gdy mówił, że ja i Rada jest jedno i takim pozostać musi — skłonny byłem tym słowom uwierzyć i zapomnieć mu owe chwile goryczy, których był nieraz przyczyną. Toteż wyściskaliśmy się z serca całego i zupełnie szczerze. Następne przemówienie prof. Lisowskiego było dla mnie wyjątkowo miłym do wysłuchania, bowiem poważne w tonie i w konstrukcji swojej podkreślało te cechy mej pracy, o które specjalnie dbałem, a nie wiedziałem, czy szersze koła mych współpracowników, urzędników RGO je dostatecznie rozumieją lub nawet widzą — dwie były one głównie: jedna to wytrwałość i nieustępliwość, a druga poczucie obowiązku niesienia odpowiedzialności za siebie, instytucję i wszystkich w niej pracujących. Toteż podkreślenie tych cech mojej pracy, do których się poczuwałem o tyle, że myślą moją było zawsze, nigdy Niemcowi nie ustąpić i chociażby dziesięć razy mówił nie, to mu udowodnić, że będzie musiał pod wpływem naszych słusznych żądań zdanie swe zmienić, a następnie poczucie, które posiadałem w całej pełni, że za wszystko mieć muszę pełną odpowiedzialność i przed nią się nie uchylając, jedynie wtedy będę właściwym i w pełni odpowiedzialnym szefem — było dla mnie w przemówieniu prof. Lisowskiego tym akcentem, który wziął mnie za serce i pozwolił, bym to przemówienie traktował nie jak pośmiertne wspomnienie, ale jako takie, które nowe soki żywotne wlało we mnie na nową i niestrudzoną, a daj Boże, owocną pracę. Dopełniało je jakby przemówienie dr Bobkowskiej, z którą od samego zapoczątkowania Rady pracowałem w stosunku zupełnego wzajemnego zaufania i oddania zupełnego sprawie. W sposób subtelny i jakże miły w tonie dziękowała ona mnie za ten stosunek, a ja miałem uczucie, że żegnam kogoś bardzo bliskiego sobie, o charakterze pięknym i nieskazitelnym, na który w ciężkiej chwili zawsze będę mógł liczyć. Gdy teraz o tym wszystkim myślę, żal mam wielki do owej nieszczęsnej policji gestapowej, która rewidując me mieszkanie w czasie mej nieobecności, wszystkie owe mowy wraz z listami, które licznie do mnie od prezesów i wybitniejszych osób z pracowników RGO z całego kraju napłynęły, zagarnęła i nigdy nie oddała, jak zresztą wiele innych dokumentów dla mnie bardzo cennych, o których braku powoli zdobywam smutną świadomość. Na owe przemówienie na akademii pracowników RGO odpowiedziałem tym razem dłuższym przemówieniem, w którym starałem się dać wyraz wielu myślom nieraz mnie w owym czasie co do działalności Rady nurtującym, a streszczającym się w jednym zdaniu. Pragnąłem, by w pracy RGO była w tej instytucji pielęgnowaną przede wszystkim jej dusza — prosiłem, by nie pozwolili duszy tej niewątpliwie żywej, ale nigdy nie dość silnej, wygasnąć!

Serię uroczystości pożegnalnych zakończyło wręczenie mi w dniu 11-ym listopada adresu, zredagowanego w pełnych uczucia słowach i zaopatrzonego w czterysta przeszło podpisów członków Rady i jej pracowników krakowskich. Wręczył mi go pan Tchórznicki w otoczeniu dyr. Seyfrieda i wicedyrektora Woronieckiego razem z wiązką pięknych kwiatów i przy wypowiedzeniu słów serdecznych bardzo pożegnania od prezydium, którego pan Tchórznicki był dotychczas jednym z filarów, a miał wkrótce objąć jego przewodnictwo.

Do grupy innej pożegnań zaliczyć muszę te, które uważali za wskazane, a charakterystycznym było to, że uważali to za wskazane — urzędnicy GG, którzy ze mną dłużej współpracowali. Jedno takie urządzonym zostało przez dra Föhla, który przejazdem będąc w Warszawie i dowiedziawszy się o mym usunięciu z RGO, zapewne chciał się osobiście ode mnie dowiedzieć o przebiegu tej ciekawej dla niego, a niezrozumiałej sprawy — drugie wydane przez radcę Weiraucha w zamkniętym gronie, bo tylko w obecności jego małżonki. Szczególnie to ostatnie nacechowane zupełną szczerością i żalem z powodu mego ustąpienia i jego, jak się wyraził, nieszczęsnej w nim roli. Nie zawiódł mnie instynkt,

który mnie od pierwszej chwili naszego spotkania mówił, że mogę śmiało radcy Weirauchowi zaufać, bo tkwi w nim dusza uczciwego człowieka, a poza tym był on Niemcem starego reżymu, który się wstydził tego wszystkiego niepomiernie, co Niemcy Hitlera czynili wszędzie na szkodę swego imienia. Wszystko, cośmy razem przeszli, rozważał on ze mną skrupulatnie i bez oszczędzania ani siebie, ani tych, którzy nam wyrządzali krzywdę, zaś z ubolewaniem prawdziwym, że uczciwi Niemcy, jak Sanne i Heller oraz Siebert i Losacker, nie mieli siły swe myśli przeprowadzić.

W tym czasie pełen najlepszych intencji i widząc zbliżający się, aczkolwiek powoli — bo władze się nie spieszyły w wyrażeniu swej zgody — termin objęcia kierownictwa Rady przez pana Tchórznickiego, postanowiłem rozmówić się z nim serdecznie i gruntownie na temat mych zamierzeń i sposobu ich najskuteczniejszego wcielenia w życie oraz formy pracy, jaka temu winna być nadana. W dniu 20 listopada, dniu mych urodzin, gdy pan Tchórznicki jeszcze dawnym zwyczajem kierowany przyszedł do mnie z rana z życzeniami, zatrzymałem go na dłuższą chwilę i zapoznałem z tym, co zgodnie z jego przyrzeczeniami dotyczącymi wspólnej w przyszłości pracy, zdawało mi się, zupełnie naturalnym wynikiem tych przyrzeczeń. Przedstawiłem mu swój zamiar pracy na zewnątrz Rady w kierunku zrobienia z niej nie żadnej grupy o charakterze wybitnie politycznym, ale jak to nieraz mówiłem, wału ochronnego dla społeczeństwa polskiego, by go bronić od demagogii, która w momentach przełomowych na pewno będzie szukała do niego dostępu. Dałem mu do przeczytania owe credo moje, które w zasadzie było mu znane z mych sprawozdań z objazdów, ale nigdy przez niego nie było brane pod skalpel odpowiedzialnego czynnika — i pełen najlepszej myśli, którą we mnie budziło poważne bardzo przysłuchiwanie się mym wywodom, czekałem cierpliwie rezultatu, który po dniach kilku miał mnie być zakomunikowanym.

Jakież było me zdziwienie, gdy trzeciego dnia po naszej rozmowie pan Tchórznicki zameldował się do mnie i w słowach jak zwykle u niego oględnych i pełnych uprzejmości mi oznajmił, że w żaden sposób się zgodzić nie może na tego rodzaju współpracę, która istnieniu Rady może zagrażać. Nie potrafił mi na moje zapytanie w żaden sposób wyjaśnić, gdzie tkwi owo niebezpieczeństwo grożące RGO od mych poczynań, lecz uparcie obstawał przy swoim, pomimo że przecież jasnym było, że tylko dobrą wolą z mej strony było komunikowanie mu mych planów, bowiem jeżeli liczyłem na szeregi RGO, to nie potrzebowałem jego na to zgody, by mówić z członkami lub pracownikami RGO — przychodzili oni do mnie sami. Miałem wrażenie, że pan Tchórznicki nie słucha mych wywodów, nie rozumie ich doniosłości, a na argumenty moje znajduje tylko jedną odpowiedź, że nie może pozwolić, by RGO w swej działalności i przy jego odpowiedzialności za jej istnienie narażoną być mogła. Instynktownie poczułem, że już zaczęły na niego działać inne wpływy, których ośrodek widziałem około pana Seyfrieda się krystalizującym. Ogarnął mnie lęk po prostu o przyszłość naszej instytucji, lęk, że ster jej nieopatrznie złożyliśmy w ręce kogoś może najszlachetniejszego, ale słabego, który póty, póki był w pozycji tej, że ja za wszystko ponosiłem odpowiedzialność, mógł nawet i bardzo dobrze, jak to było faktem, pracować, ale przerażony odpowiedzialnością mającą na nim ciążyć, obecnie słuchał chętnie podszeptów osób, działających perfidnie i wysuwających straszaki na to, by wziąć go pod swe skrzydła.

Utwierdziłem się w tym smutnym przekonaniu, słuchając także sprawozdania z rozmowy z nim Platera, który się zwrócił do niego, by mu swe usługi zaofiarować i w przekonaniu, że jako najstarszy pełnomocnik i w pracy Rady doświadczony, może być pomocnym i przez Radę lepiej niż w danym momencie wykorzystanym pracownikiem — w czasie tej rozmowy padły ze strony pana Tchórznickiego znamienne słowa, że „musi on mieć możność Gestapo patrzeć prosto w oczy" — odsłaniała się więc powoli prawda co do tego, co napełniało pana Tchórznickiego strachem, a dla mnie stawało się jasnym, że to, co cenił zawsze we mnie, mą nieustępliwość wobec Niemców, obecnie uważać może za groźne, jeżeli dojdzie do wiadomości władz, że ja nadal bliższy kontakt z RGO utrzymuję. Wprost bał się wszystkiego, a ci, co o wpływy nad nim zabiegali, wyzyskiwali tę jego słabość, by przed wszystkim, a przede wszystkim przede mną ostrzegać

jako przed tym, który już przecie tak narwał, że aż go z Rady usunięto siłą.

Wszyscy, którzy dalej ze mną bliskie utrzymywali stosunki, zgnębieni byli bardzo, bo zadawali sobie pytanie, co będzie z Radą, gdy nowe i wielkie przyjdą momenty, a ona pod bojaźliwym kierownictwem pana Tchórznickiego znajdować się będzie.

W tym czasie otrzymałem gwałtowne wezwanie od Tyszkiewicza, bym do Warszawy w ważnej i nie cierpiącej zwłoki sprawie przyjechał — nie odwlekałem tego i 4 grudnia tam się znalazłem.

Okazało się, że pragnie mnie widzieć Anglik, wydelegowany do Warszawy celem rozmówienia się z szeregiem osób i że jedną z nich mam być ja. Zaraz na drugi dzień na godz. 4-tą po południu urządzonym zostało nasze spotkanie, które co do treści poruszonych tematów tak było dla nas interesujące i ważne, że pisząc o nim mam wrażenie, jakbym na nowo je przeżywał. Anglikiem owym był pan Horacy Coock, dawniejszy radca ambasady w Petersburgu przy Buchananie, obecnie w Polsce noszący nazwisko Henryka Cybulskiego. Mówił on świetnie wszystkimi językami, w ich liczbie i polskim — był to naturalnie starszy już pan, siwy i sympatyczny bardzo. Zaczął on od tego, że wobec nas (Tyszkiewicz był przy tym spotkaniu obecnym) się wylegitymował jako szpieg angielski, co na nas słuchających wielkie zrobiło wrażenie. Następnie mówił czas dłuższy, jakby formułując zamiary rządu swojego na przyszłość i pod adresem naszym skierowując życzenia tego rządu. Formułowanie było jasne i nie pozostawiało miejsca na żadne niedomówienia. Więc zaczął on od tego, że wyraził na ręce moje jakby podziękowanie rządu angielskiego z powodu naszej nieustępliwości w stosunku do niemieckiego okupanta, z pewnym entuzjazmem podkreślił, że Polacy są jedynym narodem, który się nie ugiął i nie wydał żadnych Quislingów, następnie zwrócił się do nas jakby z wymówką, że ten sam naród, który zdobywa się na tyle ofiar, nie potrafi, raz będąc sprzymierzeńcem Anglii jej zaufać w dostatecznej mierze, że zobowiązania zaciągnięte wobec Polski dotrzyma. To zdanie zostało dobitnie podkreślone i wypowiedziane było z przekonaniem tak wielkim, że na nas słuchają-

cych wielkie zrobiło wrażenie. Jako pewnego rodzaju rozumowanie objaśniające do tego było to, co nam powiedział o konieczności pewnego maskowania się wobec sowieckiego alianta, którego pomoc przecież w owym czasie było jasnym, że dla sojuszników była niezbędną, by obezwładnić Niemcy. Wtedy przeszedł do sprawy stosunku do Sowietów i formułując swe o tym zdanie, powiedział dosłownie: „Anglii nie stać na to, by ryzykować trzecią wojnę światową, z Sowietami musi być sprawa zakończoną jeszcze w trakcie tej wojny" — i jako wyjaśnienie dodał, że czekanie wszelkie mogłoby pociągnąć za sobą znowu zbyt wielkie ich wzmocnienie. Tutaj nastąpił opis niemal szczegółowy wypadków, których należy oczekiwać. Więc na Zachodzie, prawdopodobnie we Francji, inwazja, w której siła materiałowa nagromadzona obecnie będzie tak wielka, że nie ulega już wątpliwości, że musi ona być zwycięską. Jeżeli chodzi o Wschód, to nakreślił on w słowach nader lapidarnych jakby rysy ogólne położenia tam na poszczególnych punktach, więc w Japonii ustala się już przekonanie, że należy szukać porozumienia, miało to już miejsce w Rzymie za pośrednictwem Watykanu, ale moment nie nadszedł jeszcze, by sprawy precyzować, bo należałoby dać Japonii tereny na Syberii, która obecnie jeszcze należy do Sowietów. Następnie poruszył sprawę Chin — jeździł tam na polecenie Roosevelta zastępca jego Wallace. Dano tedy Chinom możność uzbrojenia wielkiej nowej armii pod warunkiem, by ona stacjonowała na granicy chińsko-turkiestańskiej, czyli sowieckiej — armia ta ma zadanie z tej strony niepokoić Sowiety. Następnie poruszył stan rzeczy na Kaukazie, gdzie narody górskie dawno już mają dosyć rządów swego ziomka Stalina i zwróciły się w swoim czasie do Niemców o uwolnienie ich spod jego terroru. Stało się inaczej, Niemcy zostali spod podnóża Kaukazu odrzuceni, a Stalin, jako zasłużoną karę za zdradę Kaukazu, zarządził i już częściowo wprowadza w życie wysiedlenie ich wszystkich na daleki Sybir, na płaszczyzny Ałdanu, gdzie one nie mogąc dla siebie wyobrazić możliwości istnienia, zwróciły się o pomoc do aliantów. Nie na darmo więc w Iranie stoi z karabinem u nogi liczna armia angielska, której z pomocą przyjdzie w swoim czasie armia turecka, by Kaukaz zająć i spełnić życzenie aliantów, dla przyszłości ich konieczne, panowania nad całą produkcją nafty na świecie. W końcu

co do Turcji oświadczył on, że nie może ona przystąpić do wojny, póki jej największy wróg Sowiety otrzymuje pomoc obfitą ze strony alianckiej. Gdy ta ustanie, nadejdzie moment, gdy i Turcja także wstąpi w szranki wojenne.

Wracając do spraw polskich, powiedział on, że w wielu punktach różni się z nami co do metod u nas stosowanych — jedna z nich najbardziej niezrozumiała to owo strzelanie do trupa, jakim są przecież Niemcy obecnie, „czyż — powiedział on z wielkim przejęciem — macie tak dużo inteligencji, że nią szafować możecie i chcecie? Czyż myślicie, że Anglicy nie wiedzą, jakie ofiary zostały już przez Polskę poniesione, a na przyszłość przecież gromadzenie sił jest koniecznością, bo odbudowa kraju i rola, którą ma odegrać, będą tak wielkie, że każdy zaoszczędzony człowiek, a tym bardziej z inteligencji będzie miał wartość nie do ocenienia".

Powyżej przytoczyłem tylko szkielet tego, co było mówionym w przeciągu godzin kilku spędzonych w towarzystwie człowieka, który, było to widocznym, stosunki polskie znał doskonale, ale znał także i polskie słabości — wszystko, co mówił, było rozsądne i umotywowane, a zgodne z zapatrywaniami naszymi na to, jakimi szlakami polityka nasza i aliantów iść by powinna. Toteż byliśmy bardzo pod wrażeniem słów usłyszanych, sami raczej słuchając, niż mówiąc, ja zaś notowałem je skrzętnie, by mieć w nich oparcie dla myśli naszych, które zaczynały w wielu punktach jakby schodzić na manowce. Tyle o tym.

W czasie tej mojej bytności w Warszawie musiałem się spotkać z wielu znajomymi i przyjaciółmi, którym musiałem wszystko, co się stało w Krakowie, opowiadać — wszędzie spotykałem wielkie zrozumienie dla linii postępowania, którą obraliśmy — nawet wrogowie dotychczas nieprzejednani zwracać się zaczęli do mnie tonem przychylnym, najlepszy tego dowód liczne artykuły w prasie podziemnej, które poczynając od artykułu pod tytułem *Zaszczytna dymisja*, a kończąc na wypowiedzi PPS warszawskiej, były jednomyślne w przychylnym traktowaniu całej sprawy, która przyczyniła się znacznie do spopularyzowania pracy RGO, stawiając tę instytucję na dotychczas niedoścignionej wyżynie.

Toteż wracałem z Warszawy z uczuciem prawdziwej ulgi i z przekonaniem, że nareszcie znalazłem z nią, tą stolicą naszą,

wspólny język i że prace, czekające mnie, jak myślałem, na szerokiej podstawie i oparte o to wzajemne zrozumienie, będę mógł rozpocząć.

Wróciłem do Krakowa 12 grudnia i zaraz posypały się na mą głowę jak grad przygnębiające wiadomości.

Przybyły pan Tchórznicki oznajmił mi, że został przez władze upoważniony do objęcia razem z panem Duninem jako członkiem Rady urzędowania w niej, ale jednocześnie oznajmił mi, że postanowił, by prezydium Rady zostało przeniesionym na ulicę Krowoderską, gdzie mu przygotowywano już pokoje. Na zapytanie moje, co właściwie jest powodem takiego postanowienia, odpowiedział wymijająco, że uważa, że będzie to z korzyścią dla zintensyfikowania pracy, że zresztą są ludzie, którzy mówią, że kłują ich w oczy gobeliny na ulicy Potockiego. Tak byłem tym oświadczeniem zadziwiony i tak był mi cel powziętego postanowienia niejasny, a tak z przyrzeczeniem pana Tchórznickiego, które warunkowało postawienie jego kandydatury, sprzeczny — cóż dopiero mówić o wprost idiotycznym rozumowaniu co do gobelinów, że zamilkłem, postanawiając tę całą sprawę rozważyć i wtedy swe stanowisko określić odpowiednio.

Naturalnie, że wiadomość o wyniesieniu się prezydium RGO z ul. Potockiego lotem błyskawicy rozeszła się zaraz po całym mieście i stała się powodem wielu plotek niezbyt pochlebnych, w szczególności dla nowego prezesa. Władze zaś policyjne, o wszystkim poinformowane, zacierały ręce z powodu kłótni Polaków między sobą, szukając wytłomaczenia, które zresztą każda usłyszana rozmowa dawała dostateczne.

Nie wiem, czy z tymi plotkami miało coś wspólnego zaproszenie mnie po raz pierwszy na ulicę Pomorską do Gestapo na przesłuchanie związane z mymi krokami jako jeszcze prezesa RGO w sprawie wysiedleń na terenie Zamojszczyzny. W pokoju Nr 224 oczekujący na mnie pan Klar, zresztą w uprzejmej formie, rozpytywał się mnie o to, jakim sposobem wiadomość o dokonywanych wysiedleniach doszła do rąk moich. Przedstawiony mi list mój w tej sprawie pisany na ręce pana Weiraucha, a w ostrych bardzo słowach charakteryzujący postępowanie Gestapo, zawierał w sobie zdanie, że wiadomości o nim nadeszły od komitetu na-

szego w Biłgoraju, tymczasem zapytany o to ten komitet odpowiedział policji, że żadnych wiadomości w tej sprawie nikomu ani mnie także nie udzielał. Żądał ode mnie pan Klar, bym wyjaśnił, kto mnie te wiadomości fałszywe, według jego zdania, dostarczył i bym nazwisko tego kogoś wyjawił.

Ponieważ sprawę znałem doskonale i z komitetem owym byłem w porozumieniu uprzednio, że tak w danym razie mają odpowiadać, jak odpowiedzieli, więc pozostawało jedno, jak objaśnić, od kogo wiadomość tę otrzymałem. Właściwie dostarczoną mi ona była przez Platera w formie notatki doręczonej mu przez kogoś z Biłgoraja i ta notatka nie podpisana, pamiętałem na szczęście o tym dokładnie, była dołączoną do odpisu listu do radcy Weiraucha, znajdującego się w dokumentach Rady. Unikając więc rozmijania się z prawdą, oświadczyłem, że taka notatka, na podstawie której napisany został list, istnieje i że może być władzom dostarczoną. Przyczepiono się do tego gwałtownie i zaraz ze mną dwóch urzędników Gestapo pojechało na ulicę Krowoderską, gdzie już pan Tchórznicki jako prezes urzędował. Ku wielkiemu zadziwieniu urzędników Gestapo słowa moje okazały się najzupełniej ścisłe i pan Janko, dyrektor biura prezydialnego, ze swą znaną mi dobrze dokładnością, przyniósł za chwilę ową notatkę odpowiadającą treści listu i jak powiedziałem nie podpisaną. Przybycie moje w otoczeniu gestapowców na ulicę Krowoderską wywołało naturalnie tam sensację wielką, jednak pomyślny obrót sprawy, która zdawała się zakończoną, zdjął ciężar podejrzeń z Rady. Zastanawialiśmy się tylko nad tym, co znaczy ta nowa taktyka Gestapo czepiającego się dokumentów należących i załatwianych przez władze cywilne. Incydent, który miał miejsce przy opuszczaniu przeze mnie biura Gestapo na ulicy Pomorskiej, rzuca na te stosunki jaskrawe światło. Gdym już wychodził, pan Klar i jego szef Müller prosili mnie w sposób pełen zainteresowania, bym zechciał im w paru słowach opowiedzieć, co to właściwie było z tymi dożynkami i moją z tym złączoną dymisją. Gdy w krótkich słowach przebieg incydentu tego przedstawiłem, zaśmiali się głośno i razem, jakby się zmówili, wykrzyknęli: „aber Sie haben dem Generalgouverneur ein Spass gemacht" (ależ pan zrobił generał-gubernatorowi dowcip), miałem naprawdę to wrażenie, że o tym, co na zamku miało miejsce, nie wiedzieli.

W parę dni później Rada w pełnym składzie z nowym prezesem na czele została zaproszona na audiencję do generalnego gubernatora — odbyła się ona w dniu 17 grudnia o godz. 11-ej rano. Wiedziałem, że pan Tchórznicki przygotowywał mowę, jednak co do jej treści ani jednym słowem się ze mną nie porozumiewał, co — zdawało się — ze wszech miar było wskazanym, tylko w jednej sprawie specjalnie do mnie zaszedł, mianowicie, by mnie prosić o pozwolenie urządzenia w mym maleńkim jadalnym pokoju na dole przy ul. Potockiego śniadania dla członków Rady po odbytej wizycie na zamku. Łaskawie na to śniadanie byłem zaproszony. Gdy przybyli wszyscy do mnie i szczerze zainteresowany tym, co i jak się stało, prosiłem o tekst mowy wypowiedzianej przez pana Tchórznickiego, obiecał mi on ją przysłać, lecz nigdy tego nie uczynił. Dopiero z boku dowiedziałem się, że treścią jej główną było to, że RGO jest instytucją czysto charytatywną i z tej drogi nie myśli schodzić. Poza tym niezrozumiałym było dla ogółu i dla mnie także, jakim sposobem pan Tchórznicki zaproszony przez dra Franka zabierał głos pierwszy — z jednej strony kurtuazja, z drugiej ostrożność wymagały tego, by się wpierw dowiedzieć, z czym generalny gubernator przychodzi, zapraszając Radę i nie komunikując, o czym sam będzie mówił. Wyszło to więc wszystko tak, jakby pan Tchórznicki chciał uprzedzić wypadki, narażając się na replikę agresywną, która też i miała miejsce.

Jedno z tego było widocznym, że dążenie nasze stałe do tego, by działalność RGO poza terenem ściśle politycznym rozszerzyć możliwie i wszystkie dziedziny życia społecznego objąć, zostało przez samą Radę jakby przekreślonym i w słowach jej prezesa do akcji ściśle charytatywnej ograniczonym. Czyż można było to zrozumieć w momencie, gdy Gestapo zaczynało na nowo hulać, gdy Wołyń spływał krwią i gdy łuny pożarów na horyzoncie Galicji Wschodniej zaczęły się już ukazywać, gdy jednym słowem, bronić należało wielu placówek polskich i Rada Główna była tą jedyną instytucją, która mogła po prawo ich obrony sięgać, i to nie wbrew życzeniom władzy w GG, a za jej przyzwoleniem. Błąd straszny taktyczny popełnionym został, a popełniony został dlatego, że posunięcia Rady zaczęły być nacechowane strachem, a nie odwagą, którą jej dawać była powinna w jeszcze większej mierze

niż dotąd słuszność sprawy zupełna i oparcie o społeczeństwo, które nareszcie sobie zdobyła.

Rozbity tym wszystkim nerwowo do ostatka, zgnębiony tym, co mnie coraz jaśniejszym, ale jakże smutnym się wydawało, pojechałem na święta do Balic, a potem zaraz na zakończenie roku do Grębowa, do rodziny mojej, gdzie witałem Rok Nowy w gronie licznym miłych mi osób. Jak zwykle, przyjechał do Grębowa ks. biskup Lorek i w jego obecności wobec licznego grona zdawałem sprawę z przeżytych wypadków i niestety, smutnych horoskopów na przyszłość — jedno wysuwałem jako konieczność narzucającą się obecnie nieprzeparcie, jako jedyny ratunek dla Ojczyzny naszej, to zgodę wewnętrzną, do której dążyć i dla której wszystko poświęcić należy.

Owiany pesymizmem nie szedłem tak daleko, by przypuszczać, że to mogą być ostatnie święta spędzone z rodziną mą w kraju — raczej myślałem, że zaczynają się sprawdzać słowa wypowiedziane do mnie przez Fullę Horak, że „spłyniemy krwią własną" i że nadszedł moment, żeby to, co ona powiedziała także, że dla uratowania Ojczyzny należy śmiało stanąć przy Krzyżu.

Część piąta
Rok 1944

Po powrocie do Krakowa w dniu 9 stycznia 1944 r. szereg dni spędziłem na rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi na temat robót, które na siebie wziąć chciałem, wolny już od zobowiązań wobec Rady, a widząc, ile spraw palących leży przed nami nie załatwionych, a takich, które nosiły zarodek klęski w sobie. Do nich zaliczałem to, co się działo na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Ponieważ w Delegaturze leżał punkt dyspozycji i decyzji, a z tego, co widziałem, że się dzieje w kraju, wnioskowałem, że wiele spraw do tego punktu nie dociera, postanowiliśmy, że krok najpierwszy, który mam do uczynienia, polegać winien na znalezieniu odpowiedniego kontaktu z Delegaturą i omówienie z nią spraw tych jak najśpieszniej. W tym celu wyruszyłem do Warszawy w dniu 22 stycznia.

Pierwszych dni kilka tam spędzonych udowodniły mi raz jeszcze, jak ważnym jest zawsze kontakt osobisty — z Tyszkiewiczem, drem Celichowskim i kilku innymi przyjaciółmi prowadzone rozmowy dały jako rezultat, że cały plan działania ułożyliśmy wspólnie, a po śmierci dra Sachy z panem Jasiukowiczem, jako jego następcą, postanowiliśmy dążyć do uporządkowania stosunku mego do Delegatury Rządu, w której wszystkie nabolałe sprawy w formie spokojnej, a stanowczej pragnąłem omówić.

Od pobytu tego w Warszawie zaczyna się nowy rozdział życia mego w czasie wojny, rozdział dla mnie pełen wrażeń silnych, ale i pożytecznych bardzo, jeżeli chodzi o mą sylwetkę duchową, a także i kształtowanie się mych pojęć o Niemcach, ich sposobie myślenia i ich światopoglądzie narodowosocjalistycznym. Często mówiłem, że dla całokształtu wykształcenia mego brakuje mi pobytu w więzieniu, a to dlatego, że tylko wtedy, gdy samemu się rzeczy takie przeżywa, można mieć o nich właściwe pojęcie. Tyle słyszałem od ludzi, którzy byli w więzieniu, o życiu tam i jego okropnościach, że dopiero gdy sam tego doświadczyłem, gdy przeszedłem całą gamę uczuć z tym życiem i jego ryzykiem związanych, zobaczyłem, jak dalece prawda różną i daleką jest od tego, co człowiek na zasadzie opowiadań może sobie wyimaginować. Dopiero doświadczenie własne może być prawdziwie miarodajnym.

W dniu 26 stycznia, wracając z Tyszkiewiczem do mego biura prywatnego w Alejach Ujazdowskich Nr 34, zastałem tam mego sekretarza gen. Zacharowa, który mnie z wielkim przejęciem oznajmił, że dnia tego około godz. 5-ej nadszedł do biura telefon do mnie od pana Henryka Potockiego z Krakowa — Potocki polecił mnie zawiadomić, że w Krakowie „odbywa się gwałtowna dezynfekcja mego mieszkania, wobec czego prosi on mnie, bym nie przyjeżdżał przez czas dłuższy", aż wszystko nie będzie uporządkowanym.

Zrozumieliśmy od razu wszyscy, o co chodziło, i że rewizja policyjna odbywana w Krakowie jest wstępem do tego, co w Warszawie nastąpić konsekwentnie powinno. Jeżeli zdecydowano się na krok taki przeciwko mnie w czasie mej nieobecności, to musiało to być spowodowane czymś poważnym, mnie zagrażającym i że wobec tego telefon rozumieć należy jako ostrzeżenie i doradzanie ukrycia się lub ucieczki, jeżeli takowe byłoby możliwym. Nie rozważałem nawet z moimi przyjaciółmi tej możliwości, bo przede wszystkim nie leżało w naturze mojej, by się ukrywać — następnie ukrywanie się według mnie było niewykonalnym chociażby dlatego, że jestem zanadto w kraju znany, a z sylwetki łatwy do poznania i że uważałem zawsze, że w momentach niebezpieczeństwa grożącego bezpośrednio jest najlepiej próbować brać byka za rogi, a nie zwiewać. Toteż starając się uspokoić za-

cnego generała, który był w stanie wielkiego zdenerwowania, pożegnałem się z Tyszkiewiczem, a jemu oświadczyłem, że wracam z nim do domu na Szopena 17, gdzie u niego mieszkałem. Zjedliśmy spokojnie kolację i położyliśmy się spać w oczekiwaniu, co noc lub ranek najbliższy przyniesie, znany nam bowiem był zwyczaj przyjęty przez Gestapo wybierania nocy lub wczesnego ranka na dokonywanie aresztowań. Nie zawiodło nas to oczekiwanie, które nie przeszkodziło nam tej nocy pomimo wszystko spać spokojnie — oto o 4^{30} rano usłyszeliśmy ów charakterystyczny dzwonek, który oznajmił nam o wizycie miłych gości. Gdy służąca otworzyła drzwi, do mieszkania weszli przez wejście kuchenne trzej oficerowie Gestapo i dwaj tzw. tajniacy. W czapkach na głowie i z rewolwerami w ręku zapytali, czy jest w mieszkaniu hr. Ronikier, a gdy oświadczyłem, że ja nim jestem, zażądali, bym zaraz się ubierał i szedł z nimi. Uczyniłem to niezwłocznie, oni tymczasem rozglądali się po mieszkaniu bez robienia rewizji, a gdy byłem gotów do wyjścia z zapakowanym małym kuferkiem przywiezionym z Krakowa i pożegnałem się z generałem, wyprowadzili mnie przed bramę domu, gdzie stały trzy limusiny, by mnie przewieźć na al. Szucha do Gestapo. Musiałem widocznie być dla nich wielką rybą, skoro aż trzech limusin na to było potrzeba, by z al. Szopena przewozić mnie na al. Szucha, dystans stanowiący zaledwie kilkaset kroków. Przywieziony na Szucha zostałem wprowadzony tam na trzecie piętro do gabinetu, o ile zrozumiałem, kierownika oddziału politycznego Gestapo, który, trzymając w ręku olbrzymiej wielkości depeszę, uprzejmie zresztą bardzo zapytał mnie o wszystkie moje personalia i oświadczył, że ponieważ w depeszy polecają mu traktować mnie ze specjalnymi względami, więc oddaje mi do dyspozycji pokoik przy jego gabinecie. Prosił, bym go nie opuszczał bez jego pozwolenia, zaś co do wyżywienia oświadczył, że będzie mnie dostarczane z kantyny takie, jakie będę sobie życzył. Dnia tego jeszcze albo najdalej następnego miałem być przewiezionym do Krakowa, gdzie się dopiero dowiem, czego sobie ode mnie życzą.

Naturalnym rzeczy porządkiem jedyne pytanie, które mnie męczyło od pierwszej chwili, było, co właściwie mnie mogą zarzucać takiego, że aż aresztowanie mnie uznanym zostało za wskaza-

ne, bo przecież zdawało mi się jasnym, że nie mogła to być jakaś błahostka, dla której by chciano ryzykować pewnego rodzaju skandal, który by musiał przez me aresztowanie w opinii publicznej kraju być wywołanym — nie myślałem, by małostkowe dąsania się na mnie generalnego gubernatora, szczególnie dla nieprzychylnie dla niego usposobionego Gestapo, mogło być wystarczającym powodem, jednym słowem, dochodziłem do wniosku, że musi na dnie tego leżeć coś poważnego, i widziałem, że być tym może albo jakiś donos, albo co mi się wydawało najprawdopodobniejszym, wiadomość o mym spotkaniu z owym Anglikiem, która w ten lub inny sposób stała się zdobyczą policji cenną w stosunku do mej osoby, którą naturalnie chętnie by widzieli w roli przestępcy politycznego. Siedząc na Szucha w ciepłym i dobrym pomieszczeniu, żywiony nawet bardzo dobrze, męczony byłem tylko tą jedną myślą, czego właściwie oni chcą ode mnie? — zaś dochodząc do przekonania, że gra rozpoczęta nie może być czymś błahym, a musi być sprawą poważną, postanawiałem sobie w każdej sytuacji, w jakiej bym się znalazł, mówić tylko prawdę, czasami może nie całą — poza tym wypróbowawszy, że z Niemcami jedynie pewność siebie popłaca i jest drogą, by do ich przekonania trafić, mocne, a odważne mówienie postawiłem sobie jako wytyczną dla mego dalszego postępowania. Resztę pozostawiłem Opatrzności, w której opiekę nietrudno jest w takich warunkach, gdy nie ma się już nic do stracenia, wierzyć — ale jako człowiek wierzący przekonałem się dobitnie, jaką siłę wewnętrzną i spokój daje owa wiara, pogłębiająca się w miarę nadchodzenia chwil ciężkich i prawdziwej próby.

Na tych rozmyślaniach i rozważaniach wszelkich możliwości spędziłem czwartek, pierwszy dzień mojego pobytu w więzieniu. Wieczorem dnia tego polecono mi przejść na dół do jednej z cel, gdzie kilkanaście osób najróżnorodniejszego autoramentu nocowało ze mną, zachowując się tak przyzwoicie i spokojnie, a ustępując mi nawet miejsca na jednym z łóżek, że spać mogłem dobrze, a z rana dnia następnego wstałem wypoczęty i nerwowo spokojny i opanowany. Koło południa zakomunikowano mnie, że tegoż dnia wieczorem będę przewieziony do Krakowa. Wręczając mnie moje rzeczy z powrotem, polecono mi godziny do chwili wyjazdu spędzić już w owej celi, w której nocowałem. Dziwne tam

było towarzystwo — jakiś urzędnik podejrzany o defraudację, jakiś Niemiec, młody gestapowiec, rozgoryczony do SS i na Niemców wymyślający, jakiś Ukrainiec wyśpiewujący dumki wyniesione ze swego kraju i zobojętniały zupełnie na los, który go czeka, wreszcie dwóch Volksdeutschów niespokojnych bardzo co do tego, co ich czekać będzie w Polsce, gdyby Niemcy nie zwyciężyli. Tymczasem na korytarzu rozgrywały się sceny, których odgłosy dochodziły do nas i były stałym tematem rozmów, prowadzonych pomiędzy mymi kolegami z owej celi. Tam w rodzaju klatek przeznaczonych dla kilkunastu osób naraz spędzano zaaresztowanych na ulicach. Segregowano ich od razu na pierwszy rzut oka na mniej lub więcej winnych. Byli tam ludzie nieszczęśliwi bardzo i znowu tacy, którym zupełnie obojętnym było, gdzie się znajdują, i nawet tacy, którzy woleli nie marznąć na ulicy, a pod dachem, chociażby nawet Gestapo, przebywać. Tutaj jakiś starszy sierżant czy inny, niewiadomego mi tytułu używający gestapowiec nawet z pewną rubasznością, nie pozbawioną dobroduszności, dokonywał segregowania i dopiero, gdy zakwalifikował kogo do celi w podziemiu, gdzie podobno straszne rozgrywały się sceny, spotykał się z głośnym sprzeciwem, płaczem lub wymyślaniem. W tych to podziemiach miały miejsce owe sceny straszne, które ustaliły opinię o alei Szucha, jako o miejscu tortur i męczarni, które człowieka nieraz zamieniały w masę skrwawionego ciała, a jednak najczęściej walczącą jeszcze z oprawcami. Opowiadania mych kolegów z celi dawały mi przedsmak tego, co każdego z nas spotkać mogło, gdyby na niego zaprawieni do tego gestapowcy-oprawcy zagięli parol.

O dziesiątej wieczorem przyzwoicie ubrany i wyglądający tajniak przyszedł po mnie. Przeprowadzony serdecznymi życzeniami, znalazłem się na podwórzu dawnego Ministerstwa Oświaty, gdzie czekał drugi mój towarzysz podróży z limusiną, która nas na Dworzec Główny, na pociąg pośpieszny do Krakowa, odwiozła. Jechaliśmy, jak mi się to nigdy w czasie wojny nie zdarzyło, bo w przedziale pierwszej klasy wagonu niemieckiego, gdzie oddano do mego użytku jedną wygodną ławkę, gdy na drugiej czuwali nade mną moi towarzysze. Spałem znakomicie aż do samego prawie Krakowa, na dworcu którego przyjęty byłem tak, że mogłem uwierzyć, że jestem naprawdę wielką rybą, bowiem czekało

na mnie czterech oficerów z pułkownikiem na czele, dziesięciu gestapowców z karabinami maszynowymi w pogotowiu i wielu tajniaków, czujnie odsuwających z drogi naszej wszelką ciekawą publiczność. Znowu trzy limusiny, pierwsza z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału, druga ze mną i dygnitarzami, a trzecia znowu ze strażą. Jak się później wyjaśniło, tyle eskorty było przeznaczone do towarzyszenia mi w krótkiej jeździe do więzienia św. Michała na ulicy Senackiej, jedynie z obawy, by nie zrobiono zamachu mającego na celu odbicie mej osoby.

Wszelkie jednak przypuszczenia co do specjalnego poszanowania dla mej osoby oparte na warunkach towarzyszących mej podróży musiały się szybko rozwiać z chwilą, gdy znalazłem się w gmachu więziennym. Przy trzasku jakby brutalnym zamykanych i otwieranych drzwi więziennych, prowadzących do cel, wtrącono mnie do jednej z nich na pierwszym piętrze oznaczonej Nr 66 i drzwi z wielkim hałasem i bez słowa pod mym adresem zatrzaśnięto, jakby specjalnie podkreślając brutalność tego postępowania. Wrażenie celi niepomiernie brudnej i cuchnącej, mieszczącej sześć prycz żelaznych po trzy z każdej strony jedna nad drugą, zaopatrzonych w sienniki, na których pokolenia chyba całe spać musiały, bowiem tak słoma czy siano w nich będące na drobne kruszyny było zmielone, wreszcie piecyk żelazny rozwalony i nie dający nawet nadziei na ciepło w chwili, gdy na dworze był mróz trzaskający, a w celi zimne i wilgocią przesiąknięte powietrze — wszystko to wraz z okienkiem małym u góry niezachęcający stwarzało obraz i składało się na wrażenie ogólne bardzo dla przyszłych wydarzeń, które miałem w tej celi przeżyć, niewesołe. W futrze, które na szczęście miałem ze sobą, otuliwszy się pledem jeszcze, siadłem na jedynym zydelku, który był w celi, i mocno przygnębiony tym, co mnie spotkało, czekałem, co najbliższe godziny ze sobą przyniosą.

W celi zapach stęchlizny i sąsiadującej ubikacji mieszały się razem, zaś na ścianach obficie spacerujące pluskwy — na szczęście wszy ani razu nie widziałem — przyczyniały się do tego, by życie w więzieniu nie przedstawiało się zachęcająco. Po jakiejś godzinie usłyszałem kroki zbliżające się do mej celi i w trzech kłódkach zabezpieczających drzwi zazgrzytały klucze — drzwi

otworzyły się z trzaskiem i wszedł do mej celi klucznik, który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Rybak i był Ślązakiem nie bardzo rozumiejącym po polsku. Weszedłszy zapytał mnie tonem brutalnym, kim jestem? Gdy odpowiedziałem, że jestem hrabią Ronikierem, tonem bliskim krzyku i pełnym oburzenia oświadczył mi, że tutaj nie ma żadnych hrabiów. Wtedy głosem podniesionym i uderzając pięścią w stół, odrzekłem dobitnie: „A ja jestem hrabią i hrabią tu pozostanę!". Wściekły z otrzymanej ode mnie odpowiedzi, wyszedł z celi, a drzwiami trzasnął tak mocno, że w całym więzieniu rozeszła się, jak mi potem mówiono, wiadomość, że ten nowy więzień już zrobił awanturę! Ja tymczasem nie robiłem jej w żadnej specjalnej złości, lecz w przekonaniu już dawno utwierdzonym we mnie, że Niemcowi nie należy z zasady ustępować, a gdy on podnosi głos lub robi awanturę, na takowe możliwie podwójnie silnie odpowiadać. Widocznie miałem rację, bo coś w godzinę później, gdy zbliżało się południe, czyli czas, gdy roznoszono zupę obiadową, znowu zgrzytnęły drzwi, lecz już widocznie z pewną oględnością otwierane, i mój klucznik zajrzawszy, jakby od niechcenia do celi, głosem już zupełnie innym, nawet mającym w sobie coś z uprzejmości, zapytał mnie: „Was wünschen Sie, Herr Graf?" (czego sobie pan hrabia życzy). Drobny incydent, a jak charakterystyczny dla Niemców i ich zachowania się wobec nas i z nami. W nastroju, w którym w owej chwili byłem, nie mogłem nawet, pomimo że nic nie jadłem od poprzedniego popołudnia, myśleć o jedzeniu, szczególniej tego, czym mnie częstowano, była to jakaś gęsta brunatnego koloru braja, która, niestety, woniała bliskim sąsiedztwem ubikacji, tak że niefortunnie te dwa zapachy niepochlebnie dla tej zupy mieszały się ze sobą. Koło piątej częstowano mnie znowu jakąś lurą szumnie nazywaną kawą, lecz nie mogłem po prostu myśleć o wzięciu czegoś podobnego do ust. Zmęczony wszystkimi przebytymi wrażeniami, chciałem się położyć i zasnąć — rozłożyłem więc sobie na jednej z prycz, robiących zresztą miłe wrażenie trumien, mój pled i położywszy się na tym posłaniu próbowałem zasnąć. Lecz tutaj zaczęła się prawdziwa męka, bo, chociaż zmęczony strasznie, ani na chwilę oka zmrużyć nie mogłem — zaczynało się to, co było moją prawdziwą męką — zupełna bezsenność, która mnie trapiła tygodnie całe.

Następnego dnia był dzień niedzielny, czyli ten, w którym, jak mi było wiadomym, RGO dostarczało w Krakowie pożywienie dla więźniów. Z niecierpliwością prawdziwą czekałem tej chwili, gdy to nastąpi, bo byłem już bardzo głodny, toteż gdy miła postać niewieścia zajrzała do mnie i wręczyła mi duży kawał świeżego chleba z doskonałą marmeladą, miałem wrażenie jakby przypływu świeżego powietrza i jakby wielkiej w mym położeniu dokonanej zmiany. Zaraz inny duch we mnie wstąpił — chleb rozdzieliłem na trzy części, by jeszcze na śniadanie ranne dnia następnego mógł starczyć i by czymś się zająć, zacząłem krzątać się około mego apartamentu, który do jakiegoś porządku chciałem doprowadzić. W celi prócz prycz, stolika, krzesła i miednicy dziurawej, zresztą z dziurą zatkaną gałganem, nie było niczego oprócz rozpaczliwie wyglądającego piecyka i w rogu, za przepierzeniem stojącego wiadra, przeznaczonego do specjalnego użytku. Okienko w górze, niestety, było tak niefortunnie ulokowane, że mur, załamujący się w tym miejscu, częściowo je przesłaniał, tak że tylko na krótką chwilę rano mogło przez nie trochę słońca do celi zaglądnąć. I z tego promyka słońca rad byłem bardzo. Widziałem, że jestem w tzw. separatce, czyli że losem mym będzie zupełne, przynajmniej do czasu, odcięcie mnie od ludzi — na razie nie przerażało mnie to wcale, obawiałem się tylko, by mnie nie pozostawiono tak, jak wszedłem, czyli bez bielizny i nawet rzeczy najniezbędniejszych, które wraz z kuferkiem mym zabrano do składu więziennego, zwracając mnie tylko mydło, ręcznik i szczotkę do włosów.

Gdy wybiła godzina obiadowa i zjawił się znowu klucznik, okazało się, że tym razem był na zmianę już inny, jak się później dowiedziałem, nazywający się z nazwiska także Klucznik. Był to Szlązak mówiący po polsku i właściwie — jak się okazało potem — nawet życzliwy człowiek. Gdy zobaczył, że porządkuję celę i że brzydzę się jej brudem, zaraz sam zaproponował, że da mi jednego lub dwóch dyżurujących na korytarzu więźniów, by mi w tym pomogli. Zjawił się faktycznie więzień nazwiskiem Murzyniec, skazany na półtora roku ciężkiego więzienia za szmugiel, i zaczął mnie pomagać, a raczej sam chętnie robił wszystko, by do jakiego takiego stanu czystości celę mą doprowadzić — więc wyszorował podłogę, wytarł kurze, z nimi, co się dało, pluskiew ze ścian

usunął, przyniósł wody i nadał całej celi za jednym zamachem wygląd pewnego porządku i czystości — wreszcie sam zwrócił się do klucznika, który cały czas czuwał, byśmy ani słowa pomiędzy sobą nie zamienili, by go prosić o koc i pościel dla mnie. Po pewnym wahaniu poszli razem do ambulatorium i stamtąd przynieśli to wszystko, podkreślając, że robi się ten wyjątek dla mnie li tylko dlatego, że piec jest w nieporządku i że nie jest przecież w zamiarach władzy, by mnie zamrozić w tej celi. Doprowadziwszy do względnego porządku swą celę, a nie mając nic do czytania, zresztą o tyle utrudnionego, że dzień w zimie był krótki i jego światło do mej celi miało trudności, by się przedostawać, nic mnie nie pozostawało innego, jak leżeć na pryczy lub siedzieć na zydelku i — myśleć. Naturalnie, że myśli znowu krążyły koło męczącego pytania, co oni właściwie myślą i chcą ode mnie?

Nie potrafiłem do chwili wyjaśnienia tego pytania przez same władze w żaden sposób sobie uprzytomnić, co mogło być powodem mego aresztowania? Nie miałem o sobie mniemania, że jestem barankiem bez jakiejkolwiek winy, bowiem w życiu naszym pod okupacją nie było człowieka, który by w ten lub inny sposób nie zasłużył sobie na karę śmierci wobec władz, których przepisy i rozporządzenia pod tę karę nawet zwyczajne kupno produktu od szmuglera podciągnąć mogły, cóż dopiero ja, który ciągle byłem zmuszony mówić publicznie i mówiłem prawie zawsze niecenzuralnie, który wchodziłem w zakazane kontakty. Zdawało mi się jednak, że popełniając te zasadnicze nieostrożności, byłem zasadniczo ostrożny w wyborze ludzi, przed którymi mówiłem i którym wierzyłem, że mnie nie będą chcieli zdradzać!

Nie wymyśliwszy nic i nie domyślając się właściwie pozytywnie niczego, zacząłem pragnąć, by być jak najprędzej zbadanym i by ten punkt, dla mnie najbardziej ciemny i męczący, został nareszcie wyjaśnionym. Niepokój mnie zaczął trapić wielki, by władze policyjne w swym postępowaniu, pełne perfidii i podstępne, nie zechciały liczyć na to, że trzymając mnie przez czas dłuższy w nieświadomości i po prostu pozostawiając mnie w odosobnieniu i bez badania, nie doprowadziły mych nerwów do stanu z osłabieniem woli bliskiego, bo jeżeli się czego bałem prawdziwie, to tylko dwóch rzeczy: by nie być zmuszonym kłamać, gdy interesy osób

trzecich tego wymagać by mogły, i by nie być poddanym torturom, co do których wiedziałem, że ze mnie nic wydusić nie będą w stanie, ale których bałem się po prostu fizycznie. I dlatego, rozważając wszystkie oczekujące mnie możliwości, mówiłem sobie, że jeżeli na badania zawiozą mnie na ulicę Pomorską, to będzie źle, bowiem tam odbywały się rzeczy pod względem tortur najokropniejsze, jeżeli zaś mnie zawiozą na ul. Grottgera, tam gdzie odwiedzałem tak niedawno jeszcze owego pana Bierkampa, to będzie o tyle lepiej, że będzie to dowodziło, że badanie moje jest oddane urzędnikom najwyższym w hierarchii policyjnej, więc też i uciekającym się do środków przemocy tylko w wypadkach wyjątkowych.

Trzeciego dnia po przybyciu mym do więzienia sprawa ta została dla mnie wyjaśniona, bowiem przybyli około trzeciej po mnie gestapowcy, przysłaną po mnie limusiną zawieźli mnie na ulicę Grottgera. Gdy mnie wyprowadzono z celi, ci z więźniów, którzy zwyczajem więziennym pełnili dyżur na korytarzu, widocznie mnie współczując, że jadę na badanie, co w więzieniu zawsze za największą mękę uważanym było — stanęli rzędem, podnieśli ręce, by zwrócić moją uwagę, i gdy koło nich przechodziłem po kolei półgłosem mi powiedzieli: „Panie Hrabio, głowa do góry!". Muszę powiedzieć, że to odezwanie się tych ludzi, z których większość skazaną już była na śmierć i oczekiwała li tylko już wykonania każdej chwili wiszącego nad nimi, jak miecz Damoklesa, straszliwego wyroku — zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie. Dziwnym męstwem natchnęły mnie te słowa.

Przywieziono mnie do lokalu, który znałem i w którym poza apartamentem szefa Gestapo, zw. Befehlshaberem, którym był Bierkamp, znajdowały się specjalne pokoje dla przesłuchań. Wprowadzono mnie do jednego z nich w rodzaju salki, w której za biurkiem siedział pan Schele noszący dźwięcznie brzmiący tytuł Kriminalkomisarza — na biurku leżał stos papierów, przed nim stał fotel przeznaczony dla mnie. Gdy weszli inni panowie wraz ze stenografami i stenotypistkami, rozpoczęło się pierwsze me przesłuchanie o tyle może najważniejsze dla mnie, bo na nim przecież wyjaśnionym być musiało, o co właściwie w sprawie mego zaaresztowania chodzi. Wtedy to przekonałem się, jak sekunda

nieraz może się wydawać długim czasem, wystarczającym nawet dla zanalizowania szybkiego sytuacji, i jak w sytuacjach takich oczekiwana odpowiedź na postawione zapytania musi być dokonywana bez najmniejszego zająknięcia i w sposób jasny i prosty, inaczej zaraz w podejrzenie, że się mówi nieprawdę, się wpada. Pan Schele, któremu powierzonym było dokonanie mego pierwszego przesłuchania, zasiadł z początku za biurkiem i wskazując mi na leżące na nim papiery, jakby z pewną ironią oświadczył, że są one dokumentami zgromadzonymi w mej sprawie, następnie używając podobno znanego policyjnego tricku obliczonego na granie na nerwach delikwenta — powoli wstał, obszedł pokój dookoła, by znalazłszy się za mną, za mym fotelem, głosem pełnym pewności siebie oświadczyć: „No i cóż, Panie Hrabio, wpadł Pan w pułapkę zastawioną na Pana, przecież te papiery leżące na mym biurku stwierdzają czarno na białym, że utrzymywał Pan stosunki ze wszystkimi tajnymi organizacjami, a niektóre z nich, wojskowe, nawet Pan finansowo popierał. Cóż Pan na to?"

Przez myśl mą przeszło jak błyskawica, że jeżeli o tym jest mowa, to po pierwsze, nie jest mi zarzucanym spotkanie z Anglikiem, po drugie, że jeżeli na postawione mi zarzuty powiem, że są nieprawdą, to użyte zostaną na pewno już przygotowane apokryfy lub donosy, by stwierdzić rzecz przeciwną — i wtedy prawie podświadomie zaistniało we mnie znowu niemal błyskawiczne postanowienie, jak mi później mówiono, niezwykle ryzykowne, ale czasami, jak w moim wypadku, zbawienne. Oto głosem zupełnie spokojnym powiedziałem panu Schele, że rozumiem, że widzą we mnie byłego prezesa Rady Głównej Opiekuńczej, który w zakresie swych zadań był obowiązany wysłuchiwać wszystkich z całego kraju zgłaszających się do niego z zaufaniem pełnym, że nie tylko ich bolączki wysłucha, ale i radę na nie znajdzie. W liczbie tych osób byli u mnie prawie wszyscy ci, którzy potem w życiu podziemnym konspiracyjnym odegrywali rolę, mówili mi o swych zamiarach i bólach, ja je starałem się łagodzić i do rozwagi namawiać tych ludzi, których słowa w zaufaniu wypowiedziane do mnie przecież nie stawały się moją własnością i których powtórzenie teraz przed policją byłoby najprostszą zdradą. Konkluzją z tego być musi to, że wiele rzeczy wiem lub wiedziałem, które stanowią ta-

jemnicę osób trzecich i przeze mnie wyjawione być nie mogą i nie będą. Wielka konsternacja zapanowała pomiędzy przedstawicielami Gestapo znajdującymi się na sali — pan Schele już czerwony ze złości, co jak się przekonałem później często było jego zwyczajem, zwrócił się do siedzącego przy nim szefa swego najbliższego Obersturmbannführera Schindhelma, coś poszeptali ze sobą i oświadczyli tylko tyle, że idą do szefa (pana Bierkampa) i proszą, by do czasu ich powrotu wszyscy pozostali na swych miejscach. Minęło około dwudziestu minut, w czasie których nie padło jedno słowo pomiędzy obecnymi, zaś ja, mając czas na przemyślenie tego, co raczej odruchowo powiedziałem, dochodziłem do przekonania, że była to jedyna droga, którą mogłem obrać, i widocznie dobra, bo zdolna do wytrącenia władz z równowagi, a mnie dająca jakiś wewnętrzny spokój, o którego utrzymanie głównie mnie chodziło w tej chwili. Nie bałem się już dalszych badań zupełnie, byłem już jak ktoś, kto stanął na właściwym punkcie i na właściwych relsach* widzi swą drogę postępowania nastawioną. Gdy znowu weszli panowie, którzy nas opuścili, pan Schele tonem takim, jakby już wyrok miał wypowiadać, wycedził te słowa: „Szef nasz każe Panu, Panie Hrabio, powiedzieć, żeby Pan się zechciał opamiętać, i daje Panu na to czas do południa dnia następnego, gdyby wtedy to nie nastąpiło, to znajdą się środki, które Pana zmuszą do wypowiedzenia wszystkiego w pięć minut, co chcemy, by Pan dobrowolnie nam powiedział. Szef nasz zwraca Pańską uwagę na § 11-y przepisów policyjnych i tutaj także obowiązujących, na mocy którego to paragrafu, każdy, kto by wiedział coś, co się przygotowuje przeciwko władzy niemieckiej, a nie zakomunikował o tym Gestapo, winien być oddanym pod tzw. Standesgericht, w którym nie jest przewidzianą inna kara, jak kara śmierci". Słuchając tych słów, już w trakcie ich wypowiadania wiedziałem, jak mam na nie reagować, toteż niezwłocznie odrzekłem dosłownie, co następuje:

„Co się tyczy wpływania na to, bym powiedział to, czego powiedzieć nie mam prawa, to wiem, że panowie dysponują środkami, które do tego ludzi zmuszają — ja wiem jedno, że nie pięć minut, ale nawet i piętnaście jeszcze wytrzymać powinienem, po czym dzięki chorobie serca, którą mam w wysokim stopniu, będzie koniec ze mną, ja już żyć nie będę wtedy, gdy wy zostaniecie z kom-

promitacją, która będzie rezultatem takiego postępowania ze mną. Proszę to powiedzieć waszemu szefowi i proszę powiedzieć jeszcze to, że gdybym wiedział, że istnieje lub istnieć może paragraf jakiś 11-y zakomunikowanej mi teraz treści, to nigdy bym ani sam, ani bym nie namawiał mych przyjaciół do pracy nawet na tej wąskiej ścieżynie, jaką jest praca społeczna w GG, wiem tylko jedno, że na zasadzie postanowienia Konferencji Haskiej z dnia 27 kwietnia (datę tę zaimprowizowałem) 1929 roku uznanym zostało za rzecz niedozwoloną na terenach okupowanych w czasie wojny wydawanie praw przeciwko sumieniu i narodowym uczuciom okupowanego narodu wymierzonych, ponieważ § 11-y właśnie to sumienie polskie i uczucia tak by obrażał, że uzbrajałby syna przeciwko ojcu i odwrotnie i byłby powodem rzeczy niedozwolonych, więc mam prawo i obowiązek paragrafu tego, nie znanego mi dotąd, nigdy nie przyjąć do wiadomości — przecież na mym miejscu, żeby siedział uczciwy Niemiec, musiałby to samo co ja powiedzieć!".

Pan Schele przez dłuższą chwilę milczał, gdy zaś ja zażądałem, by to, co powiedziałem, było wpisanym do protokółu, wyraźnie się temu opierał, wysuwając wyraźnie niepoważny motyw, że zajmie to dużo czasu, gdyż protokół będzie trzeba przerabiać. Odpowiedziałem na to, że ja mam czas, co na ustach pana Schindhelma po raz pierwszy wywołało uśmiech dla mnie wiele znaczący, bo stwierdzający, że nie odnosi się on w stosunku do mnie nieprzychylnie. Gdy po naprawdę długiej chwili uporano się wreszcie z tym protokółem i zastanawiałem się nad tym, jakie oskarżenia zawierać mogą leżące na stole papiery, przystąpiono do wykonania dalszej części na ten dzień przewidzianego programu. Pan Schele przystąpił do czytania na głos memoriałów moich, jako prezesa RGO, złożonych w swoim czasie władzom, które to memoriały za wyjątkiem owego pisanego do Kwatery Głównej znaleziono w komplecie w czasie rewizji u mnie i które wyjął z jednego z kuferków moich, które, pełne znalezionych u mnie papierów, otwarte stały na stole w pokoju przesłuchań. Memoriałów tych było dwadzieścia kilka, każdy z nich zawierał w sobie jakąś bolesną pigułkę dla rządu GG, cóż dopiero, gdy miały być odczytane wszystkie razem na jedną dawkę — były one w stanie nie to rząd GG, ale byka z nóg zwalić. Toteż w miarę czytania ich na-

brzmiewały żyły na skroniach pana Schelego, który widocznie miał duże trudności z opanowaniem siebie, i gdy skończył, złość jego cała w tonie, prawie krzyku bliskim, wylała się w tych kilku słowach: „Das ist eine unerhörte Frechheit, die kann man nur mit dem polnischen Stolz allein erklären!" (to jest niebywała bezczelność, która da się tylko przez polską butę wytłomaczyć). Na ten niebywały wprost wykrzyknik, opanowany zupełnie, odpowiedziałem, że jeżeli pan Schele będzie nadal takiego tonu i podniesionego głosu używał, to niech wie, że na pytania postawione w tym tonie odpowiedzi z mej strony się nie doczeka, jeżeli zaś chodzi o to, co usłyszałem, to muszę wyrazić me wielkie zdziwienie, że z ust Niemca słyszę, że prawdę nazywa Frechheit, czyli bezczelnością, co do dumy, to muszę stwierdzić, że nic nam innego poza nią w tych warunkach, w jakich żyjemy, nie pozostaje. Wreszcie, przechodząc do meritum sprawy, zapytałem, czy w tym, co zostało odczytanym, jest jedno słowo, kropka, kreska lub przecinek nie na miejscu lub nieprawdziwe? Ponieważ role jakby uległy zmianie i odpowiedzią na me pytanie było tylko długie milczenie, które po nim nastąpiło, przeto uważałem się za upoważnionego do rozwijania dalej mej myśli, którą formułowałem mniej więcej w sposób następujący: Ponieważ wszystkie odczytane memoriały redagowałem ja sam i znam ich treść z tego powodu doskonale, więc prosiłem o pozwolenie zanalizowania takowych kolejno. Pierwszym odczytanym był list mój pisany do gen. Krügera z powodu sprawy myślenickiej, list ostry może nawet w formie, ale taki, który opisywał prawdę, nie moja wina, że jest ona ciężką do skonstatowania, a oprócz tego taki, który nie oburzenie, które teraz słyszę, ale odpowiednią grzecznie sformułowaną odpowiedź ze strony generała wywołał — czyż jest to rolą tych panów korygowanie tego, co uczynił ich szef już kilka lat temu — wskazałem na teczkę ciemnoczerwoną leżącą na wierzchu jednego z mych otwartych kuferków, która to teczka zawierała ową odpowiedź, o której mówiłem, wyjęto ją i odczytano. Z kolei przeszedłem do krótkiego memoriału mego pisanego na życzenie ministra Wühlischa z przeznaczeniem dla Göringa w dniu 22 XI 1940 roku na temat nabrzmiewających coraz bardziej wypadkami stosunków niemiecko-bolszewickich — radziłem bolszewikom nie wierzyć i strzec się przede wszystkim ich agentów, zaś społeczeństwo polskie przeciwko nim i rosnącemu bandytyzmowi uzbroić należycie, czy to z jednej strony, przez tworzenie straży obywatelskich, czy też przez organizowanie odpowiedniej pomocy zapobiegającej rozwojowi nędzy i niezadowolenia, które przecież są najlepszymi rozsadnikami bolszewizmu, nie tego ideowego, bo tego w Polsce nie ma, ale tego właśnie, który z niezadowolonych ludzi tworzy szeregi. Głuche milczenie było wymowną odpowiedzią na me wywody, którym przecież nikt nie mógł odmówić słuszności. Przeszedłem tak po kolei memoriały o wysiedleniach, potem te o Zamojszczyźnie i bezdomnych dzieciach odrywanych od rodzin, o szmuglu jako o naturalnym zupełnie sposobie obrony społeczeństwa przed śmiercią głodową, o zagadnieniach gospodarczych i stosunkach robotniczych zmuszających Polaków do fałszowania ksiąg przedsiębiorstw wszelkich i do tego doprowadzających, że w kraju dwie waluty powstały wtedy, gdy na zewnątrz jego, w Reichu, się głosiło, że waluta w GG jest ustabilizowana świetnie! Wreszcie doszedłem do początku ery Losackera i obszerniej zatrzymałem się nad memoriałem RGO traktującym sprawę osób jakoby niemieckiego pochodzenia, którym przywilej zostania obywatelem Rzeszy narzuca się siłą, gdy przecież cechą przywileju chyba jest w pierwszym rzędzie to, że winien on być przez obdarzonego nim traktowany jako łaska chętnie przyjmowana.

W tym miejscu znowu nie wytrzymał pan Schele i z tonem ironii mnie spróbował wytknąć, że przecież i ja jestem takim, który jest niemieckiego pochodzenia, a do tego przyznać się nie chcę.

Tutaj spotkał się on z zasłużoną, a mocną odprawą, powiedziałem mu bowiem, że jeżeli już taką rzecz mówi, to powinien się oprzeć na faktach już uprzednio stwierdzonych, gdy tymczasem prawdą jest, że rodzina ma jest pochodzenia wenedzkiego*, więc słowiańskiego, że mój dwadzieścia kilka razy pra- i raz szczur nosił imię Wojsława i był ostatnim hrabią na Rostocku, który w 1382 roku opuścił jako swe władanie raz dlatego, że miał już wówczas, pięćset lat temu, dosyć ucisku idącego ze strony niemieckiej i wołał na dworze królowej polskiej Jadwigi pozostać. Miał on herb „Swoboda", który dotąd jest herbem miasta Rostocka, i spoczywa w klasztorze Cystersów w Wąchocku, jako przeor tego zakonu tam pochowany. „Czyż — powiedziałem — już wam pięćset lat nie jest

wystarczającym argumentem na to, by z takimi jak pana Schelego argumentami do nas Polaków nie występować!". Na tym incydencie zakończył się pierwszy dzień badań przeprowadzonych ze mną w ciągu ośmiu godzin, po których zmęczony raczej fizycznie aniżeli moralnie i pełen otuchy, że jednak sprawa lepiej się kształtuje, niż to sobie za możliwe wyobrażałem. Wróciłem więc do swego locum na ulicy Senackiej w celi nr 66, nie przypuszczając nawet, że owe osiem godzin to tylko początek badań, które razem trwać będą godzin aż 61, i że mój pobyt w więzieniu na miesiące całe się przeciągnie. Widocznie wygląd mój po powrocie z badania nie był zły, a raczej dobry, bo jak się później dowiedziałem, osoby mnie bliskie otrzymały od straży więziennej wiadomość, że przez pierwsze badanie przeszedłem szczęśliwie i że jestem pełen dobrych myśli. Dziwne jak w więzieniu, gdzie dotąd właściwie nie mogłem do nikogo ani jednego słowa powiedzieć, wszystko jest wiadomym i nastroje nawet znajdują swe właściwe komentarze, nie potrzebując do tego żadnego faktycznego porozumiewania się ze sobą.

Nie rozumiałem tylko w odniesieniu do władz śledczych rzeczy jednej, która mi się zdawała przecież zasadniczą, mianowicie, że w ciągu tego pierwszego dnia badań nie zapytano mnie ani jednym słowem o coś takiego, co z jakimś właściwym oskarżeniem by mogło mieć związek. Przecież papiery leżące na biurku wskazywały raczej na to, że nagromadzonymi zostały jakieś dowody, które miałbym do odparcia, bo przecież nie aresztuje się kogoś na mym stanowisku, nie zdawszy sobie sprawy, z jakimi zarzutami wobec niego się wystąpi.

Dopiero po dwóch dniach pauzy, wezwany na następne badanie, miałem możność usłyszeć, jakie to dla mnie pigułki były przygotowane i jak one w świetle prawdy właściwie wyglądały.

W czasie tego drugiego z rzędu badania odczytanym mi został ustęp jakiegoś dłuższego dokumentu, z którego wynikało, że ja na jakimś zebraniu, odbytym w dniu 8 grudnia ubiegłego roku, wobec grona kilkunastu osób miałem wygłosić coś w rodzaju referatu o treści dla władzy okupacyjnej bardzo wrogiej, niemal wywrotowej, zaś co najciekawsze w tym wszystkim było, że referat ten miał mieć miejsce u Księcia Metropolity w jego pałacu, a pomiędzy osobami, które miały być obecne, miały być dwie księżne, jedna Róża Czetwertyńska, druga Erika Lubomirska. Na tego rodzaju wprost śmieszny komunikat wprost ironicznie mogłem odpowiedzieć, że jeżeli już są rzeczy takie fabrykowane, to przynajmniej terminy winny być tak wybierane, bym przynajmniej w tym czasie był w Krakowie, jeżeli to miasto za miejsce mego grzechu zostało wybranym. Tymczasem mogłem powołać się znowu na spoczywającą w moim kuferku agendę moją, jest rzeczą pewną, że właśnie dnia tego, 8 grudnia, byłem w Warszawie — że następnie u Księcia Metropolity w ogóle żadnych referatów nie wygłaszałem, a co się tyczy osób wymienionych, to jedna z nich, ks. Czetwertyńska już od więcej jak roku w Krakowie nie była, a ks. Lubomirska, o ile mi wiadomo, nawet w ogóle na zebrania jakiekolwiek do Księcia Metropolity nie chodzi. Na zapisaniu tych mych odpowiedzi do protokółu skończonym zostało z tym pierwszym zarzutem — zarzutem dla mnie bezimiennym, po prostu stanowiącym na obstalunek sporządzone doniesienie. Drugim zarzutem, który byłby groźnym, gdyby był prawdziwym, był zarzut pomocy finansowej udzielonej jakoby przeze mnie organizacji Muszkieterów w Warszawie, na ich uzbrojenie — zarzut ten sformułowany był w ogromnie długim dokumencie, którego treści nie pozwolono mi przeczytać, ale odsłonięto podpisy pod nim się znajdujące: niejakiego Stefana Witkowskiego i Zielińskiego. Zarzucano mnie, że dwa razy udzieliłem im pomocy finansowej po 2000 zł za każdym razem. Ponieważ wiedziałem, że nigdy żadnej tego rodzaju pomocy nikomu nie udzielałem, a tym bardziej Muszkieterom, o których nic faktycznie nie wiedziałem, więc kategorycznie i stanowczo zaprzeczyłem, by zarzut mi stawiany był prawdą — sam w duchu łączyłem go jednak z pewnymi dwoma pomocami udzielonymi poufnie na żądanie bliskiej mi wówczas osoby, która jadąc do Warszawy, z pieniędzy znajdujących się wtedy do mej dyspozycji, prosiła o danie dwa razy takiej sumy dla udzielenia pomocy w Warszawie. Nie myślałem, że dane w dobrej wierze pieniądze będą z wymienieniem mego nazwiska dane na cel mi nie znany i sprzeczny z tym, co jako prezes RGO miałem prawo robić. Niech osoba, która to pozwoliła sobie zrobić, powie sobie, jak nieuczciwą grę w stosunku do mnie i tym razem prowadziła. Gdy i tym razem kategorycznie zaprzeczyłem, pan Schele

wbrew jego kategorycznemu twierdzeniu, że fakt ten nie ulega żadnej wątpliwości, i gdy on zwrócił się do mnie z bezczelnym twierdzeniem, że chcę grać rolę lojalnego wobec Niemców, odpowiedziałem mu bez wahania, że nie ma Polaków, którzy by mogli być wobec Niemców lojalnymi, bo lojalnym może być Polak tylko wobec swego własnego sumienia i ojczyzny, jakem to już raz kiedyś wobec pana Mikołajczyka w Chełmie powiedział, zaś maksymum, co człowiek taki jak ja na stanowisku prezesa RGO mógł być, mogło być legalnością — tej przestrzegałem wobec Niemców, będąc na odpowiedzialnym stanowisku i takim, z którym związanym było zobowiązanie niezajmowania się polityką, ale gdy już wyszedłem z RGO, to i do konieczności przestrzegania legalności się nie poczuwam, bo przecież w wytworzonych warunkach zachowanie godności narodowej i bronienie praw nam Polakom należnych jest jedynym obowiązkiem.

Pan Schele, zirytowany bardzo tym, na czym utknęły zarzuty mi stawiane, a do których widocznie przywiązywał wagę, myśląc, że nie potrafię się im przeciwstawić, spisał tylko protokół i wyprawił mnie z powrotem do więzienia. Wracałem uspokojony, że jeżeli takimi wobec mnie operują zarzutami, to sytuacja ma nie jest, jak myślałem, beznadziejna, i że obrona z mej strony energiczna i konsekwentna najbardziej jest wskazaną.

Toteż niespodzianką prawdziwą było to, co mnie spotkało na trzecim z rzędu przesłuchaniu, które nastąpiło po dniach znowu kilku. Ten sam pan Schele, który zdawał się być coraz gorzej dla mnie usposobionym, jako dla tego, który krzyżował jego plany — gdy zostałem przywiezionym jak zwykle na badanie, zamiast jak zwykle przestrzegać mnie, że mogę być wysłanym na ulicę Pomorską, jeżeli tym razem się nie opamiętam — wyszedł na me spotkanie i w słowach pełnych jak gdyby uprzejmości, zapytał mnie, czy mi jest wiadomym, co mówiło radio sowieckie i angielskie o mym uwięzieniu, gdy odpowiedziałem, że przecież w więzieniu nie wolno mi z nikim mówić — objaśnił mnie, że oba radia, angielskie i sowieckie, rozgłaszają, że ja po zaaresztowaniu jestem przez Niemców torturowany — mówił to tak, jakby te rzeczy u nich nigdy mieć miejsca nie mogły — a przecież chyba narzekać nie mogę, bym był źle traktowanym, mówił głosem pełnym wyrafinowanej

uprzejmości. Odpowiedziałem na to, że co do pomieszczenia — to znałem np. Hotel Adlon w Berlinie, który bez wątpienia był bardziej eleganckim niż pomieszczenie, które mnie udzielono, a co do jedzenia — to ponieważ mi akurat dnia poprzedniego pozwolono otrzymywać jedzenie z domu, więc na własną kuchnię narzekać mi nie wypada. Zawdzięczałem więc widoczną zmianę frontu wobec mnie radiu angielskiemu i, o dziwo, sowieckiemu — w następstwie nawet pozwolono mi otrzymywać gazety i pewne drobne rzeczy tualetowe i inne normalnie w więzieniu niedozwolone.

Gdy weszedłem do pokoju badań, zastałem tam razem — oprócz osób z funkcją tą dotychczas związanych — jakiegoś pana, bardzo dystyngowanie wyglądającego, w cywilnym ubraniu, który zajął fotel widocznie dla niego postawiony i który przywitał się ze mną, podając mnie uprzejmie rękę, ale nie wymieniając nazwiska. Ponieważ ciągle nowi urzędnicy asystowali moim badaniom, nie przywiązywałem na razie do tego większego znaczenia, aczkolwiek dystynkcja nowo przybyłego i jego sympatyczne w stosunku do mnie zachowanie się nie mogło nie zwrócić mej uwagi. Posiedzenie zaczęło się od rzeczy niespodziewanej zupełnie, bo od zwrócenia się pod mym adresem ze strony pana Schelego, który w sposób niezwykle uprzejmy prosił mnie, bym to, co powiedziałem na pierwszym przesłuchaniu w formie uwag do mych memoriałów, zechciał razem ująć w formę referatu, który by zobrazował z jednej strony wszystko to, co się złożyło na wytworzoną w kraju sytuację, z drugiej, bym postarał się sformułować odpowiednie do tego wnioski. Domyślałem się, że musiało to być życzeniem owego nowego na sali pana, który wykazywał duże zainteresowanie całą tą sprawą. Naturalnie najchętniej się tego podjąłem, uważając to za pomyślną okazję do przedstawienia swoich myśli o tym wszystkim, co nigdy nie miałem okazji w formie konkretnej i obejmującej całość zagadnienia przedstawić Niemcom w ogóle, a Gestapo w szczególności. W referacie, który zajął przeszło dwie godziny czasu i który cały był stenografowany, przedstawiłem stan rzeczy po zwycięstwie Niemców w Polsce, odtworzyłem nastroje w kraju, przeszedłem do analizy szczegółowej poczynań niemieckich w Polsce, poczynań nie liczących się zupełnie z psychologią

polską i kopiących przepaść nie do usunięcia pomiędzy obydwoma narodami. Zobrazowałem całą działalność naszej RGO, której, drukując pieniądze do woli, nie potrafiono nawet dostarczyć tyle środków, by ludności naprawdę przyjść dostatecznie z pomocą, by przynajmniej nędza nie wpędzała jej w szeregi niezadowolonych, a przez to i podatnych dla wpływów bolszewickich ludzi — wymieniłem wszystkie błędy niemieckie w stosunku do Polaków popełnione, wszystkie zbrodnie, takie jak wysiedlanie, dzielenie rodzin, pozbawianie majątku i jakby podkopywanie prawa własności, wprost podszczuwanie Ukraińców przeciwko Polakom, wreszcie kolektywną odpowiedzialność stosowaną w ten sposób, że każdy Polak musiał rozumieć, że Niemiec narodowosocjalistycznego reżymu to antyteza wszelkiej sprawiedliwości. Zakończyłem ten akt mój oskarżenia postawieniem samemu sobie pytania, co byłoby do zrobienia, by ten stan rzeczy zmienić i w Polakach pałających nienawiścią zaszczepić na nowo zaufanie do Niemców — odpowiedziałem sobie, że nie można sytuacji uleczyć za pomocą żadnych środków policyjnych lub wojskowych, musi nastąpić gruntowna zmiana reżymu, lecz oczekiwanie na to, by Polacy w tym kierunku krok pierwszy zrobili, jest rzeczą zupełnie utopijną, przy tym bowiem napięciu uczuć nienawiści i rozpaczy, które powszechnie w kraju opanowały umysły i uczucia polskie, nie może być mowy nawet, by próbować działać na umysły — muszą nastąpić fakty, które swą własną wymową zaczęłyby przekonywać społeczeństwo, że nastąpiła gruntowna zmiana poglądów i czynów stosowanych przez Niemców do społeczeństwa polskiego. Muszą Niemcy uznać sami wszystkie swe zasadnicze błędy w stosunku do Polaków i Polski popełnione, muszą znowu zacząć uznawać konieczność istnienia państwa polskiego i na ten temat nie tylko społeczeństwu polskiemu pozwolić myśleć, ale i głośno mówić — wreszcie czynem stwierdzić w formie takiej czy innej deklaracji, czy też aktu, że mówiąc ciągle o „nowej Europie" i jej przez Niemców mającej być dokonaną przebudowie, rozumieją i chcą rozumieć, że prawa Polaków do życia i samodzielnego bytu muszą być uznane i w formie państwowej zabezpieczone. Na tym oświadczeniu skończyłem mój referat, który widocznie bardzo zainteresował mych słuchaczy, bo pomimo wielkiej drażliwości poruszanych przeze mnie tema-

tów ani razu nie został mi przerwany lub jakimś słowem uwagi zaatakowany. Ze strony zaś owego nie znanego mi pana spotkało mnie podziękowanie, tak jakby on był tym, dla którego referat mój bym wygłaszał i jak gdyby zyskał on jego specjalne uznanie. Ja zaś miałem dziwne uczucie, jakby tego, który nie mając nic do stracenia, wykorzystał chwilę w swoim rodzaju jedyną, dla wypowiedzenia tym, których dotąd to nie interesowało, rzeczy takich, o których nigdy nie słyszeli, a korzystnym by było, by raz usłyszeli. Postawiono mi jeszcze kilka zapytań dotyczących tematów poruszonych przeze mnie i dowodzących dobitnie, jak potrafiły one ich zainteresować i na tym posiedzenie dnia tego skończono. Wychodząc prosiłem jeszcze pana Schelego, który mnie odprowadził na korytarz, by mnie powiedział, kto był ów nowy pan na sali. Odmówił mi uprzejmie, ale kategorycznie, robiąc jakiś dziwnie tajemniczy gest i przyjmując również tajemniczy wyraz twarzy, jak u kameleona w swym wyrazie zmiennej, mogącej w jednej chwili od wyrazu wściekłości i niepohamowanej złości przejść nagle do pełnego wyrazu uprzejmości i miłego uśmiechu.

Ku mojemu wielkiemu zadziwieniu w parę dni później tenże pan Schele przyjechał do mnie do więzienia znowu z tajemniczą miną i oznajmił mi, że szef jego, pan Bierkamp, dowiedziawszy się o tym, jak było interesującym to, co na ostatnim przesłuchaniu było przeze mnie powiedzianym, prosi, bym zechciał to przed nim i wobec większego grona jeszcze raz powtórzyć, o ile możności jasno formułując nie tyle zarzuty, jakie wobec Niemców ma społeczeństwo polskie do postawienia, ile dezyderaty, jakie by to społeczeństwo pod adresem władz niemieckich chciało postawić. Oświadczyłem naturalnie mą gotowość ku temu i wyznaczonym został dzień, kiedy to ma nastąpić.

Temat był mi tak dokładnie znany, że nie on właściwie był treścią mych rozważań przez dzielący mnie od owego wystąpienia na tej szerszej arenie — raczej taktyka tego wystąpienia zasługiwała na to, by ją dokładnie obmyśleć, by jednemu celowi wyraźnie mogła służyć — pożytkowi w sprawie polskiej jedynie. Postanowiłem w niczym nie łagodzić mych formuł dotychczasowych wypowiadania się o Niemcach, którym nie chciałem nadawać pozorów aktu oskarżenia, ile szukając w nich podstaw do wniosków, jak złemu zaradzić.

Gdy nadszedł dzień wyznaczony na owo spotkanie moje oko w oko z tym panem Bierkampem, z którym spotkanie tak ujemne w swoim czasie zrobiło na mnie wrażenie, pan Schele, już nie mój wróg, a jakby impresario, zjawił się po mnie i rozmawiał ze mną w drodze z więzienia jak ktoś, który jest pełen dobrych chęci, by mnie najlepiej poradzić, jak mam daną grę rozegrać. Nie miałem zamiaru występować specjalnie agresywnie, ale na samą myśl, że zobaczę tego, który był katem narodu polskiego, odziedziczywszy ten szlachetny urząd po takim poprzedniku, jakim był gen. Krüger, wystarczało, bym jeżył się wewnętrznie i starał się nad uczuciami swymi zapanować.

Wprowadzony do gabinetu pana Bierkampa, zastałem tam znowu ludzi nowych, a jego siedzącego za wielkim swym biurkiem, jak ptak drapieżny, ponury i złowróżbny. Zaraz na wstępie powitał mnie miłymi słowy: „No cóż, jakże się Pan Hrabia czuje tutaj, gdzie ostatni raz się widzieliśmy z Panem, jako prezesem RGO, i gdy dawał mi Pan lekcję o tym, co Pan kwalifikował jako Weltskandal" — nie zdawało mi się, by słowa te były dobrym dla mnie prognostykiem, nie wytrzymałem jednak i odpowiedziałem, że aczkolwiek sytuacja moja jest wyraźnie zmienioną, to co do poruszanego wówczas tematu nie widziałem możności zmienić zdania. Przeszedłem do zapytania, ile mi wyznacza czasu na zreferowanie sprawy, bo chcę się do czasu wyznaczonego dostosować. Już jakby z trochę uprzejmiejszym wyrazem oświadczył mi, że ponieważ była wówczas godzina pół do jedenastej, zaś on o drugiej musi być u generał-gubernatora na obiedzie, więc trzy godziny czasu może mnie wyasygnować.

Treść istotna tego, co tym razem mówiłem, była prawie że identyczna z tym, co mówiłem w formie referatu ostatnio, tylko może najgłówniejsze punkty, przemyślane przeze mnie dokładniej, były też w ich sformułowaniu więcej sprecyzowane — te więc zasadnicze punkty mego referatu chcę tutaj przytoczyć:

Więc zacząłem od tego, że przepaść dzieląca narody nasze, niemiecki i polski, dzięki fachowej pracy niemieckiej została wykopaną tak wielką, że żadne środki ani wojskowe, ani policyjne nie są zdolne jej wyrównać — tragedią sytuacji wytworzonej jest to, że żeby nawet ze strony niemieckiej zaczęto budować złoty

most, by przejść ponad tą przepaścią, to społeczeństwo polskie, po przebyciu tylu okropnych dla siebie doświadczeń w ciągu lat pięciu panowania niemieckiego w tym kraju, by nie chciało na ten most wejść, gdyby nawet był już zbudowany, byłoby bowiem przekonanym, że most ten musi być podminowanym. Cóż tu mówić, przecież ja, jako znany w swoim czasie germanofil i za takowego w kraju za mą pracę w RGO uważany, gdybym miał sobie ze strony niemieckiej nawet Berlin jako prezent ofiarowany, nie przyjąłbym go eo ipso uważając, że musi on być podminowanym. W takich warunkach dla spacyfikowania stosunków, nie w sensie dotychczasowym dokonywanym przez Niemców, ale w zamiarze względnego uporządkowania stosunków pomiędzy dwoma sąsiadującymi i skazanymi na współżycie narodami, nie można od Polaków żadną miarą oczekiwać, by wyciągali rękę do zgody, tylko musi ze strony niemieckiej być dane wyraźne i niedwuznaczne świadectwo temu, że naród niemiecki, a przede wszystkim jego decydujące czynniki, zrozumiały błędy wobec Polaków przez siebie popełnione i czynami stwierdzają swą chęć naprawienia zła uczynionego — i tutaj zaraz na wstępie i dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień w następstwie zaznaczyłem, że nie załatwienie „sprawy polskiej", bo ta nie przez Niemców będzie rozstrzygana, ale raczej znalezienie modus vivendi dla rozwiązania „sprawy Polaków" musi być owym celem, do którego dążyć powinny w swym własnym dobrze zrozumianym interesie władze niemieckie w tym kraju. Wejście na tę drogę jest dla mnie — mówiłem — bardzo proste, gdy bolszewicy i alianci ofiarowują nam Polskę niemal po Elbę, gdy bolszewicy w sposób prawie bezczelny mówią o państwie polskim — wielkim, mocnym i bogatym, nie może ze strony niemieckiej trwać uparte milczenie lub co najwyżej od niedzieli głoszone zasady Nowej Europy pod kierownictwem niemieckim, a na dzień powszedni powtarzana na różne tony zwrotka z mów generał-gubernatora o tym, że w najbliższym tysiącleciu Polska już nie powstanie, lub że wszystko, co jest w Polsce pięknego lub w nauce zasługuje na uznanie, musi być naturalnie pochodzenia niemieckiego. Na tej drodze daleko się nie zajdzie, bo na to, by Polacy mogli nabrać zaufania do przez Niemców propagowanej zasadniczej myśli odbudowy Europy, zresztą jeszcze w bardzo płynnej formie ujmowanej,

by uwierzywszy w nią do współpracy przystąpić, trzeba nieodzownie dwóch rzeczy: przyznania Narodowi Polskiemu praw jemu należnych i przede wszystkim uznania jego prawa do niezależnego bytu wśród narodów europejskich, do rodziny których Niemcy zaprosili Słowaków i Kroatów, ale o Polakach zapomnieli.

W tym miejscu pan Bierkamp przerwał mi i zapytał, jaki według mnie jest główny powód nienawiści panującej pomiędzy obydwoma narodami i dlaczego do tego, co się stało, dojść mogło, odpowiedziałem mu na to obszernie, przytaczając główniejsze powody do nienawiści, jak postępowanie w sprawie wysiedleń, rozdzielanie rodzin, aresztowania i stosowanie kolektywnej odpowiedzialności, pozbawienie życia i wolności wielu miarodajnych ludzi w narodzie, traktowanie społeczeństwa polskiego w całości i jako poszczególnych ludzi w sposób ubliżający poczuciu godności narodowej, wciąganie ludzi myślących i czujących po polsku siłą na listę osób oświadczających się za Niemcami, czyli robienie z nich zdrajców w narodzie własnym etc. Zakończyłem ten szereg krótko formułowanych zarzutów jednym zdaniem, które na obecnych zrobiło wielkie wrażenie — oto powiedziałem: „Niemcy, powiedzieć muszę w konkluzji, popełnili błąd straszny, bowiem za wcześnie wyobrazili sobie, że mogą już wobec Polaków dyskontować swe zwycięstwo, mali ludzie przed oczami Polaków odsłonili zasłonę, która zasłaniała obraz, malujący stan rzeczy w Polsce po dokonanym zwycięstwie niemieckim — obraz ten stoi przed oczyma każdego Polaka, wszyscy zrozumieli i wierzą obecnie niezachwianie, że jedynym celem Niemiec w stosunku do Polaków jest zupełne biologiczne wyniszczenie narodu polskiego. Naród polski na to, by z nim dojść do jakiego takiego ładu i porozumienia, musi być — jak to kiedyś do Fryderyka Wielkiego powiedział mądry jego ambasador w Polsce margrabia Lucchesini — traktowanym dobrze (gut behandelt) i po rycersku, bo jest to naród rycerski i może być pokonanym z bronią w ręku, ale to nie jest i nie może być identycznym z utratą przez niego honoru, który ceni ponad wszystko. Wy zaś postępować z nim nie umiecie zupełnie, zresztą tak samo, jak nie umiecie czynić tego także i z innymi narodami, bowiem brak wam dwóch cech zasadniczych na to, by to osiągnąć koniecznie potrzebnych — a są to umiejętność być w porę wspa-

niałomyślnymi, to jedno, a drugie to zdolność do odpowiedniej wrażliwości (grosszügig und feinfühlend zu sein) — bez tego sobie z Polakami nigdy nie poradzicie. Bo na przykład mówicie, że walczycie przeciwko bolszewizmowi, nawet coś w rodzaju krucjaty przeciwko nim głosząc, a każdy Polak pamięta i pamiętać musi to, żeście bolszewikom właśnie pół Polski oddali, a gdy mieliście moment, że ich pchnęliście daleko na wschód, wobec nas zamiast dotrzymać dane przez generał-gubernatora przyrzeczenie zwrotu majątków, wszystko pozostawiliście tak, jak to zostawili bolszewicy, utwierdzając w narodzie polskim przekonanie, że Niemcy nie lepsi od bolszewików! W tym miejscu zerwał się pan Bierkamp i prawie z krzykiem powiedział: „Jak Pan śmie coś podobnego twierdzić!" Tymczasem gość nieznany najspokojniej, podniósłszy rękę w kierunku Bierkampa, powiedział: „Proszę uprzejmie hr. Ronikierowi nie przeszkadzać, by dalej mówił". Wystarczyło to, by gospodarz owego miłego lokalu zamilkł i tym samym pozwolił mi me myśli dalej rozwijać.

Więc nawiązując do tego, na czym się zatrzymałem, mówiłem, że przecież dla utrzymania prestiżu władzy jest rzeczą niezbędną, by było zawsze dotrzymywanym słowo, a jakże to ma być możebnym, by to przekonanie mogło chociażby zaistnieć u Polaków o Niemcach, gdy ich Führer, podpisawszy z Polską umowę o nieagresji na lat dziesięć, zrywa tę umowę jednostronnie i bezpodstawnie po latach pięciu. Ale zarzucą mi panowie, że tłum nie zna historii i nawet tego nie wie, to czyż to, co w formie proklamacji ogłasza pan generał-gubernator, nie powinno być spełnionym, zaś obietnice, dane nam solennie z wysokości zamku, nie winny być dotrzymane? Mówi się teraz często o Opatrzności i posłannictwie chrześcijańskim na wschodzie, a co się czyni z duchowieństwem i zakonnikami polskimi, dla których naród polski do głębi religijny ma cześć i poszanowanie — czyż może myśleć, że piękne słowa o chrześcijaństwie, używane w odezwach, mogą być szczere, gdy księża i zakonnicy są rozstrzeliwani za ich wiarę i patryjotyzm, a inni w wielkiej liczbie trzymani w obozach, a robotnicy polscy w Niemczech pozbawieni wszelkiej religijnej pomocy i nawet do kościołów nie są, jak psy, wpuszczani! Nie, to nie są sposoby prowadzące do celu nie tylko polskiego, by odetchnąć inną atmosferą

sprawiedliwości i należnych praw, ile dla was, Niemców, których rozum chyba powinien doprowadzić do przekonania, że jesteście na każdym kroku na fałszywej drodze, wyniszczając tych narodowców, którzy są urodzonymi wrogami bolszewików, zatem rozumnie myśląc, naturalnymi sprzymierzeńcami waszymi — niszcząc AK, które przecież młode siły narodowe w sobie gromadzi i je przeciwko największemu wrogowi Polski — właśnie bolszewikom — kierować by powinno, niszcząc przywódców w narodzie, którzy są przecież potrzebni na to, by naród do rozumnych decyzji przyprowadzić, by się rządził nie tylko uczuciem, ale sytuację całą rozważył i mógł odpowiednio ją zrewidować. Pan, Panie Oberführer — mówiłem — chce ode mnie odpowiedzi na pytanie, dlaczego Polacy nie są lojalni i konspirują, a przecież odpowiedź jest taką jasną i leży jak na dłoni, przecież Polak może być lojalnym tylko wobec własnego sumienia i tylko własnej Ojczyzny, nie ma więc i być nie może Polaków lojalnych wobec was, jeżeli nie liczyć tych nielicznych, którzy tylko takowych udają. Mogą być Polacy wobec was, kierowani rozumem, tylko legalni w swych czynach, do tych należę ja, na przykład, i w rezultacie tylko w więzieniu się doczekałem chwili, kiedy Gestapo się zainteresować zechciało sprawami przecież tak ważnymi właśnie dla was Niemców w sytuacji, która się w Europie krystalizuje, i bez załatwienia spraw, o których mówimy, nie do pomyślenia obecnie. Trzeba więc, nie łudząc się, by to dało szybkie rezultaty — bo gdy raz się zaufanie z korzeniem wyrwie, trudno bardzo tę delikatną roślinkę znowu szybko odrodzić — zacząć, by w propagandzie było zmienionym zasadniczo to, by zaczęto ze strony niemieckiej mówić o prawach Polaków do życia i własnego państwa. Ponieważ zaś tych, którzy byli prowodyrami narodu, sami usunęliście z widowni na zawsze albo wysłaliście do obozów koncentracyjnych, jako przestępców, za to, że kochają swą Ojczyznę, nie możecie od nikogo z nas żądać, byśmy jakiekolwiek decyzje polityczne brali na siebie — jest z tego jedyne wyjście, to dać nam prawo porozumienia się z tymi, którzy są prawowitym rządem polskim w Londynie. Gdy oni wyrażą na coś swą zgodę, to będzie w narodzie naszym przyjęte, a niebezpieczeństwo dla was przy takim postawieniu uczciwym sprawy nie istnieje w zasadzie, bowiem i oni tam, nasi członkowie rządu, są takimi samymi wrogami bolszewizmu, jak my tutaj — wtedy może

AK otrzymałoby właściwe instrukcje albo co najmniej nieoficjalne wskazówki (Winke), a my moglibyśmy mówić o uporządkowaniu tego kraju nie na drodze obranej przez Quislingów lub innych im podobnych, a na drodze uczciwie wyjaśnionej sytuacji.

Przecież to, co mówię — kończyłem — miało odpowiedni precedens w niedalekiej jeszcze przeszłości, czasu wielkiej wojny, gdy będąc także wówczas już prezesem Rady Głównej Opiekuńczej, zostałem zawezwany do gen. von Beselera, generał-gubernatora warszawskiego, zaproponował on mnie jazdę do Szwajcarii dla wyjaśnienia stosunku rządu polskiego pod okupacją niemiecką do mającego się utworzyć takiegoż rządu w Paryżu. Mądry i znający psychologię polską generał, będąc jednocześnie profesorem, wiedział, kiedy należy Polakom rozkazywać, a kiedy, licząc się z nimi, należy się porozumieć — rezultatem był pełny sukces misji naszej w Szwajcarii, załatwionej pomyślnie dla sprawy polskiej, a jednocześnie w swym rezultacie wyprowadzającej z kłopotu dyplomatycznego władze niemieckie. Czyż nie nadszedł nareszcie czas, gdy po wypróbowaniu środków przemocy, które wszystkie zawiodły, należy przejść do środków opartych na rozumie i psychologii, one są jedyne, które ze zrozumieniem sytuacji zastosowane, mogą dać pozytywne rezultaty.

Kończyłem z wybiciem ostatniej minuty trzeciej godziny przyznanej mi dla mego referatu, wiem, że na wszystkich zrobił dodatnie wrażenie i że treścią swą zainteresował wszystkich bardzo, jedynie nie byłem pewnym tego, co myśli o tym wszystkim Bierkamp — siedział jak mruk, milczał, a gdy skończyłem, odezwał się z przekąsem jakby: „Niech Pan Hrabia mi powie, jak długo by mógł Pan tak mówić dalej?". Odpowiedziałem bez wahania, że do końca wojny, a gdy on wykrzyknął: „Jakże to!" — odpowiedziałem, że dali mnie tyle materiału, że nie jestem pewien, czy i do końca wojny bym potrafił go należycie wyczerpać, obecnie bowiem serwowałem tylko rodzynki z niego!

Zamykając posiedzenie, Bierkamp zwrócił się do stenografa z zapytaniem, na kiedy stenogram będzie gotowym, a gdy ten mu jakąś godzinę wymienił, naglił go, by się pośpieszył, bowiem potrzebuje go koniecznie dla generał-gubernatora, u którego mają być zebrani gubernatorzy. Wtedy wmieszałem się do tego, co usły-

szałem, prosząc, by mnie był dany ów stenogram do podpisu lub akceptacji, w obawie, by rzeczy fałszywe lub nieścisłe nie trafiły dalej i wyżej — gdy jednak zostałem odburknięty słowami, że to nie jest we zwyczaju, powiedziałem, że nie mogę wtedy odpowiadać za treść jego. Wtedy nagle zastanowił się Bierkamp i zwrócił się do mnie z oświadczeniem, że jeżeli chcę, by tam, gdzie należy, trafiły moje oświadczenia w takiej formie, jaką bym ja chciał mieć, to jest jeden tylko sposób, bym ja położył je na papier, a wtedy, gdybym na to się decydował, to on poczeka ze zreferowaniem sprawy tej na zamku. Gdy bez wahania odpowiedziałem, że gotów jestem to uczynić — oznaczył termin trzydniowy, bym mu mój referat na piśmie dostarczył i salę pośpiesznie opuścił.

Stanąłem wobec pytania, jaką intencją powodowany zażądał Bierkamp ode mnie, bym me myśli na piśmie wyłożył, znając usposobienie jego dla mnie, wszystko przemawiało raczej za tym, że było to żądanie jego raczej pułapką zastawioną na mnie niż podaniem ręki dla wyjścia z sytuacji, w której wiedziałem, że jedynie skazanie mnie by jego intencjom dogadzało. Wiedziałem również i dlatego tak szybko się na napisanie całej rzeczy zdecydowałem, że nastręcza się okazja niebywała, by myśli me nie pozostały w protokółach policyjnych, a na szersze pole wyjść mogły i coś tam zaważyć.

Wróciwszy do więzienia, zastałem już w mej celi papier i atrament mi potrzebne i zaraz wziąłem się do pisania. To, co za trzy dni miało być gotowym, napisałem w przeciągu paru godzin. Ponieważ jest to w życiu moim może jeden z najważniejszych dokumentów, które pisałem — ponieważ musiałem się w tym, co piszę, liczyć z tym, że piszę to dla Niemców, zaś z drugiej strony, że dla Polaków musi to być zgodne z ich poglądami i moimi przede wszystkim, więc przytaczam ten dokument w dosłownym jego brzmieniu.

„Pro memoria

Straszna przepaść, która powstała pomiędzy niemieckim a polskim narodem w czasie obecnej wojny, nie będzie mogła być wyrównaną żadnymi zwykłymi środkami wojennymi. Z jednej strony, doszli Polacy do takiego stanu rozpaczy, a przez to do takiego zawzięcia, że nawet własnej swej dotychczasowej dewizy — niewystępowania przeciw armii niemieckiej, już nie respektują. Z drugiej strony, przeszli Niemcy do takiej formy odwetu, która w żadnej mierze nie może doprowadzić do złagodzenia sytuacji. W międzyczasie wystąpił w nastawieniu politycznym całego świata nowy pozytywny czynnik — z którym Polacy liczą się i liczyć się muszą — a mianowicie ten, że jeżeli Anglosasi stawiają się coraz bardziej do dyspozycji Stalina, zapominając na razie wszelkich innych zobowiązań — Niemcy są właściwie potęgą zwalczającą bolszewizm.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Polacy należą całkowicie do Zachodu i z nim silnie trzymają — istniejące tutaj bolszewizujące grupy składają się głównie z ludzi raczej niezadowolonych niż myślących komunistycznie — wojna roku 1920-go, gdy Polska wyłącznie sama oparła się bolszewizmowi i zwyciężyła, pokazała jasno polskiemu rolnikowi i robotnikowi, co bolszewizm ze sobą przynosi i uodporniła go przeciwko niemu.

Jest zatem rzeczą sprzeczną z wszelką logiką, aby Polacy, a przede wszystkim polscy narodowcy, przeprowadzali obrachunki swe z Niemcami w takim czasie, kiedy każda siła niemiecka winna być wykorzystaną nie tylko dla Rzeszy samej, lecz również na korzyść Polski przeciwko bolszewikom — według mego zdania musi być obowiązkiem każdego Polaka wobec swej Ojczyzny i wobec całej Europy co najmniej nie przeszkadzać Niemcom w ich walce przeciwko bolszewizmowi.

Przepaść jednak istnieje i raz stracone zaufanie, które tak łatwo było wykorzenić, jest rzeczą niezmiernie trudną i długotrwałą do odzyskania. Jest zatem zadaniem „realnie myślących" ludzi przygotować i przedsięwziąć natychmiast konieczne kroki, które by w pierwszym rzędzie wpłynęły na złagodzenie położenia i zaoszczędzenie tak wielu niepotrzebnych ofiar. Jedno rozumie się samo przez się, że gdy ustaną ze strony polskiej — mam na myśli narodowców — ich porachunki i zamachy, to muszą ustać również automatycznie wszelkie środki terroru ze strony władz niemieckich. Osiągnięcie tego byłoby już pierwszym krokiem, który by przyniósł ze sobą duże uspokojenie, niestety, istnieje już tutaj pewne ale: bolszewicy w GG byli w najwyższym stopniu

zadowoleni z tego, że między Niemcami i Polakami nie doszło do żadnego «modus vivendi», gdy zobaczą jednak, że może się coś wykrystalizować, zrobią wszystko ze swej strony, aby do tego nie dopuścić, i udając narodowców, jak to już nieraz bywało, będą kontynuować to, co dotychczas czynili, a odwet za to spadnie na barki osób trzecich.

Tutaj muszą już Niemcy i Polacy wspólnie z nimi się porachować, jak to już z dobrym wynikiem miało miejsce kilkakrotnie. Polski rolnik, ziemianin lub przedsiębiorca tak dobrze, jak i policja niemiecka muszą, maszerując oddzielnie, przeprowadzić walkę przeciwko bolszewizmowi i bandytyzmowi w GG. Oczywiście nasuwa się pytanie, kto ma odważyć się na zrobienie tych pierwszych kroków i jak mają być one zrealizowane?

Zdaniem moim byłoby rzeczą jedynie słuszną ze strony polskiej, gdyby pewna grupa osobistości wzięła to zadanie na siebie. Grupa ta nie potrzebowałaby być specjalnie zaangażowaną politycznie, musiałaby jednak posiadać zaufanie kraju i stanąć od początku silnie na legalnej podstawie. Oczywiście podstawą jej pracy musiałyby być takie prawa, które nie obrażałyby polskiego honoru i sumienia. Grupa ta powinna by potem zwrócić się do całego narodu polskiego z krótkim logicznym oświadczeniem, które by w pierwszym rzędzie osiągnęło zmianę taktyki polskich kół narodowych w stosunku do Niemiec. Liczę, że w tym politycznym momencie, gdy Finlandia, Węgry, państwa bałkańskie i również rząd polski w Londynie stawiają opór probolszewickim krokom Anglosasów — można by uzyskać tak wiele i tak ważkich podpisów na tę deklarację, że jej ostateczny pozytywny wynik mógłby być gwarantowany. Oczywiście wynik ten byłby pozytywnie pewny do osiągnięcia jedynie wtenczas, gdyby dało się osiągnąć porozumienie z miarodajnymi polskimi osobistościami w Londynie — precedensy, których w czasie wojny światowej z dobrym wynikiem z inicjatywy generała von Beselera doświadczyłem, pozwalają mi powiedzieć, że odpowiednia chwila do tego nadeszła. Dalej, aby wyczerpać główne wytyczne przynajmniej propagandy i widzieć ją w całości, należy wspomnieć jeszcze i zanalizować dwa punkty wielkiej doniosłości, a mianowicie:

Jeden dotyczy absolutnej konieczności zorganizowania w neutralnym kraju dobrze pracującego, niezależnego biura prasowego, aby cały świat wyraźnie usłyszał i wiedział, jak Polacy myślą specjalnie o bolszewizmie. Drugi dotyczy niemieckiej propagandy — propaganda ta nie może pozostawać dalej wyłącznie na polu ironii i krytyki wobec wszystkiego, co było polskim lub co przyniosły ze sobą stosunki z Ameryką i Anglią, lecz musi mówić pozytywnie o istnieniu i przyszłości Polskiego Państwa na wypadek zwycięstwa Niemiec i przyszłość tę dokładnie określić w życiu europejskich ludów. W chwili obecnej nie wolno mówić o porozumieniu pomiędzy Niemcami i Polakami, należy stworzyć atmosferę odpowiednią dla wprowadzenia samorządu komunalnego — należy wyjaśnić, że Polacy muszą otrzymać te same prawa jak i inne narody i że nie istnieją żadne zamiary w kierunku wyniszczenia narodu polskiego u miarodajnych sfer niemieckich. W chwili obecnej nie jest możliwym i taktycznie nie wskazanym po tym wszystkim, co się stało, poruszać «zagadnienie polskie», należy jednak bezwzględnie dążyć do tego, aby «zagadnienie Polaków» doprowadzić do takiego «modus vivendi», aby zapewnić spokój i możliwość rozwoju w tej części Europy, tak ważnej w chwili obecnej. Co się tyczy poczynań praktycznych, to byłoby jeszcze przedwczesnym formułować je w skrystalizowanej formie, należy, jak już powiedziałem, stworzyć ku temu odpowiednią atmosferę.

Wszystko, co tu wyłuszczyłem na papierze, nie są to w żadnym wypadku propozycje, które w imieniu kogokolwiek bym czynił — są to wyłącznie i jedynie moje własne myśli, którym mój pobyt w więzieniu dopomógł w pewnej mierze do uporządkowania się i dojrzenia.

Kraków, dnia 18 marca 1944 roku.

Napisano w więzieniu św. Michała w Krakowie".

W oznaczonym terminie zjawił się u mnie Schele, przeczytał to, co napisałem, lecz ani jednym słowem się nie zdradził, co o tym myśli — oznajmił tylko, że niezwłocznie złoży otrzymane pismo swojemu szefowi.

Zaczęły mnie napadać ciężkie myśli, czy nie za daleko się posunąłem i czy dobrowolnie nie wpadłem w zastawione na mnie

perfidnie sidła. Potwierdzeniem tych czarnych myśli było to, co nastąpiło w dniu 24 marca. O godz. 4 po południu wszedł do mnie w sekrecie jeden z oficerów polskiej policji tzw. granatowej i w słowach nadzwyczaj oględnych, ale niemniej przykrych do wysłuchania, oznajmił mi, że zapadł wyrok co do mej osoby i że za chwilę przyjedzie do mnie gestapo, by odwieźć mnie do więzienia na Montelupich. Muszę powiedzieć, że był to moment, który pozostawił na mnie niezatarte wprost wspomnienie — byłem już pewny, że dałem się ponieść chęci nauczenia Niemców, czym jest sprawa polska, i że poniosła mnie ona za daleko. Bierkamp, ów człowiek, który powiedział mi kiedyś, że jest typem zimnym i nie dającym się powodować uczuciom, postanowił widocznie ze mną skończyć ostatecznie, biorąc za pretekst to wszystko, co obrażając prestiż władzy, wobec świadków mu powiedziałem.

Ze łzami w oczach żegnali mnie ci z więźniów, którzy mieli ze mną najwięcej do czynienia — zaledwie skończyli oni pakować skromny mój węzełek, złożony z pościeli i drobnych rzeczy, gdy weszli gestapowcy i żandarmi w większej niż zwykle asyście, by mnie na Montelupich przewieźć. Schodziłem ze schodów gmachu na ulicy Senackiej z uczuciem przygnębienia i bliski załamania się duchowego, gdy na schodach podszedł do mnie granatowy polski policjant i wręczył mi list. Ze spokojem i pewnością siebie, ignorując przepisy więzienne, otworzyłem list i schodząc ze schodów zacząłem go czytać... List był od mego siostrzeńca, ojca Piotra Rostworowskiego, benedyktyna, i był zredagowany w tak prostych i gorących słowach wlewających otuchę i siłę moralną, że miałem uczucie, że to sam Bóg właśnie w momencie najcięższym w tak namacalny sposób zesyła mi swą skuteczną pomoc.

Gmach więzienny przy ul. Montelupich znają wszyscy w Krakowie — mnie przejmował zawsze zgrozą na myśl o tym, co się w nim działo. W ostatnich czasach obiegła miasto pogłoska, że za śpiewanie pieśni pobożnych rozstrzelano tam siedemnastu więźniów, że jednak nic to nie pomogło i pieśni owe z zapałem jeszcze większym są śpiewane. Sławne też były cele śmierci na Montelupich, gdzie działy się rzeczy mrożące krew w żyłach. Nie wiedziałem, że przypadnie mi w udziale stać się ich lokatorem.

Gdy mnie wpuszczono do więzienia, poczułem od razu inny reżym w nim panujący, w porównaniu z więzieniem św. Michała, gdzie niby to lepsze miało być obchodzenie się z więźniami. Od razu zabrano mi wszystkie rzeczy poza przepisowymi oraz zapowiedziano, że mowy być nawet nie może o tym, by jedzenie było mi przysyłane z domu. Spokojny jakiś, a może zrezygnowany, nie odczułem nawet zbyt mocno tego, że zamknięto mnie właśnie w jednej z cel „śmierci" — czekałem, co się ze mną stanie, przygotowany na wszystko. Cela była duża, ale strasznie zimna i zapluskwiona, tylko więzienie widocznie inne, bo zaraz po wprowadzeniu się do niej, odezwały się pukania, które przy grubości murów u św. Michała były nie do wykonania. A potem przez rurę od pieca nawet rozmowy. Wobec tego, że pukać nie umiałem, zapytano mnie, kim jestem i czy nie jestem głodny oraz dodawano mi otuchy w obawie, bym się nie załamał. Zgnębiony i pełen wyczekiwania, położyłem się na jednej pryczy, która stała w rogu, pić kawy, którą mi przyniesiono, nie chciałem i starałem się zasnąć koło szóstej. Sen jednak nie przychodził, o zmrużeniu oka nawet nie było mowy, ucho ciągle goniło za odgłosami z korytarza, gdzie działo się coś niezwykłego, jakieś krzyki, szczekania i wymysły strażników, którzy, naśladując Niemców, przesadzali w krzyczeniu i brutalnym zachowaniu się wobec więźniów.

Wtem około siódmej usłyszałem pierwsze, jakby idące z podziemi tony pieśni religijnych, które stanowiły wieczorną modlitwę więzienia.

Wrażenie wprost wstrząsające i tak potężne, że nawet kusić się niepodobna, by je opisać — nie ma bowiem człowieka, bez względu na to, czy religijny, czy nie, którego by ten śpiew, wychodzący z początku jakby z katakumb, do głębi nie wstrząsnął. A cóż dopiero, gdy wzmagając się stale, rozbrzmiewać zaczyna w całym wielkim gmachu i zdaje się narastać siłą zdolną do przebicia niebios. Pewien jestem, że owe śpiewane modlitwy, wieczorne i ranne, ułatwiły wielu przygodnym mieszkańcom gmachu więziennego znoszenie cierpianych tam mąk, a Niemcom pokazały moc ducha polskiego.

Byłem na korytarzu owych cel śmierci, do których i moja także należała. Dniem i nocą z nich właśnie zabierano skazanych na śmierć. Byli to przeważnie młodzi ludzie, których wiele pozna-

łem w trakcie mego pobytu na Montelupich. Nie chcieli umierać, rwali się do życia, najczęściej winą ich jedyną było to, że byli patryjotami i swe przekonania czynem stwierdzali.

Trzy dni przebyte w oczekiwaniu, kiedy na mnie przyjdzie kolej, zastąpić może skutecznie wiele nauk praktycznego życia. Owe chwile spędzone na intensywnym rozmyślaniu, dającym w rezultacie tysiące ważnych postanowień, zdawałoby się, że wystarczyć powinny by, jeżeli kto ma szczęście wyjść z tego piekła, na nowe życie zgodnie z tymi postanowieniami i zbawiennymi myślami rozpoczęte. I tu w całej pełni ujawnia się słabość ludzka. Jak tylko człowiek wyrwie się na wolność, wiele z tych cennych postanowień zaczyna słabnąć, blednąć, wreszcie rozwiewane są, jak mgła poranna, przez lada podmuch życia codziennego.

Po tych kilku dniach śmiertelnego wyczekiwania, gdy już mi się zdawało, że z myślą o najgorszym, co mnie spotkać może, się oswoiłem i pogodziłem z wolą Bożą, wszedł nagle do mnie dyrektor więzienia, oznajmiając, że jestem wezwany na posłuchanie. W kancelarii oczekiwał mnie Schele, znowu jakiś pełen uprzejmości i uśmiechnięty przychylnie. Oznajmił mi, że ma rozkaz zawiezienia mnie do Oberführera Bierkampa, który ma mnie ważne rzeczy do zakomunikowania. Po zajechaniu na ulicę Grottgera zaprowadził mnie wprost do gabinetu Bierkampa, w którym poza nim zastałem już czekającego Schindhelma. Bierkamp wyciągnął do mnie przyjaźnie swą olbrzymią rękę i bez żadnych wstępów prawie wykrzyknął do mnie, że jestem „ein Glückskind", bowiem gdy dnia poprzedniego na zamku w obecności generał-gubernatora odczytywana była moja notatka, jeden z obecnych, dr Wendler, gubernator lubelski, na wstępie zaraz powiedział, że jeżeli to Ronikier napisał, to musi to mieć „Hand und Fuss" i w ten sposób wszystkich obecnych dla moich dowodzeń przychylnie usposobił.

„Przecież pan wie, jakimi wpływami dr Wendler dysponuje (był szwagrem samego Himmlera), toteż dyskusja na temat pańskiego memorandum przybrała formy takie, że ja zdecydowałem się zwrócić do pana generał-gubernatora z odpowiednim podaniem o łaskę dla pana". Po tych z ust Bierkampa usłyszanych słowach zerwałem się jak oparzony i w słowach bardzo mocnych

zwróciłem jego uwagę na to, że nie poczuwam się do żadnej winy, że żadnego wyroku mi nie odczytano i nie ma wobec tego żadnego powodu mówienia o łasce. Że w ogóle w mej sprawie nie może być to słowo stosowanym. Bierkamp zły, ale widocznie poddający się już rozkazom z góry, odrzekł, że jeżeli mi tak o to chodzi, to on nie użyje słowa „łaska", ale „Grosszügigkeit", słowa, jak się wyraził ironicznie, przeze mnie chyba przychylnie traktowanego. Skończył rozmowę oznajmieniem, że w dniach najbliższych postara się całą sprawę moją ostatecznie zakończyć w sposób dla mnie przychylny. Żegnał się ze mną w sposób niemal przyjacielski, po czym odwieziony do więzienia oczekiwałem decyzji jeszcze do dnia 31-go marca wieczorem, gdy oznajmiono mi, że jestem wolny.

Jak nagle inny wyraz przybrały twarze wszystkich żegnających mnie gestapowców, poczynając od dyrektora więzienia, zresztą względnie przyzwoitego młodego człowieka, który odziedziczył to stanowisko po owym dyrektorze, który za śpiewy religijne kazał rozstrzelać owych siedemnastu więźniów, a kończąc nawet na Schindhelmie i Schelem, którzy niemal pretendowali do tego, by się uważać za mych przyjaciół.

Schindhelm, wziąwszy mnie do swego gabinetu, zapytał, jakby coś poważnie rozważając, czym można mnie dać odpowiednie zadośćuczynienie za przeżyte ciężkie chwile. Odpowiedziałem bez wahania, że chyba tylko przez uwolnienie szeregu ludzi z więzienia. On również bez wahania się na to zgodził, prosił jednak, bym wystąpił o zwolnienie tylko tych, którzy naprawdę na to zasługują. Schele poszedł nawet tak daleko, że gdy podpisywać musiałem sławetny papierek o zobowiązaniu się do milczenia na temat tego, co widziałem i słyszałem w więzieniu, zapytał mnie, czy mam trochę zaufania do niego? Widząc na biurku jego fotografię jego dzieci, odpowiedziałem, że o ile chodzi o jego dzieci to bezwarunkowo mam stuprocentowe nawet zaufanie do niego. Obaj pomagali mi pakować kuferki i załadowywać je na samochód, którym odwieziono mnie do mego mieszkania na Potockiego 10. Po zdjęciu pieczęci na drzwiach od takowego, zobaczyłem, co za straszny obraz przedstawia mieszkanie każde po odbytej w nim rewizji przez Gestapo — na środku pokoju leżał stos książek i papierów w okropnym nieładzie, szuflady wszyst-

kie otwarte i rzeczy z nich rozrzucone po całym mieszkaniu — stanowiły obraz ruiny, tylko jeden poczciwy kwiat, stojący na stole, pomimo że przez trzy miesiące prawie nie podlewany, żył jeszcze! Rozczulony też byłem do najwyższego stopnia służbą moją, która ze łzami szczerymi w oczach witała mój powrót, zasypując mnie pytaniami o wszystkim i serdecznie temu, co przeżyłem, współczując.

Byłem w dziwnym nastroju po opuszczeniu więzienia, byłem wszystkim tym, którzy mi świadczyli wiele przychylności w czasie mego tam pobytu, niepomiernie wdzięczny za wszystko, co dla mnie uczynili, miałem jednak to dziwne jakieś uczucie, że odbiegałem jakby od życia i myślę kategoriami innymi niż ci, którzy mnie na wolności znowu otoczyli — bałem się po prostu, czy nie myślę kategoriami więziennymi i czy potrafię się z tego otrząsnąć?! Zastanawiałem się na przykład głęboko nad tym, czy będąc poza więzieniem, napisałbym i złożył ową notatkę o charakterze politycznym, którą dnia 18 marca złożyłem władzom? Dręczony tymi i innymi także myślami, poszedłem zaraz do Księcia Metropolity, by się podzielić z nim tymi mymi wrażeniami. Dał mi on zbawienną radę, bym zaraz, unikając zbytecznych spotkań z ludźmi, wyjechał do kogoś bliskiego, ale u którego by nie za dużo było ludzi, i z nim o wszystkim szczerze zupełnie pomówił, rozjaśniając w ten sposób, co za ślady na mym myśleniu pozostawiło więzienie.

Postanowiłem wyjechać do Korczyny, wiedząc, że tam będę mógł z przyjaznym mi generałem Szeptyckim mówić zupełnie otwarcie i że innej rady, jak zupełnie szczerej i rozumnej, od niego nie mogę się spodziewać.

Już więc 4 kwietnia byłem w Korczynie, witany tak serdecznie i mile, że cały tydzień tam spędziłem, używając miłego towarzystwa i o rady związane z mymi wątpliwościami prosząc.

Poza opowiadaniem szczegółowym o tym, co przeżyłem, dwie głównie mnie trapiły myśli, jedna dotycząca notatki złożonej przeze mnie w więzieniu, druga konieczności i sposobów ratowania młodzieży naszej najlepszej od ponoszonych przez nią niepotrzebnych ofiar.

Ku mej wielkiej radości generał nie wahał się ani chwili, by mnie powiedzieć po przeczytaniu mej notatki, że ze wszystkim, co w niej powiedziałem, nie tylko się w całości solidaryzuje, ale że punkt specjalnie dotyczący rządu polskiego w Londynie uważa za bardzo ważny właśnie dlatego, że był powiedziany władzom przez kogoś będącego w więzieniu, czyli wolnego od wpływów z zewnątrz. Przypisywał też wielkie znaczenie temu, co powiedziałem o niemożności rozstrzygania obecnie sprawy polskiej, a także o konieczności, by i Niemcy prawa narodu naszego do samodzielnego bytu przyznać musieli. Uspokojony co do tego zupełnie i jakby wewnętrznie się odprostowując, omawiałem z mym przyjacielem to wszystko, co się dzieje w kraju, a specjalnie w związku z młodzieżą naszą i jej działalnością konspiracyjną i w AK się koncentrującą. Czuliśmy, że grozi ofensywa bolszewicka i że może przybrać dla nas tragiczny obrót — wiedzieliśmy, jakie w związku z tym są dyrektywy idące podobno z Londynu, a zalecające, by oddziały naszej AK wchodziły w porozumienie z komendą bolszewicką, układając się co do warunków współpracy, czytaliśmy w organach prasy urzędowej wykazy dokonanych sabotaży! Wreszcie przysłuchiwaliśmy się pomrukom dochodzącym do Korczyny rzezi ukraińskiej dokonanej już na Wołyniu, a zapowiadającej się coraz groźniej w Galicji Wschodniej. Zastanawiając się nad stosunkiem do bolszewików, nie mogliśmy zrozumieć nigdy, że jeżeli generałowi Sikorskiemu, który podpisał w Kujbyszewie porozumienie z nimi, nie udało się wymóc na nich postępowania zgodnego z tym porozumieniem, to jakże ci młodzi nasi chłopcy, niedoświadczeni i zapalni, potrafią dokonać rozumnych i dyplomatycznie tak trudnych porozumień, każdy notabene na własną rękę, bez wyraźnej linii wytycznej i prawie zawsze, jeżeli chodziło o młodzież narodową, przeciwko własnemu przekonaniu o honorze i sumieniu narodowym? Konkluzją naszą wspólnie powziętą, z żalem wielkim do władz naszych formułowaną, było, że rozporządzenia powyższe są po prostu zbrodnią na młodzieży naszej dokonywaną, że one są w sprzeczności z honorem i sumieniem żołnierza polskiego, który, broniąc Polskę przed jednym okupantem, nie może mieć za zadanie oddawanie dobrowolnie Polski pod nowego okupanta, gorszego stokrotnie,

bo jeżeli Niemiec łamał kości, to bolszewik starał się zabić duszę człowieka.

Zaproszonych przez nas na naradę kilku dowódców AK z sąsiednich powiatów wszystkie powyższe problemy jeszcze raz ze mną i z generałem ponownie przedyskutowało i radziło mnie koniecznie, bym możliwie niezwłocznie jechał do Warszawy, by wszystko tam na miejscu z osobami miarodajnymi omówić i starać się na nie wpłynąć, by zamachy na Niemców, którzy nas przecie przeciwko bolszewikom bronić muszą, ukrócić — zaś na młodzież naszą nie wkładać obowiązków sprzecznych z jej poczuciem obowiązku w stosunku do Ojczyzny.

Żegnając się z generałostwem, a w przewidywaniu, że bolszewicka ofensywa w kierunku Korczyny posunąć się może, postanowiliśmy, że w porę w razie czego postarają się wyjechać i że do mnie do Krakowa przyjadą, by dalszego rozwoju wypadków oczekiwać. Nie wiedziałem, że żegnam ich może na zawsze i że są to ostatnie Święta Wielkiejnocy przeze mnie w Polsce spędzone.

Po drodze do Krakowa zatrzymałem się z powodu opóźnień pociągów na noc w Tarnowie — spędziłem ją, a przedtem długi wieczór razem z ks. Pękalą i panią Dmochowską, jedną z najdzielniejszych naszych działaczek społecznych w Tarnowie. Już odprężony zupełnie po rozmowach przeprowadzonych w Korczynie, opowiedziałem im wszystkim swe przeżycia i zamiary na najbliższą przyszłość związane z rozmowami, które miałem zamiar przeprowadzić w Warszawie. Dziwnie czuliśmy się bliscy sobie, a w zapatrywaniach na idące nowe nieszczęścia zgodni.

W dniu 15 kwietnia byłem już w Warszawie, gdzie spędziłem prawie dwa tygodnie, cały czas poświęcając wyjaśnieniu spraw, które zdawały mi się nad losem naszym najbardziej ciążyć.

Nie umiem opisać wrażenia, które odczułem pod wpływem jakby fali prawdziwej serdeczności, jaką odczułem ze strony przyjaciół mych, ale i nawet prawie obcych ludzi w związku z powrotem mym z więzienia — miano mnie powszechnie za straconego i wiele osób dawniej wrogo do mnie, nawet nie znając mnie osobiście, usposobionych nie tylko, że zmieniło radykalnie stosunek do mnie, ale szukało zbliżenia nawet, żeby mi to po-

wiedzieć, że się myliły. Dziwne to dla mnie było w tej Warszawie, z którą przecież tyle miałem trudności w mej pracy i której sądy, nieraz tak powierzchowne, były powodem wielu mych smutków i bólów. Więc jak zwykle dla zasięgnięcia języka byłem u Tyszkiewicza i dra Celichowskiego, potem dla rozgrzania się prawdziwą serdecznością u pani Kwileckiej, gdzie z całym gronem osób, z paniami Chłapowską i Ciechanowiecką na czele, musiałem opowiadać me przeżycia w atmosferze tak miłego i serdecznego zainteresowania, że miałem uczucie, że jestem w gronie najbliższych sobie ludzi. To samo u państwa Tarnowskich, gdzie nie tylko rozmawiać, ale i rad dobrych usłyszeć można było. Wreszcie u dra Knoffa, mego starego przyjaciela z lat młodzieńczych, który ze swą przezacną małżonką urządzili dla mnie zebranie złożone przeważnie z ludzi pracujących w podziemnej Polsce, a pragnących mnie poznać lub nawet takich, którzy kiedyś wrogo się do mnie odnosili. W dniu 18 kwietnia byłem u nich na obiedzie, na którym czternaście osób zaproszonych zostało na to, by nie tylko usłyszeć o tym, co przeżyłem i słyszałem, ale by i mnie dokładnie poinformować o tym, co mogło być mnie niewiadomym z powodu przebywania w więzieniu.

Dowiedziałem się rzeczy bardzo wielu, na których czoło wysuwały się jednak dwie — jedna, która mnie wprost przeraziła, gdym się szczegółów o niej dowiedział, mianowicie treść owej deklaracji zjednoczonych w Komitecie Jedności Narodowej grup politycznych, druga to to, co w czasie mego pobytu w więzieniu się działo w Galicji Wschodniej, rzezie i okrucieństwa popełniane na narodzie polskim przez dzikie hordy ukraińskie, wobec których ludność polska stała bezbronną, a okupant jakby się cieszył z tego, co się dzieje, i że na głowach Polaków barbarzyństwo Ukraińców hula. Obydwie sprawy zasługiwały, by je poważnie rozważyć, a w rezultacie być mocno przerażonym tymi objawami bezsilności polskiej. Bo przecież w momencie, gdy groziło Polsce nowe najście, poza dawaniem młodzieży naszej w formacjach wojskowych gromadzonej konspiracyjnie w lasach rozkazów porozumiewania się z bolszewikami i szukania z nimi kontaktu — zdawało mi się już zbrodnią, którą po imieniu nazwać należy — lecz w tymże czasie wydawanie rodzaju platformy społeczno-politycznej

o charakterze czysto oportunistycznym, nie opartej na żadnych uprawnieniach otrzymanych od ciał prawodawczych polskich, a tylko pokornie uchylających czoła przed źle zrozumianym „duchem czasu", to było przecież oburzającym do takiego stopnia, że nie mogło znaleźć żadnego tłomaczenia. Przekreślało to niemal wszystkie zasady w dotychczasowym życiu polskim obowiązujące i to dlatego tylko, by sąsiadowi wschodniemu i przyszłemu nowemu okupantowi się przypodobać. Bo że robił albo zachęcał do tego taki pan Jankowski, z podziemia rządzący wicepremier, to było zrozumiałym dla mnie, który go poznałem jako tego, który miał dwie cechy zasadnicze w swym charakterze — karierowiczostwo i związany z nim brak zasad prawdziwych, pokrywany frazesami o sprawiedliwości społecznej lub innymi, ale frazesami tylko. Ale że tacy ludzie, jak przedstawiciel Stronnictwa Narodowego w „wielkiej czwórce", pan Jasiukowicz, następca dra Sachy, nie stawił lub nie potrafił stawić temu skutecznego oporu, to było dla mnie już zupełnie niezrozumiałym. Przecież punkt o zupełnym wywłaszczeniu wszystkiego w Polsce stawiał tę sprawę daleko groźniej dla przyszłości, niż nawet osławiona Wanda Wasilewska czyniła to w Moskwie dla przypodobania się bolszewikom. Szereg głosów ludzi bardzo poważnych wysłuchanych przeze mnie w tej sprawie dla mnie zupełnie nowej, a tak nieoczekiwanej, utwierdził mnie w przekonaniu, że społeczeństwo zaskoczone zostało faktem dokonanym zapadłej decyzji grup politycznych, ale nic z tym wspólnego nie miało i mieć nie mogło, i że sprawa cała tak ważna w przyszłych swych konsekwencjach przybrała kształty jakby faktu dokonanego w formie cichego zamachu stanu na tych, którzy by w normalnych czasach mieli wiele do powiedzenia, a którym się wszelkiego udziału w decyzjach odmawia, stawiając ich wobec anonimu, który się każe szanować!

Sprawa ukraińska to nowa i straszna rana zadana na żywym ciele społeczeństwa polskiego przez naszych współobywateli w Galicji Wschodniej — już przejeżdżając przez Kraków, wysłuchałem tam relacji dra L. Tesznara, pełnomocnika RGO na Galicję Wschodnią, który z rozpaczą w głosie zdawał mi sprawę ze swych poczynań w celu uodpornienia Polaków przeciwko Ukraińcom — gdy mu się po wielu zabiegach nareszcie udało

przeforsować u władz to, by Polakom w poszczególnych wsiach dano broń w ilości skromnej pięciu karabinów na jedną wieś i gdy próby wydały doskonałe rezultaty, bo natchnęły społeczeństwo polskie odwagą do walki i jakby powstrzymały następującą falę ukraińskich zbrodniarzy, wtedy nie kto inny, lecz zastępca delegata rządu na Galicję, rezydujący we Lwowie, rzecz całą szczęśliwie zapoczątkowaną sparaliżował, oświadczając, że Delegatura Rządu ze względów bliżej nie wytłomaczonych, a dla dra Tesznara zupełnie niezrozumiałych, nie może na ten sposób załatwienia sprawy wyrazić swą zgodę. Już raz, gdy miałem możność z metropolitą Szeptyckim nawiązać pożyteczne rozmowy, Delegatura stanęła na drodze ku temu, teraz gdy już o stan posiadania polski na wschodzie chodziło, gdy setki tysięcy żyć polskich postawione zostało na kartę, znowu Delegatura przez swe stanowisko wszelką na szerszą skalę zakrojoną obronę paraliżowała.

Na zebraniu u dra Knoffa dyskutowaliśmy obszernie przede wszystkim o sprawie młodzieży naszej i skutkach, które dla niej przynosi ze sobą życie w konspiracji i w lesie, w stykaniu się z bolszewikami i bandytami. Konstatowano z wielkim smutkiem, że pomiędzy młodzieżą zmuszoną do życia w warunkach zupełnie anormalnych szerzy się demoralizacja iście zastraszająca w kierunku szczególnie używania wódki i nieliczenia się z zasadami moralnymi, najbardziej nawet szeroko pojętymi. Jednomyślnie wszyscy uznali to, co mówiłem o naradach z generałem Szeptyckim, a co się odnosiło do stosunku młodzieży naszej do bolszewików i polecenia wchodzenia z nimi w kontakt, za zbrodnię przeciwko honorowi polskiemu. Wreszcie notatka moja złożona władzom niemieckim w dniu 18 marca uznana została w całej swej rozciągłości za umotywowaną i słuszną.

W jednym punkcie tylko nie doszedłem do porozumienia z tymi, których się radziłem, mianowicie w sprawie ofiar ponoszonych dla sprawy naszej przez szafowanie nimi. Warszawa, jakby zahypnotyzowana żądzą zemsty nad Niemcami, zdawała się tracić z oczu konieczność patrzenia na sprawy rozumnie i spokojnie i gotowa była na wszystkie jak najdalej idące ofiary, by raz Niemcowi łeb zetrzeć. Jeden generał polski, którego spotkałem u Tyszkiewicza, nie wahał się mnie, ojcu pięciu synów,

powiedzieć dosłownie: „Niech będzie jeszcze sto tysięcy ofiar nawet, byleby raz wroga tego powalić na kolana". Gdy mu powiedziałem, że nie wiem, czy wszyscy ojcowie w Polsce będą tego zdania, gdy odczytają wiadomość, że wysadzono pociąg na linii Kraków–Zakopane i że w nim zginęło dwóch Niemców nieznanego kalibru i około 80-iu Polaków, zaś że wsie sąsiednie puszczone zostały przez Niemców z dymem z całą ludnością i inwentarzem — fakt autentyczny, który miał miejsce, opamiętał się wtedy trochę i zaczął mówić rozsądniej, tym bardziej że zeszliśmy na temat owej strasznej odpowiedzialności kolektywnej stosowanej w całym kraju, a w Warszawie przede wszystkim, która stosowana przez Niemców stale i bezwzględnie niezliczone ofiary niewinne w Polakach za sobą pociągała, a Niemcom właściwie tak wielkiej krzywdy nie wyrządzała. Ginęły u nich jednostki o wartości stosunkowo niewielkiej, gdy u nas kwiat inteligencji i młodzieży padał ofiarą. Mając na myśli ratowanie substancji narodu i słowa wypowiedziane do mnie przez pana Coocka, zdawało mi się, że rodacy moi w stolicy, gdy chodziło o ten temat, byli pozbawieni po prostu zdolności myślenia kategoriami politycznymi — nienawiść do Niemców przesłaniała im zupełnie sąd właściwy o bolszewikach i groźbę z ich strony Polsce coraz wyraźniej się kształtującą. Prosiłem pana Celichowskiego o postaranie się, bym mógł się widzieć z gen. Borem-Komorowskim, lecz niestety, czynić to należało przez pana Jasiukowicza, a ten po rozmowie ze mną jakoś nie byłem pewny, czy życzeniu memu zadosyć uczynić byłby skłonny.

Tak więc pojednany z Warszawą osobiście, ale przerażony jej stanem mentalnym i stosunkami panującymi w kraju, wróciłem do Krakowa w dniu 28-ym kwietnia z postanowieniem przede wszystkim ratowania tych od śmierci i więzienia, których miałem upoważnienie imiennie przedstawić. Po powrocie znowu zaczęła mnie gnębić choroba moja, której leczenie zaniedbałem i znowu dnie całe w łóżku spędzać musiałem. To jednak nie przeszkadzało temu, że gdy się tylko po Krakowie rozniosło, że są szanse, żebym coś dla tych, których nazwiska widniały na słupach, mógł zrobić — procesja osób znanych mi i nieznanych zaczęła zapełniać

mój przedpokój w nadziei uzyskania u mnie ratunku dla swych bliskich zagrożonych w ten straszny sposób.

Wobec ograniczenia liczby osób, które władzom gestapowym mogłem przedstawić, miałem wielkie trudności w kwalifikowaniu osób zasługujących na ratunek — przecież najwięcej ratunku potrzebowali ci skazani na śmierć za polskie swe szczere uczucia, a ci właśnie przez Gestapo raczej gorzej niż bandyci traktowani byli. Nie ustawałem jednak w dopominaniu się o nich, robiłem listy, prosiłem o przychylne rozpatrzenie każdego poszczególnego wypadku i doszedłem do jednego wyniku wybitnie pomyślnego, że gdy żądałem zawieszenia wykonania wyroku śmierci, faktycznie niemal automatycznie darowywano życie, najczęściej odsyłając skazanego do obozu. Wypadków takich darowywania życia mogłem naliczyć koło dwustu. Do nich zaliczyć muszę kilka wprost wyjątkowych, w których straciłem, zdawało mi się, wszelką nadzieję ratunku dla mych protegowanych. Jednym z takich zupełnie wyjątkowych wypadków był ten, który się zdarzył ojcu i dwom synom Wilkoszów z ulicy Karmelickiej w Krakowie, gdzie posiadali oni znaną drogerię. Gestapo złapało ich wszystkich razem na gorącym uczynku zładowywania amunicji dla AK z ciężarówki do piwnicy ich drogerii w nocy, wypadek zdawało się tak rozpaczliwy, że gdy matka Wilkoszowa przyszła do mnie wczesnym rankiem, by mi o tym powiedzieć, że już ich nazwiska są na słupach ogłoszone i błagała, jak tylko matka potrafi to uczynić, bym natychmiast jechał do szefa Gestapo dla ratowania ich od śmierci, sam przez dłuższą chwilę, a właściwie do chwili zjawienia się przed obliczem płk. Schindhelma, nie wiedziałem, co mu mam powiedzieć. Widocznie to, że wiedziałem, że tam w kaplicy Matki Boskiej u Karmelitów leży krzyżem matka Wilkoszów i o ratunek Królową Korony Polskiej tam błaga, natchnęło mnie jednak myślą, której dotąd nigdy nie miałem, a więc i nie stosowałem, a która okazała się zbawienną. Oto, gdy po przedstawieniu, o co mnie chodziło, płk Schindhelm niemal z ironią zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy ja zdaję sobie sprawę, z jaką to sprawą do niego przychodzę, i to tak późno, gdy może mych protegowanych już rozstrzeliwują, kierowany raczej tym uczuciem, że już nie mam nic do stracenia, aniżeli jakimś dyplomatycznym obmyślonym fortelem, odpowiedziałem pułkow-

nikowi niemal rozpaczą kierowany, że chyba go stać na to, by raz okazać się wspaniałomyślnym. Schindhelm, jakby uderzony tym moim powiedzeniem, zamyślił się i po dłuższej chwili powiedział prawie szeptem, że spróbuje. Pewnym naturalnie ocalenia dla Wilkoszów być nie mogłem po tym powiedzeniu, ale matka ich nie traciła nadziei i okazuje się, że matka nie tracąca wiary potrafiła być silniejszą nawet od złości gestapowej, bo wszyscy zostali ocaleni! Wielką radość sprawiały mnie owe sukcesy w obronie życia, a to tym więcej, jeżeli chodziło o młodzież naszą, ale i w tej pracy miałem momenty strasznego rozgoryczenia i przygnębienia. Oto jeden z najbardziej znanych i zasłużonych w Krakowie lekarzy dr Gradziński został zaaresztowany i żona moja, której cudownie pomógł, wraz z jego żoną naturalnie zwróciły się do mnie o pomoc — tymczasem nie powiedziano mi, że jest on już na liście wywieszonej i że jest skazany. Ja, nic nie wiedząc o tym, wystąpiłem z żądaniem zwolnienia z więzienia, a nie wstrzymania wykonania wyroku śmierci — gdy nareszcie poinformowano mnie o tym, jak stoi sprawa w rzeczywistości, było już za późno i dr Gradziński już nie żył!

W każdym razie mam to przekonanie, że ciągłym wysuwaniem sprawy kolektywnej odpowiedzialności i podkreślaniem, że jest to jeden z absurdalnych sposobów draźnienia ludności, ale nie dokonywania rzeczy sprawiedliwej — potrafiłem powoli sprawę tę nie tylko w głowach nawet gestapowych podkopać, ale nawet doprowadzić do tego, że w pierwszych dniach maja z listy ogłoszonej i wywieszonej nie rozstrzelano już faktycznie nikogo. Zaproszony w dniu 5 maja do Obersturmbannführera Schindhelma, usłyszałem od niego tę radośną dla nas, a specjalnie dla mnie wiadomość.

Oprócz tego oświadczył mi on, że jest po podróży do Berlina i że tam u najwyższych osobistości omawianą była treść notatki mojej pisanej w więzieniu dnia 18 marca. Myśli przewodnie przeze mnie w tej notatce wypowiedziane zostały jakoby przez te osobistości, których nazwisk nie chciał mi wymienić, w głównych zarysach zaakceptowane — treścią owego spotkania miało być omówienie możności i sposobów wykonania, a raczej wprowadzenia w życie tych myśli. Jako wstęp do tego pan Schindhelm podkreślił raz jeszcze to, co mi w swoim czasie kategorycznie

oświadczył, gdy byłem w więzieniu, że osoby stojące u szczytu władzy w Rzeszy są bezwzględnie przeciwne wszystkim poczynaniom, które miałyby za cel niszczenie narodu polskiego. Podkreślił on, że wszystkie te czynniki uznają, że naród polski jest rasowo najbardziej bliskim narodowi niemieckiemu, że wreszcie czynniki policyjne spełniają tylko swój ciężki obowiązek, stosując drastyczne zarządzenia karne ze względu na to, że powaga władzy tego wymaga, ale i one najchętniej stosowania tych sankcji by zaniechały, gdyby ze strony polskiej narodowej mogłoby być wykazanym lub przez władze skonstatowanym, że owe czynniki wkraczają na drogę zaniechania zamachów i sabotaży. Według jego zdania jest to niezbędnym dla uspokojenia kraju, zaś w razie, gdyby to mogło nastąpić i być stwierdzonym, on, Schindhelm, w imieniu swej władzy mi oświadcza, że zaniechane zostaną kolejno wszelkie czyny, które w mojej notatce zostały nazwane „Terrormassnahmen" ze strony władz niemieckich, poczynając od rozstrzeliwania, jako odwet za porachunki, i kończąc na skasowaniu obozów. Na me twierdzenie, że przecież nie wszystkie tego rodzaju wyczyny są dokonywane przez organizacje narodowe, spotkałem się z odpowiedzią, że według posiadanych przez władze danych 87% wypadków dokonanych zostało w kwietniu właśnie przez te czynniki, co ma swe potwierdzenie w biuletynach i komunikatach AK.

Ponieważ z treści mej notatki wynikało, że postanowienia zaniechania porachunków z Niemcami i zamachów na nich zależy przede wszystkim od władz polskich w Londynie, pan Schindhelm wyraził w imieniu swych zwierzchników zdanie, że nie widzą one właściwie przeszkód, bym odbył podróż do Sztokholmu lub Lizbony celem porozumienia się z tymi czynnikami. Naturalnie, że życzeniem władz niemieckich być musi, bym z podróży tej powrócił do kraju, i jeżeli jazda do Londynu celem widzenia miarodajnych osób okazałaby się niezbędną, to o tyle byłoby wskazanym, bym się na jazdę do Londynu decydował, o ile za pośrednictwem odpowiedniego posła polskiego uzyskałbym zapewnienie prawa powrotu. Wszystko powyższe przyjąłem do wiadomości, wyraziłem zgodę na odbycie takiej podróży, po czym pan

Schindhelm zapewnił, że w najkrótszym czasie otrzymam od władz odpowiednie urzędowe pozwolenie i dokumenty.

Pan Schindhelm poruszył z kolei w sposób nader wyczerpujący i to wszystko, co odnosi się do tzw. Europy, roli w niej Polski i ostatecznej formuły powstania tej nowej organizacji narodów w starej Europie. Podkreślił on to, co już mnie szef jego oświadczył w czasie badania mnie, że Führer nie może w ostatecznej formie skrystalizować swojego projektu, bowiem wszystko jest jeszcze w stanie płynnym. Polska jednak już wniosła do tego swój poważny aport w formie pracy przeszło miliona swoich robotników, więc ma prawo, w razie zwycięstwa Niemiec, do praw jednakich z innymi narodami i prawa te niezawodnie uzyska. Władze obecnie nie mają nic przeciwko temu, by temat powyższy poruszony został na łamach prasy, lecz jak pan Schindhelm sam stwierdził, prasa mająca podlegać cenzurze, jak to już się stało z nowym wydawnictwem „Przełom", nie ma zaufania społeczeństwa i nie potrafi, a raczej nie będzie w stanie to ważne zagadnienie rozwinąć i spopularyzować — nie pozostaje więc obecnie nic innego jak ustna propaganda i urabianie opinii, której wyniki winny być władzom w formie dezyderatów społeczeństwa polskiego komunikowane. Gdy podkreśliłem niebywałe trudności z tym związane, a oparte głównie na braku zaufania, które powszechnie do wszelkich władz niemieckich, a w szczególności w stosunku do policji u nas panuje, prosił pan Schindhelm, bym nad tym wszystkim się gruntownie zastanowił i odpowiednio ubrał w formę wykonania me myśli w mej „notatce" zawarte.

Ostatnim tematem była znowu sprawa interwencji u władz w sprawie skazanych lub aresztowanych — pan Schindhelm podkreślił, że oprócz mnie otrzymał prawo interwencji także pan Tchórznicki, prezes RGO, lecz ku jego, Schindhelma, zadziwieniu dotąd nie dostarczył mu żadnego podania — na podania przeze mnie złożone obiecał możliwie szybko dawać rezolucje, bowiem pragnąłby tym udowodnić, że on wbrew utartej opinii o członkach Gestapo chce być człowiekiem sprawiedliwym i gotów jest na nowo rozpatrzeć sprawy, które mu będą przedstawione.

Gdy uprzytomnić sobie ton przytoczonej rozmowy, to jakże był on inny w porównaniu z tym, który ze strony Gestapo każdy z nas dotąd słyszał, jeżeli miał nieszczęście się z nim spotkać.

Prawda, pan Schindhelm nawet wtedy, gdy byłem jeszcze w więzieniu, podkreślał mi niejednokrotnie, że jego zadaniem w Gestapo jest orientowanie się w stronie politycznej zagadnień w Polsce, i wrażenie, że jego punkt widzenia nieraz różni się zasadniczo z owym, który Gestapo nie przestało za swój uważać, utwierdziło się we mnie jeszcze w więzieniu. W tej rozmowie widocznym jednak był wpływ jakichś gdzieś zapadłych decyzji, które i w Gestapo widocznie już nie tylko kiełkowały, ale zaczęły się chyba krystalizować, gdy to, co dawniej za crimen prowadzący wprost na szubienicę poczytywanym było — mówienie, a nawet myślenie o Londynie i naszych miarodajnych tam czynnikach — stawało się jakby naturalnym tematem do rozważania dojrzałym, a nawet poddawanym ze strony takich panów Schindhelmów.

Naturalnie w związku z tą rozmową, która nowe horyzonty na wiele spraw mogła otworzyć, musiałem przeprowadzić znowu wiele rozmów z tymi przyjaciółmi mymi, którzy razem ze mną usilnie pracowali nad tym, by atmosferę w Polsce możliwie uzdrowić i nowe politycznie rozumne myśli zaszczepić. Jedynie czterem osobom powiedziałem, i to pod najściślejszą tajemnicą, o pozwoleniu na wyjazd, który ewentualnie może otrzymam, musiałem przecież z najpoważniejszymi się naradzić — widocznie jednak ktoś z nich nie uważał za konieczne przestrzeganie dostatecznie ścisłe tajemnicy w tym względzie, bo lotem błyskawicy rozeszła się po Krakowie pogłoska, że wyjeżdżam do Londynu i, o zgrozo, za zgodą niemiecką.

Nie wiem, czy w życiu miałem kiedykolwiek czystsze intencje służenia sprawie naszej, jak umiałem najlepiej, nie wiem, czy kiedykolwiek był moment w życiu moim, kiedy miałbym prawo pod tym względem żądać odrobiny zaufania do mojej osoby i niewtrącania się bezsensownego w to, co zamierzam robić — tymczasem spotkałem się nawet z takimi mądrymi ze strony osób ze mną skądinąd blisko żyjącymi pytaniami, jak że „podobno wyjeżdżam zawierać pokój ze strony niemieckiej", odpowiedziałem z pewną ironią, że pragnąłbym tego bardzo, ale, niestety, zapewne stosunki moje nie okażą się dostateczne dla przeprowadzenia tak wielkiego dzieła.

Jedna rozmowa na ten temat zasługuje na opowiedzenie: w domu państwa X., bardzo ze mną w bliskich pozostającego stosunkach, byłem na obiedzie zaproszony i gdy po obiedzie zebrało się liczniejsze, ale zdawało mi się poważne grono osób proszono mnie o wyjaśnienie, co jest prawdy w obiegających po mieście pogłoskach o projektowanym mym wyjeździe do Londynu. Uważałem za wskazane rzeczy na właściwe odstawić miejsce i poważnie bardzo całą sprawę przedstawiłem, tak jak ona była w rzeczywistości przeze mnie w notatce mej zainaugurowaną, a obecnie przez władze jest stawianą. Gdy skończyłem i zdawało mi się, że obecni wszyscy me opinie w tej sprawie za swoje uważać poczęli, odezwał się syn domu z powiedzeniem, do którego ani wiek jego, ani doświadczenie polityczne na pewno nie upoważniały, że on by na moim miejscu nigdy za paszportem niemieckim nie pojechał! Z całym spokojem, ale głosem bardzo stanowczym powiedziałem mu na to, że pragnąłbym postawić mu w odpowiedzi dwa tylko zapytania, jedno, czy był on już kiedyś w więzieniu? — gdy otrzymałem odpowiedź, że nie, wyraziłem z tego powodu żal, bo wychowanie każdego z nas w tych czasach jest pełniejsze, gdy przeszedł przez to doświadczenie. Stawiałem jednak to pytanie i z tego powodu, bo przecież każdemu jest wiadomym, że gdy się wychodzi z więzienia, drzwi tej miłej instytucji otwiera przecież gestapowiec, naturalnie prawdziwy patryjota musi odmówić z tego powodu opuszczenia tego lokalu. Drugie pytanie odnosiło się do tego, czy wiedział on, kim był i jaką rolę odegrał w swoim czasie słynny pułkownik Lawrence*, gdy otrzymałem odpowiedź, że tak, wtedy dodałem, że zapewne nie wie on jednego interesującego szczegółu dotyczącego tej bardzo znamiennej dla stosunków angielskich postaci — oto ceniono go między innymi tak wysoko i za to, że on, spełniając obowiązek patryjotyczny wobec ojczyzny swojej, przez lat kilka był szpiegiem niemieckim! Jakże to jest różnym od podchodzenia do zagadnień dotyczących dobra naszej Ojczyzny w naszym nieszczęsnym kraju, gdzie się w każdym upatruje zdrajcę i gdzie się każdy, nawet dorożkarz na koźle, uważa za upoważnionego do wydawania sądów o tym, czego wcale nie zna lub po prostu nie ma prawa osądzać. Mój interlokutor opuścił niebawem pokój, nie odpowiedziawszy ani jednym słowem.

W gronie mych najbliższych postanowiliśmy, że jestem obowiązany o rozmowie przeprowadzonej z panem Schindhelmem poinformować Warszawę, dokąd natychmiast pojechałem w towarzystwie kilku mych współpracowników celem zetknięcia się ze wszystkimi tymi, których mieliśmy w zasięgu naszym. Zaraz po przyjeździe rozmówiłem się wyczerpująco z Tyszkiewiczem i pułk. Antonim Baranowskim, stojącym bardzo blisko naczelnej komendy. Od Tyszkiewicza — który miał wątpliwości co do mej jazdy gatunku zupełnie specjalnego, bo przewidywał, że przyczyni ona uszczerbek w mym zdobytym ostatnio, jak się wyrażał, kapitale popularności — dowiedziałem się, że osobiście zupełnie jest on zdania tego, że wejście w kontakt ścisły z Londynem byłoby koniecznością prawdziwą, ale że z powyższego punktu widzenia wolałby, żebym nie ja tam jechał. Od pana Baranowskiego, którego zdanie bardzo wysoko cenię, usłyszałem słowa zupełnego zrozumienia dla mych zamiarów i gorącego ich poparcia — gdy chodzi o sprawę tak wielkiej wagi nie można i nie należy brać żadnych innych względów pod uwagę, mówił on z zapałem, cechującym tego skądinąd bardzo na zimno rozumującego człowieka. Gdy przeszliśmy następnie do omawiania grożącego nam, jak mówiła już fama publiczna, powstania w Warszawie, a nawet i w całym kraju, pan Baranowski nie chciał wierzyć, by czynniki nasze decydujące miałyby być tak nierozsądne, żeby o czymś podobnym myśleć w ogóle — uspokoił mnie w tym względzie bardzo i uwagę moją od tego tematu odwrócił zupełnie, nawet wpływając na mnie, bym nie ubliżał naszym władzom przypuszczeniami podobnymi.

W innej grupie ludzi z gen. Mieczysławem Pietraszkiem na czele omawiałem również tę sprawę i wlano we mnie tam również poważną dozę uspokojenia. Zdawało mi się więc, że dostatecznie o wszystkim poinformowany zostałem, a że zachęcany wszędzie, bym z Schindhelmem rozpoczęte rozmowy jak najbardziej dalej kontynuował — wróciłem do Krakowa uspokojony i przekonany, że w sprawie wyjazdu robić mam, co mi obowiązek dyktować będzie, a co do powstania nam grożącego uspakajająco wpływać na otoczenie.

Tak też czyniłem, rozszerzając stale i prawie automatycznie grono tych, którzy dla omawiania spraw politycznych się ze mną

komunikowali, radząc się ludzi tej miary, jak panowie Lasocki, Rymar lub Młynarski, zaś poddając dodatkowej krytyce myśli powzięte mym przyjaciołom i współpracownikom. Grono to nasze rosło z dniem każdym, a ponieważ do niego siłą rzeczy włączeni byli ci z prezesów komitetów powiatowych RGO, którzy licznie ze mną pozostawali w kontakcie, więc też liczba osób, objęta jakby jednym prądem myśli i stająca przed tymi samymi pytaniami stawianymi sobie do rozstrzygnięcia, stawała się bardzo liczna — ja zaś czas cały poświęcałem naradom i przemyśliwaniu nad tym, jak sprawami pokierować, by uniknąć zasadniczych błędów i myśl polityczną polską z tego zamętu wirujących uczuć i niezdrowych pomysłów wyrwać zdolną i zdrową, a mogącą pociągnąć za sobą najzdrowsze jednostki w kraju.

W trakcie tego w dniu 20 maja wieczorem otrzymałem telefon od dobrze mi znanego Kriminalkomisarza Schele z zapytaniem, czy następnego dnia, 21-go maja, w niedzielę, będę w Krakowie, a gdy odpowiedziałem, że tak, prosił, bym zechciał się stawić dla rzeczy bardzo ważnej o 8^{30} rano na ul. Grottgera 1. Gdy tam się stawiłem tego dnia, jak zwykle punktualnie, jakież było moje zdziwienie, gdy przed gmachem Gestapo znalazłem stojące wspaniałe auto GG z numerem policyjnym zdjętym, a zastąpionym znakiem Ost. 81 i wewnątrz po cywilnemu panów Bierkampa w głębi, a pana Schindhelma u kierownicy, ubranych po cywilnemu. Wszystko by znamionowało prywatny wykwintny samojazd, gdyby nie na przednim siedzeniu przy kierowcy leżący niewinnie karabin maszynowy. Pan Bierkamp w słowach pełnych uprzejmości zapytał, czybym wobec cudownej pogody nie zechciał z nimi zrobić wycieczki poza miasto celem omówienia kilku bardzo ważnych spraw, które dojrzały do tego, by być rozstrzygnięte. Ponieważ w takim wypadku nie wypadało odmawiać, wsiadłem do auta i z niebywałą szybkością wyjechaliśmy z miasta na szosę prowadzącą do Zakopanego. Po drodze zatrzymaliśmy się w Rabce przy willi zajmowanej przez żonę i dzieci pana Bierkampa i po części w lesie, a potem w ogrodzie przeprowadziliśmy rozmowę, której przebieg zapisany przeze mnie szczegółowo, był następującym:

„Naradę pan Bierkamp rozpoczął pewnym krótkim, ale nader lapidarnym exposé, które zaczęło się od oświadczenia, że zwycięstwo w tej wojnie może przypaść Niemcom, aliantom bez bolszewików lub z bolszewikami, wreszcie samym bolszewikom, i że ze wszystkich tych możliwości chyba staje się rzeczą jasną, że zwycięstwo niemieckie wbrew temu, co się o Niemcach powszechnie twierdzi, np. dla przyszłości Polski byłoby najlepszym, bowiem prawa narodu polskiego, czy to w formie związku z Niemcami, czy też protektoratu byłyby zawsze zapewnione, Polska bowiem należy do narodu, który rasowo (!) jest bliski Niemcom, zaś ci ostatni wiele rzeczy zrozumieli w czasie wojny, a jedną przede wszystkim, że wbrew woli narodów nimi rządzić nie można i że koniecznością dlatego jest dokładna znajomość ich psychologii, z tego powodu, stwierdza pan Bierkamp, że błędem wielkim władz niemieckich było, że trzymały się z dala od Polaków i tej ich psychologii nie chciały poznać. Pan Bierkamp jeszcze raz potwierdza, że nie ma u góry w Rzeszy już nikogo, kto by chciał naród polski zniszczyć, że mogą o tym mówić osoby nieodpowiedzialne i że przyznać musi, że zrobionym było ze strony niemieckiej wiele zasadniczych błędów, które wykopały tę przepaść pomiędzy narodami niemieckim i polskim, którą teraz tak trudno jest wyrównać. Konstatuje on, że władze policyjne ostatnimi czasy zadały sobie trud zgłębienia przyczyn tych złych stosunków i mając w swym gronie ludzi poważnie myślących i wykształconych politycznie, gotowe są wszystko zrobić, by załagodzić sytuację, ale nie mogą tego uczynić wbrew Polakom, którzy morderstwami dokonywanymi na Niemcach i sabotażami jakby podkreślają niechęć swą do powrotu do uporządkowanych stosunków, pomimo że mają władze dowody na to, że organizacje narodowe jak najbardziej wrogo są ustosunkowane do bolszewików. Władze najchętniej zaniechałyby stosowanego w formie brutalnej odwetu, ale nie mogą tego uczynić ze względu na prestiż władzy. Z chwilą zaniechania ze strony polskiej zamachów, zapewnia pan Bierkamp, ustaną natychmiast wszystkie do Polaków stosowane zarządzenia, czyli «ostre środki ostrożności», a będą zastosowane natychmiast wszelkie środki zmierzające do udowodnienia Polakom pełnej dobrej woli Niemiec do wprowadzenia ich jako równouprawnionego członka do rodziny narodów zachodnioeuropejskich.

«Będzie chyba przyjemnie się Panu dowiedzieć — powiedział dosłownie pan Bierkamp — że pan Reichsführer Himmler bawiący przez kilka dni w GG jest w pełni tego samego przekonania i że myśli wyrażone w Pańskiej notatce, mu znanej, zostały przez niego zupełnie podzielone, zaś że Pan ma zupełnie wolne pole do działania łącznie z wyjazdem za granicę». Zakończył pan Bierkamp swoje wywody zwróceniem się do mnie, bym zechciał mu w ogólnych zarysach rozwinąć tematy w notatce mej z dnia 18 marca poruszone i bym zechciał w mej odpowiedzi dać wyjaśnienia co do stosunku mojego osobistego i, jeżeli możliwe, również społeczeństwa polskiego do powyżej przez niego sformułowanych myśli.

Odpowiedź moją ująłem w formę wyczerpującego exposé, które właściwie było jakby powtórzeniem tego, co kilka razy w formie dłuższych przemówień malujących obraz sytuacji w Polsce przedstawiałem osobom badającym mnie w czasie mego pobytu w więzieniu. Zacząłem więc od tego, że nie będąc w możności zdawania sobie dokładnie sprawy ze szczegółów istniejącej obecnie sytuacji, nikt nie jest w stanie osądzić szans zwycięstwa każdej ze stron walczących, nie jest to więc żadnym lekkomyślnym oportunizmem ze strony Polaków, gdy tej sprawy zwycięstwa nie kuszą się nawet rozwiązać, a wolą w tym względzie zdać się na decyzję Opatrzności. Wiemy my, Polacy, jedno, że Polska będzie i chcemy niezłomnie, by należała do Zachodu, z tego więc powodu boimy się prawie bez wyjątku wszyscy, którzy nie są anarchistami, wtargnięcia bolszewików. To, co się dzieje w formie mordów i sabotaży, jest wynikiem regimu stosowanego przez władze niemieckie — rezultatem jest zaślepiająca Polaków nienawiść i rozpacz. Toteż opinia społeczna polska nie jest do zdobycia dla idei porozumienia z Niemcami i to porozumienie pomimo nawet, że chęć jego ze strony niemieckiej byłaby wyrażona przez najbardziej miarodajne czynniki w Rzeszy, jest obecnie nieosiągalne, co podkreśliłem dwukrotnie w swej notatce. Należy mimo to czynić wszystko, by zadrażnienia i wybuchów rozpaczy nie powiększać i stosunki możliwie łagodzić. Sposoby przewidziane w mej notatce to są jedyne, które zastosowane sumiennie mogą to złagodzenie przynieść, pomiędzy nimi najważniejszym jest uzyskanie możności porozumienia z miarodajnymi czynnikami w Londynie, przekonany bowiem

jestem, że to wszystko, co jest nielogicznym i pociąga za sobą bezpożyteczne ofiary, powinno się osiągnąć, by było usuniętym.

Nastąpiła dłuższa wymiana zdań co do technicznej strony wyjazdu, przy czym pan Bierkamp doradzał mi jazdę do Lizbony, jako do stolicy kraju, który ma szanse dłuższego utrzymania swej neutralności. Po czym powrócił do swych wywodów na temat Nowej Europy i zadań, jakie przed Polską by stanęły, poruszył przy tym temat drażliwy wodzostwa Niemiec w razie ich zwycięstwa — wyraziłem przekonanie, że w tym wypadku w interesie Niemiec, jako kraju odznaczającego się wybitnie kupieckimi zdolnościami, leżeć będzie jak najprędzej zagoić rany i mieć w narodach związanych z nimi przyjaznych, a nie wrogich klientów.

Dalszy ciąg konferencji rozwijał się na temat zagadnień politycznych powojennych, a z aktualnych spraw poruszoną została przeze mnie nabolała tak bardzo sprawa okrucieństw ukraińskich i stosunku władz do tej sprawy. Pan Bierkamp oświadczył, że wszystko to są sprawy, które usunięte z widowni i załatwione być muszą, że on nie broni Ukraińców, ale chciałby, żeby z Polakami weszedłszy na drogę złagodzenia i zmiany regimu móc rozwiązanie podobnych spraw, jak ukraińskiej i jej podobnych, postawić jako temat wspólnej decyzji, a nie na drodze wzajemnych, coraz bardziej rosnących pretensji, o załatwieniu których w nastrojach obecnie istniejących nawet jest trudno myśleć.

Na zakończenie pan Bierkamp wyraził ubolewanie, że wcześniej nie miał okazji przeprowadzić takich jak owa konferencji, że wyraża on przekonanie, że byłyby one nader pożyteczne, wreszcie, że mi dziękuje za udzielone wyjaśnienia, a przede wszystkim to, dlaczego Polacy nie dążyli i nie dążą do wytworzenia własnego rządu w kraju — specjalnie był wdzięczny, jak twierdził, za zupełnie jasne przeze mnie postawienie tej sprawy.

Odwożony byłem już tylko przez samego Schindhelma, gdyż Bierkamp pozostał z rodziną — w czasie jazdy powrotnej do Krakowa, będąc sam na sam z Schindhelmem postawiłem mu zapytanie, czemu zawdzięczam taką niezwykłą i nieoczekiwaną zmianę w zapatrywaniach i sposobie myślenia i bycia jego szefa — zauważyłem, że temat go niezbyt zachęcająco do rozmowy usposobił, zaledwie paru słowami po głębszym namyśle mi odrzekł: «Mówiłem już

Panu, że to dziwnie zimny człowiek i wyrachowany także, rozkaz jest dla niego rozkazem, powiał prąd inny dla Polaków, on się też do niego dostosowuje». Gdy przeszedłem na inne tematy, bardzo się pan Schindhelm rozgadał, pomiędzy innymi wyjaśnił mi rzecz, która od dawna męczyła mój umysł, dlaczego mianowicie zostałem aresztowany? Odpowiedział jasno i krótko: oto Gestapo było przekonane, że dowie się ode mnie tyle, że warto było zaryzykować skandal z mym aresztowaniem związany".

Wróciłem do domu koło godziny piątej po południu, gdy wszyscy moi panowie zaniepokojeni moją tak długą nieobecnością, doszli już do przekonania, że musiałem wpaść w nową pułapkę gestapową i jestem na pewno zaaresztowany.

Rozmowa przeprowadzona z Bierkampem stała się tematem poważnych rozważań naszych.

Przykre w tym czasie spotkało mnie intermezzo w pracach moich, oto otrzymałem od syna mego Stefana telegram wzywający mnie, bym natychmiast przyjechał do Grębowa. Wiedząc, że nie wzywany byłbym, gdyby sprawa dla tego nie była dostatecznie poważną, i przypuszczając, że jakieś niebezpieczeństwo grozi, pierwszym pociągiem wyruszyłem tam, by służyć, jeżeli można pomocą, i pełen niepokoju, co mnie tam może czekać. Wyjaśnienie było nader przykrym jak dla miejscowych stosunków, a charakterystycznym dla całości obrazu panujących w całym kraju warunków bezpieczeństwa i nastrojów. W Grębowie miał miejsce wypadek, jeden z wielu takich, jakie miały miejsce w okolicy całej — kobiecie Polce, a żonie jednego z administracji Grębowa, obcięto włosy za to, że utrzymywała zbyt bliski stosunek z jednym z gestapowców stanowiących postrach całej okolicy przez swe brutalne i bezczelne zachowanie się. Operacja obcinania włosów dokonaną była przez kilku wyrostków ze wsi okolicznych, którzy damę tę przyłapali i bezboleśnie i na wesoło ostrzygli. Cała więc sprawa raczej warta była śmiechu niż traktowania poważnie, gdyby nie ów przedstawiciel władzy wchodzący w grę w tym wypadku. Zjawił się on w pałacu w Grębowie na wpół pijany i wściekły ze złości i oznajmił wszystkim, a memu synowi, którego nie znosił, specjalnie, że zabije wszystkich w pałacu, jeżeli winowajcy się nie znajdą, zaś pod adresem mego syna wygrażał karabinem maszynowym i oświadczył, że nie będzie się wahał uczynić nowego Zbydniowa, a władzom swym zwierzchnim potrafi przedstawić wszystko jako prowokację ze strony polskiej. Można sobie wyobrazić, jak podobne groźby i oświadczenia wypowiadane po pijanemu działały na mieszkańców Grębowa, gdzie oprócz zaledwie kilku mężczyzn było dwadzieścia kobiet i kilkanaście dzieci. Wszyscy truchleli ze strachu i jedyny ratunek widzieli we mnie, który władzom wyższym miałem obowiązek rzecz całą przedstawić i Grębów od tej zmory uwolnić. Mój syn, normalnie dziwnie odporny na wszelkie strachy, tym razem był tym wszystkim tak zdenerwowany i rozbity, że zabrałem go ze sobą do Krakowa, by sprawę tam jak najszybciej załatwić. Nie wiedziałem, że żegnam Grębów kochany może na zawsze i że bolszewicy w tak krótkim czasie już będą tam panami. W Krakowie rzecz całą opowiedziałem Schelemu, który zobowiązał się natychmiast interweniować i dotrzymał tego zobowiązania.

Tymczasem orgia plotkarska co do mego wyjazdu, która na chwilę jakby przycichła, znowu przybierała na sile, tak jakby jakieś złe duchy nad tym czuwały, by mi nie dawać chwili spokoju i nie pozwolić tego spełnić, co mnie poczucie obowiązku dyktowało. W dniu 5 czerwca otrzymałem wyraźne pogróżki pod adresem mym wypowiadane w imieniu PPR (Polskiej Partii Robotniczej), stanowiącej zjednoczenie organizacji komunistycznych w Polsce — utrzymywano, że są na mnie projektowane zamachy na zasadzie jakichś wyroków śmierci wydanych etc. Nie przywiązując do tego wszystkiego większej wagi, postanowiłem naradzić się z kilkoma takimi osobami, z którymi łączyły mnie stosunki wzajemnego zaufania, a przede wszystkim uznanie dla rad mi udzielonych. Jednym z tych, który tą radą mi zechciał służyć, był pan Zygmunt Lasocki, następnie pan Rymar i senator Jundziłł. Ponieważ rady ich były spokojne i rozumne, a pokrywały się wzajemnie, postanowiłem się do nich zastosować i przerwać wszelkie plotki oświadczeniem wszystkim, że aczkolwiek władze niemieckie wyraziły mi swą zasadniczą zgodę na danie mi pozwolenia na wyjazd, ale z wykonaniem swych przyrzeczeń się nie spieszą, należy więc oczekiwać, że cała sprawa wpadnie w wodę. W razie gdyby faktycznie wszystkie przeszkody mia-

ły być usunięte, wtedy powinienem wyjechać i wejść w kontakt z Rządem Polskim dla zdania mu sprawy ze wszystkiego, co się tutaj dzieje, i to w charakterze czysto prywatnym, a nie jakiegoś wysłannika. Plotki jakoś dziwnie szybko na skutek tego mego komunikatu zaczęły ustawać, a władze niemieckie, tak jak przewidywałem, nie spełniły, czy już wówczas nie mogły spełnić, dawanych mi na temat wyjazdu obietnic. Może też wpłynęło na przesłonięcie sprawy tej, że nowe chmury gromadziły się na horyzoncie, jedne idące ze wschodu od strony bolszewików wkraczających na ziemie polskie, drugie z wewnątrz kraju, krystalizujące się w formie pomruków dotyczących zamierzonego w czasie najbliższym powstania.

Przybyły ze Lwowa w dniu 21 czerwca, prof. Wł. Studnicki opowiadał nam swe wrażenia i poczynione kroki dla ukrócenia hajdamaków ukraińskich. Zdawało mu się, że uzyskał u władz zrozumienie niebezpieczeństwa tkwiącego w judzeniu jednych przeciw drugim i konieczności ostrych zarządzeń dla wstrzymania ciągle trwających rzezi. Był on ze mną u Schindhelma, który zaproponował po wysłuchaniu jego lapidarnego wykładu, by przedstawił na piśmie odpowiednie wnioski i rozpoczął pertraktacje. Na to Studnicki z wrodzoną sobie rubasznością odpowiedział, że pertraktować będzie on dopiero z czwartą Rzeszą.

W międzyczasie pan Bocheński uproszony przeze mnie, by pojechał do Warszawy dla zasięgnięcia wiadomości, jak stoi sprawa owego powstania, o którym coraz to głośniej mówiono w Krakowie, miał zaraz wejść w kontakt ze wszystkimi, od których miarodajne mógłby otrzymać wiadomości, i wracać do nas, by przedsiębrać kroki zabezpieczające kraj przed nieszczęściem, które wyczyn tego rodzaju, jak powstanie, musiałby ze sobą przynieść.

Zamiast przyjechać z powrotem, wezwał on mnie gwałtownie do przyjazdu do Warszawy, gdzie stawiłem się na dzień 10-go lipca. Od niego i wielu innych dowiedziałem się zaraz, że w stolicy naszej wre, że nienawiść do Niemców przyjmuje rozmiary takie, że musi w tej czy innej formie wylać się na zewnątrz, gdy zaś spróbowałem w gronie ludzi poważnych ten temat omówić i zaproponowałem, by odezwą z poważnymi podpisami do równowagi starać się kraj nawoływać, powiedziano mi przede

wszystkim, że takich podpisów się nie zbierze i że nie będzie to miało żadnego wpływu. Aczkolwiek wszyscy przyznawali, że jak ja rozumować muszą, że powstanie byłoby nieszczęściem najstraszniejszym, ale stan umysłów jest już tak podnieconym, że rozsądkiem już się nic nie da osiągnąć! Próbowałem trafić do Delegatury i Komendy Naczelnej, spotkałem się jednak z wykrętną odmową widzenia się umotywowaną niemożnością i niebezpieczeństwem spotkania dla osób, które widzieć chciałem. Wobec tego w dniu 11 lipca poszedłem do pana Jasiukowicza i na ręce jego złożyłem oświadczenie, którego treścią było to, co myślę o grożącym w owej chwili Polsce wewnętrznym niebezpieczeństwie, i wobec usuwania się władz, a szczególniej Delegatury Rządu od rozmowy ze mną, konstatuję, że postępowanie Delegatury tej w stosunku do mnie i reprezentowanej przeze mnie pracy w ogóle było w najwyższym stopniu niewłaściwe i co najgorsze szkodliwe dla sprawy Ojczyzny naszej i z interesem jej sprzeczne, wobec czego zrywam z nią osobiście i kroki swe, które zamierzam przedsiębrać, opierać będę na własnym zrozumieniu sytuacji kraju i jego potrzeb oraz na tym, co mi dyktować będzie sumienie i honor mój Polaka. Pan Jasiukowicz obiecał to me oświadczenie złożyć Delegatowi Rządu.

Dnia 13 lipca opuściłem Warszawę, ostatni raz widząc ją przed powstaniem — wszystkich swych znajomych i przyjaciół zawiadomiłem o kroku uczynionym wobec Delegatury i o zamiarach uczynienia wszystkiego, co tylko sumienie i rozum dyktować będą, by nieszczęściu grożącemu krajowi zapobiec.

W Krakowie zastałem wielką konsternację w gronie naszym z powodu aresztowania jednego z jego członków dra Rogowicza. Zaraz też zwróciłem się do Schindhelma, by go uwolnić, co mi przyrzeczono, w trakcie jednak rozmowy na ten temat oświadczył mi pan Schindhelm, że czuje się w obowiązku mi zakomunikować, że wiadomości w sprawie przygotowań do powstania w kraju tak dalece obecnie przybrały na sile, że musi mnie prosić, bym się zastanowił nad sposobami zażegnania tej sprawy, która nową falę terroru odwetowego sprowadzić musi na Polskę i na nowo ją we krwi pogrążyć.

Zaraz nazajutrz, gdy z panem Rogowiczem, świeżo uwolnionym z więzienia, i całym gronem naszym dyskutowaliśmy nad powagą coraz groźniej krystalizującej się sytuacji, otrzymałem telefoniczne wezwanie od pana Schindhelma w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie niezmiernej wagi. Okazało się, że chciał mi on sam zakomunikować o „cudownym ocaleniu Führera" od zamachu na niego. Był on pełen jakby dobrych myśli z tym związanych i tym bardziej wprost z przerażeniem zupełnie szczerym mi powtarzał w formie ostrzeżenia to, co się stanie, gdyby powstanie stać się miało faktem. Znowu nalegał na mnie gwałtownie o formułę porozumienia z AK, widząc w nim jedyną formułę dla uniknięcia wybuchu, którego widać, że się obawiał naprawdę.

Nie wierząc, by naprawdę mogło to już grozić, raczej gryzłem się wiadomościami przychodzącymi z frontu, zbliżającego się do Warszawy i Tarnowa, i tym, że rodzina moja po tamtej stronie pozostała — jednak w gronie zaufanym rozważaliśmy warunki, które Niemcom postawione byłyby dostateczne, by czynniki polskie od popełnienia szaleństwa byłyby w stanie odwieść. W rezultacie tych narad w dniu 25 znalazłem się u Schindhelma, zapowiedziawszy, że chcę z nim mówić o rzeczy nadzwyczaj poważnej i nie cierpiącej zwłoki.

Zakomunikowałem mu, że w gronie mych najbliższych przyjaciół rozważyliśmy wszystkie ewentualności i doszliśmy do zgodnego przekonania, że powstanie da się zażegnać jedynie wtedy, gdy ze strony niemieckiej dokonany zostanie czyn o charakterze „grosszügig", który by sytuację wzajemnych stosunków zasadniczo był w stanie zmienić. Takim czynem jedynym, który nam się wydaje wskazanym, a realnie możliwym do wykonania, mogłoby być oddanie Warszawy przez Niemców dobrowolne, bez wystrzału w ręce AK, i to wraz z odpowiednim terenem obejmującym najbliższe powiaty, a co najmniej takim, który by obejmował potrzebne dla lądowania lotniska dla sprowadzenia z Anglii na drodze lotniczej odpowiedniej jednostki wojskowej polskiej, złożonej co najmniej z dwóch dywizji, a także przyjazdu przedstawicieli władz polskich. Rozwinięty przeze mnie w ogólnych zarysach plan ów, widziałem od razu, że podobał się bardzo panu Schindhelmowi, który go nawet dalej w szczegółach ze mną omawiać zaczął i widział w nim wiele cech politycznych, mogących dokonać zasadniczej zmiany w stosunkach pomiędzy Niemcami a Polakami, nie naruszając stosunku tych ostatnich do sojuszników anglosaskich, widział on w tym nawet rys projektu nader pożyteczny i według niego czyniący go bardzo interesującym. Prawie bez wahania oświadczył mi, że się zaraz porozumie z Berlinem i o rezultacie swych zabiegów mi zakomunikuje, zaś prosił, bym zapewnił sobie stawienie się na czas pełnomocników AK dla ostatecznego porozumienia. Wróciłem do siebie pełen otuchy, opracowując już w myśli wszystkie szczegóły tego, co miało nastąpić w razie przychylnej decyzji, na którą tym razem zdawało mi się, że mam prawo liczyć. Niestety, niedługo mogłem się oddawać weselszym myślom, gdyż zatelefonowawszy zaraz do Warszawy, by się upewnić co do przyjazdu osób upoważnionych do pertraktacji ze strony AK, dowiedziałem się, że na ich przyjazd w najbliższej przyszłości nie można liczyć — wyciągnąłem z tego, jak się później okazało, zupełnie niesłuszny wniosek, że powstanie nie jest sprawą w danej chwili tak aktualną. Gdy pod wieczór tegoż dnia otrzymałem zawiadomienie od Schindhelma, że z Berlinem rozmawiał i że są jeszcze pewne trudności mające charakter upierania się w obronie prestige'u władzy, odpowiedziałem mu, że nie pozostaje nam nic innego, jak jakiś czas odczekać. Przecież gdybym nie był wewnętrznie przekonany, że wywołanie powstania w takiej chwili i przy takiej przewadze sił przeciwników nie jest absurdem, do którego wykonania nie mogą się chyba w Polsce znaleźć ludzie, którzy by za czyn taki wziąć chcieli na siebie odpowiedzialność, to byłbym bez skrupułów doprowadził do sprowadzenia pełnomocników, przypuszczając, że ich przyjazd w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa musiałby jednak do zażegnania tego strasznego nieszczęścia przez ludzi przytomnych doprowadzić.

Stało się jednak inaczej, znaleźli się ludzie, którzy wzięli na siebie tę straszną w swych skutkach decyzję, by powstanie stało się faktem!

Dnia 1 sierpnia o godz. 5-ej po południu, czyli najmniej po temu właściwej, wybuchło ono w Warszawie, ku przerażeniu ludzi jeszcze mających cośkolwiek rozumu w głowie, ku radości zaś bolszewików i tych Niemców, którzy szukali w nim dowodu

na to, że mieli rację Polaków tak traktować, jak ich w ciągu całego panowania swego w Polsce traktowali.

Nikt z nas się nie łudził co do katastrofalnych wyników powstania, ale te, które faktycznie stały się jego skutkiem, przewyższyły o wiele nawet najpesymistyczniejsze przewidywania. Dążeniem naszym się stało jedynym już nie szukanie dróg do zażegnania w Warszawie tego, co z sobą wybuch powstania przynosił, ale powstrzymanie, by na cały kraj się nie rozprzestrzeniło, stało się zadaniem koniecznym do wykonania. W tym celu w dniu 7 sierpnia z panami Bocheńskim, Mackiewiczem i Rogowiczem poszliśmy do Księcia Metropolity, by go prosić o zwrócenie się do władz polskich z odpowiednim pismem, zaś do władz niemieckich, by zechciał się zwrócić, by Jemu lub osobie przez niego upoważnionej pozwoliły jechać do Warszawy dla zapośredniczenia w zawieszeniu broni.

Niestety, Książę Metropolita. jak skonstatowaliśmy z prawdziwym smutkiem, nie poszedł po linii naszych rozumowań i zamierzeń, które dopiero post factum stwierdzić mogliśmy, jak dalece były słuszne i jedynie celowe. Wierny swej zasadzie niemieszania się do polityki, odmówił naszym prośbom.

Tymczasem dnia 10-go sierpnia otrzymałem od pana Bierkampa wezwanie do stawienia się u niego dnia następnego o godz. 9 min. 25 rano dla wysłuchania jego komunikatu. Ponieważ panu Schindhelmowi, który mnie o tym zakomunikował, wyraziłem życzenie, by ktoś z mych przyjaciół mógł przyjść ze mną — nie chciałem sam nieść odpowiedzialności i chciałem mieć świadków — a on przychylnie się do tego odniósł, więc dnia 11 sierpnia o oznaczonej godzinie stawiliśmy się na wezwanie, oprócz mnie panowie Kazimierz Okulicz, Jerzy Rogowicz i Józef Mackiewicz. Na konferencji obecnym był również pan Schindhelm.

Pan Bierkamp oświadczył nam, że Naród Polski znalazł się dobrowolnie w sytuacji, w której powinien powziąć decyzję, gdyż inaczej nie będzie miał nic do powiedzenia w Nowej Europie. Obłędne powstanie w Warszawie naraża Polaków na straszne następstwa. On i władze, które reprezentuje, pragnęli tego uniknąć i robili w tym kierunku wszelkie wysiłki. Ostrzegali Delegaturę Rządu, AK i inne ugrupowania polskie. Nie dało to skutku, Polacy bowiem zdecydowali się na jawną walkę z Niemcami, być może

dlatego, by wzmocnić sytuację Mikołajczyka w Moskwie? Chciano bolszewikom móc ofiarować zdobytą na Niemcach Warszawę. Bolszewicy jednak takiego prezentu bynajmniej nie pragnęli — okazali też swoją prawdziwą postawę, skoro stanęli pod Warszawą i nie ruszają się z miejsca, zostawiając powstańców polskich swojemu losowi. Ale również Anglicy i Amerykanie pozostają zupełnie obojętni na tragedię Warszawy. Powstańcom nie zrzucono nic, ani broni, ani amunicji. Warszawa zostawiona jest strasznemu losowi, który ją musi spotkać, skoro targnęła się z tyłu na walczącą armię niemiecką. Z miasta tego nie zostanie kamień na kamieniu! To samo stanie się z każdym miastem, które by się dało użyć do żałosnej roli dywersanta po stronie bolszewickiej, dywersanta opuszczonego zresztą przez samych bolszewików. W tym nader trudnym położeniu Narodu Polskiego powinni się znaleźć Polacy, którzy jawnie z nazwiskami wystąpiliby do swego narodu, wzywając go do rozsądku, do troski o swoje interesy. Jedyną drogą jest współdziałanie w obronie przeciwko bolszewizmowi prowadzonej obecnie przez Niemców. Mówca poprosił do siebie obecnych Polaków, by im oświadczyć to, co powiedział, i zaapelować do ich poczucia odpowiedzialności za losy własnego ich narodu. Nie czyni tego w interesie niemieckim, gdyż Niemcy są dziś silni dostatecznie, by z ruchawkami dać sobie radę, lecz w interesie Narodu Polskiego, w imię oszczędzania jego krwi nadaremnie teraz przelewanej w Warszawie. Bolszewizm przynosi zagładę Narodowi Polskiemu i kompletne wytępienie inteligencji polskiej. Niemcy nie mają zamiaru tępić Polaków, chcą nawet, by Polacy zajęli miejsce równe innym narodom w Europie, by mogli pracować i rozwijać się, jak inne narody, oczywiście pod przewodnictwem niemieckim, które jest konieczne. Jak onego czasu Prusy stały się stosem pacierzowym Niemiec ku pożytkowi całych Niemiec, tak dziś Niemcy muszą być stosem pacierzowym Europy ku pożytkowi całej Europy.

Narodowi Polskiemu, mówił dalej Bierkamp, brak człowieka, który by mógł być wyrazicielem życzeń narodu i miał odwagę pchnąć go na drogę rozumu politycznego. Mówca nawiązuje do epoki Brianda* we Francji, który umiał zdobyć sobie zaufanie szerokich kół niemieckiego narodu swą istotną chęcią współpracy o pokojowe życie europejskie. „Mogą sobie panowie pomyśleć —

ciągnął SS Oberführer Bierkamp — co też nam ten człowiek opowiada i proponuje dziś, gdy bolszewicy idą ciągle naprzód, a Amerykanie zajmują Bretanię, ale muszę oświadczyć, że jednak zwycięstwo nasze nie ulega kwestii i jesteśmy dziś bliżsi go, niż się to może komukolwiek wydawać". Mówca zakończył oświadczeniem, że poprosił do siebie zebranych, by do nich zaapelować, aby mocno i zdecydowanie wystąpili wobec rodaków, ratując ich w ten sposób od dalszych katastrof i rozlewu krwi.

W odpowiedzi na to stwierdziłem, że sytuacja nie jest, niestety, taka prosta, jak ją Oberführer ujmuje. To bowiem, co się stało w Warszawie, jest niewątpliwie dowodem, że społeczeństwo polskie popadło w stan bliski obłąkania, ale ten stan zawdzięcza ono pięcioletnim rządom niemieckim, które przecież nie dążyły do uspokojenia opinii polskiej i do jej pozyskania, lecz zrażały ją sobie całym swym postępowaniem. Niemcy mają bowiem wiele talentów, ale jeden górujący nad innymi, którym jest zdolność wyjątkowa robienia sobie wrogów — Polacy też poznali niemiecką pięść, która uderza i zabija.

Pan Bierkamp na to replikował: „Ale ręka niemiecka wyciągała się też do porozumienia. Oświadczyłem Polakom, że gotowi jesteśmy do daleko idących koncesji, mamy w planie stworzenie polskiego szkolnictwa, otwarcie uniwersytetu polskiego, stworzenie szerokiego samorządu polskiego i oddanie znacznej części administracji, aż do szczebli bardzo wysokich, aż do wysokości rządu — danie w każdym razie niezależności takiej, jak w Estonii, Łotwie czy Protektoracie. Swego czasu Führer zapowiedział na początku wojny stworzenie Państwa Polskiego, z warunkiem tylko, by nie intrygowało przeciw Niemcom — a oświadczenie Führera ma moc ustawy, do tej pory jest ono miarodajne, nie zostało przez żadne inne zmienione, ani też odwołane".

Odpowiedziałem mu na to: „Przypuszczam, że sam Führer najchętniej by dziś przekreślił swoje oświadczenie z dnia 6 października 1939 r. Naród zaś polski ma w pamięci inne oświadczenie, jak np. generał-gubernatora Franka, że Polacy mają być na tysiąc lat narodem niewolników. Z drugiej strony, tenże generał-gubernator oświadczył, że naród polski pracuje intensywnie, uczciwie i lojalnie. Nie mieliśmy nigdy żadnego oświadczenia

niemieckiego, które by dawało podstawę do takiego wystąpienia, o jakim mówi dziś pan Oberführer, trafiłoby ono na pewno w próżnię i pogrążyłoby tylko tych, którzy by je zrobili. Trudno, żeby Naród Polski miał zaufanie do Niemców po tym wszystkim, co zaszło, toteż uznać należy, że nadszedł moment, gdy oświadczenie o tym, że Naród Polski mieć będzie równe z innymi narodami prawa, że Europa rządzoną będzie sprawiedliwie, wyjść musi z wysokiego miejsca niemieckiego — co do kierownictwa niemieckiego, to wiemy, że w razie zwycięstwa Niemiec, potrafią one wszystkich zgnieść i sobie podporządkować, zaś gdyby to zwycięstwo nie stało się udziałem Niemiec, sprawa znajdzie inne załatwienie. W dalszym ciągu powołałem się na swą dawniejszą rozmowę z Oberführerem, w której on oświadczył, że należy prowadzić inną politykę wobec Polaków. Nad oświadczeniem nam zrobionym musimy rzecz oczywista głębiej się zastanowić, zdajemy sobie jednak już teraz sprawę z tego, że sytuacja Polaków jest bardzo skomplikowaną, i to nie z ich winy".

Pan Bierkamp wtedy zauważył, że oświadczenie jakieś mógłby ewentualnie wydać generał-gubernator, bowiem, jak sam stwierdza, jego oświadczenie nie byłoby chyba skutecznym, boć zgodzą się panowie — mówił — że raczej by się ludzie śmieli z tego, że Sicherheitspolizei daje zapewnienia życzliwości dla Polaków. W każdym razie największy kredyt u Polaków będzie miało oczywiście oświadczenie pochodzące z autorytatywnej strony polskiej.

W tym miejscu pan Okulicz dodał, że w ciągu ubiegłych pięciu lat utwierdziło się w narodzie polskim nieodparte poczucie, że ze strony zwycięskich Niemiec odmawia się mu wszelkiego prawa do życia, jako narodu politycznego. Naród polski widzi, że jest on jedynym narodem w Europie traktowanym przez Niemcy w tak wyjątkowy sposób. Nawet najbardziej antybolszewicko nastrojone sfery polskie są przekonane na podstawie tego, co się tu w ciągu ubiegłych pięciu lat działo, że zwycięskie Niemcy niczego innego polskiemu narodowi nie gotują, jak tylko prawo do pracy dla Niemiec i prawo do fizjologicznej egzystencji. Przekonanie to mogłoby zmienić jedynie oświadczenie miarodajnych osobistości niemieckich, otwierające przed narodem polskim inne niż tamte perspektywy. W Polsce nie może się dziś odezwać żaden

wolny głos i nie ma w niej żadnych elementarnych, nawet najskromniejszych form odrębnego narodowego życia politycznego. W tych warunkach, dopóki one istnieją, jakiekolwiek działanie czynników polskich w sensie zrobienia propozycji nie znalazłoby w kraju żadnego politycznego echa. Trzeba przy tym i to wziąć pod uwagę, że trudno wymagać oświadczania się po stronie antybolszewickiej mas ludzkich związanych silnie z ziemią, w momencie kiedy wkroczyły na nią i szybkim tempem posuwają się naprzód na zachód wojska sowieckie.

Pan Rogowicz podniósł, że trudno powoływać się na przykład Brianda, który był ministrem niepodległego państwa, występującego wobec innego państwa. My zaś jesteśmy całkowicie w rękach władz niemieckich, wszystko, co się u nas dzieje, zależy wyłącznie od nich i one przede wszystkim za wszystko odpowiadają. Wszelka praca polityczna, choćby taka, do której Niemcy powinni się odnosić jak najlepiej, została uniemożliwiona. Nic dziwnego, że społeczeństwo dziś zajmuje postawę pełną nieufności wobec Niemców. Gdyby grupa polska oświadczyła, że Niemcy zmieniły swój stosunek do Polaków, nikt by jej przecież nie uwierzył. Skutek jeden byłby ten, że tych Polaków nie traktowano by już poważnie. Początkiem nowego okresu mogłoby być miarodajne oświadczenie niemieckie inaugurujące realnie w konkretnej zupełnie postaci nowy stosunek Niemiec do Polski.

Zrozumiałem, że nie mamy o czym więcej mówić w takich warunkach i właśnie z panem Bierkampem, i oświadczyłem, że rozważymy całą sprawę sumiennie, zaś pan Bierkamp widocznie niezadowolony z wyniku swego kroku prosił, byśmy się zastanowili nad jego propozycją i pójść zechcieli we wskazanym kierunku.

Pan Schindhelm w ciągu całej konferencji ani jednym słowem do niej się nie wtrącił, co było dla mnie nader charakterystycznym.

Zaraz po bytności u Bierkampa poszliśmy do Księcia Metropolity i oprócz sprawozdania z usłyszanego oświadczenia i naszej na nie repliki poruszyliśmy sprawę sytuacji, jaka się wytworzyła w Warszawie, z której coraz groźniejsze z dniem każdym wieści nadchodziły. Nad ludnością stolicy bezbronną i nie biorącą w powstaniu żadnego udziału pastwiły się oddziały ukraińskie i kał-

muckie, zachęcane po prostu do czynów terroru, rabunek i palenie domów były tolerowane, a nawet planowo organizowane, nad kobietami pastwiono się w okrutny sposób, gwałcono je i zabijano w sposób w historii nie mający precedensu i dający postępowaniu władz niemieckich świadectwo stające w zupełnej sprzeczności z wszelką kulturą.

Wobec tego zredagowaliśmy coś w rodzaju apelu do władz wojskowych i zwróciliśmy się do Księcia Metropolity, by zechciał takowy podpisać. Gdy nam i tym razem odmówił, a wieści przywiezione przez wysłanego do Warszawy przez RGO pana Andrzeja Skrzyńskiego potwierdziły owe straszne wiadomości w całej pełni, zdecydowałem się odezwę przygotowaną dla Księcia Metropolity podpisać sam i pójść z nią albo do jakiegoś wpływowego wojskowego, albo do Schindhelma, o którym się dowiedziałem, że jest w bliskich koleżeńskich stosunkach z gen. von dem Bach, dowódcą wojsk niemieckich walczących w Warszawie z powstańcami. Wręczyłem mu odezwę treści następującej:

„Do Pana Głównodowodzącego
Niemieckiej Siły Zbrojnej
W Guberni Generalnej

Wasza Ekscelencjo!

Wiadomości, które nadchodzą z Warszawy, doprowadzają wszystkie serca polskie do drżenia z oburzenia.

Rabunki i mordy popełniane przez hordy Kałmuków i innych dzikich przedstawicieli Azjatów nawet na kobietach i dzieciach i które w ostatecznym wyniku zamieniają wszystko w perzynę w mieście — zaprzeczają wszelkiej kulturze i prawom Bożym.

Mimo że walka pomiędzy Polską i Niemcami idzie dalej, zapewniono nas ze strony najwyższych placówek niemieckich, że nie leży w ich zamiarach niszczyć Polaków.

Jeszcze do niedawna odczuwaliśmy poszanowanie dla munduru wojska niemieckiego, ponieważ wiedzieliśmy, że wojsko niemieckie nie chce dotknąć naszego honoru — wiedzieliśmy, że do armii niemieckiej możemy mieć zaufanie i że honor jest dla niej, według starej tradycji, świętością.

Obecnie stoimy jednak przed faktem, że w mundurach niemieckich popełniono najdziksze zbrodnie na spokojnych mieszkańcach Warszawy, na kobietach i dzieciach, które są gwałcone i mordowane.

Rozumiemy, że wojna totalna przynosi wiele z sobą tego, co sprzeciwia się zupełnie kulturze, lecz nigdy nie zrozumiemy, że ci sami Niemcy, którzy przed niedawnym jeszcze czasem prowadzili tak ostrą propagandę przeciwko Katyniowi i zniszczeniu miast niemieckich, czują się obecnie uprawnieni do rozpoczynania i dokonywania daleko gorszych czynów. Niemcy twierdzili sami zupełnie słusznie, że wojny nie wolno prowadzić przeciwko kobietom i dzieciom!

Nie wierzymy, aby to wszystko, co słyszymy o dzikich czynach w Warszawie, działo się w myśl rozkazu waszego najwyższego Wodza i zwracamy się do Armii Niemieckiej z głęboką nadzieją, że nie pozwoli organom swoim postępować w sposób, który zaprzecza temu, co przywykliśmy nazywać «honorem munduru».

Kraków dnia 16 sierpnia 1944 r.
Adam Ronikier"

Po przeczytaniu tego wezwania pan Schindhelm bez wahania mi oświadczył, że wręczy je osobiście dowódcy wojsk niemieckich, dodając, że nie rozumie, jak podobne okropności, o których już miał także wiadomości, mogły być dokonywane nawet w chwili stosowania odwetu za sztych w plecy dany wojsku niemieckiemu w Warszawie przez powstańców polskich.

Widocznie to, co mówiłem mu wówczas już o sposobie traktowania przez Niemców powstania w Warszawie, było tematem rozważań pana Schindhelma, skoro w trzy dni później, dnia 21 sierpnia, prosił mnie znów o odwiedzenie go i sformułowanie mu mego poglądu na powstanie trwające już trzy tygodnie. Uczyniłem to w sposób następujący:

„Powstanie w stolicy naszej Warszawie jest bez wątpienia jednym z największych nieszczęść narodowych w dziejach Polski — obliczyć straty, które ono przynieść musi, w obecnej chwili nie sposób — lecz już obecnie powiedzieć można, że sprawdza

się w tym wypadku przysłowie polskie, które powiada, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tą dobrą stroną powstania w odniesieniu do sprawy polskiej jest to, że nie ma na świecie obecnie ani miejsca, ani osoby, którzy by o Polsce nie wiedzieli, a o Warszawie nie myśleli w aureoli bohaterstwa — szereg pism angielskich, które do niedawna jeszcze bardzo krytycznie odnosiły się do Polski, obecnie poddaje rewizji swe dotychczasowe stanowisko i zastanawia się nad tym, czy ze strony Anglii spełnione zostały obowiązki ciążące na niej względem Polski — wszystkie te pisma akcentują swój bardzo krytyczny stosunek do Sowietów.

Niemcy z powodu powstania w Warszawie są obiektem nowego i powszechnego ataku nienawiści — zaś to, co miało miejsce w Warszawie, i to, czego dokonywali Kałmucy i inne dzikusy w mundurach niemieckich, można by nazwać czarną plamą na historii wojskowości niemieckiej — za te wyczyny będzie musiał być przedstawiony rachunek bardzo groźny, może nawet gorszy w swej doniosłości niż ten, który wystawią Żydzi.

Trzeba też skonstatować jedno, że Niemcy i Polacy przez wzajemną walkę i jej zgubne skutki osiągają jedno, że śmieją się z nich bolszewicy, którzy zawsze pragnęli wyniszczenia inteligencji polskiej, a teraz to wyniszczenie dokonanym jest rękami niemieckimi — przy wejściu do Warszawy niewątpliwie bolszewicy zażądają międzynarodowej komisji, która będzie miała za zadanie zbadać to wszystko, co w niej przez Niemców w ciągu i z powodu powstania było dokonanym. Domyślać się należy, jaki tego będzie rezultat".

Pan Schindhelm interesował się bardzo tym, co mu mówiłem, i prosił, bym zechciał mu sformułować myśli moje co do tego, jak według mnie należałoby w chwili obecnej ze strony niemieckiej postąpić i jak znaleźć drogę do porozumienia z gen. Borem.

Obiecałem nad tą sprawą się zastanowić i w najbliższym czasie rezultat mu zakomunikować.

Naturalnie treść tej rozmowy, z której wynikało wyraźnie, że ze strony pana Schindhelma jest projektowanym wystąpienie jakieś łagodzące stan w Warszawie, stała się tematem naszych narad, do których dużo faktycznego materiału dostarczył Antoni

Plater, który przyjechał wprost z Pruszkowa pod Warszawą i o tym, co się działo tam z uchodźcami z Warszawy, wprost straszne rzeczy opowiadał. Postanowiliśmy, że ja mam się starać wyjechać do Warszawy i tam dotrzeć do gen. Bora z zamiarem pośredniczenia w sprawie zawieszenia broni, które uważaliśmy za jedyną formę wyjścia z sytuacji, która honorowi powstańców by nie ubliżała, a z powodu beznadziejności położenia, które przecież dla wszystkich od początku było jasnym, mogła położyć kres niepotrzebnym ofiarom krwi polskiej.

Gdy w dniu 28 sierpnia znowu zostałem zawezwany do pana Schindhelma dla przedstawienia mu planu działania opracowanego przez nas, prosiłem, by pozwolił, by ze mną przyszedł i pan Bocheński najczynniej tą sprawą się zajmujący i mający wiele nowych zdrowych myśli w tej sprawie.

Treść tego, cośmy panu Schindhelmowi dnia tego przedstawili, była następującą:

Niemcy powinni tacite (milcząco) wyrazić zgodę na zawieszenie broni — pod tym warunkiem oświadczyłem gotowość pojechania z panem Bocheńskim do Warszawy dla osiągnięcia porozumienia z gen. Borem. Zastrzegliśmy się jeszcze raz kategorycznie, że wykluczoną jest rzeczą, byśmy mogli pertraktować na temat kapitulacji. Poza tym podkreśliliśmy konieczność przyznania powstańcom prawa kombatantów, następnie usunięcia z Warszawy Kałmuków i zaprzestania niszczenia miasta i pozbawiania ludności wychodzącej z Warszawy wszelkiego dobytku, który staje się pastwą bandytów i płomieni — wreszcie zezwolenia ludności opuszczenia spokojnie miasta z zaprzestaniem skandalicznego rozdzielania rodzin i wysyłania do obozów koncentracyjnych lub pracy. Zdawało się nam, że cierpienia przebyte w Warszawie przez ludność, nie mającą nic wspólnego z wywołaniem powstania, były chyba wystarczające jako odwet za to, że miejscem jej zamieszkania była stolica nasza.

Pan Schindhelm obiecał przedstawić ten nasz plan, którego polityczną treść zdawał się rozumieć, w Berlinie, dokąd wybierał się tego samego dnia.

Po powrocie z Berlina dnia 9 września 1944 r. pan Schindhelm zawezwał nas niezwłocznie i oznajmił, że z planu przez nas uprzednio przedstawionego zostało tam zaakceptowanym i gene-

rałowi von dem Bach poleconym do wykonania (miał w ręku depeszę do tego się odnoszącą), co następuje:

1. Kałmucy już otrzymali rozkaz opuszczenia miasta.
2. Powstańcom zostały przyznane prawa kombatantów.
3. Wychodząca z Warszawy ludność będzie miała prawo zabrać ze sobą to, co każdy może unieść, i będzie traktowana po ludzku.

Wobec tego, że sprawa zawieszenia broni nie została pozytywnie załatwioną, musiał też upaść projekt jazdy mojej z Bocheńskim do Warszawy do generała Bora, podkreśliliśmy bowiem, że proponować kapitulacji w żadnym razie nie możemy i nie chcemy.

Powyżej streściłem możliwie w skrócie, ale i dokładnie to wszystko, co przez nas zrobionym było w społeczeństwie polskim i u władz, by wpierw nieszczęście złączone z mogącym wybuchnąć powstaniem zażegnać, a następnie, po wybuchu już powstania, dla złagodzenia jego tragicznych skutków.

W tym czasie koło 15 września powrócił Antoni Plater z drugiej swej wycieczki do Warszawy i Pruszkowa, gdzie jeździł, by pomagać na terenie obozów w niesieniu pomocy uchodźcom, organizowanej przez RGO.

Na liczniejszym zebraniu u mnie złożył on nam sprawozdanie z tego, co widział i w czym brał udział. Słowa pełne prostoty, które nam malowały sceny przeżywane przez Polaków opuszczających Warszawę rujnowaną przez Niemców, sceny, które swym tragizmem przechodziły wszystko i wołały wielkim głosem, by całe społeczeństwo polskie zdobyło się na wielki wysiłek pomocy. Znowu powrócił na porządek dzienny rozważań naszych temat dla mnie drażliwy, a tak jednak ważny dotyczący tego, co RGO robi i jak robi. Niestety, znowu posypały się zarzuty, że robi za mało, chociaż wiele pracowników Rady z okolic Warszawy pracuje nad siły. Wysiłki te jednak nie mogły być zakrojone na miarę taką, jakiej wymagała chwila, bez dostatecznej koordynacji oraz środków potrzebnych, których dokonać i dostarczyć mogła jedynie Centrala Rady.

W tym też czasie rozeszły się po Krakowie pogłoski, później potwierdzone mnie z zupełnie miarodajnych źródeł, że prezes

RGO był wezwany przez władze w sprawie powstania i że proponowano mu, by pojechał do Warszawy, by pośredniczyć w zawieszeniu broni, mówiono, o zgrozo, że odmówił przyjęcia tej misji, tłomacząc się, że musi ona mieć polityczny charakter.

W Warszawie tymczasem stało się wiadomym o uznaniu powstańców za kombatantów, przez co wyjście z tragicznej sytuacji dla walczących stawało się łatwiejszym, zaś punkt ciężkości nieszczęścia przeniósł się na ludność cywilną zamykaną w obozach pod Warszawą, rozdzielaną z rodzinami i wysyłaną do Niemiec do obozów i robót. Kałmucy usunięci zostali od swej roli oprawców przez władze wojskowe, tylko Warszawa dalej palona i niszczona była systematycznie w wykonaniu mściwej woli wodza. Bolszewicy, którzy stali u jej granic, naigrawali się tylko z głupoty Niemców i Polaków.

Wreszcie w dniu 2 października, czyli po 62 dniach bohaterskiej walki, która kosztowała Polskę dziesiątki tysięcy najlepszej młodzieży naszej, jej bohaterskiego kwiatu, oraz zupełne zniszczenie dorobku kulturalnego i materialnego w stolicy się znajdującego — Warszawa kapitulowała. Ważną i nader skuteczną rolę odegrała w doprowadzeniu do ustania walki pani Tarnowska, która nie zawahała się wziąć na siebie odpowiedzialnej roli, gdy potrzeba tego wymagała. Dopiero wtedy pan Tchórznicki wezwany przez władze wyjechał na miejsce, by wziąć udział w naradach co do formuły kapitulacji, które się odbyły w Sochaczewie i Ożarowie, do Warszawy jednak samej nie dojechał i tym razem.

Kraków tymczasem napełniał się po brzegi napływającymi z Warszawy uciekinierami. Każdy wyobrażał sobie, że tam jedynie znajdzie jakiś przytułek, zatrudnienie lub co najmniej opiekę. Nie liczono się, a raczej nie zdawano sobie sprawy, że właśnie Kraków stał się już od dłuższego czasu miastem do niemożliwego stopnia przeludnionym, że w nim skoncentrowane były władze wszelakiego autoramentu, że wreszcie przewidywanym był jako punkt oparcia dla wojska, i to wojsko żądało od władz cywilnych opróżnienia całych dzielnic specjalnie dla celów wojskowych, a także z tymi celami związanego wysiedlenia wszystkich nie mających specjalnego powodu do przebywania w tym mieście. Zameldowa-

nie i otrzymanie prawa zamieszkiwania chociażby nawet czasowo było związane z tysięcznymi formalnościami i nieraz zupełnie niemożliwe do uzyskania. Niemniej, a może tym bardziej te mieszkania, które były nie zapełnione po brzegi, wypełniały się szybko, a każdy z nas, który miał dużo znajomych, a przede wszystkim nie miał serca odmówić, gdy jeszcze miał wolny chociażby kawałek podłogi na ułożenie się na noc, chętnie tym służył. U mnie na ulicy Potockiego, gdzie miałem dwa pokoje z kuchnią, były chwile, gdy do 15 osób się lokowało, a dzień cały schodziła się masa osób na narady, jak z kłopotami walącymi się na głowę każdego dać sobie radę. Trzeba przyznać, że wobec ogromu nieszczęścia, które spadło na Warszawę i jej nieszczęsnych mieszkańców, dobra wola tych, którzy w Krakowie szczęśliwie uniknęli podobnej klęski, była tym co najmniej, czym musieli rodakom służyć. W życiu pełnym tragizmu, które wówczas pędziliśmy, jeden moment niemal humorystyczno-wesoły mam do zanotowania. Oto starania moje, by uwolnić z więzienia brata generała Kazimierza Sosnkowskiego, Jerzego, ciągnęły się beznadziejnie i nawet dochodziły do nas pogłoski, że jest on skazany na śmierć — gdy któregoś wieczora pan Schindhelm zatelefonował do mnie, że w jednej bardzo przyjemnej dla mnie sprawie prosi, bym natychmiast do niego przyjechał — gdy zaintrygowany mocno tym, co zaszło, zjawiłem się u niego, otwarły się drzwi jego gabinetu i weszedł w stroju więcej niż niedbałym ktoś, na którego wskazał Schindhelm, mówiąc do mnie: „Oto prezent dla Pana" — był nim pan Sosnkowski, architekt, którego odzialiśmy i który zamieszkał u mnie, a dla którego wszystko, co się stało, było zupełną niespodzianką.

Do Krakowa, poza tłumem ludzi błąkających się i szukających ratunku, zjechała licznie inteligencja polska ocalała z pogromu. Profesorowie, inżynierowie, adwokaci i przedstawiciele wolnych zawodów, wszyscy chcieli się zorientować w sytuacji i naturalnym rzeczy porządkiem zwracali się do mnie o wiadomości i radę. W ten sposób w krótkim czasie mieszkanie moje stało się jakby centralą informacyjną na początku, a wkrótce miejscem narad nad tym, co przedsiębrać i jak się zachować należy, wreszcie co myśleć i decydować na przyszłość. Naturalnie jedną ze spraw, która wszystkich najbardziej zajmowała, była sprawa

Warszawy, jej losu i tego, co się ma stać z jej skarbami sztuki, wiedzy i pamiątkami historycznymi i narodowymi. Więc do mnie przyjechał mój dawny przyjaciel prof. Tadeusz Tołwiński, architekt, który wraz z innymi zaczął pracować nad tym, jak ratować w Warszawie to, co jeszcze z budynków zabytkowych pozostać mogło — inni zaczęli się troskać około bibliotek, obrazów i innych dzieł sztuki. Wszyscy pragnęli do tego się przyczynić, by jak najwięcej uratować i nie pozwolić na dalsze niszczenie tego jeszcze, co pozostało — zwracano się do RGO i do mnie z tym, by u władz odpowiednio mocno interweniować.

Ponieważ z Warszawy dochodziły wieści, że sprawa ratowania zabytków i mienia prywatnego stoi bardzo źle, dlatego że przy pisaniu układu kapitulacyjnego sprawy te niedostatecznie jasno postawiono, ponieważ także dochodziły nas słuchy, że praca RGO jest tam w tej dziedzinie mocno krytykowana, postanowiłem, nalegany zresztą bardzo przez wszystkich, wyjechać w gronie kilku osób, by się przekonać na miejscu, jak rzeczy właściwie stoją i zrobić wszystko, co by było w mej mocy, by złemu zaradzić.

W dniu 18 października w towarzystwie panów Okulicza i Bohdanowicza oraz pani Romanowej Lasockiej wyjechaliśmy z Krakowa. W Milanówku, gdzie miał nas oczekiwać Antoni Plater, któremu powierzyłem zorganizowanie całego planu spotkań i marszruty całej, spotkaliśmy go po podróży odbytej w warunkach okropnych. W Skierniewicach, gdzie trzeba było wysiadać, jakim cudem dostałem się z towarzyszami do wagonu zdobywanego siłą, sam nie wiem — wiem tylko, że potem siedzieliśmy w ten sposób, że pani Lasocka ku przerażeniu swemu siąść musiała na kolana chłopca dziesięcioletniego, który wydawał od czasu do czasu jęki, świadcząc tym, że jeszcze żyje.

To, co się dowiedziałem od Platera i innych osób, było niebywale tragiczne. W Milanówku ludzie wygnani z Warszawy, chorzy i starcy, wobec braku miejsca w szpitalach, których punktem zbornym stał się właśnie Milanówek, leżeli na trawie w ogrodach, czekając na pomoc lekarską, która, pomimo godnej podziwu pracy lekarzy, nie mogła być skutecznie udzielaną wobec braku żywności odpowiedniej, braku lekarstw i najprymitywniejszych chirur-

gicznych narzędzi — operowano ludzi na trawie, zamiast narzędzi używając zwyczajnych noży. Bielizny brak był tak straszny, że w przytułkach ludzie spali na gołej ziemi lub co gorsza na betonie nie przykrytym niczym.

Program ułożony przez Platera był obliczony na co najmniej pięć dni wypełnionych szczelnie zebraniami, jazdami i spotkaniami z ludźmi, którzy dowiedziawszy się o mym przyjeździe, chcieli mnie widzieć w najróżniejszych sprawach.

Pierwszego zaraz dnia po przyjeździe musiałem być na zjeździe urządzonym w Milanówku przez delegatury gminne powiatów błońskiego i sochaczewskiego, celem naradzenia się nad skoordynowaniem pracy i znalezieniem odpowiednich środków dla zaradzenia najpilniejszym potrzebom. Pod przewodnictwem prezesa komitetu dra Świętochowskiego zebrało się kilkudziesięciu panów, którzy swą pracę i pomoc mu ofiarowali celem ulżenia doli uchodźców, których liczba przekroczyła już dwieście tysięcy głów, gdy uprzednio w ciągu całej wojny nie przekraczała paru tysięcy. Cyfry te same mówią za siebie. Otóż dla zaradzenia najpilniejszym ich potrzebom trzeba było miesięcznie około czterdziestu milionów złotych, praca trwała już dwa miesiące, a suma otrzymana na wydatki była dwa i pół miliona, czyli zaledwie mały ułamek tego, co było koniecznym. Wytwarzało to położenie bez wyjścia. Druga sprawa, która wiele oburzenia u wszystkich wywołała, to była sprawa zbiorów, mienia kulturalnego i prywatnego, którego wywiezienie z Warszawy było ograniczonym terminem 31 października ustanowionym w akcie kapitulacji i które dokonywanym było zupełnie nieudolnie, opowiadano fakty nadużyć dokonywanych przez ludzi przygodnie przez RGO angażowanych dla pracy przy wywozie. Zrozumiałym to wszystko było, ale rzucało cień na instytucję, która na pewno dobrą wolą kierowana, ale jednak lekkomyślnie podjęła się zadania nad siły w tych warunkach. Przez godzin parę trwające narady w tonie bardzo poważnym utrzymane, a ożywione najlepszą wolą zaradzenia złemu — zakończone zostały uchwałą jednomyślnie powziętą, wkładającą na mnie smutny obowiązek przyjęcia na swe ręce protestu przeciwko wszystkiemu powyższemu i wykonania tego wszystkiego, co mogłoby być w mej mocy, by jak najwięcej mienia uratować i jak najwięcej ulżyć

rzeszom poszkodowanym i wysiedlonym z Warszawy. W trakcie tych narad zgłosił się do mnie miejscowy proboszcz i w imieniu ks. arcybiskupa Szlagowskiego, który u niego po wyjeździe z Warszawy gościł, prosił, bym zechciał zaraz przyjść do nich. Naturalnie zaraz z panami Świętochowskim i Platerem udałem się na plebanię, gdzie zastałem ks. arcybiskupa w otoczeniu najbliższego duchowieństwa — wyglądał on pomimo choroby od dawna już go nurtującej stosunkowo dobrze, a z tego, co mówił, widziałem, jak serdecznie i głęboko się przejmował sprawami swej diecezji i tak licznie w niej nieszczęściem strasznym dotkniętych ludzi. Miał nadzieję, że mu w ratowaniu ich i ich mienia pomogę, ale traktował mnie i stawiał żądania, jakbym był prezesem RGO, musiałem go wyprowadzić z błędu i przypomnieć, że od przeszło roku już z tego stanowiska zostałem usunięty i za to, co się obecnie dzieje, odpowiadać nie mogę, inna rzecz pomagać, to obiecałem uczynić, bo obowiązek mi dyktował wszystko zrobić, co było tylko w mej mocy, by ludziom ulżyć. Nie pozostawało mi nic innego, jak życzenia ks. arcybiskupa przyjąć do wiadomości i obiecać zrobić wszystko, co byłoby w mej mocy. Po południu pojechaliśmy do Pruszkowa, gdzie znowu prezes tamtejszej delegatury RGO należącej do powiatu warszawskiego, ks. Tyszka, przedstawił mi swe bolączki i życzenia. Duszę całą wkładał on w pracę około niesienia pomocy warszawiakom, lecz cóż mógł on zrobić bez pieniędzy, żywności i środków leczniczych, toteż stan przytułku, który zwiedziłem, był wprost okropny, pomimo że wszyscy przyznawali, że sercem starano się zastąpić wszystkie techniczne braki. Byliśmy też, by zwiedzić ów osławiony obóz dla wychodźców w halach warsztatów kolejowych w Żbikowie pod Pruszkowem. To, co mi o tym, co się tam działo, opowiadano, przechodziło wszystko, co człowiek mógłby sobie wyobrazić i tylko dzięki zachowaniu się kilku kobiet, które dobrowolnie do pomocy się zgłosiły, w tej liczbie przede wszystkim pani Chomiczowej i kilku Platerówien, honor RGO był częściowo uratowanym przynajmniej — stawały one podobno po bohatersku w obronie rozdzielanych przez gestapowców rodzin wychodźców i w tym kierunku zasłużyły na największą wdzięczność wielu, ale cóż mogły poradzić z żywnością, której nie było na dziesiątki tysięcy ludzi zgromadzonych w owych halach i której, gdy była, nie

było czym rozdawać, bo ani garnków, ani talerzy albo kubków nie było dosyć nigdy, i wielu ludzi, widząc nawet jedzenie przywożone, nie mogło go dostać i słabło z głodu. Straszne mi opisywano sceny — sam ich nie mogłem już widzieć, bo był to już koniec października, gdy fala największa wysiedlanych już przeszła, a owe parę tysięcy pozostałych mogło już być otoczone znacznie lepszą opieką, niż poprzednio to mogło mieć miejsce.

Dnia następnego dzięki zabiegom Platera, który dostał dla nas dwa auta ciężarowe pod pretekstem przywiezienia z Warszawy lekarstw, razem z panami Okuliczem i Bohdanowiczem wyruszyliśmy, mając na myśli przede wszystkim zobaczenie na własne oczy stolicy naszej po powstaniu i przekonanie się, czy w dalszym ciągu jest przez Niemców niszczoną. Przyznać muszę, że z niepokojem wielkim oczekiwałem chwili, gdy ujrzę Warszawę, opowiadano mi bowiem rzeczy wprost nie do uwierzenia o rozmiarach katastrofy i o tym, że już stolica nasza nie istnieje i gdzie indziej budowaną być musi, wreszcie o tym, jak straszne sceny w niej się rozgrywały.

Gdy dojechaliśmy do ulicy Wolskiej, w jedynym budynku, który z tej ulicy na przestrzeni kilku kilometrów pozostał, był posterunek gestapowy, który przejrzał dokumenty nasze. Dopiero, wjeżdżając dawną ulicą Chłodną i Elektoralną na plac Bankowy, mieliśmy już przed oczyma to, jak Warszawa faktycznie wygląda: domy stały niby to w dwóch rzędach i widziane z daleka robiły wrażenie miasta, gdy jednak się do nich podjeżdżało, widocznym się stawało, że są prawie wszystkie wewnątrz wypalone, tak że tylko mury pozostały, bez dachów, z kominami boleśnie sterczącymi ku niebu. Gruzy pokrywały chodniki, na jezdni leżały powywracane tramwaje, a co kilkaset metrów na poprzek ulicy zbudowane barykady z kamieni, belek, tramwai i wszystkiego, co pod rękę tylko wpadło — barykady te tylko na szerokość potrzebną dla przejazdu samochodu usunięte były i przedstawiały jeszcze zupełnie wyraźny obraz rozegranych przy nich walk. Plac Teatralny przedstawiał obraz zupełnej ruiny — z jednej strony Teatr Wielki zniszczony znacznie więcej niż poprzednio, z drugiej kościół Kanoniczek z ich domem, zupełnie zrównane z ziemią, a budynek ratusza i pałac Blanka wewnętrznie zniszczone zupełnie, a których mury jeszcze stały. Przejeżdżając w stronę placu Zamkowego widzieliśmy ulicę

Miodową w zupełnej ruinie i tzw. kamienicę Resslera* zrównaną z ziemią — na Stary Rynek, tzw. w czasie powstania „Starówkę", wjazd był niemożliwy z powodu prawdziwych gór gruzów, którymi ulica Świętojańska i Rynek były zawalone. Pomiędzy nimi katedra, która wraz z kanonią uległy zupełnemu zniszczeniu. Kolumna Zygmunta została zwaloną, a postać króla u jej stóp leżąca, wyglądała przygnębiająco w tym strasznym otoczeniu ruin i barbarzyństwa. Wracając Krakowskim Przedmieściem, zauważyliśmy pomniki Mickiewicza i w perspektywie księcia Józefa stojące, ten ostatni na tle pałacu Brühla zupełnie rozwalonego. Jedynie kościoły Karmelitów i Wizytek aczkolwiek uszkodzone, ale nawet posiadały dachy. Dopiero kościół św. Krzyża, tak każdemu warszawiakowi drogi, przedstawiał widok pod wieloma względami gorszy od wszystkiego innego: dach zwalony, wieże obcięte, a tak piękna brązowa postać Chrystusa niosącego krzyż, dłuta Pruszyńskiego, leżąca na bruku przed kościołem wyciągała w niebo rękę!

Ten widok zrobił na nas wstrząsające wrażenie. Obok pomnik Kopernika dłuta Thorvaldsena zrzucony z cokołu był bez głowy, a głowa ta spoczywała obok korpusu. Nowy Świat do reszty zniszczony, a kościół św. Aleksandra rozwalony bez jednej wieży i z kopułą do połowy zwaloną, świecącą swym wnętrzem. Dopiero czworobok położony pomiędzy Alejami Ujazdowskimi, Piękną, Marszałkowską i Alejami Jerozolimskimi wyglądał jakby trochę oszczędzony przez falę zniszczenia, ale i tutaj były całe grupy domów rozwalone przez bomby lub zupełnie spalone.

Wygląd miasta ogólny był okropny, robiło ono wrażenia miasta umarłych, na ulicach którego jak hieny lub duchy od czasu do czasu widziało się ludzi zaopatrzonych w nieodzowne worki, świece i łopaty dla poszukiwań odbywanych głównie w piwnicach domów, gdzie w razie nieodnalezienia rzeczy własnych grabiono obce, byleby jak najwięcej unieść lub wywieźć łupu, poszukiwanie którego nadawało im wszystkim ów wyraz niepewności, bandycki najczęściej. Byłem tak obrzydzonym tym, co widziałem, że przyjechawszy przed dom, gdzie miałem swe mieszkanie, i skonstatowawszy, że rzeczy najcenniejsze dla mnie, bo dokumenty i książki, zginęły, nie zabierałem już nic ze sobą z rzeczy innych także, nawet i cennych, bojąc się, by mnie nie zaliczono do tych,

którzy szukaniem łupu się zajmują. W alei Niepodległości, gdy tam zajechaliśmy, by dla jakiegoś szpitala dostać narzędzia chirurgiczne, spadł na środek jezdni w odległości około stu metrów od nas ciężki pocisk sowiecki, zrobił lej wielki, ale nikomu krzywdy jakoś nie wyrządził, takich padło kilka w czasie kilku godzin naszego pobytu w mieście. Zdawało się, że bolszewicy przypominają się jakby pamięci miasta, którego zniszczenie było przecież ich winą także. Późnym wieczorem wracaliśmy do Pruszkowa i Milanówka, rozważając wrażenia nasze odniesione z tego, cośmy widzieli. Były one różne, więc ja odniosłem wrażenie, że stan miasta widziany przez nas nie był takim, jak go nam opisywano, jezdnie były prawie wszędzie w porządku, kanalizacja również, a wiele budynków dałoby się na pewno jeszcze przynajmniej częściowo uratować, gdyby się przystąpiło, nie tracąc czasu, do ich zabezpieczenia. Na oko licząc, wnioskowałem, że około 20–25% substancji jeszcze da się uratować, a to przy obliczaniu wartości przedstawianej przez nią stanowiło jeszcze dużą wartość, której przekreślić nie wolno. Naturalnie wstręt wielki budził w nas konstatowany przez nas bandycki sposób ratowania mienia lub zagarniania sobie cudzego, lecz gdy wziąć pod uwagę to, co społeczeństwo przeżyło, i tak wielką nędzę wielu, nie można bez licznych zastrzeżeń powiedzieć, by społeczeństwo polskie, dotknięte tak straszną klęską, mogło być w czambuł potępione za swe zachowanie się — przeciwnie, słyszeliśmy tak wspaniałe opowiadania o czynach bohaterskich młodzieży i niemal dzieci, że raczej przerażeni wielkością nieszczęścia i podniesieni na duchu skonstatowaniem wybuchu niebywałego bohaterstwa, wracaliśmy zgnębieni, ale raczej tym, że tyle tego bohaterstwa i tyle tej młodzieży najlepszej zginęło bezpożytecznie dla całej sprawy, dla której jeszcze tyle potrzeba, by jakiegoś znośnego doczekać się końca. Powróciwszy do Milanówka w gronie licznym, ale bardzo wybranym, zdawałem sprawę z tego, co widziałem i do jakich doszedłem wniosków. W jednym zgadzali się wszyscy, że bohaterstwo, którego powstanie warszawskie było terenem, nie ma równych w dziejach świata, przyćmiewa Termopile, ale i zbrodnia popełniona przez tych, którzy do powstania dopuścili, a cóż dopiero wzięli na siebie danie rozkazu, by do niego przystąpić, przechodziła swą wielkością wszystkie dotychczasowe

zbrodnie na żywym ciele Polski w ciągu jej dziejów dokonane. Zastanawiano się tylko, czy ofiara poniesiona przyniesie owoce z jej rozmiarami idące w parze — nie wierzono temu, chociaż już słyszało się głosy, że jeżeli nie można naprawić już doznanego zła, to przynajmniej należy się starać, by zrozumienie ofiary poniesionej przez Polskę nie zostało stłumionym, a przeciwnie, by sumienie tego świata, tak mało wrażliwe na ofiary ponoszone, się wreszcie ocknęło. Cudownie mówił ze mną o tym ojciec Tomasz Rostworowski, młody jezuita pełen ognia i świętego zapału, wyratowany niemal cudem z otchłani powstania i przekonany o tym, że dobro nie może przepaść i że będzie na szali losów Polski policzonym!

Do Krakowa wróciliśmy dnia 23 października wieczorem, odbywając drogę do odbytej w odwrotnym kierunku podobną. Nie obliczoną ona była na wytrzymałość człowieka tak, niestety, wycieńczonego i słabego jak ja.

W Krakowie zastałem cały szereg spraw nowych nabrzmiałych bardzo i do interweniowania z mej strony całkowicie dojrzałych — do nich poza koniecznością rozmówienia się zasadniczego z RGO o tym, co z Warszawy przywiozłem, należała także sprawa budowy szańców obronnych przeciwko bolszewikom, która coraz potworniejsze przybierała kształty, i druga sprawa, usuwania z mieszkań z początku tych wszystkich, którzy zdaniem władz w Krakowie byli zbyteczni, a która potem ostrzem swym głównie przeciwko warszawiakom zbyt licznie przybywającym do Krakowa się zwróciła.

Z RGO po przedstawieniu całej sprawy szeregowi mych najbliższych przyjaciół postanowiłem tak rzecz pokierować, by być zaproszonym na posiedzenie Rady i jej przedstawić spokojnie, ale bardzo zdecydowanie wszystko, co widziałem i słyszałem. Gdy się z tym zwróciłem do pana Tchórznickiego, naznaczył on takie posiedzenie Rady RGO na dzień 27 października na godz. 5^{30} po południu.

Pierwszy to raz po rocznym równo odstępie czasu byłem znowu na posiedzeniu Rady w nowym co prawda jej składzie, bo nie było prof. Woltera, a na jego miejsce przyszedł pan Dunin, człowiek płytki, a bardzo zarozumiały, zaś dla mnie było to nowością

widzieć Radę obradującą w lokalu nowym w gabinecie prezesa na ul. Krowoderskiej. Atmosfera, którą tam zastałem, tak odbiegała od tego, do czego w ciągu lat przywykłem, że czułem się dziwnie niedobrze, tym bardziej gdy musiałem poruszać sprawy tak drażliwe jak te, które z protestami złożonymi na me ręce były związane. Zdawało mi się, że potrafiłem siebie dostatecznie opanować, by nie pokazać po sobie, jakie wrażenia we mnie nurtują, przedstawiłem chronologicznie to, co widziałem i co mnie powiedziano, wreszcie, nie wyciągając wniosków osobistych żadnych, zreasumowałem to wszystko prosząc, by Rada się zastanowiła nad tym, jak sytuację wprost groźną dla jej opinii ratować. Podobne sprawozdanie do mojego i nie wiem, czy nie w ostrzejszym utrzymane tonie, przedstawił pan Skrzyński, który prawie równocześnie ze mną był jako wysłannik RGO Centrali w okolicach Warszawy — zdawało się, że rzecz właściwe kształty narady nad bolączkami do zażegnania w Radzie przyjmuje, gdy tymczasem pan Dunin uważał za właściwe głos zabrać. Nie poddając właściwej analizie wypadków i faktów przeze mnie przedstawionych, zwrócił się on pod moim adresem z zarzutem, że ja powinienem się nad tym zastanowić, czy ja nie mam w tym wszystkim swej winy, bowiem jest jemu wiadomym, jak dalece ja odnoszę się krytycznie do działań Rady, a w szczególności do osoby jej prezesa, którą on musi bronić. Po wysłuchaniu pierwszych kilku zdań prosiłem przewodniczącego o udzielenie mi głosu w sprawie formalnej i gdy mi został udzielonym, zwróciłem się pod adresem prezesa i oświadczyłem, że wszystko, co pan Dunin powiedział, uważam za kłamstwo i proszę przewodniczącego, by kazał wyrzucić go za drzwi. Zdetonowanie wszystkich było wielkie, pan Dunin zaczął coś bąkać, a potem zamilkł — ja zaś, przeszedłszy do tematów uprzednio przeze mnie poruszonych, wypowiedziałem jeszcze zdań kilka i wtedy poprosiłem przewodniczącego o zwolnienie mnie z dalszej obecności na posiedzeniu. Wstałem i wyszedłem, zaś pan Tchórznicki, odprowadzając mnie, prosił o przebaczenie za zachowanie się niewłaściwe wobec mnie jednego z członków. Wieczorem otrzymałem sprawozdanie z dalszego przebiegu posiedzenia i burzliwego ataku wszystkich na pana Dunina za zachowanie się wobec gościa. Pan Tchórznicki zaś następnego dnia rano przyszedł do mnie prze-

prosić w imieniu swoim i Rady za przykry incydent, który miał miejsce pomiędzy mną i panem Duninem. Ponieważ ten ostatni za pośrednictwem pana Tchórznickiego przeprosił mnie za to, co powiedział, i wszystko cofnął, uważać musiałem za wyczerpaną sprawę całą, a satysfakcję mi udzieloną za zupełnie wystarczającą. Tak więc zakończył się jedyny mój udział w posiedzeniach Rady od czasu mej dymisji — muszę przyznać, że niesmak wielki pozostać musiał i z nim związane postanowienie niemieszania się więcej do spraw instytucji, która co prawda przeze mnie w wielkiej mierze stworzona, po odejściu moim na zupełnie inne, niż sobie to wyobrazić mogłem, zeszła tory.

W sprawie budowy szańców musiałem wiele przedsiębrać kroków, nawet ryzykownych, nim mi się udało cośkolwiek uzyskać. Niemcy bowiem operowali stworzonym przez siebie pozorem, że na roboty te wszyscy szli dobrowolnie. Na każdej kartce, która była wydawana jako dowód, że ktoś swój obowiązek „obywatelski" w tej dziedzinie wypełnił, widniało na pierwszym miejscu skonstatowanie, że do roboty się stawił dobrowolnie — i faktycznie rzecz ta miała pozory prawdy, gdy bowiem roboty rozpoczęte jeszcze w lipcu były prowadzone, gdy było jeszcze ciepło, a pracującym łącznie z pewnym wynagrodzeniem dawano w dodatku wódkę, wielu ochotników stawiło się codziennie rano na miejscu zbiórki przed Dworcem Głównym kolejowym, by wyruszyć w gronie dobranych sobie towarzyszy i towarzyszek na miłą wycieczkę poza miasto, nie myśląc naturalnie o żadnej pracy tylko o rozrywce. Gdy jednak przyszła jesień i roboty nie ustawały, zaś do nich zaczęto brać przymusowo, zamykając całe warsztaty pracy, grożąc przy tym karami za uchylanie się, sprawa zaczęła przybierać tragiczny prawie wygląd. Deszcz lał, buciki się niszczyły wraz z ubraniem w sposób straszliwy, bo nieraz, by dojść do miejsca robót, trzeba było iść kilometry całe — wreszcie marznięcie i zaziębienia stawały się powodem poważnych chorób wtedy, gdy warsztaty pracy stawały, a o leczeniu i pomocy w medykamentach nie było mowy. Szkoły więc w składzie swych klas wyższych, urzędnicy z biur i ci, którzy musieli zamykać swe warsztaty i iść do pracy, tracąc swój zarobek, zaczęli tłumnie

zwracać się do mnie, bym tę plagę zażegnał lub co najmniej coś postarał się ulżyć w jej stosowaniu.

Znowu więc rozpoczęły się pielgrzymki do pana Schindhelma, który na razie nie wykazywał najmniejszej ochoty mieszania się do tej sprawy, którą pod rubrykę patryjotycznego wysiłku polskiego wolał podciągać. Sprawa jeszcze bardziej się skomplikowała, gdy w pierwszych dniach listopada wypłynęła sprawa dobrowolnego zaciągu do organizacji pomocniczych przy armii niemieckiej, przy pomocy której to organizacji liczono uzyskać odpowiednie zastępy robotników polskich dla robót ziemnych i innych. W sprawie tej, o której się dowiedzieliśmy przypadkowo od drukarni, w której drukowano odpowiednie plakaty z odezwą do Polaków, postanowiliśmy zająć stanowisko kategorycznie negatywne. Mnie polecono umotywować je władzom. Uczyniłem to w obecności panów Bocheńskiego i Rogowicza, oświadczając panu Schindhelmowi, że mowy być nie może o powodzeniu sprawy, którą poborem nazywaliśmy wtedy, gdy robotnik polski w Rzeszy jest traktowany jak parias i pozbawiony praw przysługujących robotnikom innych narodowości, że na to, by o wojsku mówić kiedykolwiek można było, musi być stworzone odpowiednie polityczne podłoże i istnieć czynnik polityczny także, który dla wojska tego by był oparciem — skończyłem tym, że jestem ja i moi przyjaciele pewni zupełnego fiasca w tej sprawie i przed nim ostrzegamy energicznie. Niestety, władze wojskowe niemieckie nie dały sobie tego wytłomaczyć i fiasco to szybko stało się faktem pozytywnym dla władz tych i szczególnie ich ambicji bardzo boleśnym.

Gdy to stało się faktem potwierdzającym dobitnie słuszność twierdzeń naszych, udało mi się w jednej z następnych rozmów z Schindhelmem od niego osiągnąć, by sprawę uporządkowania krzywd wyrządzanych przy braniu robotników do budowy okopów powierzył dwom panom Kolfowi i Krausowi, którzy wiele dobrej woli w tym wykazali. Jeden i drugi byli ludźmi uważającymi za rzecz konieczną tam, gdzie się tylko da i póki czas po temu, uporządkować stosunki władz niemieckich z Polakami przez usunięcie krzywd i kasowanie zarządzeń jaskrawo niesprawiedliwych.

Po doprowadzeniu sprawy okopów do jakiego takiego porządku pan Kolf, wysłuchawszy ode mnie wiele bardzo drastycznych uwag krytycznych o postępowaniu władz Rzeszy z robotnikami polskimi wyraził w rezultacie gotowość interweniowania w centrali spraw robotniczych w Berlinie, gdzie, jak utrzymywał, posiadał po temu odpowiednie stosunki i możliwości. W niespełna tydzień od tej rozmowy zakomunikował mi pan Kolf, że referent dla spraw polskich w Reichssicherheitsamcie w Berlinie dr Strickner został wyznaczonym dla rozmówienia się ze mną i wyraził życzenie spotkania się ze mną dla należytego omówienia wszystkiego. Ponieważ to spotkanie projektował w Berlinie, uważałem, że nie powinienem tam jechać, by komentarzy jakichkolwiek politycznych do mej jazdy nie zechciano przyczepiać, skorzystałem z dobrej woli ks. Bogdana Druckiego-Lubeckiego, który się ofiarował pojechać w mym zastępstwie i li tylko dlatego, by pana Stricknera nakłonić do przyjazdu do Krakowa, gdzie uważałem, że narady odbyć się muszą, chociażby z tego względu, by stworzyć sytuację, w której delegat niemiecki do nas, a nie my do niego przyjeżdżamy. Ks. Lubecki misję swą wykonał doskonale, bowiem dr Strickner zgodził się na przyjazd z Berlina w dniach najbliższych na konferencję z nami.

Przyjazd ten nastąpił już w dniu 5 grudnia. Pan dr Strickner okazał się człowiekiem jeszcze młodym, był fachowcem w sprawach opieki społecznej, bardzo energicznym, ale w dotknięciu bardzo nieprzyjemnym — na kilkogodzinnej konferencji z nim, którą prosił, by mógł mieć wyłącznie ze mną, zaczął od tego, że właściwie on w imieniu władz niemieckich nie ma specjalnego zainteresowania w tym kierunku, by stosunki z robotnikami polskimi, które ogólnie układają się dobrze, w jakikolwiek sposób zmieniać i w ten sposób wprowadzać w nich niepożądane wstrząsy. Gdy to usłyszałem, a od razu wyczułem, że jest człowiekiem, z którym tylko kategoryczne mówienie może dać pozytywny rezultat, replikowałem, że nie rozumiał on, że wytworzenie na przyszłość sytuacji, w której Polacy w Niemczech, robotnicy, więźniowie i uchodźcy zmuszeni będą zyzować w kierunku Wschodu, chyba jest dla Niemców dostatecznie niebezpieczne, by takie jego oświadczenie nie miało żadnych faktycznych podstaw. Dr Strickner zrozumiał od razu, że

mam rację i już bez żadnych zastrzeżeń przyjął w zasadzie wszystkie punkty proponowane mu przeze mnie, a które dotyczyły przede wszystkim robotników, a następnie ludzi wysiedlonych z Warszawy — co do więźniów politycznych, ponieważ wszelkie decyzje zależne były od wydziału politycznego Gestapo, obiecał on we wszystkim jak najenergiczniej pomocy udzielić, ale sam decydować, jak mówił, nie miał prawa. Punkty, na które została uzyskana aprobata, były następujące: na czele ich postawiłem sprawę uprawnienia robotników do tego wszystkiego, co robotnicy innych narodowości, jako należne im prawa, posiadają — nie precyzowałem zbyt dokładnie tego punktu ze względu na to, bo rozumiejąc, że koniec wojny się zbliża i żądanie wszystkich uprawnień byłoby może technicznie niewykonalnym, mieć przede wszystkim zasadniczą zgodę na równouprawnienie robotników polskich i skasowanie litery P, którą nosić musieli, a ona ich godności ubliżała. Z powyższego wynikało naturalnie pozwolenie na uczęszczanie na nabożeństwa katolickie w kościołach i korzystanie z pomocy religijnej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Następnie wysunąłem konieczność korzystania robotników polskich z prawa interwencji na ich korzyść przez Polaków do tego specjalnie upoważnionych i których zainstalowanie się i utworzenie coś w rodzaju biur specjalnych w największych skupiskach Polaków w Reichu stawało się nieodzownym. Ten punkt jednak nie bez trudności udało mi się przeprowadzić, bowiem interwencja zdawała się drowi Stricknerowi rzeczą jakby stanowiącą zamach na stan posiadania niemiecki i władzę niemiecką nad robotnikami polskimi. Pozostawały rzeczy drobniejszego znaczenia, jak sprawa ewidencji i finansowej pomocy oraz podwyższenia płac. Tak więc z drem Stricknerem doszedłem po paru godzinach intensywnej pracy do zupełnego porozumienia, które nam jeszcze przez pana Kolfa w obecności panów Rogowicza, Lubeckiego i senatora Jundziłła było kategorycznie i solennie w imieniu dra Stricknera potwierdzonym. Chodziło teraz o to, kiedy wszystko umówione wprowadzonym zostanie ostatecznie w życie i kiedy pierwsze oficjalne dekrety w tej sprawie tak ważnej zostaną ogłoszone. Dr Strickner obiecywał uczynić to na Święta Bożego Narodzenia lub termin Nowego Roku, z tym, że zaraz potem w składzie przygotowanego przez nas personelu pojedziemy najpierw do Berlina

i stamtąd już na ostatecznie ustalone placówki wyruszymy dla ich objęcia pod polską opiekę i kierownictwo.

W tej więc sprawie cały miesiąc grudzień był przez nas poświęconym na przygotowanie odpowiedniego personelu, który sprawą robotniczą w Niemczech byłby w stanie naprawdę porządnie się zająć. Kandydatów na ten wyjazd i wykonanie tego zadania nie brakło, trzeba było pomiędzy nimi wybrać najbardziej odpowiednich i wziąć się zaraz do przeszkolenia ich w tym przede wszystkim kierunku, by w sprawach dotyczących przepisów istniejących obecnie dla robotników polskich i tych, które obowiązują robotników innych narodowości, być świetnie obeznanym, by praw rodaków naszych umiejętnie i z pełną znajomością rzeczy móc bronić. Obliczaliśmy personel potrzebny na około osiemdziesiąt osób, by najważniejsze punkty, których Ukraińcy mieli dwadzieścia siedem, w przybliżeniu tak samo obsadzić, i uwzględniając centralę, którą na razie chcieliśmy mieć w Krakowie, a w razie gdyby bolszewicy mieli już na serio grozić, zamierzaliśmy przenieść do jednego z miast w Rzeszy centralnie położonego.

Praca około przeszkolenia postępowała szybko i wyłaniała zupełnie pierwszorzędny skład ekipy, przeznaczonej dla pracy w Rzeszy, ja zabiegałem jednocześnie o przygotowanie dla nich wszystkich odpowiednich dokumentów, które panowie Kolf i Schindhelm wspólnymi siłami starali się jak najszybciej wystawić, w czym napotykali stale na trudności stawiane przez miejscowe władze, nie chcące wierzyć, by władze centralne w Berlinie na nie się godziły. Ja osobiście zamierzałem, puściwszy maszynę całą organizacyjną w ruch, w razie zajęcia Krakowa przez bolszewików pozostać w Krakowie, nie uśmiechała mnie się bowiem tułaczka i oddzielenie od rodziny, a z drugiej strony, logika mnie mówiła, że jako ten, który był przez Niemców więzionym i sądzonym, nie powinienem być chyba narażonym na prześladowanie ze strony sowieckiej.

Jakże byłem naiwnym w takim ocenianiu sytuacji — na szczęście sami bolszewicy uważali za właściwe wyprowadzić mnie z błędu — oto bowiem w dniu 17 grudnia radio sowieckie „Kościuszko" podało do wiadomości naszej przez kilkakrotne

ogłoszenie, że Adam Ronikier prezes RGO jest wrogiem Nr 1 ludu polskiego. To ogłoszenie przez radio zakomunikowane mi z wielu stron przeważyło szalę, nie tylko szereg przyjaciół i rodzina, ale i mój rozsądek doszli zgodnie do wniosku, że w takich warunkach pozostawać w kraju, ryzykując w mym stanie zdrowia męki i zesłanie na Syberię, jest rzeczą co najmniej lekkomyślną, gdy jeszcze w sprawie takiej, jak pomoc robotnikom polskim w Niemczech, mogę być jeszcze przydatnym. Zapadło więc postanowienie, że z chwilą, gdy bolszewicy by mieli Kraków opanować, wyjadę, jak się wyrażałem na trzy minuty przed wejściem bolszewików, zaś do tego czasu, którego nikt nie przewidywał, by wcześniej jak w jakim miesiącu marcu r. 1945 miał nastąpić, zamierzałem pracować możliwie spokojnie i planowo nad tym, by sprawę robotniczą uruchomić i ze społeczeństwem polskim, które miało być pozostawionym swemu czarnemu losowi i narażonym na nowe może jeszcze straszniejsze niż dotąd próby, wspólnie jeszcze obmyśleć, co należy uczynić na miejscu i zawczasu, by losowi jego ulżyć, a także co my, opuszczający go, winniśmy wziąć na siebie, by poza granicami kraju dla niego skutecznie pracować. Zagadnienia do rozwiązania były liczne, nastroje, w których się je rozważało, nader różne, a nawet często sprzeczne zupełnie, niemniej szereg zebrań, urządzanych przeze mnie każdej niedzieli do połowy stycznia, był wypełniony treścią, która, mam przekonanie, wielu, a mnie przede wszystkim, wiele zdrowych myśli wykrystalizowała i wlała pewną dozę spokoju, jeżeli o takowym można myśleć w warunkach porównywanych przeze mnie do uczucia, które musi odczuwać chory, uratowany po przebytym groźnym tyfusie plamistym, gdy się dowiaduje, że czeka go niechybnie cholera, i zachodzi pytanie, czy organizm jego zdolnym będzie do wytrzymania tej nowej próby. Jedno z zebrań poświęciłem zrobieniu wspólnie z licznie zgromadzonymi przedstawicielami niemal wszystkich ugrupowań pracujących z nami rachunkowi sumienia, obejmującemu wszystkie zagadnienia związane z obowiązkami, które na nas jako członkach społeczeństwa ciążyły. Rachunek ten sumienia wypadł dla przeciętnego obywatela wszystkich klas społeczeństwa polskiego w tym, co się dotyczy spełnienia przez niego obowiązków społecznych i politycznych bezwarunkowo i wyjątkowo dodatnio —

miałem odwagę powiedzieć, że poznawszy przy mej pracy społeczeństwo polskie z bliska i we wszystkich jego warstwach, jestem przekonany, że 90% tego społeczeństwa stanowi doskonały materiał na obywateli ofiarnych i karnych, niestety, nie mogłem tego skonstatować w odniesieniu do kierownictwa, które zaufania jego nadużywało, szafując bezplanowo jego krwią i wymagając ofiar nad siły, których wyczerpanych ponad wszelką miarę może zabraknąć wobec nowej groźnej próby.

Opuszczając kraj w czasie, który zdawał się zbliżać coraz bardziej wobec zbliżającej się nawałnicy bolszewickiej, wydałem odezwę do społeczeństwa polskiego, w której starałem się w słowach prostych i szczerych przedstawić te myśli, które nami opuszczającymi kraj kierowały przy pobieraniu tej niezmiernie ciężkiej decyzji, brzmiała ona:

Po pięciu latach niewoli, niosącej rozkład wszelkiej siły politycznej Narodu, dezorganizację jego struktury socjalnej, zniszczenie jego potencjału twórczego i obezwładnienie samodzielności kulturalnej —

po pięciu latach niewoli, znaczonej długim pasmem cierpień fizycznych i duchowych, ubytkiem najlepszych nieraz synów Narodu i załamaniem najmocniejszych wiązadeł moralnych —

po pięciu latach niewoli, poniżającej Naród w jego godności, znieczulającej we wrażliwości moralnej, zatruwającej go nienawiścią i pchającej do tragicznej jednostronności politycznej —

gdy jedyną ostoją psychiczną i dźwignią duchową była nadzieja usunięcia pęt, nadzieja żywa zawsze i w czasach największych nawet zwycięstw zaborcy — nadzieja żywa i dająca życie, a podsycana tak często i mocno oparta nie tylko na pragnieniach, lecz i na przyrzeczeniach —

dziś oto, kiedy Naród Polski czuł już, że nadzieje jego nareszcie mają się urzeczywistnić, że nareszcie staje przed nim wytęskniona w pięcioletniej męce niepodległość, nagle uderza w niego przerażająca świadomość, że zamiast wolności przychodzi nowa niewola — niewola drugiego zaborcy!

Ten straszliwy cios rzeczywistości prosto w pełne najpiękniejszych nadziei serce załamał wszelką równowagę duchową,

wszelką też zdolność myśli i czynu politycznego, grążąc naród w odruchy rozpaczy lub beznadziejną rezygnację.

Przez pięć lat byliśmy wśród niego, znając i dzieląc jego cierpienia — każdy wedle sił i możności — w najtrudniejszych okolicznościach czynem i radą starając się ulżyć tym cierpieniom, uniknąć nowych, podtrzymać myśl pozytywnej, mimo wszystko, pracy — chronić społeczeństwo od zwątpienia w siebie, w pomoc wzajemną ludzi i Opiekę Boską.

Wiedzieliśmy jednak od dawna, że gdyby miał przyjść na ziemie nasze drugi zaborca, i to nawet, co było, stanie się niemożliwym nie tylko w jawnej, ale i tajnej formie — bo drugi zaborca usunie bez reszty wszystko, co mu stanie na drodze wiodącej do zniszczenia społeczeństwa polskiego, jako samodzielnego narodowego bytu, tak jak to czynił zawsze i wszędzie.

Panowanie Rosji w Polsce, przeciw któremu walczyło kilkanaście pokoleń Narodu Polskiego, ma dziś najgroźniejsze, jakie kiedykolwiek miało, narzędzie w postaci bolszewizmu. Przenikając wszędzie, gdzie powstaje chwilowa choćby moralna czy polityczna szczelina, a rozpierając ją, stwarza bolszewizm dookoła siebie potworną pustkę — panowanie więc Rosji dzisiaj niesie ze sobą po prostu zagładę Narodu Polskiego! Jest groźniejsze od niemieckiego jeszcze przez to, że w świadomości wszystkich, nawet wielu Niemców, tamto było tylko okupacją, gdy Rosja sowiecka przychodzi do nas jako zdobywca trwały, jako twórca nowego porządku i z tym godzi się nawet otumaniona, zdezorientowana przez przejścia lat ostatnich i męki przebyte, część naszego własnego społeczeństwa!

Większość jednak nie uznaje tego, a gdy wszystkie obsłonki zostaną przez Sowiety zrzucone, będzie się buntowało przeciw temu całe społeczeństwo bez względu na to, jak nikła będzie dlań wówczas możność uzewnętrznienia tego — będzie się buntowało całą głębią swego przekonania przeciw gwałtom, które Polsce podstępnie zadano.

Dla nas to, co się dzisiaj dzieje, nie jest niespodzianką — nie możemy też czekać, jak na coś niewiadomego, na dalszy bieg wypadków. Gdy nadejdzie chwila, w której dla wszystkich stanie się jasnym to, o czym my dziś już wiemy, wówczas jakikolwiek głos społeczeństwa w kraju będzie już zdławiony, a na stworzenie

możliwości podniesienia go za granicą będzie już za późno. Dlatego uważamy za nakaz sumienia narodowego stworzyć możność tę już dzisiaj i w tym celu postanowiliśmy Ziemię Ojczystą opuścić.

Wobec lojalnych sprzymierzeńców Polski, wobec narodów wolnych i niezależnych, wobec narodów umęczonych rozpętaną przez Niemców i bolszewików burzą, wobec sumienia świata, które może jeszcze zapali Boża Ręka, chcemy głosić prawo życia Narodu Naszego!

Dziewięciu milionom Polaków poza granicami kraju chcemy nieść ostatnie pozdrowienie kraju przed zapadnięciem nowej ciężkiej nocy i podtrzymanie we wspólnej walce o jasne jutro, w które pomimo wszystko niezłomnie wierzymy.

Wychodzimy z Ziemi Polskiej, by iść ku Polsce, Polsce prawdziwie wolnej, którą oby Bóg nam pozwolił oglądać!

W dniu 17 stycznia 1945 r. otrzymałem o 2-iej w nocy niespodziewaną wiadomość, że jeżeli do godz. 6-ej rano nie opuszczę Krakowa — około 7-ej będą już w mieście bolszewicy, którzy marszem nieoczekiwanym na Częstochowę potrafili go okrążyć. W tempie niemal błyskawicznym starałem się po nocy powiadomić mych towarzyszy — niestety, niewielka ich liczba zdążyła razem ze mną wczesnym rankiem wyjechać.

Aneks

*Do Stowarzyszenia Arkonia w Londynie**

Bardzo drodzy Koledzy,

Czuję się wobec Was bardzo winny, że Wasz wysiłek około utrzymania łączności między rozsianymi po niemal całym świecie kolegami, aczkolwiek w duchu bardzo gorąco popierany przeze mnie, nie doczekał się dotąd z mej strony czynnego współdziałania, jakie sobie obiecywałem, że będzie mym udziałem wtedy, gdy Bóg pozwoli, że do zdrowia na tyle powrócę, by i ten miły zresztą bardzo obowiązek móc wykonać należycie.

Bóg i zacni ludzie, których jakoś zawsze dzięki Jego łaskawości znajduję na swych szlakach życiowych, pozwolili mi obecnie powrócić do zdrowia na tyle, że poczytuję sobie za konieczne „doszlusować" do Waszych wysiłków.

Poczuwam się także do obowiązku poinformowania Kolegów o kilku spostrzeżeniach, które z pewnym narażeniem mej skóry zrobiłem.

Otóż stwierdzam, że gdy 6 września 1939 r. o godz. 7^{30} rano zajechał do mnie w Warszawie swym samochodem gen. Władysław Sikorski, gotowy do drogi w świat dla spełnienia tam swej misji, i zaproponował mi, żebym z nim razem jechał, zauważyliśmy zgodnie — choć każdy z nas chciał gorąco i bez wahania spełnić swój obowiązek wobec Polski — że pomiędzy nami istnieje zasadnicza różnica zdań co do wyboru dróg, którymi należy iść, by go wykonać.

On widział ją, i słusznie, w tym, by uruchomić już od lat przygotowywane przez siebie za granicą możliwości dla Polski — ja uważałem, że wszystkich innych obowiązkiem być powinno trwanie na posterunkach im wyznaczonych, by w kraju zachować największy możliwie ład i nie wydać go na pastwę nie tylko wroga, ale i naturalnego chaosu, który towarzyszyć

* List opublikowany w *Księdze pamiątkowej stulecia Arkonii 1879–1979*, Ryga–Warszawa–Londyn 1979, s. 135–139.

musi nawet pokojowym przemianom. Co innego wojsko i ci nieliczni z Rządu z Głową Państwa na czele, którym wyjazd za granicę dyktować musiała dobrze przemyślana racja stanu, a nie strach lub kariera osobista.

Stwierdzam więc, że ludzie wartościowi i mający poczucie odpowiedzialności za Państwo i Naród pozostali w kraju i z nimi mogliśmy razem i zgodnie pracować w okresie wojny, pomimo że byli w czasie pokoju członkami różnych stronnictw. Niestety, tylko do chwili gdy, spełniając swój święty obowiązek wobec Ojczyzny, większość z nich na Jej ołtarzu życie złożyła w ofierze.

We wspomnieniach mych należy się odpowiednie miejsce wizycie, którą za bytności mej w Siedlcach złożyłem pani Wandzie Chłapowskiej w Kossowie pod Sokołowem. Jako prezes Rady Głównej Opiekuńczej, uważałem za swój obowiązek odwiedzić ją, by złożyć hołd żonie i siostrze ludzi, którzy w pierwszych dniach wojny swe życie bohatersko ofiarowali na ołtarzu Ojczyzny. Z pełnych prostoty słów pani Chłapowskiej przytaczam opis tego, co już 8 września 1939 r. wydarzyło się w Kościanie, w Poznańskiem. Dnia tego zostali tam rozstrzelani zakładnicy polscy wzięci przez niemieckiego burmistrza, którzy, jako zadośćuczynienie za zabójstwo w okolicy Niemca, musieli oddać życie. Zakładników było 60. Gdy o tym dowiedział się pan Mieczysław Chłapowski z Kopaszewa, znany działacz społeczny, powziął on myśl razem ze swoim przyjacielem Janem Szołdrskim z Psarskiego, by życie swe ofiarować za uwolnienie zakładników. Z tą propozycją zwrócili się do burmistrza i po długich jego oporach stanęło na tym, że ten przyjął ich ofiarę, lecz w zamian za zwolnienie tylko 30 zakładników. Tego dnia pan Chłapowski, odmawiając głośno różaniec, pilnował kopania grobu dla siebie i swych towarzyszy, w którym wszyscy spoczęli z myślą o Bogu i Ojczyźnie. Czyn tych dwóch polskich obywateli ziemskich złotymi zgłoskami zapisanym być winien w pamięci Polaków.

Posłowie na Sejm i zasłużeni przywódcy partyjni: Rybarski, Niedziałkowski, Barlicki, Dębski, Aleksander Świętochowski, wybitni mężowie stanu i wielu innych, jak Rataj, marszałek Sejmu (byłem u niego w mieszkaniu w chwili jego aresztowania), lub premier Witos, są najjaskrawszymi przykładami tego, jak w ich pojęciu wyglądało spełnienie obowiązku wobec Polski. Gdy więc takie przykłady się widziało, a o tylu tysiącach się słyszało (18 tysięcy faktów cichego a wspaniałego bohaterstwa mieliśmy opisanych w kartotekach RGO), to niech różni politycy emigracyjni nie dziwią się nam, którzyśmy to widzieli z bliska, że nie jest w naszym guście ich postępowanie i sądy, które Polskę wobec obcych wystawiają na pośmiewisko po tym, czego Kraj dokonał tak wspaniale.

Po I wojnie światowej, w procesie wytoczonym przeze mnie Andrzejowi Niemojewskiemu, redaktorowi „Myśli Niepodległej", przed sądem

polskim, złożonym wyłącznie niemal z mych politycznych przeciwników, podając do ich wiadomości całą prawdę odnoszącą się do mej działalności politycznej, uzyskałem jednomyślny wyrok, skazujący go, zgodnie z mym oskarżeniem, za oszczerstwo, a to gdy odsłoniłem sądowi wszystkie karty i tajniki mej pracy, jako tego, który kierował Centralnym Komitetem Obywatelskim (CKO), potem organizował Radę Główną Opiekuńczą (RGO), a wreszcie był pierwszym przedstawicielem odrodzonego Państwa Polskiego w Berlinie, za co się dosłużyłem tytułu „germanofila" — u ludzi nie znających prawdy, a tworzących w każdym, nawet najzdrowszym społeczeństwie większość.

Toteż w tej wojnie, nauczony jakże bolesnym doświadczeniem, i będąc o tyle lat już starszym — przede wszystkim uważałem za konieczne uzależnić przyjęcie tak ryzykownego stanowiska, jak prezes RGO, od warunku, by czynny protektorat nad nią wziął w swe ręce najwyższy autorytet moralny, jakim był dla wszystkich Polaków Książę Metropolita Adam Sapieha.

To było dla mnie na razie najważniejsze, ponieważ wiedziałem, że bez tego oparcia, którego ów niezłomny Książę Kościoła łaskawie udzielał mi zawsze z niebywałą odwagą, bo Naród polski jeszcze bowiem wówczas nie orientował się, że różne być mogą sposoby uczciwej dla Niego służby*. Sądy miał on jeszcze zbyt odruchowe, chociaż w zasadzie mające na względzie sprawiedliwość.

Nie wszyscy wiedzieli, bo i wiedzieć nie mogli, że obowiązki, które z pełną Księcia Metropolity i najpoważniejszych „notabli", jak on ich nazywał, akceptacją spełniałem, uzyskiwały ich placet nie jako przedstawicieli stronnictw, ale jedynie jako uczciwych, odpowiedzialnych i odważnych Polaków.

Sformułowane przeze mnie, za zgodą Księcia Metropolity ogłoszone i ściśle przestrzegane przez cały czas mej działalności w RGO, następujące trzy zasadnicze tezy społeczno-politycznej natury brzmiały tak:

a) Bronimy substancji Narodu, Bogu pozostawiając opiekę nad Państwem.

b) Gdy podczas I wojny światowej budowaliśmy Polskę od kopuły, obecnie musimy wznosić Jej fundamenty przede wszystkim na cierpieniu i ofierze.

c) Dążymy do jedności narodowej przez solidaryzm klas, oparty na dziesięciu Bożych przykazaniach.

Te zasady, stwierdzić mogę, przyjęte były przez wszystkich w Polsce, z którymi RGO miała do czynienia, głoszone były na jej zjazdach jawnie i znane też były powszechnie.

---

* Tak w podstawie przedruku (przyp. red.).

Po wojnie, gdy kierowany bezwzględną lojalnością wobec władz naszych, dotarłem do Londynu, by im złożyć sprawozdanie z działalności RGO i dać świadectwo prawdzie, jak Naród polski w kraju zdał wspaniale ów egzamin dziejowy, który na niego Bóg zesłał, zdziwiony byłem niepomiernie, że o to sprawozdanie nikt tam nie zapytał, a według mnie był to jeden z wielkiej wagi elementów w naszej obronie i przyszłym ataku na zdemoralizowany świat.

Przywitanie u premiera Arciszewskiego, dawnego mego „przyjaciela i towarzysza pracy" czasu Rady Narodowej z I wojny światowej, było pozbawione wszelkiego zrozumienia sytuacji i wartości naszych wysiłków w Polsce.

Wierzajcie, drodzy Koledzy, że nie kieruję się w tej chwili, gdy słowa te formułuję, zawiścią.

Oświadczam dalej dla uspokojenia Kolegów, że należę do tych, którym przypadło w udziale słuchać nieraz zapytań najpoważniejszych rządowych i politycznych czynników amerykańskich na temat różnych osób, lecz z zasady odmawiam krytycznych wypowiedzi o moich rodakach. Nikogo również nie potępiam, bo nie mam do tego prawa, ale jak mnie uczyła Arkonia, sąd o nich mieć muszę. Inaczej zaplątałbym się natychmiast w sieć intryg i perfidnego postępowania naszych i obcych polityków, niestety, przypisujących sobie rolę mężów stanu, gdyż na to, by nimi być naprawdę, w tych czasach trzeba nie zdolności do intryg i chęci robienia kariery, ale przede wszystkim iskry Bożej, wiedzy historycznej i ekonomicznej, doświadczenia, wreszcie daru przewidywania oraz zrozumienia psychologii tych, których się chce dla swych celów pozyskać. Na zakończenie dodam, że jedynie prawda ujęta jasno spełnia zadanie.

Na prośbę jednego, podobno wybitnego, przedstawiciela Pentagonu, czybym nie zechciał mu w formie „sloganu" powiedzieć, co według mnie należałoby uczynić, by zażegnać kryzys światowy, odpowiedziałem bez wahania, że trzeba „zacząć na nowo przestrzegać Dekalogu w życiu, i to nie tylko prywatnym, ale także społecznym i politycznym". Wyrażał on później wielokrotnie chęć częstszych ze mną spotkań dla wspólnego zastanowienia się nad realizacją tej myśli. Niestety, choroba i zupełny brak środków stawały mi na drodze do wykonania tego, co narzucała mi logika i chęć służenia sprawie.

Boję się o objętość naszego przyszłego wydawnictwa, drodzy Koledzy, gdybyście zechcieli list ten w nim zamieścić, przeto dzisiaj na tym kończę. Gdyby jednak coś Was w działalności RGO lub mojej zainteresowało, to zajrzyjcie, proszę, do moich pamiętników. Chciałbym, gdy będą już w ostatecznej formie i gdy ukończę mój ostatni, może najważniejszy rozdział, pod tytułem „Próba syntezy mych przeżyć czasu II wojny światowej" — złożyć je w hołdzie Arkonii, którą kocham za to, że pod jej kierunkiem sądzonym mi było stawiać pierwsze kroki młodzieńcze i uczyć się chodzenia prostą drogą po terenie społecznym i politycznym. Wielką jej polityką było nie uprawiać czynnie polityki. A zawdzięczając jej tyle, poczuwam się do obowiązku zrewidowania pod koniec mego życia, dobiegającego kresu – raz jeszcze sumienia mego i naprawienia błędów i win, które każdy w walce zaangażowany, jak ja w niej byłem, znaleźć u siebie musi, bo jest tylko człowiekiem.

Pozdrowienia arkońskie zasyłam dla Was, drodzy Koledzy, wraz z życzeniami na święta i Rok Nowy, całym sercem oddany

Wasz Adam Ronikier
Cetus 1900 r.

Styczeń 1952 r.

Przypisy

opracował Jerzy Ronikier

do s. 11
Ratowanie substancji narodowej było jednym z głównych haseł ugrupowania aktywistów.

do s. 12
Pełny tytuł wydanej w 1919 r. w Warszawie broszury brzmiał: *W świetle prawdy. Kartki z przeżyć ostatnich lat.*

do s. 13
Maxime Weygand (1867–1956), od 1931 r. szef sztabu armii francuskiej, od 1940 r. naczelny dowódca i minister obrony w rządzie Philippe'a Pétaina. W 1942 r. został aresztowany i internowany na terenie Niemiec.

Maurice Gustave Gamelin (1872–1958), w czasie II wojny światowej (do 19 V 1940) naczelny dowódca armii francuskiej. Uwięziony przez władze Vichy.

do s. 14
Henryk Ronikier (1882–1948), młodszy brat Adama Ronikiera, zamieszkały na stałe we Francji, ożeniony z Francuzką. W lecie 1939 r. przyjechał do Warszawy, aby pokazać żonie Polskę, i tu zastała go wojna. Do Francji nigdy nie powrócił.

poilus (franc.) — zuchy; tak określano żołnierzy francuskich z I wojny światowej

Sojuszniczy układ polsko-brytyjski został podpisany 25 sierpnia.

do s. 15
Bitwa pod Kutnem była częścią największej bitwy kampanii wrześniowej, czyli bitwy nad Bzurą (9–18 września 1939). Symboliczna szarża polskich ułanów na niemieckie czołgi nie miała w rzeczywistości miejsca.

Generał brygady Walerian Czuma był dowódcą warszawskiego garnizonu, natomiast obroną Warszawy kierował generał dywizji Juliusz Rómmel.

do s. 16
17 września wojska radzieckie bez wypowiedzenia wojny wkroczyły na terytorium państwa polskiego. Była to realizacja paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r.

Polsko-radziecki układ o nieagresji został zawarty 25 lipca 1932 r.

Prezydent II Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki.

do s. 17
„Firma Rau i Loewenstein", a właściwie Akcyjne Towarzystwo Przemysłowe Zakładów Mechanicznych Lilpop, Rau i Loewenstein S.A. Jeden z największych zakładów przemysłowych Królestwa Polskiego i II Rzeczypospolitej. Założona w Warszawie w 1822 r. przez angielskich przemysłowców Evansów, przeszła w ręce Stanisława Lilpopa i Wilhelma Raua. Przekształcona w spółkę akcyjną (1873) z udziałem Leona Loewensteina. Towarzystwo produkowało wagony kolejowe, konstrukcje żelazne, silniki, sprzęt wojskowy i samochody. W 1944 r. zostało całkowicie zniszczone.

do s. 18
Od 1936 r. opiekę nad bezrobotnymi sprawował Ogólnopolski Obywatelski Komitet Zimowej Pomocy Bezrobotnym w Warszawie, w czasie wojny i okupacji jego obowiązki przejął Stołeczny Komitet Samopomocy Społecznej (SKSS), który skupiał osoby reprezentatywne dla politycznego przekroju społeczeństwa.

Związek Jedności Narodowej — jedno z ugrupowań konserwatywnych, które po śmierci Józefa Piłsudskiego podjęły starania, aby zjednoczyć opozycję polityczną w Polsce. Rezultatem tych działań były narady z Ignacym Paderewskim w celu stworzenia tzw. Frontu Morges.

do s. 20
Artur Śliwiński (1877–1953), działacz niepodległościowy, historyk, członek PPS, współpracownik Józefa Piłsudskiego. Premier rządu RP (28 VI – 7 VII 1922), senator (1935–1938). Po 1945 r. przebywał na emigracji.

Dr Witold Chodźko był delegatem Polski do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

do s. 22
Polsko-niemiecki układ o nieagresji został podpisany 26 stycznia 1934 r.

do s. 23
Hans Frank (1900–1946), doktor praw, jeden z bliskich współpracowników Adolfa Hitlera, w latach 1939–1945 na czele Generalnego Gubernatorstwa z siedzibą w Krakowie, zamieszkał na zamku królewskim na Wawelu. Skazany na śmierć jako zbrodniarz wojenny przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze.

do s. 24
Herbert Hoover (1874–1964), prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1929–1933.

Mowa tu o misji amerykańskiego Czerwonego Krzyża i Polish Food Commission, która przybyła do Warszawy w listopadzie 1939 r.

do s. 25
Zdzisław Lubomirski (1865–1943), polityk, działacz społeczny, prawnik, prezes Centralnego Komitetu Obywatelskiego (1915–1916), członek Rady Regencyjnej (1917–1918), prezes Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich.

do s. 26
Pierwsza Galicyjska Fabryka Sody Amoniakalnej Solvay, zbudowana w latach 1901–1906 przez Bernarda Libana w Borku Fałęckim w Krakowie. W 1909 r. została wykupiona przez międzynarodowy koncern chemiczny Solvay i przemianowana na Austriackie Zakłady Solvay, a w r. 1921 odsprzedana przedsiębiorstwu Solvay w Polsce, podlegającemu centrali w Brukseli.

do s. 27
Generalne Gubernatorstwo utworzone zostało przez niemieckie władze okupacyjne 26 października 1939 r. na części ziem państwa polskiego, które nie zostały wcielone do III Rzeszy; obejmowało dystrykty (województwa): kielecki, krakowski, lubelski, część łódzkiego i warszawskiego. W sierpniu 1941 r. przyłączono doń także tereny byłej zachodniej Galicji.

Hans Hartwig von Beseler (1850–1921), generał niemiecki, w latach 1915–1918 generał-gubernator Warszawy, realizator Aktu 5 listopada, na mocy którego została powołana Tymczasowa Rada Stanu.

W czasie I wojny światowej aktywiści warszawscy byli inicjatorami utworzenia Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), Adam Ronikier pełnił w niej funkcję prezesa Zarządu Głównego. Statut Rady został zatwierdzony 1 stycznia 1916 r.

do s. 31
Po utworzeniu przez Radę Regencyjną rządu Jana Kantego Steczkowskiego (4 kwietnia 1918) Adamowi Ronikierowi powierzono funkcję przedstawiciela Rady w Berlinie, którą pełnił do 11 listopada 1918 r.

do s. 34
Burg — zamek królewski na Wawelu, w czasie okupacji hitlerowskiej siedziba generalnego gubernatora Hansa Franka.

Janusz Franciszek Radziwiłł (1880–1967), ordynat na Ołyce, właściciel Nieborowa, przywódca stronnictw konserwatywnych, przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych (1928–1935), działacz społeczny i gospodarczy, prezes Aeroklubu RP i Yacht Klubu Polski.

do s. 38
American Jewish Joint Distribution Commitee, potocznie zwany Joint, stowarzyszenie Żydów amerykańskich utworzone w 1914 r. dla prowadzenia szerokiej działalności opiekuńczej.

Adam Czerniaków (1880–1942), inżynier, działacz gospodarczy, senator z ramienia BBWR, stał na czele Rady Żydów (Judenrat) w getcie warszawskim, odmówił podpisania zgody na deportację Żydów do obozów zagłady. Popełnił samobójstwo 23 lipca 1942 r.

do s. 40
Wydarzenie to przeszło do historii pod nazwą Sonderaktion Krakau. Pod pretekstem rozpoczęcia roku akademickiego aresztowano i wywieziono do obozów koncentracyjnych 183 osoby, w tym 144 profesorów i pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego i 21 pracowników Akademii Górniczej. 11 z nich zmarło już po pierwszym miesiącu pobytu w obozie. Wydarzenie to wywołało powszechne oburzenie opinii publicznej w Europie, co zmusiło Niemców do sukcesywnego uwalniania uwięzionych profesorów. Pierwsza partia 101 osób powróciła do Krakowa 8 lutego 1940 r. Ostatnie ofiary tej akcji

zostały zwolnione dopiero w listopadzie 1941 r., jednak część, zamęczona w obozach, nie powróciła nigdy do swych domów.

do s. 45
Stanisław Kot (1885–1975), historyk kultury i literatury, polityk, działacz ruchu ludowego, blisko związany z generałem Władysławem Sikorskim. W latach 1941–1942 ambasador rządu RP w Moskwie. Od 1947 r. przebywał w Wielkiej Brytanii, gdzie w latach 1955–1964 pełnił funkcję prezesa RN PSL.

do s. 47
Naczelna Rada Opiekuńcza (NRO), w której skład wchodzili przedstawiciele trzech społeczności objętych działalnością charytatywną (Polacy, Żydzi, Ukraińcy), była ciałem decydującym o rozdziale pomocy i rozstrzygającym wynikające stąd spory. Utworzenie NRO było rozwiązaniem kompromisowym w stosunku do inicjatyw podejmowanych przez te społeczności.

do s. 52
Michał Weichert (1890–1967), dyrektor Teatru Żydowskiego w Krakowie, przewodniczący powołanej w maju 1940 r. Żydowskiej Samopomocy Społecznej. Według niektórych źródeł (Bogdan Kroll), został zmuszony do przesyłania do Genewy fałszywych sprawozdań o rozdzielaniu transportów pomocy dla Żydów, mimo że w rzeczywistości przechwytywali je Niemcy. Społeczny sąd przy Centralnym Komitecie Żydów w Polsce, podczas rozprawy w 1945 r., oczyścił go z tych zarzutów.

do s. 54
Feliks Młynarski (1884–1972), ekonomista, profesor Wyższej Szkoły Handlowej UJ, współtwórca reformy walutowej Władysława Grabskiego. W czasie okupacji prezes Banku Emisyjnego w Krakowie.

do s. 55
Autor błędnie przypisuje katechecie z Łodzi funkcję rektora seminarium częstochowskiego.

do s. 59
Arkonia — konserwatywna polska korporacja studencka utworzona w Rydze w 1879 r. W 1920 r. w Warszawie członkowie korporacji stworzyli Związek

Filistrów Arkonii. Członkami stowarzyszenia byli m.in. generałowie Władysław Sikorski i Władysław Anders.

do s. 60
Rodzina Gorączko została rozstrzelana 29 czerwca 1940 r. w Krzesławicach.

do s. 68
23 lipca 1940 r., na mocy dekretu rządu GG o rozwiązaniu i delegalizacji wszystkich związków i stowarzyszeń, warszawski SKSS został włączony do struktur RGO, co powiększyło jeszcze wzajemne pretensje polityków Krakowa i Warszawy.

do s. 71
Alfred Wysocki, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny w Berlinie w latach 1931–1933, następnie ambasador w Rzymie.

do s. 82
Zgodnie z ustaleniami Bogdana Krolla, pieniądze złożone w banku amerykańskim nigdy nie zostały przekazane RGO. Prawdopodobnie zostały wycofane przez rząd polski w Londynie. Natomiast z sumy zdeponowanej w Szwajcarii zakupywane były produkty przekazywane do kraju.

do s. 102
Autor odwołuje się tutaj do propagowanego przez Kościół „pokoju bożego", sięgającej średniowiecza tradycji zakazującej starć zbrojnych od środy do poniedziałkowego poranka.

do s. 117
W czasie okupacji, kiedy główny gmach Akademii Górniczej został zajęty przez władze GG, utworzono (1940) Średnią Szkołę Techniczną Górniczo-Hutniczo-Mierniczą. Na potrzeby szkoły oddano gmach dawnego gimnazjum przy ul. Krzemionki 11 w Podgórzu. Oprócz oficjalnego programu odbywało się tam tajne nauczanie studentów AG.

Szkoła Mechaniczno-Techniczna w Warszawie, ufundowana przez właścicieli domu bankowego H. Wawelberga i S. Rotwanda. W latach 1906–1914, w czasie bojkotu rosyjskiej politechniki w Warszawie, cieszyła się dużą popularnością i spełniała nieoficjalnie funkcję polskiej politechniki. W 1919 r. została przekształcona w Państwową Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda, a w 1951 r. połączono ją z Politechniką Warszawską.

do s. 119
inkrutowiny, z tradycji litewskiej: wnosiny, wprowadziny

do s. 124
Władysław Studnicki-Gizbert (1867–1953), polityk, publicysta, zesłany na Syberię. Związany z obozem niepodległościowym, był jednym z ideologów zbrojnej walki o niepodległość. Założyciel Klubu Państwowców Polskich. W okresie I wojny światowej zwolennik współpracy z Niemcami. Nie zmienił swoich zapatrywań także w czasie II wojny światowej.

do s. 129
tentacje — pokusy

do s. 135
Ilja J. Riepin (1844–1930), malarz rosyjski, przedstawiciel realizmu. W swoich obrazach prezentował życie i historię narodu rosyjskiego. Obraz, o którym tu mowa, to *Procesja w guberni kurskiej*.

do s. 138
Pomyłka w nazwie, chodzi tu bowiem o przysiółek Górne koło Przeworska.

do s. 143
Żoną Adama Ronikiera była Jadwiga Plater-Zyberk z Liksnej. Majątek Grębów był własnością Seweryna Dolańskiego, który, będąc bezdzietny, adoptował jednego z synów Ronikiera — Stefana.

do s. 144
Karta Atlantycka, deklaracja ogłoszona 14 sierpnia 1941 r. przez prezydenta Stanów Zjednoczonych F.D. Roosevelta i premiera Wielkiej Brytanii W. Churchilla, określała zasady (wolność, demokracja, prawo narodów do suwerenności itp.) łączące koalicję antyhitlerowską.

do s. 149
Roman Aleksander Szeptycki (imię zakonne Andrzej) (1865–1944), metropolita Kościoła greckokatolickiego, był największym autorytetem ludności ukraińskiej mieszkającej na terenach II RP; patron ukraińskich działań niepodległościowych.

do s. 161
Struktury RGO rozrastały się bardzo szybko i już pod koniec 1941 r. – bez wolontariuszy — liczyły około 10 tys. zatrudnionych osób.

do s. 174
Opat cystersów Urban, zanim wstąpił do klasztoru, według rodowej legendy, był ostatnim ze słowiańskich władców Rostoka i protoplastą rodu Jaxa Ronikierów.

do s. 175
Roku Pańskiego 1439 spoczął tutaj wielebny Urban, domu tego opat, w swoim świeckim życiu rycerz Woisław Ronikierus h. Swoboda, zwany hrabią na Rostoku, który Konwentem Wąchockim kierował. Świątynię Boga Wszechmogącego przyozdobił i stawy rybne w Rafałowie ufundował. Módlcie się bracia za jego duszę.

do s. 179
res sacra miser (łac.) — nieszczęśliwy jest rzeczą świętą

do s. 189
Adam Ronikier brał udział w rozmowach w Morges w roku 1936 jako delegat kardynała Augusta Hlonda i generała Kazimierza Sosnkowskiego.

do s. 196
Samson Mikiciński nie był majorem, ale konsulem Chile.

do s. 197
Zawadzki to pseudonim dyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, Leopolda Rutkowskiego.

do s. 200
fronda — działanie przeciwne; tu w znaczeniu: przeszkadzanie, brużdżenie

William Ewart Gladstone (1809–1898), angielski polityk liberalny, jako premier Wielkiej Brytanii w latach 1886–1894 przeprowadził reformy społeczno-polityczne, w tym reformę wyborczą.

do s. 225
„Haberbusz i Schiele", Zjednoczone Browary Warszawskie S.A. — jeden z największych i najbardziej znanych browarów w Polsce. Założony w 1846 r., obok piwa wytwarzał napoje gazowane, wódki i likiery oraz substytuty kawy.

do s. 227
Tadeusz Wiktor Fenrych nie był właścicielem Pudliszek, ale zarządcą jednej z filii fabryki.

do s. 231
Opat benedyktynów, ojciec Piotr, był synem Wojciecha Rostworowskiego, szwagra Adama Ronikiera (żona Rostworowskiego, Elżbieta, była siostrą Jadwigi Plater-Zyberk).

do s. 242
Właściwie „Miecz i Pług" — polska organizacja podziemna, do której kierownictwa przeniknęli w 1940 r. agenci gestapo, zaproponowała Hitlerowi wspólną walkę z bolszewikami. Z wyroku Armii Krajowej agenci zostali jednak w 1943 r. zlikwidowani.

do s. 253
Pałac pod Baranami był siedzibą niemieckich władz miejskich Krakowa.

do s. 260
Stanisław Szeptycki (1867–1950), brat Andrzeja, generał austriacki, a następnie Wojska Polskiego, komendant Legionów Polskich z ramienia Austro-Węgier (1916), szef Sztabu Generalnego WP (1918), minister spraw wojskowych (1923), w 1926 r. przeszedł w stan spoczynku.

do s. 306
relsy (ang.) — szyny kolejowe; w tym przypadku sposób postępowania

do s. 309
wenedzkie pochodzenie — w tym przypadku pochodzenie od legendarnych Wenedów, których większość badaczy uważa za lud słowiański (nazwy Wenedowie użyli w I w. n.e. Pliniusz i Tacyt).

do s. 342
Thomas Edward Lawrence (Lawrence z Arabii), pułkownik wojsk brytyjskich, archeolog i pisarz. W czasie I wojny światowej organizował partyzantkę arabską.

do s. 355
Aristide Briand (1862–1932), jeden z najwybitniejszych polityków francuskich, wielokrotny minister i premier III Republiki, laureat Pokojowej Nagrody Nobla.

do s. 370
Kamienica Resslera, a poprawnie kamienica Roeslera i Hurtinga przy ul. Krakowskie Przedmieście 79, zbudowana w 1785 r. według projektu Sz. Zuga, w stylu klasycystycznym. Na parterze kamienicy mieścił się dom handlowy Roeslera i Hurtinga.

Indeks osób

Nota wydawcy

Pamiętnik Adama Ronikiera to literatura z pogranicza dziennika, wspomnień i dokumentu. Autor podzielił tekst na pięć części — odpowiadających pięciu latom okupacji niemieckiej. Części: drugą, trzecią, czwartą i piątą, oznaczył latami okupacji, uznałam, że pierwszą należy oznaczyć podobnie: *Lata 1939–1940*. Tekst poszczególnych części rozdzielił autor odstępami — numerując je na marginesie. Pod koniec części drugiej: *Rok 1941*, pojawiły się nawet tytuły odcinków tekstu, wpisane ręcznie w cztery odstępy: *Stosunek Delegatury Rządu do RGO*; *Trudności wewnątrz RGO*; *Niebezpieczeństwo sowieckie; Ostatnie dni 1942 r.* Nie uznałam za stosowne wprowadzać tych tytułów do niniejszego wydania, bo nie wiadomo przez kogo zostały wpisane, no i odbiegałyby od koncepcji podziału całości. Pominęłam numerację na marginesach i nie wprowadziłam wszystkich odstępów z maszynopisu — niektóre wydawały mi się nie dość umotywowane, nie oddzielały większych zwartych całości. Wydaje mi się, że nie działałam wbrew intencjom autora, który w ostatniej — piątej — części zaniechał nie tylko numeracji, ale i odstępów. Wprowadziłam je według własnego uznania, oddzielając całości tematyczne, gdyż niewątpliwie czyni to tekst zwarty bardziej przejrzystym.

Pamiętnik, pisany w 1945 roku, a zatem językiem dwudziestolecia międzywojennego, bliższy był dziewiętnasto- niż dwudziestowiecznej polszczyźnie — starałam się zachować jej cechy, nie ingerując zbytnimi poprawkami.

Autor — wydaje mi się — nie czytał maszynopisu, sam go zapewne nie sporządził, aczkolwiek natknęłam się w tekście na kilka poprawek — uwzględniłam je, choć trudno z całą pewnością orzec o ich autorstwie.

Długie okresy, zdania złożone zostawiłam bez zmian, nie dodając akapitów. Poprawiłam ewidentne błędy literowe i błędy gramatyczne, pozostawiając wszystkie formy dziś uznawane za niepoprawne lub rzadko używane. Kilkakrotnie zmieniłam szyk wyrazów, mając na względzie uzyskanie bardziej czytelnego tekstu, parę razy opuściłam jedno z dwu takich samych określeń, występujących w jednym zdaniu.

Zachowałam bez zmian zapis nazw urzędów, podziałów terytorialnych, tak niemieckich, jak i polskich, np. GG // Generalna Gubernia // Generalne Gubernatorstwo // Generał-gubernatorstwo; Dystrykt Krakowski, Okręg Lubelski itd. Pisownię „komitetów" ujednoliciłam, stosując na ogół małą literę, ze względu na dużą ilość powstających wówczas instytucji o charakterze charytatywnym, luźno zrzeszających członków. Zostawiłam dużą literę, gdy „Komitet" stanowił istotny składnik nazwy.

Zostawiłam duże litery w zapisie o walorze uczuciowym, np. Naród Polski (obok: naród polski — w zwykłej relacji); Ojczyzna, Książę Metropolita Sapieha — w tych wypadkach haseł zaimki: Jej, Jego, pisane były dużą literą. Ujednoliciłam pisownię nazw narodów: Polacy, Żydzi, Niemcy, Ukraińcy, Kałmucy.

Tytuły urzędników, tytuły rodowe, pisane na ogół małą literą, zostawiłam bez zmian, chyba że występowały w cytowanym liście, gdzie duża litera była formą grzecznościową, obok tytułów: książę, von, dyr., prezes, dr (skrót odmieniałam według dziś przyjętych norm: dra, drowi, drem), autor często dodaje skrót p. (pan), pp (panowie). Określenia: pan, pani, panna, zostawiałam wtedy, gdy nie było innego tytułu odnoszącego się do danej osoby. Jeśli Ronikier pisał np. Frank, Krüger, nie dodawałam określenia: pan, uznając, że taka była intencja autora.

Trudności nastręczała pisownia nazwisk niemieckich z tzw. umlautem: ae, oe, ue. Już w czasach okupacji zaniechana — chociaż w niektórych nazwiskach ten tradycyjny zapis pozostał, np. Goethe, Goebbels, Hoeltz, i ten oczywiście zachowałam, pisownię innych nazwisk dostosowałam do norm dzisiejszych, np. Wühlisch, Göring, Föhl.

Autor stosuje interpunkcję składniową, mnie pozostało uzupełnić ją wieloma przecinkami; ze względu na duże okresy wydzielałam wtrącone równoważniki zdań, którymi autor chętnie się posługiwał. Likwidowałam podwójne znaki interpunkcyjne, np. ,—, zostawiając jeden, bardziej adekwatny, chociaż bez zmian zostały znaki emocjonalne — znaczące: ?!; !!

Pisownię łączną i rozłączną dostosowałam do dzisiejszych norm ortograficznych. Podobnie zmieniłam końcówki fleksyjne przymiotnika: „emi" na „ymi" — np. „większemi" na „większymi", „całemi" na „całymi", zostawiając dawną odmianę przymiotnikową używaną potocznie do dzisiaj, ale uznaną już za błędną, jak: „była prowadzoną", „możliwą"; „był chorym", „zatrudnionym".

Modernizację pisowni ograniczyłam do form, w których można było przyjąć, że zapis nie odzwierciedla ówczesnej wymowy, np. „ideologja" zmieniłam na „ideologia", „rządzca" na „rządca", „wodzowstwo" na „wodzostwo", „znaleść" na „znaleźć", „uledz" na „ulec", „teror" na „terror" itp.

Zostawiłam bez zmian formy takie, jak: „patryjotyzm", „klijent", podobnie jak formy wyrazów obcych, częściowo spolszczonych: „regim"// „reżim", „hypoteka", „hypnotyzować", „Max"// „Maksymilian", „szematyzm", „pasport", „tualeta", „limusina", „Szlązak", oraz: „niepożyta energia", „zabiegliwy", „ustronność", „weszedłem", „odegrywać", „szewcki", „tłomaczyć", „podwórzec", „samojazd", „braja" (bryja), „boleśny", „radośny", „urzędowny", „gieniusz", „pobierać decyzję", „używać opinii" itp.

Zostawiłam dawną formę nazwy: Kazakstan // Kazachstan, ujednoliciłam pisownię nazwiska aktora: Sim// Sym, przyjmując formę powszechnie używaną; poprawiłam błędną nazwę wsi podkrakowskiej: „Liszków" na „Liszki", odmianę: „naokoło Równa" na „naokoło Równego".

Jak wynika z treści noty, do tekstu *Pamiętnika* nie wprowadziłam więc żadnych zmian o charakterze merytorycznym, mając na względzie — jak zaznaczyłam na początku — jego znaczenie jako dokumentu czasów okupacji niemieckiej.

Maria Rydlowa

Spis treści

Wydanie drugie

Przypisy
Jerzy Ronikier

Opieka redakcyjna
Anita Kasperek

Redakcja i opracowanie tekstu
Maria Rydlowa

Indeks osób
Urszula Srokosz-Martiuk, Elżbieta Stanowska

Konsultacja indeksu
Małgorzata Hertmanowicz-Brzoza

Projekt okładki i stron tytułowych
Marek Pawłowski

Zdjęcie na okładce
Skrzyżowanie ulic Straszewskiego i Piłsudskiego, Kraków 1933
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Redaktor techniczny
Bożena Korbut

Książkę wydano na papierze Creamy 80 g vol 2,0
dystrybuowanym przez PaperlinX

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2013
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna 800 42 10 40
księgarnia internetowa:www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Edycja
Druk i oprawa: Drukarnia na Księżym Młynie

ISBN 978-83-08-05259-4